BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

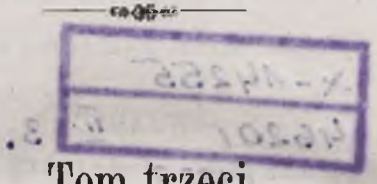
OGÓLNEGO ZBIORU TOM 155.

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1879.



Tom trzeci.

WARSZAWA.
Skład i Eksp. Głów. w Księg. GEBETHNERA i WOLFFA.
—
1879.

4620. 1879. 3
II.
30,000,-

Дозволено Цензурою.

Варшава, 20 Іюня 1879 года.

X-14255
4620/II 3.
/1879

Druk. J. Bergera, ulica Elektoralna N. 14.

SPRAWOZDANIE

Z KONKURSU OGŁOSZONEGO W ZESZYCIE LUTOWYM Z R. 1878 BIBLIOTEKI WARSZAWSKIÉJ, A W ZESZYCIE GRUDNIOWYM 1878 R. PONOWIONEGO.

Ponieważ na temat w powyższém ogłoszeniu konkursowém rozwinięty, a mający za treść przedstawienie obrazu obywatela wieku spółczesnego, złożoną została *jedna* tylko rozprawa; gdy nadto objawione zostały piśmienne życzenia, ażeby z powodu ważności przedmiotu przedłużonym został termin konkursu: przeto redakcya *Biblioteki Warszawskiéj* rozprawę otrzymaną pozostawiła bez rozpoznania, a konkurs uważając za otwarty, termin jego odracza do dnia włącznie 30 grudnia 1880 roku, dając tym sposobem możność nietylko wykończenia prac swych autorom, którzy te już pozaczynali, ale i innym, którzyby mieli chęć przystąpić obecnie do konkursu.

W końcu redakcya nadmienia, że autor rozprawy nadesłanéj na niedoszły do skutku konkurs, a znajdującéj się w biurze redakcyi od miesiąca maja r. b., stosownie do życzenia, może albo za udowodnieniem zażądać jéj zwrotu, jeśliby pragnął w niéj jakie zaprowadzić zmiany, albo ją do powyżéj oznaczonego terminu w biurze redakcyi pozostawić.

Warunki konkursu pod każdym innym względem pozostają bez zmiany, a mianowicie:

KONKURS

Redakcyi Biblioteki Warszawskiéj.

Dzieje umysłowe narodu naszego przedstawiają ten fakt, godny uwagi, że począwszy od wyraźniejszéj fizyognomii piśmiennictwa, każde stulecie zdobywa się na wzory, kreślące obowiązki człowieka i obywatela, zawsze z jednéj prawdy moralnéj wypływające, ale do pojęć, zadań i potrzeb stosowane. I tak w wieku XVI *Żywotem poczciwego człowieka* Rej inauguruje etykę narodową. W wieku XVII Skarga, karcąc zboczenia od wielkich zasad w *Kazaniach sejmowych*, a więc w saméj krytyce ujawniając swe postulata, co do stron dodatnich, za przykład ziomkom stawia *Żywoty Świętych*. W wieku XVIII mniéj wzniosły, ale zawsze sympatyczny wzór podaje Krasicki w *Podstolim*, oraz w *Życiach zacnych mężów z Plutarcha*.

Wzory te uznane zostały przez społeczność i spopularyzowały się pośród niéj dlatego, że nie były płodem fantazyi, formułą abstrakcyjną

i arbitralną, ani echem żywiołów obcych, ale podsłuchane i troskliwie przez myślicieli utalentowanych zebrane ze zdań i pragnień zdrowéj części narodu, stały się niejako jéj wyrazem, treścią myśli i natchnień, uczuwanych przez wszystkich, ale przez nikogo jeszcze nie wypowiedzianych. Myśli te i natchnienia, stopione w jedność i uklasyfikowane przez jednostkę, wyrażającą w ten sposób sumienie ogółu, prawnie uchodzić mogły za drogoskaz dla pokoleń, objętych sferą położenia i warunków społecznych, słowem za ideał wieku.

Przy zmianie sfery téj, drogoskaz i przewodnik taki, nie przystając we wszystkich punktach do wyobrażeń i położeń, których w biegu historyi przewidzieć nie mógł, staje się z czasem niedostatecznym. Przychodzą nowe warunki, a z niemi nowe zapatrywania, nowe potrzeby i nowe obowiązki. Wiek XIX, choćby dla utrzymania tradycyi myślicielskiéj, potrzebuje rozpatrzyć się w swych warunkach samodzielnie, podsłuchać nanowo, uchylić zasłonę z snmienia ogółu i postawić wzór nowy, ideał miejscowy wieku.

Takie z pośród grona myślicieli i talentów krajowych, pragnąc wywołać dzieło, łączność pewną z kilku powyżéj wymienionemi stanowiące,

Redakcya Bibl. Warsz. ogłasza w tym celu konkurs,

którego premium przeznaczoném będzie za dzieło nie względnie najlepsze z pomiędzy nadesłanych, ale za takie, któreby tak myślą jak i obrobieniem, stosownie do swego zadania i wieku, mogło stanąć bez zawstydzenia obok swych pierwowzorów.

Pożądaném jest, aby dzieło proponowane opierało się na podstawie dziejów, głównie naszego narodu, oraz innych społeczeństw i aby czerpane z historyi fakta i wnioski, jasno zasadniczą myśl konkursu uwydatniały.

Dla bliższego objaśnienia dążności dzieła konkursowego dodajemy, że wyborem odpowiednich typów lub faktów z historyi ma kierować nietylko idea obowiązków obywatelskich w warunkach normalnego rozwoju i potęgi, ale także i zadań, które mogą i powinny być urzeczywistnione przez wszystkich członków społeczeństwa w każdém położeniu i okolicznościach życia: publicznego, prywatnego i stosunków rodzinnych.

Słowem, praca konkursowa objąć powinna wykład obowiązków potrzeb i zadań obywatela spółczesnego w kraju naszym, ku czemu naukę i przykłady dostarczyć ma historya.

Pierwszeństwo w przyznaniu nagrody, oprócz żywotności w treści, pełności w zjawiskach, powagi i spokoju w ujęciu przedmiotu, zależéć będzie od doskonałości formy zewnętrznéj, rozumiejąc przez nią wdzięk, wytworność stylu, poprawność języka, czytelniczą dostępność i t. d.

Nagroda konkursowa wynosi zł. pol. 5,000, czyli rs. 750.

Termin złożenia prac oznacza się na dzień 1 maja 1879 r. Autorowie prace swe nadsyłać mają opatrzone godłem, dowolnie obraném, które stać będzie i na kopercie zapieczętowanéj, zawierającéj wewnątrz imię i nazwisko autora, ze wskazaniem miejsca pobytu.

Rękopis nagrodzony, pozostaje własnością autora, który obowiązany ogłosić go drukiem w ciągu roku, po przyznaniu nagrody. Gdyby zaś tego nie uczynił, Redakcya *Biblioteki Warszawskiéj* wydać może dzieło uwieńczone na swoję korzyść.

NOWY KONKURS

Redakcyi Biblioteki Warszawskiéj.

Niezależnie od powyżéj wyszczególnionego przedmiotu, redakcya *Biblioteki Warszawskiéj* ogłasza nowy i osobny konkurs na napisanie dzieła p. t.:

Historya języka polskiego.

Lubo redakcya pozostawia piszącym zupełną swobodę pod względem użycia metody i sposobu rozwinięcia przedmiotu, uznaje wszelako za rzecz dla porozumienia się pożyteczną, wskazać w niektórych punktach głównych zakres i ducha dzieła mającego się przez konkurs obecny wywołać, nie stawiając bynajmniéj przez to własnego programu, ale zaznaczając tylko swój sposób zapatrywania się na niektóre żywioły przedmiotu. A zatém:

Język polski w rodzinie języków aryjskich; wspólność z niemi pierwiastków wyrazowych oraz ustroju organicznego; stanowisko wśród języków pokrewnych i pogląd porównawczy.

Zabytki z czasów przedhistorycznych; wzmianki u obcych którzy ludy słowiańskie wyprzedzili na drodze cywilizacyi; odrębność pod względem językowym rozmaitych grup słowiańskich, a w pośród nich języka polskiego, oraz zbliżenie jego do narzeczy czeskich, łużyckich i innych plemion zaginionych a żyjących niegdyś nad niższą Łabą.

Stosunek języka polskiego do języka najdawniejszych pomników piśmiennych u plemion mieszkających na południo wschodzie Słowiańszczyzny, czyli do tak zwanego języka bulgarsko-cerkiewnego; okoliczności i przyczyny powodujące że język ten mógł lub nie mógł być początkiem i wzorem dla kształtowania się języka polskiego.

Wpływ dziejów na kształcenie się języka polskiego i ustalenie jego form; alfabet łaciński, jako początek niewzruszonych zasad grafiki

polskiéj; szczegółowy rozwój tejże grafiki, zwłaszcza od wprowadzenia do pisma naszego *joty*, w zakresie jaki jéj deputacya Towarzystwa Przyjaciół Nauk oznaczyła; ocenienie projektu rozszerzenia tego zakresu do wyrazów przejętych z łaciny; krytyka motywowana projektów reform co do grafiki polskiéj.

Wpływ łaciny, oraz stosunków z innemi narodami (Niemcy, Włochy, Francya, Słowiańszczyzna, daleki Wschód), jak niemniéj reformy religijnéj na wyrabianie się języka polskiego w piśmiennictwie i w mowie potocznéj. Skażenia językowe.

Wpływ ustaw państwowych i życia społecznego na rozwój języka w rozmaitych kierunkach: naukowym, prawniczym, krasomówczym i poetyckim.

Twórczość samodzielna ludu; różnica narzeczy prowincyonalnych (wielkopolskie, małopolskie, mazurskie); przyczyny dla których jeden dyalekt przeważył w języku piśmiennym.

Zmiany zaszłe z postępem czasu w znaczeniu i użyciu wielu wyrazów.

Krytyka badań nowoczesnéj lingwistyki, ograniczającéj się wyłącznie do saméj morfologii, a nie uwzględniającéj różnicy zachodzącéj pomiędzy składnią języka polskiego urobioną na wzorach przeważnie łacińskich, a składnią innych języków słowiańskich.

Liczba przybliżona wyrazów wchodzących w skład języka polskiego, używanych powszechnie, w porównaniu do innych słowiańskich, oraz główniejszych zachodnich.

Bibliografia odnosząca się do badań języka polskiego.

W oznaczeniu powyższych punktów, redakcya *Biblioteki Warszawskiéj* nie przesądzając ani zdania autorów, ani metody i porządku wykładu, pragnie tylko ażeby w dziele były stosownie uwzględnione.

Termin do składania rękopisów, pod adresem redakcyi *Biblioteki Warszawskiéj* oznacza się włącznie do dnia 30 czerwca 1881 r. Rękopisy powinny być bezimienne, a tylko oznaczone dewizą, która powtórzyć się ma i na kopercie listu zawierającego nazwisko autora, właściwe lub przybrane.

Nagroda konkursowa, w ilości rubli siedmset pięćdziesiąt przyznaną będzie pracy odpowiadającéj warunkom nauki i krytyki dzisiejszéj, a najlepszéj z pomiędzy złożonych na konkurs. Autor pracy nagrodzonéj pozostaje właścicielem rękopisu, zobowiązuje się tylko wydrukować go w ciągu roku jednego, czego gdyby nie uczynił, redakcya *Biblioteki Warszawskiéj* wydać może dzieło uwieńczone na swoję korzyść.

PRZEMYSŁ CUKROWNICZY

W KRÓLESTWIE POLSKIÉM.

PRZEZ

Antoniego Wrotnowskiego.

Cukier był przez długi szereg wieków wyłącznym produktem stref gorących. Wydobywany z trzciny cukrowéj i przywożony do Europy w stanie surowym, do użycia jeszcze nieprzydatnym, a więc poczytywanym za materyał surowy (*matière première*), wytworzył był we Francyi, w Holandyi i w Anglii oddzielną gałąź przemysłu, mającą za cel oczyszczanie tegoż materyału i przerabianie na pokarm w fabrykach *rafineryami* zwanych. Ta gałąź przemysłu musiała była już w wieku XVII znacznego nabrać rozwoju, skoro w roku 1680 ustanowiono we Francyi podatek od cukru surowego, pochodzącego z kolonii, a nawet dekretem rady stanu króla z roku 1684 zabroniono rafinowania cukru na wyspach uprawiających trzcinę cukrową i protekcya dla rafineryi francuzkich tym zakazem zapewniona, przestała istnieć dopiéro z końcem wieku XVIII [1]). Sprowadzano zaś do Europy znaczną już ilość cukru surowego, skoro w jednéj kolonii francuzkiéj (*St. Domingue*) istniało w końcu zeszłego wieku 792 cukrowni, które dostarczały były do rafineryi francuzkich po sto milionów kilogramów rocznie tego produktu [2]).

Cukier, z tak odległych stron sprowadzany, a w rafineryach krajowych przerabiany na pokarm, był niewątpliwie przedmiotem zbytkowym, dla ogółu niedostępnym, skoro jeszcze w roku 1811 kilogram kosztował we Francyi 12 franków [3]).

Rozpowszechnienie użycia cukru i jego dzisiejszą taniość zawdzięczać przychodzi i nauce i polityce zarazem. W połowie wieku XVIII pruski chemik Margraff uczynił był ważne odkrycie, iż cukier stanowi jedną z części składowych buraka i może być z téj rośliny otrzymywanym. To odkrycie, udoskonalone przez innego uczonego berlińskiego Acharrda, zwróciło uwagę cesarza Napoleona I, prowadzącego wówczas

---

[1]) *Le Pelletier de Saint-Remy. Le Questionnaire de la question des sucres*, 2 éd. Paris 1877, str. 41, przypisek 1.

[2]) Tamże, str. 94.

[3]) *Etude sur les tarifs de douanes et sur les traités de commerce* par *M. Amé*, Conseiller d'Etat, Directeur général des douanes. Paris 1876. Tom II, str. 103.

REDAKCYA BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ

bój z Anglią i pragnącego pozbawić ją przewagi handlowéj, zwłaszcza na morzach. Chcąc przeto odjąć angielskiéj marynarce handlowéj jeden z główniejszych przedmiotów przewozu (*de frêt*) i dojść do tego, iżby Europa mogła się obejść bez jednego z najważniejszych produktów kolonii angielskich; Napoleon I dekretem z roku 1811 rozkazał oddać pod uprawę buraków 32,000 hektarów ziemi i jednocześnie ministrowi spraw wewnętrznych otworzył kredyt miliona franków, na zachęty i pomoce dla téj nowéj gałęzi przemysłu.

Dzięki téj inicyatywie i tym pomocom i zachęcany owemi wysokiemi cenami; przemysł fabrykacyi cukru z buraków zaczął się we Francyi szybko rozwijać.

Jakoż w chwili upadku pierwszego cesarstwa liczono już 200 fabryk, produkujących rocznie 3,400,000 kilogramów tak zwanego *piasku* czyli mączki cukrowéj, cena zaś cukru rafinowanego spadła była z 12 na 3 franki za kilogram [1]).

Fabrykacya cukru z buraków, do szerokiego w Europie doszedłszy rozwoju, zajmuje dziś poważne miejsce w ogólnéj ekonomii Niemiec, Francyi, Austryi, Belgii, Holandyi, Rossyi i Królestwa Polskiego. Dziś, już nie rafinerye cukru surowego z trzciny, dowożonego z kolonii (jak to miało miejsce w pierwszych dziesiątkach lat wieku bieżącego), ale fabryki cukru z buraków tworzą w każdym z tych krajów oddzielną gałąź przemysłu, zajmującą uwagę prawodawców i statystów. W jednéj tylko Anglii z pomiędzy wielkich mocarstw europejskich, nie przestaje rafinerya poprzedniego zajmować stanowiska; Anglia więcéj niż każdy inny kraj sprowadza cukru surowego z kolonii i piasku z buraków, dla przerobu na swych 53 rafineryach i jest zawsze najgłówniejszém targowiskiem dla tego produktu. Naród angielski spożywa cukru więcéj niż każdy inny [2]), ale przemysłu cukrowniczego takiego, jaki dziś istnieje na stałym lądzie, zupełnie niéma; w Anglii bowiem jest tylko jedna fabryka cukru z buraków.

Przemysł rafineryjny na kontynencie zeszedł więc na drugi plan, od chwili zwłaszcza, gdy fabrykacya cukru z buraków została do tego stopnia udoskonaloną, iż sama wytwarza produkt, przydatny na pokarm i niewymagający rafinowania.

Jakoż wielkie ilości cukru, tak zwanego *pierwszego rzutu*, idą wprost na targi, jako towar, który w konsumcyi publicznéj, zupełnie zastępuje cukier kolonialny i rafinowany [3]).

---

[1]) *Etude sur les tarifs de douanes et sur les traités de commeree* par *M. Amé*, Conseiller d'Etat, Directeur général des douanes. Paris, 1876 Tom II, str. 103.

[2]) *De Saint-Remy loco citato*, str. 18. Konsumcya cukru w roku 1876 wyniosła w Anglii 925 milionów kilogramów, co czyni na mieszkańca po 28 kilogramów rocznie (tamże str. 206). Kilogram=2 funtom, 42 zołot. i 40,^{54} dol. rossyjskim.

[3]) La plus grande merveille scientifique qui ait peut-être jamais ac-

Rozwój fabrykacyi cukru z buraków, jest dla każdego widocznym [1]). Poświadczono w Wiedniu, podczas ostatniéj wystawy powszechnéj, iż w Niemczech, we Francyi, w Austryi, Belgii, Holandyi i w Imperyum Rossyjskiém istnieje około 1,700 fabryk cukru z buraków, które w kampanii 1870/71 wyrobiły 18,851,774 centnarów [2]).

Późniejsze obliczenia statystyczne wykazują, iż w r. 1877/8, produkcya cukru na kontynencie wyniosła dwadzieścia pięć milionów centnarów [3]). Obliczenia te wszakże, mogą być przyjmowanemi jedynie za punkt wyjścia, i tylko pod pewnemi względami służyć za podstawę do porównań; nie są bowiem prawdziwym wyrazem produkcyi, nie podają cyfr z rzeczywistością zgodnych i nie prowadzą do wniosków pozytywniejszych. Cyfry stawiane przez statystyków zapożyczanemi są od władz fiskalnych, układających wykazy na podstawie norm podatkowych, norm od rzeczywistości bardzo dalekich i wszędzie fikcyjnych. Chcąc mieć rzeczywistą cyfrę produkcyi cukru, należałoby jéj szukać w księgach i kontrolach prowadzonych z osobna przez każdą fabrykę i zestawić sumę tych wszystkich obliczeń.

---

complie dans l'industrie, ç'a été la desinfection absolue du sucre de betterave non raffiné." *De Saint Remy, loco citato*, str. 27. „Par le procédé de la double carbonatation, le sucre de betterave de premier jet devient comestible comme le sucre de canne;" tamże str. 47.

[1]) Rafinerye zadaniem tego studyum nie są. Ilekroć przeto mówić będziemy o cukrze, odnosić się to będzie do wszelkich gatunków tego produktu, wyrabianych przez fabryki cukru z buraków, czyli do cukrów nierafinowanych.

[2]) Francya 5,781,660, Niemcy 5,259,734, Austro-Węgry 3,645,500, Rossya 2,700,000, Belgia 1,114,780; Niderlandy z innemi krajami 350,000 por. Richard von Kaufmann. *Die Zucker-Industrie in ihrer Wirthschaftlichen und Steuerfiscalischen Bedeutung für die Staaten Europas. Ein Beitrag zum Verständniss der Zucker-Zoll und Steuer Frage.* Berlin 1878, str. 38. Centnar austr.=136 funtom 72 zołot. i 25 dol. wagi rossyjskiéj.

[3]) Produkcya cukru z buraków, z czterech kampanii, wykazaną jest jak następuje:

	r. 1874/5	r. 1875/6	r. 1876/7	r. 1877/8
Niemcy	5,014,164	6,932,914	5,824,077	7,100,000
Francya	9,017,540	9,245,180	4,865,900	6,500,000
Rossya	4,450,000	4,900,000	5,000,000	5,000,000
Austro-Węgry . .	2,803,839	3,602,769	4,105,335	4,700,000
Belgia	1,421,580	1,595,920	889,340	1,200,000
Niederlandy z innemi krajami . .	600,000	600,000	500,000	500,000
Razem *centnarów*	23,307,123	26,876,783	21,184,652	25,000,000
Czyli *ton* . . .	1,165,356	1,343,839	1,059,233	1,250,000

Najbliższemi prawdy, są bezwątpienia wykazy układane w ces. biórze statystyczném w Berlinie. Bliskiemi rzeczywistości, pod względem produkcyi cukru z buraków, są także wykazy formowane we Francyi, chociaż pozostawiają wiele do życzenia, ilekroć idzie o produkcyą cukru rafinowanego, z materyałów surowych dowożonych z zagranicy. Cyfry podawane o produkcyi cukru w Rossyi i w Austryi nie zasługują na żadną wiarę.

Przyczyną téj niezgodności między rzeczywistością i statystyką, są wszędzie systemata podatkowe [1]). Rzeczywista produkcya cukru na

---

(Dr. Richard von Kaufmann, *loco citato*, w przypisku do str. 38 na podstawie obliczeń F. O. Lichta). Tona = 1,000 kilogramom, 20 centnarom, 2,240 funtom angielskim, 2,481 funtom, 10 zoł. i 86,4 dol. wagi rossyjskiéj.

[1]) Ponieważ w ciągu tego studyum znajdziemy sposobność dać rys zasad podatkowych, jakie istnieją w rzeczonych krajach, poprzestajemy więc w tém miejscu na zaznaczeniu:

a) Że podatek w *Niemczech* jest pobieranym od rzeczywistéj wagi buraków, dopełnianéj w chwili, w któréj, one po odpowiedniém oczyszczeniu, przechodzą z płuczki do tarki lub nożów; statystyka przeto, wprowadza w rachunek, istotnie prawdziwe cyfry przerabianych buraków.

Każda znowu fabryka przesyła co rok sprawozdanie do bióra statystycznego w Berlinie, wykazujące ilość buraków przerobionych w ciągu ubiegłéj kampanii, ich polaryzacyą, ilość wyrobionego cukru i t. p. Sprawozdaniom tym można dawać wiarę, jak to bowiem słusznie zauważył wydelegowany przez departament dochodów niestałych w r. 1876 dla wystudyowania zagranicą prawodawstw w przedmiocie cukru, członek komisyi ustanowionéj dla przejrzenia ustawy o akcyzie od cukru A. Jermołow, (w piśmie: *Obzor razlicznych sistem wzimanja naloga z sachara w Evropie*, str. 16) „wszystkie te dane nie mają żadnego wpływu, na cyfrę pobieranego podatku, przeistaczanie więc prawdy nie leży bynajmniéj w interesie fabryk."

Do téj uwagi dodajemy, iż zarząd każdéj fabryki jest właśnie najbardziéj interesowanym, iżby cyfry, ogłaszane przez bióro statystyczne, były prawdziwemi; skoro żadna kombinacya w rzeczy produkcyi, jéj ulepszeń, zastosowania wynalazków i przy przedaży cukru, nie jest możliwą inaczéj, jak przy dokładnych danych statystycznych.

b) Podatek we *Francyi* pobieranym jest od wagi wyprodukowanego cukru, dopełnianéj w chwili, gdy tenże wyrób z magazynów fabrycznych wchodzi w cyrkulacyą handlową. Rachunek władz fiskalnych powinienby więc być zgodnym z rzeczywistością; że jednak do oznaczania wysokości podatku, wskazane są typy cukrów, że nawet sprawdzania urzędów fiskalnych, dokonywane za pomocą *sacharimetrów*, jako zależne od mniejszéj lub większéj dokładności tych narzędzi, nie wypadają jednakowo, (*de Saint Remy loco citato*, *3-e question* str. 60—90), że wydajność cukrów surowych wprowadzanych z zagranicy dla przerobu w rafineryach, obliczaną jest nie wedle rzeczywistości, lecz wedle norm; z tych przeto powodów i we Francyi cyfry produkcyi i konsumcyi cukru są wyższe od tych, jakie w statystykach napotykamy.

kontynencie, jest niewątpliwie daleko wyższą, niż wykazywana przez statystyków; można ją śmiało podać na czterdzieści milionów centnarów rocznie.

Wszędzie gdzie się rozwinęło, cukrownictwo jest gałęzią przemysłu wielkiéj doniosłości dla kraju. Doniosłość ta dochodzi do szczególnéj potęgi w Królestwie Polskiém, gdzie fabrykacya cukru z buraków zajęła pierwsze miejsce w przemyśle krajowym, zaraz po produkcyi rolniczéj.

Przy rozbiorze przepisów podatkowych w Izbie deputowanych, wyjaśniano, iż zawsze znajdzie się *la fissure légale*, dzięki któréj pewna ilość cukru unika wszelkiéj kontroli. Cyfry więc statystyczne mają i we Francyi tylko względną naukową wartość.

c) *W Rossyi*, podatek jest obliczanym na podstawie norm prawnych, oznaczających ilość buraków przez wymiar naczyń wydobywających sok cukrowy i przez czas téj roboty; ilość zaś wyprodukowanego cukru, przez przypuszczalną cukrowość czyli wydajność buraka.

Że te normy nie mogą być zgodne z rzeczywistością, tego dowodzić niéma nawet potrzeby. Niedokładność danych statystycznych, uwydatnioną została w samych pracach wzmiankowanéj (ad *a*) komisyi; (*Izsliedowanija nad rabotoj sokodobywatelnych snarjadów*, przez byłego profesora Instytutu rolniczego, rzecz. radzcę stanu Eugeniusza Andrejewa, str. 102). Że z tych danych niepodobna wyprowadzać żadnych pozytywniejszych wniosków, przekonywa następujące zestawienie, wedle tablicy przez tegoż autora ułożonéj, a dołączonéj do innéj jego pracy (*Razwitije świekłosacharnago proizwodstwa w Rossyi*, str. 239), ogólna produkcya w Imperyum w r. 1876/7 wyniosła 8,160,207 pudów mączki cukrowéj. Inna tablica tegoż dzieła (str. 251) wykazuje znowu, iż w tymże roku wywieziono z Rossyi za granicę cukru rafinowanego i mączki 3,891,897 pudów, przywieziono zaś z zagranicy tylko 1,506 pudów; na miejscowe przeto spożycie pozostawałoby 4,250,000 pudów, w cyfrze okrągłéj, czyli na jednego mieszkańca przecięciowo po $2,^{12}$ funtów rocznie. Rzeczona komisya poświadcza przecież, iż każdy mieszkaniec Cesarstwa, spożywa przecięciowo po 8 funtów rocznie (*Żurnał Komissii po peresmotru ustawa ob akcyzie z sacharnago piesku*, str. 26); gdzież więc szukać nietylko różnicy 11,750,000 pudów, przy ludności 80 milionów, ale nawet owéj cyfry 3,890,000 pudów, wywiezionych za granicę, a więc brakujących do 8,160,000 pudów, przyjętych za punkt wyjścia. Do żadnych znowu dzieł statystycznych, nie mogła była jeszcze wejść cyfra rocznéj produkcyi, przez rzecz. r. st. E. Andrejewa na 16 milionów pudów po raz pierwszy podana, a oparta na jego własnych obserwacyach (*loco citato*, str. 230 i 231), i z niéj przecież strącając cukier za granicę wywieziony, przypadałoby na wewnętrzną konsumcyą 12,110,000 pudów, czyli nie po 8 ale tylko po 6 f. rocznie na 1 mieszkańca.

d) Systemat podatkowy w *Austro-Węgrzech* ma wiele podobieństwa z systematem istniejącym w Rossyi i polega na normach. Doprowadzają one do cyfr statystycznych jeszcze bardziéj niedokładnych. Od cukru wyrobionego w r. 1875/6, skarb pobrał podatku 9,330,081 guldenów, od cukru zaś w tymże roku wywiezionego za granicę, zwrócił 9,472,991 guldenów; gdy zaś zwraca

Początki téj gałęzi przemysłu były u nas powolne i nieśmiałe: pierwszą fabrykę cukru w Częstocicach, w dzisiejszéj gubernii Radomskiéj, wzniósł był hr. Henryk Łubieński w roku 1826. Z jego inicyatywy powstała także fabryka *Guzów*, w gubernii Warszawskiéj, zbudowana w r. 1830 [1]); a chociaż obie fabryki miały pierwotnie na celu przerabianie własnych buraków, nie przedstawiały więc cech przemysłu prowadzonego samoistnie, niemniéj wszakże, pisząc w przedmiocie cukrownictwa nie można o téj inicyatywie przemilczéć, ani jéj należnego odmówić uznania.

Rzeczywiście przemysłową, dającą istotne początkowanie téj gałęzi przemysłu, jest fabryka *Hermanów* w gubernii Warszawskiéj, założona w roku 1838 przez spółkę udziałową, zawiązaną pod przewodnictwem bankiera Hermana Epstejna. Dobrze prowadzona i od początku znaczne przynosząca korzyści, fabryka Hermanów przekonała tutejszy świat finansowy, że przemysł cukrowniczy może w kraju rozwijać się, że nawet znajdzie warunki wyjątkowo przyjazne, a mianowicie: taniość kosztów produkcyi i wysokie ceny cukru, przy wielkiéj łatwości jego zbytu.

Zaczęły się téż fabryki cukru wznosić w różnych okolicach kraju; zaraz w następném dziesięcioleciu powstało ich 11 [2]); najwyższa ich liczba, 51, przypada na rok 1854 [3]); obecnie, wedle danych urzędo-

---

tyle, ile wedle norm pobiera podatku, należałoby więc wnosić, iż na konsumcyą mieszkańców Austro-Węgier w r. 1875/6 nic cukru nie pozostało. (Dr. Richard von Kaufman, *loco citato*, str. 56 i 57). A jednak mieli oni w poprzednim roku spożyć 148,800 ton cukru, czyli z przecięcia po 4 kilogramy na jednego mieszkańca, (tamże, str. 26).

[1]) Daty wzięte z materyałów w rękopiśmie, zebranych przez radzcę stanu Jana Blocha, do statystyki Cesarstwa i Królestwa, jaką wydać zamierza, a z których to materyałów uprzejmie dozwolił nam korzystać.

[2]) wzniesiono w roku 1840 fabryk 1
„ 1843 „ 2
„ 1845 „ 2
„ 1846 „ 1
„ 1847 „ 2
„ 1848 „ 1
„ 1849 „ 2
(z materyałów Jana Blocha).

[3]) w r. 1850 było w Królestwie fabryk czynnych 33 nieczynnych 2
„ 1851 „ „ „ „ 39 „ 3
„ 1852 „ „ „ „ 47 „ 2
„ 1853 „ „ „ „ 49 „ 5
„ 1854 „ „ „ „ 51 „ 4
„ 1855 „ „ „ „ 50 „ 5
„ 1856 „ „ „ „ 45 „ 7
„ 1857 „ „ „ „ 44 „ 8

wych, ma być 40 fabryk [1]), prywatne źródła podają ich cyfrę o dwie więcéj [2]).

Owe warunki dla przemysłu cukrowniczego wyjątkowo przyjazne, musiały przecież w kolei czasu ulegać pogorszeniu, wynikającemu nietylko z rozwiniętéj konkurencyi, ale i z przeobrażenia stosunków ekonomicznych i prawnych całego kraju.

Cukrownictwo nie mogło uniknąć kryzysów w skutek tych przeobrażeń, i obecnie musi pokonywać liczne trudności. Minął niepowrotnie wiek złoty dla téj gałęzi przemysłu, i musi ona wytężać wszystkie swe siły, ażeby istnieć przy warunkach dzisiejszych. Dotychczas przemysł cukrowniczy stawiał tym trudnościom czoło, za pomocą bacznéj uwagi na wynalazki ulepszające fabrykacyą, natychmiastowego ich przyswajania, oględnego, na ścisłym rachunku opartego gospodarstwa i ciągłego postępu.

W téj gałęzi przemysłu są umieszczone bardzo znaczne kapitały tutejszych mieszkańców; kwestya więc jéj przyszłości wchodzi w zakres ogólnéj ekonomii kraju, a upadek fabryk musiałby na rolnictwo wielu okolic oddziałać szkodliwie.

Rys stopniowego pogorszania warunków przemysłu cukrowniczego i metoda, jaką tenże przemysł posługiwał się, by pod dzisiejszemi trudnościami nie upaść; budzą więc żywy interes, a nawet mogą i dla innych gałęzi przemysłu krajowego, przynieść pod wielu względami naukę lub radę, a przynajmniéj zachętę lub przykład.

I.

Czynnikami produkcyi w przemyśle cukrowniczym są: 1) buraki czyli materał surowy (*matière première*)); 2) opał; 3) praca ludzka czyli najmy; 4) podatki i 5) wszystkie inne koszta rozpadające się na kilkanaście oddzielnych rubryk, jako to: materyały do fabrykacyi potrzebne, nasienie buraczane, koszta opakowania cukru, płace stałéj służby fabrycznéj, opłaty assekuracyjne i t. d. Poprzestaniemy na rozbiorze czterech pierwszych czynników, wszystkie bowiem inne koszta zestawione razem jako czynnik piąty, acz w każdéj fabryce tworzą cyfrę bardzo poważną, (przeszło czwartą część wszystkich kosztów produkcyi, około 27 kopiejek na każdych przerobionych stu funtach bu-

---

(*Materiały po diełam Carstwa Polskago. Swiedienja po finansowoj czasti. Tetradʼ II, g. 1864, str. 199*).

[1]) W gubernii Warszawskiéj fabryk 19 w Siedleckiéj 1 w Kaliskiéj 5
„ Piotrkowskiéj „ 3 „ Lubelskiéj 3 „ Radomsk. 3
„ Kieleckiéj „ 2 „ Łomżyńs. 2 „ Płockiéj 2
(*Kratkij oczerk sowremiennago sostojanja swiekłosacharnych zawodow Imperii i Carstwa Polskago w techniczeskom otnoszenii*, przez Wiktora Andrejewa, technika departamentu dochodów niestałych, str. 193).

[2]) *Niwa*, zeszyt z 1 lutego 1879 r., str. 204.

raków), rozpadają się przecież na tyle szczegółowych pozycyi, a każda z nich od tylu różnorodnych warunków jest znowu zależną, iż szczegółowe każdéj opracowanie musiałoby przybrać cechę raczéj techniczną niż ekonomiczną, miéć na celu raczéj tych, którzy nie znajdą w tém piśmie nic dla siebie nowego, raczéj samych fabrykantów cukru, niż czytający ogół, a przeto ramy tego studyum bezpotrzebnie rozszerzyć [1]).

1. *Buraki.* Cena płacona przez fabryki za dostawiane buraki jednakową w całém Królestwie nie jest [2]). Cena przecież płacona przez fabryki istniejące w gubernii Warszawskiéj, może być uważaną za cenę normalną i za najwłaściwszą podstawę do obliczeń i porównań; skoro przemysł cukrowniczy rozwinął się przeważnie w téjże gubernii, która jedna, ma dziś tyleż fabryk cukru, co wszystkie inne gubernie Królestwa razem, i która przerabia co najmniéj 60% ogólnéj ilości buraków, przerabianych w całym kraju [3]). Korzyść zresztą fabryk płacących za buraki taniéj, jest w znacznéj części łudzącą i względną; równoważą ją bowiem w niektórych okolicach niższe pod względem słodyczy przymioty buraków; w innych, wyższe znowu koszta odstawy cukru do głównego miejsca zbytu, Warszawy. Że zaś wszystkie fabryki cukru istniejące w gubernii Warszawskiéj płacą plantatorom ceny jednakowe; rachunek więc jednéj, dostarcza już dane, w tém miejscu

---

[1]) Same koszta zakupu materyałów posługujących do opakowania cukru wyniosły w r. 1877/8 w fabryce Dobrzelin rs. 17,212 kop. 44½
„ Ostrowy „ 27,151 „ 16½
„ Walentynów i Tomczyn rs. 28,777 „ 50½

[2]) Ceny obecnie płacone przez fabryki, różnią się w granicach między 25 i 35 kopiejek za centnar stufuntowy.

[3]) W roku 1873/4 wszystkie fabryki w Królestwie przerobiły wedle normy podatkowéj 1,682,829 berkowców, z czego na fabryki istniejące w gubernii Warszawskiéj przypada 1,007,131 berkowców; (wiadomość podana w nr. 134 *Gazety Polskiéj* z r. 1876, a wyjęta z ogólnego wykazu fabrykacyi cukru w całém Imperyum). Tablica znowu, str. 238 i 239 rz. r. st. E. Andrejewa (*Razwitje swiekłosacharnawo proizwodztwa w Rossii*) wykazuje następującą produkcyą cukru w Królestwie, w pudach obliczonych na podstawie norm podatkowych:

w gubernii	1870/1	1871/2	1872/3	1873/4	1874/5	1875/6	1876/7	1877/8
Warszawskiéj	625	376	750	602	422	753	833	586
Kaliskiéj	100	54	95	94	109	105	88	92
Radomskiéj	96	47	96	76	50	91	78	66
Piotrkowskiéj	86	48	89	81	51	64	70	59
Siedleckiéj	47	12	38	33	23	30	34	19
Płockiéj	27	14	41	34	29	44	53	32
Lubelskiéj	30	22	19	22	18	40	50	51
Łomżyńskiéj	17	9	14	10	13	15	16	14
Kieleckiéj	12	6	13	16	19	34	58	51

tysięcy pudów, pomijając ułamki i pojedyncze liczby pudów.

potrzebne. Zdawaćby się mogło, że ten rachunek ustala zarazem sumę rzeczywistego kosztu na zaopatrzenie fabryk w materyał surowy, będący przedmiotem fabrykacyi. Tak przecie nie jest. Cena bowiem płacona plantatorom za dostawiane buraki nie wyobraża jeszcze całego kosztu buraków przerobionych na cukier. Pochodzi to z dwu przyczyn:

a) Plantatorowie są w niemożności dostatecznie oczyścić buraki z korzeni, z koron, z ziemi i w ogóle z części obcych, chociaż w umowach z fabrykami do tego się zobowiązują. Powstają nawet przy odstawie buraków spory pomiędzy odstawiającymi a odbierającymi, nie o rzeczywistą ilość centnarów składanych z każdego wozu, skoro każdy wóz wchodząc z ciężarem i wychodząc po jego złożeniu idzie na wagę, a tém samém ilość ta oznaczaną jest zawsze z matematyczną ścisłością; ale spory wynikają o stopień oczyszczenia dostawianych buraków z owych części obcych, o wysokość procentu, jaki z tego powodu ma być przez fabrykę z téj ilości potrąconym. Sporom tym ani się dziwić, ani niemi gorszyć nie należy; nigdzie, w żadnym stosunku kontraktowym nie są one do uniknienia, tém mniéj zaś byłoby sprawiedliwém wysnuwać ztąd zarzuty przeciwko fabrykom, skoro one pomimo owych potrącań w ostatecznym rezultacie zawsze płacą za więcéj centnarów buraków, niż ich po dokładném z części obcych oczyszczeniu, do przerobu na cukier rzeczywiście się okaże. Oczyszczenie to odbywa się w fabryce po obmyciu buraków na płuczce, a ostateczna waga w téj saméj chwili, w któréj burak przechodzi do tarki lub nożów, celem zmiażdżenia i przeistoczenia go w masę, stanowiącą dopiéro właściwy materyał surowy, dalszemu działaniu odpowiednich przyrządów poddawany.

Otóż fabryki obliczają (i nie mogą obliczać inaczéj) ile kosztuje każdy centnar buraków już wychodzących z płuczki i to dopiéro obliczenie daje rzeczywistą cenę kosztu. Różnica pomiędzy tąż ceną, a ceną zapłaconą plantatorom jest zawsze dość znaczną. Wprawdzie, przy dłuższéj kampanii, trwającéj po dniu 1 stycznia, ma czasem miejsce gnicie buraków w kopcach i rzeczywiście w takich razach strata na wadze buraków zapłaconych, zwana *maneo*, bywa zwykle dotkliwszą. *Maneo* to przecież ponawia się co rok, bez wyjątku dla kampanii kończących się w grudniu i pomimo jesieni pogodnych, zimnych, w których buraki w kopcach dobrze się zachowywać dają. Zgoła, koszta na zakup buraków, są zawsze wyższe za centnar, od ceny płaconéj za centnar przez fabrykę wszystkim dostawcom [1]).

---

[1]) Strata przy oczyszczaniu buraków w fabryce Hermanów (*maneo*), uczyniła w latach 1838/67 przecięciowo po 9% rocznie. *Maneo* obliczone szczegółowo w następnych kampaniach wyniosło:

w roku 1867/8 — $7^4/_{10}$%
„ 1868/9 — $8^3/_{10}$%
„ 1869/70 — $8^4/_{10}$%

b) Wprost do płuczki może być dostawianą mała ilość buraków w czasie ich kopania, a więc tylko w pierwszych tygodniach każdéj kampanii. Odstawa więc wprost do fabryki jest wyjątkiem od reguły ogólnéj, wedle któréj buraki są odstawiane do kopców bądź w blizkości budynków fabrycznych, bądź w miejscach składu, o kilka a czasami nawet o kilkanaście wiorst od fabryki odległych. Przybywają więc znowu wydatki późniejszéj odstawy buraków do płuczki, z owych kopców i składów, które zwiększają ogólne koszta zakupu.

Maneo na burakach, w połączeniu z powyższemi wydatkami, acz ani we wszystkich fabrykach, ani we wszystkich kampaniach jednakowém nie jest, daje się jednak oznaczyć przecięciowo na 5 kopiejek od każdego centnara buraków, rzeczywiście fabrykacyi poddanego.

Uwzględniając zaś to, co dotąd w tym przedmiocie powiedziano i czyniąc porównanie między cyframi kosztu zakupu buraków w okresie ubiegłych lat 40, dochodzimy do przekonania, że fabryki cukru *płacą dziś za buraki dwa razy drożéj* niż przed rokiem 1851. Kiedy bowiem w epoce początkowania téj gałęzi przemysłu, (między 1838 i 1851 r.), koszt przerabianego 100 funtowego centnara buraków wynosił tylko $21\frac{1}{2}$ kopiejek, następnie przecież wzrastając stopniowo, przeszedł kopiejek 40, i w téj przeciętnéj dla fabryk w gubernii Warszawskiéj cyfrze, utrzymuje się stale już od lat kilku [1]).

---

w roku 1870/1 — $6^{8}/_{10}$%
„ 1871/2 — $6^{2}/_{10}$%
„ 1872/3 — $7^{7}/_{10}$%
„ 1873/4 — $6^{4}/_{10}$%
„ 1874/5 — $5^{2}/_{10}$%
„ 1875/6 — $5^{6}/_{10}$%

Żadna z fabryk w żadnéj kampanii mniejszego lub wyższego *maneo* uniknąć nie zdołała.

[1]) Koszt centnara buraków przerabianych w fabryce Hermanów, wynosił:

w latach	1838	do	1850/51	po	$21\frac{1}{2}$ kop.
„	1851/2	„	1854/5	„	$26\frac{3}{4}$ „
„	1855/6	„	1857/8	„	$34\frac{4}{5}$ „
„	1858/9	„	1859/60	„	$35\frac{3}{4}$ „
„	1860/1	„	1861/2	„	$26\frac{3}{4}$ „
„	1862/3	„	—	„	33 „
„	1863/4	„	1865/6	„	$32\frac{1}{10}$ „
„	1866/7	„	—	„	$35\frac{4}{10}$ „
„	1867/8	„	—	„	35 „
„	1868/9	„	—	„	36 „
„	1869/70	„	—	„	38 „
„	1870/1	„	—	„	34 „
„	1871/2	„	—	„	35 „
„	1872/3	„	—	„	36 „

2. *Opał* tworzy bardzo znaczną rubrykę kosztów, skoro odniesiony do centnara przerobionych buraków wynosi po 10—15 kopiejek, co wyobraża przecięciowo 12½% wszystkich kosztów fabrykacyi [1]).

W porównaniu do cen dzisiejszych, drzewo w sążniach było przed laty 30 nad wyraz taniém, fabryki przeto opalały się samém drzewem. Za podrożeniem przecież drzewa i z pobudowaniem drogi żelaznéj Warszawsko-Bydgowskiéj, musiały opał drzewem zastąpić w możliwéj części węglem, chociaż 10 korcy węgla grubego daje dopiéro tyle siły ognia, ile jeden sążeń kubiczny drzewa sosnowego.

Dawniejsze ceny drzewa w każdéj okolicy są każdemu pamiętne, dzisiejsze każdemu wiadome; przywodzić ich przeto nie ma potrzeby. Pragnąc zaś uniknąć zarzutu przesady, przyjmujemy za pewnik, nie mogący już uledz żadnemu zaprzeczeniu, iż cena materyałów opałowych zużywanych na potrzeby każdéj kampanii, *wzrosła tylko w dwójnasób, czyli o 100%*, w porównaniu z cenami tychże materyałów w epoce do roku 1850 [2]).

3. *Najmy* robotników potrzebnych przez cały czas trwania każdéj kampanii, nie podrożały w prawdzie w tak rażącym jak drzewo stosunku, zawsze jednak dzień roboczy (godzin 12) płaci się obecnie przynajmniéj *o 50% drożéj*, niż przed rokiem 1850. Podrożenie to pada także na jeden z ważniejszych czynników produkcyi fabrycznéj, skoro ogólny koszt najmu robotników i płacy rzemieślników, odnie-

---

w latach 1873/4 „ — po 35 kop.
„ 1874/5 „ — „ 36 „
w latach zaś od 1875/6 do 1877/8, przecięciowy koszt wzięty z 5-ciu fabryk wynosił kopiejek 40.

[1]) Drukowane coroczne sprawozdania akcyjnych towarzystw fabryk cukru, wykazują następujące koszta zakupu materyałów opałowych zużytych na potrzeby jednéj kampanii:

w latach	Józefów		Dobrzelin		Ostrów		Walentynów i Tomczyn	
1873/4	—	—	—	—	—	—	125589	14
1874/5	68894	39	66090	36	—	—	95719	58½
1875/6	73207	46½	93909	89	113566	88	82401	85
1876/7	77444	13½	78695	25	70212	23	76089	84
1877/8	54060	64	—	—	80102	55	59357	32

[2]) Dla dania miary drogości materyałów opałowych w okolicy Łowicza, Kutna i Krośniewic, gdzie właśnie istnieje kilkanaście fabryk, podajemy koszta tych materyałów *loco* fabryka Dobrzelin (obok stacyi *Pniewo*): sążeń kubiczny drzewa sosnowego rub. 10, korzec węgla grubego kop. 80, korzec miału węgla kop. 48.

siony do centnara przerobionych buraków wynosi 10 do 12 kopiejek, czyli przecięciowo około 11% wszystkich kosztów produkcyi [1]).

4. *Podatki.* Do roku 1849 fabrykacya cukru żadnemu nie podlegała opodatkowaniu, opłata bowiem pod nazwą *akcyzy* wprowadzoną została dopiero od włącznie kampanii z r. 1849/50 [2]). Akcyza pobieraną była od średniéj, czyli oznaczonéj przecięciowo ilości piasku cukrowego, zawartego w berkowcu buraków, oczyszczonych z koron, z korzeni i z ziemi; obliczenie zaś ile każda fabryka mogła przerobić buraków na dobę, opieraném było na zbadaniu liczby, siły i objętości przyrządów i aparatów używanych do wydobywania z buraków pierwszego surowego soku. Istniały przeto dwie normy prawne: jedna, specyalna dla każdéj z osobna fabryki, wskazująca jéj przypuszczalny dzienny przerób buraków; druga, ogólna dla wszystkich fabryk w kraju, oznaczająca procent wydajności piasku z berkowca buraków; cała zaś przewyżka tegoż piasku, wyrabianego nad powyższe normy w każdéj fabryce, nie podlegała opodatkowaniu.

Wobec bardzo umiarkowanéj wysokości podatku i jeszcze umiarkowańszych norm jego poboru [3]), rozwój przemysłu cukrowniczego nie

---

[1]) Fabryki w Królestwie dawały zatrudnienie:

w roku	1851	rzemieślnikom i robotnikom stałym	865	niestałym	2978
„	1852	„	„	„	1339	„	4210
„	1853	„	„	„	1495	„	4938
„	1854	„	„	„	1915	„	4709

(*Materyjały po diełam Carstwa Polskago. Swiedienia po finansowoj czasti. Tetrad'2.* str. 199).

[2]) Prawa i ustawy w przedmiocie podatku od fabrykacyi cukru, czytać można w *Dzienniku Praw Królestwa*:

w tomie	41	str. 406	z dnia	23 Września	1849 r.
„	48	„ 292	„	21 Listopada	1854 r.
„	51	„ 360	„	1 Grudnia	1857 r.
„	55	„ 360	„	22 Czerwca	1860 r.
„	55	„ 408	„	12 Września	1860 r.

[3]) Wedle prawa z roku 1849, akcyza pobieraną była:

	w latach	1849/51	1851/3	1853/4 i nast. do r. 1858
a) z fabryk wyrabiających rocznie więcéj nad 500 pudów białego piasku, od puda po kopiejek. .	„	30	45	60
b) z wyrabiających rocznie 500 pudów lub mniéj. . . .	„	15	30	45
c) z fabryk wznoszonych po dniu 1 stycznia 1878 roku. .	„	—	30	45

został ani utrudnionym, ani powstrzymanym; jedyna zaś ujemna strona powyższego systematu: niejednakowość a więc nierówność rozkładu tego ciężaru na fabryki cukier produkujące, pozostała stroną ujemną tylko ze stanowiska saméj teoryi, w zastosowaniu zaś nie dała się nawet uczuć, ani mogła cukrownictwu zaszkodzić [1]).

Pośpiech roboty, a więc przerabianie na dobę, większéj nad normę ilości buraków i dokładność fabrykacyi, a więc wydajność piasku z berkowca, nie mogły być i rzeczywiście we wszystkich fabrykach jednakowemi nie były. Im która z nich produkowała pośpieszniéj i wydobywała więcéj cukru z berkowca, tém miała większą przewyżkę towaru opodatkowaniu nieulegającą, czyli inaczéj, opłacany przez nią podatek, odniesiony do jednego centnara buraków, wypadał dla niéj niżéj niż w innych fabrykach. Że jednak wszystkie płaciły bardzo mało, więc te między niemi różnice żadnego prawie niémiały znaczenia. Owa nierówność rozkładu nie mogła więc wywierać na przemysł żadnego szkodliwego wpływu [2]). Nie zatrzymując przeto uwagi nad zasadą równości wobec akcyzy, czyli jednakowego rozkładu przy poborze każdego podatku, zasadą, do któréj przyjdzie nam powrócić w dalszym ciągu tego studyum; poczytujemy za obowiązek wyrazić dla ówczesnych poglądów i zamierzeń fiskalnych, całkowite uznanie, iż one pojmując ważność i pożyteczność przemysłu cukrowniczego dla ogólnéj ekonomii

obliczając ilość pudów wedle norm. Prawo z roku 1857 zniosło przywiléj dla fabryk nowo wznoszonych i podzieliło fabryki na wyrabiające i niewyrabiające 1000 pudów rocznie, utrzymując podatek 60 kop. dla pierwszych, 45 kop. dla drugich. Prawo z r. 1860 przywróciło różnicę 500 pudów.

[1]) Nawet koszta poboru akcyzy były nizkie, co także jest zaletą podatku; wedle sprawozdania komisyi rządowéj przychodów i skarbu, za rok 1851 wynosiły 4% od sumy tytułem akcyzy wpływającéj.

[2]) Od 100 funtowego centnara buraków, podpadającego pod normy podatkowe, fabryka Hermanów płaciła akcyzy:

w roku	1849/50	po 1,4	kopiejki
„	1851/2	„ 1,9	„
„	1852/3	„ 1,6	„
„	1853/4	„ 1,8	„
„	1854/5	„ 2,7	„
„	1855/6	„ 3,3	„
„	1857/8	„ 2,8	„
„	1858/9	„ 5,4	„
„	1859/60	„ 2,4	„
„	1860/1	„ 2,7	„
„	1861/2	„ 2,6	„
„	1862/3	„ 2,7	„
„	1863/4	„ 2,5	„

wysokość ciężaru znośna, chociażby nawet dotykała całą ilość buraków, podchodzącą pod normy i wyrobioną ponad normy.

Królestwa, rozwój tegoż przemysłu na pierwszym stawiały planie i nawet w tym celu zapewniały na lat dwa obniżenie akcyzy o 25% dla każdéj fabryki, któraby po dniu 1 stycznia 1848 r. nowo wzniesioną została.

Pomimo, a raczéj właśnie z powodu téj na ekonomią kraju baczności i oględności, dochód z akcyzy z 16,000 rubli w r. 1850, wzrósł był do 120,000 rubli w r. 1863 [1]; a chociaż w owéj epoce, równowaga budżetu Królestwa nie potrzebowała od przemysłu cukrowniczego większego zasilenia, byłby był przecież tenże przemysł przy dalszym swoim rozwoju, nawet bez zmiany norm i wysokości akcyzy, przynosił skarbowi sumy jeszcze poważniejsze.

Kilkakrotne po roku 1864 podwyższanie norm i saméj wysokości podatku, zwiększyło wprawdzie dochód budżetowy [2]), powstrzymało przecież rozwój przemysłu cukrowniczego, i już pociągnęło za sobą upadek znacznéj liczby fabryk, już bowiem zbyt dotkliwie obciąża rachunek kosztów produkcyi cukru w każdéj fabryce [3]). Gdy zaś wszyst-

---

[1]) Skarb Królestwa miał dochodu z akcyzy od cukru:

w roku	1850	rub. 16,816	kop.	29
„	1851	„ 17,273	„	71½
„	1852	„ 54,767	„	9½
„	1853	„ 48,054	„	—
„	1854	„ 72,159	„	24
„	1855	„ 60,779	„	59½
„	1856	„ 42,109	„	55
„	1857	„ 73,393	„	18
„	1858	„ 112,797	„	95½
„	1859	„ 182,468	„	5½
„	1860	„ 172,754	„	95
„	1861	„ 175,427	„	74
„	1862	„ 108,101	„	16½

W budżeta zaś na rok 1863 i 1864 wstawiano z tego tytułu sumę po 120,000 rub. (cytowano już: *Materjały po dziełam Carstwa Polsk.*, w téjże części i zeszycie, str. 196).

[2]) Podług wiadomości podanéj przez *Gazetę Polską, loco citato*, produkcya cukru ulegającego opodatkowaniu w r. 1873/4, wyniosła w Królestwie milion pudów; przyjmując tę cyfrę za przecięciową, akcyza wynosiłaby rub. 800,000 rocznie. Przewyżka cukru opodatkowaniu nieulegająca nie może być ściśle podaną.

[3]) Fabryka Hermanów płaciła akcyzy wedle norm, od sto funtowego centnara buraków:

w roku	1864/5	po kop.		2,4
„	1865/6	„		2,5
„	1866/7	„		2,7
„	1867/8	„		6,1
„	1868/9	„		7,5

ko zapowiada, iż dotychczasowe normy będą co lat kilka jeszcze podwyższanemi, jest więc ten przemysł zagrożonym w samych swych podstawach. Rachunek bowiem wykazuje, iż gdyby akcyza nawet w dzisiejszéj swéj wysokości pobieraną była od całéj produkcyi cukru, czyli inaczéj, gdyby przewyżka ilości buraków wyrabianych w ciągu kampanii i przewyżka wydajności cukru z berkowca, nie były jak obecnie od podatku wolnemi, że w takim razie nie mogłaby się ostać żadna fabryka w Królestwie, albo ceny cukru musiałyby znaczne i stałe otrzymać podwyższenie.

Zawisły więc czarne chmury nad przyszłością téj gałęzi przemysłu, i ta właśnie uwaga wywołuje potrzebę poddać tę podatkowość bardziéj szczegółowym studyom, na które następne przeznaczamy rozdziały.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

---

w roku	1869/70	po kop.	7,5
„	1870/1	„	10,5
„	1871/2	„	10,5
„	1872/3	„	13,1
„	1873/4	„	13,1
„	1874/5	„	13,1
„	1875/6	„	15

CNOTA I WYSTĘPEK.

RZECZ O ROZWOJU DZIEJOWYM WYOBRAŻEŃ O CNOCIE *).

PRZEZ

Wojciecha hr. Dzieduszyckiego.

IV.

Azya Wielka.

Dokoła Indyi piętrzy się od północy amfiteatralnie Azya wyższa, Wielka czy Środkowa, wyniosły, niebotyczny dach świata, siedziba mityczna Indyjskich bogów, a naprawdę kraj dziejowo od Indyi zawisły; Wielka Azya owa rozpada się na trzy światy odrębne zupełnie, choć wszystkie trzy niegdyś wiarę albo mowę z Indyi wzięły. U wschodu skrajnego płyną ogromne rzeki wśród kolosalnych stoków największego w świecie płaskowzgórza, ku oceanowi Spokojnemu, i tworzą urodzajny kraj środka, niezmierne, rojne, przeludnione Chiny, których satelitą, niby kraj wschodzącego słońca, Japonia, wonny rój wysp wśród wielkiego oceanu. Pośrodku wznosi się ku niebu ogromnemi piętrami step wielki, co w Tybecie zwisł wyżéj grzbietu Alp, step poprzekrawany pasmami Himalai i gór Nan-Czyan-Nan-Lu, pustka niezmierzona, smętna, lodowata, zaludniona przez nieliczne a napoły dzikie pokolenia. U zachodu podobne, ale przecie mniéj ogromne stepy i płaskowzgórza tworzą Iran i Turan bohatérskiéj pieśni Persów, most co łączy wielką, niedostępną macierz narodów z ruchawszemi krajami nad Śródziemném morzem.

I dziś jeszcze z tamtéj strony mostu owego mieszka największy odłam rodzaju ludzkiego, i gdyby przybysz z innego planety zmierzył okiem wszystkie lądy i morza, i policzył ludzi co na nich mieszkają, orzekłby pewno, że nie kłótliwa, zmienna Europa—jeno nieruchome Chiny w ogromie swym, najważniejszą częścią ziemi. I choć narodzeni i wychowani w nadatlantyckiém Chrześciaństwie, uczyniliśmy z jednego półwyspia Azyi, Europy, pierwszą część świata, i choć dziejami powszechnemi, zwykliśmy przezywać dzieje ludów zamieszkałych dokoła Śródziemnego i Baltyckiego morza, i choćeśmy przywykli siebie tylko podziwiać, i prawić o sobie tak głośno, że wśród samochwalczego krzyku o innych zapominamy; bierze nas czasem dziwne mrowie na wspomnie-

(* Dalszy ciąg—patrz zeszyt za czerwiec r. b.

nie owéj wielkiéj Azyi. Ztamtąd wyszli niegdyś Hunowie i Turcy, tam się narodził Dżendzis Chan, największy w dziejach zdobywca, a choć przed niewieloma laty kilka tysięcy Anglików i Francuzów szczęśliwie najechało wielkie Chin mrowisko, nieśmieli jakoś zwycięzcy osiąść w głębi tajemniczego kraju, a oglądają się dziś niespokojnie, czy żółte ludzkie mrówki, przez nich niebacznie wypłoszone, nie zakryją pracowitym ludkiem krajów, w których człowiek biały myśli, że na wieki zapanował.

Więc zważywszy, że Chińczyków jest podobno aż czterysta milionów, i że naród ten żyje życiem narodów uobyczajnionych od trzech tysięcy lat, należałoby się może Chinom poświęcić większą połowę niniejszéj pracy. Czy tak? Chińczyk takby sobie niezawodnie postąpił, i co więcéj, gdyby chciał napisać rzecz o rozmaitych naukach moralnych rozmaitych ludzi, zbyłby Europę krótką wzmianką o Chrześciaństwie. A my znów zmuszeni jesteśmy kilka kartek tylko poświęcić Chinom.

Nam się wydaje, że ogromne to państwo o długowiecznych dziejach wydało mniéj rozmaite pojęcia o cnocie, jak maluczka Grecya w przeciągu kilku wieków. Nam się wydaje, że mamy więcéj do powiedzenia o kilku ostatnich dziesiątkach lat w Europie, jak o trzydziestu wiekach w państwie Środka, i jak nie umiemy odróżnić twarzy dwu Chińczyków, tak nie umiemy dojrzeć różnicy między moralną fizyognomią dwu chińskich pokoleń. Nam się wydaje, że począwszy od czasów Chrystusa, Chiny stoją nieruchome jak niegdyś pierwotne mrowiska ludzkie, i że dziejopis cnoty i występku nie może ani słowa dopowiedzieć o dalszych dziejach Kitaju. Może się mylimy, może tylko z daleka tak się wydają Chiny; ale z daleka tylko na Chiny patrzéć możemy, i nie ze wszystkiem to wina pisarza, gdy daleko więcéj napisze o maluczkiéj ziemi na któréj mieszka, jak o niezmiernéj bryle Jowisza, zawieszonéj gdzieś wśród otchłannéj przestrzeni.

Na początku dziejów chińskich wychyla się z pomroki obraz mglisty i niewyraźny ludzkiego mrowiska, rządzonego podobno przez niewiasty i nieświadomego wojennych zapasów, podobnego do tych, jakie istniały współcześnie w zachodniéj i południowéj Azyi. Potém dolatuje nas słuch o najeździe i podboju przez dzisiejszych mieszkańców Środka, przybyłych gdzieś ze stepów i pustyń, i widzimy jak mnogie państwa powstają w ogromnym kraju, jak królowie z królami walczą, i jak godność cesarza pana Chin całych jest póty legendą, póki szczęśliwi królowie Nan-Kinu nie podbiją całego kraju i nie założą wielkiego państwa, co za dni Klaudyusza cesarza rzymskiego dotarło aż do morza Kaspijskiego, i o mało że się nie starło z Romą wszechpotężną na Zachodzie. Słyszymy tudzież, że współczesny z Tyberyuszem Szi-Hoang-Ti cesarz Kitaju kazał spalić wszystkie księgi w państwie swojém, na to, by nie było pomników po dawniejszych władzcach, i na to, by się dzieje całe zaczynały od jego panowania, i że po śmierci tyrana dawne księgi święte spisano napowrót, posługując się pamięcią starca świętobliwego. I ta ostatnia wiadomość czyni wątpliwemi wszystkie dawniej-

sze opowiadania o tém co się w starożytnych Chinach działo. Na pewno tedy niewiele powiedzieć można o początkach narodu, o pierwotnych jego urządzeniach i o rzeczywistym żywocie obydwu prawodawców chińskiego obyczaju Kon-fu-ce'go i Lao-ce'go, czyli Konfucyusza i Laocyusza, wedle zwyczajnego polskiego brzmienia ich nazwisk.

Zdaje się jednak, że pierwotni Chińczycy wiedli patryarchalne i przeważnie rolnicze życie pod berłem mnogich królów, że podobnie jak inne pierwotne ludy czcili rój cały mniejszych i większych, a przeważnie lokalnych bóstw: zamieszkujących rzeki, lasy i góry, i że nieśli także ofiary cieniom ojców, w których zagrobowe życie wierzyli, i że władzę sądową, hetmańską i kapłańską łączyli w ręku królów, otoczonych przez gromadę starców i możnych, znających dokładnie stare podania i starodawny obyczaj. Choć nie dźwignęli kolosalnych gmachów i nie stworzyli prawdziwéj sztuki; posiedli zawczasu rozmaite wygody życia, i spędzali dnie swoje w wygodzie i pokoju, pośród drewnianych domków, wonnych pól i cienistych z wielką sztuką założonych ogrodów; wyrabiali jedwabne materye i przeróżne cacka z kości słoniowéj i porcelany, i doszli do ogłady i ładu, z któremiby chyba ogładę wieku Augustów i ład rzymski porównać można.

Społeczeństwo to niezagrzane nigdy ani epiczną poezyą Aryjczyków, ani gorącą wiarą synów Sema, było zawczasu nadto sceptycznem, by módz własnych wydać proroków, i żyło w zbyt wielkiém odosobnieniu, by uledz religijnéj gorączce. To téż wielki założyciel chińskiéj wiary, (jeśli jego naukę wiarą nazwać można), Konfucyusz był raczéj trzeźwym uczonym, niż natchnionym mężem i przepędził życie uczciwe zapewne, ale pospolite i spokojne, pozbawione poświęceń, a podobne do życia niemieckiego radzcy dworu albo profesora. Szpérał, badał, spisywał stare pieśni, podania i obyczaje, siedział na łaskawym chlebie u jakiegoś księcia na dworze, żył nad miarę regularnie, lubił się bawić w piłkę i odznaczał się tylko niezrównanym ogromem wiedzy, obejmującéj wiadomości religijne, polityczne i etyczne. Mało co wypowiedział nowego, ale ukodyfikował na wiek wieków starodawny ojczysty obyczaj i podał do rąk najpóźniejszéj potomności niezmienne przepisy, do których mieli się odtąd zastosowywać Chińczycy. To téż i po dziś dzień Chińczycy oddają cieniom rozsądnego i uczonego człowieka cześć, jaką winni mężowi zasłużonemu, a nie prorokowi natchnionemu duchem bożym.

Gdy Konfucyusz spisywał swoje zakony, myślał o tém, jakby społeczeństwu chińskiemu pokój zapewnić; świadom tego, że wojna musi wybuchnąć, skoro samolubstwo każdemu człowiekowi wrodzone, wedrze się w granice obcego samolubstwa, wypisał na czele swéj nauki zdanie, że powinno się zawsze względem drugiego tak zachowywać, jakby sobie życzono, by się drudzy zachowywali względem nas. A byłato formuła roztropności i przepis etykiety i grzeczności, do którego dodawano przestrogę, by przecie nie obchodzić się z każdym jednakowo. Gdy spotkamy cesarza, mamy się zachować inaczéj, inaczéj w obliczu żebra-

ka i byłoby śmiészném postępować jednakowo z kobiétą i wojownikiem, ze starcem i dzieckiem, skoro każdemu z nich co innego się należy i co innego dogodzi. Słowem, nauka ta nakazuje czynić drugiemu to, co się należy czynić człowiekowi będącemu w jego położeniu, to coby powinno cieszyć każdego cnotliwego męża, znajdującego się w dotyczącém położeniu. Wielce roztropna to, polityczna i rozważnie samolubna nauka, zupełnie różna duchem od naczelnego rozkazu chrześciańskiéj wiary: „Kochaj Boga nadewszystko, a bliźniego twego jak siebie samego!" Chińskie przykazanie napomina tylko, by sobie nikt nie robił nieprzyjaciół w interesie własnego i społecznego spokoju i nakłada w dalszym ciągu na społeczeństwo, a mianowicie na księcia obowiązek przestrzegania tego, by każdy się stosował do potrzeb drugich.

Obowiązkiem tedy księcia jest utrzymywać spokój w państwie i broniąc spokojnych i pracowitych, zuchwałych i zaczepnych karać. Na to, by módz to uczynić, powinien miéć skarb i wojsko i nieograniczoną władzę. A że tak wyniosłe stanowisko powinno z rąk do rąk przechodzić bez wojen domowych, przeto urząd książęcy jest dziedzicznym i cesarz chiński jest synem niebios władnącym ziemią i niejako w boskiéj uczestniczy naturze. Nikt kraju wojną domową nie zakłóci, bo nikt nie zamarzy o tém, by zasiadł na tronie, nie urodziwszy się na stopniach tronu, a osoba cesarska, otoczona licznym dworem i nie dla każdego dostępna, wyda się ogółowi jakąś niewidomą i nadludzką potęgą, władnącą wszechpotężnie za troistym murem wśród pałacu pełnego bajecznych skarbów i mir będzie i posłuch w Kitaju.

Ale jeśli sam cesarz musi być dziedzicznym, należy się, by wszyscy jego doradzcy byli mądrymi i by się każdy urząd dostał w ręce najgodniejszego. Niéma przeto w Chinach szlachty, niéma żadnych kast, a popis jedyną drogą, po któréj można dojść do władzy i znaczenia. Komisye egzaminacyjne zastąpiły w Kitaju miejsce naszych ciał wyborczych i kto chce być choćby najmniejszym urzędnikiem, ten musi się uczyć lat kilka i potém zdać egzamin; a w tém się różni piramida wszechmocnéj chińskiéj biurokracyi od podobnych maszyn rządowych w Europie, że trzeba zdać egzamin i na to, by o krok postąpić w urzędniczéj hierarchii. I nowego jeszcze popisu i nowych nauk potrzeba, by zasiąść w radzie cesarskiéj, albo by zostać namiestnikiem prowincyi wielkiéj, i ludnéj jak pierwszorzędne mocarstwo europejskie.

Takto chciano Chinom zapewnić nieodmiennie dobre rządy, tylko coraz wyższéj nauce oddając coraz wyższą władzę. A na to, by władza ta szanowaną była, otoczono ją moralną strażą drobnostkowéj i dla nas częstokroć śmiesznéj etykiety i postrachem kar niesłychanie srogich. Litości nie znał chiński prawodawca i kazał na kawałki siekać przestępców, a podejrzanych nawet tylko, zamykał do stęchłych klatek, w których po kilkadziesiąt osób płci obojga, dusiło się w małéj przestrzeni, niewychodząc nigdy na krok z ohydnéj kaźni i żywiąc się tylko rzuconą pogardliwie jałmużną, którą widok ludzkiéj męki wydarł mimowolnéj, a wrodzonéj wszystkim litości.

Przepisem prawa było i jest wszystko, co materyalny porządek społeczeństwa utrzymać może. Dzieci winny słuchać rodziców, żony mężów, młodsi starszych, prostacy uczonych; powinni czcić ich i okazywać im długiemi przymowami swoję czołobitność. A starsi i przełożeni winni nawzajem dbać o dobro podwładnych i okazywać całém zachowaniem swojém powagę i łaskawość. Zabójstwa, rabunki i kradzieże są oczywiście zbrodniami w najwyższym stopniu karygodnemi, a gdy kupiec jaki nie jest w stanie kontraktu dotrzymać, winien bez względu na tłómaczące go okoliczności, odebrać sobie życie na to, by ujść najsroższéj kary. Każdy Chińczyk winien mieszkać w domu o przepisanym kształcie i rozkładzie, ubierać się, kłaniać i przemawiać w przepisany sposób, czcić pamięć umarłych i jeśli chce miéć jakiekolwiek zachowanie, stosować się do najściślejszéj i formalistycznéj rutyny, śmiejąc się z zabobonów motłochu i barbarzyńców, nawet wtedy, gdy papierowe łodzie pali duchom ojców, w których istnienie nie wierzy. Taką to naukę ogłosił Konfucyusz i taki to suchy ład utrzymuje czterysta milionów ludzi i dziś w karbach i zapewnia największego państwa trwanie nieprzerwane. Więc tych przepisów i ładu tego niewolno nam sobie lekceważyć i owszem z podziwem i poszanowaniem powinniśmy patrzéć na wieczny i dotąd niezachwiany ogrom Kitaju. Niemniéj przeto wolno powiedzieć, że sławna nauka Konfucyusza ani religią, ani nawet filozofią na prawdę nie jest, że nikomu nie przynosi prawdziwéj pociechy, że klasę uczonych i urzędników mota w sieć formułek, co wyższą tęsknotę zagłuszy, ale niezadowolni i że milionom mnogim nieuczonego ludu nic nie przynosi, prócz materyalnego pokoju.

Uczeni mogli sobie wytłómaczyć, że ład czyli niebo i ładem ujęta materya czyli ziemia, to świata władzcy i że opanowanie bogactwa—rozumem, religią naprawdę. Dla nędzarzy, dla prostaków, dla narodu wielogłowego i w Chinach potrzeba religii. Prostak nie umié rozumem dociekać dalekich skutków każdego uczynku i nieużywszy szczęścia w tém życiu, pragnie lepszéj doli za grobem i rad gdy uwierzy, że duchy jakieś elementarne i pośmiertne mary, kierują wydarzeń zmienną koleją. Wierzy tedy i dziś Chińczyk prosty, że dusza umarłego wychodzić zwykła z ciała po śmierci, napoły upiorem, strachem i bóstwem napoły i że w dzień spoczywając wraz z ciałem w trumnie, wychodzi po nocy i chodzi po polach Kitaju, ciesząc się ojczystych stron tchnieniem, domagając się jadła i napoju, pomagając pomocnym, a obojętnym szkodząc. I w téj wierze za nic w świecie nie dopuści, by jego ciało na obcéj spoczęło ziemi; umarłych nie grzebie, jeno stosy trumien na polu, na wolném powietrzu układa, przykrywając je co najwięcéj cieniutką warstwą ziemi, by upiór mógł łatwo po nocy wyjść ze swego mieszkania; i kładzie w dnie oznaczone jadło i napój przed drzwiami chaty, umarłym na pożywienie.

Zresztą prostak pracuje skrzętnie, jé mało, kłania się nizko mandarynowi i o ład dba tyle, o ile chce uniknąć kary. Zresztą w nędzy swéj szuka zarobku, gdzie go znaleźć może; ukradnie, gdy da się

ukraść; zabije, gdy to się na co przyda, a wreszcie da się dla zysku ukarać w zastępstwie, bogacza, gdy go do tego ostatnia przynagli nędza. W ciągłéj nędzy i w ciągłym trudzie boi się mniéj śmierci niż męki, tusząc że przecie, skoro się ciało całkiem rozpadnie, doczeka się lepszego losu, choćby tylko zatopiony w przyrody wszechładzie, a gdy ma dzieci nadto wiele, rzuca nowonarodzone zwierzętom na pastwę; gdy nadto głodny, idzie na miejsce stracenia i pożera wraz z rodziną trupieszejące ciała umęczonych zbrodniarzy, a zawsze wśród niewysłowionéj nędzy szuka pociechy i ogłupienia w opium, skoro Konfucyusz jemu nie przyniósł pociechy żadnéj.

Tamten, współzawodnik Konfucyusza, Laocyusz do ludu się obrócił i trafił mu do serca; on pierwszy w system ułożył zabobony ludowe w księdze *Tao-ce-king* i on chyba może uchodzić za założyciela oryginalnie chińskiéj religii. Ale dziwnie suchą i ta religia i jeśli jaką niesie pociechę, jestto pociecha obliczona na zadowolnienie najniższych umysłowych potrzeb.

Że świat cały w dziwny ład i lik ujęty i że w nim jest jakaś tajemniczo wewnętrzna łączność, temu nikt nie zaprzeczy i to głosi Laocyusz narodowi swemu. A ład ten wszechświata ma na imię *Tao*. Po śmierci szczęściem to będzie, gdy się kto z tym ładem zleje i cierpiéć przestanie. Za życia—nieszczęścia i choroby uniknie, kto ładu tego prawa zbada, zastosuje się do nich i nad niemi zapanuje, a wynikałoby z tego, jak się zdaje to, że drogą do szczęścia i cnotą jedyną zmudna i długa nauka.

Ale Laocyusz był prorokiem ubogich i chodziło mu o to właśnie, by wyzwolić zpod obowiązku nieustannych popisów tych, którym na te popisy czasu starczyć nie mogło. Więc zamiast nakazać badanie i pchnąć do nauki przyrody i ducha, w przeciwieństwie do uczenia się na pamięć suchych i zimnych formułek Konfucyusza, pokusił się niecierpliwy Laocyusz o to, by dać nędzarzom herbacianego, jedwabnego Kitaju gotowe zaklęcie, za pomocą którego można było władnąć światem i kierować wydarzeniami. Wrodzona człowiekowi niewyraźna świadomość tego, że jest w duchu jego i umyśle moc pokrewna téj, co świat z siebie wydała i moc, co światem i rzeczami pokieruje, zrodziła naukę, modlitwę i czary. Na naukę niémiał Laocyusz czasu, niémiał Boga, do któregoby się modlił i musiał się przeto uciec do czarów. Z kilku prawd i sztuczek kilku skleił magiczną naukę i podał ją uczniom swoim, włóczęgom i szalbierzom na to, by zachowując ją w tajemnicy, chodzili po Chinach, prowadząc z sobą przyswojone tygrysy i za pieniądze rzucali i odwracali uroki. Takto powstał rodzaj mnichów żebraków, bez natchnienia, miłości i wiary; takto powstało najnędzniejsze na świecie kapłaństwo, którém Chińczyk zamożniejszy gardzi, a do którego przecie czasem się ucieka, pociągnięty przykładem lękliwych tłumów, podobnie jak i Europejczyk oświecony, czasem uwierzy w zabobony. Prawo Konfucyusza nie ujrzało w włóczędze owéj niebezpieczeństwa dla siebie, przejrzało martwotę i jałowość czarodziej-

skiéj nauki i dozwoliło kuglarzom chodzić po Chinach i zarabiać na łatwowierności synów Środka. I napewno nie zagroziła żadnym dziejowym przewrotem nauka Laocyuszowa.

I czyż nie było zapisaném w księgach przeznaczenia, że litościwa nauka Buddy podbije i przemieni Chiny i popchnie największy w ludzkości naród do nowych przeznaczeń? Czy wygnana z Indyi przez dawną Braminów potęgę, niémiała tu w jałowych Chinach dać próby swojéj żywotności i rozpocząć nowéj epoki dziejów, w któréj miliony oderwane od czczéj troski o chléb powszedni i doczesne życie, miały podążyć do wiekuistego pokoju i niewątpliwego zbawienia?

Tak jest. Budaizm wdarł się do Chin w pierwszych wiekach po Chrystusie i wielu się wydaje, że w Chinach zapanował. Czy tak było w istocie, wnet zobaczymy.

Gdy misyonarze Budaistyczni weszli do Chin, przekonały się rychło władze, że to wróg dla ładu państwa nie niebezpieczny, że on Chin nie odmieni i że przenigdy naród cały nie obierze śmierci i nicości, by ujść życia. Nie prześladowano tedy, nie zabroniono nigdy w Chinach Buddaizmu. Ale w Chinach nieznano wiary w tysiączne, a wiecznie bolesne pośmiertne żywoty, nieznano nieruchomego ucisku kast, ćmiącego nieba Indyi i poetycznéj Aryów rozpaczy. Gdy Chińczyk był znużony wierzył, że rychły znajdzie spokój w opium albo w grobie i Nirwana nie dawała nowéj pociechy. Więc Buddaizm wydał się Chińczykom tkanką powieści fantastycznych i przyjął się tylko jako system magii, współzawodniczący z nauką Laocyusza. Jako system magii otrzymał nawet urzędową ochronę.

Są tedy w Chinach liczne klasztory ustanowione na to, by za pomocą niezrozumianéj nauki Buddy, czyli jak go z chińska przezwano Fo, odwracać uroki od ludzi, miast i prowincyi. A że na to, aby być użytecznym guślarzem, trzeba być ubogim, bezżennym i o ile możności bezmyślnym, więc Bonzowie, czyli kapłani Fo, żyją w jaknajwiększéj pogardzie i nikt dobrowolnie do klasztoru nie wstępuje. Najczęściéj zbiera się po drogach mnogich chińskich podrzutków na to, by wiedli ciężkie, ale dla ogółu potrzebne życie kapłanów wiary, w któréj niémasz Boga; ale prócz tego jeszcze i zbrodniarze, ścigani przez sprawiedliwość, znajdują schronienie w bonzeryach.

Gdy dziecko w domu podrzutków podrośnie, goli mu się głowę i kładzie się na nią trzy zapalone pastylki, które wypalając się, zostawiają nad czołem trzy rany, znaki święcenia niezatarte. Odtąd przybiera nieszczęśliwy na wieki szatę żółtą, znak poniżenia, ubóstwa i dożywotniéj niewoli. Do śmierci będzie już słuchał rozkazów przełożonego, nie będzie miał własności żadnéj, nie pozna rodziny ani swobody, nie będzie nic jadł prócz ryżu i korzeni, podanych na sucho; będzie milczał przez większą część dnia, będzie czas swój spędzał w półcieniu, a na starość pójdzie w miejsce blizkie cmentarza, oczekiwać wyzwalającéj śmierci. Pociechą dla niego chyba tylko pozbycie się myśli i uczucia, zupełne, bezmyślne ogłupienie. Dobrze mu będzie chyba wtedy, gdy zasiędzie w ciemnym kącie, z twarzą obróconą do ściany i gdy bę-

dzie patrzał na koniec nosa własnego, powtarzając bezustannie słowo *om*, to jest nieskończoność. A użytecznym staje się bonz, gdy go przywołają do chorego albo zagrożonego nieszczęściem, by przy nim odprawiał gusła, albo gdy za pokutę siedzi na miejscu publicznem, przywiązany do beczki nabitéj gwoździami. W miarę jak mu rzucą jałmużnę, gwóźdź z beczki wydobędzie i męką okropną odwraca nieszczęście od okolicy. Za nic go mają Chińczycy; zazwyczaj żyją obojętnie, bez wiary wszelkiéj podług starodawnego zwyczaju, a gdy są w kłopocie, próbują czy im lepiéj pomoże guślarz Laocyuszowy, czy bonz Buddaistyczny. I powiedzcież teraz sami, czy Buddaizm naprawdę zapanował w Chinach? Czy jest prawdziwym współzawodnikiem Chrześciaństwa? I czy w czém pchnął naprzód dzieje Azyi i ludzkości?

Z Chin promieniał daléj Buddaizm; na północ i wschód posunął się do Korei i Japonii, a po części nawet do Mandżuryi i Syberyi; na zachód zaszedł między mnogie koczownicze ludy, rozrzucone po bezmiernéj przestrzeni od muru chińskiego po Wołgę i stał się tam wszędzie raczéj brakiem religii jak religią, a jedynie w Tybecie urzeczywistnił swój ponury ideał powszechnego zaparcia się siebie i świata.

Gdyby nowa wiara była zaszła między wyspy wschodzącego słońca wprost z Indyi, byłaby może w Japonii wielkiém życiem ożyła i byłaby może wydała dodatniejsze i wyrazistsze owoce. Naród japoński bowiem, którego cywilizacya rozpoczęła się dopiéro u brzasku średnich wieków, posiadł wojenny animusz i wewnętrzną swobodę i bohatérskie ojczyste legendy i wojowniczy honor, wcale różne od chińskiéj martwoty, i gdyby Japonia była leżała na wybrzeżach Europy, byłaby się zawczasu stała potężnym i oświeconym narodem chrześciańskim. Tam wśród morza Spokojnego otrzymała całą cywilizacyą swoję od Chin i od Chin przejęła martwe już nasienie.

To téż tylko usposobienie narodu i honor feudalny rycerstwa, odróżniają Japonią od Kitaju, pod względem moralnym i czynią tu milszym dla nas Europejczyków pobyt. Zresztą do niedawna wiara obydwu narodów była we wszystkiém jednakową; Buddaizm i w Japonii był do tego stopnia martwą literą, że zgasł bez walki, skoro rząd kazał pozamykać wszystkie klasztory. Tylko ludność mniéj gęsta żyje swobodnie, bezmyślnie, rozpustnie i wesoło i tylko feudalny rycerz japoński, Samuraj w dwa miecze uzbrojony, tak wysoko niesie cześć swoją, że gdy mu kto czołem nie uderzy jak się należy, zabija wroga i potém siebie, przekonany, że taką hańbę tylko we własnéj krwi umyć zdoła. Zresztą Japonia tylko naśladowała Chiny niegdyś, tak jak dziś naśladuje ślepo liberalną Europę.

Tybet jeden, przyjąwszy wprost z Indyi objawienie nicości, przejął się gorętszą wiarą i zamienił się w jeden wielki klasztor, ponad którym góruje jeden przeor nad przeory, Dalej Lama. Zwłaszcza tyle kobiét oddaje się życiu klasztornemu, że tu jak w starożytnéj Arabii jedna niewiasta bywa wspólną żoną, a przeto i panią kilku braci; a powiadają, że zwyczaj ten wielką grzeczność wyrobił u ludu. Zresztą

skoro mieszkańcy Tybetu prawdziwą wiarę dusz swoich z Buddaizmu zrobili, zażądali żywego Boga. A skoro go nie było w niebie, ustanowili go na ziemi. Arcy-mnich Tybetu, niedostępny Dalej Lama, wcieleniem Buddy i skoro jeden umrze zanudzony samotném wyniesieniem, szukają kapłani następcy wśród dzieci zrodzonych w dzień jego śmierci i poznają go z serdeczném drżeniem po znakach i cudach, czyniąc dla ludu bóstwo, co sobą samém zdziwione, samo w siebie najczęściéj wierzyć nie może.

Takiemito były losy Buddaizmu, skoro wyszedł z półwyspu indyjskiego i tak się przemieniło w płytką stojącą wodę, morze aryjskiéj rozpaczy, gdy zaszło między żółte ludy Turanu.

I oto widzieliśmy już po kolei synów Chama, Sema i Jafeta, wszystkie trzy wielkie konary owéj wschodniéj a starożytnéj ludzkości, co nas i nasze dzieje naprawdę obchodzi i rzuciliśmy nawet okiem na obcych zewszystkiém Turańczyków. Widzieliśmy w Azyi trzy cnoty różne. U synów Chama i w Chinach troska o chléb i ciało było cnotą, g'woli któréj tłumiono duchowne popędy; u synów Sema poświęcono bogactwo pragnieniom duszy żądnéj samotności, boju i poezyi; u synów Jafeta zależała wreszcie cnota na tém, by się wyprzéć wszystkiego, co własne tak z ciała jak i z ducha. Cnoty te różne osięgały cele: Chamitów nagrodą dobrobyt obecny, obecnego pokolenia; u Izraelitów trwało przekonanie, że Bóg dba o tych, którzy pogardzili doczesną troską i nietyle ich samych uszczęśliwia, ile gotuje dla nich życie wieczne i błogie w mnogiém potomstwie, powołaném kiedyś do panowania powszechnego; Arejczyk spodziewał się w nagrodę za cnoty oswobodzenia od wszelkiego cierpienia, zatraty osobistości i złączenia z nieosobistém bóstwem. Niémamy teraz przed sobą nowego plemienia i musimy zostać przy synach Jafeta, gdy wyjdziemy na wyżynę Iranu, ale dostrzeżemy nowy rodzaj cnoty i nowy jéj cel osobisty, czyli nową nagrodę. Cnotą Persów i Medów walka powszechna ze wszystkiém, co sprośne i szkodliwe na ziemi; nagroda ich wieloraka; sama walka daje często dobrobyt, a aby mogła się toczyć, wymaga panowania nad innemi ludami; ale główną każdego nagrodą: osobiste, wiekuiste życie w raju aż do chwili przynajmniéj, gdy nastanie wieczność, które to słowo niebawem zrozumiemy.

Oto wymieniliśmy z góry różnice między cnotą perską a cnotą innych narodów starożytnego Wschodu. Gdyśmy to uczynili, należy się także i tu już oznaczyć to co wspólne Irańczykom i ich sąsiadom, co wszystkie ludy owoczesnego Wschodu jednakowo cechuje, a takich rzeczy jest kilka. Oto najpierw żaden człowiek Wschodni nie działa na własną rękę, dla własnego tylko dobra: celem każdego służba rzeczy powszechnéj, ogólnéj, w obec któréj on jest niczem. Choć nadgroda osobista czeka cnotę, jéj źródłem, jéj powodem jest coś położonego poza osobą i powyżéj osoby. To coś jest gromadą, jest mrowiskiem ludzkiém u synów Chama i w Chinach; to coś jest Wszechmogącym jedynie, naprawdę Istniejącym Bogiem u Semitów. To coś wreszcie

jest w Indyach powszechną istotą nie-istotą, bogiem owym nieuchwytnym, co nieruchomą jest jednością wśród jawu mieniącego się wiecznie; taką samą potęgą, w obec któréj niknie człowiek i jego cel, jest w Iranie Ormudz.

Powtóre, widzieliśmy u wszystkich ludów Wschodu, że ludzkość dzielono na osobne rodzaje, i to najczęściéj na różne kasty, którym różną przypisywano cnotę; a jeśli tego w całéj rozciągłości nieczyniono, jeśli nieprzezywano występkiem dla jednych tego, co dla drugich było cnotą, odsądzono już zawsze od cnoty wszelkiéj większą część ludzi, twierdząc, że jest przystępną tylko dla swego narodu, albo dla małéj garstki wybranych. Najmniéj wyłącznym był Buddaizm, choć i on tylko małą garstkę do zbawienia wzywał, a lubo Mazdeizm religia Irańczyków, podobnie jak Buddaizm wierzył w możność cnoty u wszystkich narodów, nieróżnił się do tyla od innych nauk Wschodu, by nie dzielił wybranego nawet narodu na różne kasty o najróżniejszym obowiązku.

Wreszcie widzieliśmy, że wszędzie na Wschodzie istniał obyczaj święty, którego w niczém naruszyć, w niczém zmieniać niebyło wolno; i tu ujrzyjmy, że Iran został wiernym nieruchomości Wschodniéj. Podobnie jak Izrael tak i Iran wierzył w przyszłe ziszczenie obietnic danych w zakonie, i pracował prócz tego nad rozszerzeniem swego zakonu, ale sam zakonu w niczem nie zmieniał.

Powiedzieliśmy to, by ująć w jednę całość treść niniejszéj księgi a teraz możemy już bezpiecznie przystąpić do rzeczy i zaniechać dalszych wstępów. Otóż wszyscy wiedzą gdzie leży ów Iran, gdzie się może niebawem zmierzą największe mocarstwa lądowe z największą potęgą morską, a choć kto może sobie wyobraża że to jest letni raj ziemski, i nie wié otém że tylko w dolinach ciepło, a w większéj części kraju srogie jak u nas zimy i zawalne śniegi, i choć może kto nie wié że wody w Iranie mało, że tylko dokoła wyżyny, okolice zamieszkałe tworzą wązki i to przerywany pierścień, a po środku najpustszy, zimmny niepiękny step solny, nie nam o tém wszystkiém prawić. Chyba tyle tylko się należało o tém wspomnieć, ile jest niezbędném by zrozumiano pojęcia mieszkańców smutnego pustkowia; widzieliśmy jako kraj wpłynął na myśli każdego narodu o którymeśmy mówili. Ujrzymy co uczuli i pomyśleli zawczasu owi synowie Jafeta, co na to by żyć, musieli z trudem uprawiać górskie doliny, co dobytek swój musieli coroku starannie ochraniać przed srogą zimą, a pole swoje i ogrody latem użyźniać, sprowadzając z daleka wodę wśród skwarów lata posusznego. Ciężką była ich dola, a choć przyroda co ich otaczała była wspaniałą w jałowych gór majestacie, niewiele ma uśmiechów dla ludzi; co piękne, czyto kwiat, czy dolina, to nad wyraz piękne; a gdzie wicher stepowy nie doleci, a źródeł górskich podostatek, tam jakby ogród boską zasadzony ręką, ale tego co piękne i dobre szukać musi człowiek, a znalazłszy nawet sadybę dla siebie, musi potém o nią bój toczyć z koczowniczemi plemionami pustyni i ze zwierzętami drapieżnemi, i la-

tem z niezliczonym rojem owadów wylęgłych przy każdém źródle, a złośliwych jakby duchy piekielne, o których wiele prawi wyobraźnia perska.

I nie na tém się kończyły klęski Irańczyka. Przed wiekami najstraszniejszym dlań wrogiem był syn Sema i Chama: Asyryjczyk i Babilończyk, który od czasu do czasu z wielką potęgą najeżdżał Iran potężny, albo zakradał się doń małemi oddziałami. Czasem przemocą palił wsie i brał w niewolą; częściéj jako kupiec z Babilonu korzystał z nędzy gospodarza by kupić od niego, za pomocą żółtego błyszczącego kruszcu chłopców i dziewczęta, albo nawet jego własną piękną żonę na srom i ciężką niewolę. Nietylko ze złością zimy i posuchy; ze złością ludzką, czyto orężną i królewską, czyto podstępną i kupiecką musiał walczyć syn Iranu po wszystkie dni swoje. A jeśli mimo to żył jakoś, to tylko dzięki pomocy bogów, i dzięki zakonowi objawionemu niegdyś w Baktryi prorokowi Zaratusztrze, czyli jak go zwykle nazywamy Zoroastrowi.

Od początku był czas nieskończony—Zerwan Aharamana. W nim jest wszystko co jest, a nim rzeczy powstały, śniły w łonie Zerwana wszechrzeczy zarodki. On wreszcie do ładu rzeczy doprowadzi, on kieruje duchów walką, on jest najwyższą istotą, choć nie Bogiem w chrześciańskiém znaczeniu, bo istotą nieosobistą, z któréj się wszystko wydzieliło i co nic nie stworzyło.

Oto, po wiekach wielu, w których otchłań czasów była spokojną, powstało światło i powstały ciemności. Światłem był Ormudz święty duch, a ciemnościami był wróg jego Aryman; póki światła nie było, nie było cieniu i przeto nie było ciemności; zło nie powstało wpierw nim było dobro; Arymana nie było przed Ormudzem, ale skoro Ormudz się wydzielił z Zerwana, skoro dobro i światło powstały dla siebie, był już wśród czasów bezbrzeżnych i Aryman, było zło, były ciemności.

Ormudz, Światło, Święty duch wypowiedział słowo, i oto powstało sześć rzeczy świętych: Bohman to jest dobra myśl, Ardibehiszt czyli czystość najlepsza, Szachwari czyli królewskość, czy król potężny, czy też ład, Ispandarmat czyli nabożeństwo i mądrość, Chorwat czyli prawda, Ameretât czyli nieśmiertelność. Są to duchowie skrzydlaci i świetlani, którzy wraz z Ormudzem płoną jak siedem świeczników wśród czasu bez końca. Duchowie ci pochodzący ze słowa Ormudzowego są częścią myśli jego, częścią jego istoty, tego co dobre i jasne. Wiekuiste one i nieprzemijające póty, póki trwa walka a przez walkę i świat. Oneto wraz z Ormudzem świetlanemi są pierwowzorami rzeczy najwyższych tak w porządku ducha jak w porządku ciała; bo z rzeczy widomych każda najlepsza jakby odblaskiem jednego z świętych nieśmiertelnych, jednego z siedmiu archaniołów czyli Amszaspandów jak ich zwali Persowie. Zoroaster prorok to cień Ormudza, słońce i ciało niebieskie odblaskiem Bohmana, ogień Ardibehiszta, król Iranu Szachwarego, Ziemia rodzajna dobréj archanielicy Ispandarmaty, powie-

trze i sklep niebieski Chorwata, a wreszcie wody i święte napoje Amertata.

Ale słowo twórcze Ormudza nietylko współistotne jemu święte ideały wytworzyło. Naprzeciw każdego z Archaniołów z Amszaspandów świetlanych, czy też z bogów, (bo słowo i imię Bóg dawano im w Iranie wedle słowiańskiego brzmienia) stanął Druh, stanęło czarne jego przeciwieństwo: Zła myśl, nieczystość, bezrząd, bezbożność, kłamstwo i śmierć zjawiły się przy Arymanie współistotnie z Arymanem, a siedmiu Druhów odbiciem tutecznem—prorocy kłamliwi, ciemność, zimno, buntownicy, nieurodzaj, zawierucha i posucha. Stanęło tak wśród czasu bez końca z każdéj strony po siedmiu duchów gotowych do walki—i oto był rzeczy początek. Przy wodach zjawiły się wnet wojska, mnogie myśli dobre i złe, dobrych i złych rzeczy niebieskie i piekielne pierwowzory. Poniżéj archaniołów stanęły anioły Izedy, podobne do nich ze światła i postaci. Jak to widzimy, odbicie w blasku gwiazd niebieskich i w rzeczach dobrych na ziemi, a ich przeciwnikami Diwy z postaci podobni do rogatych olbrzymów, których odblaskiem rzeczy szkodliwe. Ciała Izedów z ognia były, z saméj istoty, saméj myśli Ormudzowéj; widome, namacalne, łakome ciała Diwów z ciemności lepione. Trzecie wreszcie piętro tamecznych hierarchii tworzą duchy dobre i złe, Ferwery i Peri; Ferwer każdy to anioł stróż człowieka, Peri to rusałka albo duch psotnik. Oto cała hierarchia, któréj obrazem i odbiciem świat niższy.

Gdy tak stanęły już zastępy do boju, powołał Ormudz jednego z aniołów ktoremu na imię Gau-Tamasz i kazał mu świat zrobić. Gau-Tamasz wziął wielki młot i skował sklepienie niebieskie, i ziemską bryłę ze szczeréj jasności. Ze złota była ziemia, ze srebra powietrze, a kwiaty i krzewy i zwierzęta łaskawe zakryły wszystko krasą niewysłowioną. Pośrodku stanęła góra Elburs o siedmiu piętrach z dyamentu, a u jéj szczytu raj i pośród raju pałac jaśniejący nieopisaném światłem. W pałacu tym zamieszkał Chorosz w postaci młodzieńca przyobleczonego w jaśniejące szaty. Kazano mu trzy razy na dzień zjeżdżać na dolną ziemię na rydwanie ciągnionym przez plamiste lamparty i wszystkim mieszkańcom ziemi, roślinom i zwierzętom, aniołom i czartom głosić rozkazy i nauki Ormudza.

Lecz ledwo ziemię stworzono a Aryman popsuł ją całą. Zesłał na nią zwierzęta złe, rośliny jadowite, mrozy i upały, walki i choroby i zaludnił ją Diwami i Peryami, którym dał za wodza czarta Asza, co wychodząc trzy razy na dzień z ciemności, głosił wbrew Choroszowi wolę szatana.

A wtedy to w siédméj dobie powołał z głębi mórz Ormudz Hanamana, innego anioła i kazał mu uczynić człowieka i osadzić go w raju na pana wszechrzeczy. Hanaman uczynił z ziemi czerwonéj człowieka Meszyę i z żebra Meszyi niewiastę Meszyanę i wrócił w głąb wód, a Chorosz złożył sam hołd człowiekowi i wraz z nim archanioły i anioły i zwierzęta i rośliny. I z zastępów Arymanowych wielu przyszło

złożyć hołd nowym panom stworzenia; ale Aryman postanowił popsuć to dzieło Ormudzowe; zawołał tedy do pomocy węża chytrego i pawia pysznego i wkradł się do raju i wszedłszy do raju, zjawił się w takim blasku i w takiéj potędze i piękności przed pierwszymi ludźmi, że oni oćmieni padli na twarz i dali mu cześć. A wtedy namówił ich by jedli owoce drzew; a skoro jedli, spadły z nich szaty świetlane, w które je był przyodział Ormudz i Bomar przybył z nieba z zastępem Izedów zbrojnych w miecze, Chorosz przywlókł jaśniejącą zbroję, a Aryman powołał do siebie Druhów swoich wiernych i Diwów. Zaczął się tedy wielki bój w raju i aniołowie zwyciężali, gdy się Aryman zamienił w wielkiego węża o straszliwych splotach. Ział ogniem ciemnym i uchodzili przed nim aniołowie. Po obłokach spinał się jako zwycięzca do nieba po stolicę Ormudzową; ale Ormudz sam chwycił za gromy i nowy rozpoczął bój, aż zegnał z błękitu złe zastępy i odbił pałace Choroszowe i odzyskał raj z którego na łeb zrzucił i Arymana i węża i pawia i pierwszych ludzi. Aryman wpadł do bezdennéj otchłani, a ludzie spadli wraz ze zwierzęty kusicielami na ziemię.

Ale gdzieindziéj spadł Mesziach, gdzieindziéj padła żona jego Mesziane. Nadzy, samotni, wśród srogiéj zimy i skwarów gwałtownych, pozostawieni sobie samym w nędzy za to, że się pokłonili duchowi złemu, choć od wszystkich duchów byli wyżsi i że niechcąc duchownego tylko bytu, dali się skusić do jadła i napoju, błądzili trapieni od czartów przez dwa wieki szukając siebie w ucisku i tęsknicy. W znużeniu płacząc i narzekając usypiał Meszya, a gdy usypiał wołał żony swojéj. Już był gotów wszelkie znieść męki na które zasłużył, byleby Meszyane stanęła przed nim, byle znów zaznał miłości żony jak niegdyś w raju, byle miał się przed kim pożalić, byle miał kogo pocieszać. I usnął, a widma senne przyszły do niego, siadły przy nim urocze widziadła, a między niemi była Mesziane, kobiéta. Objął ją miłośnie ramiony, przycisnął do siebie, ukochał, pojął znów jako żonę i gdy już śnił, że wszelkie szczęście dopełnione, przebudził się sam, wśród pustkowia, zwierząt dzikich i złych duchów i zasłoniwszy twarz uszedł daléj. Ale gdzie we śnie ukochał żonę, tam stanął anioł Hanaman i uczynił cudo z rozkazu Ormudzowego. Oto wyrósł z ziemi przepyszny cudowny kwiat ogromny, a wielobarwny, a z kwiatu wyszedł naród cały płowy, piękny, zbrojny, strojny, młodzianów i dziewek; z każdego listka tęczowéj obsłonki wyjechało konne mężów pokolenie, a za rycerzem każdym siadła na rumaku dziewica. Na czele jechał w złotolitéj mitrze z łukiem i sajdakiem i strzałami o złotém ostrzu szach Iranu Kajumarat. I stał się naród na ziemi i stał się narodu król; a gdy wreszcie Meszya nie we śnie, jeno na jawie dopadł swéj żony i gdy z nią począł bliźnięcych par dwanaście, w dwunastu wieków kolei nie były to rody na które Ormudz spogląda rad; ociążone klątwą co na rodziców padła, służyły i służą wężowi, pawiowi i Arymanowi i mieszkają w złości i bałwochwalstwie w zamrożonym Turanie, na Sybirze lodowatym i w spiekłéj

pustéj Arabii. Naród wybrany, naród prawdomówny Iranu, to dziecko snu szczęsnego i wonnego kwiatu.

Kajumarat wziął pierścień czarodziejski i tarczę i miecz cudowny i wojował z duchami złymi i z olbrzymami, co powstały gdy zawiązano zdrożne śluby pomiędzy Diwami i córami ziemi i zwyciężał długie wieki, aż mu się sprzykrzyło berło i aż wyrósł mu w oczach syn jasnowłosy, rumiany Samian. Jemuto oddał berło i sam odeszedł spoczywać w ustroniu wśród kwiatów i pieśni w ogrodach Adżerbidżanu; spoczywał niedługo a poznał, że komu Ormudz dał panowanie nad ludźmi, ten winien i sądzić i rządzić i wojować, a nie winien myśléć o pokoju i cichém szczęściu poddanych; doleciała do ogrodów królewskich wieść smutna. Niedorósł Samian piękny zadania królewskiego; zginął w boju ze złymi duchami. Sturamienne olbrzymy zagasiły jego życie, a został tylko syn po nim czarnowłosy, jak dym po ogniu ofiarnym, Husztasp małoletni. Musiał tedy znów dosiąść rumaka Kajumarat, musiał wziąść tarczę słoneczną i miecz jasny i w boju krwawym zwyciężyć, wytępić, wygnać narody Diwów; albo uszły do otchłani duchy niedobre by mieszkać wśród ciemności z Arymanem, albo musiały służyć człowiekowi czyniąc mu odtąd szkodę, lecz tylko pokryjomu i ukradkiem. Zapanował Kajumarat w spokoju nad Iranem i kazał tylko po wszystkich górach zapalić wieczne ognie, by wspominały płonąc nieśmiertelnie Samiana, co zagasł przedwcześnie, by dym rodziły zamiast syna Husztaspa i słały dym w niebiosy, kędyby hasał dosiadłszy wichru, w przemiennéj postaci obłoków co ciągną za morze.

Rozgromił wrogów, zapalił ognie Kajumarat i umarł, a z jego śmiercią wstała klęska nowa dla krajów Iranu. Aryman sługi swoje Turków niewiernych zesłał jak szarańczę by kraj tratowały, a matki i dzieci ledwo się schroniły po mężów pogromie w góry niedostępne niosąc z sobą młode królewiątko Husztaspa; i trzysta lat trwało w Iranie zniszczenie, aż Turek i Tatarzyn wrócili na północ w śniegi, zostawiając za sobą zgaszone ogniska, spustoszone sioła, cmentarz tylko i zniszczenie. Wtedyto pierwszy wyszedł zpoza gór król młody Husztasp czarny i jechał sam wśród smutnych rumowisk i patrzał na grób narodu. Aż wreszcie wyjechał na wzgórze i spojrzał z niego dokoła, i westchnął ciężko widząc wszędy, kędy oko sięgało, po sam widnokrąg siny, nic tylko dzieło Arymanowe, nic tylko kościotrupy i gruzy. Wepchnął tedy włócznię do czarnéj, twardéj ziemi, konia przywiązał do włóczni, mięso wyciągnął zpod siodła i wziął się ogień krzesić, naniósłszy drzewa na wzgórze, by przy ogniu upiec jadła dla siebie. Suche drzewo zatliło się, zasyczało i ogień święty buchnął znowu na wzgórzu wśród pustego Iranu; gdy królewicz usłyszał śmiech piekielny i podziemne chychotanie, i jakby świst wichru i uczuł że wzgórze całe się zatrzęsło. Koń zarżał i wyrwał włócznię i spadł z ruchomego wzgórza na wznak w proch, ogień zgasł, a trwoga wstała. Wzgórze to nie wzgórze było, to był smok, to był Aryman, co zniszczywszy dzieła Ormudzowe spoczął na wyżynie Iranu. Zionął czarną nocą, błysnął

oczyma piekieł, zgrzytnął zębami, wstrząsł łuską, rozwarł niezmierne skrzydła nietoperze i chciał z młodym królem ulecieć do otchłani. Ale Husztasp miał mężne serce i wyciągnął z pochwy długi, krzywy, ojcowski miecz i zaczął rąbać i zaczął siec, aż z bolu wrzasnął szatan i spadł na ziemię; i tu Aryman, mocny, czarny bóg zaczął sam na sam walkę z królem Iranu i walczył dziesięć dni i dziesięć nocy, zmieniając postać co chwila. Wreszcie z pomocą archaniołów co przy nim stali niewidomie, zwyciężył bohatér, a szatan z wrzaskiem uszedł nazad do swoich do otchłani. Król mógł naród napowrót do Iranu zawołać, odbudować ołtarze, krowy święte puścić na paszę strzeżone przez czujne psy i orać łona rodzajnéj ziemi; mógł to czynić i patrzéć na naród z weselem, aż Aryman stworzył poczwarę, którą wysłał na nową ludu klęskę.

Poczwarą zgubną był ptak czarny—niezmierny Kameh. Wyleciał z otchłani ciężkim lotem i wzniósł się nad ziemią. Niemiał szponów drapieżnych, niemiał żarłocznego dzioba, a jednak niósł z sobą zgubę: bo skrzydła jego były tak wielkie, że słońce zasłoniły i noc czarną uczyniły na Iran cały. Zaćmienie było i noc była nieustanna a kruk Kameh krakał wśród ciemności, a żniwa ginęły pod cieniem skrzydeł jego. Bielały, schły drzewa, marły dzieci słońca pożądając, a mróz ścinał ziemię. Przelęknione gromady tuliły się po światło i ciepło dokoła czerwonych ognisk zapalonych na ołtarzach. Wtedy to Husztasp wezwał w modlitwie pomocy Ormudza i powołał rycerzy, powołał mężów wszystkich Iranu, by łuki napięli, by zgotowali strzały. Stanęli do boju w wielkim szyku, a niewiasty z boku patrzały, bacząc czy Ormudz da zbawienie. Na znak dany syknęły tysiączne, krociowe strzały i leciały pędem do góry, aż utkwiły wszystkie w czarnym kruku Kameh. Zakrakał raz jeszcze, uderzył złowrogo skrzydłami i padł nieżywy na ziemię. Ale upadek jego to klęska była nowa i nowe zniszczenia. Jakby góra jaka z nieba spadła na Iran. Skrzydłami, dziobem, piersią, łapami zwalił ptak grody, obalił o ziemię wieże, przycisnął śmiertelnym ciężarem narody. Byłać uczta dla śmierci a Aryman roześmiał się w głos wśród otchłani, i wyszedł na pustą wyspę wśród oceanu, aby sobie w radości sprawić krotochwilę. Chodził w postaci, którą sobie upodobał, do człowieka podobny, chromając na końskie lewe kopyto, rozwarłszy nietoperze skrzydła, machając krowim ogonem, ruszając uszyma oślemi po dwu stronach capich rogów i śmiejąc się nad brodą capią jako szkaradna poczwara czarna. I patrzał się z radością na wszystko co brzydkie było i co wypełzło z morza. Patrzał i zacierał ręce.

Wtém oto z wód wyszły dwie istoty co go ucieszyły: jaszczurka długa, krokodyl żarłoczny o głupiém oku, rozwartéj paszczy i łuskach szkaradnych i zwierząt ciężki sowizdrzał, do baryłki olbrzymiéj podobny hipopotam, którego nogi cztery grube słupy, w którego paszczy wielkiéj jak brama kły niedorzeczne, którego oko w ogromnéj głowie niknie małe a kpiące. Rześmiał się pan ciemności widząc to co ujrzał i postanowił wykrzywić się miłości, którą dał Ormudz i wzbudził czułe kochanie w sercu krokodyla dla hipopotamicy. Wzdychały, gruchały

do siebie zwierzęta najbrzydsze, które wyszły kiedy z toni podziwiając swe wzajemne wdzięki, a Aryman po piasku nad morzem tarzał się od śmiechu—wreszcie na złość małżeństwom Ormudzowym pobłogosławił czułéj poczwar parze, i korzystając z bogów przywileju, wcielił się jako obu potomek, jako dziwny stwór Rochsze; był to koń o ludzkiéj szkaradnéj głowie, skrzydłach żuka i szesnastu nogach pająka. Ten koń wyleciał cwałując i śmiejąc się na Iran, by nieść Husztaspowi zgubę, i stanął przed królewskim pałacem i wezwał ludzkim głosem króla, by popróbował z nim szczęścia. Jeśli nie jest tchórzem niech jego dosiędzie. Poznał Husztasp prawdomówny że ten koń, że ten Rochsze to Ariman sam; poznał że jego zamiarem, porwać go wraz z sobą daleko z Iranu i zanieść do otchłani. Ale nie lękał się Arymana bohatér i choć żony jego drżące błagały by tego nieczynił, dosiadł poczwary ufny w pomoc archaniołów. Parsknął Rochsze i uleciał wraz z bohaterem w otchłanie; lud Iranu widząc jak król ukochany znikał wśród obłoków, załamał w rozpaczy dłonie, ale Husztasp nie tracił odwagi; znikły obłoki, znikła ziemia z oczu w szalonéj powietrznéj jeździe, znikło jasne słońce i Husztasp jechał na Arymanie wśród ciemności—ale ciemność rozświecał tarczą dziadowską jakby słońcem drugiém i bez trwogi był, bo ufał w pierścień swój, i ufał w miecz co w dziada ręku tyle Dziwów zgromił.

Nareszcie Aryman zawitał do swojéj stolicy do piekieł, i Diwy przywitały go okrzykami radości jako króla i pana. Ujrzał Husztasp na żywe oczy druhów czarnych, arcyczartów, sześciu braci Arymanowych, wielkich aniołów ciemności, na których i spojrzéć strach było; okropny naród otoczył go śmiejąc się. Wszystkie duchy nieczyste przybrały ciała ludzkie, ale głowy ryb, gadów, żab i owadów nieczystych, a najohydniéj wyglądali wśród mroku piekielnego arcyczarty, których głowy rekinowe, wielorybie, krokodyle jaśniały zieloném światłem próchna. Mogło się wydać, że król Husztasp już na wieki między takie zawitał goście; mogło się wydać, ale tak niebyło naprawdę. Darmo chciał go Aryman rzucić narodowi swemu na pastwę. Husztasp spinał poczwarę Rochsze ostrogami, nie chciał z niéj zsiąść, nie puścił jéj na wolność i siedząc na grzbiecie pana piekieł, siekał sam dobrym mieczem lud jego obrzydły. I wnet otoczyły go aniołów zastępy. Diwy, Druhi, wszelkie czarty oddały w trwodze zwycięzcy gród piekielny, a sam Aryman wrócił na ziemię jeńcem, by służyć królowi za rumaka w bojach ze złymi synami Turanu. I jeżdżąc na Arymanie bił Husztasp długo jego sługi, aż wreszcie raz Aryman w nocy wśród burzy, zdławił konia Rochsze w którym był jeńcem, i uciekł z wichrem z królewskiéj stajni, zostawiając w ręku bohatéra same tylko ścierwo poczwary. A teraz lecąc ponad zamki szacha zgrzytał arcyczart zębami i zacinał pięście, poprzysięgając pomstę za długą poniewolną służbę. Wpadł nareszcie sycząc, do węża podobny, między kłęby dymu, które biją wciąż z ogromnéj czarnéj jamy na szczycie góry Demawend. I tu zwrócił lot, i wśród dymu i woni siarki wpadł jamą do wnętrza ziemi, gdzie wie-

dział, że przed laty schroniły się przed Kajumaratem przez Diwów i niewiasty spłodzone olbrzymy.

Wielkoludy siedzieli cicho na bryłach siarki, przy sadzawce z żarzącéj lawy, oświetleni odblaskiem roztopionego kamienia. Kłęby dymu otaczały ich, a napoły niebieski, napoły żółty cuchnący płomyk jawił się to tu to tam wśród szafirowego tumanu; i nudno było olbrzymom; pozakładali ciężkie nogi i znudzone głowy oparli o ogromne ręce, gdy się zjawił nad środkowym kraterem pośrodka nich, niby jakiś ogromny cień arcyczart Aryman, i przywitał swoje twory głosem podobnym do grzmotu, głosem co się rozległ po pod ziemią daleko w głąb Iranu; chętnie usłuchały duże olbrzymy namowy, by na Iranie wykonali zemstę Arymanową, zemstę własną za wygnanie do krateru czarnego. Zaczęli tedy z wielkim łomotem chwytać za kamienie, i zaczęli je podrzucać do góry, że wzlatywały wysoko po nad górę, i spadały na Iran o mil kilka. Leciały niosąc za sobą zniszczenie, czerwone głowy, a Aryman zwisł nad górą w postaci czarnego obłoku we dnie, a w nocy podobny do ognistego słupa, z którego biją pioruny; nad głową tylko trzymał wciąż koronę z obłoków, kapelusz czarny o wielkich brzegach którym straszył Iran.

Ujrzał to Husztasp. Ujrzał jako Aryman na złość Ormudzowi zapala swoje złe ognie, i wołał lud, i śladem dziada ciągnął w bój na Demawend, by gromić krnąbrne olbrzymy; i jechał z wielkim animuszem i zbliżał się już do góry, gdy kamień wielki ugodził w niego kołując, i poraził go w pierś i zwalił na wznak. Obskoczyła go drużyna z krzykiem, ziemia się zatrzęsła, Aryman znikł z obłoku; zgrzytnął raz jeszcze zgrzytem podziemnym i znikł zwycięzcą w otchłani. Ale Ormudz posłał aniołów promiennych by bronili dziecko, wnuka Husztaspowego, płowego Dżyamszyda, dziecko o niewidzianym wdzięku, słoneczne stworzenie. I Iran żył szczęśliwy, a król Iranu wzrastał, i wszystkich serca śmiały się do dziecka. Niedługo a zasiadł na złotéj stolicy w Balch król najszczęśliwszy.

Błogo było w Iranie, i promiennie, i złocisto. Kwiaty woniały, słowiki śpiewały pieśni miłosne, a król Dżyamszyd siedział w pałacu złocistym. Trzy razy na dzień zlatywały na ziemię pstre lamparty, co ciągną rydwan Chorosza i dobrze było, i ludno, i ciepło, i wonno, i spokojnie jak nigdy wpierw w Iranie. Aż ludzi, i bydła, i koni rżących namnożyło się nadto wiele i aż stanął Dżyamszyd zadumany i o miecz sparty myśląc, gdzieby pomieścił te tłumy, na które niebyło już miejsca na ziemi Ormudzowéj. I oto jasność wielką nieskalaną ujrzał przed sobą pan Iranu i poznał, że mu się zjawił sam Ormudz. Uderzył szach czołem przed pierwszym archaniołem jasności i usłyszał głos podobny do wielkiego śpiewu co mu rzekł: „Włóż miecz twój, miecz ojców twych do ziemi, a rozszerzy się cała i dla wszystkich będzie miejsce.” Jasność znikła, Dżyamszyd uczynił jako mu nakazano, i włożył miecz swój w łono rodzajnéj ziemi, i oto rozszerzyła się i wiele miejsca w niéj nastało dla zwierząt i ludzi, i błogo było znowu na ziemi. Aniołowie

z ognistemi mieczami strzegli bramy piekielnéj i nie puszczali szatanów na ziemię, a wino wyrastało z blizny, którą uczynił w ziemi miecz szacha, rozkładało liście swoje, pełzło po ziemi, słało kobierzec rozkoszny, niosło lśniące pełne jagody, dawce szału. I wycisnął jagody Dżyamszyd i ubił je nogami, i dał sokowi stać aż zakipiał, i aż wyszły na płyn lśniące banieczki szału, i dał się napić płynu żonie, królowéj Feramak. Wzięła Feramak puhar czarodziejski co z jednego był szafiru i przyłożyła puhar do ust swych, i piła trunek, co się lśnił w puharze. A marzenia lekkostope szły jéj do głowy, i zamykały się oczy, opadała jéj głowa, porywał ją szał, aż wreszcie śmiejąc się i płacząc rozkosznie usnęła Feramak; usnęła i śniła na wonném łożu dziewięć miesięcy, a król Dżyamszyd kazał grajkom z gęślami stać przy niéj i grać i śpiewać pieśnie łagodne jak sen, i sam przychodził całować złotowłosą królowę. Aż oto po dziewięciu miesiącach zbudziła się Feramak, i oto w ręku swém miała dziecko białe, rozkoszne, i zawołała ojca i synka podała szachowi; szach wziął syna w ręce i przybliżył go do ustu swych i ucałował, i nazwał królewicza Ferydunem i kazał go chować w rycerskiém rzemiośle [1]).

Na koniu białym jechał Dżyamszyd w złotogłowiach, nogi włożywszy do złotych strzemion, z czaplą kitą na kołpaku w brylantowéj szpince, i uśmiechał się, słuchał pieśni słowików i podkręcał wąsa; wtém ujrzał, jak przed laty, jasność Ormudzową, wielki blask na niebie. Wstrzymał konia zsiadł i ugiął kolana, a głos archanioła zawołał na niego: „Dżyamszydzie! oto tobie nakazano; idź naokoło ziemi rzuciwszy pałace jako człowiek ubogi i nauczaj ludy słowa żywego, nauki mojéj, nauczaj ich prawdy, sparty o kij i niepomny panowania.“ Dżyamszyd słyszał głos archanielski i pieśń wielką prawdę, ale żal mu się zrobiło pałaców, i niewolnic ukochanych, i sadzawek ze złotemi rybkami; odrzekł tedy: „O! Panie światłości i prawdy, nie, nie jestem ci stworzon na to by być pielgrzymem i nauczać narody. Do panowania jestem stworzony. Miecz wezmę do dłoni, berło podniosę i uczynię wedle méj woli.“ Tak rzekł Dżyamszyd, i nie posłuchał Ormudza. A wtedy Ormudz odwołał od bramy piekielnéj archanioły, wypuścił na ziemię Arymana i drużynę jego. Wyszli by szkodzić, i wróciły na Iran czasy próby.

Wylecieli z otchłani na ziemię Drukowie i Diwy w różnéj postaci, ale zawsze zimni jak stal zamarźnięta na mrozie. Weju czart potężny w wicher się zmienił i gonił po płaszczyznach i wkradał się w gór kotliny mrożąc wszystko, świszcząc, łamiąc drzewa, trzęsąc skał ścianami. Arcyczart drugi Andra rogaty zaciągnął niebo szarym płaszczem i sypał śniegiem na ziemię jakby pierzem, a śnieg leciał z wichrem, i wszystkim ludziom i zwierzętom zasypywał oczy. Asmodeusz wreszcie figlarz okręcał się śniegu tumanem i pląsał wkoło wirując po Iranie. Mniejsze biesy mroziły stawki i rzeczki, jeziora i samo morze niezliczo-

[1]) Porównaj co do tych podań Zendawestę, epopeję perską Szach-Name, D'Herbetot'a biblioteque orientale i von Kuenen „Goddienst von Iran.“

ną ręką, wysysały soki z drzew, dusiły ptaki w powietrzu że spadały na śnieg i lód nieżywe, albo zwieszały się jako przejrzyste białe lodowce z dachów mieszkań ludzkich i stajen bydlęcych. Zimno było w Iranie, mroźno, nielitośnie.

Ale Dżyamszyd nie uczynił pokuty. Nie dbał o to, że narody kostniały po górach i w stepie; swoję drużynę powołał do Balchu do grodu i wystawił dla niéj i dla zwierząt po parze trzy zamki wśród grodu, i pił wino, i grzał się przy piecach ogromnych. Doczekał się tak, aż czasów koleją po dziesięciu długich miesiącach, zima znikła i wróciło lato, susząc po Iranie roztopy. I wtedy nie dbał Dżyamszyd ni o Ormudza ni o Arymana i nazwał siebie sam Bogiem i postawił sobie przed bramą stolicy, dobrego grodu Balchu posąg ogromny, co miał sześćdziesiąt łokci wysokości i był ze szczerego złota.

I kazał trąbić trębaczom po kraju całym, by wszyscy przyszli pokłonić się posągowi króla, jedynego archanioła Iranu, jedynego zwycięzcy zimy [1]). Usłyszały narody, i drżąc przed wolą pana zbiegły się przed bramę Balchu, i biły czołem przed posągiem i kłaniały mu się. Trzech mężów sprawiedliwych nie chciało bić pokłonów: Fraszustr, Dżamasp i Purasp odmówili bałwochwalczéj czci królowi; wtedy gniewny Dżyamszyd kazał ich rzucić w wielki ogień, ale duch Samiana, co wstąpił między anioły, nie dał, by im ogień czynił krzywdy. I przeszli wszyscy trzej przez ogień czerwony, niedoznawszy żadnéj krzywdy, i lud poznał dzieło anielskie, ale Dżyamszyd nie odmienił serca i trwał w dumie wśród grodu w Balchu, i trwał w bałwochwalstwie. Wtedyto Ormudz rzekł Arymanowi, że do czasu nie będzie bronił Iranu występnego i że mu oddaje kraj na pastwę.

Aryman poszedł tedy do Arabii i zastał tam króla Zohaka w kraju Adytów, i przybrawszy postać rycerza w czarnéj zbroi, przystał do niego w służbę. Podchlebiał mu, kłaniał mu się i radził mu, by szedł podbijać Iran, gdzie król niewojenny i w rozkoszy zniewieściały. Podobały się Zohakowi rady Arymanowe, a gdy się dowiedział, że rycerz w czarnéj zbroi, to sam arcyczart, nie przeląkł się tego, a ucieszył bardzo i wzrósł w dumę, że miał pana ciemności dobrowolnym sługą i uczynił rycerza w czarnym zawoju pierwszym swoim doradzcą i wielkim wizyrem. Zwołał tedy wojska konne Arabistanu i jadąc sam na czele, na dwu rżących ogierach, wraz z Arymanem, wpadł na równiny Iranu. I nie zastał oporu. Diwy wprawiły już lęk blady w serce Dżyamszydowe i król Iranu uciekł z hańbą, rzucając zamki, w krainę zachodu ku morzu Śródziemnemu, a królowa Feramak ledwo się schroniła z synkiem Ferydunem we wschodnie góry Afganistanu.

Zohak zasiadł tedy na stolicy jako zwycięzca i pan ziemi i chciał Iranem rządzić sprawiedliwie. Przy jego lewicy (bo lewica w Iranie miejscem zaszczytném) stał w Balchu na grodzie, przy tronie Aryman książę cieniów w postaci pięknego młodziana w czarnéj zbroi. Dokoła,

[1]) To podanie odnowione w księdze Daniel.

na ziemi siedziało rycerstwo Arabii i Iranu. Aryman zwrócił się do Zohaka i przemówił doń podchlebiającemi słowy: do niebieskiego porównał go słońca, do jasnych gwiazd hetmana i pana ziemi; i rzekł że hołd mu oddaje, który odmówił niegdyś pierwszemu człowiekowi, i prosi o łaskę jednę tylko, o to, by mu wolno było króla swego i pana ucałować w oba ramiona. Podchlebstwo podobało się Zohakowi i dał się ucałować. Czart sam wobec możnych téj ziemi, w obec dywanu w Balchu składał hołd śmiertelnemu królowi. Usta jego płonące dotknęły się jednego i drugiego ramienia, gdy król słudze swemu k'woli obnażył ciało po pas w obliczu dywanu w tronowéj sali. Na białém ciele spoczęły dwa czarta całusy, i oto, gdzie się usta ramion dotknęły, tam coś drgnęło, zasyczało. Z ciała, z ramion wyrosły dwu wężów kręte, ślizkie szyje i głowy jadowite, i zwróciły się wnet ku piersi królewskiéj, i zaczęły sycząc pożerać królewskie ciało. A Aryman zmieniał się z rycerza w czarnego archanioła i skrzydłami cieniu zakrywał komnatę całą; ze strachu marli na poduszkach widzowie, a król z bolu rycząc tarzał się na ziemi. Wtedy to cień wielki, skrzydlaty i ciemny wśród rady podniósł głos i rzekł: „będą ciebie Zohaku gryzły węże, co się z moich całusów wylęgły, byś pamiętał o Arymanowéj służbie; tylko wtedy gdy się będą paść ludzkim świeżym mózgiem dadzą pokój twemu ciału." Rzekł to i znikł cień wielki z komnaty, a widziano potém tylko obłok czarny co żeglował przez błękit ku morzu i znikł wreszcie w otchłani. Teraz dopiero Aryman zatruł naprawdę Iran, dzieło Ormudzowe.

Na łożu swojém wił się z bolu król, a dwa węże połyskiwały mu na ramionach i piersi, a wierni jemu Arabowie wlekli do przedpokoi królewskich ludzi i zabijali ich. Najwpierw, zrazu niesiono wężom na pastwę mózgi zbrodniarzy wydobytych z więzień; ale węże były wiecznie głodne i zbrodniarzy niestało niebawem; chwytano tedy co żywo, kto winien, niewinien padał ofiarą. Narzeczoną postradał narzeczony, męża wydarto z ramion żony, a matki płacząc, darmo broniły dzieci przed królewskimi siepaczami. Krew lała się strumieniami dokoła pałacu Zohakowego, lud przeklinał króla ze łzami, a król ponury siedział wśród komnat w rozpaczy, z wężami na szyi nienasyconemi; i tak trwało w Iranie długo... lat kilka.

Aż przyszli raz siepacze po dzieci kowala, o tęgiém ramieniu, Gaosa. Gaos stanął pośrodku kuźni, niewiele myśląc i dobrym razem topora ubił królewskich siepaczy. A potém zdjął fartuch swój skórzany, nałożył na drąg czyniąc z niego chorągiew i idąc po ulicach stolicy, wołał lud do broni. Widząc męża tak śmiałego, powstał lud cały. Niémiał już odtąd król mózgów świeżych, a Arabowie musieli się ku własnéj obronie zatarasować w zamku. Zaczęła się walka miasta z załogą i nie wiedzieć było kto zwycięży.

Wtedyto zmiłował się Ormudz nad narodem swoim. Wtedyto dobiegł kres Dżyamszyda pokuty. Obszedł był świat dokoła w żalu król bałwochwalca i zaszedł był na wysoką górę, u któréj szczytu było źródło żywota, po któréj bokach legły same czarne głazy. Wśród

pustkowia i kamieni drapał się Dżyamszyd na szczyt w pokucie, a skoro głaz jaki minął, głaz ten odzywał się ludzką mową i wołał go by się obrócił; ale Dżyamszyd nie obejrzał się ni razu, bo wiedział, że skoro się obróci, sam się w głaz czarny zamieni. I szedł i szedł, patrząc wprost przed siebie, aż doszedł do szczytu i pochylił się do źródła i napił się wody żywota. A wtedy promienie otoczyły jego głowę i stał się nieśmiertelnym; a wracając niósł z sobą wodę żywota w dzbanie swoim cudownym, w dzbanie z jednego szafiru, w którym niegdyś podał wino królowéj Feramak, nim mu zrodziła syna. Na każdy kamień czarny uronił z dzbanu kroplę wody życiodajnéj i skoro kropla na głaz padła, zmartwychwstał rycerz, co się niegdy na górę tę drapał i co się obejrzał nieostrożny. I takto z promieniami na głowie, wiodąc zmartwychwstańców, wojsko niezliczone, wracał do Iranu od wschodniéj strony Dżyamszyd nawrócony i odtąd już nie Dżyamszydem, lecz jasnym, potężnym archaniołem Mitrą nazwany. Wrócił do żony Feramak i synka Feryduna w góry Afganistanu i dał im wojsko niezliczone, z którém podążyli na Balch Gaosowi na odsiecz; a sam Dżyamszyd-Mitra uleciał w niebiosa Ormuzdowe.

Wtedyto zwyciężył królewicz Ferydun i Zohaka na wieki zamknął w kraterze góry Demawend i przywrócił szczęście do Iranu, a z kowalskiego fartucha Gaosa uczynił chorągiew królewską. I to było istotnie w Iranie półbogów pokolenie. Czas było, by objawiono ludowi słowo prawdy, czas było narodowi rozpocząć naprawdę ludzką służbę Ormudzową. Odtąd mieli się słabsi rodzić ludzie, więc trzeba było, aby i klęski słabszemi się stały, a na to trzeba było świętéj nauki. Póki świat światem, miał Aryman wydawać to samo zło: pochlebstwo i podłość i pychę i kłamstwo i choroby i mrozy i skwary, co jak węże Zohakowe mózg suszą i zwierzęta złe, i zwierzęta szkaradne po wiek wieków miały nękać Iran, ale słabszych ludzi obroną miał być zakon Zoroastrowy, silniejszy stokroć od dawnych bohatérów ramienia.

Anioł pokazał się Paraspie rolnikowi, jednemu z tych, co przez ogień przeszli, niechcąc bić czołem przed posągiem królewskim i rzekł mu, że cień Ormudza z niego się zrodzi i z jego żony. A gdy się dziecko narodziło i dano mu imię Zoroaster, krzyk wielkiéj rozpaczy dał się słyszéć w otchłani: Aryman zerwał się ze swéj stolicy i załamał ręce wołając: „Biada nam duchom ciemności! biada! stokroć biada! bo oto zrodzon na ziemi nasz pogromca!" A Zoroaster od narodzenia miał na piersi wielkie koło, co jaśniało w nocy jakby księżyc.

I oto na tém kończą się Iranu dzieje bajeczne. O samym Zoroastrze tę chyba powtórzyć możemy legendę, że nieraz rozmawiał z Ormudzem; a jeśli obok królów prawdziwych podanie późniejsze postawiło bajecznego rycerza Rustema i jeżeli wszystkich scytejskich najeźdźców przezwało wspólném imieniem Afrazyaba, niemniéj przeto odtąd panowali znani nam zkądinąd królowie Medyi i Persyi z rodu Dejocydów i Achemenidów. Miejsce fantastycznych baśni zajmie teraz opowiadanie prawdziwe i trzeźwe, o tém co cnotą być mieniły owe na-

rody, które święcie wierzyły w dopiéroco skończone baśnie, a opowiedziałem je dlatego, że są mało znane; a że kto ich nie zna, irańskiéj cnoty nie zrozumié, podobnie jakby nie zrozumiał cnoty chrześciańskiéj ten, coby nie znał pisma: nim się jaką cnotę opisze, trzeba wiedzieć na jakiéj stanęła podstawie [1]).

Otóż był w Iranie stan ludzi dziedziczny, stan magów, którym Zoroaster przekazał obronę kraju przed złemi duchami. Mieli żyć tak, by Aryman i zastępy jego do nich niémieli przystępu, mieli być cali Ormudzowi i jako tacy mieli przez modlitwę i obrzęd, własną swoję czystość na cały naród przelać i tém samém naród cały obronić od zakały i szatańskiéj mocy. Strój ich tedy miał być zupełnie biały i mieli być tym strojem zewsząd przyobleczeni i to tak, by nawet na twarzy spoczęła zasłona, a to na to, by żaden twór Arymanowy, żaden owad, żaden zapach niedobry, nie dotknął się ich ciała niepokalanego. Tak przyobleczeni, winni byli większą część dnia spędzać przy ogniach jaśniejących, w których przebywała istota Ormudza i śpiewać pieśni Ormudzowe, objawione niegdyś Zoroastrowi, słowa prawdziwe, święte, czyste, dźwięczne w mowie, w VI wieku przed Chrystusem, już oddawna umarłéj. Jeść im nie było wolno ani mięsa, ani ryb; a to przeto, że mięso wszelkie albo pochodzi od zwierząt nieczystych Arymanowych, któreby kalały ich usta, albo od zwierząt świętych Ormudzowych, których im się zabijać nie godziło; pokarmem ich było czyste, białe mléko, krowy wraz z nabiałem wszelkim, były jarzyny, co się z korzenia odradzają i były przedewszystkiém napoje ogniste: wino i piwo: kto je pił, ten pił ogień i światłość i świętość; kto się niemi upił, ten posiadł prawdę i dobrą myśl. Więc codzień prawie pijanymi byli magowie.

Zresztą jeść mieli dosyta i żyć wygodnie, bo ból i głód były to złe rzeczy Arymanowe; a gdy zobaczyli owad albo gada, mieli go laską ubić; wraz z rycerstwem winni byli iść na łowy na zwierzęta drapieżne, na dzieła szatańskie; od nich trzeba było uwolnić ziemię strzałami, by się nie wróciły bajeczne klęski, a od złych duchów broniono się częstą modlitwą i obecnością krowy, psa i koguta, których Ormudz dał na obronę od zwierząt złych. A pies zwłaszcza był święty i przeto psów bez końca żółtych i brzydkich, roiło się po ulicach Wschodu.

Człowiek żywy, człowiek czysty był rzeczą dobrą, najlepszą, o którą najwięcéj stał Ormudz; przecież cała służba magów na to tylko była, by żywych ludzi bronić; trzeba było się przeto żenić zawczasu, by się dzieci namnożyło mnogo; a na to by się nie zakradła zła krew turańska do synów Iranu, do magów czystych, najbezpieczniéj było kapłanom, najbezpieczniéj całemu nawet ludowi żenić się z krewnemi bliskiemi, choćby z siostrą rodzoną, choćby z własną nawet córką. Takto zachowywała się w czystości krew irańską, krew narodu co wyszedł niegdyś z kwiatu i był synem snu, poczętym bez grzechu. A jako na-

[1]) Rawlinson: *The five empires.* Duncker, *Geschichte des Alterthums.*

śladowano sny pierwszego człowieka, upoiwszy się winem lub haszyszem, o tém nie mówić przystojniejsza.

Ale człowiek umrzéć musiał, by módz pójść na górę Elburz do raju. Gdy umarł, dusza tak maga jak i wszelkiego męża szła prowadzona przez archanioła Bahmana nad krater góry Demawend i ponad krater przejść musiała, poprzez ogień, mostem wielkim i długim, ale podobnym do brzytwy, po któréj ostrzu szły dusze. Kto był czystym, ten przeszedł przez ogień po brzytwie i dostał się na Elburz do raju i przebywał wśród wonnych ogrodów i czarownego kwiecia; kto czystym nie był, ten wpadał z ostrza brzytwy do jamy ognistéj Demawendu i leciał do otchłani bez końca, aż wpadł na tamtę stronę świata, do mroku wiecznego, do piekieł Arymanowych. Ale ciało nieżywe zostawało zawsze na ziemi, jako rzecz nieczysta, jako własność szatana. I cóż z tém ciałem czynić wypadało? Zakopać pod ziemię się nie godziło, bo ziemia to rzecz święta, żyjąca sługa światłości, do któréj niewolno wprowadzać zakały i sługi Arymanowéj, nie chcąc wzmódz czarta potęgi. Toć samo woda żyje i służy Ormudzowi; toć samo powietrze, a ogień to archaniołów odblask najczystszy. Nigdzie ukryć niemożna było ciała. I cóż czynić wypadało? Otóż tego najlepiéj nauczyła natura. Padło każde żywych bywa strawą i w krew ich wchodzi i ciało i żywém nanowo się staje. Taki sam winien być los umarłego człowieka. Ciało umarłego maga bywało czasem ugotowane, przymieszane do wina i przez magów spożyte; ale ten obyczaj najpierwotniejszy znikł rychło i ostał się chyba w dzikich górskich dolinach. Najczęściéj postępowano z magiem tak samo, jak z każdym Persem i Medem. Opodal od miasta dźwigano wieże umarłych, u których szczytu kładziono ciała opodal od ziemi i tam czekano aż ptastwo się zleci i ciała te pożre. I ten zwyczaj utrzymuje się i dziś u wyznawców Zoroastra. Wyjątek stanowiono tylko dla ciała królów i możnych. I tych wystawiano w osobnych, otwartych pomnikach, ale skoro zwierz tylko raz te ciała ukąsił, starczyło to obrzędowi i teraz oblewano ciało woskiem i przechowywano je tak, rzekomo odłączone od ziemi i wody, od ognia i powietrza.

Obrzęd pogrzebowy wspólny był magom i innym Irańczykom. Podobnież wspólnym był święty obowiązek prawdomówności i słowności nakazanéj dla tego, że wszelkie kłamstwo było rzeczą Arymanową. Wreszcie, wedle teoryi, niepowinien Pers i Med kupować i sprzedawać, gdyż kupno i sprzedaż prowadzi do kłamstwa. Ale oczywiście to prawo zostało martwą literą i miało chyba ten tylko skutek, że wyznawcy Zoroastra uważali handel za rzemiosło hańbiące, i trudnili się tylko wojną, rządem, rolnictwem i przemysłem. A jużci i co do kłamstwa bywało u nich rozmaicie, i w polityce, i w ogóle wtedy gdy miano do czynienia z narodami obcymi, znienawidzonymi od Ormudza, kłamano nielitośnie. Między sobą tylko i to w potocznem życiu uważano dotrzymanie wiary za święty obowiązek.

Pospolitych Persów zajęciem i zadaniem było mnożenie życia Ormudzowego. Magowie naród bronili od złych duchów, a naród winien był przysparzać miejsca dla dobrych stworzeń. Wiódł tedy naród życie z obowiązku nawskroś świeckie i wesołe, zostawiając obrzędy magom, z których błogosławieństwo na wszystkich spływało. Jak niegdyś Dżyamszyd, każdy Pers i Med winien był ludziom i bydłu przysporzyć ziemi, studnie kopać w pustyni, hodować kwiaty piękne, zasiewać pola, zasadzać ogrody, hodować trzody co dawały i mięso, i mleko, i wełnę, pojąć żonę, mnogie mieć dzieci, ziemię stroić, prawdę mówić, żyć w prostocie, szanować magów, słuchać króla: oto był zakon Zoroastrowy, i tego trzymano się wiernie i w prostocie. Syn rolnika i pastucha, rolnikiem i pastuchem był daléj, a rzucał pług i trzody, wtedy chyba, gdy szachów szach, gdy wielki król powoływał naród pod chorągiew z fartucha kowala Gaosa. Wtedy każdy co żył ciągnął uzbrojony jak mógł walczyć ze sługą Arymana, z obcym albo z buntownikiem.

To też cieniem archanioła Szachwarego był król z rodu Achemenidów; przy nim i przy jego pokoleniu była władza, była straż o zakon i dobro Iranu, o chwałę Ormudzową. On naprawdę był arcykapłanem, on czynił czyny na wzór bohaterów dawnych. Wolno mu było kłamać, gdy trzeba było dla jego potęgi; wolno było zabijać i dręczyć, wolno było pojąć obce żony, wolno było czynić wedle woli; i potęgę swoję przelewał król królów na sługi swoje i na swych poddanych gdy im powierzał urzędy. Biada była mężowi choćby magiem był, gdy nie wykonał królów rozkazu. Spadał na niego za życia gniew królewski srogi, a po śmierci gniew Boży.

Znamy ich, znamy dobrze królów Iranu, znamy ich sługi. Każdy z nich mieszka w zamku na ustroniu, niedostępny dla tłumów, wśród dworzan co padają przed królem na oblicze, zanim doń przemówią. Jé król przysmaki, jakie kto wymyślić może, każe się po kraju obnosić w lektyce, ma pałac o tysiącznych kolumnach, ma w haremie niewolnice najpiękniejsze z całéj ziemi, panuje wielu narodom i nudzi się śmiertelnie. Kserkses jeden z nich dawał królestwo jedno całe temu, coby jaką nową wymyślił zabawę, a najczęściéj szach wielki zabijał czas, strugając patyczki, gdy nie był na łowach albo na wojnie.

Na wojnę ciągnął z obowiązku, by karać ludzi kłamliwych i spędzał na wojnę wszystkie poddane sobie narody. Gdy kto nie stanął, śmierć go czekała. Raz ojciec stary przyszedł do Kserksesa błagając, by mu zostawiono doma syna jedynaka, jedyną podporę starości. Kserkses przyrzekł, że uczyni zadość jego prośbie i kazał przywołać syna. A skoro młodzian stanął przy sędziwym ojcu, wziął król sam łuk i spiął łuk a syna zastrzelił ojcu sędziwemu, i kazał ciało przy ojcu zostawić. Król żądał posłuszeństwa wszystkich i wszystkiego słuchać go winne i ziemia i morze, twory Ormudzowe, a gdy Helespont zniszczył Kserksesowi most ze statków, kazał król Helespont wysmagać;

i nie działał szalenie jeno mądrze, boć morze przecie miało rozum i źle czyniło, gdy pomagało Arymanowi; jak Kserkses, tak byłby uczynił Husztasp bajeczny.

Król Kserkses strzegł prawdomówności i sprawiedliwości chciał. Dowiedział się raz o jednym z namiestników swoich, że był przekupnym sędzią. Rozgniewał się tedy wielce namiestnik Ormudzowy, odebrał mu rząd i kazał zdjąć z niego skórę umiejętnie, i skórą pobić krzesło, poczem synowi jego powierzył urząd ojcowski, i nakazał, by siedząc na krześle obitém ojcowską skórą, pomniał o królewskim gniewie. A naród przyklasnął w podziwie królowi i Kserkses był ukochany i wierne miał sługi.

Wiadomo wam jako przeciw Kserksesowi przemogły moce Arymanowe, jak go pobili bezbożni Grekowie, pod Salaminą, topiąc statki i przypominając Iranowi klęski które sprawiał Zohak. Niewiadomo czy w tém nie było coś i królewskiéj winy, ale nie o to winni się pytać poddani. Kochać powinni króla pobitego i za niego dać życie. Toć téż podanie mówi, że gdy Kserkses uchodził z Hellady, znalazł się na łodzi z satrapami kilkoma wśród burzy na otwartém morzu, i strach mu było. Spytał się tedy w lęku sternika greczyny, czy niéma niebezpieczeństwa o jego święte życie? „Jest, odrzekł sternik; za nic nie ręczę, jeśli niezbędę się ciężaru na łodzi." Wtedy to król zwrócił się do satrapów swoich i do nich przemówił w te słowa: „Teraz chwila, mężowie Iranu, w któréj dowieść możecie, czy króla kochacie waszego! Kto króla miłuje, niech do morza skoczy i zapewni mój przejazd bezpieczny." Tak rzekł król, a satrapowie mężowie cnotliwi i chwilę się nie wahali i na głowę skoczyli do morza, i utonęli, za co pewno bezpiecznie przeszli przez most na Demawendzie. Król wtedy dziękując archaniołom, dopłynął bezpiecznie do lądu, i tu postanowił wydać wyrok sprawiedliwy. Ów sternik Grek wyratował był życie króla i przeto zasłużył na wielką nadgrodę; a był powodem śmierci satrapów kilku i ztądto należała mu się kara sroga. By tedy i temu i owemu zadość uczynić, kazał król sternika ściąć a na nieżywą głowę położyć złotą koronę, i uczynił sprawiedliwie.

Późniéj wiedli z sobą wojnę o tron dwaj bracia: król Artakserkses i Cyrus królewicz. Cyrus w bitwie pod Kunaksą zginął, ale Grecy jego najemnicy zwycięzko odparli natarcie Persów. A trzeba ich było przecie złowić, trzeba ich było wygubić za to, że śmieli nieświętą stopą kalać Iran. Posłano do nich tedy poselstwo, obiecano im bezpieczny odwrót; poprzysiężono zgodę i przysłano kosze z figami i inném jadłem dla wodzów. Figi były zatrute i wodzowie poginęli i choć Ksenofon Ateńczyk i teraz przebił się z dziesięcioma tysiącami nazad do Grecyi, król dzielny Artakserkses wyłapał wielu z tych, którym poprzysiągł przymierze, i czyniąc sobie z tego krotochwilę, kaleczył ich najohydniéj, oślepiając jednych, odcinając drugim ręce i nogi, trzecim wyrywając języki, i dał im niewolnice, by się z niemi pożenili.

Irańczycy błogosławili takiemu królowi, godnemu następcy Kajumarata, prawemu słudze Ormudza, i błagali Boga by takich mężów było najwięcéj aż do chwili, kiedy wieczność nastanie. Bo przyjdzie czas, że Zerwan nazad do siebie wciągnie Ormudza i archaniołów; i przyjdzie chwila, w któréj zło zgaśnie i walka ustanie. A wtedy wszelkie ciało zmartwychwstanie w czystości, i trwać będą wszystkie rzeczy bez zmiany przez wieczność w szczęściu. Wtedy z Zerwana wystąpią na nowo i Aryman i Ormudz, ale obaj jaśniejący i Mitra będzie ustanowiony na króla wszechrzeczy.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

STOSUNEK
WŁADYSŁAWA JAGIEŁŁY
DO HUSYTÓW CZESKICH *).

NAPISAŁ

Julian Sutowicz.

Ogniskiem husytyzmu zawsze jeszcze była Praga tak, iż kto w stolicy rej wodził, mógł poniekąd i całym krajem kierować. W Pradze tedy najzawzięciéj z sobą walczyły oba stronnictwa husyckie. Jedno i drugie ubiegało się o wyłączne panowanie; utrakwistom zaś chodziło przytém o tryumf jak najrychlejszy, aby nie opóźniać rządów Witolda, który nie chciał paktować z żywiołem demokratycznym, w taborzanach uosobionym, a mógłby i z tamtymi zerwać, gdyby się okazali słabszymi od swoich przeciwników. Filarem taborzan praskich był znany już nam ksiądz Jan, gorący zwolennik gminowładztwa. Przedewszystkiém więc tego człowieka postanowili utrakwiści bądźcobądź się pozbyć. Udało im się zrzucić z urzędu burmistrza i kilku radzców, przychylnych Janowi; a ustanowiwszy nowy rząd miejski, zwabili na ratusz nieszczęśliwego księdza, oraz niektórych jego wpływowych przyjaciół, pod pozorem jakiéjś narady. Tu z szyderstwem słuchali jego mowy, dopóki nie weszli zbrojni pachołcy, którzy go wnet pochwycili wraz z jego przyjaciołmi. Wtedy oświadczono mu, że musi umrzéć.

*) Dokończenie—patrz zeszyt za czerwiec r. b.

Tak się też stało, ścięto go jeszcze tego samego dnia 9 marca; umarł bez trwogi, dając przykład mężnéj rezygnacyi towarzyszom swojego losu. Skutkiem tego zamachu, stronnictwo umiarkowane odzyskało w Pradze przewagę, któréj jak się pokazało, nie zachwiał ani rozruch ludowy, wywołany straceniem księdza Jana, ani nawet wybór znowu innéj, z demokratów złożonéj rady miejskiéj [1]). Tymczasem Witold, naradziwszy się z Antonim Zeno, legatem papiezkim, zesłanym dla pośrednictwa w sporach między Krzyżakami a Polską i Litwą, wyprawił do papieża kanonika gnieźnieńskiego Marcina z listownem doniesieniem, że dla tego jedynie ujął się za Czechami, aby bez krwi rozlewu przywieść ich do pojednania z Kościołem. Prosił więc papieża o zdjęcie klątwy z narodu czeskiego i o łaskawe udzielenie glejtu posłom, którzyby wysłani zostali do Stolicy apostolskiéj; w końcu dodawał, że i synowca swego Zygmunta Korybuta zamierza do Czech wyprawić, jedynie aby w kraju tym przywrócić spokój i porządek. Mógł Witold o tyle w dobréj wierze pisać ten list, że trzymał z utrakwistami, którzy zawsze skłonni byli do zgody z Rzymem pod warunkiem zagwarantowania im czterech artykułów praskich. Jednakże słowa wielkiego księcia nie trafiły do przekonania Marcina V, który dowodził Witoldowi w liście z 20 czerwca tegoż roku, że do tronu czeskiego zamkną mu drogę książęta niemieccy; upominał go tedy, by zerwał z husytami, jeżeli nie chce, aby i przeciw niemu ogłoszoną była krucyata [2]). Ale Witold nie czekał na odpowiedź papiezką, tylko wydał odezwę, w któréj wszystkich życzących iść z Korybutem do Czech, zapraszał na oznaczony termin do Krakowa. Natychmiast Polacy i Rusini z okolic Lwowa zaczęli się gromadzić pod chorągwie Korybuta i w krótkim czasie zebrało się około 5000 ludzi. Tylu podówczas było przyjaciół husytyzmu w Polsce, że Jagiełło zezwolił na te zaciągi, chociaż duchowieństwo radziło mu inaczéj; jeżeli zaś mamy wierzyć doniesieniu niejakiego Zygfryda, lekarza cesarskiego, twierdził nawet, że sam papież rozkazał Korybutowi udać się do Czech dla pogodzenia z Kościołem obłąkanego narodu [3]).

W kwietniu, po świętach wielkanocnych, ruszył Korybut w drogę [4]). W Morawach oparło mu się miasto Uniczów; zdobył je szturmem, a doniósłszy ztąd narodowi, że przybywa jako namiestnik przyszłego króla Aleksandra Witolda, aby w jego imieniu dzierżyć i zasłaniać królestwo od nieprzyjaciół domowych i zagranicznych, wezwał stany na sejm do Czesławy. Sejm czesławski, wobec którego Korybut przyrzekł zachować cztery artykuły praskie, jednomyślnie uznał go namiestnikiem. Dnia 16 maja, książe odprawił uroczysty wjazd do stolicy, gdzie go nie-

[1]) Palacky.

[2]) Rajnald: *Annales ecclesiastici* tom X, Lucae 1753.

[3]) Długosz XI, 451; Grünhagen 19.

[4]) W lutym, mówi Palacky; ale to się nie zgadza z Długoszem, ani z relacyą rzeczonego Zygfryda.

tylko panowie ze stronnictwa utrakwistów, ale i cały lud z wielką powitał radością. Okazali mu wprawdzie niechęć owi radcy miejscy, którzy po zamordowaniu księdza Jana, dostali się byli do władzy; ale Korybut już trzeciego dnia po przybyciu do Pragi złożył ich z urzędu, a natomiast nowych powołał, co nastąpiło bez najmniejszego oporu. Pierwsze kroki księcia nacechowane były umiarkowaniem i roztropnością; nie odbierając władzy prawodawczéj, tak zwanéj wielkiéj gminie pragskiéj, utworzył z jéj grona wydział, którego uchwały uchodziły za postanowienia całéj gminy; przytém potrafił sobie zjednać Żyżkę. Ostatnia ta okoliczność szczególnie się przyczyniła do utwierdzenia powagi i popularności Korybuta. Świadectwa historyczne z owego czasu przemawiają na jego korzyść. Długosz i Eneasz Sylwiusz, którzy tu z jednego źródła czerpali mówią, że Korybut w krótkim czasie zaprowadził w stolicy porządek; przyjacielski i łaskawy dla szlachty i dla wszystkich, którzy spokojnie żyć chcieli, ostro karał wichrzycieli i złoczyńców. Ale po tak świetnych początkach rychło zaszły wypadki, które zachwiały stanowiskiem Korybuta. Wybrał się on z Prażanami i wojskiem, które z ojczyzny przyprowadził, na zdobycie Karlsztejna, aby odebrać przechowywane w tym zamku insygnia królewskie, nie wiedząc, że już były ztamtąd wywiezione. Podczas jego nieobecności panowie Bogusław z Krasikowa i Hwezda, alias Bzdinka z Wicencilic, przywódcy taborzan, wpadli do Pragi sądząc, że potrafią na swoję stronę lud przeciągnąć. Omylili się, mieszkańcy Starego Miasta odparli ich i wielu taborzan pojmali. Zawiadomiony o rozruchu, wrócił Korybut do Pragi i zarządził śledztwo. Spólnikom taborzan skonfiskowano dobra, a gdy wkrótce niektórzy z nich wyłamali drzwi więzienia, gdzie ujęci taborzanie siedzieli, chciał Korybut wszystkich téj nowéj swawoli winnych pokarać śmiercią. Już ścięto pięciu, tylko na głos pana Wilhelma Kostki wstrzymał się książe od dalszych egzekucyi. Niewczesna ta srogość w połączeniu z niefortunném oblężeniem Karlsztejna, które książe w listopadzie zakończyć musiał całoroczném zawieszeniem broni, odstręczyła od niego bardzo wielu. W czasie tych wypadków nie słychać o Żyżce: snadź na stronie się trzymał, a choć nic nie przedsiębrał przeciw Korybutowi, to mu jednak nie pomagał. Egzekucye pragskie nie mogły się Żyżce podobać, jako głowie taborzan; kroniki czeskie wprost mówią, że ztąd się wywiązała wojna między stolicą a taborzanami. Położenie Korybuta stało się tak nieznośném, że już w wigilią Bożego Narodzenia opuścił ze swojém wojskiem Pragę [1]). Wreszcie należy pamiętać, że jego misya tylko dopóty mogła mieć powodzenie, dopóki popieraną była przez Witolda, a od Jagiełły przynajmniéj tolerowaną; upadała zaś całkowicie w razie porozumienia jego stryjów z cesarzem.

Z woli Witolda i na jego wyłączną korzyść przedsięwzięta została wyprawa czeska, ale w Niemczech temu nie wierzono. I nie dziw: drużyna Korybuta składała się z poddanych Jagiełły, gromadziła się

[1]) Palacky.

w Krakowie, a król na wszystko pozwalał; za jego więc dzieło musiano uważać całe to przedsięwzięcie, do którego, jak mniemano, i Witolda wciągnął. Taki obrót sprawy husyckiéj zaniepokoił cesarza, tém bardziéj że krucyata, w lecie tego roku uchwalona w Niemczech za staraniem kardynała Brandy, nie wyszła poza stadyum uchwały; nie odniosło téż skutku wezwanie papiezkie, aby Jagiełło odwołał z Czech synowca. Rachował jeszcze Zygmunt na to, że odwieczne między Polską a Krzyżakami spory do nowéj wówczas nastrajały się wojny. W rzeczy saméj wybuchła wojna, a gdy król stanął obozem pod Gołubem w ziemi Chełmińskiéj, przyjechał do niego poseł cesarski i żądał odwołania Korybuta. Jagiełło odpowiedział wyliczeniem krzywd, które cesarz, opiekując się Krzyżakami, powyżądzał Polsce, a nie tłómacząc się wcale z czynności Korybuta, odesłał posła po informacye do Witolda. Wielki książe poczęstował posła hardem oświadczeniem, że ze swego ramienia i własnym kosztem wyprawił synowca do Czech, któremu, jeżeli trzeba będzie, dopomoże jeszcze orężem [1]). Ku większemu strapieniu Zygmunta nie dopisało szczęście Krzyżakom: traktat pokojowy, zawarty 27 września nad Melnem, włożył na nich obowiązek zwrócenia Polakom ziemi Nieszawskiéj, Litwinom, Żmudzi i Sudawii. Zaczął tedy Zygmunt starać się o zgodę z Jagiełłą. Ostatniego dnia listopada odbyła się w Lewoczy na Spiżu konferencya dostojników polskich z węgierskiemi, zakończona uchwaleniem zjazdu obu monarchów na przyszły rok w wielkim poście. Krzyżacy, którym nie chciało się dotrzymywać warunków melneńskich, najusilniejsze czynili zabiegi, by rokowania te zwichnąć. Jakoż potrafili skusić do przymierza z sobą zawsze Polsce nieprzychylnego cesarza, oraz wynarodowionych Piastów szlązkich; celem ligi zawiązanéj podobno w początkach roku 1423, było rozebranie Polski między sprzymierzeńców. Ale zuchwały projekt wnet upadł: węgierscy poddani Zygmunta nie mieli ochoty wojować z Polską dla miłości bezczelnego Zakonu, więc i Zygmunt nie zrywał rozpoczętych z królem polskim układów [2]). Chodziło mu o wyjednanie u króla pomocy przeciw husytom; a to żądanie jego poparł i kler polski na złożonym podówczas synodzie w Łęczycy. Proszone od Jagiełły o zasiłek pieniędzy, duchowieństwo uchwaliło dlań ze swoich dóbr tak zwane *subsidium charitativum*, lecz w zamian domagało się odwołania Korybuta i przystąpienia do krucyaty przeciw Czechom, około któréj ponownie krzątano się zagranicą. Jagiełło gotów był spełnić życzenia synodu, gdyż spodziewał się, że cesarz zaniecha nareszcie swoich konszachtów z Krzyżakami. Następował tedy w polityce polskiéj zwrot wyraźnie antyhusycki, wobec którego musiało również zmienić się stanowisko Witolda względem Czechów. Łatwo było Wielkiemu księciu opiekować się nimi za zgodą swojego zwierzchnika; ale trwać w téj roli wbrew odmiennemu postępowaniu dworu polskiego byłoby i niewygodnie i nie

[1]) Długosz, t. XI, str. 459.

[2]) Grünhagen, str. 37.

bardzo bezpiecznie. Przytém i w Czechach już nie szły rzeczy po jego myśli: taborzanie, przeciwni rządom monarchicznym, rośli w potęgę; Korybut nie mógł się utrzymać w Pradze. Należy wreszcie pamiętać, że i Witoldowi nie mało na tém zależało, aby cesarz Zygmunt przestał protegować Krzyżaków. Zważywszy to wszystko, nie dziw, że przystąpił do układów cesarza z królem, a nawet ze swojéj strony oświadczył się z chęcią zadośćuczynienia żądaniom synodu łęczyckiego [1]). Skoro się o tém dowiedziano w Pradze, przywódzcy utrakwistów wezwali Witolda, aby stosownie do przyrzeczeń, danych w jego imieniu przez Korybuta, przybył do Czech. Witold wykręcił się zarzutem, że naród czeski ciągle obstaje przy herezyi, a co do obietnic Korybuta, to ten za takowe sam winien odpowiadać. Tymczasem w miesiącu marcu 1423 r. odbył się pod Szramowicami, na granicy polsko-węgierskiéj, zjazd cesarza z Jagiełłą i Witoldem. Zygmunt odstąpił Krzyżaków, którzy dla tego musieli wykonać warunki melneńskie; zaś król polski i Witold zobowiązali się przyprowadzić na św. Jan posiłki przeciw husytom [2]). Niebawem Jagiełło odwołał z Czech Korybuta, a w maju wydał okólnik, zwołujący ochotników na wyprawę krzyżową. Ale nikt się nie stawił; daremnie król żalił się i prosił, aby w oczach świata nie narażano jego honoru, daremnie przypominał odpusty, jako nagrodę za bogobojny czyn tępienia heretyków: nie chciano w Polsce słyszeć o wojnie z husytami [3]).

Korybut, choć z niesmakiem, usłuchał rozkazu królewskiego, wrócił do kraju, a jak Pelzel pisze, dał nawet słowo Jagielle, że do spraw czeskich nie będzie się więcéj mieszał. Gdy mu jednak odmówiono ziemi Dobrzyńskiéj, o którą prosił w zamian za utracone wielkorządztwo w Czechach, wdał się w jakieś knowania, zdaje się, że werbował ochotników ku pomocy husytom [4]). To mu snadniéj szło, niż królowi nawoływanie do krucyaty, do któréj, mówiąc nawiasem, i w Niemczech się nie zabierano, bądź z obawy oręża czeskiego, bądź skutkiem chaotycznego stanu Rzeszy, który paraliżował wszelkie wspólne działanie jéj członków. Więc i Zygmunt już nie liczy na sejmy niemieckie, ale sprzymierza się ze swoim zięciem Albrechtem Habsburgiem, któremu za obiecane przeciw husytom posiłki puszcza Morawy, oznakami grzeczności ujmuje sobie Jagiełłę. W miesiącu lutym 1424 przyjechał do Krakowa na koronacyą jego czwartéj małżonki, królowéj Zofii. Monarcha polski, rad z takiego uświetnienia obchodu, po raz drugi zobowiązał się dostarczyć Zygmuntowi sił zbrojnych na wojnę czeską. Jak szczerze pragnął mu dopomódz, świadczy rozporządzenie

[1]) List papiezki do Wojciecha Jastrzębca, arcybiskupa gnieznieńskiego, u Rajnalda.

[2]) Grünhagen, str. 37.

[3]) *Monumenta medii aevi historica*, wyd. przez Akad. Umiejęt. w Krakowie, t. II, r. 1876, str. 56—57.

[4]) Długosz, t. XI, str. 472.

królewskie z dnia 9 kwietnia, którém zakazane zostały wszelkie stosunki poddanych polskich z Czechami, pod karą utraty majątku i prawa spadkobierstwa; komuby zaś dowiedziono herezyi, ten podpadał także karom, na kacerzy ustanowionym. Za tym groźnym edyktem wnet poszło wypowiedzenie wojny Czechom w imieniu Jagiełły i Witolda. Ale wszystko popsuł niebawem Korybut. Po jego odjeździe z Pragi, utrakwiści, pozbawieni reprezentanta władzy monarchicznéj, oraz nadziei poparcia z Polski i Litwy, wdali się w układy z taborzanami, a gdy takowe na niczem spełzy, weszli w stosunki z partyą cesarską. Chociaż i te rokowania nie odniosły skutku, bo utrakwiści przedewszystkiem obstawali za wolnością swego wyznania, jednakże taborzanie oburzyli się na nich z tego powodu bardziéj, niż kiedykolwiek, i zawrzała między obydwoma stronnictawami wojna domowa, w któréj szczególnie ślepy Żyżka dał uczuć krajowi ciężar swojego gniewu [1]). Znaczenie, które jeszcze przed paru laty Praga miała, przeszło teraz do taborzan. Przyciśnieni od swoich, zagrożeni przymierzem króla polskiego z cesarzem, postanowili utrakwiści, jak się zdaje, przynajmniéj ten alians rozerwać. W święto Zwiastowania Matki Boskiéj, wysłańcy ich przybyli do Wiślicy, gdzie stanąwszy przed królem, prosili, aby pozwolił Korybutowi wrócić do Czech. Rozumié się, że Jagiełło wręcz odmówił i jeszcze kazał, stosownie do upomnień Oleśnickiego, wyrzucić z miasta jakiegoś kaznodzieję husyckiego [2]).

Trudno przypuścić, żeby Czesi lepszego spodziewali się przyjęcia; niezawodnie chcieli tylko tém swojém poselstwem podać Zygmuntowi w podejrzenie szczerość królewską i tym sposobem pokłócić monarchów. Nic nie wskórawszy jawną prośbą, tajemnie wezwali Korybuta, aby objął rządy w Pradze. Książe usłuchał wezwania. W tym samym czasie, gdy Jagiełło zbierał posiłki dla Zygmunta, on wybrał się z Polski na czele 1500 ludzi i 29 czerwca przybył do Pragi [3]). Król oburzony położył areszt na dobra jego towarzyszy, oraz czémprędzéj rozpisał do papieża, cesarza i różnych książąt niemieckich listy, w których się zastrzegał przeciw posądzeniu o jakiekolwiek wspólnictwo z synowcem [4]). Słowa swoje poparł czynami. Wyprawił przeciw Czechom wojsko pod dowództwem Piotra Niedźwiedzkiego; nie sprzeciwił się klątwie, rzuconéj na Korybuta przez kardynała Brandę; a gdy papież, potwierdziwszy ekskomunikę, zażądał jeszcze od króla, aby i synowca i wszystkich jego wspólników ogłosił nieprzyjaciołmi wiary, stało się zadość woli papiezkiéj [5]). Pomimo to sprzymierzeńcy Jagiełły już nie mieli doń zaufania. Przytrafiło się też na jego nieszczęście, że niektórzy podkomendni Niedźwiedzkiego zbiegli do husytów; widząc to

[1]) Palacky.
[2]) Długosz, t. XI, str. 478.
[3]) Tenże, t. XI, str. 482.
[4]) *Monumenta*, t. II, str. 63—64.
[5]) Rajnald.

zięć cesarski Albrecht, z obawy, aby i całe wojsko polskie nie poszło za tym przykładem, zatrzymał je pod Ołomuńcem, tak iż nic nie zdziaławszy, wróciło niebawem do ojczyzny [1]). Wypadek ten dowiódł, że naród polski żadnym sposobem nie dałby się nakłonić do czynnego wystąpienia przeciw bratniemu plemieniu. Jagiełło, jak gdyby chcąc nagrodzić cesarzowi choć nie ze swojéj winy uczyniony zawód, starał się w innych sprawach być mu użytecznym; np. w roku 1426 posłał mu pod Braiłów 5000 wojska posiłkowego przeciw Turkom [2]). Pomimo to niewdzięczny Luksemburczyk znów zaczął Polsce szkodzić.

Powtórne rządy Korybuta trwały blizko trzy lata i wielce się różnią od pierwszych. Dawniéj, jako namiestnik spodziewanego monarchy, piastował władzę, która przynajmniéj z tytułu prawa na cały kraj się rozciągała; obecnie marzyło mu się o koronie, chciał, aby go nazywano królem elektem; ale téj pretensyi musiał w krótce zaniechać. Trudno określić jego ówczesny charakter urzędowy; Palacki mówi, że po prostu figurował, jako członek książęcego domu, lubiony w Pradze od pewnego stronnictwa. Więc téż i władzę jego uznawano tylko w Pradze i w miastach, które ze stolicą trzymały; ale jaki był jéj zakres, nie wiemy. W ogóle nader skąpe i niedokładne są wiadomości o tym drugim pobycie Korybuta w Czechach. W chwili, gdy przyjechał do Pragi, Żyżka był w otwartéj wojnie z utrakwistami; nareszcie powziął zamiar zburzenia stolicy, która jego zdaniem była gniazdem bezbożności, i we wrześniu ruszył pod Pragę. Książe wysłał doń deputacyą pod przewodnictwem wymownego księdza Rokiczany. Czy słowa tego kaznodziei, czy wzgląd na Korybuta, czy téż najprawdopodobniéj trudność wykonania barbarzyńskiego zamysłu, dość że Żyżka, jakkolwiek niechętnie, zawarł z Prażanami pokój, o którym jednak przepowiedział, że nie długo potrwa. Wnet potém z połączonemi siłami Prażan i swoich, w towarzystwie Korybuta pociągnął na Morawy przeciw Albrechtowi austryackiemu. Tu 11 października zaskoczyła go śmierć pod zamkiem Przybysławiem; z żalu po zmarłym wodzu żołnierze jego przezwali się sierotkami. Przepowiednia Żyżki, co do owéj zgody pragskiéj, prędko się ziściła, zwłaszcza że taborzanom zaczął hetmanić ksiądz Prokop Łysy, późniéj dla swoich zwycięztw Wielkim nazwany, zacięty wróg obłudników, jak się wyrażał w ostatnich latach Żyżka o wszystkich umiarkowanych. Pierwsza połowa roku 1425 zeszła na ubijatyce skrajnych sekciarzy z utrakwistami w różnych częściach kraju; przytém już nie same względy religijne, choć te zawsze, jako przyczynę, podawano, lecz nadto socyalne, mianowicie właśnie między szlachtą a ludem, były powodem walki. W końcu marca znowu groziło Pradze niebezpieczeństwo od sierotek i innych taborzan, ale szczęśliwie uchyloném zostało. W lecie ucichła wojna domowa, w jesieni znowu wybuchła. W miesiącu październiku udało się Korybu-

[1]) Palacky.
[2]) Długosz, t. XI, str. 494.

towi zawrzeć z radykalistami pokój i postanowiono zwołać do Pragi sejm, który istotnie odbył się w początkach roku 1426 przy współudziale wszystkich stronnictw husyckich, a nawet niektórych katolików; Korybut kierował obradami, ale co na tym sejmie uchwalono, nie wiemy. Z późniejszéj nieco odezwy taborzan można wnosić, że była tam mowa o porozumieniu się sekt za pomocą dysputy—środek, przez wszystkie stronnictwa religijne praktykowany, a zawsze bezskutecznie. Natomiast zgodnie i energicznie wystąpili husyci przeciw sprzymierzeńcom cesarskim, Albrechtowi austryackiemu i Fryderykowi miśnieńskiemu. Dnia 16 czerwca zaszła pod Ujściem nad Elbą krwawa bitwa, w któréj Korybut dowodził Prażanami, a Prokop taborzanami, pobito Niemców na głowę. Prokop chciał korzystać ze zwycięztwa, ścigać Niemców w ich własnym kraju; ale oparli się temu Prażanie z Korybutem, oblegli Gniewin (Brüx) i nic nie wskórawszy, ze znacznemi stratami cofnęli się do domu. W kilka miesięcy potém Albrecht, zgromadziwszy około 40,000 wojska, obległ Lundenburg; lecz Prokop, któremu szczęście wojenne wierniéj służyło, niż samemu Żyżce, zmusił go do ustąpienia. Mamy wiadomość, że podczas tego oblężenia Prażanie rokowali przez posłów z Zygmuntem. Jaki w tém miał udział Korybut, nie wiadomo; zdaje się jednak, że nie był przeciwny układom. Opuszczony od stryjów, popierany jedynie przez szlachtę utrakwistyczną, słabą wobec taborzan, którymi dowodził genialny Prokop, nie obiecywał on już sobie panowania w Czechach, chciał więc zasłużyć przynajmniéj na chwałę pojednawcy husytów z Kościołem. Za jego współudziałem, jak mniema Palacki, wynurzyło się w Pradze niewielkie stronnictwo, które gotowe było wrócić do posłuszeństwa Stolicy Apostolskiéj, byle ta pozwoliła używać Komunii pod dwiema postaciami. Z propozycyami w tym duchu wysłał Korybut tajemne poselstwo do Rzymu. Papież nie odpychał Czechów, żądał wszakże, aby się poddali wyrokowi Kościoła, a powoływał Jagiełłę i Witolda na pośredników w téj sprawie, ponieważ do nich, jak się wyrażał, mieli Czesi więcéj zaufania, niż do cesarza Zygmunta. Omylił się Korybut, rachując na jakie takie siły stronnictwa ugodowego: skromna uległość Rzymowi nie zgadzała się z widokami większości utrakwistów. O zamiarach księcia zaczęły krążyć pogłoski, nareszcie przejęto jego listy, które Rokiczana odczytał ludowi z ambony na kazaniu 17 kwietnia 1427; stał się rozruch, Korybuta uwięziono, najprzód w Pradze, a potém w największéj tajemnicy odesłano na zamek Waldstein. Tak nędznie skończył się drugi okres jego działalności w Czechach. Słusznie można poczytać Korybutowi za winę, że zbyt lekkomyślnie rzucił się w wir wypadków, nad któremi zapanować nie było w jego mocy. Bez należytéj powagi, wobec narodu, którego większość traktowała go obojętnie lub nieżyczliwie, znalazł się prawie odrazu w pozycyi fałszywéj, z któréj może wyjścia szukając, chciał wszystkie stronnictwa godzić, między wszystkiemi chciał być rozjemcą i pośrednikiem; rola nader niewdzięczna, gdyż stronnictwa husyckie tylko chwilowo łączyły się z sobą dla odwrócenia niebezpie-

czeństwa zewnątrz grożącego, dla Korybuta zaś tém trudniejsza, że sam był głową, jeżeli raczéj nie narzędziem, tylko jednéj i to dość słabéj partyi.

O dalszych jego losach niżéj wspomnę; tu nadmienię tylko, że więzienie jego nie długo trwało. Przychylni mu panowie, nie spodziewając się, żeby gorliwi husyci wypuścili księcia, weszli w porozumienie z katolikami, z którymi ułożyli plan wspólnego opanowania Pragi, pod warunkiem przywrócenia wolności Korybutowi. Zamiar nie powiódł się, ponieważ jeden ze spiskowych, Wilhelm Kostka, ostrzegł Prażan; inni sprzysiężeni, nie wiedząc o zdradzie, wpadli do miasta i zostali odparci. Ale husyci, chcąc na przyszłość udaremnić podobne zamachy ze strony przyjaciół Korybuta, uwolnili go dobrowolnie 9 września i pod strażą odprowadzili do granicy [1]).

Klęska pod Ujściem przeraziła Niemców, lecz zarazem obudziła w nich gwałtowne pragnienie odwetu. Pomimo że cesarz Zygmunt przesiadywał w swojém królestwie Węgierskiém, zagrożoném od Turków, a na sprawę czeską mniéj pilne miał oko, zajęli się nią książęta Rzeszy, aż nareszcie w lecie 1427 r. przyszła do skutku krucyata, około któréj papież od lat kilku daremnie się krzątał. Była to już czwarta z kolei. Zebrały się liczne wojska; ze czterech stron postanowiono jednocześnie wkroczyć do Czech. Jednakże i tym razem nadzieje, w niemieckim położone orężu, najzupełniéj zawiodły: na sam widok husytów, pierzchli Krzyżowcy zpod miasta Tachau dnia 4 sierpnia, a tysiące ich zginęło w ucieczce od miecza czeskiego. Od téj chwili husyci stanowczo przechodzą do działań zaczepnych; w roku 1428 widzimy ich wojska, zawsze zwycięzkie w Węgrzech, w Austryi, w Bawaryi, na Szlązku. Wszędzie srodze dokazywały te zastępy, złożone przeważnie z taborzan, szczególnie zaś dawały się we znaki księżom katolickim i zakonnikom. Dwór polski, zrażony niefortunną Niedźwiedzkiego wyprawą, przez lat cztery biernie się przypatrywał wypadkom czeskim, pomimo nawoływań papieża do wojny z heretykami; nawet duchowieństwo nie było za krucyatą: w roku 1425 synod łęczycki odmówił na ten cel pieniędzy, pod pozorem, że papież nic ze swego nie chciał dołożyć [2]). Ale skoro husyci w straszliwych swoich wycieczkach do obcych krajów, otarli się o bramy Polski, wnet rozkazuje król wszystkim ziemianom, nawet z najodleglejszych prowincyi litewskich i ruskich, jako też wojewodzie mołdawskiemu, aby gotowi byli do wystąpienia przeciw kacerzom; znosi się również w téj sprawie z cesarzem Zygmuntem [3]). Religijna żarliwość monarchy zgadzała się w tym wypadku z interesem kraju. Do wojsk husyckich nacisnęło się już wówczas niemało rozpustnéj hałastry, która jedynie dla rabunku i mor-

[1]) Palacky.

[2]) Długosz, t. XI, str. 486.

[3]) List królewski do księcia Konrada Oleśnickiego, z 1 kwietnia 1428 roku, u Grünhagena, str. 60.

dów ciągnęła na wojnę, nie przepuszczając ani swoim, ani obcym. Ale to jeszcze było złe najmniejsze; daleko większém, bo wywrotem społecznym, groziły praktykowane przez radykalistów czeskich teorye antymonarchiczne i antykościelne, które tém bardziéj króla niepokoiły, że i w Polsce znaleźli się ich wyznawcy. Taborzanom to, nie utrakwistom, sekundował w tym czasie Dobiesław Puchała w towarzystwie dwu innych awanturników. Jednym był Fedko, książę ostrogski, który dla jakiéjś skrytéj winy umknąwszy do Czech, przyswoił sobie tam język i obyczaje krajowe; drugim Korybut, którego pewnie uraza do utrakwistów z powodu uwięzienia, pchnęła w szeregi taborzan.

Wespół z Fedkiem Korybut pustoszył w roku 1428 Morawy, a ztamtąd udał się razem z Puchałą na Szlązk, gdzie się z nimi połączyć mieli ochotnicy z Polski [1]). Było więc dlaczego zbroić się przeciw husytom. Ale przewrotność cesarza Zygmunta sprawiła, że Jagiełło musiał niebawem zaniechać wszelkich przeciw nim kroków. Zamarzyło się podówczas Witoldowi o koronie litewskiéj, a cesarz, zawsze gotów szkodzić Polsce, ilekroć sposobność się nadarzyła, gorliwie ten jego zamiar zaczął popierać. Na zjeździe łuckim w styczniu 1429 r. stanęła między nimi ugoda, na którą, dla łatwiejszego dopięcia celu, omal nie wyłudzili zezwolenia samego Jagiełły. Witold miał cesarzowi użyczyć posiłków przeciw Czechom, a zato otrzymać od niego insygnia królewskie. Za koronacyą Witolda wnetby pójść musiało oderwanie się państwa litewsko-ruskiego od Polski. Niedziw tedy, że zamiast o wojnie z husytami, doradzcy Jagiełły myśleli raczéj o użyciu ich przeciw tym, co tak morderczy cios Polsce zadać chcieli. To było powodem, że gdy w latach 1429 i 1430 Husyci zagarnęli część Szlązka, Jagiełło nietylko się nie zrażał tak blizkiém sąsiedztwem heretyków, ale nawet nie powściągał bratających się z nimi swoich poddanych. Więc Korybut bezkarnie zajął Gliwice, jakiś Piotr Polak opanował Niemczę, Kuczbork w pobliżu polskiéj granicy jeszcze wcześniéj podobno dostał się w ręce Puchały. Nawet gorsze sprawki płazem uchodziły.

Podczas świąt Wielkanocnych 1430 r., oddział zbrojny, złożony z Polaków, Czechów i Szlązaków, pod dowództwem Fedka Ostrogskiego, Jakóba Nadobnego z Rogowa herbu Działosza i Jana Kuropatwy z Łańcuchowa Śreniawity, najechał Paulinów w Częstochowie, poniszczył sprzęty kościelne i posiekał cudowny obraz Matki Boskiéj; następnego zaś roku Kartuzi w Lechnicy, na pograniczu węgierskiém, doświadczyli podobnego napadu od Korybuta, Zawiszy z Wrząsowic i Wierzbięty z Przyszowy [2]). Bulle z 1 października i 13 listopada 1430 r., którémi papież wzywał Jagiełłę i Witolda do krucyaty przeciw kacerzom, król ignorował; owszem, pozwalał husytom zakupywać w Polsce broń, konie i inne rekwizyta wojenne, o czém Witold z ubolewaniem pisał do mistrza Krzyżackiego [3]).

---

[1]) *Monumenta*, t. II, str. 67.
[2]) Długosz, t. XI, str. 453.
[3]) Daniłowicz, t. II, str. 107.

W chwili wydania bulli listopadowéj, Wielki książę litewski już nie żył; umarł 27 października w Trokach. A chociaż na krótko przed śmiercią pojednał się z królem, nie zabrał wszakże z sobą do grobu swojéj polityki separatystycznéj. Znalazł się jéj kontynuator, daleko mniéj zdolny, lecz o wiele gwałtowniejszy, w osobie Świdrygiełły, rodzonego brata królewskiego, którego Jagiełło wyniósł na wielkie księztwo bez wiedzy panów koronnych, bądźto powodowany przywiązaniem braterskiém, bądź przez wzgląd na Rusinów, którzy stanowili większość w państwie Litewskiém, a Świdrygiełłę bardzo lubili [1]). Ten związał się natychmiast z cesarzem i Krzyżakami; z królem zaś, który wtedy na Litwie przebywał, tak się obszedł, iż po ościennych krajach rozbiegła się wieść, że go uwięził. Istotnie groził mu więzieniem, a nawet śmiercią. Skoro więc Jagiełło wrócił do Polski z początkiem roku 1431, wnet okazał Czechom pewną łaskawość: przyjął bowiem do swojéj rady Korybuta i wraz z Puchałą postawił go na czele zbrojnych oddziałów dla pilnowania granicy od Krzyżaków [2]). Za pośrednictwem téż synowca, zezwolił na dysputę religijną husytów z katolikami w Krakowie w miesiącu marcu. Wprawdzie papież nie myślał o żadnych ustępstwach dla heretyków, lecz widząc niepodobieństwo zwalczenia ich siłą oręża, nie sprzeciwiał się użyciu środków łagodnych, zawsze jednak z zastrzeżeniem, że odszczepieńcy bezwarunkowo powrócić muszą do nauki Kościoła. Husyci, chociaż zwycięzcy, nie odrzucali pojednania z Kościołem, ale na podstawie całkiem odmiennéj. Między nimi a katolikami mogła, ich zdaniem, tylko biblia rozstrzygać, nie kościół rzymski, który w toczącéj się sprawie był jedną ze stron; na téj zasadzie żądali dysput i zgadzali się na wyrok soboru, właśnie zwołanego do Bazylei. Rozumie się, że skoro obie strony wychodziły ze sprzecznych punktów zapatrywania, trudno było o zgodę. Dowiodła tego rozmowa religijna, odbyta 1429 r. w Preszburgu, w obecności cesarza Zygmunta. Nie lepiéj i rozmowa krakowska wróżyła, otwarta 19 marca, zakończona pierwszych dni kwietnia. Biskup krakowski Zbigniew Oleśnicki obłożył miasto interdyktem na cały czas pobytu husytów, tak, iż za nadejściem świąt wielkanocnych, ażeby w stolicy mogło się odprawić uroczyste nabożeństwo, musiał Jagiełło osadzić delegowanych czeskich na Kazimierzu. Przywodził im sam Prokop Wielki, przeciw któremu występowali: Stanisław ze Skarbimirza, Jakób z Paradyża i inni co bieglejsi doktorowie i profesorowie wszechnicy Krakowskiéj. Zabierał głos nawet Jagiełło, przypominając Czechom, jak niegdyś kwitło ich królestwo, a jak niezgoda pochyliła je do upadku. Ostateczny wynik dysputy był ten, iż Czesi oświadczyli, że udadzą się do Bazylei, jeżeli sobór przyrzecze, że za podstawę dyskusyi w sprawie husyckiéj przyjmie Pismo Święte i doktorów Kościoła na niém się opierających; zaś teologowie krakowscy zażądali od Czechów

[1]) Długosz, t. XI, str. 559.
[2]) Tenże, t. XI, str. 578.

bezwarunkowego poddania się wyrokowi soboru. O przebiegu dysputy zawiadomił król obu naczelników świata katolickiego, papieża i cesarza. Ten drugi odpisał listem, datowanym z Chebu, prawdopodobnie w miesiącu maju, a świadczącym jak naprężony był stosunek cesarza do monarchy polskiego. Pisze najprzód Zygmunt, że posłowie czescy inaczéj mu rzecz opowiedzieli, niż król w swoim liście; następnie skarży się, że Polacy wspólnie z Husytami trzymają zamki szlązkie; król zaś pozwala Husytom sprzedawać w Krakowie łupy wojenne i zaopatrywać się w potrzeby [1]).

Niedziw, że Jagiełło pobłażał Husytom; zważywszy, ilu Polska miała nieprzyjaciół, dziwić się raczéj należy z katolickich uczuć wypływającéj skrupulatności monarchy, że już wówczas nie zawarł z husytami przymierza. Świdrygiełło wszczął wojnę, a kiedy się ta na Wołyniu srożyła, sprzymierzeńcy jego Krzyżacy, wpadli niespodzianie do Korony pustosząc Kujawy i Wielkopolskę; wchodził nadto w związki z hospodarem wołoskim, z chanem tatarskim, układał się z cesarzem o koronę litewską, którą chytry Luksemburczyk łudził Wielkiego księcia, ażeby ten na szkodę Polski trwał w sojuszu z Zakonem [2]). Król zgrzybiały, przytém z widocznym wstrętem dobywający oręża na rodzonego brata, nie przedsiębrał kroków dość energicznych tak, iż nareszcie rada koronna musiała uknuć spisek w celu zrzucenia buntownika z wielkiego księztwa. Porozumiano się tym końcem z Zygmuntem Kiejstutowiczem, bratem Witolda, panem na Starodubiu, który niezwłocznie zebrawszy swoich stronników, tak nagle napadł Świdrygiełłę w Oszmianie ostatniego dnia sierpnia 1432 r., iż ten ledwie zdołał uciec do Połocka. Wkrótce potém Zygmunt Kiejstutowicz uroczyście został osadzony na wielkorządztwie litewskiém. Ale Świdrygiełło nie opuścił swéj sprawy: nanowo zapalił wojnę domową, która ogarnęła wszystkie kraje litewsko-ruskie, a któréj końca sędziwy król już nie dożył. I znowu Krzyżacy i cesarz i Tatarzy i Wołosza, bądź jawnie, bądź tajemnie wspierali niebezpiecznego wichrzyciela. Gdy tak Polska ze wszystkich stron była otoczona wrogami, a jednak jéj monarcha nie podawał jeszcze ręki Czechom, choć każdéj chwili gotowym do usług, cesarz, który bezustanku oskarżał Jagiełłę o sprzyjanie kacerzom, sam już od lat kilku z nimi się układał. Wprawdzie nie porzucał także, szczególnie za wpływem papiezkim, zamiaru poskromienia ich orężem; jakoż przyszła do skutku jeszcze jedna, piąta i ostatnia krucyata w roku 1431. Ale gdy i ta wyprawa, jak wszystkie poprzednie, skończyła się srogiém pobiciem Niemców pod Domażlicami, wtedy skłonniejszym do zgody i Kościół się okazał i wystosował do Czechów zaproszenie na sobór bazylejski. Rokowania, które się ztąd wywiązały, co do wysłania deputacyi husyckiéj na sobór, ciągnęły się przez cały rok, gdyż

[1]) Palacky.

[2]) Długosz, t. XI, str. 592; Daniłowicz, t. II. nr. 1556, 1562, 1594, 1617.

Czesi nie chcieli przystać na powszechne zawieszenie broni ze swymi nieprzyjaciołmi, czego właśnie domagało się zgromadzenie bazylejskie. Nie ustawały zatém ich wyprawy do Węgier, do Brandeburgii, na Szlązk [1]). Podczas wyprawy szlązkiéj w lecie 1432 r. świetne poselstwo husyckie znowu ofiarowało Jagielle tron czeski. Tym razem i duchowieństwo polskie nie sprzeciwiało się przyjacielskim stosunkom króla z heretykami, miało bowiem przed oczyma świeży przykład tolerancyi ze strony soboru bazylejskiego. Wyjątek stanowił tylko Zbigniew Oleśnicki, który za przybyciem posłów czeskich do Krakowa, wnet rzucił na miasto interdykt. Kler krakowski, jakkolwiek niechętnie, zastosował się do rozporządzenia swojego biskupa; ale król tak się rozgniewał na Oleśnickiego, iż ten lękał się podobno o swoje życie [2]).

Ofiarowanego sobie tronu Jagiełło nie przyjął. Natomiast stanęło przymierze między Polską a Czechami w miesiącu lipcu, o czém niejaki Maltitz, ajent krzyżacki, jeszcze w czerwcu ostrzegał wielkiego mistrza, twierdząc, że przymierze to nasamprzód będzie zwrócone przeciw Zakonowi [3]). Nawiasem godzi się wspomnieć, że posłowie czescy zanosili jakieś prośby za Korybutem, który po owéj dyspucie krakowskiéj katolików z husytami, może nie kontent z jéj wyniku, opuścił był Polskę ze śmieszną pogróżką, wystosowaną do ś. Stanisława i tém zapewne ściągnął na siebie niełaskę królewską [4]). Udał się do Czech, bił się pod Domażlicami; ale gdzie się potém obracał, niewiadomo: miał podobno przesiadywać w Dobrzyniu. Ostatni raz widzimy go, jako stronnika Świdrygiełły, w bitwie pod Wiłkomierzem, którą ten stoczył 1 września 1435 r. z Zygmuntem Kiejstutowiczem. Porażony Świdrygiełło uciekł, Korybut zaś dostał się do niewoli i umarł z ran odniesionych [5]).

Przyjaźń z Czechami zachował Jagiełło aż do śmierci. W roku 1433, jak świadczy spółczesny Windek, biograf cesarza Zygmunta, była mowa o wyniesieniu na tron czeski starszego syna królewskiego. Naturalnie ściągało to na króla ze strony cesarza, jako téż Zakonu krzyżackiego, zwykłe krzyki o sprzyjanie heretykom, w skutek czego sobór bazylejski, przed który oskarżenia te wytaczano, słał do Jagiełły poselstwa [6]). Skargi Zygmunta wypływały głównie z obawy, żeby Czechy nie połączyły się z Polską pod jedném berłem. Ale Jagiełło o tém nie myślał; poprzestał na użyciu posiłków czeskich podczas krwawych zaburzeń, które wywołał Świdrygiełło po swojém strąceniu z wielkiego księztwa. Już wkrótce po zawarciu przymierza z królem polskim, panowie czescy Jan Czapek i Otik wypowiedzieli w imieniu

[1]) Palacky.
[2]) Długosz, t. XI, str. 606; *Monumenta*, t. II, str. 75—76.
[3]) Grünhagen, str. 109.
[4]) Długosz, t. XI, str. 579.
[5]) Stadnicki: *Bracia Władysława Jagiełły*, Lwów 1867.
[6]) Długosz, t. XI, str. 623.

wszystkich husytów wojnę Krzyżakom, jako spólnikom i sprzymierzeńcom cesarza Zygmunta. Jak wszakże nieskorym był Jagiełło do korzystania z téj okoliczności, dowodzi fakt, że kazał zasiekami poprzecinać husytom drogi do Węgier, ażeby napadami swojemi nie trapili narodu, wprawdzie z Polską zaprzyjaźnionego, lecz którego monarcha był jéj wrogiem. A i pomoc husycką przeciw Krzyżakom przyjął dopiéro w roku 1433, gdy ci po raz drugi jawnie ze Świdrygiełłą się związali.

Pierwszych dni czerwca Czapek wkroczył na czele 8,000 ludzi do Nowéj Marchii i tu się połączył z Sędziwojem Ostrorogiem, kasztelanem poznańskim. Zdobyli dwanaście miast, a całę okolicę obrócili w perzynę. Postępując daléj, opanowali Pelpin; w sierpniu wzięli Tczew, gdzie Czapek spalić kazał wszystkich pojmanych zaciężników krzyżackich czeskiéj narodowości, za to, że się sprzedali w służbę Niemcom do walki przeciw bratniemu plemieniu polskiemu.

W początkach września sprzymierzone wojska stały pod Gdańskiem i spaliły klasztor Oliwski. Widok morza sprawił wielką radość żołnierzom: brodzili w jego nurtach, a niejeden Czech naczerpał wody mody morskiéj, aby tę pamiątkę szczęśliwéj wyprawy do domu zanieść [1]). Przyciśnieni Krzyżacy, błagali o pokój. Ale trwała z nimi ugoda stanąć nie mogła; więc tylko rozejm trzymiesięczny zawarto, który następnie w Brześciu Kujawskim przedłużono do lat dwunastu [2]).

W skreślonym dopiero zarysie stosunków dworu polskiego z husytami czeskimi, nie bez przyczyny ograniczyłem się do czasów Władysława Jagiełły. Za panowania tego króla husytyzm począł się, dobiegł pełni swéj mocy i pochylił się do upadku, bo właśnie w przeddzień śmierci Jagiełły Czesi stoczyli z sobą bratobójczą walkę pod Lipanem, w któréj taborzanie na głowę zostali pobici, a ich sławny wódz Prokop Wielki poległ razem ze swym towarzyszem Prokopem Małym. Śmiertelna klęska tego stronnictwa ułatwiła jego nieprzyjaciołom, utrakwistom, pojednanie z katolikami. Oczyszczony z radykalizmu, ujęty w karby warunków ugodowych, które Kościół rzymski usankcyonował w tak zwanych kompaktatach bazylejskich, husytyzm istnieje odtąd, jako odmiana katolicyzmu, ani Kościołowi, ani porządkowi społecznemu nieszkodliwa, chyba tylko Niemcom niedogodna, jako wyraz oppozycyi żywiołu słowiańskiego przeciw germanizmowi, oraz nieustające przypomnienie tylu bitew przegranych. Cicho, spokojnie wiedzie husytyzm swój żywot przez lat trzydzieści aż do chwili, w któréj zbytnia żarliwość papieży zrobiła z niego po raz drugi kwestyą religijną, i znowu społeczność czeska rozdzieliła się na prawowiernych i kacerzy, znowu walka zawrzała. Obraz tych ponownych zapasów husytyzmu z katolicyzmem, w których i Polska ważną odegrała rolę, podałem gdzieindziéj [3]).

---

[1]) Długosz t. XI, str. 624—636; Voigt: *Geschichte Preussens*, t. VII.

[2]) Dogiel, t. IV.

[3]) *Walka Kazimierza Jagiellończyka z Maciejem Korwinem o koronę czeską.* Kraków 1877 r.

Wracam do Władysława Jagiełły, ażeby w krótkości ocenić jego politykę w sprawie husyckiéj. Czesi z natarczywością garnęli się pod rządy króla polskiego, a za spełnieniem ich życzeń nie tylko przemawiało żywe dla nich spółczucie Polaków, ale i wspólna obu narodom walka z Niemcami. Król zaś tak mało sobie ważył te względy, że raz nawet wbrew im postąpił, prawda, że niefortunnie, bo nie zdołał w poddanych swoich pokonać wstrętu do wojny z pobratymcami; tyle wszakże dokazał, że wyjąwszy garstkę ochotników, cała Polska bezczynnie się przyglądała krwawym wysileniom swych spółszczepowców. Mniejsza o wrogich nam krzykaczy, którzy niezawodnie zużytkują tę okoliczność, aby jeszcze raz równie fałszywie, jak bezrozumnie obwołać nas zdrajcami Słowiańszczyzny. Tym ludziom niepodobna byłoby wytłómaczyć, że monarcha katolickiego narodu, przytém sam dobry katolik, nie mógł wziąć w opiekę zbuntowanych synów swojego Kościoła; wedle ich osobliwszego mniemania, katolicyzm a Słowianszczyzna, to dwie rzeczy, nie dające się obok siebie pomyśleć. Ale między nami znajdą się może, co powiedzą, że Jagiełło, skrupułami religijnemi zaślepiony, przeoczył pierwszorzędny interes własnego narodu. Powiedzą, że gdyby był przyjął ofiarowaną sobie koronę św. Wacława, pozyskałby w Czechach dzielnych pomocników do wyparcia z Prus zakonu krzyżackiego i przywrócenia tych ziem Polsce, a tak oszczędziłby krajowi zgubnych następstw, jakie wypłynęły z dalszego istnienia tego zawziętego wroga imienia polskiego. Powiedzą, że połączenie Czech z Polską pod jedném berłem byłoby na zawsze położyło tamę zaborczéj dążności Niemców ku wschodowi. Otóż pamiętając o warunku, pod jakim Czesi tego połączenia pragnęli, mianowicie, aby król polski wziął w obronę ich odszczepieństwo, zastanówmy się, jakie właściwie owoce zebrałaby Polska ze związku, takim warunkiem opisanego. Odszczepieństwo czeskie dwojakie było, umiarkowane i radykalne, a przepaść między obojgiem tak wielka, że kto się za jedném oświadczał, tém samém stawał się wrogiem drugiego. Rozumie się, że Jagiełło żadnym sposobem nie mógłby popierać stronnictwa radykalnego, tak ze względów religijnych jak politycznych, chybaby otwarcie musiał zerwać z Kościołem, albo własnemi rękami podkopać i tak już w Polsce nieco zachwianą monarchiczną społeczeństwa budowę. Ale chociażby się był ujął za samymi utrakwistami, przyjmując z ich rąk panowanie w Czechach, to pomijając już niechybną wojnę o koronę tego kraju z cesarzem Zygmuntem i całą Rzeszą Niemiecką, nie uniknąłby gniewu papieża, za czemby poszło, że krucyaty, które na Czechy spadały, nie ominęłyby i Polski; w domu popadłby w niebezpieczny zatarg z duchowieństwem i wszystkimi gorliwymi katolikami, a w Czechach miałby jeszcze do walczenia z taborzanami. Tyle więc trudności pokonać należało, nimby przybrany przez Jagiełłę tytuł króla czeskiego, rzeczywiście zaczął oznaczać zjednoczenie dwu bratnich narodów. Mógłby ktokolwiek zrobić uwagę, że skoro Czesi bez niczyjéj pomocy pobili i Zygmunta i Krzyżowców, tém łatwiéj w spółce z nimi dokazałby tego samego Jagiełło, a używa-

jąc zręcznie spółczucia swojego narodu dla Czechów, potrafiłby i opór polskich katolików złamać. Być może, przypuśćmy, że stłumiłby nawet skrajne sekciarstwo husyckie, tak iż dzięki interwencyi polskiéj, świat katolicki miałby do czynienia tylko z husytyzmem umiarkowanym, łagodnym, wolnym od wszelkich dziwactw i potworności. Ale czy wojna religijna byłaby dla tego mniéj zacięta? Czy łatwiéj i prędzéj przyszłoby do pokoju? Sądziłbym, że nie; bo i umiarkowani husyci, stawszy się skutkiem tejże interwencyi panami Czech, przytém moralnie pokrzepiani nadzieją zhusycenia Polski, do któréj wstęp ich nauce ułatwiałaby unia obojga narodów, nie bardzoby się troszczyli o ugodę z katolikami. Jak przykre ztąd wywiązałyby się między Polską a Rzymem stosunki, jakie w kraju zamieszanie, ile sumień zaniepokojonych, każdy to pojmie. Ale i po zawarciu pokoju religijnego nie miałaby Polska miru w świecie katolickim, gdyż słusznieby jéj zarzucano, że przyczyniła się do zwycięztwa herezyi.

Nie na tém wszakże koniec. Wspomniałem, że istotną podwaliną ówczesnéj wielkości Polski było szerzenie w krajach litewsko-ruskich cywilizacyi, oczywiście téj, którą Polska sama żyła, cywilizacyi katolickiéj. Do téj misyi przyznawali się także Krzyżacy, i rzeczywiście byli do niéj powołani; lecz ponieważ nigdy jéj nie pełnili, tylko używali jako narzędzia swojéj bezecnéj polityki, więc została im odebrana przez Polskę, która tém moralném zwycięztwem daleko skuteczniéj, niż pod Grunwaldem, pobiła Zakon, a przez to i parciu Niemczyzny ku Wschodowi na długie czasy postawiła zaporę. Gdyby się zaś podjęła bronienia sprawy, potępionéj przez Kościół, nietylkoby sobie utrudniła ową misyą, źródło swojéj potęgi, ale co gorsza, wlałaby nowe życie w butwiejący organizm swego odwiecznego nieprzyjaciela. Wszakże i wtedy, gdy nieużyteczność Zakonu już dla nikogo nie była tajemnicą, Stolica Apostolska nieraz mu udzielała poparcia w jego zatargach z Polską. Cóż dopiero, gdyby choć pozornie odzyskał racyą bytu? zamiast widzieć w Krzyżakach szkodliwych, do szczętu zdemoralizowanych pasorzytów, cały świat katolicki znowuby w nich ujrzał obrońców wiary, apostołów cywilizacyi; znowu przyszłyby dla nich czasy świetności i siły, a groźnych niebezpieczeństw dla Polski. Mądrze więc uczynił Jagiełło, że prośby Czechów odrzucił. Uchronił on tym sposobem swój naród od nieobliczonych klęsk, a nawet i Czechom pod pewnym względem oddał usługę. Jeżeli bowiem husytyzm zasłaniał ich kraj przed niemiecką przemocą, to dla Polski opiekowanie się husytyzmem, wręcz przeciwny miałoby skutek; wzmocnienie zaś u jéj granic żywiołu niemieckiego, przy połączeniu obu państw pod rządami jednego monarchy, nie omieszkałoby i na Czechach szkodliwie się odbić.

WARSZAWA,

JÉJ ŻYCIE UMYSŁOWE I RUCH LITERACKI

W CIĄGU LAT TRZYDZIESTU *).

(od 1800 — 1830 r.).

PRZEZ

K. Wł. Wójcickiego.

Ćwiczenia naukowe.—Teodozy Sierociński.—Tymon Zaborowski.—Zoryan Dołęga Chodakowski.—Część literacka.—Rozprawa T. Sierocińskiego.—O Słowiańszczyznie przedchrześciańskiéj Z. D. Chodakowskiego.—Poemat T. Zaborowskiego.—Józef Korzeniowski.—Gazeta Literacka.—Dziewica Orleańska Szyllera, przekład A. Brodzińskiego.—Natan Glücksberg.—Sybilla Nadwiślańska.—Franciszek Grzymała.—Mrówka Poznańska.—Fr. Królikowski.—Pszczółka Krakowska.—Jerzy Samuel Bandtkie.—Towarzystwa Naukowe w Lublinie i Płocku.—Program do opisu Województwa Płockiego.—Jan z Tenczyna J. U. Niemcewicza.—Honoraryum.—Cierpienia młodego Wertera, Goetego.—Pan Wojciech z Prokocimia.—Franciszek Grzymała.—Klasyczność i Romantyczność.—Statystyka szkół w Królestwie Polskiém 1821.—Cenzura.—Jan Kalasanty Szaniawski.—Pisma Kazimierza Brodzińskiego.—Żal za polskim językiem.—Klementyna Tańska.—Jan Paweł Woronicz.—Assarmot Hymn do Boga.—*Pani Jeziora* Walter Skotta, przekład Karola z Kalinówki.—Zbiór Pamiętników o dawnéj Polszcze J. U. Niemcewicza.—Wybór poezyi Aleks. Popa z angielskiego, przekład Ludwika Kamińskiego.—Groby w dniu śmierci Tadeusza Kościuszki, księcia Lubomirskiego.—Wojciech Bogusławski i jego dzieła dramatyczne.

Równocześnie z *Pamiętnikiem Warszawskim*, pod redakcyą F. Bentkowskiego i *Tygodnikiem Polskim i Zagranicznym* Brunona hr. Kicińskiego w r. 1818, pojawiły się *Ćwiczenia Naukowe*, na które prospekt ogłoszony został d. 29 listopada 1817 r.

Redakcya złożona głównie z młodych uczniów którzy ukończyli Liceum Krzemienieckie, dawała tém pismem dowody najwymowniejsze, jakie niezapomnianéj pamięci Tadeusz Czacki, tym Zakładem naukowym, oddawał usługi, wykształciwszy potężny zastęp, zdol-

*) Dalszy ciąg—patrz zeszyt za kwiecień r. b.

nćj młodzieży gotowéj do pracy społecznéj i poparcia literatury ojczystéj.

Głównymi współpracownikami Ćwiczeń Naukowych byli Teodozy Sierociński prozaik, Tymon Zaborowski w całém tego słowa znaczeniu poeta, i Adam Czarnocki pod pseudonymem Zoryana Dołęgi Chodakowskiego; następnie podpierali to pismo: Kazimierz Brodziński, J. U. Niemcewicz, Józef Korzeniowski, Joachim Lelewel i wielu innych.

Pismo to podzielono na dwa działy: 1. *Matematyczno-fizyczny*, 2. *Literatury*. W pierwszym oddziale zapowiedziano drukowanie prac własnych, oryginalnych, a zarazem tłómaczeń i wyciągów z dzienników zagranicznych ze sfery nauk ścisłych, dodając do działu matematyczno fizycznego nauki przyrodzone, oraz wiadomości literackie a właściwie bibliograficzne o najnowszych dziełach godnych uwagi.

O części *literackiéj* tak prospekt pomieniony mówi:

„Oddział literatury wziętéj w najogólniejszém swém znaczeniu, oprócz ćwiczeń, w przedmiotach gustu i wyobraźni, obejmie jeszcze prace różne w literackim, historycznym i moralnym względzie. Staraniem będzie wydawców, ażeby w tym oddziale dla jak największéj liczby czytelników, zajmującemi i zrozumiałemi się stali: aby mogli niezrażając surową uczonością, zawsze oświeconą przynosić zabawę, a zastanawiając się szczególniéj nad postępem narodowego oświecenia lub wystawiając dzieła i cnoty naddziadów, przyjemnie i pożytecznie zawsze zajmować polaka. Będą to zatém więcéj własne niż tłómaczone, więcéj w przedmiotach tyczących się swego niż obcych narodów układane pisma, mniéj obszerne, filozoficzne traktaty, jak raczéj krótkie lecz zajmujące rozprawy, zbierane na ziemi rodzinnéj opisy, lub z drogiemi przypomnieniami połączone nauki. Narodowość będzie istotną tego oddziału cechą. Ojczyste dzieje i dzieła, narodowe obyczaje, i widowiska krajowe, widoki i obrazy, są to tyleż nieprzebranych dla piszących źródeł, z których czerpać przedmioty swoje i łatwo i miło. Polska ma swoje piękności, polacy właściwe sobie cnoty, polskiéj wymowie i poezyi należy i przystoi tak jedne jak drugie malować i wystawiać, opiewać i wielbić, a pracujący w tym duchu, jeżeli na trudną pisarza albo poety chwałę nie zasłuży, przynajmniéj dobrym okaże się polakiem."

Koniec ogłoszonego prospektu brzmi w tych słowach:

„Jeżeli wydawcy pożądanego skutku usiłowań swoich, nie bez jakiejkolwiek nadziei oczekują, mniéj w tém polegają na swoich, jeźli jakie mogą mieć zdolnościach, jak raczéj na zapale, który ich ożywia i pracy do któréj ich tenże pobudza, a chociaż raczéj zasługi niż zysku nietyle pożądają składających im summy pieniężne prenumeratorów, ile pragną mieć dla dziennika swego znawców czytelników, surowo lecz bezstronnie prace ich sądzących, umiejących cenić usiłowania, i nie gardzących onych przydatnością, jeśli te jaką dla nich mieć będą."

Zeszytów *Ćwiczeń naukowych* wychodziło dwa na kwartał, czyli jeden na półtora miesiąca. Z początku redakcya zamierzała w jednym zeszycie łączyć obadwa oddziały *Matematyczno-fizyczny* i *literatury*, z odzielną paginacyą; ale spostrzegłszy niepraktyczność takiéj publikacyi, w oddzielnych zeszytach drukowała oba te oddziały.

Weźmiemy na uwagę część literacką, jaka oddziaływała głównie na naszą społeczność. Rozprawa Teodozego Sierocińskiego na czele pierwszego zeszytu pomieszczona p. n. *Jak się potworzyły dzieła oryginalne, jakie są właściwie ich cechy, i jakie granice zdrowy rozsądek naznacza w szukaniu oryginalności!*" tak wyborną była napisana polszczyzną, że Stanisław Potocki niedowierzając, ażeby to mógł napisać młody uczeń szkół Krzemienieckich, był pewnym, że pod pseudonymem Teodozego Sierocińskiego ukrywa się jakaś znakomitość wyszła z pod ręki Śniadeckich lub też że jeden z nich a głównie Jan Śniadecki tę rozprawę napisał.

Dwa utwory inne dały do razu wielki rozgłos *Ćwiczeniom naukowym*: poemat Tymona Zaborowskiego: „Bolesława Chrobrego wyprawa do Kijowa," z którego kilka pieśni w nich wydrukował: i rozprawa Adama Czarnockiego pod pseudonymem Zoryana Dołęgi Chodakowskiego, p. n. *O Słowiańszczyznie przed Chrześciaństwem.* Mała to co do rozmiarów, stała się ogromną, wpływem potężnym na młode umysły. Porwała ona je równie silnie jak poezye Mickiewicza, które z szybkością błyskawicy przebiegły kraj cały, od miast zajrzały w najcichsze ustronia wiejskie, wstrząsając sercami i duszą całéj naszéj społeczności.

Chodakowski zbierając podania i pieśni ludowe, śledząc zwyczaje i obyczaje pod strzechą słomianą, malował obrazy owéj Słowiańszczyzny pogańskiéj, która zginęła przed potęgą krzyża Zbawiciela. Z gorącém uczuciem każdy szczegół pochwycony w podaniu o obrzędach, w zwyczaju i obchodach, rozwija z taką prawdą i urokiem, że czytelnika unosi z sobą w te zapadłe wieki. Młodzież czytała tę szacowną pracę, wynik długich podróży i bystrego postrzegawczego badania, nie jako rozprawę, ale jako porywający poemat, i z pomiędzy niéj to wyszedł zastęp pracowników, którzy wziąwszy kij w rękę, a tłómoczek na plecy, poszli w rozmaite okolice kraju, dla zbadania ludu wiejskiego, zebrania jego pieśni, podań, powieści, a zarazem zbadania jego obchodów i obrzędów, w których jeszcze nie jeden rys się przechował Słowiańszczyzny przechrześciańskiéj. W zapale, z jakim czytano tę rozprawę Zoryana, niedopatrywano się jéj stron ujemnych; dopiero późniejsza gruntowna krytyka Wawrzyńca Surowieckiego, wykazała słabe strony i usterki wynikłe z gorącego pochwycenia ulubionego przedmiotu. Jakkolwiekbądź, wpływ téj pracy Chodakowskiego był przeważny równie jak *Historya literatury* F. Bentkowskiego, jak *Opis starożytnéj Polski*, Tomasza Święckiego.

W poemacie Tymona Zaborowskiego *O Bolesławie Chrobrym*, młode pokolenie powitało z serdeczném uniesieniem, nowego poetę

z prawdziwém natchnieniem, który nie idąc śladem ubitym przez naszych klasyków zfrancuziałych, wstąpił na nietkniętą dotąd drogę, i brał przedmiot do swego poematu z pierwszych wieków życia państwowego Polski.

Pomimo świeżości pomysłu i wykonania go w części w ogłoszonych pieśniach w Ćwiczeniach naukowych, w których porywał czytelników językiem ślicznym i wierszem cudnie potoczystym, prostotą i naturalnością niezwykłą: samodzielność poety przygniatały jeszcze formy klassycznego kodeksu. Czuć w tym utworze młodego orła zamkniętego w żelaznéj klatce, który w każdym porywie na górne szlaki, rozbija się o kraty swego więzienia, i łamie pióra skrzydeł własnych co go miały wznieść w niebiosy.

Wspomnieć tu jeszcze należy o małéj rozprawie tegoż poety p. n. *O zewnętrznéj budowie wiersza polskiego.* W owym okresie zaczęto podnosić głosy za wierszem białym miarowym. Tymon Zaborowski ujął się za rymem, jako przyrodzonym naszéj mowie. Józef Korzeniowski był wielkim zwolennikiem wiersza miarowego, pisząc nim swoje dramata, które późniéj wydał: jak próby dramatyczne, i Mnicha. Nie występował on publicznie przeciw wierszom rymowanym, ale gorąco przeciw nim powstawał, w rozmowach, a nieraz i z katedry będąc profesorem literatury w Liceum Krzemienieckiém. Zaborowski nie dzieląc tego przekonania, jakkolwiek ulubionego profesora i pisarza z wyższym talentem, wystąpił teraz przeciw téj zasadzie, uważając rymy za konieczność naszego wiersza. Godném zastanowienia, że nikt z należących do sporów w téj sprawie nie zwrócił uwagi, na najpierwsze wzory poezyi polskiéj w *pieśniach ludowych*, które są wszystkie z rymem układane i w téj formie tylko istnieją. Rok tylko 1818 zachowywały *Ćwiczenia naukowe* swój tytuł pierwotny, w roku następnym jako dalszy ich ciąg, ukazał się *Pamiętnik naukowy* we dwóch oddziałach: *Matematyczno-fizycznym* i *Literatury.*

Lata 1821 i 1822 stanowią świetny początek rozwoju ruchu umysłowego w Warszawie i nowego zwrotu literatury. Od 2 stycznia 1821 r. pojawił się organ poważny, naukowy: *Gazeta literacka,* która objęła kontrolę nad tym ruchem rozpoczynając w pierwszym zaraz numerze obszerny rozbiór tragedyi Szyllera *Dziewicy Orleańskiéj,* w przekładzie Andrzeja Brodzińskiego, starszego brata Kazimierza poległego w wyprawie do Moskwy 1812 r.; tłómaczenie to wyszło właśnie z druku staraniem tegoż Kazimierza, który pragnął drogą pamięć brata i opiekuna swego wspomnienie przechować; utwór ten na wskroś romantyczny pojawił się już na scenie Teatru narodowego, przedstawiony z niesłychaną starannością i przepychem, wzbudzał powszechny zapał [1]).

[1]) Przekład ten wyszedł p. n.: „*Dziewica Orleańska,* tragedya romantyczna z Szyllera, polskim wierszem przełożona przez Andrzeja Brodzińskiego. Wystawiona pierwszy raz na Teatrze narodowym w miesiącu grudniu 1820 r.,

Główną rolę grała Ledóchowska, pierwsza artystka w tragedyach klasycznych. Pomimo wrodzonego talentu, nie potrafiła w zupełności odpowiedzieć wzniosłemu zadaniu, bo w téj roli trzeba było więcéj siły i namiętności wykazać, gdyż scen spokojno-francuzko-klasycznych zbyt mało było.

Krytyk w *Gazecie Literackiéj* porównywając przekład A. Brodzińskiego z oryginałem Szyllera, wykazuje jego zalety i wady.

Gazeta Literacka nietylko pilnie śledziła wszelkie objawy literatury krajowéj w pojedyńczych dziełach, ale podawała staranne przeglądy z literatur zagranicznych, utrzymując stały związek duchowy z Zachodem. Przeglądy te dziś się jeszcze czytają z przyjemnością, odznaczone głęboką znajomością przedmiotu i gruntownym poglądem. Grono współpracowników składała cała inteligencya krajowa, profeso-

---

z dodaniem różnych poezyi tłómacza." Warszawa. Nakładem i drukiem Zawadzkiego i Węckiego, uprzywilejowanych drukarzy i księgarzy dworu króla polskiego. 1821. (W 12-ce, str. 178). L. Osiński przedstawiając tę tragedyą na teatrze, poczynił odmiany bardzo trafne, nietylko przez wyrzucenie wielu scen, ale i osób wprowadzonych w oryginale, ażeby zrobić ją przystępniejszą dla widzów polskich i nie trudzić zbyteczną rozwlekłością. Rzecz sama na tém zaprawdę zyskała. Tłómacz przekład swój pozostawił gotowy, wychodząc na wyprawę 1812 r., z któréj nie wrócił, albowiem poległ w bitwie pod Berezyną, licząc rok 26 życia. Brat młodszy Kazimierz, przywiązany doń serdecznie, gdyż był mu wzorem pracy, zamiłowania do poezyi i czułym opiekunem w pachołęcych latach, zajął się téj pracy, jako drogiéj pamiątki po poległym, wydrukowaniem. Gdy tragedya ta wywołała ogromny zapał w Teatrze narodowym, a grana kilkakrotnie, ściągała zawsze tłumy widzów, znaleźli się i chętni wydawcy w księgarzach Zawadzkim i Węckim, témbardziéj, że żadnego za rękopism nie zapłacili honoraryum. Tłómacz w przedmowie przyznaje otwarcie, że raczéj naśladował niż tłómaczył ten utwór Szyllera, a: „co się tyczy prawideł sztuki dramatycznéj względem jedności osób, czasu i miejsca, których autor bynajmniéj nie zachowuje, tych w naśladowaniu mojém i ja zachować nie mogłem" (!!).

To nam maluje, jakie było posłuszeństwo dla starego *kodeksu klasycznego;* pod jego artykuły podciągano Szyllera i ujemne strony dopatrywano poety niemieckiego, że je miał odwagę przekraczać. Widzimy to i z przedmowy zacnego Andrzeja Brodzińskiego. Przy końcu tego dramatu pomieścił Kazimierz kilka poezyi oryginalnych Andrzeja; utwory to zwyczajne, nieodznaczające się wyższym talentem, trzymane w tonie wówczas panującym. W tragedyi saméj miejsca więcéj liryczne zniknęły w tłómaczeniu A. Brodzińskiego w przeciągłym 13-sto zgłoskowym wierszu. W naszym już okresie przełożył po mistrzowsku, tęż samę tragedyą A. E. Odyniec. Dość nam tu przywieść ostatnią scenę w porównaniu obu tłómaczy, dla pokazania wyższości A. E. Odyńca. Scena to, gdy Dziewica okuta w kajdany, dowiaduje się że król francuzki wzięty do niewoli i wojska jego rozbite. A. Brodziński tak tę scenę tłómaczy: Joanna okuta pada na kolana, gwałtownym modli się głosem:

rowie świeżo założonego uniwersytetu. Członkowie Towarzystwa warszawskiego Przyjaciół Nauk, całe nawet Towarzystwo *Iksów* (XX), które z krytyk teatralnych pozyskało sobie szeroki rozgłos, połączyło się z redakcyą *Gazety Literackiéj.*

Wydawcą jéj i nakładcą był przedsiębierczy księgarz Natan Glücksberg, otrzymując rękopisma wszystkie bezpłatnie. Każdy numer składał się z jednego arkusza w 4-ce, wychodziła co tydzień.

Pomimo wysokich a rzeczywistych zalet, niedługo się to pismo utrzymać mogło. Dlatego téż przy końcu roku w nr. 52 ogłosił: „Że o dalszém wydawnictwe w roku przyszłym (1822), pod nową redakcyą i podług odmiennego planu, szacowna publiczność osobnym prospektem uwiadomioną będzie."

Przyszła ostatnia chwila, ostatnia potrzeba!
Boże! gorące modły zasyłam do nieba!
Ty w maszt okrętu zmieniasz przędziwo pajęcze,
W nić pajęczą żelazne przemieniasz obręcze;
Chciéj, a ta dłoń potarga ciężary téj stali,
Chciéj, a prysną te mury, ta wieża się zwali.
Gdy Samson nieszczęśliwy, ślepy, skrępowany,
Ufnie wyrzekł do Ciebie, wnet skruszył kajdany,
Objął mury więzienia silnemi ramiony,
Gmach się zatrząsł, pochylił i runął zwalony!

Zobaczmy jak A. E. Odyniec tę scenę przełożył.

Joanna w najgwałtowniejszém wzruszeniu rzuca się na kolana i wznosząc załamane ręce do góry, modli się rzewnym, prędkim i naglącym głosem:

Słuchaj mnie, Boże! bo wzywam Ciebie,
Ojcze na niebie!
Duszą wierzącą,
Wiarą gorącą.
Ach! nie dla siebie wzywam Cię Panie!
Nad ludem moim miéj zlitowanie!
Ty sieć pajęczą w stalne obręcze,
Ty więzy zmienisz w sieci pajęcze.
Boś Ty Wszechmocny! bo to się stanie,
Co ty chcesz, Panie!
Samson wydany na urąganie,
W więzach u wrogów, jak ja w téj chwili,
Wołał do Ciebie: oni szydzili,
A on Ci ufał stary i ślepy,
I dałeś siłę, że twarde sklepy
Zrzucił na wrogów, boś Pan nad Pany!

Wstrząsa oburącz kajdany, rozrywa łańcuchy. W téjże chwili rzuca się na stojącego żołnierza, wyrywa mu z rąk miecz i wybiega wołając:

Francya żyje! bo ze mną jest Bóg!

Nie wiemy jakie powody wywołały potrzebę zmiany redakcyi i planu pisma, które przez rok cały, sumiennie wykonywało przyjęty program i od miłośników ojczystéj literatury wysoko cenione było. Redakcya złożona z mężów prawdziwéj nauki, z uczuciem radości obywatelskiéj przyjmowała każdy nowy objaw na niwie literackiéj. Z miłością braterską podnosiła zacne usiłowania. Na dowód tego przywiodę jeden przykład.

W r. 1821 ukazała się: *Sybilla nadwiślańska*: dziennik narodowy, polityce, historyi, literaturze i rzeczom krajowym poświęcony. Wydawany przez Franciszka Grzymałę w Warszawie 1821 r. Zaledwie ukazał się pierwszy zeszyt, czytamy w *Gazecie Literackiéj* (18, 4):

„W rzędzie licznych pism, które z początkiem roku bieżącego wychodzić poczęły, *Sybilla* niepospolite zajmuje miejsce. Pierwszy numer pisma tego, wyszedł już na widok publiczny. Co do polityki, mieści w sobie: *Rzut oka na południową Europę; Wiadomości o postępach wolności osobistéj w Polsce i innych krajach; Myśli obywatela kraju konstytucyjnego; Listy z Warszawy pisane na prowincyą w rzeczach publicznych i rysy z życia Tadeusza Kościuszki.*

„Co do literatury obejmuje rozprawę Ludwika Osińskiego: *O pierwiastkowych pisarzach dramatycznych w Polsce.* Wiersz filozoficzny Szyllera, przekładania Brunona hr. Kicińskiego i wiersz oryginalny o *narodowości* Kantorberego Tymowskiego.

„Oceniając dobre chęci wydawcy nie można nie przyznać, że *Sybilla* w kolébce saméj, nosi na sobie pewną cechę dojrzałości; szczególniéj że się wszędzie dobrym duchem i czystą polszczyzną zaleca. A gdy niezaprzeczoną jest rzeczą, że upowszechnienie pism peryodycznych, stanowi o stopniu oświaty w narodzie; życzyćby sobie należało, ażeby mieszkańcy téj ziemi, wspierali dobre zamiary rodaka, który zapewne gorliwości swojéj nie szczędząc, powziętemu o sobie mniemaniu godnie odpowié."

Polecenie to *Sybilli* nie przeszło bez wpływu, naraz przybyło 64 prenumeratorów, cyfra na owe czasy wielce poważna.

Z równém uczuciem podnosiła *Gazeta Literacka* usiłowania literackie w objawach poza granicami Królestwa. Tak ogłasza prospekt na *Pamiętnik Galicyjski*, po upadku *Pszczoły polskiéj:* „któréj owoc był tak słodki, a przestała zbierać miód noszący w sobie pożywienie." Ferdynand Chotomski i Eugeniusz Brodzki, postanowili wydawać *Pamiętnik Galicyjski*, łącząc naukę z zabawą (*Utile dulci*). „Jako sprzyjający naukom, powodowali się tą myślą w swojém przedsięwzięciu, że oświeceni mieszkańcy Galicyi, przyczyniając się do trwałego istnienia tego pisma, nietylko mu upaść nie dozwolą, ale owszem jego postępowi wszelkiemi środkami dopomagać raczą" [1]). Niestety! nie sprawdziły się ich nadzieje.

[1]) Ferdynand Dienheim Chotomski dał się już poprzednio w *Tygodniku polskim i zagranicznym*, pod redakcyą Brunona hr. Kicińskiego chlubnie

Równocześnie w Poznaniu ukazała się *Mrówka Poznańska*, pismo ku użytecznéj zabawie rozumu i serca poświęcone, pod redakcyą J. F. Krolikowskiego [1]) (Poznań 1821 r.), nakładem księgarza J. A. Munka. *Gazeta Literacka* obszerny rozbiór trzem wydanym zeszytom tego pisma poświęca. *Mrówka Poznańska* wydrukowała krytykę na dzieło Wacława Aleksandra Maciejowskiego, wydane: *De Vita et Constitutionibus Trajani Decii.* W Getyndze 1818 r.

Młody wówczas autor do żywa dotknięty pomienioną krytyką na rozprawę, któréj wartość przyznały czasopisma naukowe niemieckie, ostro i żywo zarzuty odpiera.

Redakcya *Gazety Literackiéj* chętnie przyjmowała tego rodzaju rozprawy, w których bez osobistości zyskiwała coś nauka i wiedza. Trzymając się téj zasady, drukuje artykuł nadesłany jako odpowiedź *Pszczółce Krakowskiéj*, która z powodu dzieła Ignacego Samuela Bandtkiego: *Historya biblioteki Uniwersytetu Jagiellońskiego* (Kraków, nakładem Ambrożego Grabowskiego, 1821 r.), wydrukowała *myśli* o tém dziele jakiegoś Towarzystwa.

„Myśli te (czytamy) nie zasługują pod żadnym względem na imie krytyki, jak sami ich twórcy przyznają na końcu swéj ramoty; lecz właściwie można je nazwać *paszkwilem*, zawierającym po większéj części żółcią i nienawiścią napełnione i zdaleka naciągane obelgi i przycinki, po części zaś fałsze i brednie politowania godne. Zjednają one niezawodnie poważniejszy tytuł *osy* lub *trądu* dla *Pszczółki*, jak właściwą chwałę u czytelników rozsądnych dla bezimiennych autorów, narzucających nieraz dziecinne żarty i jałowe rubaszne wyrazy za dowcip i miłość ojczyzny."

Konstanty Majeranowski redaktor *Pszczółki Krakowskiéj* nieoględnie przyjął do swego pisma, raczéj paszkwil, niż poważny pogląd na dzieło i jego autora. Jerzy Samuel Bandtkie dla swéj nauki, przywiązania do kraju, wzbogacania literatury ojczystéj cennemi pracami pozyskał już sobie szeroki, zaszczytny, a zasłużony rozgłos; ale jak każda wyższość umysłowa, musiał znaleźć pokątną zawiść, ktora plotką, oszczerstwem i nikczemném kłamstwem, zapragnęła opluć Bandt-

---

poznać z talentu wierszopisarskiego, jakeśmy to wyżéj wspomnieli. Eugeniusz Brodzki mało znany pisarz, przypomniał się późniéj w *Haliczanie*, wydanym we Lwowie 1830 roku, piśmie zbiorowém, pod redakcyą dawnego redaktora *Gazety Literackiéj* Chłędowskiego, którego wyszło dwa tomy.

[1]) J. Franciszek Królikowski, profesor języka polskiego i literatury w Poznaniu, chlubne zajmuje wspomnienie z dzieła: *O prozodyi języka polskiego.* Pracę tę wysoko cenił A. Mickiewicz i trzymając się zasad w niém wyrażonych, napisał sławną pieśń Wajdeloty wierszem miarowym:

„Zkądto wracali Litwini?
Z nocnéj wracali wyprawy."

Jestto dostojny ojciec najznakomitszego naszego artysty dramatycznego Jana Królikowskiego.

kiego. Mąż uczony, boleśnie odczuł tę zniewagę, ale milczeniem ją pokrył, ufając że czas całą prawdę odkryje i odda mu ją. W czém się też nie zawiódł.

Z nietajoną radością wita i pozdrawia *Gazeta Literacka* objawy szerzącego się światła w kraju, przez liczne szkoły, powstające pisma peryodyczne, oraz powstające towarzystwa naukowe. Obok Towarzystwa Warszawskiego Przyjaciół Nauk, jakby jego filia, powstało drugie w Lublinie pod przewodnictwem Owidzkiego, prezesa rady obywatelskiéj województwa Lubelskiego i po niém zawiązało się trzecie Towarzystwo naukowe w Płocku, które zaraz w początkach swego istnienia założyło sobie zebrać wiadomości, ażeby ułożyć dokładny opis województwa Płockiego i nakreśliło szczegółowy program do wykonania téj obszernéj pracy. Podamy go w treści dla wykazania, że już wówczas, przed pół wiekiem z górą, należycie rozumiano wszystkie kierunki tego rodzaju badań, które obecnie tak pomyślnie i sumiennie Akademia Umiejętności w Krakowie rozwija. Owóż czytamy w tym programie:

1. Zebrać wszelkie postrzeżenia, dotyczące się dobra województwa, z miejscowego przekonania lub ile możność dozwoli z urzędowych dowodów.

2. Opisać ziemię województwa Płockiego w geograficznym i statystycznym względzie.

3. Dochodzić potrzebnych wiadomości w widoku ekonomicznym albo rolniczym, pod względem uprawy roli, zarządu lasami, opisania wód i rzek przerzynających tę część ziemi naszéj, opisania różnych zakładów i narzędzi gospodarskich.

4. Wyśledzać wiadomości tyczące się zoologii, botaniki i mineralogii.

5. Uważać wszystkie zjawiska natury i czynić spostrzeżenia z narzędziami meteorologicznémi.

6. Ułożyć dokładny opis ludzi w ich życiu towarzyskiém i domowém, co do czynności publicznych i prywatnych; a w téj mierze wyszczególnić: nadania i przywileje różnym korporacyom i osobom szczególnym udzielone, stan nauk i zakładów szkolnych, tudzież dobroczynne ustanowienia i szpitale wymienić, oraz podać środki dla dostatecznego ich utrzymania. Opisać panujące obyczaje, szczególne mniemania i miejscowe zwyczaje, właściwe wyrazy i sposoby mówienia mieszkańców okolic płockich, ze względu na dawny dyalekt i późniejsze w nim zmiany. Zwrócić uwagę na stan zdrowia mieszkańców i środki ratowania się w chorobach, wreszcie zastanowić się nad skłonnościami ludu do sztuk nadobnych i pięknych nauk, jakoto do poezyi, śpiewów, muzyki, malarstwa i t. d.

7. Zbierać wiadomości tyczące się historyi i biografii, a w tym względzie opisać dawny i teraźniejszy skład rządu w województwie Płockiém; opisać dzieje religii, duchowieństwa, kościołów i klasztorów we wszelkich wyznaniach, dawniejszy stan nauk i kunsztów, oraz pa-

miętne w téj prowincyi zdarzenia, o których dzieje narodowe niemałą liczbę w ziemi Płockiéj wspominają.

Nakoniec uskutecznić opisy sławnych i zasłużonych w kraju mężów, którzy bądźto zrodzeni są w województwie, bądź téż ważne dla niego przysługi uczynili.

Towarzystwo płockie, którego prezesem był senator, biskup uczony Prażmowski, odbywało publiczne swe posiedzenia dnia 19 marca w dzień ś. Józefa, czcząc pamięć i wspomnienie księcia Józefa Poniatowskiego.

Gazeta Literacka, w rozbiorach i krytykach dzieł wychodzących była wielce przyzwoitą, lubo na błędy i usterki nieubłaganą, wedle zasady, którą sobie za godło przyjęła. „Krytyka, pisze pustelnik z zamku królowéj Bony w nr. 16, niech będzie surową ale pomiarkowaną i niewinną i niech zachowa taki ton, jaki między przyjaciołmi przystoi. Oddana sprawiedliwość prawdziwemu talentowi wzbudza w nim i ożywia ten zapał, który niesprawiedliwa i zjadliwa krytyka oziębiła. Jak ostrożnym trzeba być w krytykowaniu, tak skromnym i oszczędnym w szafunku pochwał. Najlepszą dobrych autorów pochwałą są ich własne dzieła: dawane nie w miarę, przybiorą postać pochlebstwa, a przesadzone w niesmak się obrócą."

Miarę i ton krytyki surowéj w *Gazecie Literackiéj* możemy najlepiéj ocenić z rozbioru *Dziewicy z Abidos*, poematu Lorda Byrona, przekładania Władysława hr. Ostrowskiego (Warszawa 1821 r.).

Recenzent znawca literatury angielskiéj i wysoko ceniący Byrona, robi tłómaczowi główny zarzut że odstępuje od oryginału, a usterki te wykazuje podając przekład swój wierny prozą, a Ostrowskiego tłómaczenie wierszem. Z tego przytoczenia (pisze sam recenzent) kilka wyjątków, sami czytelnicy o wierności przekładu łatwo sądzić mogą. Gdyby był p. Ostrowski pracę swoję nazwał naśladowaniem, byłby się od tego zarzutu ochronił. Wiedział bowiem o tém dostatecznie że kiedy kto zapowiadał w tytule, iż przekładał, stał się tém samém dłużnikiem autora, i niewolnikiem jego myśli; uczciwość literacka wymaga, ażeby osłabianiem i zniżeniem dzieła, nie zadawać krzywdy autorowi, i nieprzymuszać czytelnika nieświadomego oryginału do upakarzającego wyznania, iż nie może znaleść w tłómaczeniu, lub poznać się na tych pięknościach, które poecie za granicą wielkie imie zjednały."

W latach 1821 i 1822 życie literackie rozwijało się potężnie w Warszawie, i ruch księgarski coraz większe przybierał rozmiary. Oddać należy co komu należy: najwięcéj w téj sprawie położył zasług Natan Glücksberg rodem z wielkiego księztwa Poznańskiego, który otworzywszy księgarnią i drukarnią w Warszawie, wydawał mnóstwo książek swoim nakładem, i pierwszy u nas rzec można zaczął autorom płacić honoraria. Pamiętamy dobrze, jaki to wielki miał rozgłos w naszém mieście i całym kraju wypadek, że N. Glücksberg, położył J. U. Niemcewiczowi na stole, pięćset dukatów, jak wówczas nazywano

obrączkowych czyli ważnych należycie, za jego powieść historyczną Jan z Tęczyna, w 3 tomach. Od roku już obiegała wieść ustna o téj powieści, i niecierpliwość publiczna w gorączce oczekiwała na pojawienie się tego utworu. Zaledwie téż dzieło się ukazało, w saméj swojéj księgarni na Miodowéj ulicy w domu Grabowskiego (dawniéj Teppera), od godziny pierwszéj z południa do piątéj w jednym dniu sprzedał 400 egzemplarzy, w cenie po 24 złp. za te trzy tomy. Jakby w procesyi tłum podążał do księgarni Glücksberga, młodzieży, kobiet i sędziwych wiekiem, a każdy wychodząc z paczką tych tomów, spieszył do domu nasycać się pięknością powieści tak dawno zapowiadanéj. Rzecz godna uwagi, że sąd ogólny z pochwałami poprzednio dawanemi godził się w zupełności, a dostojny autor miał wielką pociechę, że jego praca doznała od razu tak ogólnego uznania, i zająć zdołała powszechną uwagę.

Spis bibliograficzny wydawnictwa Natana Glücksberga, jużby sam stanowił sporą książkę. Ruchliwy, energiczny, mnożył z każdym rokiem swoje nakłady we wszystkich gałęziach literatury krajowéj. Zakład jego drukarski stał się pierwszym w Polsce pięknością papieru i druku, oraz starannością wydań. Publikacya *Dziewicy z Abydos* pod względem typograficznym, mogła się mierzyć z najozdobniejszemi książkami współczesnych wydań paryzkich i londyńskich.

Po smutnym upadku N. Glücksberga, sztuka typograficzna w kraju a głównie w Warszawie chyliła się także do upadku, dopóki ją nie podniósł, ale już po roku 1830 Stanisław Strąbski.

Oprócz wydań nakładem Glücksberga, autorowie najchętniéj w jego zakładzie drukowali swoje prace. Każdy szedł do niego, ktokolwiek pragnął wydawnictwa porządnego i przyjemnie wpadającego pod oczy. Typografia jego zaledwie wystarczyć mogła natarczywym żądaniom. Glücksberg oceniał należycie wartość autorów polskich: dla tego sam robił starania w zjednywaniu ich sobie. Tak w r. 1821 wydrukował swoim nakładen *Pisma Kazimierza Brodzińskiego*, obejmujące zbiór jego poezyi, w chwili właśnie, gdy imie tego poety, już się cieszyło chlubnym po całym kraju rozgłosem, obok tego drukował dzieła Wojciecha Bogusławskiego, który je za pośrednictwem prenumeraty rozpowszechniał.

Glücksberg zbliżył się do Brodzińskiego, pragnąc dobrze miéć przełożony słynny romans Goethego: *Cierpienia młodego Wertera.* Podjął się téj pracy Brodziński za szczupłe wynagrodzenie złp. 300 którą wykonał, a nakładca w zgrabnych dwóch małych tomikach wydrukował 1821 r. w 1500 egzemplarzach. Cały nakład w niespełna trzech miesiącach wykupionym został. *Gazeta Literacka* przekład ten przyjęła ze szczerém uznaniém, a lubo wytyka drobne usterki językowe, streszcza przecież swój sąd w tych słowach:

„Miło czytać to spolszczenie Wertera, i niemożna nieprzyznać tłómaczowi zalety pokonania wielu trudności." Samą powieść, podając jéj treść szczegółowo, wysoko stawia, po nad wszystkie romanse

francuzkie, które: „od pierwszego stanowczego spojrzenia, aż do katastrofy (nie zawsze tryumfem godności kobiecéj będącéj) jest ciągłém pasmem miłosnych jeremiad, słodkawych oświadczeń, płaskiéj galanteryi, i awantur nienaturalnych, a często bardzo nieprzystojnych i gorszących. Dla ludzi dobrego tonu zwykle pisane, i ich przygody po największéj części zawierające, mało w sobie użyteczności dla średniéj a najważniejszéj klassy zamykają, a połykając tylko czas nader drogi i skąpo obliczony, bawią nieczynność i lenistwo, ale niczego nie uczą." Kończąc recenzent o téj nowéj książce, wyraża gorące życzenie, ażeby obok Cierpień młodego Wertera, przedsięwzięto tłómaczenie z Goetego *Lata nauki Wilhelma*.

Od roku 1822 *Gazeta Literacka*, w tym samym formacie, druku i na tymże papierze, zachowując program dawny wychodziła, wzbogacając się powiększeniem objętości. Do każdego bowiem numeru dodawał wydawca pół arkusza więcéj. Za godło nowa redakcya kładła na czele każdego numeru takie z Boileau wiersze:

„Zasługa bez ostrogi drzymie i mniéj słynie:
Lecz gdy ją krytyk ostrym swym bodźcem zakole,
Geniusz wyżéj wzlata i świetną gra rolę;
Im go bardziéj ćmią, z blaskiem tym większym się wyda:
Cynna winien swój zaszczyt, prześladowcom Cyda.

Wiadomości księgarskie o wychodzeniu pojedynczych dzieł, zastąpiono stałą *Kroniką literatury narodowéj*. Była to bibliografia, tylko nieraz podająca i treść samego dzieła. Przybył i humorysta literacki Wojciech z Prokocimia na ciężkie utrapienie L. A. Dmuszewskiego redaktora *Kuryera Warszawskiego*, którego chwytał grube błędy nietylko językowe, ale i w treści saméj, wykazując jego nieuctwo i błędy redaktorskie. W lipcu 1822 r. w Nr. 24 *Gazety Literackiéj* tak zapowiada on swój występ w szranki literackie:

„Rok temu już mija, jak z pociechą dla rodziców i z przyzwoitym dla kraju pożytkiem szkoły ukończyłem. Mam bardzo wiele wiadomości gruntownych, styl gładki, wyobraźnią bujną i szczególną zdolność do wszystkiego. Jako godny syn ojczyzny chcę jéj koniecznie być użytecznym. Lecz niestety! dotąd się ona nie matką ale macochą dla mnie pokazuje. Udawałem się do leśnictwa, do administracyi, do skarbu, do oświecenia, do górnictwa, krótko mówiąc do wszystkich wydziałów służby publicznéj, lecz wszędzie niepoznawano się na mnie. Wystaw sobie W. Pan, kazali mi *praktykować!* i drogi czas trawić na przepisywaniu oschłych rzeczy, którebym sto razy lepiéj bystrym rozumem moim był utworzył. Urażony takiém przyjęciem w inną się stronę udałem. Obszerne pole umiejętności i kunsztów stało mi otworem, postanowiłem zdolności moje literaturze poświęcić, piórem szerzyć nauki w ojczyznie i zwolna stać się *luminarzem* narodowéj oświaty.

Lecz i tu muszę znowu niestety! zawołać: jakaś ciemna gwiazda nad losem moim panuje.

Zawód mój literacki chciałem wydawaniem dziennika rozpocząć. Miałem przed sobą przykład tylu rówieników moich, pomyślałem sobie: kiedy oni w niedojrzałe pomysły wplatając słówka: *ojczyzna*, *liberalność*, *oświata*, potrafili łaskę dwutrąbnéj sławy pozyskać, czegóż ja niedokażę, gdy mię natura takim dowcipem a *Liceum* tylu wiadomościami uposażyło?

Ożywiony nadzieją biorę się czemprędzéj do pracy. Hołdując duchowi czasu, szukam tytułu w zoologii, mitologii i dziejach ojczystych. Tu mi się snuje *Puchacz nadwiślański*, owdzie *Jokus* i *Komus*, tam znowu *Rzepicha* i *Polelum*. Wszystko wyborne tytuły do dzienników: trudny wybór. Biegnę zatém do księgarza na Krakowskie (Zawadzkiego i Węckiego), zwierzam mu się mojego zamysłu, ofiaruję prospekta i tytuły; lecz ten śmié wątpić o prenumeratorach i uchyla się od antrepryzy. Biegnę do drugiego na Miodową ulicę (Natana Glücksberga), pochlebiam mu, chwalę, wystawiam jakie korzyści go czekają, gdy mój dowcip z drukiem *Didota* się złączy, ale i tu taż sama piosnka. Typograf nie chce przyjąć nakładu, narzeka na ciężkie czasy i kurczy mi się wśród komplementów. Zrażony tą przeciwnością już nie chciałem projektów moich ofiarować weteranom księgarstwa na Świętojańskiéj ulicy (Szczepański i Pukszta) i wolałem inną obrać ścieszkę do świątyni nieśmiertelności. Otom zaczął pisać okropną tragedyą: wtém patrzę, aliści jeden z towarzyszów moich, uprzedza mnie przedmiotem, i też same prawie sentencye i najlepsze antytezy drukiem ogłasza.

Cóż tedy począć? Czas szybko mija, jak Walter-Scott w *Pani Joziora* powiada. Jeżeli się spóźnię z autorstwem, może mnie nieszczęsnego znowu jakie nieprzewidziane okoliczności od tego zawodu odsuną. Lepiéj chyżo wziąć się do pióra. Myślałem więc o przedmiocie. Chciałem napisać dzieło jakie gruntowne, lecz dreszcz mnie przeszedł gdym sobie wspomniał ile na to czasu, pracy i szperania potrzeba. Chciałem zostać poetą, ale tych już pełno; nikt się teraz nie wsławi, chybaby *Bielawscyadę* [1]) napisał. W kłopocie będąc z własnemi myślami, przypomniałem sobie że krytyka jest łatwą. Chciałem teatr *łxsować*, lecz to nic nie nada, już mnie koledzy ubiegli. Wtém, o błoga chwilo! błyska mi światełko; jest jeszcze niewyczerpane źródło do krytyki: oto są pisma peryodyczne.

Dziwno mi nieraz było, że przy mnóstwie błędów i niedorzeczności, któremi nas niektóre dzienniki i gazety częstują, nikt się do ich wytknięcia nie weźmie; domyśliwałem się, że każdy boi się żądła

[1]) *Bielawscyadę*, od nazwiska Józefa Bielawskiego, autora komedyi, którą otworzono pierwszy teatr stały w Warszawie za Stanisława Augusta. O Bielawskim, przedmiocie szyderstw dowcipnego Węgierskiego, jużeśmy wspominali obszerniéj.

odwetu; lecz w dobréj sprawie niéma się czego obawiać: głupstwo, chociażby i najdowcipniéj bronione, zawsze uledz musi. Jeżeli WPan to przekonanie dzielisz, pomóż mi, udzielić kącika *w Gazecie*, i pozwól abym niekiedy, peryodyczne wykroczenia, skrapiał wyskokiem dowcipu mego. Niezawsze ja jednak ganić zamyślam: owszem pochwalę, co chwały godne. Tak np. obszerne wiadomości *Kuryera Warszawskiego*, czystość języka w *Balladach Wileńskich*, dobry smak i szlachetność stylu *Pszczółki Krakowskiéj* i t. d., zawsze są godne zalety. *Ex ungue*, czyli jak *Pszczółka* mówi, *Ex unguis cognoscitur leo*, poznaj WPan moje dobre chęci, wysłuchaj prośby mojéj i nie obawiaj się, abym niesłusznemi pociskami na niewinnych godził lub téż stronnictwem uwiedziony, przez szpary patrzył; nie mogę wprawdzie za skutek ręczyć, to jest za poprawę winnych, sądzę jednak iż dosyć będzie, gdy zdołam postrach rzucić w ich szeregi i ostrożniejszemi ich uczynię. P. S. Gdyby się w *Gazecie Literackiéj* jaki sęczek zjawił, czy wolno go będzie wygładzić? *Wojciech z Prokocimia.*"

Odezwa ta rzeczywiście rzuciła popłoch między redaktorów pism warszawskich, z których wielu miało się za nieomylnych. „Co to za zuchwalec (mówili), co się odważa stawać pomiędzy nasze zwarte szeregi? Snać tchórz, bo się własném nazwiskiem nie podpisał, tylko lisią skórą się przyodział. Co to za Wojciech z Prokocimia?" Rozpoczęto ścisłe poszukiwania i śledztwo, ale wszystkie te usiłowania zostały bezskuteczne. Redakcya *Gazety Literackiéj* dochowała tajemnicy, a sam p. Wojciech był ostrożny i niczem się nie zdradził, nasłuchując jakie nań gniew tych panów, pociski miotał. Oczekiwano niecierpliwie wystąpienia jego w szranki turniejowe. I ów rycerz z zamkniętą przyłbicą, niedając długo na siebie oczekiwać, dnia 30 lipca 1822 r., w nr. 25 *Gazety Literackiéj* rozpoczyna gonitwę na ostre; czytamy bowiem:

„Osobliwsze téż czasem *Kuryer Warszawski* nominacye rozdaje: tak np. z narodu Agratów czyli téż z jéj stolicy zrobił arcybiskupa (nr. 182).

„Numer 183 *Kuryera Warszawskiego* był mi powodem do głębokich myśli filozoficznych, nad teraźniejszą demoralizacyą na tym padole płaczu. O! bogowie, wszakże to w Hiszpanii i zwierzęta za pomocą *Kuryera* popełniają samobójstwa i żeby to osły lub cielęta to fraszki, ale to poważne byki!

„Korrespondent warszawski połączony z *Kuryerem* odniósł d. 12 sierpnia imieniem Greków świetne nad Turkami zwycięztwo. Sprzymierzeni zabrali szesnaście okrętów liniowych. Jak się tylko o powyższém zwycięztwie dowié ten minister, co to w Koryncie sam stoły i stołki robi (*Kuryer* nr. 186), pewnie radaktorom przyśle medal z napisem: „Wdzięczna Grecya."

Nietylko *Kuryer Warszawski* był celem jego wycieczek, lubo najczęściéj na niego uderzał, biorąc z niego obfity materyał pod pióro; ale i innym pismom peryodycznym nie przepuszczał p. Wojciech z Prokocimia; czytamy daléj bowiem:

„Nauki a z niemi i język tak olbrzymim u nas postępuje krokiem, że się wkrótce *Słownik* Lindego bardzo niedokładnym okaże. Podług niego, ma *wietrznica* oznaczać *ospę*, lub *kobiétę lekkomyślną*, zaś podług *Pamiętnika Warszawskiego* (nr. 8) znaczy ona i *trąbę wietrzną*. I bardzo słusznie, bo jeżeli wiatr ma w tych wyrazach grać rolę, niechże ją sobie tam gra, gdzie jest szkodliwszy od *ospy* i od *kobiety*."

Gniéw i oburzenie redaktorów pism dotkniętych nie mógł szkodzić *Gazecie Literackiéj*; z innéj strony zagroziło jéj niebezpieczeństwo. Oto co czytamy w nr. 36 z dnia 14 października 1822 r.

„Redakcya ma honor zawiadomić prenumeratorów *Gazety Literackiéj*, że opóźnienie w wydawaniu pisma tego, nie nastąpiło wcale z winy poczty. Główną przyczyną jest brak zasiłków literackich większy, niż się go redakcya obawiała na początku roku, przy obiecanéj pomocy tylu uczonych. Uiści się jednak redakcya z długu względem publiczności zaciągnionego. Prenumeratorowie odbiorą jeszcze dziesięć numerów pisma tego, a zwłoka kilku tygodni nie wiele zaszkodzi, gdy *Gazeta Literacka* przez brak współpracowników (nie prenumeratorów), z końcem r. b. ustać będzie musiała."

Tego opóźnienia nie przebaczył Wojciech z Prokocimia. Właśnie podówczas wychodziła *Astrea* zeszytami, jako dalszy ciąg *Sybilli Nadwiślańskiéj*. Redaktor Franciszek Grzymała obu tych pism, na które nie brakło prenumeratorów chętnych, którzy cenili zdolności tego publicysty, nadużywał wciąż cierpliwości swoich czytelników, gdyż ciągle opóźniał się z wydawaniem zeszytów. Z tego powodu w tejże *Gazecie* czytamy Wojciecha z Prokocimia uwagę:

„*Astrea* zapisała testamentem swój pośpiech *Gazecie Literackiéj*. Sukcesya dostała się w dobre ręce: bo przynajmniéj żaden pieniacz nie będzie teraz śmiał powiedzieć, że u nas *Astrea* opieszała."

Smutna zapowiedź redakcyi *Gazety Literackiéj*, sprawdziła się niestety. Pismo to dla braku współpracowników, z końcem 1822 r. A. T. Chłędowski główny redaktor przerwać musiał.

W ciągu dwuletniego swego istnienia, organ ten oddał rzetelne usługi literaturze i oświacie krajowéj, nieprzepominając dzieł ważniejszych w ojczystéj mowie, czyto oryginalnych czy tłómaczonych, oznajamiał czytelników swoich z literaturami zagranicznemi, nietylko z francuzką w modzie będącą, ale angielską, niemiecką, holenderską, włoską i innemi. Nie pomijał i bliższych nam jak z dwu dziesiątków lat. *Gazeta* podała nam zajmujący obraz ruchu literatury czeskiéj, niepomijając ważniejszych zjawisk i w literaturze rossyjskiéj. Krytyki które podawała odznaczały się sumiennym, poważnym poglądem i wytrawnością pióra. Nie na wszystkie sądy i zdania możemy dziś przystawać, ale godzi się zapisać tę wyższość redakcyi *Gazety*, ponad wszystkiemi innemi współczesnemi pismami; żadne bowiem podobnemi recenzyami pochlubić się nie może. Autorowie ich pozostali nieznanymi, bo nigdy się nie podpisywali, rzadko cyfrę jaką położyli: pisząc bezpłatnie, pracę swą poświęcali na cześć nauki i literatury krajowéj. Gazeta obudzała

ruch umysłowy w poważnym kierunku. Pierwszy raz odezwały się w niéj głosy *polek* piszących, jak między innemi, *Obywatelka z województwa augustowskiego* (w nr. 13, d. 27 marca 1821 r.), surowo prostując zdanie Gazety o romansie *Żale Elwiry*. Gdyby organ ten przeciągnął byt swój kilka lat późniéj, stałby się niewątpliwie skarbem wiadomości zajmujących i głębszych poglądów na rozpoczynającą się walkę klasyków z romantykami, która właśnie w tym okresie wybuchła. Znajdujemy tylko w *Gazecie Literackiéj* pierwszy odbłysk iskierki, która się w pożar nieugaszony, jak zobaczymy, zmieniła. W r. 1822, J. K. S. (o ile wiemy Józef Kalasanty Szaniawski cenzor) wydrukował broszurę, o dwudziestu stronnicach w 8-ce, p. n. *Mowa o duchu klasyczności i romantyczności we względzie filozoficznym*. Napisaną była w celu pogodzenia romantyków z klasykami. Gruntowne autora uwagi dążą do okazania, że prawdziwa doskonałość tak w umiejętnościach jak sztukach, zależy na ścisłém połączeniu klasyczności z romantycznością; albowiem ani klasyczność bez romantyczności, ani romantyczność bez klasyczności nie może stanowić dzieła doskonałego. To swoje zdanie popiera dowodnie przykładami dzieł genialnych pisarzy różnych narodów, i kończy ogólnemi filozoficznemi uwagami.

„Nie lękam się ja (pisze autor) znawców prawdziwych, którym uprzedzenie jeszcze nie zawróciło głowy, bo ci jednego zemną są zdania; lecz dobrze o tém jestem przeświadczony, że to w niemałe wprawi zadumienie zapalonych stronników klasyczności i romantyczności, gdy im otwarcie wyznam, że się na żadne z niemi zdanie w téj mierze nie zgadzam."

I w téj rzeczy miał autor prawdę po sobie, bo obadwa stronnictwa jeszcze jasno i logicznie nie postawiły własnych programów, co rozumieli w ścisłém przez nich znaczeniu i co pojmują przez klasyczność a co przez romantyzm.

W rozmaitościach podaje Gazeta zajmujące wiadomości o pomnażaniu się ważnych nabytków do historyi i literatury. Wspomnieliśmy już o założonéj bibliotece w Kórniku przez Tytusa hr. Działyńskiego, którą z wielkim nakładem pomnażał. Tak dowiadujemy się, że ten miłośnik cennych zabytków, na wagę złota w Paryżu nabył księgę do czterdziestu arkuszy własnoręcznych pism Napoleona I-go: za których autentyczność hrabia Montholon, baron Mounier i książe Bassano ręczą, przyłączoném świadectwem, pisaném i opieczętowaném przez ostatniego. Pisma te zawierają po części bardzo interesujące dokumenta, do dziejów wieku Napoleona I; poczynając od czasu służby, gdy nagle jako generał brygady był od czynnéj służby usunięty, aż do początku wojny w Hiszpanii. Wielce ciekawy jest projekt poprawienia artyleryi tureckiéj pisany własnoręcznie, a wiadomo że przed 18 Vendemaire miał zamiar udać się do Stambułu i ofiarować Porcie swoje usługi jako oficer artyleryi. Inne dokumenta dotyczą kampanii włoskich: najgodniejszym zaś uwagi i najważniejszym w tym zbiorze, jest plan pierwszéj wyprawy do Hiszpanii, dyktowany przez Napoleona I księciu

Abrantes, opatrzony po brzegach licznemi dodatkami. Plan ten zwraca uwagę szczególną tém, że wyjawia tajne jego zamysły o przyszłych granicach Francyi i Austryi. Cały ten cenny zabytek nie był i nie jest dotąd znany francuzkim pisarzom dziejów tego wojownika, ani redakcyi, która się zajmowała wydaniem korrespondencyi Napoleona I już w naszych czasach, z polecenia Napoleona III. Jeżeli pomieniony zabytek, jako drogą pamiątkę, po ubóstwianym cesarzu na wagę złota nabył Tytus hr. Działyński, nie pożałował hojnego grosza na skupowanie drogich pamiątek narodowych. Tak w tymże roku zdobył dwa foliały rękopiśmienne do dziejów ojczystych. Pierwszy pisany na pergaminie 1422 r., zawiera zbiór przywilejów nadanych Krzyżakom (od czasu zjawienia się ich na polskiéj ziemi), przez królów polskich i wielkich książąt litewskich; drugi, ręką Długosza na pargaminie także pisany, i przez niego r. 1471 w skarbcu krakowskim złożony, a dla interesów krzyżackich z rozkazu Zygmunta I do Poznania przywieziony, obejmuje zbiór tranzakcyi przez Długosza zebranych, a zdziałanych między Polską i Krzyżakami: są w nim równie i dowody, że ziemie Michałowskie, Pomorskie i Chełmińskie do korony polskiéj należą. T. Działyński w tejże dobie odkrył egzemplarz dotąd nieznanych a drukowanych poezyi Mikołaja Sępa Szarzyńskiego, które późniéj Józef Muczkowski przedrukiem rozpowszechnił.

Przykład T. Działyńskiego zapalał umysły i potężnie oddziaływał na naszę społeczność. Za jego téż przewodem pomnożyło się grono wielbicieli zabytków przeszłości, o które dotąd mniéj dbano, i powstały liczne prywatne księgozbiory, wzbogacane niemi, o ile środki ich właścicieli pomagały potemu. Możemy tylko zaręczyć, że były liczne przykłady, że złoto hojnie stawiane niedawno na karty, jeszcze ochotniéj oddawano za dawne księgi i rękopisma, przez zamożną młodzież arystokracyi polskiéj. Nie jeden z nich, nabywszy drogocenny zabytek, chlubił się nim ochotnie i z dumą szlachetną opowiadał ile trudów w zdobyciu go poniósł, i wiele garści dukatów wysypał.

Gazeta Literacka podaje nam nadzwyczaj ważną statystykę szkół w Królestwie Polskiém z r. 1821, zaczynając od uniwersytetu a kończąc na pensyonatach prywatnych męzkich i żeńskich.

Uniwersytet Królewsko-Warszawski liczył w r. 1821 profesorów na pięciu wydziałach 46, uczniów zaś 491. Najliczniejszym był wydział prawa i administracyi, mający uczniów 256; najmniéj zaś tychże liczący wydział sztuk pięknych, bo tylko siedmnastu uczniów.

Szkół jedenaście wojewódzkich liczyło nauczycieli 169, uczniów zaś 4,117; szkół wydziałowych 104, uczniów 1,906; szkół podwydziałowych siedm, nauczycieli 33, uczniów 508. Instytuta nauczycieli elementarnych dwa: 1) w Łowiczu, 2) w Puławach: liczyły razem nauczycieli 11, uczniów 58. Szkół elementarnych w miastach i po wsiach razem szkółek 11,000, z uczniami 36,198. Biorąc ogólnie ludność ówczesnych ośmiu województw wynoszącą razem 3,585,804, szkoły wszystkie miały uczniów 43,871. Województwo Sandomierskie we wzglę-

dzie edukacyjnym najniżéj w tym roku 1821 stało, albowiem na ogólną ludność 344,458 głów, liczono tylko 3,322 uczniów, gdy Podlaskie, często traktowane szyderskiemi przydomkami, na ludność 329,796 miało uczniów 2,427.

Co do kontroli druku zaszła w tymże roku 1822 zmiana. Cenzura pism peryodycznych zostawała przy dyrekcyi generalnéj policyi; cenzura zaś wszystkich innych dzieł była przy komisyi rządowéj wyznań religijnych i oświecenia publicznego. Postanowieniem namiestnika królewskiego (pod dniem 7 maja 1822 r.), połączono tę cenzurę razem i ogólną władzę powierzono dyrektorowi generalnemu wychowania publicznego radcy stanu Józefowi Kalasantemu Szaniawskiemu, to jest cenzurę zarówno dzieł, jak pism peryodycznych i wszelkich druków. Cenzura ta obowiązywać zaczęła od dnia 20 maja 1820 r.

Wspomnieliśmy już że lata 1821 i 1822 obfity plon przyniosły dla literatury ojczystéj. Wytwarzał się on w części w Warszawie, a głównie skupiał w Warszawie i rozpływał po całym kraju. Utwory poetyczne jak i prozą stanowiłyby obszerny katalog, o ważniejszych przeto tylko tu wspomnimy, które czujniejszą uwagę na siebie ściągnęły naszéj inteligencyi społecznéj. Na czele postawić tu musimy: *Pisma Kazimierza Brodzińskiego* w 2 tomach, obejmujące różne poezye tak oryginalne jak tłómaczone lub naśladowane. Gdy je publiczność, a szczególniéj młode pokolenie z zachwyceniem przyjęło, *Gazeta Literacka* poświęciwszy im obszerny rozbiór, ciągnący się przez kilka numerów, zawsze oszczędna w pochwałach, nie poznawszy się na prawdziwéj ich wartości, zajęta wyszukiwaniem drobnych błędów gramatycznych, w końcu wynurza swój żal, że autor lepszego wyboru w pismach swoich nie zrobił.

„Każdy pisarz czytelników swoich, tak kończy recenzent swoję krytykę, równie jak każdy gospodarz, gości przyjaznych tém tylko częstować powinien, co dom ma najlepszego. Zbiór ten ograniczony do jednego tylko tomu, ułatwiłby był autorowi wypracowanie, uwolniłby był i jego czytelników od tak długiego komentarza. Niby na tém nie straciła sława p. Brodzińskiego, w czytaniu bowiem i pisaniu dzieł nie zależy na tém, jak mówi Seneka: *quam multa, sed quam bona.*"

Skromny, jak zawsze Brodziński, przyjął z pokorą i w milczeniu podaną sobie nauczkę przez surowego sędziego, ale młode pokolenie inny sąd wydało o tym zbiorze o ulubionym poecie. Uderzały w nich, co ocenić młodzież umiała: szczerość, prawda, uczucia i prostota wyrażeń poety, tak różna od współczesnych wierszopisarzy. Skwapliwie się téż uczyła na pamięć wiele poezyi z tego zbioru, a miała w czém wybierać. Starsze pokolenie przyjęło z równém upodobaniem tę publikacyą. Żyło wówczas po miastach, a więcéj po dworach ziemian w zaciszy wiejskiéj wielu weteranów wielkiéj armii Napoleona I. Z uczuciem głębokiéj wdzięczności, ze łzami w oczach dla poety, starzy wojacy, co walczyli w Italii, na San-Domingo, w Hiszpanii, czytali wiersz położony na czele p. n.: *Legionista*, a dwuwiersz z niego:

„Własnąśmy tylko ziemię po ojcach orali,
Na swoich tylko miedzach szablę zatykali."

stał się niemal przysłowiem narodowém, które w ustach wszystkich brzmiało.

Bez łez téż bolesnych i głośnego łkania, marsowate te postacie, z ranami z pod Mantui, z San-Domingo, Saragossy, które dopiéro w kraju pogoili, nie mogli słuchać wiersza Brodzińskiego: *Na wprowadzenie zwłok księcia Józefa Poniatowskiego, z pod Lipska do Warszawy, 1815 r.*

W gronie ich gdy przyszedł ten ustęp:

„O! bracia, już ostatnia wybiła nam pora,
W nieszczęsną Troję zwłoki prowadzą Hektora:
Spocznie Bóg, grot ostatni padł na Polską ziemię:
Już mu braknie pocisków na Sarmackie plemię."

oblicza słuchaczy bladły, głowy opuszczano na piersi, a łzy słone zwilżały ich policzki i posiwiałe wąsy. Pieśń *Żołnierz nad rzeką Moskwą w r. 1812*, z łatwą a pełną tęsknoty melodyą, była śpiewana po wszystkich obywatelskich domach, nietylko w Warszawie, ale w całym kraju po dworach wiejskich. Wiersza: *Przodkowie*, uczyli się chłopcy małe na deklamacye ku uciesze rodziców swoich, studenci w szkołach występowali z nim na publicznych egzaminach.

Pierwszy Brodziński dał nam prawdziwą sielankę polską: *Wiesław*, w pięciu pieśniach. Słusznie téż poetę sprawiedliwa potomność uczciła przydomkiem: *śpiewaka Wiesława*. Wszystkie dawniejsze sielanki, któremi się szczycił okres Stanisława Augusta, stanęły jak blade widma bez życia, obok Wiesława pełnego czerstwości krakowskiéj. Prawda, szczerość i prostota cechuje to wierne malowidło chłopa krakowskiego, a znał go dobrze Brodziński, gdyż wychował się w Krakowskiéj ziemi i matkę mu w niemowlęcych latach zmarłą, chłopki krakowskie zastąpiły; ich téż pieczołowitości i staraniu zawdzięczał, że zdrowo się w pacholęcych latach chował.

Dla Warszawy najulubieńszym wierszem Brodzińskiego był ów miły obrazek *Staś i Halina*, w którym opisuje odpust w Czerniakowie, tak rok rocznie przez warszawską ludność obchodzony uroczyście. Tłumy idące w to ustronie wiejskie, powtarzały sobie z przyjemnością początkową strofkę:

„Weselna była pora majowa,
Na odpust szedłem do Czerniakowa."

Nie piszemy tu rozbioru pism wydanych przez K. Brodzińskiego, ale zbieramy tylko wspomnienia, jakie wywołały wrażenia w społeczności Warszawy i całego jéj kraju. Wszystkie jéj warstwy znalazły w nich upodobane sobie utwory: zarówno matki, żony, dziewice polskie, jak młodzież ucząca się; dojrzalsi wiekiem ziemianie i wojacy nasi, jedni

zostający w czynnéj służbie, drudzy osiedli na roli lub w zacisznym zakątku bez skargi na ustach, kończący swoją smutną pielgrzymkę życia.

Wiersz Brodzińskiego: *Żal za językiem polskim*, może niejednego dziś dziwić; wówczas gdy go pisał, był wywołany prawdziwém oburzeniem, na wzgardę ojczystéj mowy. Gorzka ta, z głębi serca wyrzucona skarga na tę lekkomyślność całéj naszéj społeczności miejskiéj i wiejskiéj, która wychowanie swych dzieci uważała za najwyborniejsze i wykończone, gdy niedorostki lepiéj się tłómaczyły po francuzku, niż rodowitym językiem. Panie nasze uważały za grzech śmiertelny odezwanie się syna i córki ojczystą mową, brały to za uchybienie swéj godności rodowitéj. Dziatwa od kołyski, innéj jak francuzka nie słyszały mowy. Ztąd Brodziński w téj ślicznéj elegii nie daremnie wyrzuca:

„Język, którym ojcowie na obradach wolni,
Serce wywnętrzyć, sławę podbić byli zdolni,
Świadek przodków swobody, ich przekaz wieczysty,
Niezmienny jak duch Lechów, jak ich serce czysty;
Język, którym królowie bóstwo lackie czcili,
Potomki prawie teraz do sług obrócili.
Nie po polsku do swoich ojców mówią dziatki,
Już Polski nie rozrzewnia święte słowo *matki!*
Przestała luba dziatwa pieścić mowę dziadów,
Przy ucztach, w zamku ojców, niéma Polski śladów.
W obcym języku córka uczucia rozjawia,
W obcym dowcip rozwija i do cnót się wprawia;
Niańkom tylko ojczysty język zostawiony!
Sobie matka nieufna, szle w dalekie strony,
By cudzoziemka obca w cnotach i zwyczaju,
Prawe obywatelki tworzyła dla kraju:
Bo znać, jak mało polską tchniemy jeszcze duszą,
Że nas i cnót domowych obcy uczyć muszą!
Za Polskę znosi rycerz z ziem odległych rany,
Nie po polsku od Polek bronionych witany;
Serdeczny język ojców, wierzajcie zdumieni:
Nie umié już tłómaczyć serdecznych płomieni!"

Że takie nierozważne mniemanie przeważało w społeczności naszéj, a głównie w Warszawie, mamy najlepszy dowód w słynnym pod owe czasy romansie: *Adolf i Julia*, który napisał za czasów Księztwa Warszawskiego Ludwik Kropiński, autor tragedyi *Ludgarda*, powodowany tą prawdziwie obywatelską myślą, ażeby przekonać, głównie Polki, że język narodowy zdolny jest równie jak francuzki oddać wymownie wszystkie uczucia miłości i równie je *delikatnie* cieniować.

Klementyna Tańska, późniejsza Hoffmanowa, niezapomniana autorka, która tak potężny wpływ na płeć swoję w kraju wywarła, na ze-

braniach u siebie przygotowała puszkę, w którą każdy musiał za karę płacić, gdy użył francuzkiego wyrazu lub zwrotu, mogąc go dobrze wypowiedzieć po polsku.

Wszystko to nas dzisiaj dziwić może, a za owych czasów byłoto rzeczą zwyczajną i powszednią, na którą sarkał z goryczą Brodziński i wielu idąc za jego przewodem.

Słusznie też uważa nasz poeta za szkodę i w literaturze gdy pisze:

„Myśl w sekwańskim ubiorze, pióro w polskim chodzi,
Mało co w plennéj Polsce polskiego się rodzi;
W rozmowach dziwnie język z obcym się kojarzy:
Po francuzku spór wiedziem o polskich pisarzy."

Bolesna skarga, jaką zakończył swą elegię Brodziński, nie przeszła bez wrażenia. Od téj chwili, możemy zaręczyć, poczęto więcéj szanować ojczystę mowę i mniéj *paplać* w połowie po polsku, w połowie francuzku. *Żal za polskim językiem* poruszył odwagę cywilną dotąd uśpioną i nie cofano się w towarzyskich zebraniach karcić młodzików, a nawet i panny, gdy mowę rodzinną tym sposobem kaziły.

Wpływ Kazimierza Brodzińskiego, lubo nie rozgłośny, był cichy i spokojny, jak samego poety charakter. Myśli jego, skargi nawet, były to słowa wypowiedziane z taką miłością a tak rzewnie, że pomimo woli lgnęły do serca, do głowy. On, jak pracowity oracz przy piosnce skowronka, uprawiał w pocie czoła plenne niwy ojczyste, aby w nie rzucił ziarna bujnego posiewu, genialny mistrz *Dziadów* i *Grażyny*, aby dorazu wybijały z nich kwiaty i plony. Mickiewicz znalazł rolę gotową, uprawną należycie, a ta zasługa należy zaprawdę śpiewakowi *Wiesława*.

W tych latach po *Sybilli* ukazał się nowy poemat Pawła Woronicza: *Asarmot narodów sarmackich patryarcha* i majestatyczny *Hymn do Boga*. Nic równie wzniosłego niémiała, a rzec możua, że i dziś nawet możemy powiedzieć, niéma poezya polska nad te utwory Woronicza. Ale toż samo uczucie, które natchnęło świętym psalmem kapłana-poetę, ogrzewało piersi skromnego Brodzińskiego. Cała różnica zachodzi w dobraniu treści i okryciu artystyczném każdego utworu. Woronicz grał na surmie, pod któréj odgłosem kruszyły się mury Jerycho; Brodziński na fujarce wierzbowéj rozweselał niwy i dąbrowy polskie, ale myśl i ton obu były też same, płynące z jednych uczuć i jakby z jednéj głowy.

Prawie współcześnie po pismach Brodzińskiego, ukazała się *Pani Jeziora*, poemat Walter-Skotta, tłómaczony z angielskiego przez Karola z Kalinówki (Karola Sieńkiewicza), w Warszawie 1822 r., dwa tomy. Mistrzowski ten przekład, w pośród tandetnych tłómaczeń, zajaśniał nagle jak świetny meteor. Przekład dopełniony z oryginału, w części wierszem, w części prozą, pozyskał ogólne uznanie, a nakładca N.

Glücksberg dobrze i korzystnie wyszedł, sprzedawszy w ciągu roku całe wydanie, złożone z przeszło 1,000 egzemplarzy.

Byłto pierwszy tłómacz, który nas sumiennie zapoznawał z arcydziełem Walter-Skotta, wprost (bez pośrednictwa Francuzów) przełożoném z oryginału. Karol z Kalinówki utrwalił tą jedną pracą imie swoje i pokazał jak się powinny tłómaczyć arcydzieła z literatur obcych. Poszedł téż jego śladami A. E. Odyniec i w lat 16 późniéj wzbogacił literaturę nowym przekładem tegoż utworu pod zmienionym tytułem: *Dziewicy Jeziora*, idąc w tém za późniejszém zdaniem samego autora. Pomimo jednakże talentu A. E. Odyńca, z jakim spełnił swoje zadanie, dziś odczytywać można z całą przyjemnością tłómaczenie Karola z Kalinówki i podziwiać urok jego poetycznego słowa. *Gazeta Literacka*, mówiąc o pojawieniu się przekładu Karola z Kalinówki, już zaczęła wydzierać kartki z kodeksu klasycznego, dotąd z bałwochwalską czcią szanowanego. „Podług prawideł poetyki, pisze, cudowność jest koniecznym warunkiem poezyi rycerskiéj. Bez wątpienia była ona konieczną dla Greków, jest ozdobą zajmującą i na naturze umysłu lubiącego rzeczy nadzwyczajne zasadzoną; lecz niesmaczne alegorye *Henryady* przekonywają nas, jak źle jest nadto ulegać prawidłu niewcześnie upowszechnionemu; interes zaś i poemat, wielu poematów Byrona i Walter-Skotta dowodzi, że się ten rodzaj rycerskiéj poezyi i bez cudowności obejść może. Każda akcya jedna i prosta może być przedmiotem tak jak i w tragedyi, ta tylko zachodzi różnica, że się rzecz odbywa nie przez wystawienie osób działających, ale przez opowiadanie, które upoważnia większą bujność języka, otwiera obszerniejsze szranki dla imaginacyi i daje wstęp wszelkiemu rodzajowi ozdób poetycznych. Na témto obszernėm polu wiele jeszcze miejsc do uprawy zostaje; ludzie talentem obdarzeni, tém chętniejby się niemi zająć powinni, gdy każdy jest przekonanym, jak trudno w dziejach świata znaleźć przedmioty podobne do oblężenia Troi lub Jerozolimy."

Ręka, która to pisała, roztworzyła naścieżaj wrota do niwy, uprawionéj przez K. Brodzińskiego, dla genialnego siewcy Bożego ziarna. Tak wszystko zwolna przygotowywało się na przyjęcie uroczyste wielkiego poety, który jedném słowem, jednym wierszykiem *romantyczność*, dał nazwę swéj epoce i nowy świat w pojęciach społeczności polskiéj roztworzył.

Obok poetycznych utworów tak oryginalnych, jak i tłómaczonych arcydzieł obcych i w gałęzi historycznéj pojawia się niezmiernie ważna publikacya p. n.: *Zbiór pamiętników historycznych o dawnéj Polsce wydanych, oraz z listami oryginalnemi królów i znakomitych ludzi w kraju naszym*, przez J. U. Niemcewicza.

Od końca panowania Augusta III i Stanisława Augusta, nie wyszedł żaden u nas zbiór historyczny. Zbiory historyków polskich przez Miclera i Bohomolca wydane, stały się zbyt rzadkiemi, a lubo literatura polska w innych gałęziach swoich bujnie zakwitła, ta gałąź zbiorów historycznych i pamiętników, całkiem zaniedbaną została.

Zasługa w tém niemała J. U. Niemcewicza, który nietylko w tym kierunku dawał piękny przykład, ożywiał scenę narodową utworami dramatycznemi treści dziejowéj, podjął napisanie dziejów *Panowania Zygmunta III*, wydał *Śpiewy historyczne;* teraz zabrał się do publikacyi zbiorowych pamiętników historycznych i wydobycia z ukrycia nieznanych rękopismów, dla wzbogacenia wiedzy o przeszłości zagasłéj.

Autor w przemowie swojéj, objaśniwszy czytelników o treści swego wydawnictwa i znaczeniu pamiętników, oraz zabytków historycznych, po wyliczeniu wydatniejszych pisarzy owych pamiętników, których prace przechowały się szczęśliwie, nie pomijając i obcych o Polsce piszących, daléj wyraża:

„Ileż mimo tylu najazdów i rabunków pozostało nam jeszcze rękopismów własnych rodaków, dyaryuszów sejmów, wypraw wojennych, negocyacyi, opisań pogrzebów, wesel, podróży, listów nakoniec oryginalnych królów, hetmanów, komisarzy, wielu innych znakomitych mężów. Co za skarby! jakżeby smutno było zostawiać je dłużéj na pastwę molów lub na tylekroć powtarzane już zatracenia najdroższych pamiątek naszych.

„Wszystko to zebrać, ułożyć, przetłómaczyć, obrałem za miłe starości méj zatrudnienie. Ile tomów dzieło to zawierać będzie, temu tylko wiadomo, który dni każdego człowieka policzył. Spodziewać się że trzy przynajmniéj tomy *in 8-vo majori*, wychodzić będzie corocznie. Ufam, że miłośnicy świetnéj zeszłości narodu naszego, znajdą w tym zbiorze przyjemną dla siebie naukę i zabawę."

Zamyka swą przemowę J. U. Niemcewicz w tych słowach:

„Wydając na świat, zachowując od zatracenia te rzadkie bardzo dawności naszéj zabytki, dopełniam obowiązku troskliwego o sławę ojczyzny naszéj obywatela. Gdyby nawet śmierć przerwała pasmo zaczętéj roboty, zostaną dla następców przygotowane już do niéj materyały."

Niestety! to przeczucie dostojnego autora, nie było daremne. Piąty tom *Pamiętników* wydanym został w Puławach, a VI już po zgonie autora we Lwowie i na nim skończyła się publikacya J. U. Niemcewicza, ale dała początek wydawnictwom licznych zabytków historycznych, które po nim podjął Edward hr. Raczyński: nieocenionéj wartości *Pamiętniki Jana Chryzostoma Paska* i wiele innych niemałéj wagi dla rozjaśnienia przeszłości zabytków i pamiątek, które w następnych latach ogłaszając piękném a zasłużoném wspomnieniem wdzięczności obok J. U. Niemcewicza, imie swoje otoczył i utrwalił w pamięci potomnych!

J. U. Niemcewicz rozpoczynając druk *Pamiętników*, liczył na pomoc z prenumeraty. Zawiedziony w swéj nadziei, rozdrażniony, na czele I tomu położył takie ostrzeżenie:

„Lista prenumeratorów (jeżeli będą) położy się w drugim tomie dzieła tego."

Przymówka nie przeszła bez skutku: w tomie II, 128 prenumeratorów czytamy nazwiska; w tomie III, 154; w tomie IV, 169. J. U. Niemcewicz drukował swoje *Pamiętniki* w zakładzie N. Glücksberga; z początku przeraził się niemałym nakładem, ale po uzyskaniu 451 prenumeratorów, uspokoił się, że jeżeli nic na téj publikacyi nie zyska za pracę, przynajmniéj z własnéj nie dołoży kieszeni.

Tom V już w r. 1830 drukowany w Puławach, w drukarni bibliotecznéj, zachował format i gatunek druku, jak czterech poprzednich i gdyby nie tytuł, nie łatwo rozróżnić zmianę drukarni. Tomem tym sam J. U. Niemcewicz swoje wydawnictwo zamykał, dając w końcu spis szczegółowy rzeczy w V tomie zawarty. Pod dawnym tytułem Zakład narodowy Imienia Ossolińskich, wydał tom VI *Pamiętników* o dawnéj Polsce, zebrany z rękopismów własnych, zachowanych w pomienionym Zakładzie, dlatego i nazwisko J. U Niemcewicza opuszczoném na tytule zostało. Obejmuje materyały historyczne od roku 1545 do 1625.

Gdyby prowadził daléj wydawnictwo swoich *Pamiętników* J. U. Niemcewicz, mógłby się obejść bez téj pomocy, gdyż i sam zgromadził cenne zabytki i miał otworem zasobne biblioteki w takowe: ordynacyi hr. Zamoyskich, w Willanowie, pułaską i w. i.

W kilka lat sędziwy starzee kraj opuścił i na obcéj ziemi żywota dokonał.

Po *Pani Jeziora* Walter-Skotta, należy wspomnieć: *Wybór poezyi Aleksandra Popa*, wierszem z angielskiego przełożonych, przez Ludwika Kamińskiego (Warszawa, 1822 r. Nakładem Zawadzkiego i Węckiego). Tłómacz, wykształcony oficer Księztwa Warszawskiego, znający gruntownie języki: angielski i włoski oprócz innych, wolne chwile od zajęcia gospodarczego, w ustroni wiejskiéj poświęcił na przekłady ulubionych autorów z Albionu i Italii. Z Anglii wybrał Popego, z włoskich Danta i Tassa. Z *Komedyi Boskiéj* pierwszego, przetłómaczył *Piekło*; cały zaś poemat *Jerozolimę Wyzwoloną* Tassa, wydał późniéj drukiem. W tym okresie znamy go tylko, jako tłómacza klasycznego Popego. Przekłady Kamińskiego odznaczają się wiernością, starannym językiem, jak i szczęśliwie zachowanym charakterem oryginału, co do treści i formy.

Niemałe wrażenie wywarły oryginalne dumy p. n. *Groby w dniu śmierci Tadeusza Kościuszki*, autorem ich był książe Lubomisrki, założyciel Instytutu Oftalmicznego w Warszawie. Część pierwsza (Warszawa 1821 r.). Szczupłych rozmiarów książka, chwytaną była chciwie, bo przywodziła na pamięć imie bohatera, którego zgon niedawny, cały naród ciężko opłakiwał. Młody autor, który wkrótce umarł w kwiecie wieku, z postrzału w pojedynku, poprzednio wydał dzieło wielce zajmujące: *Wiedeń* w czasie kongresu 1815 r., którego cały nakład po ukazaniu się rozchwytanym został.

Niemało obudził ruchu sędziwy Wojciech Bogusławski, twórca teatru narodowego w Polsce, który złamany pracą wieloletnią, posta-

nowił usunąć się ze sceny, zdając dyrekcyę teatru w ręce zięcia swego Ludwika Osińskiego tłómacza *Cyda* i wielu dramatów francuzkich. W zaciszy do któréj się schronił ten mąż godny pomnika, postanowił wydać prace swoje dramatyczne, któremi podtrzymywał scenę narodową, podążając za objawami ważniejszemi w Europie literatury dramatycznéj. Obok tego dołączył dzieje Teatru narodowego w trzech częściach, i do każdego tomu przydał życiorysy znakomitszych artystów i aktorek.

Podpierając w samym zawiązku scenę narodową, musiał pisać, tłómaczyć i grać na scenie. Napisał sztuk dramatycznych około stu, z tych 60 wybrał, i w jednym zbiorze wydał, w XII tomach. Są tu tragedye, dramata, melodramy, komedye i opery.

Zaczął swoje dzieła dramatyczne drukować u „N. Glücksberga księgarza i typografa królewskiego uniwersytetu, w r. 1820, nietylko w starannéj, ale w ozdobnéj nawet edycyi; gdyż oprócz litografowanych portretów, dołączył w stalorytach, wydatniejsze sceny tak z tragedyi jak z oper. Druk okazały i wyraźny, pięknie odbity, papier biały, wszystko to wyróżniało tę publikacyą od innych współczesnych. Dzieła te przypisał W. Bogusławski: „Damom, za których staraniem ten zbiór na świat wychodzi, ku wiecznéj pamiątce wspaniałéj ich dla nauk opieki i na dowód dozgonnéj wdzięczności, dzieła moje poświęcam."

Jakoż damy dopomagały mu rzeczywiście do zebrania prenumeraty, która hojnie opłaciła koszta wydawnictwa niemałe.

We wstępie autor tłómaczy się, że przymuszony do pisania dla teatru, teraz po czterdziestu latach, wiernéj służby dla sceny narodowéj ośmielił się wydać swoje prace.

„Wolny (pisze daléj) od wszelakiéj żądzy autorskiéj sławy, prawdziwy literat z biédy, nie myślałem nigdy o wydaniu pism moich na świat, czego dowodzi ukrycie onych w rękopismach przez lat czterdzieści: oprócz Henryka VI i „Dowodu wdzięczności narodu," do których wydania, ówczasowe okoliczności były powodem. Znałem ja zawsze, a dziś znam jeszcze mocniéj, jak mało, słabe pióra mojego płody zasługują na widok publiczny. Ale kiedy aż dotąd, obok ze wszech miar, doskonalszych dzieł dramatycznych, wszystkie niemal sztuki moje, pobłażające u publiczności znajdują przyjęcie, a czytaniu onych przyszłemu pokoleniu za wzór wstecznego w widowiskach smaku posłużyć może; w tym względzie, wydanie pism moich, nie sądzę być nieużytecznem. Niemałym także do tego powodem stało się dla mnie widzenie tych sztuk po różnych pomniejszych teatrach, na których albo mylnie przepisane, albo z pamięci tylko zlepione, tylu niestosownemi dodatkami, odmianami i błędami obarczone znalazłem, że czytanie onych takiemi jakiemi są wistocie, zostawi je przynajmniéj przy tych tylko błędach, z któremi z pióra mojego wyszły."

„Było najprzód myślą moją dawniejsze dzieła zostawić, jak pierwiastkowo napisane były; ale wzrastający codziennie smak lepszego stylu, oczyszczenie mowy z obcych wyrazów, zmiana nareszcie okolicz-

ności i sposobu myślenia, zniewoliły mnie do przeistoczenia wielu miejsc ówczasowe zdarzenia wspominających, wielu słów już zapomnianych, wielu zdań przeciwnych dzisiejszym. Nie mogłem wszelako, chcąc zachować charaktery osób upłynionego wieku, niezostawić niektórych sposobów mówienia używanych w czasie, w jakich one wystawiam."

Wstęp swój, kończy temi słowy:

„Miłośnik nad wszystko spokoju, niechcąc pomnażać liczniejszych, już nad same nauki, w kraju naszym literackich wojen, przyznaję się zawczasu do wszystkich pomyłek, niedoskonałości i błędów, jakie surowym krytykom będzie się podobało w dziełach moich dopatrzéć. Niemając najmniejszéj myśli wystawiania onych za wzorowe, nie sądzę być wiele szkodliwemi pomniejszych uchybień, których dostrzedz nie umiałem; do przerabiania zaś na nowo dzieł całych nie zostawia dosyć czasu, już spadająca mojego życia zasłona.

„Składam w ręce radaków, czterdziesto letnichpracmoich dowody, jako hołd najczulszéj wdzięczności za łaski, któremi mnie, w chęciach służenia sobie, nieprzerwanie wspierali: szczęśliwy, jeżeli zostawiając młodzieży pamiątkę widowisk jakie bawiły ich ojców, w sercach ludzi, jednego zemną wieku, potrafię odczytaniem dzieł moich i czasów w których wystawione, i okoliczności do których stosowane były, przyjemne obudzić wspomnienie."

Chociaż z taką skromnością sędziwy autor się tłómaczy, czuł sam dobrze wartość swéj publikacyi, albowiem w niéj dawał młodszemu pokoleniu, najdokładniejszy obraz powstania i rozwoju w Polsce sztuki dramatycznéj, która się w pierwszych latach w jego ręku, i w Teatrze narodowym warszawskim skupiała. Starał się ten obraz w szczegółach Bogusławski uzupełniać, pisząc: *Dzieje Teatru Narodowego*, dołączając życiorysy aktorów i aktorek, a nadto przypiski i objaśnienia do każdéj sztuki. Słowem, podaje nam całość, jako wyborny wizerunek sceny narodowéj, zarazem i publiczności, która powoli nabierała coraz więcéj smaku i upodobania do sztuki dramatycznéj, mało co znanéj u nas, dopóki Stanisław August nie otworzył Teatru narodowego stałego w Warszawie, a Wojciech Bogusławski nie podparł go, utrzymywał przy życiu i rozwinął świetnie. Król założył teatr, ale prawdziwym jego ojcem, twórcą i opiekunem był Bogusławski: bez jego poświęcenia i pracy, staranie królewskie pozostałoby tylko wspomnieniem.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

PAMIĘTNIK Z LAT MŁODYCH

JULIUSZA SŁOWACKIEGO.

PRZEZ

Sewerynę z Zoch. Duchińską.

Znaczna część autobiografii wielkiego poety odkrytą została w tych czasach. P. Wacław Gasztowtt, na dorocznem posiedzeniu Towarzystwa historyczno-literackiego w Paryżu, odczytał bardzo ciekawe studyum w tym przedmiocie.

Wspomniony rękopism Słowackiego przechował się w ręku p. Żychonia. Kiedyś zapewne znajdą się i części zagubione. Że pamiętnik stanowił systematyczną całość, świadczą bieżące numera rozdziałów. Wielu z nich wcale niéma, inne niekompletne, czego dowodzą pomieszczone w górze nadpisy.

Z początku zaraz brak trzech pierwszych rozdziałów; czwarty pisany w Dreznie 1831 r., zawiera tylko niedokończony ustęp. Są w nim szczegóły o powtórnych związkach małżeńskich matki. Juliusz miał wtedy lat ośm.

Profesor Wileńskiego uniwersytetu dr. Becu, przybył w sierpniu do Krzemieńca, gdzie ślub odbył się niezwłocznie. Pobudką do tych związków, mówi Juliusz, była troskliwość matki o przyszłe jego losy i chęć wykształcenia go w Wilnie. Na trzy dni dopiero przed ślubem dowiedział się chłopczyk że będzie miał ojczyma. Wiadomość o wyjeździe do Wilna ucieszyła go bardzo; płakał jednak serdecznie podczas ślubu, widząc płaczącą matkę. Opowiada następnie przyjazd do Wilna, pierwsze spotkanie z pasierbicami matki: Olesią i Hersylką, pierwszą sprzeczkę, gdyż jak mówi, zgryźliwą jakąś uwagą obraził jednę z nich, przy zawiązanéj ledwie znajomości. Ta zgryźliwość była mu jak widać wrodzoną: ośmioletnie dziecko, wprzód miało do niéj skłonność, nim wpływ Byrona zdołał zaprawić goryczą jego serce.

Widzimy go, jak za przybyciem do Wilna odwiedza z radością ogródek, po którym biegał przed trzema laty, nim go matka wywiozła do Krzemieńca. Z całego miasta jedynie ten ogródek pozostał mu w pamięci. Widzimy go potém, jak z matką odwiedza grób ojca na cmentarzu miejscowym, jak klęcząc na kamieniu, odmawia pacierz i płacze, gdyż „o łzy nietrudno u niego!"

Tu przerywa się pamiętnik; napis tylko skreślony nad rozdziałem zapowiada, że była w nim mowa o pierwszych próbach poetycznych, o *Iliadzie* i o bitwach rycerskich w zbroi. *Iliada* mocno zajmowała

ośmioletniego chłopca; na jednéj z pozostałych kartek czytamy, jak wypytywał matkę, czy niéma innéj książki podobnéj? Dostał nareszcie *Enejdę* Wergiliusza, lecz ta okropnie go nudziła i przyprawiała do snu. Lubił, jak mówi, małe książeczki; pochlebiało mu to, gdy mógł jednę na dzień przeczytać. Maksymy la Rochefoucault'a odczytał kilkakrotnie, dzięki małemu formatowi.

Na tych szczegółach kończy się czwarty rozdział, kréślony dawniejszą pisownią, bez użycia joty. Następuje potém długa, dziewięcioletnia przerwa. Z pięciu rozdziałów niéma ani jednéj kartki. Przechodzimy nagle do dziesiątego; tu już widzimy w Juliuszu siedmnastoletniego młodzieńca, ucznia Wileńskiego uniwersytetu, zakochanego w Ludwice Śniadeckiéj. Życie dla niego stało się już, jak mówi, smutném pustkowiem; z Ludwiką widuje się tylko przy ludziach: inaczéj było na wsi!... Okropny wypadek silniéj jeszcze rozwinął to pesymistyczne usposobienie: młody jego przyjaciel, towarzysz szkolny Ludwik Spitznagel zakończył życie samobójstwem. Jego to obraz skreślił późniéj Juliusz, w ślicznym poemacie: *Godzina myśli.*

Wśród ciemnéj, szkolnéj sali, było drugie dziecię,
Włos miało jasny, kolor oczu lazurowy...
Ludzie na nim nadzieje budowali szczytne...
Pożerał księgi, mówił jak różne narody.
Do licznych nauk dziwnie palące czuł głody,
Trawił się, jego oczy ciemne i błękitne,
Jak polne dzwonki łzawym kryształem pokryte;
I godzinami myśli w jednostajność wbite,
Tonąc w otchłań marzenia, szły prostemi loty,
Za okresy widzenia, za wzroku przedmioty.

Młodzieniec ten obrócił na Wschód myśl i oczy. Jegoto imieniem tak cudnie przemawia poeta:

Słuchaj, wschodnie krainy dziś ujrzałem we śnie,
Piękne były, czarowne, nieraz o nich marzę:
Widzę słońcem ściemniałe Beduinów twarze,
Widzę lasy palmowe, świadki dawnych czasów.
Myśl moja niewstrzymana w te krainy goni,
Chciałbym jak duch w kwiecistéj roztopić się woni:
Chciałbym jak liść nieznany paść tam w głębi lasów.

I podjął młodzieniec kij pielgrzyma, ale serce jego targane podwójnym pędem nie mogło przetrwać walki. Chciwość wiedzy parła go w dalekie przestrzenie, miłość do młodéj dzieweczki zatrzymywała w domu. W chwili pożegnania, młody zapaleniec zakończył życie strzałem.

Bolesny to był rok dla Juliusza, ów rok 1826. Matka zachorowała ciężko; przeraźliwy jéj krzyk budził go nieraz w nocy. Lekarze zwątpili o jéj życiu, syn jednak nie mógł przypuścić, jak mówi, aby

matka jego umrzéć mogła. Przeczucie nie zawiodło. Wróżona przez wszystkich katastrofa, skończyła się weselem. Wujowie Juliusza Januszewscy, przybyli z Wołynia odwiedzić umierającą siostrę; jeden z nich poślubił Hersylię. Chrzest obu panien i Juliusza odbył się przy tych godach; dotąd ochrzczeni byli tylko z wody. Tu poeta smutną czyni uwagę: „otrzymałem chrzest wtedy, gdy zaczynałem tracić wiarę!" Wiara ta miała przecież powrócić: żywy jéj dowód mamy w liście Szczęsnego Felińskiego, dzisiejszego arcybiskupa, o skonie poety prawdziwie chrześciańskim.

Pod wpływem tylu wrażeń, siedmnastoletni młodzian nakreślił sonet, uważany, jak mówi, między pannami, za najpiękniejszą poezyą. Autor szydzi późniéj z téj próbki młodocianego pióra, utrzymuje że *pachnie myszką*, że tchnie sentymentalizmem niewieścim. Dlatego zapewne nie pomieścił tego sonetu w swych drukowanych zbiorach. Przytaczamy go tutaj:

Już północ, cień ponury pół świata okrywa,
A jeszcze serce zmysłom spoczynku nie daje;
Myśl za minioném szczęściem gonić nie przestaje:
Westchnienie po westchnieniu z piersi się wyrywa!
A choć znużone czoło we śnie odpoczywa,
To myśl snów ulatując w snów i marzeń kraje,
Goni za marą, któréj szczęściem niedostaje,
A dusza przez sen nawet drugiéj duszy wzywa.
Jest kwiat, co się otwiera pośród nocy cienia
I spogląda na księżyc i miłe tchnie wonie,
Aż póki nie obaczy jutrzenki promienia;
Jest serce, co się kryje w zakrwawioném łonie,
W nocy tylko oddycha, w nocy we łzach tonie,
A w dzień pilnie ukrywa głębokie cierpienia.

Rodzina cała po chrzcie i weselu wyjechała do Krzemieńca; Juliusz tylko został w Wilnie. Po rocznych egzaminach pośpieszył i on za matką i siostrami. Kiedy przejeżdżał przez Jaszuny, miejsce pobytu Jana Śniadeckiego, kiedy rzucił ztąd okiem na drogę do wsi, gdzie mieszkała Ludwika, serce jego ścisnęło się boleśnie. Wszystko byłby poświęcił, aby skręcić tą drogą. Niestety! nie był sam, jechał pocztą z towarzyszem, któremu pilno było powitać próg domowy. Ale w sercu siedmnastoletniego poety, fale wrażeń przesuwały się szybko; jedna spędzała drugą, zacierając jéj ślady. Po dwu tygodniach, przebytych z matką w Krzemieńcu, pojechał do Wierzchówki, do rodziny Michalskich. Tam oczarowała go miła Julka, jak się przyznaje w *Pamiętniku*.

Z bratem Julki, Zenonem Michalskim pośpieszył Juliusz do Odessy. Jadą, jak mówi, po waryacku, czwórką koni w krakowskiéj uprzęży; furman strojny bogato w kierezyą krakowską, za nimi pędzi kozak. Trzeciego dnia stają w Tulczynie. Chorosze zachwyca poetę;

późno w noc przebiega pyszny ogród, przygląda się murom pałacu, tak pustym i milczącym; przy świetle księżyca czyta szumny napis na frontonie. Wrażenie powstało w duszy młodzieńca; w wiele lat później skreślił ten ustęp w poemacie.

Niech cię nie wabi ten na zamku czole
Napis, co błyska od słońca na pole;
Bo to jest kłamstwo marmurów ohydne,
Złotem pisane i zdaleka widne.
....Choć pałac ten wygląda biało,
Choć za nim widać lipy starożytne,
Białe kościołki, jeziora błękitne;
Chociaż łabędzie śpią na tych jeziorach,
Choć róże strojne w jutrzenki kolorach;
Chociaż słowiki mieszkają w topolach
A daléj błękit i kłosy na polach:
Nie wierz zdradzieckiéj natury obłudzie:
Ten zamek pełny, w tym zamku są ludzie!
Od czasu jeszcze dawnych Pelopidów,
Od wygaśnięcia rodziny Atrydów:
Nigdzie krwi tyle na gmachu kamieniach,
Nigdzie plam tyle od zbrodni w sumieniach!

Widok miejsc tych przywodzi na myśl poecie Trembeckiego, który ztąd na tęż samę poglądał okolicę. „Przeklęte czasy, woła Juliusz, kiedy pierwszy poeta przebywał w takich miejscach!"

Zapalony zwolennik nowéj szkoły, ciekawą napisał tu uwagę. W mniemaniu jego klasyk tylko mógł zgrzeszyć w taki sposób. Romantyczność, utrzymuje on, gasi iskrę twórczą w poecie, gdy zgaśnie w nim uczucie godności osobistéj. Życie romantycznego poety powinno być czyste i podnoszące duszę.

W rozdziale jedenastym musiał zapewne autor skreślić wrażenia z pobytu swego w Odessie, lecz rozdziału tego brak całkiem, równie jak dwunastego. Ocalał zato trzynasty, pełen dramatycznych wypadków; dość rzucić okiem na spis rzeczy w nagłówku: *Marzę o tragedyach*; *Żegnam ją nazawsze*; *Dzień przeklęty*; *Przymierze z szatanem* i t. p. Jak widać spotkanie z Ludwiką zatarło w sercu Juliusza pamięć jednodniowych uczuć dla Julki. W ciągu zimy następnéj odwiedzał znów Jaszuny. Opowiada, jak siedząc w ciemnym pokoju na kanapie, podczas gdy Ludwika czytała stryjowi życie Drydena, marzył o tragedyach, jakie w przyszłości pisać będzie; ścigał myślą bohatérów nowogreckich. Te marzenia wyśpiewał później w poemacie: *Do polnego konika, żeglującego na rzeczulce.*

A kiedy płynął i srebrzystym rysem
Znaczył rzeczułki fale zwierciadlane,
Myśl moja cała z wielkim Kanarysem,
Płynęła za nim w kraje malowane:

Piękne przyszłością, i widziałem życie,
Z twarzą na słońcu, z oczyma w błękicie.

Konik polny pożeglował niestety w inną stronę: serce Ludwiki uderzyło, lecz nie dla Juliusza. W obejściu z nim zmieniła się zupełnie. Dotąd zwała go po imieniu, teraz mieniła go *panem*. Ta zmiana dobodła poetę do żywego. Uczucia Ludwiki nie były dla niego tajemnicą; unikał wszelkiego z nią spotkania. Zbliżał się *dzień piekielny*, Ludwika z ojcem wyjeżdżała na wieś; w tymże dniu rozdawano uniwersyteckie nagrody. Dwa pioruny miały ugodzić razem w serce młodego marzyciela. Opowiadał jak z twarzą zimną, podczas gdy pierś wrzała wulkanem, poszedł na pożegnanie; zastał ją w gronie licznych osób... podano lody... oboje z filiżanką w ręku zbliżyli się do okna... milcząc patrzyli na ulicę, wyrzekli wreszcie kilka słów obojętnych. Zajechały powozy... on lekko pocałował ją w rękę... ona wsiadła... powóz ruszył... i znikła mu z przed oczu... ostatnie to było ich spotkanie!

Ale w tym dniu piekielnym czekał go jeszcze drugi pocisk. Głos powszechny wróżył mu uniwersytecką nagrodę; on sam nie powątpiewał o niéj. Nagroda chybiła, dostała się innemu; Juliusz otrzymał tylko *accessit*. Na wieść o tém, z pałającą twarzą wybiega pod Antokol; wraca wreszcie, zamyka się w pokoju i gorzkiemi zalewa łzami. Drugi pocisk okazał się jednak dobroczynnym; pierwszego jak mówi, byłby może nie przeżył: myśl że śmierć przypisanoby zawiedzionym nadziejom szkolnym, zatrzymała go w porę.

Nie było w Wilnie dobréj matki, aby te łzy otarła; przebywała w Krzemieńcu. Poeta pośpieszył do niéj, zapłakał na jéj łonie.

Tak się skończył dla Juliusza ostatni rok nauk uniwersyteckich; miał zaledwie rok dziewiętnasty. Wyjeżdżając z Wilna poprzysiągł, że tam już nie powróci; przysięga sprawdzić się miała pomimo jego woli. Rok ten ostatni, jak przyznaje sam, pchnął go stanowczo w świat poezyi. Marzył o poemacie wschodnim, nakreślił go nawet, a lubo młodzieńczy ten utwór, całością swoją nie odpowiedział późniéj wysokim pojęciom jego o sztuce, śliczne jednak ustępy z niego pomieścił w swym *Arabie*. „Są to, mówi on, najpiękniejsze stronnice z moich poezyi: taką jest strofa o koralu, o muszli morskiéj i ostatni ustęp, gdzie Arab opisuje raj wymarzony." Oto ów ustęp tak wysoko ceniony przez poetę:

Nie, nie chcę raju; lecz proszę proroka,
Niech mojéj duszy da stepy bez końca,
Dzikie i puste, bezbrzeżne dla oka,
I wiecznie wrzące promieniami słońca.
A gdy zapragnę, wśród dzikiego błonia,
Na me skinienie, niech źródło wypływa;
Niech mi ten prorok wróci mego konia,
Który gdzieś w piaskach pustyni spoczywa.
Niech dla rajskiego duszy zachwycenia,
Step ten mych wrogów okryją mogiły;

Niech mi się wrócą znów młodości siły,
Lecz nie wracają młodości cierpienia.
O takiém szczęściu serce moje marzy,
Ach! wtenczas będę spokojny! szczęśliwy!
Niech tylko żaden, żaden człowiek żywy,
Téj samotności przerwać się nie waży!

Niemniéj rozpaczliwie zakończa poeta ów rozdział trzynasty pamiętnika, w którym żegna na wieki swoję burzliwą młodość i urocze marzenia co ją wykołysały. Odtąd życie dla niego, spalonym i głuchym tylko stepem! On skazany żyć bez uczuć, nawet bez sławy: ta zabłyśnie kiedyś, ale w dniu śmierci, nad zimnym jego grobem. Przypomina wreszcie modlitwę, którą sam utworzył i powtarzał w dziecięcych latach: „O, Boże! daj mi sławę, choćby po śmierci, a za to niech będę najnieszczęśliwszym, pogardzonym i niepoznanym w życiu." „Co ma być w życiu już się spełnia, dodaje poeta kreśląc pamiętnik, co ma być po śmierci, być musi!" I to zarówno się spełniło.

W rozdziale czternastym opisuje Juliusz sześciomiesięczny pobyt w Krzemieńcu, u boku dobréj i kochającéj matki. Był to czas wypoczynku po pracach uniwersyteckich. Młodzian pracował jednak bez ustanku. Czytywał pilnie książki, malował olejne krajobrazy, zajmował się muzyką, brał lekcye języka angielskiego. W tym ostatnim tak szybkie czynił postępy, że w trzy miesiące mógł zrozumiéć Byrona.

Wpływ wreszcie Albionu silnie oddziałał na geniusz poety naszego: sam to przyznaje w pamiętniku. Zamierzał po ukończeniu nauk, puścić się na daleką podróż. Matka wolna od obowiązków rodzinnych, chciała mu towarzyszyć. Nie było to po myśli poecie: „Kochając się w Ludwisi, mówi on, utworzyłem sobie charakter podobny do ciemnego charakteru bohatérów Byrona!" Pragnął więc jak drugi Child-Harold przebiegać sam jakąś poetyczną pustynię. Towarzystwo matki odbierało podróży dziki i tajemniczy urok. „Matka wymagała odemnie, ciągnie daléj, otwartości i poufnych zwierzeń; to być nie mogło: wymagała tego wówczas, kiedy się nauczyłem wszystko zamykać w sobie i łzy moje połykać w milczeniu!"

P. Gasztowtt zatrzymuje się obszernie nad tą częścią pamiętnika; sprawiedliwą czyni uwagę, w jak smutném świetle występuje tu ów byronizm, tak niebezpieczny w życiu, przeciw któremu Brodziński najsłuszniéj powstawał; bo i czémże Byronizm, jeśli nie upoetyzowaném samolubstwem? „Jak okrutnie odpokutować miał poeta tyloletniém rozłączeniem, tę dziecinną chęć wyzwolenia się z łagodnego macierzyńskiego jarzma!" Więcéj tu przecież krytyk dopatruje nieuwagi w słowach, niźli braku uczuć dla matki, którą Juliusz kochał gorąco i z którą późniéj tak pragnął się połączyć.

Na tém kończy p. Gasztowtt studyum nad nowo odkrytym pamiętnikiem. Dalsza jego część obejmuje pierwszy rok pobytu w Warszawie. Następują urywki z dziennika, kreślone w Paryżu w r. 1832. Szczegó-

ły zapisane tu, mniéj przedstawiają zajęcia, powtarzał je bowiem Juliusz w listach do matki, znanych tak z dzieła Małeckiego, jak z osobnego zbioru. P. Gasztowtt zamierza ogłosić drukiem ów drogocenny pomnik; mamy nadzieję, że rozgłos dany w téj sprawie, przyczyni się do wydobycia na jaw nieznanych dotąd części pamiętnika i zebrania ich w jednę całość.

AKADEMIA MICKIEWICZA

W BOLONII.

Z pism codziennych wiadomo już zapewne czytelnikom naszym, iż za inicyatywą profesora Dominika Santagaty i młodzieży włoskiéj, założone zostało w początkach b. r. w Bolonii stowarzyszenie naukowe, mające na celu szerzenie w Italii znajomości historyi i literatury polskiéj, oraz słowiańskiéj.

Stowarzyszenie to, celem uczczenia największego naszego poety, oraz jednego jak się wyraził Cavour z czterech największych poetów ludzkości (Homer, Dante, Szekspir i Mickiewicz), przybrało urzędową nazwę: *L'Accademia Adamo Mickiewicz di Storia e Litteratura Polacca e Slava.* Stowarzyszenie to składa się: z jednego prezesa, jednego viceprezesa, dwu sekretarzy i z członków czynnych.

Prezesem jest profesor Dominik Santagata, a władzę z nim dzielą pp. Mario Rinaldini, Antonio Paccetti, Alfonso Ghillini, Luigi Pagani Cesi i Dario Garti.

Z chwilą założenia akademii postarano się o odpowiednią liczbę członków korrespondentów, z grona inteligencyi polskiéj i włoskiéj. Pomiędzy nazwiskami ich spotykamy kilka znakomitości.

Oto lista dotychczasowych członków korrespondentów:

Władysław Mickiewicz (Paryż), Otton Hausner, Korneli Ujejski, Ludwik Wolski, Ludwik Skrzyński (Lwów), hr. Władysław Plater (Zurych), Józef Ignacy Kraszewski (Drezno), Zygmunt Kaczkowski (Paryż), hr. Władysław Kulczycki (Rzym), dr. Artur Wołyński (Florencya), Teofil Lenartowicz (Florencya), Giuliano Mörs de Paradowa (S. Giuliano), Zygmunt Boniaski (S. Giuliano), Vincenzo Arnese (Uścisków), Franciszek Duchiński (Paryż), Bronisław Wołowski (Wiedeń), Antoni Solański (Sambor), syndyk Kasparek (Sambor), Ludwik Żychliński (Cieszanów), Żegota Bogdanowicz, hr. St. de Rochetin (Konstantynopol), hr. Edward Simon, Jan Dobrzański, Teobald Semilski, Januski, Sadowski, Białaczewski (Lwów), komandor Venturi, b. syndyk

(Rzym), hr. Terenzio Mamiani, Armand Levy, Markiz Guerrieri Gonzaga, Sirio Fava, komandor Ruggero Bonghi, komandor Cesare Correnti, komandor Domenico Berti, komandor Benedetto Cairoli, senator Prati (Rzym), Scovazzi (bibliotekarz parlamentu).

Pierwszém działaniem akademii Mickiewicza będzie postaranie się o założenie w Bolonii katedry historyi i literatury polskiéj.

Na dzień 8 czerwca r. b. zapowiedziane zostało uroczyste posiedzenie akademii. Celem większego uczczenia téj uroczystości wydaną została w języku włoskim (przez p. Artura Wołyńskiego), broszura p. t. *All' Accademia di Adamo Mickiewicz, fondata in Bologna, dall' illustre professore Domenico Santagata, questo mazzolino di poezie, dell' immortal Vate Polacco, italianamente tradotte il' dottore Arturo Wołyński, nella prima solenne tornata dell' 8 Giugno 1879, per omaggio all' istituzione nascente e al benemerito fondatore offre.*

Broszura ta obejmuje w przekładzie włoskim, trzy poezye nieśmiertelnego twórcy *Pana Tadeusza*, mianowicie: *Odę do młodości*, *Do Matki* i *Redutę*. *Odę* przetłómaczył p. Curzio Antonelli, *Do Matki* p. Andrea Maffei, a *Redutę* p. Ettore Marucci.

Dla porównania, przytaczamy początek *Ody do młodości* (Ode alla Giuventa):

„Di mente e di cor privo un popol veggo,
Un popolo di scheletri. A me, vesti,
Gioventu, l'ali tue. Slanciarmi io voglio,
Da questo spento mondo
In regni di fantasime celesti,
Ove l'entusiasmo
Di portenti fecondo,
I calici dischiuda a novi fiori,
E dell aureo suo prisma
La speranza colori."

W dniu oznaczonym (to jest dnia 8 czerwca b. r.) o godzinie drugiéj po południu, w wielkiéj sali *Liceo Musicale Rossini* w Bolonii, zebrały się tłumy publiczności, należącéj do najwykwintniejszych sfer miasta.

W sali, dla uczczenia naszego wieszcza ustawiono jego popiersie, wykonane przez znanego rzeźbiarza w Rzymie Wiktora Brodzkiego.

Posiedzenie zagaił prezes, profesor Santagata. Mowa jego przyjęta była hucznemi oklaskami.

Wyjaśniwszy cel i znaczenie świeżo założonéj akademii, p. Santagata przeszedł następnie do pobytu Adama Mickiewicza w Bolonii. Wiadomo, iż wielki poeta zajęty organizowaniem legionu, mającego pomagać Włochom, w r. 1848 czas krótki przebywał w tém mieście. Otóż dostojny prezes akademii, wzmiankując o tém, nadmienił, że w domu Gaucha, w którym w tym czasie przemieszkiwał, umieszczony zostanie na tablicy odpowiedni napis. Podobny napis w roku 1877

umieszczony został na jednym z domów Rzymu, który Mickiewicz w tymże czasie zajmował. Tym sposobem miasto Bolonia odda hołd publiczny polskiemn geniuszowi.

Po zejściu z katedry prof. Santagaty ukazał się na niéj Teofil Lenartowicz. Oto co o wypowiedzianéj przezeń mowie, powiada *Gazzetta d'Italia* (Florencka) nr. 159 z dnia 9 czerwca:

„P. Teofil Lenartowicz wygłosił mowę, pełną głębokich i niepospolitych myśli, a traktującą o pismach politycznych Mickiewicza a przedewszystkiem o jego ojczyźnie i jego narodowości. Mowa ta przyjęta została hucznemi oklaskami.

Mieliśmy sposobność czytać tę mowę w oryginale, tenże sam bowiem numer *Gazzetta d'Italia* drukuje ją *in extenso*. Jeżeli zgromadzeni w sali „Liceo Musicale Rossini" nie mieli dokładnego wyobrażenia, kto to był Mickiewicz, to po téj mowie autora Lirenki zapoznali się z tą wielką osobistością. Mówca wziął sobie bowiem za zadanie ukazać słuchaczom Mickiewicza nie jako poetę (na to godzina czasu nie wystarczałaby) ale jako filozofa i męża czynu. Zadanie swoje osiągnął téż on w zupełności, odchylił bowiem przed zebranymi zasłonę pokrywającą to wielkie serce, które biło li tylko dla dobra i wolności świata. W końcu, p. Lenartowicz przeszedł do wykazania zasług narodu polskiego dla cywilizacyi, i przytoczył szereg imion, zasłużonych krajowi, a tém samem i ludzkości.

Następnie przedstawiano dzieła ofiarowane akademii, rozdano zebranym na posiedzeniu broszurę obejmującą przekład poezyi Mickiewicza i odczytano telegramy dziękczynne, nadeszłe w dniu tym od polaków całego świata.

NIRWANA
WOBEC METAFIZYKI,

czyli ocena podstaw metafizycznych filozofii wyzwolenia w związku z systematami filozoficznemi Schopenhauera i Hartmanna *).

PRZEZ

Seweryna Smolikowskiego.

§ 5. Absolut w szkole pesymistów.—Hypostazy.—Apoteoza woli.

Przedstawiliśmy jak pojęcie *istnienia* (w najogólniejszém słowa tego znaczeniu) łączy się z pojęciem wieczności (§ 2); przedstawiliśmy daléj, jak na mocy *prawa przyczynowości*, téj wrodzonéj osnowy myśli naszéj, dochodzimy do *jedni* przenikającéj wszechświat, czyli do zgodności dwu zakresów bytu: zjawisk i myśli (§ 4); jak wreszcie, drogą logicznych uogólnień przychodzimy do pojęcia *wiecznéj* i *jednotitéj* (w sobie) *przyczyny* świata, czyli do uznania absolutu jednolitego w zjawiskach i celu to jest—Boga.

Absolut taki uznaje *każda filozofia* [1]), każdy pogląd na świat obejmujący całokształt zjawisk i wiążący go jednią myśli i celu. Inna rzecz, jaką drogą do absolutu tego dochodzimy, jak go pojmujemy, jak wreszcie go nazywamy [2]); ale w ogóle od uznania *absolutu* nikt

---

*) Dalszy ciąg, patrz zeszyt za kwiecień r. b.—*Nirwana wobec metafizyki;* oraz *Najnowsze objawy filozofii pesymistycznéj w Niemczech. Filozofia wyzwolenia* w zeszytach Biblioteki Warszawskiéj za maj, lipiec i wrzesień z 1879 roku.

[1]) Co do *pozytywizmu* porównaj *Filizofia wyzwolenia*, Bib. War. Kwiecień str. 104 przypisek 1, 2; albo str. 90 w osóbném wydaniu niniejszéj pracy.

[2]) Wielu myślicieli stawia sobie za punkt honoru unikanie nazwy *Boga*, nawet wtedy gdy absolut ich filozofii nosi wszystkie cechy Boga teologicznego. Inni sądzą, że z usunięciem nazwy lub z zamianą jéj na inną, zmieniają istotę rzeczy. Ci znowu, którzy unikają nazwy Boga w celu, by nie posądzono ich o pojmowanie absolutu zgodne z tą lub ową teologią, zapominają, że nietylko już systemata filozoficzne ale i różne religie różnie Boga pojmują i różnie téż przedstawiają Go sobie. Nie idzie więc zatém, by filozof, nazwy Boga używający na oznaczenie swego absolutu, szedł w tym względzie za tą lub ową wskazówką teologiczną. Są wreszcie i tacy, którzy dla uniknięcia antropomorfizmu, do godności Boga podnoszą pewne pojęcia oder-

wyzwolić się nie może, gdyż uznanie to leży na dnie wszelkiéj filozofii (§ 2): ono warunkuje wszelkie poznanie nasze (§ 3) i ono jedynie zaspakaja wymagania rozumu. Rozum bowiem z natury rzeczy dąży do najwyższych uogólnień i do ostatecznych wyników, stanowiących zakres *metafizyki* a z myślą naszą związanych węzłem logicznéj konieczności.

Są wprawdzie myśliciele, pragnący ograniczyć zadanie filozofii do wynajdywania praw dla zjawisk bez tłómaczenia ich przyczyny i celu, a ztąd głoszący zerwanie raz na zawsze z pytaniami absolutnemi a raczéj z metafizyką (pozytywiści); ale zapominają oni, że samo pojęcie *prawa* jest metafizycznéj natury, a jako takie potrąca o cały szereg pojęć bezwzględnych, a dla myśli nieodzownych, jak: *konieczność*, *logiczność*... Pierwsze dotyczy stałości zjawisk zewnętrznych, świata; drugie wewnętrznych, myśli naszéj a pośrednio i tych pierwwszych, tą myślą napiętnowanych. Oba te pojęcia przenoszą nas mimowoli w krainę bezwzględności, oba wskazują wspólne ich źródło—*absolut*.

Comte, ów prawodawca nowoczesnego pozytywizmu, uważa, że i Newton zboczył z właściwéj sobie drogi (*hypotheses non fingo*) gdy ciężkość tłómaczył siłą przyciągania (*attractio*). Tłómacząc ciężar siłą, to jest mówiąc o przyczynie zjawiska powszechnego ciążenia, Newton, zdaniem jego, wkroczył w dziedzinę metafizyki, w krainę hypotez; chcąc bowiem wytrwać w zakresie filozofii pozytywnéj, należało wyrazić się: ciążenie (*gravitation*) a nie przyciąganie (*attraction*). Pierwszy wyraz oznacza właśnie ideał pozytywnych rezultatów, to jest nic więcéj prócz: *prawa odkrytego w zjawiskach natury*, bez tłómaczenia przyczyny i celu; *prawo powszechnego ciążenia*, oto prawda pozytywna czyli *prawo* w pojęciu szkoły, a prawo—to właśnie *uogólnienie zjawisk* (*le fait généralisé*).

---

wane; ale cóż z tego, kiedy i oni przy rozwijaniu swoich systematów, w ciągu rzeczy do pojęcia tego dołączają jedne po drugich wszystkie niemal cechy Boga osobistego (Hartmann).

Edgar Quinet znajduje inną jeszcze przyczynę usuwania nazwy Boga. Oto co mówi ten natchniony myśliciel w ostatniém dziełku swojém, które on sam nazywa „streszczeniem pracy całego życia" a które możnaby nazwać jego śpiewem łabędzim:

„L'hypocrisie de notre temps a produit une conséquence surprenante. Les philosophes n'osent plus prononcer le nom de Dieu, tant ce nom a servi de masque à la fourberie.

„Que fera le philosophe pour éviter de prononcer le nom de Dieu? Il le changera. Il appellera Dieu l'Inconscient et il en remplira son système. Ainsi, premier point de départ. Le nom de Dieu a été dés honoré de nos jours par les faux dévots; pour le réhabiliter, il faut d'abord le taire." (*L'Esprit nouveau*. Paris 1875 str. 271).

Zgadzamy się najzupełniéj na tę metodę badania zjawisk, powiemy nawet, że jest to jedyna racyonalna, jedyna metoda, jaka do odkrywania praw w zjawiskach prowadzić może, słowem metoda jedynie *naukowa*. Ale chociaż nauka i filozofia, to dwa odrębne byty, jednakże są one związane wspólną podstawą, gdyż płyną z jednego źródła, myśli naszéj. Czyliż uogólniając zaznaczane zjawiska i szukając jednego na nie wzoru, niémamy w duszy przekonania, że prawo takie znaleźć się musi, że logiczność i konieczność wszędzie przebijają? Dlaczego dążymy do wykrycia tych praw w zjawiskach? Dlaczego nie ograniczamy się na badaniu pojedyńczych faktów? Dlaczego wiążemy w jednę całość syntetyczną [1])? Dlaczego wreszcie szukamy jednego wspólnego dla nich wszystkich kanonu?

Tę łączność zjawisk świata stwierdza wprawdzie indukcya, ale jéj nie uczy. Zresztą wszakże sam Comte twierdzi, że hypotezy są konieczne w dziejowym rozwoju człowieka, że bez hypotez nawet żadna nauka nie mogłaby początkowo rozwinąć się. Przypuścić więc potrzeba, że obecnie ustrój naszego mózgu inny. Ale w takim razie zkąd pewność, że to co *ostatnie*, lepsze [2]), bardziéj do prawdy zbliżone? Odpowiedzą pozytywiści: pewność ta wynika z wiary w postęp (*le progrès pour base!*) ale zkąd ta wiara? Słowem zawsze i wszędzie, gdziekolwiek i w którąkolwiek stronę zwrócimy myśl naszę, potrącamy o metafizykę, o τὰ μετὰ τὰ φυσικά [3]) czyli o to, co leży *poza fizyką*, poza *pozytywizmem*.

Daleko téż racyonalniejszym jest Herbert Spencer, który, lubo w pewnym względzie jest także pozytywistą w znaczeniu szkoły Comte'a, ale ogłaszając poznanie nasze za względne, oddziela przytem dwa światy: świat dla nas niedostępny, nie mogący być poznanym (*The Unknowable*), i świat zrozumiały, dla myśli naszéj dostępny (*The Knowable*). Pytań absolutnych, stanowiących dziedzinę pierwszego z tych światów, to jest świata niedostępnego, nie uważa on za patologiczny stan umysłu naszego, za pierwotne stadyum, za dziecięctwo myśli ludzkiéj, za stan obecnie już nienormalny, z którego wyleczyć się musimy (*Comte*); ale przeciwnie nawet w zakresie dostępnych dla nas zjawisk, to jest świata mogącego być poznanym (*The knowable*), poznanie tego ostatniego zależném czyni od świata niedostępnego, od owego absolutnego zakresu bytu.

---

[1]) Filozofia pozytywna wedle wyrażenia głównych jéj przedstawicieli (Comte, Littré) jest właśnie taką *syntezą naukową*.

[2]) Pomijamy już i ten wzgląd, że w nieskończonym łańcuchu ewolucyi wyraz *ostatni* wyrugowanym być powinien ze słownika filozoficznego, gdyż wprowadza zawsze w błąd. Tymczasem zaś *pozytywizm* uważanym jest właśnie przez całą szkołę za *ostatnie* stadyum filozofii.

[3]) Tak nazwał tę część filozofii *Andronikus rodyjski*, który pierwszy porządkując pisma Arystotelesa, umieścił traktaty o *bycie w sobie*, jego przyczynie i istocie, po traktatach o *naturze* (φῦσις)

Kończąc ciekawe i nauczające rozdziały poświęcone rozbiorowi pojęć siły i ruchu, między innemi wypowiada Spencer następujące słowa:

„Dowiedliśmy analizą subjektywną, że same już warunki myślenia naszego nie dozwalają nam poznać czegokolwiekbądź poza *istnieniem względném*, ale że dzięki tymże samym warunkom myśli naszéj, z konieczności rzeczy dochodzimy do przeświadczenia, lubo niezbyt wyraźnego, o istocie bezwzględnéj. Analiza objektywna doprowadza nas do podobnegoż rezultatu, gdyż prawdy niezaprzeczone (axiomata), prawdy fizyczne, z konieczności rzeczy wskazują za wspólną podstawę swoję, Istotę bezwzględną" [1]).

Nie inny też absolut stawia na czele swojéj filozofii i cała szkoła filozofów-pesymistów niemieckich a nawet twierdzi, iż dochodzi do tego absolutu metodą indukcyjną, opartą na prawach myślenia czyli metodą oświeconą światłem metafizyki.

„Wartość i doniosłość filozofii, powiada Schopenhauer, polega na tém, iż gardzi ona wszelkiemi przypuszczeniami, niemogącemi być dowiedzionemi a to tylko przyjmuje, co daje się z całą pewnością sprawdzić zarówno widzialnym dla nas światem zewnętrznym, jak i formami umysłu naszego, warunkującemi możność poznania takowego i wreszcie wrodzoną wszystkim ludziom świadomością ich jestestwa, to jest własnéj ich osobowości.".

„Materyaliści, mówi tenże myśliciel, nie ustają w dowodzeniu, że wszystkie bez wyjątku zjawiska, nawet duchowe są zjawiskami fizycznemi, i mają w tém zupełną słuszność. Nie widzą oni jednak, dodaje, że zapatrując się z innego punktu widzenia, wszystko co jest fizycznem jest zarazem i metafizycznem."

Hartmann mianuje filozofią swoję: *wynikami spekulatywnemi, otrzymanemi metodą indukcyjną przy badaniu nauk przyrodniczych* [2]); a za dewizę swojéj *metafizyki ducha nieświadomego* [3]) kładzie słowa Schellinga: „Przystąpcie do świata fizycznego i poznajcie to, co wieczne" [4]).

Zarówno więc Hartmann jak i Schopenhauer w zasadzie łączą dwa zakresy badań, dwie metody, filozofią swoję opierają na dwu biegunach jednocześnie. Toż samo czyni i twórca *filozofii wyzwolenia.*

Prawdziwa filozofia, powiada Mainländer, jest zawsze immanentną, to jest ogranicza się na badaniu zjawisk świata i praw, które nie-

[1]) Herbert Spencer: *First Principles. The Knowable.* § 60.

[2]) *Speculative Resultate nach inductiv-naturwissenschaftlicher Methode.* Jestto dewiza głównego dzieła Hartmanna: *Die Philosophie des Unbewussten.* Porównaj także tegoż dzieła, t. II, str. 465.

[3]) *Metaphysik des Unbewussten*, stanowi trzecią część zasadniczego dzieła Hartmanna i wypełnia cały drugi tom jego.

[4]) *Kommet her zur Physik und erkennet das Ewige.*

mi rządzą [1]); ponieważ zaś świat jest uosobieniem woli istniejącego niegdyś Boga, w zjawiskach tych doczytywać się możemy początku i celu świata oraz szukać istoty Boga.

Oto ich wspólny punkt wyjścia. Pomijamy ten wzgląd, że inna rzecz wskazywać drogę, którą uważa się za jedynie racyonalną a inna rzecz drogą tą samemu postępować [2]); lubo więc i pesymiści niemieccy co innego głoszą a co innego sami przedstawiają, zawsze jednakże w badaniach swoich poszukują oni absolutu, dążą do niego przedewszystkiem.

Dążenie to zostaje w nich i nadal, trwa ciągle, ale kierunek drogi wypada odmiennym (od założonego), to jest od tego kierunku, jaki filozofowie ci za jedynie racyonalny uznali. Pod wpływem bowiem negacyjnego zapatrywania się na życie ludzkie i istnienie w ogóle, pod wpływem upatrywania wszędzie jedynie tylko niedostatków i nędz świata tego, a z drugiéj strony unikając antropomorfizmu w pojęciach absolutu, wtłaczają oni całą swoję filozofią w ramy naprzód dla niéj przystosowane, a tym sposobem z konieczności rzeczy zaprzeczać oni muszą absolutowi swemu, jeden po drugim, wszystkich atrybutów doskonałości przez teologów i dawniejszą szkołę filozofów niemieckich przyznawanych mu. Idąc nadto drogą reakcyi przeciwko filozofii, unoszącéj się dotąd w krainie abstrakcyi a ztąd zrywającéj z życiem, pchnięci oni zastali w inną jednostronność. A mianowicie przywódzcy nowéj szkoły zwrócili przeważnie uwagę swoję, z pominięciem innych zakresów bytu na pierwiastek życia, na siłę życiodajną, słowem na element najżywotniejszy dla człowieka; element ten usiłowali oni wyrwać z zapomnienia, uratować z obojętności, na jaką skazało go abstrakcyjne rozumowanie, i podnieść następnie ten element, jak można najwyżéj, choćby do bóstwa samego. Ztąd datuje apoteoza *woli* w łonie filozofii niemieckiéj, *woli* nie w pojęciu aktu duchowego *osoby*, to jest istoty duchem i samowiedzą o duchu tym obdarzonéj, ale *woli* w pojęciu *siły, potęgi*, jedném słowem *życia* niedającego się nigdzie i niczem przygłuszyć, czyli: woli w pojęciu *rzeczywistości*, *faktu* w przeciwstawieniu do *idei*, *myśli*, *rozumu*.

A takim sposobem lubo i szkoła pesymistów niemieckich dochodzi do pojęcia absolutu (wprawdzie nie tą drogą, jaką przedstawiciele jéj uznają za jedynie racyonalną), inaczéj go jednak pojmuje i inne naznacza mu zadanie a ztąd i inny widzi cel świata.

---

[1]) Porównaj początek pracy naszéj: *Filozofia Wyzwolenia*, w osobném wydaniu, str. 7.

[2]) Kwestya ta dotyczy metody badań wogóle a w szczególności metody używanéj przez współczesnych nam filozofów niemieckich. Dla tego też po bliższe wiadomości i obszerniejszą charakterystykę metody badań szkoły filozofów-pesymistów odsyłamy do innego studyum naszego, będącego na ukończeniu. Tymczasem zaś wskazujemy na str. 53—59, osobnego wydania niniejszéj pracy, jako będące w związku z daném pytaniem.

O ile zaś ich pojęcie absolutu zgodném jest z wymaganiami logiki, o ile odpowiada oczekiwaniom nieuprzedzonéj myśli, potrzebującéj zawsze oprzeć się o ostateczną i wieczną przyczynę istnienia; wykażemy to zestawiając pojęcia absolutu trzech główniejszych przedstawicieli filozoficznego pesymizmu germańskiego i zwracając uwagę na sprzeczności, do jakich z konieczności rzeczy prowadzić ich musiał błędny punkt wyjścia, błędne założenie całéj ich filozofii.

Błędnym tym punktem, tém błędném założeniem całéj szkoły filozofii nicości jest—*hypostazowanie*, uosobianie pojęć, mających uzasadnienie jedynie tylko w połączeniu z pojęciem istoty osoby.

I tak u Schopenhauera absolutem takim jest *wola* (wola jako *noumenon*).

U Hartmanna wola wraz z ideą składają się na absolut: dwa te pierwiastki razem złączone stanowią dopiero jednię, ducha bezwzględnego (*das Unbewusste*).

U Mainländera absolut występuje w dwu fazach: raz jako Bóg w dobie transcendentalnéj istnienia (jest to jakby prolog istnienia świata); drugi raz jako *wola* do nicości dążąca. Wola ta, ten drugi absolut, to odbicie dążenia Boga, a lubo Mainländer systemat swój filozoficzny nazywa *ateizmem*, to jednak ów Bóg przedzierżgający się w świat zostaje zawsze absolutem, jako *wola nicości*.

Słowem śmiało rzec można, że w całéj téj trójcy pesymistycznéj *wola* jest absolutem [1]), a ztąd i filozofią tych trzech koryfeuszów pesymizmu niemieckiego określić można jako *hypostazowanie* oderwanego od pojęcia osoby, nieodzownego jego pierwiastku—*woli* i wynoszenie tego pierwiastku do godności absolutu, czyli że cała filozofia pesymistyczna niemiecka jest—*apoteozą woli*.

Takie hypostazy, personifikacye pewnych pojęć, spotykają się często w łonie filozofii niemieckiéj, a zwłaszcza w panteistycznym jéj kierunku; cała też skarbnica filozofii woli (*wolizm*), opiera się na takiém hypostazowaniu atrybutów, na takiém uosobianiu pewnych przymiotów i cech od pojęcia osoby nieodłącznych, ale niemających jeszcze przez to samo prawa do bytu odrębnego.

Śledząc dzieje filozofii, zapuszczając się w dal wieków, odnalazłoby się toż samo i w czasach najdawniejszych. Tak jak absolut chcemy zawsze przedstawiać sobie w jakiéjś znanéj nam postaci, a najczęściéj do nas podobnéj [2]), lubo spotęgowanéj w przymiotach, tak też jest

[1]) Bo i u Hartmanna lubo na absolut składają się dwa elementa (*wola* i *idea*), *wola* decydująco występuje; ona daje *inicyatywę* istnieniu, *impuls* życiu, *idea* zaś kreśli tylko plan, ustrój rozumny, celowy, do urzeczywistnienia zamiaru woli to jest istnienia, wiodący.

[2]) Każdy, zauważył już Ksenofanes, przedstawia sobie bogów w takiéj postaci, jaką sam posiada. Negrowie, powiada ten filozof, chcą mieć bogów czarnych i ze spłaszczonemi nosami, mieszkańcy Tracyi: niebieskookich i czerwonowłosych, a gdyby, dodaje on, konie i woły malować mogły, przedstawia-

w duchu ludzkim skłonność do wcielania pewnych pojęć oderwanych w byty istotne [1]), a nawet do nadawania im cech osobowości.

Ostatnia ta dążność w filozofii niemieckiéj, najsilniéj uwydatniła się od czasów Hegla i Schopenhauera. Dzieje myśli germańskiéj mogą też w rocznikach swoich, zaznaczyć rok 1819 [2]), jako epokę puszczenia w świat dwu myśli zasadniczych, a wręcz sobie przeciwnych, przez dwu najwybitniejszych może w początkach bieżącego stulecia myślicieli.

Było to jednoczesne wyniesienie na tron olimpu filozoficznego dwu atrybutów *osobowości*: *Idei* i *Woli*, rozerwanych i postawionych naprzeciwko siebie, jako dwa odrębne a wrogie sobie absoluty. Odtąd

---

łyby bogów pod własnemi postaciami. Nieinaczéj też, wedle tego filozofa, dzieje się w przypisywaniu bogom innych niedokładności natury ludzkiéj, odnoszących się do moralnéj strony człowieka (Homer, Hezyod). Clemens Alex. VII. p. 711 B.

Dowcipnie też zauważył Voltaire: *Depuis que Dieu a fait l'homme à son image, l'homme le lui a bien rendu.*

[1]) Cały spór *nominalistów* i *realistów* w wiekach średnich, jest wymowną illustracyą téj dążności i stanowi wybitną oraz nauczającą kartę w dziejach myśli ludzkiéj. Spór ten nie został jednak rozstrzygniętym i pono nieraz jeszcze na polu tém łamać będą swe kopie myśliciele, kuszący się o zdobycie prawdy bezwzględnéj.

[2]) W tym roku jednocześnie wygłaszali światu doktryny swoje: Hegel i Schopenhauer. Pierwszy już od 22 października 1818 roku począwszy, czytał w uniwersytecie Berlińskim całkowity kurs filozofii, kurs, który najbardziéj przyczynił się do ugrupowania *heglizmu* w Niemczech (Porównaj Ueberweg: *Grundriss des Geschichte der Philosophie der Neuzeit;* Berlin 1872 r., str. 266). Drugi w tymże roku 1819, wydał poraz pierwszy zasadnicze dzieło swoje, zawierające w śmiałym rzucie myśli całą jego doktrynę, t. j.: *Die Welt als Wille und Vorstellung.* Leipzig, 1819 r.

Jednakże dwa te systemata filozoficzne nie doznały równych losów. O ile pierwszy odrazu uzyskał zupełne uznanie i odrazu wyrósł w szkołę, zbierając w około siebie całę falangę filozofów; o tyle znowu drugi długo i bardzo długo oczekiwał na laury i dopiéro ze śmiercią swego ojca duchowego, zaczął nabierać coraz większego znaczenia w oczach współczesnych nam myślicieli. Ale też zato, lubo spóźnione, hołdy dla mistrza spotęgowały się ponad prawdziwą wartość jego myśli zasadniczych.

Wogóle rzec można, że niedawno dopiéro doktryna Schopenhauera trafiła do przekonania społeczeństwa niemieckiego, które z początku nie chciało w nim widzieć głębszego myśliciela; zrozumiało go zaś i przeceniło nawet razem z uznaniem jednostronności *Heglizmu*, doprowadzonego przez krańcowe odrośle szkoły jego do wyników uzewnętrzniających plastycznie niemal wszystkie słabe strony doktryny, która tak długo wśród Niemców panowała.

cały firmament filozofii niemieckiéj krąży głównie około tych dwu osi metafizycznych; na niebie germańskiém błyszczą naprzemian to słabiéj, to silniéj, dwie gwiazdy polarne: *idea*, wyrażająca rozum, potęgę ducha i *wola*, znamionująca siłę życiodajną, niepytającą ani o zasady myśli, ani o cel istnienia, ani o potęgę ideałów.

Takie jednakże rozrywanie, a następnie hypostazowanie oddzielnych atrybutów, logicznie nierozdzielnych i z istotą osobowości jaknajściśléj związanych, oraz podnoszenie tych pojęć oderwanych do substancyi absolutnéj, nie może w żaden sposób ostać się wobec wymagań praw logicznéj analogii. Jedno bowiem z dwojga: albo trzeba wyrzec się pojęć osoby, uniknąć tego, do pewnego stopnia niezbędnego, nieodzownego antropomorfizmu i pojęcia pewne robić bogami nieosobistemi [1]), albo téż, jeśli mówi się o osobie i jéj przymiotach na podobień-

---

[1]) Co, jak dowodzi cała filozofia przedsokratesowa w Grecyi, nie zdołało jednak zadowolnić głębszych myślicieli, szukających, z konieczności rzeczy, logicznéj, rozumnéj to jest celowéj przyczyny wszechświata, domagających się ugruntowania istnienia nie na przypadku i fatalizmie, ale na rozumie i jedności, przenikającéj świat cały. To téż pojęcia owych pierwiastków istnienia czy to jako fizycznych pierwiastków (woda u Thalesa; nieskończoność materyalna, przestrzeń wypełniona albo raczéj nieobjętość—ἄπειρον u Anaksymandra; ogień u Heraklita; powietrze u Anaksymenesa i Dyogenesa z Apolonii), czy matematycznych (próżnia i liczba—ἀριθμος, u Leucyppa i Demokryta), czy téż jako pojęć oderwawanych (νους), nie odpowiadały wcale owemu pojęciu absolutu, jakiego myśl nasza z konieczności rzeczy szuka zawsze i wszędzie. Przeciwnie nawet, systemata filozoficzne uznające jedność we wszechświecie, ale niedające metafizycznego jéj wyjaśnienia, pośrednio same prowadziły do stwarzania już nie Boga, ale bogów osobistych, całéj niemal ich hierarchii, mieszczącéj w swém gronie przedstawicieli najróżnorodniejszych władz ducha ludzkiego, a nawet ludzkich ułomności i namiętności. Dopiéro nad niemi wszystkiemi filozofia starożytna stawiała wymagania rozumu i etyki. *Fatum*, owe *nemesis* etyczne, unosiło się ponad wszystkimi tymi dygnitarzami olimpijskimi; wszyscy bogowie ulegali losowi czyli konieczności. „I bogowie, powiada Plato, nie są wolni od *fatum*." Słowem, prawdziwy absolut świata klasycznego, to—*fatum*, a lubo wyniesiono je ponad wszystkie częściowe absoluciki, to jednak i te częściowe bóstwa miały racyą bytu, istnienie ich było psychologicznie uzasadnioném, gdyż ów jeden główny absolut nie odzwierciedlał Grekom wszystkich istotnych pojęć i przymiotów osobowości.

Oto dowód, jak dalece pojęcie absolutu łączy w sobie pojęcie osobowości i jak trudno myśli naszéj przedstawić sobie Boga nieosobistego, a z drugiéj strony jak niemożebném jest mówiąc o absolucie, zaprzeczać mu mądrości, skoro mądrość przenika świat cały, skoro ta jéj powszechność jest głównym warunkiem, umożliwiającym poznanie świata a ztąd i usprawiedliwiającym dążenie do wykrycia przyczyny przyczyn, owéj *lex legum*. Istota téj przyczyny metafizycznéj unosi się

stwo ludzkiéj osoby, to już być konsekwentnym i nie rozbijać zasadniczych cech tego pojęcia na odrębne istoty, odrębne byty.

W ogóle zauważyć można, że antyteza idei i woli, jako idei rozumnéj i woli ślepéj, antyteza będąca osnową całéj niemal szkoły współczesnych nam filozofów pesymistów, przeczy *psychologicznym* pojęciom o tych atrybutach osobowości, a z drugiéj strony nie jest zgodną z pojęciem *metafizycznem* absolutu, które *eo ipso* zawiera już w sobie pojęcie *jedności organicznéj*, syntetycznéj łączności cech, stanowiących jego istotę.

A. Co do *psychologicznego* pojęcia idei albo rozumu i woli, to pojęcia te wiążą się ściśle z pojęciem subjektu, to jest pewnego centrum władz duchowych, jedném słowem z pojęciem *osobowości*. [1]) Prawda że *myślenie*, *uczucie i wola* zależne są od ustroju mózgowego indywiduów i że osobne mają organa, przez które się uzewnętrzniają, a nadto stany patologiczne tych organów, choroby mózgowe, potęgując jednostronny i nadmierny ich rozwój lub zwiększając ich atonią, bardziéj jeszcze uwydatniają odrębność tych władz duchowych. Ale to bynajmniéj jeszcze nie dowodzi, by władze te były oddzielne i niezależne od siebie, a tém mniéj, by można było je personifikować.

Takie odseparowanie rozumu od woli w czynach ludzkich jest niemożebném. Nie każdy bowiem akt subjektu jest faktem psychologicznym, jedném słowem *czynem* [2]), podobnie jak funkcya fizyologiczna organizmu nie jest następstwem woli.

Wola, to nie fizyologiczne dążenie organizmu do pewnego celu, to nie bezwiedne pragnienie zaspokojenia wyłącznie tylko tych dążeń. Jeśli mówimy o woli, to zawsze jako o objawie duchowym, jako o nader złożonym procesie psychologicznym; mamy zawsze na myśli cały łańcuch najróżnorodniejszych pobudek i myśli, uczuć i pragnień, których ostatecznym dopiero wynikiem jest wola—a czyn ostatecznem jéj uzewnętrznieniem się. To téż gdzie niéma samopoznania, to jest poczucia i pojęcia swojéj indywidualności czyli samoistności, tam nie

---

wprawdzie poza granicami naszego poznania, ukrywa się poza mglistą oponą, oddzielającą myśl naszę od absolutu, ale poznać ją możemy w jéj zjawiskach. Jeśli zaś niedaném jest człowiekowi dotrzéć do istoty Boga, to jednak w prawidłowości i myśli świat cały przenikającéj, znajduje on Jego odbicie, Jego wizerunek (porównaj poprzedni § 4).

[1]) Porów. *Bibl. Warsz.* kwiecień, str. 123. W osobném zaś wydaniu pracy niniejszéj § 4, str. 109.

[2]) W pojęcie czynu psychologicznego wchodzą z konieczności rzeczy, jako składowe elementa: *rozum*, *uczucie* i *wola*. A jakkolwiek uczucie gra na pozór największą rolę w czynie ludzkim, gdyż zdaje się bezpośrednio na takowy wpływać, to jednak i ono nie jest bez treści i ono warunkuje się ideą pewną; każdy pragnąc czegobądź, ma ideę tego pragnienia, przedstawia je sobie w taki lub inny sposób.

może być mowy o woli [1]). Instynktowe pragnienie, dążenie do czegoś bezwiedne nie jest objawem woli.

Przyjęte przez niektórych uczonych psychiatrów dzielenie chorób mózgowych na choroby myśli i choroby woli, nie jest też zdaniem naszém, uzasadnione, jak w ogóle głoszenie patologicznego stanu jednéj jakiéj funkcyi mózgu obok normalnego działania drugich jest zbyt śmiałém przypuszczeniem. Podobnie jak *lucida intervalla* to jest *stany* lub *przerwy jasne* nie dają rękojmi normalności sądu, mogą mieć bowiem jakieś nieznaczne odcienia chorobliwego myślenia a zresztą przez samą swoję nietrwałość są już anormalne; podobnie też i przy każdéj chorobie mózgowéj, wszystkie kierunki władz duchowych człowieka są bezpośrednio lub pośrednio, słowem mniéj lub więcéj, chorobą tą dotknięte.

Zresztą inna rzecz choroby naczyń mózgowych czyli *organów ducha ludzkiego* a inna *choroby duszy*, choroby etyczno-duchowe. Rozróżnienie to jest, zdaniem naszém, niezbędném; czemżeż bowiem inném jak nie chorobą duszy jest n. p. zatwardziałość przestępcy, jego ciągle odnoszony tryumf nad wyrzutami sumienia (wogóle wszelkie przestępstwo)? [2]).

Przypuściwszy nawet, że ciągłe powtarzanie się takich stanów psychicznych zbrodniarza, w których ten odnosi tak częste, stałe, nad sumieniem zwycięztwo, wpłynąć musi i na fizyologiczne funkcye mózgu jego a tym sposobem drogą nawyknienia utrwala tę dążność przestępną, to przecież przyczyna tych zboczeń moralnych nie jest materyalną, fizyologiczną, ale duchową, życiową. A w téj walce, jaką wola, nim na przestępstwo się zdecydowała, staczać musiała z treścią myślową danego indywiduum, z jego uczuciem, z jego potrzebami serca i charakterem jego, słowem z całym kodeksem paragrafów moralności i bojaźni religijnéj, odbija się niedościgła dla nas tajemnica duchowego życia człowieka, cały świat pobudek i względów, dążeń i przeszkód, uczuć i namiętności, pragnień i celów.

Jeżeli zaś nie daném jest nam uchylić téj zasłony świata duchowego, to przecież widzimy, że na poczucie indywidualności naszéj, naszego *ja* pozostającego nam do końca życia [3]) składa się nierozerwalny łańcuch duchowych cech naszych, cech istotnych i nierozdziel-

---

[1]) Tam też i niéma odpowiedzialności.

[2]) Prawda, że i tu oddziaływanie wzajemne ducha i materyi dałoby się wyśledzić, ale dążenie materyalnego kierunku obecnéj epoki do wytłómaczenia wszystkiego nienormalnym stanem mózgu, jest zbyt śmiałe, a dążność do nieograniczonego uwalniania od odpowiedzialności zbyt niehygieniczną moralnie, a ztąd zbyt niebezpieczną.

[3]) Pomimo, że atomy ciała naszego ulegają ciągłéj przemianie, ciągłemu odnawianiu; pomimo, że pojętność oraz zakres wiedzy naszéj, a po części nawet i charakter ciągle się rozwija, a my w miarę postępu zapominamy o fazach niższych przejść naszych.

nych, jakiémi są przedewszystkiem *pojęcia*, *myślenie, i rozum* a z drugiéj strony *wola* z pojęciami témi związana, niémi się kierująca i niemi wypełniona, oraz *uczucia*, tak ważną w życiu odegrywające rolę, a z których najgłówniejszém jest miłość i nienawiść.

A w takim razie wola sama jako oderwane pojęcie, jest czczém słowem. Nie mówiąc już o niezliczonéj liczbie składników wolę warunkujących, ta związaną jest jaknajściśléj z całym ustrojem duchowym subjektu, indywiduum, a ztąd rozprawianie o woli jako o istocie, jako o bycie a nadto bycie absolutnym, jest przenoszeniem pojęć psychologicznych w świat metafizyczny, objaśnianie *ontologii—psychologią* i to psychologią fragmentarną, rozrywającą arbitralnie nieodłączne od pojęcia osoby atrybuty, istotne jéj składniki, a to w celu, by z nich utworzyć jakieś nowe *νουμενον*'y, nowe bogi.

Można uogólnić pojęcie woli, nadać mu jak Schopenhauer inne, rozleglejsze niż zwykłe znaczenie, ale wtedy, lubo unika się sprzeczności zasadniczych, wprowadza się tém niemniéj na błędną drogę rozumienia, dając nieodpowiednią dla rzeczy saméj nazwę.

I tak, Schopenhauer w całym wszechświecie widzi jedynie pewne dążenie, prąd pewien, stały kierunek życia, popęd żywotny bez granic, jedném słowem siłę i tę nazywa wolą Rozpatruje daléj jéj stopnie, począwszy od świata nieorganicznego do człowieka; i nic dziwnego, że wobec tego ruchu i nieustającego ani na chwilę życia w przyrodzie, wpada w zachwyt i pierwiastek siły wszystko przenikającéj podnosi do godności absolutu. Dziwna rzecz jednakże, że unikając pojęć abstrakcyjnych, nazw scholastycznych, pierwiastku tego niechcąc nazywać siłą dlatego, iż w słowie tém widzi metafizykę, niezrozumiałość, transcendentalność, mianuje go *wolą;* a biorąc do oznaczenia swego absolutu jednę z cech, jednę z części istotnych psychologicznego pojęcia osoby, przymiot od niéj nieodłączny, za samą istotę sądzi, że uniknąć zdoła sprzeczności i że będzie jaśniejszym, bardziéj konsekwentnym.

Prawda, że pierwiastek życia, rzec można miłość w najogólniejszém słowa znaczeniu, jakby szukanie odpowiednich dla siebie, z góry przeznaczonych atomów, jest uderzającym w naturze faktem i że pod tym względem możnaby powiedzieć, *aimer c'est vouloir* [1]) i odwrotnie, *vouloir c'est aimer*, a wtedy miłość tę powszechną, a raczéj wolę uznać za sprężynę świata. Ale jak powiedzieliśmy, uczucie, miłość, jest jedną tylko pobudką woli, jednym dopiéro jéj składnikiem; wola jest zawsze złożonym procesem psychologicznym, ostatecznem ogniwem nieskończonego łańcucha przyczyn i celów, pragnień i zamiarów. Zresztą pomijając i ten wzgląd ostatni, jeśli już wolę w znaczeniu, jakie jéj Schopenhauer nadaje, uważać za tę siłę życiodajną, to i wtedy trudno zjawisk woli odłączyć od celu, choćby od celu zachowania życia i rozwijania go w nieskończoność. Wszakżeż wola jest nienasyconą życiem, celem

[1]) D'Arpentigny, *Chirognomie*.

jéj życie (Hartmann); więc nie jest bezcelową, jak chce Schopenhauer. A nawet jeśli zaprzeczyć z Schopenhauerem celowości, mądrości świata, to trudno zrobić wolę beztreściową, czystém pojęciem, skoro życie ją wypełnia, skoro życie jest jéj treścią, a więc i celem.

To téż żaden z trzech koryfeuszów filozofii pesymistycznéj nie mógł utrzymać się na stanowisku pojęć *czystéj woli*, nie mógł ograniczyć się na tém jedynie pojęciu.

Zaznaczenie siły ślepéj, acz potężnéj pod formą woli beztreściowéj, jest właśnie najtrudniejszym dla samegoż Schopenhauera punktem w jego systemacie, a trzymanie się ślepo tego pojęcia, staje się niemożliwém i dla niego samego.

Gdyby téż Schopenhauer wniknął głębiéj w istotę głoszonego przez siebie pierwiastku świata, nigdyby nie odważył się na wskazywanie ludziom za ich zadanie, wyrwania się z objęć woli, to sam przekonałby się może o niekonsekwencyi, jaka tkwi w takiém nawoływaniu do rzeczy niemożliwych *logicznie* i *praktycznie*.

Logicznie niemożliwych—zkąd bowiem wiemy, że nicość jest pożądańszą niż istnienie, wszakże tego uczy nas umysł, będący tylko *sługą woli*. Jak mamy dowierzać rozumowi, gdy ten jest wyłącznie *produktem woli*. Zresztą o znikomości istnienia dowiadujemy się z doświadczeń życiowych; a życie, świat rzeczywisty, to wszakżeż tylko nasze przedstawienie (*Vorstellung*) [1]). Gdybyśmy byli bez ciała, powiada Schopenhauer, duchami skrzydlatymi, nie widzielibyśmy świata, tylko wolę.

Praktycznie niemożliwych—bo jeśli wola do życia jest absolutem, to cóż potrafi ją zwalczyć? Wprawdzie *tentare licet*, ale w takim razie zkąd pewność, że usiłowania nasze pożądanym skutkiem uwieńczone zostaną? Gdyby jeszcze przypuścić istnienie drugiego jakiego, prócz woli do życia, absolutu, np. czarnego jakiego bóstwa śmierci, słowem gdyby monizm filozoficzny Schopenhauera rozbić na dualizm, na walkę dwu pierwiastków, życia i śmierci; to możnaby stanąć po stronie tego drugiego bożka i los swój w jego powierzyć ręce, a wtedy czekać cierpliwie na wynik téj walki tytanicznéj albo téż wziąć nawet czynny udział w tém dziele ogólnego zniszczenia. Inaczéj głoszenie nirwany będzie zawsze niekonsekwencyą w filozofii Schopenhauera, błędem zasadniczym jego systematu.

I tak np. zapalony wyznawca pesymizmu, umierający dobrowolnie śmiercią głodową, nie dochodzi, jakby twierdził sam mistrz, do zaparcia woli (*Verneinung des Willens*), ale raczéj do spotęgowania jéj i uwieńczenia czynem heroicznym, dowodzącym jéj zwycięztwa. Wola tu się nie niweczy, tylko zmienia się jéj cel, inną wypełnia się ją tre-

[1]) Porównaj *Bibl. Warsz.*, kwiecień, str. 103. W osobném zaś wydaniu pracy niniejszéj, część II, rozdział II, str. 54, oraz część III, roz. II, § 3, str. 89.

ścią, daje się jéj inny przedmiot za osnowę do działania. Wrodzony popęd do życia nie jest bowiem wolą; głód, pragnienie nie są jeszcze jéj objawami, a umierający dobrowolnie z głodu także nie działa przeciwko swojéj woli, on jéj nie pokonywa, ale przeciwnie utwierdza ją męczeństwem.

Hartmann zauważył ten brak logiczności w filozofii Schopenhauera, a niechcąc sam błędu tego popełnić, mówi już o odwrotnéj woli a raczéj przyjmuje dwie wole [1]). Mainländer głosi znowu przemianę woli (*die Umwandelung des Willens*) [2]). A przez to ci dwaj ostatni zdają się być konsekwentniejsi, chociaż pozornie tylko, łatwo bowiem wynaleźć odpowiedniejszą dla pewnéj rzeczy nazwę; ale to jeszcze nic nie tłómaczy, niczego nie dowodzi, zwłaszcza gdy rzecz sama nazwie téj nie odpowiada. Głosząc zaś przemianę woli do życia, czy to drogą przytłumienia, zdławienia w sobie tego popędu [3]), czy to przez powołanie do walki drugiéj woli, woli odwrotnéj [4]); czy wreszcie zapaleniem woli inną wyższą ideą [5]); wszyscy oni tém samém niweczą absolut woli do życia a to przyzywając w pomoc, lubo bezwiednie, ideę, rozum [6]). Rozum ten dopiero ma nas oświecić i dzięki téż jemu, człowiek będzie w stanie zmienić kierunek swojéj woli, inną wypełnić ją treścią.

Słowem w gruncie rzeczy wszyscy oni apoteozują w końcu nie tyle samą wolę, ile jéj treść, nie tyle istotę woli, ile jéj kierunek.

A takim sposobem wola zaprzeczona w imię idei (Schopenhauer), wola nasycona ideą (Hartmann), wola zmieniona wskutek idei, oświecona rozumem (Mainländer): oto jak wygląda ów *neumenon* pesymistów, owa wola w zasadzie czysta, bez treści (*der reine Wille*); oto ile niekonsekwencyi, ile sprzeczności w przyjmowaniu za absolut świata—woli, a do tego woli ślepéj.

Sprzeczności te jednakże nie dziwią nas wcale. Powstały one drogą bardzo naturalną umysłu ludzkiego, dążącego na mocy wymagań logiki do dopełnienia choćby nawet za pomocą przeskoków i zboczeń od systematu, nieodzownych a opuszczonych zrazu elementów myśli; do usunięcia, choćby tylko formalnego, sprzeczności, spowodowanych stawianiem na miejsce absolutu pojęć cząstkowych, oderwanych (w ścisłém słowa znaczeniu *oderwanych*) od pojęcia całości. *Bóg-wola* nie mógł obejść się bez *Boga-rozumu*, a złączenie ostateczne tych dwu wrogich pierwiastków w walce o byt (w istotném słowa znaczeniu o byt, gdyż o życie lub śmierć metafizyczną) rozsadziło całą, tak kunsztowną budowę *filozofii woli*.

---

[1]) Porów. pracy niniejszéj Część II. Roz. II, str. 55—57.
[2]) Porów. tamże. Część I. Roz. I, str. 17 i 18. Roz. II, str. 33—4.
[3]) Schopenhauer.
[4]) Hartmann.
[5]) Mainländer.
[6]) *Erkenntniss, Erklärung des Willens* (Schopenhauer i Mainländer).

B. Powiedzieliśmy, że rozrywanie pojęcia osoby na odrębne jéj cechy i następnie hypostazowanie tych cech niéma uzasadnienia ani w *psychologii* ani w *metafizyce*. Co do sprzeczności psychologicznych, takowe jasno wynikają z tego, co dopiéro co przedstawiliśmy; zobaczmy teraz, jakie błędy popełnili filozofowie pesymiści pod względem *metafizycznym* przez stawianie na czele bytu i wszechświata *absolutu woli*.

Niewdając się tu w ocenę, co naturalniejsze: czy wynoszenie do godności Boga pewnego *pojęcia*, czy też stawianie na czele świata *osoby* bożéj, to jest czy głoszenie Boga nieosobistego (panteizm, materyalizm), czy nadawanie Bogu cech osobowości (teizm i deizm); zauważymy tylko, że w jakiejkolwiek formie przedstawimy sobie absolut, zawsze musi on być absolutem, to jest nosić musi na sobie cechy *wiecznéj i jednolitéj przyczyny*.

Widzieliśmy wyżéj (§ 2, str. 80), że istnienie i wieczność łączą się w pojęcie *wiecznéj przyczyny świata* i że ta przyczyna jest *substancyą jednolitą*.

Otóż jak *wieczność* jest pierwszym atrybutem absolutu, tak *jedność* jest drugą istotną jego cechą; wieczność i wszystkość, całość i jedność—oto nieodzowne przymioty Boga.

Czuli to dobrze nawet i filozofowie-pesymiści a stawiając na miejsce wyrugowanéj z Olimpu germańskiego idei, *wolę*, nadawali jéj wszechbytność, przyznawali jéj wszechwypełnienie świata, tylko, że w przyznawaniu wieczności pozwolili sobie stanąć na połowie drogi. Wszyscy oni uznają *wieczność początkową*, to jest istnienie woli jako absolutu od początku czasów, jedném słowem wiecznie, bez początku; ale nie przyznają wieczności nadal a przynajmniéj nie chcieliby jéj przyznać. W tém jest, jak to już wykazaliśmy, wielka sprzeczność. O ile zaś sami twórcy tych sprzecznych w sobie systematów czuli ten brak, tę wewnętrzną niekonsekwencyą, najlepiéj uwydatniło się to w téj niestanowczości, w tém wahaniu się, jakie w nich uderza, gdy przychodzi im uzasadniać swoje nadzieje, zapewniać swoich współwyznawców o możności dojścia do *nirwany* [1]).

Powiedzieliśmy, że sami pesymiści, luho przepołowili pojęcie wieczności, nie mogli jednak uchylić się od postawienia na czele istnienia absolutu z cechą *jedności*.

I tak Schopenhauer głosi wyłączność, prymat woli; umysł (*der Intellekt*) w porównaniu z tą ostatnią jest drugorzędnym elementem, a nawet jéj sługą [2]). Naturalnie, mamy tu na myśli wolę jako *noume-*

[1]) Przedstawimy niepewność ich w tym względzie przy rozbiorze *ręko-mi filozofii wyzwolenia*, dla osiągnięcia celu, jaki filozofia ta głosi światu. Zobaczymy tam jak często przedstawiciele tego kierunku filozofii potykają się o własne swoje przeszkody, stawiane duchowi ludzkiemu w logicznem snuciu myśli. (§ 8).

[2]) Porównaj pracy naszéj, str. 54—89.

non, jako absolut w jego filozofii, a nie wolę fenomenalną, to jest objawianie się tego absolutu w ułamkowych formach bytu [1]). Taka *wola*, jako pierwiastek, jest w systemacie Schopenhauera wolną od wszelkich wysileń, nie zna fatygi, gdy tymczasem umysł wyczerpuje się, nuży się, a nawet ten ostatni może odpowiednio funkcyonować jedynie gdy wola *milczy*, gdy *odpoczywa*. Wola jako charakter, mówi Schopenhauer, była zawsze uważaną za działacza stałego niezmiennego w duchowém życiu indywiduum, gdy tymczasem umysł za element zmienny i niepewny.

Bardzo obszernie rozwija Schopenhauer wyłączność woli w objawach świata nieorganicznego i organicznego [2]); nas jednak, jak nateraz zajmuje głównie jéj wyłączność w duchowém życiu człowieka.

Otóż ten element życia, te skłonności, te pragnienia, wszystko to u Schopenhauera odbiciem jednego pierwiastku wyłącznego, jedynéj rzeczywistości metafizycznéj—*woli*.

Wola tak pojęta jest właśnie owém *noumenon* filozofii jego, to téż uwalnia ją Schopenhauer nawet od prawa przyczynowości; jestto wieczne, nieskończone dążenie.

„Brak końca, brak wszelkich ograniczeń, powiada Schopenhauer jest cechą woli *per se*, woli, która jest nieskończoném dążeniem."

Jest ona nadto wyłączną, nie zna współzawodnictwa. „Chcąc zgłębić istotę woli w saméj sobie, a tym sposobem wniknąć jak można najgłębiéj w wewnętrzne tajniki przyrody, powinniśmy, powiada Schopenhauer, usunąć z myśli naszéj współdziałanie umysłu przy objawach woli."

Tak pojęty absolut, naturalnie nie zna ani przeszłości ani przyszłości, wola wyższą jest nad formę czasu lub mnogości; nie zna ona ani tego co znaczy *przed*, ani tego co—*po*. Istnienie jéj jest wiecznem *teraz*. Jest ona nadto *jedną*, *nierozdzielną*, jakkolwiek w jedności swojéj, w swojéj pojedyńczości, zawiera niezliczoną ilość objawień się, uzewnętrznień indywidualnych.

Słowem, tak określiwszy pojęcie woli, uwolniwszy element ten życiodajny od skończalności, od wszelkich możliwych ograniczeń, (zarówno czasu jak przestrzeni i potęgi), Schopenhauer postawił na czele filozofii swojéj ten nowego rodzaju absolut, jako antytezę i protest przeciwko zimnéj, ponuréj, nieruchoméj idei Hegla. A wyniósłszy do godności absolutu ten pierwiastek życia, musiał mu przyznać jako cechę nieodzowną: *jedność*, *wyłączność* [3]).

---

[1]) Czyli tak zwane przezeń stopnie urzeczywistniania się albo raczéj stopnie objektywacyi woli (*die Objektivation des Willens*). W tém znaczeniu żołądek jest wolą pożywienia, oko wolą widzenia, mózg wolą myślenia i t. d. Porów. Schopenhauer. (*Welt als Wille und Vorstellung*).

[2]) *Die Welt als Wille und Vorstellung*, t. II, księga 2, rozdział 19.

[3]) Zwracamy nawiasowo uwagę na dwa błędy zasadnicze Schopenhauera, jakie w zarodku tu już spostrzedz można, a które z konieczności rzeczy rozwinąć się musiały w dalszém snuciu filozofii jego.

Podobnież Hartmann swój absolut *das Unbewusste* nazywa *jednią*, *das All-Eine*, a wyliczając cechy swego bóstwa, powtarza niemal epitety Schopenhauera, z tą tylko różnicą, że epitety te stosują się u niego nie do *woli*, ale do czegoś pośredniego pomiędzy ideą i wolą, to jest do owego *mixtum compositum*, z którego się składa Nieświadome (*das Unbewusste*). Że zaś owe Nieświadome jest właściwie Bogiem, dowodzi tego cały szereg przypisywanych mu atrybów od pojęcia absolutu osobistego nieodłącznych [1]).

Oto *cechy* absolutu Hartmanna:

1. „Nieświadome nie podlega chorobom" [2]).

Dwa te błędy wynikły z niekonsekwentnego rozwiązania dwu pytań, jakie Schopenhauer musiał sobie zadawać: 1. Jak ta wieczność zniszczeje? 2. Jak rozbić jednolitość? Pytania te łączą się ze sobą jaknajściśléj, gdyż możność znikomości zależną tu jest od tego, czy owa jedność, jednolitość da się rozbić, czy ciągłość da się przerwać. Samo już zjawienie się tych pytań było niekonsekwencyą wobec zasad jego filozofii, a zamieniły się one w dwa błędy kardynalne, wskutek rozwiązania ich w sposób dogmatyczny, nieuzasadniony. Co znowu wynikło z naprzód nakreślonego w myśli zadania świata, bez krytycznego rozbioru logicznéj możliwości spełnienia takiego zadania, oraz co ważniejsza, bez udowodnienia tego celu.

[1]) Porównaj Hartmanna: *Philosophie des Unbewussten*. Berlin. 1876, t. II, głównie zaś *Zur Metaphysik des Unbewussten*. Rozdział I. I*Die Unterschiede von bewusster und unbewusster Geistesthätigkeit*. Rozdział V I. *Die All-Einheit des Unbewussten*, oraz rozdział XII: *Die Alltweisheit des Unbewussten und die Bestmöglickkeitder Welt*.

[2]) *Das Unbewusste erkrankt nie* Hartmann. *Philosophie des Unbewussten*, t. II, str. 3.

Zwracamy przytém uwagę, że w dziele C. I. Carus'a: *Psyche*, *Zur Entwickelungsgeschichte der Seelet*, Stuttgart, 1851, które w wielu pomysłach co do Nieświadomego służyło Hartmannowi za wzór, znajdujemy określenie absolutu (także *das Unbewusste* nazwanego), w tychże samych niemal słowach jak i u Hartmanna. A cechy, jakie ten ostatni absolutowi swemu przyznaje, są też same co i u Carus'a. Porównaj mianowicie cechy absolutu objęte u nas numerami 1—5 włącznie z odpowiedniemi określeniami umieszczonemi u Carus'a w dziele pomienioném, na str. 32, 38, 79, 95.

Ta pobratymczość pojęć co do absolutu, jaką u tych dwu myślicieli znajdujemy, nie uszła téż uwagi L. Weissa (*Anti-Materialismus*), który pierwszy, o ile wiemy, zaznaczył to ich pokrewieństwo duchowe, przenosząc na Carus'a sławę pomysłu *filozofii Nieświadomego*. Okoliczność ta wywołała polemikę z Taubertem, jednym z najwierniejszych uczniów Hartmanna.

Porównaj także Oscara Schmidt'a: *Les sciences naturelles et la Philosophie de'l Inconscient* w tłómaczeniu francuzkiém, pp. Soury i Meyer. Paryż. 1879, str. 40; oraz przypisek do str. 19, w którym autor zestawia podobne wyrażenia spotykane zarówno u Hartmanna jak i u Carus'a.

2. „Nieświadome nigdy się nie nuży" [1]).

3. „Myśl Nieświadomego nie przejawia się podobnie jak Przedstawienie Świadome w formie zmysłowéj, ale nosi na sobie cechę niezmysłową."

4. „Nieświadome nie zna wahania się, ani podlega zwątpieniu, nie potrzebuje też czasu do namysłu, ale natychmiastowo, bezpośrednio owłada ono rezultatem myśli i to w téjże saméj chwili, gdy przeprowadza proces logiczny" [2]).

5. „Nieświadome nie błądzi" [3]).

6. Podczas gdy świadomość warunkuje się z konieczności rzeczy pamięcią, to przeciwnie „Nieświadomemu, jak powiada Hartmann, nie można przyznać żadnéj pamięci, gdyż pamięć możemy wyobrazić sobie jedynie jako wrażenia utrwalone za pomocą mózgu, a nadto wskutek uszkodzenia tego ostatniego, pamięć ustępować może zupełnie lub częściowo, z przerwami lub na zawsze. To też, mówi daléj Hartmann, Nieświadome obejmuje myślą w jednéj chwili wszystko, co do danego odnosi się przypadku, a tym sposobem nie potrzebuje żadnych *porównań*. Podobnież nie potrzebuje ono i *doświadczenia*, dzięki bowiem swemu jasnowidzeniu, zna wszystko lub o wszystkiém wiedzieć może, skoro tylko *wola* domaga się tego stanowczo" [4]).

7. „W Nieświadomem wreszcie, Wola i Przedstawienie łączą się w jednę nierozdzielną całość, nie może też ono niczego pragnąć, czego sobie nie przedstawia, ani też przedstawiać cośkolwiek, czego nie pragnie."

Teraz przytoczymy w streszczeniu *działalność* absolutu, jaka wedle Hartmanna [5]) objawia się nam zarówno przy badaniu tajników przyrody jak i dziejów człowieka.

1. „Nieświadome wytwarza i utrzymuje wszelki organizm, naprawia wewnętrzne i zewnętrzne jego uszkodzenia, nadaje celowy kierunek jego ruchom i umożebnia świadoméj woli posiłkowanie się organizmem."

2. „*Nieświadome* obdarza każde stworzenie instynktem do tego wszystkiego co mu jest potrzebném dla utrzymania się, a czego *świadome myślenie* mu nie wystarcza. I tak człowieka obdarza instynk-

---

[1]) Podobnie wyraża się Schopenhauer o swoim absolucie *woli*. Gdy umysł prócz zależności od woli, nuży się nadto przez działalność swoję, to *wola*, powiada on, nie zna żadnéj fatygi, nigdy też nie ustaje, ale trwa bez przerwy. Porównaj: *Die Welt als Wille u. Vor; Vom Primat des Willens.*

[2]) Hartmann, *l. c.* t. II, str. 5.

[3]) Tenże, *l. c.* t. II, str. 7.

[4]) Tenże, *l. c.* t. II, str. 10.

[5]) Tenże, *l. c.* t. I, rozdział XI. *Das Unbewusste und das Bewusstsein in ihrem Werth für das menschliche Leben.*

ktowém rozumieniem wrażeń zmysłowych, instynktowém tworzeniém mowy, instynktem do zakładania państw i wieloma innemi instynktami."

3. „Drogą popędu płciowego i miłości macierzyńskiéj, Nieświadome utrzymuje *gatunki* a przez *wybór* (Auswahl) w miłości uszlachetnia je, a przytem szlakiem dziejowym prowadzi ono ludzkość i zbliża do celu, jakim jest możliwie wysokie udoskonalenie się."

4. „Drogą uczucia i przeczuć, Nieświadome kieruje ludźmi w takich czynach, w których niemogliby sobie poradzić z samém myśleniem świadomém."

5. „Wnikając w myślenie zarówno w przedmiotach wielkiéj jak i małéj doniosłości, Nieświadome przyśpiesza sam proces myśli a drogą mistycyzmu prowadzi ludzi do przeczuwania wyższych, niezmysłowych istot."

6. Wreszcie „Nieświadome uszczęśliwia ludzi obdarzając ich poczuciem piękna i interesem dla dzieł sztuki" [1]).

To cośmy przytoczyli wystarczy zapewne dla przekonania czytelnika, że owe Nieświadome jest absolutem w filozofii Hartmanna. Wszystkie niemal czynności *woli* Schopenhauera, pojęte jako *noumenon*, Hartmann przenosi na *Nieświadome*, z tą jednak różnicą, że Schopenhauer te przejawy swego absolutu uważał za przypadkowe, ślepe, bezcelowe, gdy tymczasem jedném z główniejszych zadań filozofii Nieświadomego jest właśnie wykazanie celowości w naturze i w dziejach ludzkich. To też ci nawet, którzy ze swego stanowiska najbardziéj na systemat Hartmanna piorunują (n. p. oficyalni przedstawiciele teologii), zasługę tę przyznają mu powszechnie. Widzenie celowości w naturze i wogóle we wszystkich objawach świata, zwiększyło też jego pesymizm, który, jak niżéj zobaczymy (§ 7), nie jest tak bardzo czarnym, a wobec tego ponurego poglądu na świat, jaki Schopenhauer głosił, wygląda stosunkowo nawet pocieszająco i dość ponętnie.

To też czytając traktaty Hartmanna o owym wielkim nieznajomym, dziwić się nieraz przychodzi, dlaczego Hartmann tak skrupula-

[1]) Hartmann, *Philosophie des Unbewussten* t. I. str. 355—6.

Co do ostatniego punktu zwracamy uwagę, iż w ogóle wszyscy pesymiści z wyjątkiem Juliusza Bahnsena (*Zur Philosophie der Geschichte.* Berlin 1872) przyznają za jedyną rozkosz prawdziwą, dostępną dla człowieka, za jedyną oazę wśród cierpień świata—zatapianie się w abstrakcyjném myśleniu i kontemplacyi dzieł sztuki. A jeśli Hartmann i na tém polu głosi illuzyą, to jednak nie dla wartości wewnętrznéj tych rozkoszy, ale dla innych towarzyszących im zwykle stron ujemnych. Bahnsen, najczarniejszy ze wszystkich pesymistów, przeciwnie neguje z zasady wszelkie znaczenie tego rodzaju procesu umysłowego, bo nie widzi żadnéj myśli we wszechświecie, żadnego celu rozumnego a ztąd i zatapianie się w abstrakcyjnéj krainie myśli uważa za niedorzeczne. Bliższe o tém szczegóły znajdzie czytelnik w § 7 niniejszego rozdziału.

tnie unika nazwy Boga dla swego absolutu, dlaczego go wprost Bogiem nie nazywa. Prawda, że Hartmann więcéj może niż kto inny obawiał się zarzutu antropomorfizmu, ale cóż znaczy unikanie nazwy, gdy rzecz sama, choć pod inną formą, tu występuje. Znajdujemy nawet w *filozofii ducha bezwiednego*, *ducha nieświadomego*, miejsca, w których temu ostatniemu wręcz przyznaje Hartmann epitety, mogące zatrwożyć wiernych jego adeptów. I tak temu absolutowi przypisuje się wprost stwarzanie (*Schaffen*) [1]) a nawet i opatrznościowe działanie [2]), niemówiąc już o zawsze przyznawanéj mu wszechwiedzy, wszechmądrości (*Allweisheit*) [3]).

Mówiąc zaś o tożsamości substancyi w obu atrybutach bóstwa swego [4]), Hartmann stara się przedewszystkiem uwydatnić *jedność*, *nierozdzielność* [5]) tego absolutu.

Mainländer znowu, jakkolwiek wręcz głosi ateizm i jego *wola* świat przenikająca jest właściwie tylko pozostałością Bożą, odbiciem się woli Bożéj (*der Wille Gottes*) we wszechświecie, ale, jak zobaczymy niżéj, jest to pozorne tylko usunięcie Boga ze świata. Ateizm jego wywołany chęcią uniknięcia niekonsekwencyi Schopenhauera i Hartmanna w głoszeniu *zniknięcia absolutu* (to jest istnienia w najobszerniejszém słowa tego znaczeniu), jest więcéj formalnym, aniżeli istotnym, a ztąd nadaje się do bardziéj jeszcze wyraźnych niekonsekwencyi. Pomijając jednak to, że i w ateistycznym poglądzie na świat Mainländera z konieczności rzeczy widnieje, lubo przezeń nie uznany, absolut; zwrócimy jeszcze uwagę na tę okoliczność, iż łączenie jedności z pojęciem absolutu jest tak niezbędném, że nawet i ów twórca filozofii wyzwolenia nie mógł tego nie uwydatnić. A lubo Boga wyrugował ze świata, lubo osadził go w dobie transcendentalnéj istnienia, lubo wreszcie i w określaniu go był także, podobnie jak Schopenhauer i Hartmann, nader ostrożnym; to przecież mówiąc o Bogu musiał mu przyznać: *jedność*, swobodę i bezruch, w przeciwstawieniu do świata nacechowanego: *mnogością*, koniecznością i ruchem [6]).

Otóż wszyscy ci trzej wybitniejsi przedstawiciele pesymizmu filozoficznego, mieli przeświadczenie o konieczności jakiegoś absolutu, a jeśli różnie ten ostatni pojmowali, to przecież przyznawali mu nieo-

---

[1]) Hartmann: *Philosophie des Unbewussten*, 1876. Tom II, str. 399 i 410.

[2]) Tenże, *l. c.*, t. II, str. 379.

[3]) Tenże, *l. c.*, t. II, str. 273.

[4]) Tenże, *l. c.*, t. II. C. *Metaphysik des Unbewussten.* Roz. I. *Die Einheit von Wille und Vorstellung im Unbewussten*, nr. 7, str. 10. Roz. XV. *Die identische Substanz beider Attribute*, nr. 4, str. 451.

[5]) Tenże, *l. c.*, t. II, str. 457. *Die untrennbare Einheit beider Attribute.*

[6]) Mainländer: *Philosophie der Erlösung*, str. 107.

dłączną odeń cechę, istotny przymiot: *jedność*. Bo i Mainländer, lubo świat, jako antytezę Boga, nazywa *mnogością*, to przecież i w téj mnogości jego tkwi *jedność*, jedność celu i harmonia w dążeniu; a że sam tego nie dopatrzył, nie uznał, popełnił błąd nader wielki, który pchnął go na drogę ciągłego przeczenia samemu sobie.

Wszyscy oni wychodzili tym sposobem z punktu widzenia jedynie usprawiedliwionego, a tego koniecznego stadyum wszelkiéj filozofii, to jest przyznania absolutu i *jedności* tego Boga własnéj ich kreacyi—*woli*

Ale czy wytrwali w tém dążeniu?

Bynajmniéj, a nawet i wytrwać w żaden sposób nie mogli, mając w myśli swéj naprzód już powzięty programat doprowadzenia całego stworzenia do nirwany.

Tak więc wierni wytkniętemu przez się zadaniu stworzenia filozofii nicości, odpowiednie téż wybierają środki; nie pomni jednak na to, że tym sposobem tylko formalnie udowadniają głoszoną przez siebie doktrynę, ale nie zaspakajają wrodzonych myśli naszéj wymagań, odnośnie do pojęcia absolutu, jako *wiecznego*, *co do istnienia i jednolitego co do istoty swojéj*.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

Ruch literacki na Łużycach.

PRZEZ

A. J. Parczewskiego.

Niewielki liczebnie lecz duchowo dzielny górnołużycki naród, za wzór służyć może wszystkim, pod względem wewnętrznéj siły oporu, przeciw nieprzyjaznym zewnętrznym pierwiastkom. Lubo ze wszech stron otoczony przemożnym niemieckim żywiołem i pozbawiony historyczno-politycznéj przeszłości, przedstawia jednak zdumiewający przykład cichego bohatérstwa w gorliwéj obronie rodzinnéj mowy i to nie wśród skał i rozpadlin górskich, gdzie łatwiéj jest mniejszości odnosić orężne zwycięztwa nad przeważającą większością, lecz na szerokim otwartym gościńcu cywilizacyi, na którym każda walka przy nierównych siłach daleko jest trudniejszą, choć mniéj efektowną i dlatego do piękniejszych wieńców daje prawo. Dokładną cyfrę górno-łużyckiego narodu podać jest dziś bardzo trudno; to tylko pewna, że nie

przechodzi ona stu tysięcy lub też przewyższa je bardzo niewiele, więc przedstawia mało co więcéj niż przeciętną cyfrę, któregokolwiek z naszych lepiéj zaludnionych powiatów. Jestto ludność liczebnie bardzo niewielka, a jednakże wychodzi wśród niéj aż sześć czasopism peryodycznych. Ostatnia ta cyfra świadczy bardzo wymownie o wysokim stopniu oświaty ludowéj. Najpoważniejszym przedstawicielem peryodycznéj literatury łużyckiéj jest: *Časopis maćicy serbskeje*, organ nie od dziś dopiéro datujący, bo zaczął wychodzić jeszcze w r. 1848 w epoce narodowego odrodzenia, a w różnych rocznikach swych posiada cenne, samodzielnie opracowane rozprawy lingwistycznéj i historycznéj treści, np. Pfula: *Pomniki* Słowian polabskich, Jenča *Opowiadanie o królach serbskich*, *Dzieje mowy i narodowości serbskiéj;* Dučmana: *Piśmiennictwo Serbów katolików* i w ogóle pracami w sobie pomieszczonemi przyczyniło się wiele do wydoskonalenia mowy rodzinnéj w gramatycznym i leksykograficznym względzie. Na kartach jego zaznaczyli swe imiona prawie wszyscy spółcześni uczeni i literaci łużyccy, więc: Buk, Cyż, Dučman, Fiedler, Hornik, Jakób, Jenč, Imiš, Laras, Pful, Rola, Rostok, Seiler, Smoler, Wiela, Wehla, z których ostatni wykłada obecnie język górno-łużycki w gimnazyum Budyszyńskiém. Czasopismo posiada 300 prenumeratorów, a wychodzi pod redakcyą ks. Michała Hornika, staraniem Towarzystwa Macicy serbskiéj, które wydaje nadto inne książki swego nakładu. Od r. 1855 drukuje także stale kalendarz, rozchodzący się w liczbie 5,000 egzemplarzy, inny znowu kalendarz wydawany dla katolików przez Towarzystwo SS. Cyrylla i Metodego wychodzi zwykle w 800—1000 egzemplarzy. Aby dać wyobrażenie o pożytecznéj działalności téj instytucyi, dość tylko przytoczyć, iż według jednego z dawniejszych nieco sprawozdań, w ciągu 25 lat od początku istnienia, rozrzuciła ona między lud łużycki 100,000 egzemplarzy książek rozmaitéj treści. Pożądaném jest, aby te usiłowania bratniego ludu i u nas także znalazły sympatyą, którą czynem możemy ujawnić, posyłając na rzecz Towarzystwa zasiłki pieniężne, choćby tylko zwykłe wkłady członków, wynoszące zaledwie cztery marki rocznie. Godzi się także, aby nasi nakładcy i wydawcy książek pamiętali o zasilaniu księgozbioru Macicy serbskiéj, w czém innym ludom słowiańskim, mianowicie Czechom, daliśmy się wyprzedzić [1]).

W zeszłym roku wydało staraniem swém Towarzystwo książkę bardzo sympatycznéj treści; jest nią: *Towarzyski śpiewnik dla ludu serbskiego*, ułożony przez K. A. Fiedlera (*Towaršny spěwnik za serbski lud, zestajał K. A. Fiedler*); książki tego rodzaju, ułożonéj na wzór podobnéj czeskiéj, wydanéj w Pradze przez Pichla i Zwonaŕa, nasza ludowa literatura nie posiada dotąd, a przydałaby się bardzo. Są w niéj ludowe pieśni, zaczerpnięte z znanego zbioru Smolera, są i pieśni współczesnych literatów łużyckich: Pfula, Cyża, Wehli, a przedewszystkiém ulubionego poety Seilera, który w r. 1872 jako pastor

[1]) Adres: An den Verein der Macica Serbska in Bautzen (Sachsen).

w Łazie życie zakończył, a wszędzie dodane melodye, bądź ludowe, bądźto od innych ludów słowiańskich przejęte, więc czeskie, polskie, serbskie (z nad Dunaju), bądź też utworu narodowego muzyka łużyckiego Kocora. *Spiewnik* zaczyna się narodowym chorałem: *Hišće Serbstwo niezhubjene*, śpiewane na dobrze znaną nam nutę, na podobieństwo któréj śpiewają także Czesi: *Hej Slovane.* Niektóre melodye Kocora są wielkiéj, wzruszającéj do głębi serca rzewności, np. śpiew: *Serbski kraj a lud* do słów Seilera, zaczynających się: *Ja znaju kraj.*

Wydanie narodowego śpiewnika w każdym kraju jest potrzebném, dla Serbów łużyckich jest pierwszéj wagi. „W życiu narodowém, którego budzenie i utrwalanie jest właśnie zadaniem Macicy serbskiéj, mówi w przedmowie swéj Fiedler, śpiew jest wielce doniosłego znaczenia. Śpiew czyni nam język ojczysty miłym i drogim i budzi w sercu miłość do ziemi rodzinnéj. Dlatego może on ludowi serbskiemu dopomódz wiele, do rozniecenia wzrostu i utrzymania narodowego ducha łużyckiego. Śpiew kojarzy dusze w serdeczne grono, a przez stowarzyszenia śpiewaków, przez zgromadzenia i koła, w których pieśń panuje, budzi się, rośnie i umacnia dzielny duch bratni, przyjaźń wierna i miłość między ludźmi. To też bezwątpienia serbskie uroczystości śpiewackie, należą do najważniejszych i najdzielniejszych środków, których słynni patryoci serbscy używali celem budzenia i umacniania narodowego życia wśród naszego kochanego ludu serbskiego. One to otworzyły piękne, krzepiące źródło, z którego dobroczynna rosa spłynęła na błonia drogich naszych Łużyc. Jakież radosne życie serbskie zagrało przy odgłosie pieśni serbskich obchodów śpiewackich! Jakąż krasą młodości ozdobiły się piękne Łużyce! Niechże więc krzewi się serbski śpiew narodowy; jest on koniecznym do utrzymania narodowości serbskiéj: póki w naszych Łużycach narodowe serbskie pieśni rozlegać się będą, póty Serbowie zostaną Serbami."

W takichto gorących słowach potrafią przemawiać Łużycanie, łączymy i my także z całego serca życzenia bratniemu narodowi i powtarzamy z Fiedlerem: „Wesoło graj serbska pieśni w szkołach i domach, w dolinach i górach, wśród pól i lasów, na wieczornicach i biesiadach, na weselach i w podróży, słowem wszędzie, gdzie tylko biją miłujące serbski naród serca."

Literackiém pismem lżejszego pokroju jest: *Łužičan*, wychodzący raz na miesiąc, pod redakcyą Smolera i o ile mi wiadomo, spodziewający się w roku bieżącym około 500 prenumeratorów. Łužičan jest nawet pismem obrazkowém, bo zamieszcza portrety współczesnych znakomitości różnych narodów słowiańskich. W drugim numerze tegorocznym oglądamy portret i życiorys serbskiego (z nad Dunaju) uczonego Stojana Nowakowicza; w trzecim numerze ma być portret Bleiweisa, wielce zasłużonego dla narodowości swéj Słowinca; w czwartym Kraszewskiego, o którego jubileuszowém uczczeniu nie zapomnieli i Łużycanie: przy sposobności imienin, obok innych telegramów pozdrawiał go i telegram z Budyszyna, a ks. Hornik wypowiedział w kół-

ku łużyckiém odczyt o stanowisku i zasługach jubilata. Jak widzimy, w wydawnictwie tego czasopisma zaszło pewne opóźnienie, spowodował je natłok zajęć w drukarni i o ruchu literackim na Łużycach nie należy z tego źle wróżyć. Liczba czasopism nie ubywa, owszem w roku zeszłym przybył nowy miesięcznik literacki: *Lipa serbska*. Jestto głównie organ młodzieży łużyckiéj, liczy 500 prenumeratorów i wychodzi pod nominalnym sterem osiwiałego w trudach i pracy Smolera; czas jakiś redagował ją student filozofii E. Muka, niedawno w roku zeszłym za rozprawę z filologii klasycznéj doktoryzowany w Lipsku. Smoler jest także rzeczywistym redaktorem polityczno beletrystycznego tygodnika: *Serbskie nowiny*. Pismo to posiada 1,600 prenumeratorów. W religijnym kierunku pracują dwa czasopisma, dla protestantów: *Missyonski Posoł* (redaktor Rychtar, raz na miesiąc, 2,200 prenumeratorów); dla katolików: *Katholski Posoł* (pod redakcyą Michała Roli, dwa razy miesięcznie, 700 prenumeratorów). Ostatnia cyfra jest stosunkowo bardzo wysoka, ile że cała ludność łużycka wyznania katolickiego, skupiona w kilku parafiach około Budyszyna nie przechodzi dwunastu tysięcy. Oba powyższe czasopisma są organami właściwych stowarzyszeń, które około 1862 r. w celu wydawania książek treści religijnéj założono, a mianowicie dla protestantów: *Ewangelsko-lutherske knihowne towarstwo*, obecnie pod przewodnictwem pastora Imiša, dla katolików zaś Towarzystwo SS. Cyrylla i Metodego pod prezydencyą kanonika Kaćanka. Na rok bieżący zapowiedzianém było jeszcze siódme z rzędu czasopismo treści rolniczéj pod nazwą: *Serbski Hospodar* w Wojerecach (Hojerswerda), dotąd jednak wychodzić nie zaczęło. A szkoda, bo lud łużycki jest przeważnie ludem rolniczym, więc gospodarskie pismo w narodowym języku byłoby bardzo pożądaném.

Nie tak dobrze dzieje się dotąd na dolnych Łużycach; tam jeszcze wśród zapadłych nizin nadsprewiańskich, gdzie niegdyś według ludowego podania ostatni niepodległy władca Łużyc przebywać miał; w głębokim śnie pogrążony spoczywa lud łużycki, tam dotąd jeszcze syn chłopski, gdy porzuci chatę ojców i ukończy gimnazyum lub uniwersytet, zapomina mowy ojczystéj i przerabia się na Niemca. Smutny fakt, który na górnych Łużycach przestał być już ogólném prawidłem. Na dolnych Łużycach niéma ani księgarni krajowéj, ani też dzielnych pracowników, którzyby trud życia całego sprawie mowy rodzinnéj poświęcili. Zapomniany ten i zaniedbany lud powinien nas przecież żywo interesować, ile że bliższy nam jeszcze od górno-łużyckiego, a język jego podług zdania Aleksandra Petrowa jest pod słownikowym względem zupełnie do polskiego podobny [1]). Wprawdzie wychodzi w Chociebużu: *Bramborski serbski casnik*, redagowany przez Šwelę, lecz z niego niewielka pociecha; prenumeratorów ma 500.

[1]) *Rozprawy i sprawozdania z posiedzeń wydz. filolog. Akademii;* t. III, str. 76.

W ostatnich czasach lubo tak ciężkich zkądinąd i tu przecież, w tych nadsprewiańskich dolinach czuć pewien zwrot ku lepszemu. Pomyślano przedewszystkiém o poprawniejszém pod względem języka wydaniu śpiewów kościelnych. Było ich dwa zbiory: jeden mniejszy, drugi większy; mniejszy wydawano dwa, większy ośm razy; wszystkie te nakłady wyczerpane i teraz zachodzi potrzeba nowego. Otóż z inicyatywy pastora Broniša w Chociebużu zawiązaną została w tym celu komisya i zabrano się do roboty, którą oby uwieńczył pomyślny skutek. Z prawdziwą radością możemy także zaznaczyć kilka pomyślnych objawów, które na dolnych Łużycach poraz pierwszy miały miejsce. Oto pastor Fengler w Chociebużu, wydawca niemieckiego religijnego czasopisma, wyuczył się po serbsku i w wydanym na rok bieżący kalendarzu niemieckim zamieścił siedm stron tekstu łużyckiego, język w nim coprawda niepoprawny, lecz zczasem może się polepszyć. Jeszcze drugi fakt, który również poraz pierwszy miał miejsce: w dniu 5 grudnia zeszłego roku, pastor Broniš w Driowku obchodził 90 rocznicę urodzin; członkowie wybranéj w celu wydania śpiewnika komisyi, przysłali mu telegram z powinszowaniem, a byłto pierwszy według *Casnika*, jaki w łużyckim języku z Chociebuża wysłano. Skromne to początki, lecz przyszłość może być lepszą i nadziei w nią nie należy tracić; potrzeba tylko chociażby jednego człowieka złotego serca i żelaznéj woli, któryby w tamtych stronach osiadł, a zaznajomiwszy się z językiem i obyczajem, oddał się bezinteresownie pracy około krzewienia mowy i literatury dolno-łużyckiéj.

13 czerwca 1879 r.

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Babylonian Literature: Lectures delivered at the Royal Institution by A. H. Sayee. London, Bagsters 1877.

Sayee, znakomity profesor filologii porównawczéj w Oxfordzie i autor wielu głośnych prac naukowych, ogłosił pod powyższym tytułem: *Odczyty o literaturze babilońskiéj*, przetłómaczone prawie jednocześnie na język niemiecki przez Karola Friederici [1]). Ze względu na niezmiernie interesującą treść tych odczytów uważamy za pożyteczne bliżéj z niemi czytelników naszych zapoznać.

Do najcudowniejszych zdobyczy nowożytnéj wiedzy należy niewątpliwie odcyfrowanie klinowych napisów asyryjskich i babilońskich. Przed stu laty, nawet nie podejrzywano ich istnienia, a znaki na pieczęciach i cegłach babilońskich, które podróżnicy znajdowali, uważano poprostu za ozdoby: nikt się w nich pisma nie domyślał.

Pierwszy Niebuhr ogłosił dokładne napisy klinowe perskie, któréj to pracy wzrok poświęcił; lecz dopiero w początkach bieżącego stulecia Grotefend, młody uczony z Bonn, zrobił odkrycie, które odtąd niby kłębek Aryadny prowadziło uczonych po labiryncie tajemnic klinowego pisma. Wykazał on, że perskie klinowe legendy napisane zostały alfabetem z czterdziestu głosek złożonym, i zdołał odczytać w nich nazwiska: Daryusza, Kserksesa, Artakserksesa, Cyrusa a wreszcie i powtarzany często wyraz *Khshayathiya*, znaczący w starożytnéj zendskiéj persów mowie *król*. Tym sposobem gieniusz Grotefenda założył trwałe podwaliny do dalszych odkryć, które francuzki uczony Burnouf ustaleniem filologii zendskiéj nie mało przyszłym badaczom ułatwił, tak, że Lassen wreszcie ułożył prawie zupełny alfabet z 39 znaków i przetłómaczył znane wówczas napisy.

Dziwnym zbiegiem okoliczności, w tym samym czasie młody angielski oficer, dzisiejszy Henryk Rawlinson, niezależnie od Lassena, przyszedł do tych samych rezultatów. Tym sposobem klucz do odcyfrowania napisów Daryusza i jego następców został wynaleziony i pozostało tylko dokonać rozpoczętego dzieła.

Jednocześnie prawie nowa praca oczekiwała badaczów. Okrom perskich klinowych legend znalazły się i dwie inne również klinowemi znakami napisane, które jednak różniły się znacznie od pisma przez

---

[1]) *Babylonische Literatur Vorträge gehalten in der Royal Institution London.* Leipzig, 1878.

perskich pisarzów używanego. Pojedyńcze wyrazy nie były od siebie oddzielone, a liczba znaków zdawała się być prawie niewyczerpaną. Wkrótce jednak i te nowe trudności zwyciężyli uczeni, okazawszy po mozolnych usiłowaniach, że nowo odkryte pisma były zabytkiem języka babilońskiego.

Na miejscu, gdzie stała starożytna Niniwa, francuz Botto i anglik Layard robili wytrwałe poszukiwania, uwieńczone odkryciem zakopanego miasta z jego pałacami, rzeźbami i pomnikami starego życia. Wkrotce też przekonano się ze zdziwieniem, że odkryte na ścianach napisy były tém samém pismem klinowém i w tymże języku, w jakim ułożone były semityckie napisy perskich tekstów. Niektóre napisy klinowe Babilonii znajdowały się już w Anglii, a jakkolwiek prawie część większa używanych w niéj znaków, różniła się cokolwiek od znaków Niniwy i Bechistun; to jednakże zestawienie tekstów pozwoliło doktorowi Hineks odczytać nazwisko Nabukaduezara i napisy na jego pałacach.

Zaledwie jednak pierwsze wypukłorzeźby Niniwy obudziły zdumienie publiki i zaledwie wynaleziony został klucz do odczytania napisów Nabukaduezara, już dwa nader ciekawe odkrycia zostały dokonane. Pierwszém z nich było istnienie biblioteki w Niniwie, nie z książek wprawdzie ale z tablic z wypalonéj gliny, które zawierały w sobie rzeczywisty zbiór dzieł w rozmaitych gałęziach wiedzy, jaką Assyryjczykowie uprawiali. Drugą zdobyczą było odkrycie staréj mowy, która okazała się być językiem pierwotnych Chaldejczyków, tych budowniczych Babilonii, wynalazców klinowego pisma, praojców sztuki i cywilizacyi, któréj Assyryjczycy byli tylko dziedzicami i naśladowcami. Prawdopodobnie mowa ta już na siedmnaście wieków przed Chrystusem była martwa. Najdawniejsi królowie Chaldei nazywali się królami z Sumir i Akkad, albo panami kraju Akkadyjczyków, którzy odegrali bardzo poważną rolę w intelektualnéj historyi ludzkości; onito bowiem pierwsze błyski cywilizacyi do zachodniéj Azyi przynieśli. Aż do nich możemy odnieść sztuki, nauki, religijne podania i filozofią nietylko assyryjczyków lecz fenicyan, aramejczyków a nawet hebreów. Chaldei również zawdzięcza Grecya zarody swojéj sztuki, jak niemniéj wybitniejsze postacie bogów i bohaterów: budowle na słupach dosięgły najwyższego rozwinięcia w Babilonii, a grecki Herkules ze swemi dwunastu pracami ma swój pierwowzór w bohaterze wielkiego chaldejskiego eposu. Prawie cała assyryjska literatura pochodzi z Akkad i została przetłómaczona z umarłego języka pierwotnéj Chaldei. Assyryjczycy słusznie zostali nazwani Rzymianami staréj Azyi; byli oni narodem żołnierzy i prawodawców, a nie myślicieli i uczonych. Ich sztuka, nauka, prawo, literatura z Babilonii pochodzą, nawet ich świątynie, na wzór babilońskich, budowały się z cegieł, chociaż Assyrya posiadała podostatkiem kamienia.

Akkadyjczycy posiadali wiele bibliotek, z których najsławniejsza była w mieście Agane, założoném przez Sargana I, na siedmnaście wie-

ków przed Chrystusem. Dla téj biblioteki ułożone było dzieło o astronomii i astrologii w 72 księgach, które Berosus na język grecki przełożył. Założyciel téj biblioteki Sargon był pierwszym zapewne semityckim zdobywcą, opiekującym się literaturą. Język akkadyjski przestał już być mową narodu i rozumiany był tylko przez uczonych, jak łacina w średnich wiekach. Książki więc, które do nowych bibliotek sprowadzano, były albo tłómaczeniem akkadyjskich oryginałów, albo oparte na akkadyjskich tekstach i technicznemi wyrazami staréj mowy przepełnione. Każda tablica w bibliotece była wciągnięta do katalogu, miała stałe miejsce, stosownie do treści i swój numer, który czytelnik napisać i podać bibliotekarzowi musiał, skoro jakiéj tablicy do czytania zażądał.

Pierwsza assyryjska biblioteka była w mieście Kalah, zbudowaném przez Salmanassara I około r. 1300 przed Chrystusem; lecz dopiero Assurbanipal połączył w bibliotece Niniwy wszystkie najcenniejsze skarby Babilonii i Assyryi. Stare dzieła były przepisywane i tłómaczone, jak również tworzono nowe, jużto w assyryjskiéj już w akkadyjskiéj umarłéj mowie, któréj studya znów się ożywiły. Biblioteka ta dostarczyła Europejczykom najwięcéj wiadomości o literaturze oraz historyi Babilonii i Assyryi. Pozostałe z niéj ułamki tablic odkrył Layard w r. 1850 i kilka skrzyń napełnionych niemi do Anglii wysłał. H. Rawlinson zawyrokował pierwszy o ich znaczeniu, lecz dopiero George Smiths zajął się uporządkowaniem i ułożeniem tych zdobyczy w Britsch-Museum a następnie wyprawą po odszukanie reszty biblioteki Assurbanipala (1878). Wiele z tych tablic jest obecnie bez wartości, gdyż części, któreby je uzupełniły, leżą jeszcze zagrzebane w ojczystéj ziemi, gdy znów inne odkrywają nam tylko połowę swéj historyi i tam się właśnie zatrzymują, gdzie ciąg dalszy byłby najbardziéj pożądany.

Bądźcobądź od biblioteki Assurbanipala oczekiwać teraz możemy wielu ważnych wiadomości o literaturze babilońskiéj. Obejmuje ona dzieła o rozmaitszych przedmiotach: historyczne i mitologiczne epizody, religijne podania, prawne, geograficzne, astronomiczne i astrologiczne rozprawy, poetyczne utwory, poszukiwania językowe, spisy kamieni, drzew i zwierząt, kopie umów, rachunków handlowych, próśb podawanych do króla i książęcych rozporządzeń. Większa część religijnych i poetycznych utworów są to tłómaczenia z akkadyjskiego; tekst pierwotny podany jest obok przekładu assyryjskiego. Historya babilońska ma bardzo szerokie tło mytyczne; przed potopem miało tu panować dziesięciu królów, których rządy 432,000 lat trwały. Ten olbrzymi okres czasu wypełniają czyny bohaterów, stanowiące oddzielny cykl podań.

Xisuthrus, Etanna, Tammuz i Izdubar byli to czteréj bohaterowie, których apoteozowali z upodobaniem pisarze i poeci historycznego okresu. Izdubar szczególnie, utożsamiony słusznie przez Smitha z Nimrodem, był bohaterem niezliczonych legend i śpiewów. Działalność

jego stanowi łączące spoiwo w wielkim poemacie bohatérskim Babilonii, obejmującym historyą przedpotopową wraz z arką, na któréj ocalał Xisuthrus. Poemat składa się z ksiąg dwunastu, podług pewnéj astronomicznéj zasady ułożonych, gdyż każda z nich odpowiada pewnemu stałemu znakowi Zodyaku i miesiącowi akkadyjskiego kalendarzą.

Izdubar przedstawia się jako bohatér słońca. Jego dwanaście przygód, które oznaczają bieg słońca w dwunastu miesiącach roku, wskazują wyraźnie, że bohatér ten jest prototypem greckiego Heraklesa. Ten ostatni jest Melkartem z Tyru, gdzie świątynia tego bożka słońca była już założona na 2,300 lat przed bytnością Herodota w tém handlowém mieście. Historya więc Heraklesa była tylko powtarzaniem starożytnego Izdubara, Hlabani, powiernik chaldejskiego bohatéra, to Kentaur Kheiron, nauczyciel Heraklesa, gdyż Kheiron był synem Kronosa, a Kronos to babiloński Hea, stwórca Hea-banisa. Lew, którego Izdubar zabił, to lew nemejski; byk skrzydlaty, którego posłał Anu dla pomszczenia zniewagi swéj córki, jest bykiem z Krety; tyran Kumbala przez Izdubara zamordowany, to tyran Geryon; przyniesione z drzew leśnych z téj strony bramy słońca klejnoty, to jabłka Hesperyd, a śmiertelna choroba Izdubara niczem innem nie jest jak chorobą, z zatrutéj odzieży Nessusa powstałą. Z porównania tego widzimy, że zanim poeci greccy snuć zaczęli tęczową przędzę swéj mitologii, prawdziwi akkadyjscy wieszcze już tenże sam materyał obrobili w Izdubarowym eposie, który jest rzeczywiście zdumiewającym składem mytów i legend.

Xisuthrus (słońce życia), bohatér potopu, był niemniéj sławny w babilońskiéj legendzie jak Izdubar. Potopowe przygody tego bohatéra, który zbudowawszy arkę 600 łokci długą i 60 szeroką, ocalał na niéj; są bliźnięco podobne do biblijnéj historyi Noego. W dalszym ciągu saga opowiada dzieje walki identycznie z opowiadaniem greckich pisarzów o zapasach Tytana, Prometeusza i Ogyesa przeciw Kronosowi czyli Hei; daléj idzie biblijna historya o wieży Babel, ze wszystkiemi jéj akcesoryami i walka olbrzymów z bogami.

Z pomiędzy wielu poezyi, niezmiernie ważnych dla mitologii i historyi religii, Sayee przytacza jednę, któréj przedmiot należy do mitycznéj zoologii, a przypomina grecki myt o Tereusie i Philomeli z powodu przemiany króla Lugal-turda w rodzaj ptaka drapieżnego, który kradnąc „ojcu bogów" „koronę jego majestatu" „tablicę przyszłości" i jego „tajemnice" jest znów najwymowniejszym pierwowzorem greckiego Prometeusza. Wpływ tych mytów, które poeci turańscy Babilonii w kunsztowną szatę odziewali, trwał jeszcze bardzo długo i potém, gdy już mowa w któréj się poematy owe skrystalizowały, zamarła. Przeszedłszy z jednéj strony na Greków, z drugiéj na Fenicyan i Hebreów, stały się one tym sposobem spuścizną całéj ucywilizowanéj ludzkości. Oznaczyć ściśle wiek ich zatrudno; w każdym jednak razie musiały one powstać na 20 wieków przed Chrystusem, gdyż najstarożytniejsze giemmy jakie posiada Europa, przedstawiają przygody Izdubara i wiele in-

nych mytów. Tym sposobem rozkwit poezyi akkadyjskiéj można śmiało odnieść na 4000 lat przed Chr., skoro myty natury straciwszy posiadane kiedyś rzeczywiste znaczenie, zamgliły się z czasem i zostały wreszcie przedmiotem niezliczonych ballad i hymnów. Część starochaldejskiéj literatury, którą od pisarzów Assurbanipala posiadamy, jeszcze daléj sięga.

Przed epiczną epoką Babilonii istniał okres, który odpowiada wedyjskiéj epoce Indyan, to jest doba hymnów, układanych w języku akkadyjskim na cześć bogów. Powstały one w tym czasie, kiedy pierwotny szamanizm Akkadyjczyków ustąpił miejsca ubóstwieniu sił abstrakcyjnych. Prawie wszystkie frazesy i metafory sanskryckich hymnów Rig-wedy, spotykamy w tych pochwalnych pieśniach, co dowodzi, że człowiek wszędzie przy jednakowych warunkach życia, tym samym kolorze skóry i kształcie czaszki, mniéj więcéj podług jednakowéj formy uzewnętrzniał swoje myśli. Weźmy np. hymn do słońca, a przekonamy się, że forma jego nie wiele się różni od hebrajskich psalmów. Oto jak poeta zaczyna:

„O, Panie!... rozjaśnicielu ciemności!... Litościwy Boże, który upadłych podnosisz i słabych wspierasz!... W świetle twojém błyszczą wielcy bogowie!... Duchy ziemi... wszyscy korzą się przed Twém spojrzeniem!...” Mnóstwo głów się zgina przed światłem południowego słońca i t. d.

Jeszcze więcéj budzi zdumienia następujący psalm pokutny:

„O, mój Boże!... przestępstwo moje wielkie i liczne moje grzechy!...
O, bogini moja!... Przewinienie moje wielkie i liczne moje grzechy!...
O, mój Boże!... Ty wiész, czego ja nie wiedziałem; moje przestępstwa [wielkie i liczne grzechy moje!...
Przestępstw, które popełniłem—nie znałem; grzechów których się dopu- [ściłem—nie znałem.
Rzecz zakazaną zjadłem;... na rzecz zakazaną wstąpiłem!...
Mój Bóg w gniewie swojego serca ukarał mię; Bóg w sile swego serca [zwyciężył mię!...
Bogini skarała mię niedolą i pogrążyła w boleści!...
Ległem na ziemi i nikt mię nie wziął za rękę!... Płakałem, a rąk moich [nikt nie trzymał!...
Krzyczałem głośno—nie było nikogo, ktoby mię chciał wysłuchać!...
Bogu oddałem swe nieszczęście, moję modlitwę!... Jak długo, o, mój Bo- [że! mam cierpieć?”...

Niektóre z hymnów opiewają o czarodziejskich środkach, o mistycznych formułach, które chorym zdrowie przywracały; inne opisują jak grzesznik swoje najdroższe i jedyne dziecko za grzechy duszy swéj oddać musi: „głowę swego dziecka za własną głowę, twarz swego dziecka za twarz własną;” przyczém dowiadujemy się, że niewinne ofiary ogień pochłaniał. Kult Molocha tedy nie jest semityckim wynalazkiem,

lecz dostał się Semitom od turańskiéj ludności Chaldei, jak wiele innych rzeczy.

Na podobieństwo Rig-wedy istniały i w Babilonii zbiory hymnów, które zczasem stały się modlitewnikami akkadyjskich kościołów. Oprócz tego były o wiele starsze zbiory magicznych formuł i zaklęć, odnoszących się do pierwotnego kultu szamańskiego, które przez długi czas między niższemi klasami nie straciły wartości, gdyż jak wiemy, czarodziejstwo, magia, astrologia, jeszcze w pałacach cesarskiego Rzymu były jako zabytki z czasów turańskiéj Babilonii przez Chaldejczyków uprawiane, a przesądy i zabobony u ciemnych ludzi do dziś dnia mają znaczenie. Jednakże wpośród fałszywych nauk starożytnéj Chaldei, były również i zarody prawdziwéj wiedzy i wspaniałych odkryć, które do dzisiaj przetrwały.

Słusznie pisarze klasyczni nazwali ojczyzną astronomii Babilonią, która jest też rodzinnym krajem matematyki i pierwszego porządnego kalendarza. Niektóre tablice w brytańskiém Muzeum zawierają ułamki, inne kwadraty i sześciany. W każdém mieście istniały obserwatorya, które co dwa tygodnie przesyłały swe spostrzeżenia królowi. Tak zwane „obserwacye Bela" w 72 księgach były bardzo popularne. Dzieło to było od czasu do czasu uzupełniane podług nowych obserwacyi. Tak np: przy rozdziale o kometach spotykamy dodatek, że gdy w r. 1150 przed Chr. Nabukadnezar szedł na wojnę, ujrzano kometę o jasném jak dzień cielsku, które zakończone było podobnym do żądła skorpiona ogonem. Posuwała się ona z północy na południe i uważana była za wróżbę nieszczęść. W rzeczywistości „obserwacye Bela" zamiast dążyć do rozstrzygnięcia astronomicznych problematów, prowadziły raczéj na astrologiczne manowce.

Akkadyjczykom zawdzięczamy znaki zodyaku i dnie tygodnia. Niebo podzielone było na cztery części, których przebieg cztery pory roku oznaczał; rok zaś składał się z 12 miesięcy albo 360 dni. Dnie tygodnia miały nazwy od słońca, księżyca i pięciu planet; 7, 14, 21 i 28 dni miesiąca zwały się Sabbath *v.* Rasttag, w czasie których jedzenie gotowanych owoców i mięsa, zmiana odzieży, noszenie białych sukien, jeżdżenie wozem wojennym, mustrowanie wojska i przyjmowanie leków było nawet królom wzbronione. Miesiące po akkadyjsku nazywały się podług znaków zodyaku, a nasz marzec, assyryjki *Nizan* był pierwszym. Legenda mówi, że w tym miesiącu Bel swego jedynego syna na ofiarę poświęcił, co nam przypomina ofiarę Abrahama. Ułamki globusów świadczą, że usiłowano przenieść niebo na mapę i obrazy gwiazd ułożyć. Z tych fragmentów widać, że równik na 240, a ekliptyka na 360 stopni podzielona była. Z wyjątkiem ziemi znano wówczas tylko pięć planet.

Prawodawstwo było już dość rozwinięte; pan krzywdzący niewolników, ojciec opuszczający dzieci, syn wypierający się rodziców, ponoszą mniéj lub więcéj surowe kary, a żony wiarołomne topią się.

Ponieważ rząd był najściśléj z Kościołem połączony, przeto n. p. grabież świątyni do najcięższych występków liczona była.

Handel był bardzo rozwinięty. W VII i VIII wieku przed Chr. Niniwa stanowiła środkowy punkt handlu i miała swoje stowarzyszenia kupieckie w Indyach, na Wschodzie i prawdopodobnie w Tartessus na Zachodzie. Wiele istnieje aktów handlowych z tego czasu. Między innemi zwracają na siebie uwagę: akt sprzedaży córki przez ojca i braci za 100 złotych, sprzedaż domu w Niniwie w dalszym punkcie miasta za 360 złotych; sprzedaż trzech żydów przez Fenicyanina za tysiąc osiemdziesiąt złp. Spotykamy także akty wypożyczania srebrnych, żelaznych i innych metalowych przedmiotów na procent, na którychto dokumentach wierzyciel, dłużnik i sędzia wyciskali swe pieczęcie.

Upodobanie w handlu nie wyrugowało zajęć rolniczych, które także były dość rozwinięte, jak o tém świadczy znaczna liczba najrozmaitszych narzędzi gospodarskich, których nazwy do nas doszły. Zajmowano się także urządzaniem ogrodów owocowych; wołów używano do gospodarstwa, a koni do polowania i wojny.

Taka jest w najogólniejszym zarysie treść interesujących odczytów p. Sayee, który słusznie twierdzi, że te szczątki duchowéj spuścizny Babilończyków, niezależnie od swéj literackiéj wartości, którą naturalnie specyaliści tylko ocenić mogą, są nieocenione dla studyów lingwistycznych, historycznych i religijnych [1]). Kulturę i podania Akkadyjczyków odziedziczył Semita, a następnie Grecy, Rzymianie i świat współczesny. Wiele kwestyi, ciemnych dotąd w mitologii znajduje teraz wyjaśnienie, nie jedna obyczajowa i religijna zagadka zostaje z łatwością rozwiązana, gdyż tym sposobem sięgamy do źródła cywilizacyi zachodniéj Azyi. Gramatyczne i leksykograficzne dzieła w bibliotece Niniwy są dla nas szczególnie interesujące, gdyż przedstawiają najwcześniejsze próby w tym rodzaju. Powtarzane przez nas zadanie, że „nic nowego pod słońcem," mówi autor, zamykając swą pracę, sprawdza się codzień nowemi odkryciami w Babilonii i Egipcie; nie jeden z dzisiejszych „nowych wynalazków" znany był już nad brzegami Tygru i Eufratu przed 40 wiekami.

Zdobycze filologii porównawczéj na dziewiczém polu klinowych zabytków starożytnéj literatury są jeszcze wprawdzie bardzo skromne, lecz na przyszłość niezmiernie wiele obiecują. Z téj strony śmiało wyczekiwać może nauka niepospolitych dla siebie rezultatów. Ileż cudownych tajemnic w tych odwiecznych zabytkach, jakie niewyczerpane źródło faktów, idei, dokumentów i wyjaśnień!... Lecz jeżeli przypomnimy sobie, że autorowie tych tajemniczych tablic pisali na wszystkich murach swoich świątyń, na każdéj cegle swych pałaców, na

[1]) Znaczenie Assyryologii dla porównawczéj historyi religii wykazał prof. holenderski Tide w ciekawéj rozprawie p. t. *Die Assyriologie und ihre Ergebnisie für die vergleichende Religionsgeschichte.* Leipzig.

klejnotach żon swoich i na amuletach dzieci; jeżeli pomyślimy, że n. p. roczniki Assyryi, t. j. ogrom napisów lapidarnych formują wzgórza, z których główne ma przeszło dwadzieścia metrów wysokości u podstawy i dwa kilometry obwodu i że kilka podobnych zapasów jak *Birs Nimrud Mondjellibeh*, *El-Kasz*, spotyka się śród pustyni; jedném słowem jeśli zwrócimy uwagę na te olbrzymie bogactwa poetyczne, historyczne i legendowe, jakie dotąd w łonie piasków spoczywają: przyjdziemy niewątpliwie do przekonania, że trzeba jeszcze pracowników uczonych wielu pokoleń, zanim te wszystkie skarby zostaną dla nowożytnéj nauki dokładnie zeksploatowane. Każdy krok w tym kierunku interesować nas musi; więc też polecamy czytelnikom ciekawe odczyty Sayee'go, a ciekawszych odsyłamy jeszcze i do tłómaczeń Opperta, których interesujące próbki liryczne starożytnéj Chaldei, w II tomie „Biblioteki wschodniéj" wydrukował [1]).

J. A. Święcicki.

O znaczeniu i ważności zabytków pierwotnych, oraz umiejętném ich poszukiwaniu (dwa odczyty publiczne w Muzeum techniczno-przemysłowém w Krakowie). Przez A. Kirkora, przewodniczącego sekcyi wykopalisk kom. archeolog. Akad. Umiejęt. Kraków 1878 r. (w 8-ce, str. 30).

Autor, znany już oddawna z badań archeologicznych, które dokonywa rok rocznie, jako delegat z ramienia Akademii Umiejętności w Krakowie, na początku pierwszego odczytu, mówiąc o poszanowaniu zabytków przeszłości, ze smutkiem wspomina ileto pamiątek dla nauki zaginęło przez nieświadomość i brak potrzebnéj wiedzy.

Długi przywodzi szereg niszczenia drogich pomników przeszłości. Tak z barbarzyńskiéj ręki zniszczonym został posąg bałwochwalczy, tak groby kamienne zużytkowano do nowych budowli wiejskich, a urny z nich wydobyte i zabytki cenne poniszczono nieoględnie. Ale ten popęd ich niszczenia ustaje, dzięki rozszerzającéj się wiedzy o ich ważności. Sam autor wyraża: „Z pewną dumą powiedzieć możemy, że w okolicach gdzieśmy poszukiwania robili, niekiedy z uśmiechem, prawie z politowaniem spotykane, następnie odczute i zrozumiane, tam żaden zabytek nie zaginie."

Do najstarszych zabytków na ziemi naszéj, należą: jaskinie, pieczary i groty. Mamy jaskinie w skałach przeważnie wapiennych, niektóre bardzo obszerne, składające się z kilku kurytarzy i sal dużych na znacznéj przestrzeni, jak np. w Bilczu na Podolu. Jaskinie były najpierwotniejszą siedzibą człowieka. A więc w jaskiniach znajdują

[1]) *Bibliotheque orientale*, II, Paris 1872, p. 201 i nast.

się najstarożytniejsze wyroby rąk ludzkich: okazy ceramiczne, kości zwierzęce do użytku zastosowane, broń i wyroby rozmaite z krzemienia i kamienia.

Przy rozsadzaniu skał, kopaniu rowów, nadto często w szczerbach gór gliniastych lub piaszczystych, działaniem wód, po wiosennych wylewach zdziałanych, znajdują się nadzwyczajnéj wielkości kości i zęby zwierząt olbrzymich: niedźwiedzia jaskiniowego, mamuta, mastodonta, jelenia i innych zwierząt wygasłych, które troskliwie zachowywać potrzeba dla nauki.

Największą uwagę zwracać na siebie powinny stacye przedhistoryczne, które przechowały najstarożytniejsze ślady pobytu człowieka na ziemi. Stacye te znajdują się najczęściéj na wybrzeżach rzek lub jezior, w wydmach piaszczystych, na których na saméj prawie powierzchni znaleźć można mnóstwo okrzesków krzemiennych. Przy obrabianiu rozmaitych narzędzi porzuconych, wśród nich są uszkodzone mniéj więcéj ostrza strzał, siekierki, noże, skrobaczki, heble i t. p. Rozpoznać je łatwo z samego kształtu.

Wynalezienie takich stacyi przedhistorycznych ma nader doniosłe znaczenie, świadczą one bowiem o miejscu zamieszkania człowieka pierwotnego i dlatego gdzie tylko znajdzie się taka stacya, można być pewnym, że w blizkości jest i *grodzisko* albo nadwodne mieszkanie, a zawsze cmentarzysko pogańskie.

Kraj nasz przepełniony jest grodziskami, na Rusi nazywanémi *horodyszczami*. Do tego rodzaju zabytków należą także: *tyńce*, *tyny*, *tyniny*, tak samo oznaczające gród, miejsce ogrodzone. Wszelkie ogrodzenie do dziś dnia w niektórych okolicach nazywają tyńcem albo tynem. Grodziska i tyńce dalekiéj sięgają przeszłości i mają jednakie znaczenie, chociaż zdarza się, że blizko siebie położone, jedno nazywa się grodziskiem, drugie tyńcem; jak pod Krakowem góra warowna, gdzie późniéj stanął klasztor Benedyktynów zowie się Tyńcem, a tuż za nią od strony Skawiny, na południe od ruin klasztoru i wioski, góra do dziś dnia przechowała nazwisko „Grodziska."

Tak więc grodziska, horodyszcza, a od nich powstałe Horodnice, Horodce, Horodki i t. p., należą do najdawniejszych osad. Są to właśnie wyniosłości, na których ludzie w bardzo dalekiéj przeszłości, wyszedłszy z jaskiń osiedlać się zaczęli. Na wierzchołku, w lepiance z gliny, kamieni lub chróstu wzniesionéj, mieszkał zwierzchnik rodu, patryarcha pokolenia, oraz starszyzna i ich rodziny. Zarazem byłto punkt zborny dla narad *wiecowych*, dla modłów i ofiar składanych bogom.

Grodziska te były u nas zawiązkiem grodów, zamków, siedliszcz, dworzyszcz. Wiele miast, miasteczek i wsi do dni naszych przechowały nazwisko grodzisk, albo horodyszcz, horodków i tym podobnych.

Mamy już dowody, że i w naszych stronach ludzie na wodach mieszkali. Ślady mieszkań nawodnych znajdujemy albo w jeziorach istniejących, albo też w oddawna znikłych i zbiegiem wieków w torfo-

wiska zamienionych. Mieszkania te sięgają czasów starożytnych, kiedy człowiek wyszedł z jaskiń i szukał przytułku na powierzchni ziemi: obierał sobie siedzibę na wodzie, bo woda broniła go od napaści wroga i drapieżnych zwierząt.

Ponieważ budowle te trwały przez tysiące lat, w epokach: kamiennéj, bronzowéj i żelaznéj, przeto odszukują w nich, na dnie jezior lub torfowisk, wyroby gliniane, kamienne i krzemienne, bursztynowe, szklane, żelazne i inne.

Autor rozróżnia dwa rodzaje budowli nawodnych: palowy i pokładowy. Zwraca nadto uwagę na nazwiska starożytnych osad, gajów, niw, jezior, przypominających to lub owo bóstwo bałwochwalczych Słowian; na fundacye kościołów, które się odnoszą do pierwszych wieków wprowadzenia do nas Chrześciaństwa.

Do zabytków przedhistorycznych należą także wały, szańce, szlaki wojenne, wędrowne i handlowe.

Tak prelegent wyliczywszy wszystkie prawie ważniejsze zabytki, jakie na ziemi naszéj z czasów pierwotnych ocalały, jakie wzniósł i zdziałał człowiek przedhistoryczny dla życia i potrzeb swoich w miarę własnego uzdolnienia; drugi odczyt poświęcił wspomnieniu pracy żyjących ku czci zmarłych i ich zacnym chęciom, przekazania najdalszym pokoleniom pamięci swych ojców.

Przechodzi przeto szczegółowo: mogiły, kurhany, grobowiska i cmentarze pogańskie, kryjące szczęty pierwotnych mieszkańców téj ziemi.

Autor, badając długo a starannie te zabytki, w corocznych niemal wycieczkach naukowych, jakie przedsiębierze w Galicyi z polecenia komisyi archeologicznéj Akademii Umiejętności w Krakowie, wskazuje i opisuje szczegółowo rozmaite zabytki grobowisk, czyto w kształcie sypanych mogił i kurhanów, czy w odnalezionych grobach kamiennych, które w kilku miejscowościach odkrył i zbadał. Wykład to wielce zajmujący, pokazuje, że w czasach bardzo odległych grzebano trupy i palono na stosach. Pierwsze wskazują pozostałe szkielety, drugie urny z popiołami. Opisuje szczegółowo, jakie zgromadzono wiadomości po dokonanych odkryciach, po rozkopaniu mnóstwa mogił i kurhanów, jakie w nich zabytki odnaleziono, oprócz szkieletów i popiołów; rozróżnia rozmaite gatunki urn, z których osobliwie twarzowe, zwracają szczególną uwagę badacza. Podaje sposoby wydobywania ich bez uszkodzenia z mogił, kurhanów i nasypisk ziemnych. Wskazówki te są wielce pożądane, bo brak wprawy przy wydobywaniu glinianych urn, mnóstwo tego rodzaju pamiątek zniszczyło.

Odczyty te oznajomiły słuchaczy z przedmiotem dla nich obcym, a tyle obchodzącym naukę. Teraz każdy pilniejszéj zwracać nie przestanie uwagi na miejscowości, mogące przechowywać tego rodzaju pamiątki z epoki przedhistorycznéj; może nawet niejednego zachęcić do poszukiwań w swojéj okolicy cennych zabytków, które zapadła przeszłość matce-ziemi powierzyła dla późniejszych pokoleń. Objaśnienia te

i wskazówki, jakie prelegent podał, uważamy za korzystne w rozwoju badań archeologicznych, nauce młodéj, która jednakże badaczom dziejów może oddać wielkie usługi. *R.*

Rocznik kółek rolniczo-włościańskich w Wielkiém Księztwie Poznańskiém. (Poznań. Drukiem i nakładem I. J. Kraszewskiego i dr. W. Łebińskiego, 1879. W 8-ce, str. 149).

Piąty rok upływa od założenia tych *Kółek*, i piąty obecnie wyszedł *Rocznik*, obejmujący szczegółowe sprawozdanie o ich działalności. Piękna myśl przewodniczyła ich zawiązaniu, albowiem mają za cel główny rozszerzanie między ludem wiadomości do ulepszenia gospodarstw włościańskich, polepszenia przez to dobrobytu najliczniejszéj warstwie społecznéj, obok tego niespuszczała z baczenia i uwagi, podniesienia poziomu umysłowego ludu wiejskiego. Wspominaliśmy już o tém, mówiąc o tomie IV tego wydawnictwa. Teraz widzimy, że ze skromnego zawiązku tych stowarzyszeń rolniczych, rozrosły się pomyślnie kółka w szerszych rozmiarach. Obecnie Wielkie Księztwo Poznańskie liczy już 120 takich Kółek, w których przeważny udział bierze lud wiejski, i to nietylko w zgromadzaniu się ochotném na zebrania powołany, ale sam w nich występując jużto ustnie już piśmiennie. Pocieszający tego dowód mamy w zgromadzeniu Kółka w Hakle powiatu Wyrzyskiego, na którém włościanie mieli opracowane odczyty, w których przebijała się pewność zdania i znajomość rzeczy.

Wprawdzie wykazują się w różnych okolicach i ujemne strony, w zaniedbaniu zbierania się ochotnego na zgromadzenia Kółek, nieprzyprowadzania na nie przez ojców swoich już dorostków, niechęć do ubezpieczenia się od klęski pożaru, ale powoli złe ustępuje a ochota wzrasta coraz większa. Wpływ tu przeważny wywiera inteligencya miejscowa. Gdzie są dziedzice na folwarkach, lub dzierżawcy, gorliwsi, tam i lud garnie się ochoczo; gdzie oziębli i niedbali, tam daremnie ze strony samych włościan szukać poparcia. Na czele każdego Kółka jest prezes albo patron, który niém kieruje. Pomiędzy prezesami znajdujemy i samychże włościan, którzy czuwają nad ich rozwojem, zagajają posiedzenia i prowadzą dyskusye całego zgromadzenia.

Z początku szło oporem wykazywanie potrzeby dobréj uprawy gleby, i zasilania odpowiednim nawozem roli; ale gdy się z pojedyńczych przykładów przekonano o bujnym plonie, a tém samém i korzyściach, włościanie rzucili się do sztucznych nawozów i sprowadzają niemałą ilość superfosfatu [1]), widząc że ziarna zbierają z jednéj morgi więcéj trzy szefle, ci, co nim zasilili swoje zagony.

---

[1]) W r. 1878 sprowadzili włościanie superfosfatu centnarów 6025.

Łączą się z Kółkami wystawy płodów rolniczych po powiatach, błogo oddziaływając na ludność wiejską, zagrzewaniem do uprawy staranniejszéj nietylko zbóż kłosowych, ale warzyw i roślin pastewnych. Niemały wpływ wywierają odwiedziny gospodarstw wzorowych, w których włościanin na gruncie bierze przekonanie o korzyściach, jakie odniesie biorąc się sam do dobrego ich naśladownictwa.

Że się włościanie za przewodem Kółek garną umiejętnie do podniesienia swych małych gospodarstw, pocieszające się w tym kierunku dążenia, już okazały i objawy. Na wystawach włościańskich urządzonych przez Towarzystwa Rolnicze niemieckie, którym rząd zapomogi daje, polscy chłopi z Kórnika i Żnina najpierwsze otrzymali nagrody. Kółka rolnicze podają sposobność do wydobycia ukrytych zdolności, one wyrabiają ludzi do samodzielnéj pracy. Już jest z włościan kilku prezesów, sekretarzy Kółek, a nawet prelegentów; żałować potrzeba, że p. patron w sprawozdaniu swojém na walném zebraniu delegatów Kółek rolniczo-włościańskich, pomieszczoném na czele tomu V *Rocznika*, imiennie ich nie podał do powszechnéj wiadomości. Takie zjawiska należy podnosić usilnie, a jednostkom pojawiającym oddać hołd powinny. Pomyślano także o zaprowadzeniu rachunków gospodarczych, starając się wpoić przekonanie, że skrupulatnie utrzymywane regestra są nieodzownym warunkiem rolniczego postępu.

Chociaż lud się garnie do pomienionych Kółek, nie wszędzie doznaje poparcia i zachęty od właścicieli ziemskich, którzy przyjęli na siebie obowiązek przewodniczenia w takowych. Jakoś zatracili pamięć że to obywatelskie najpiękniejsze zadanie, że to apostolstwo, w rozszerzaniu wiedzy i oświaty pomiędzy ludem wiejskim: wpajanie w nich zdrowych zasad społecznych, w rozwoju cywilizacyjnym, że to sposób najskuteczniejszy uchronienia warstwy najliczniejszéj ludności, od zgubnych podszeptów, dążących do przewrotu ustroju społecznego. Nie wszędzie lud tak jest szczęśliwy, że we własném gronie znaleźć może gospodarza, mogącego pełnić obowiązki prezesa: jak ma to miejsce w Opokach. Potrafił on zamiłowanie do uczęszczania na zebrania utrwalić, i chociaż w okolicy brak większych właścicieli ziemskich, to członkowie z pod słomianéj strzechy czują się szczęśliwi, gdy na zebrania się schodzą, bo „choć mało nauki, to zawsze coś wejdzie w głowę i w niéj zostanie.“ Tak się wyrażają wiejscy członkowie niepiśmienni nawet.

P. M. Jackowski na walném zebraniu Centralnego Towarzystwa Rolniczego, złożył szczegółowe sprawozdanie o „stanie Kółek rolniczo-włościańskich.“ Sam biorąc w nich przeważny udział, i energicznie je podtrzymując, przekonany o potrzebie ich rozwoju, a wielkiego pożytku dla rolniczego ludu, maluje nam w tém sprawozdaniu, stan Kółek włościańskich i strony ujemne, wykazując otwarcie prawdę, że nierozrastają się jak zamierzano pierwotnie, i jak usiłowano następnie.

„Bez względu (mówi p. Jackowski) jakie owoce dotąd Kółka wydały, zapał stygnąć, wytrwałość słabnąć i rwać się zaczyna. Już w ro-

ku zeszłym skargę mą na obojętność obywateli zaniesioną przed Walne Zebranie, zakończyłem słowy: „Daj Boże! abym w roku przyszłym tę pocieszającą mógł przynieść wiadomość, że udział w Kółkach stał się ogólnym." Rok minął! a ja téj wiadomości nie przynoszę: obojętność rozbiła nasze oczekiwanie. Weźcie panowie *Rocznik* do ręki, a dowiecie się jak skargi i narzekania na brak udziału sfer światlejszych i możniejszych, ciągną się jedném pasmem przez wszystkie niemal sprawozdania. Na 120 Kółek, dziesięć tylko wspierają obywatele, resztę sami prezesi prowadzą, niektórzy nawet dwóm Kółkom przewodniczą. Dziwić się nie można jeśli opadają ludziom ręce gdy pomyślą, że cały trud nie przyniesie owocu, gdy nie będzie ich komu zastąpić. Bo i na kogoż liczyć mają, jeżeli inicyatorowie, sami w krótkim usuwają się przeciągu czasu. Jeśli wódz nie stanie na czele swéj chorągwi, to i szeregowcom dziwić się nie można, gdy pójdą w rozsypkę." Lekceważenie to dla sprawy ogólnego dobra srodze dotyka szanownego sprawozdawcę, i już nie w ogólnikach, ale szczegółowo palcem wytyka powiat Odolanowski, w którym jest pięć Kółek, do których: „ani jeden obywatel nienależy." W innych powiatach chociaż nie w tym stopniu, wszędzie jednak, brak poparcia czuć się daje. Widzimy z boleścią że obojętność obywateli ziemian większych własności, zgubnie na tak piękną instytucyę podniesienia rolnictwa i oświaty pomiędzy ludem oddziaływa. Postępowanie panów ziemian zasługuje na najsurowsze skarcenie, przed trybunałem opinii publicznéj, bo to jest przeniewierstwo dla najważniejszych obowiązków obywatelskich. Lud sam więcéj poczuwa się do tych obowiązków, i gdzie prezesami są włościanie, obojętności żadnéj niéma, gorliwość w pracy wzrasta, i byt tych Kółek zapewniony.

W zakończeniu swego sprawozdania p. Jackowski wyraża:

„ Upadek kołek byłby dla nas ciężką klęską: arterye organizmu naszego rolniczego podcięteby zostały. Uniknąć możemy jéj tylko, jeśli opinia publiczna postawi *Kółka rolnicze*, w pierwszym rzędzie instytucyi społecznych, jeśli będzie czuwać nad ich powodzeniem, jeżeli ogółom ziemian za obowiązek obywatelski położy należenie do *Kółek* i pracowania w nich."

Wdzięczni jesteśmy szanownemu sprawozdawcy za szczery i oparty na doświadczeniu obraz stanu *Kółek rolniczo-włościańskich*. Z jednéj strony przekonani o ich ważności, może znajdą poparcie i u nas, coby wpływ niemały wywarło na podniesienie dobrobytu włościańskiego, z drugiéj znajdujemy jakoby przestrogi, unikania obojętności w tak godnéj poparcia sprawie, która przez to, nietylko że postępować nie może, ale chwieje się w swojém rozwinięciu i zagraża upadkiem

W dalszym ciągu Rocznika mamy sprawozdań 120, o każdém Kółku, nadesłanych przez ich prezesów. Z nich odbija, w jednych większa działalność, w innych ospałość w działaniu, i brak energii. Smutne

te objawy—coraz gęściéj przewijają się w kółkach, gdzie niedokładają ręki ziemianie szlachta, właściciele większych posiadłości. *W.*

Sprawozdanie z czynności Zakładu Narodowego Imienia Ossolińskich za rok 1878. We Lwowie, w Drukarni Zakładu narodowego Im. Ossolińskich 1878. r. (w 8-ce str. 70).

Wedle dobrego zwyczaju, zarząd tego Zakładu narodowego, na publiczném posiedzeniu zdaje rok rocznie sprawozdanie z czynności jego w ciągu upłynionego czasu, i takowe drukiem ogłasza, które szerszemu kołu czytelników podaje wiadomość o działalności, tak ważnéj dla nas instytucyi naukowéj.

W d. 12 października 1878 r. odbyło się we Lwowie publiczne posiedzenie, które zagaił kurator literacki Kazimierz hr. Krasicki, a następnie odczytano szczegółowe sprawozdanie. Z niego widzimy, że gorliwość obywateli galicyjskich w pomnażaniu zbiorów pomienionego Zakładu nie ustaje; że liczba użytkujących z bogactw jego duchowych co rok się pomnaża, szerząc światło i wiedzę: że literaci znajdują niemałą pomoc w korzystaniu z ksiąg i rękopismów, do których mają wstęp otwarty: że wostatku majątek Zakładu, hojną ręką założyciela na utrzymanie i rozwój jego pozostawiony, sumiennie strzeżony, nietylko na żaden uszczerbek narażonym nie został, ale się powiększa dobrą administracyą i troskliwą oszczędnością.

Spis darów, który większą połowę wydanego sprawozdania zajmuje, wyszczególnia wzbogacenie biblioteki w księgach i rękopismach, zbiory zaś, w monety i medale, obrazy i ryciny, oraz muzeum w pamiątki i zabytki narodowe. Po odczytaniu *sprawozdania*, dyrektor Zakładu dr. Wojciech Kętrzyński mówił o Zbigniewie Ossolińskim wojewodzie sandomirskim, którego *pamiętnik* z rękopismu równocześnie drukował. W przedmowie wydawca objaśnia, że Zakład narodowy ogłaszając zabytki piśmiennicze, które Ossolińscy po sobie zostawili, Zakład noszący ich imie, spełnia akt wdzięczności względem swego fundatora. W roku zeszłym Zakład wydał Autobiografię Jerzego Ossolińskiego. Czy znajdzie się więcéj zabytków godnych druku po téj zasłużonéj rodzinie, nie wiemy: dr. W. Kętrzyński, w zwięzłéj biografii Zbigniewa przedstawia nam go w dokładnych zarysach jako obywatela kraju, uzupełniając dołączony do sprawozdania jego *pamiętnik*.

Obie te publikacye chociaż w drobnych rozmiarach, są przyczynkiem pożądanym: *sprawozdanie* do dziejów działalności i rozwoju samego *Zakładu*, *pamiętnik* zaś dorzuci nie jeden szczegół do dziejów z końca XVI stulecia. *R.*

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE,

NAUKOWE, LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

WARSZAWA.

Czerwiec 1879 r.— Wystawa na rzecz rodziny ś. p. Tegazza, w miesiącach maju i czerwcu r. b. otwartą została w pałacu Brühlowskim w Warszawie. Ś. p. Tegazzo, artysta sumienny i pracowity, zakończył żywot w sile męzkiego wieku, pozostawiwszy wdowę i drobne sieroty, bez żadnego zasobu. Towarzysze jego w sztuce, przez ten sposób pragnęli mu choć po zgonie wyjawić swoję miłość braterską i współczucie. Zgromadzili przeto na pomienioną wystawę celniejsze dzieła malarstwa ostatniéj doby, nie pomijając i dawniejszych z okresu Smuglewicza i Bacciarellego. Znalazły się przeto drogocenne zabytki krajowéj sztuki, będące ozdobą prywatnych zbiorów. Tak widzieliśmy rzadkie prace olejne i ołówkowe Aleksandra Orłowskiego, oraz już z naszego okresu: Breslauera, Antoniego Brodowskiego, Leonarda Straszyńskiego i wielu innych. Współtowarzysze zmarłego na korzyść wdowy i sierot po zmarłym artyście, ofiarowali nadto utwory swego pędzla, które miały być przez licytacyą sprzedane. Licytacya ta odbyła się w miejscu wystawy i przyniosła ogólną sumę około 4,000 rubli wraz z dochodem z wejścia. Tak cel szlachetny szczęśliwie osiągniętym został, rodzina pozostała otrzymała pokaźny zasiłek, a wdzięczność należy się tym, którzy się tą zacną sprawą gorąco i gorliwie zajęli.

— Nakładem Spółki wydawniczéj księgarzy w Warszawie wyszła z ciągu powieści historycznych VIII, J. I. Kraszewskiego: *Stach z Konar*, w IV tomach, z czasów Kazimierza Sprawiedliwego.

— Ukazał się tom X wydania jubileuszowego J. I. Kraszewskiego wyboru pism, obejmujący pierwszą część powieści *Sfinks*. Braknie już tylko pięciu tomów do ukończenia całości, które wedle zapowiedzi wydawcy, ma obejmować tomów XV i wyjść przed dniem jubileuszu, t. j. przed 30 września r. b.

— Na polu badań etnograficznych, od lat kilkunastu stoi samotny badacz i muzyk Oskar Kolberg, od roku do roku przypominający się coraz nowemi w téj gałęzi pracami. Z młodszéj generacyi pomocników w tym kierunku nie widzimy, dlatego nie z tajoną pociechą zapisujemy tu nowego współpracownika w osobie p. Władysława Dębskiego, ziemianina z okolic Mławy, który przeświadczony o znaczeniu naukowém badań etnograficznych, przygotował do druku zbiór pieśni ludu dawnéj ziemi Zawskrzeńskiéj, z najbliższych okolic miast: Mławy i Szreńska, odwiecznych siedzib Mazowszan.

Zbliżony do ludu rolniczego, wtajemniczony w jego zwyczaj i obyczaj, zajął się spisaniem jego pieśni i potrafił zgromadzić około stu pieśni dotąd śpiewanych. Okolice te, blizke granic Prus, przez naśladownictwo niedalekich sąsiadów, ulegając ich wpływowi, coraz więcéj tracą wybitne cechy swoje w obyczaju i zwyczajach. Po uwłaszczeniu go ziemią, jakby się wstydził dawnego chłopskiego ubrania, granatowe swoje sukmany zamienia na szlacheckie, jak je nazywa *paltosy;* kaftany zaś niemieckie zastępują u kobiét rodzinne dawne kabaty i tołuby. Przeobrażenie szybko następuje, ten tylko u nich do zamożniejszych się liczy, kto w nowym stroju wystąpić może.

„Tyś biédny, mówią tu do włościanina siermięgowego, to noś sobie sukmanę; ja mogę wdziać surdut i szlachecki paltos."

Są, chociaż w mniejszéj liczbie, zwolennicy dawnego obyczaju i ubrania; to téż, gdy przed kościołem w niedziele i święta zgromadzą się liczniéj i wtedy ukazują się ochotnie przestrojeni po szlachecku, żartując sobie z nich mówią: „Wej! wej! patrzajcie go, wypaltosił się bestya, gdyby pon!"

Autor podzielił swój zbiorek na dwie części. Pierwszą stanowią zebrane w okolicach Mławy, stolicy dawnéj ziemi Zawskrzeńskiéj; drugą z okolic Szreńska. Różnią się od siebie głównie melodyą, która w okolicach Mławy bywa bardziéj rzewna, w okolicach zaś Szreńska więcéj skoczna i ochocza. Życzyćby należało, ażeby szanowny autor uzupełnił tę pracę opisem obchodów i obrzędów wioskowych, których brak właśnie, jakkolwiek pieśni weselne przywodzi, a zarazem sposobu zabudowań gospodarczych, ich urządzeń wewnętrznych i dochowanego stylu architektonicznego, w chatach, stodołach, oborach i t. p. budowlach; dołączył podania i powieści, bez których świat wioskowy nigdy się nie obchodzi, oraz opisał naczynia i sprzęty, jakich używa do użytku domowego i w gospodarstwie rolném. Wszystko to są dla etnografii pożądane szczegóły.

Wzór do tego ma już gotowy w wydanych pracach O. Kolberga. Lubo w pomienionym zbiorze wiele jest znanych i już spisanych, znajdujemy obok tego zupełnie nowe i w żadnym zbiorze pieśni ludowych nie pomieszczone. Z téj wiązki pieśni przytoczymy jednę rzewną: *Pieśń sieroty.*

Przy dworeczku, przy płoteczku
Malowany słup;
Tam drożyna idzie bokiem,
Śpieszy dziewczę szybkim krokiem,
Na swéj matki grób.

Matko! leżysz i nic nie wiesz:
Ojciec nie jest sam;
Gdybyś wstała z grobu swego,
Ujrzałabyś coś nowego:
Ja macochę mam.

Druga matka łaje, bije,
Tylko z ojcem dobrze żyje,
Bóg najlepiéj wié.
Mnie na świecie biéda gniecie:
Zabierz, matko, mnie!

Z każdą wiosną, kwiatki rosną,
Barwią matki grób;
Dobrze tobie, matko, w grobie:
Zrób mi miejsce tu, przy sobie:
Zrób mi, matko! zrób!

— Dnia 10 czerwca r. b. odkryto grobowiec ś. p. dr. Polikarpa Girsztowta w kościele Ś-go Krzyża w Warszawie, który padł pod nożem mordercy.

Pomnik ten wykonany z piaskowca przez artystę rzeźbiarza Kazimierza Ostrowskiego, ma wysokości stóp 14, szeroki u podstawy stóp ośm. Wypukłorzeźba przedstawia naturalnéj wielkości postać *Hygeę* opartéj o *columbarium*, w którém mieści się popiersie zmarłego; pod nim umieszczono te wymowne słowa:

„*Przyjacielowi uczącéj się młodzieży.*"

Poniżéj napis: „Polikarpowi Girsztowtowi Doktorowi Medycyny, Profesorowi Chirurgi w b. Medycznéj Akademii w b. Szkole Głównéj i w Uniwersytecie Warszawskim, Założycielowi i Redaktorowi *Gazety Lekarskiéj*, którego serce tu spoczywa, Lekarze i Aptekarze w dowód czci tę pamiątkę kładą.

Urodził się na Żmujdzi dnia 15 Lutego 1827 r. we wsi Hrynkiszki w pow. Rosieńskim. Zmarł w Warszawie 12 Listopada 1877 r. ugodzony mordercy ręką."

— Adam Asnyk piszący pod pseudonymem El...y'ego, jeden z pierwszych naszych żyjących poetów po Kornelu Ujejskim, rzadko się odzywa, każdy przecież jego utwór odznacza się świeżością myśli, formą artystyczną i prawdziwie poetyczném natchnieniem. Dziennik *Echo* podał nam nowy jego wiersz p. n. *Baśń Tęczowa*, który w całości podajemy.

Od kolebki biegła za mną
Czarodziejska baśń tęczowa,
I szeptała wciąż do ucha
Melodyjne zaklęć słowa.
Urodzona nad wieczorem
Z cichych gawęd mych piastunek,
Spała ze mną, na mych ustach
Kładąc we śnie pocałunek.
I budziła się wraz ze mną,
I wraz ze mną ciągle rosła,
I z kołyski na swych skrzydłach
W jakiś dziwny świat mnie niosła...

Po nad morza purpurowe,
Po nad srebrne niesła rzeki;
Po zwodzonym moście tęczy
W cudowności świat daleki...
Otworzyła mi zaklęciem
Brylantowy w skałach parów—
I wkroczyła raz na zawsze
W kraj olbrzymów, widm i czarów;
I zamknęły za mną wrota
Jakieś wróżki czy boginie,
Więc na całą życia koléj
Szedłem błądzić w tej krainie.
W tej krainie, w któréj wszystko
Ożywioną bierze postać,
W której każdy głaz ma duszę
I człowiekiem pragnie zostać...
Złotolistnym szedłem gajem,
Gdzie się wszystko skrzy i złoci;
Gdzie zakwita skryty w cieniu
Tajemniczy kwiat paproci;
Szedłem gajem, gdzie dokoła
Śpiewające szumią drzewa,
Gdzie młodości wiecznéj źródło
Czyste wody swe rozlewa;
I witały mnie po drodze
Rozmarzone oczy kwiatów,
Co patrzyły tak wymownie
W niezmierzoną przestrzeń światów,
I witały ludzkim głosem
Różnobarwnych ptasząt chóry,
Ukazując dalszą drogę
Nad przepaści brzeg ponury.
Ja słuchałem śpiewnej wróżby,
I z ożywczej piłem fali,
I w głąb dzikszéj coraz puszczy
Niestrwożony szedłem dalej.
Próżno groźne widma straszą,
Próżno kłęby gadzin syczą,
Biegłem naprzód zapatrzony
W jakąś jasność tajemniczą;
I przebyłem czarne puszcze,
I spienionych wód odmęty,
I stanąłem u stóp góry
Prostopadle na dół ściętej.
Na jéj szczycie błyszczał zamek,
Kryształowy gmach olbrzyma,

Co zaklęciem w swojéj mocy
Najpiękniejszą z dziewic trzyma.
Przed zamczyskiem stoją smoki,
I te paszczą swą czerwoną
Ogień złoty i różowy
Pod obłoki w górę zioną;
Swe spiżowe jeżąc łuski
Bronią skarbu zaklętego,
Najpiękniejszéj z wszystkich dziewic
W kryształowym zamku strzegą.
Jednak mimo czujnéj straży
Jam ją ujrzał na skał szczycie,
I odgadłem, żem tu przybył,
Aby dla niej oddać życie.
Miała gwiazdę na swém czole,
Pod nogami sierp księżyca;
Błękit niebios w swoich oczach,
I aniołów cudne lica;
I odrazu swém spojrzeniem
Zaszczepiła miłość w duszę—
I poznałem, że koniecznie
Do niej w górę dążyć muszę.
Więc po nagiéj, gładkiej ścianie,
Zapatrzony tylko na nią,
Na powojów wiotkich splotach
Zawisnąłem nad otchłanią.
Coraz wyżéj pnąc się hardo,
Już widziałem ją przy sobie...
I w zachwycie do królewny
Wyciągnąłem ręce obie.
Miałem schwycić ją w objęcia...
Gdy powojów pękły sploty—
I upadłem w głąb otchłani,
Gdzie z ran ginę i tęsknoty.
Lecz choć z serca krew upływa,
Choć w przepaści ciemnéj leżę,
Jeszcze wołam: „Za nią! za nią!
„Idźcie gonić, o, rycerze!
„Idźcie piąć się w górę, w górę!
Po nad ciemnych skał krawędzie;
Może przyjdzie kto szczęśliwy,
Co ją weźmie i posiędzie.
„Choć nie dojdzie—chociaż padnie,
Przecież życia nie roztrwoni,
Bo najlepsza cząstka życia
W takiéj walce i pogoni.

„Warto choćby widzieć zdala
Ów zaklęty gmach z kryształu,
Warto płacąc krwią i bolem
Wejść w krainę ideału.
„Gdyby przyszło mi na nowo
Od początku zacząć życie,
Biegłbym jeszcze po raz drugi,
Za tą piękną na błękicie!"

— *Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych*, w zastosowaniu się do ustawy Towarzystwa, na posiedzeniach swych z dnia 21 kwietnia (3 maja) i 26 maja (7 czerwca) r. b. odbytych, postanowił ogłosić i niniejszém ogłasza następujące konkursy: malarski, architektoniczny i dwa rzeźbiarskie, z których jeden z nagrodą z funduszu pochodzącego z zapisu ś. p. hr. Stanisława Szczęsnego Kossakowskiego:

Temata: *a*) na konkurs malarski: Obraz olejny, przedstawiający znalezienie soli przez św. Kunegundę, wykończony według wymagań sztuki; wysokość figury pierwszoplanowéj wynosić ma 18 cali. Obraz zostaje własnością autora.

b) Na konkurs architektoniczny: Szkic do projektu budowy gmachu w rodzaju Atheneum, składającego się z pomieszczenia dla Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, Muzeum przemysłowego i Towarzystwa muzycznego.

Budowa zaprojektowaną być ma w granicach placu prostokątnego 100—120 łokci obszernego, ze wszystkich stron otwartego. Główny front, wschodni, długi 100 łokci, przylega do ulicy szerokiéj 60 łokci, prawy front północny 120 łokci długi, do ulicy szerokiéj 50 łokci, lewy front 120 łokci długi, południowy, wychodzi na obszerny skwer, tylny zaś, zachodni, 100 łokci długi na aleję starych dużych drzew, 25 łokci szeroką.

Budowla powinna mieć charakter gmachu publicznego i może być jedno lub dwupiętrowa w całości lub części.

Żądane są pomieszczenia główne następujące: 1) dla Towarzystwa Sztuk Pięknych:

Vestibul z kontramarkarnią, schody główne, sala wystawy rzeźb lub wielkich obrazów, około 1,200 łokci kwadratowych obszerna, pomieszczona na parterze z oświetleniem górném, kilka mniejszych sal na rzeźbę i architekturę, kilka sal v. galeryi malarstwa, razem około 2,000 łokci kwadratowych, sala rysunkowa, pomieszczenie dla komitetu, kancelaryi, biblioteki i mieszkania kustosza.

2) Dla Muzeum przemysłego:

Vestibul z kontramarkarnią, schody główne, kilka sal na Muzeum, razem około 2,500 łokci kwadratowych mających, sala odczytów publicznych około 1,000 łokci kwadratowych, kancelarya, biblioteka i mieszkanie kustosza.

3) Dla Towarzystwa muzycznego:

Obszerny vestibul z odpowiednią kontramarkarnią, schody główne, sala koncertów publicznych około 2,000 łokci kwadratowych obszerna z odpowiedniemi galeryami, kilka salonów do zebrań codziennych, podręczny, kancelarya, lokal komitetu, biblioteka i mieszkanie sekretarza.

Oprócz tego na parterze żądany jest lokal na pierwszorzędną café-restaurant z ułatwioną komunikacyą z trzema wymienionemi działami gmachu.

Suteryny pomieszczą przynależytości zakładu restauracyjnego, mieszkanie woźnych i stróżów, składy opału i inne t. p.

Wybór stylu, materyałów budowlanych, rodzaju konstrukcyi, systemów ogrzania, odpowiednie rozmieszczenie, względnie do danéj miejscowości lokalności wymienionych, jako też rozwinięcie programu co do szczegółów (oprócz części wskazanych) mianowicie komunikacyi schodów podrzędnych, miejsc ustępowych, dziedzińca, bram przejazdowych, podjazdów i t. p., pozostawia się projektującym.

Szkic ma być sporządzony na skalę 7 łokci w calu i obejmować plany wszystkich piętr, najmniéj dwie elewacye i dwa przecięcia.

Główna jednak elewacya i główne przecięcia winny być wykonane na skalę $3\frac{1}{2}$ łokcia w calu.

Wykończenie mniejsze lub większe od szkicu ołówkowego do akwareli, pozostawia się woli konkurujących.

c) Na konkursa rzeźbiarskie: 1) Statuetka w gipsie, przedstawiająca Wita Stwosza, wysokość figury cali 24. 2) Statuetka w gipsie, przedstawiająca Chrystusa zmartwychwstałego, wysokość figury cali 24.

Nagrody: autorowie prac konkursowych uznanych przez komitet Towarzystwa za najlepsze z liczby przyjętych do konkursu, jako odpowiadających podanym warunkom, otrzymują następujące nagrody: 1) za obraz olejny rs. dwieście, 2) za projekt architektoniczny rs. trzysta, 3) za rzeźbę na temat pierwszy rs. dwieście, 4) za rzeźbę na temat drugi rs. dwieście dwadzieścia siedm.

Termin złożenia prac konkursowych na powyższe temata wyznaczony zostaje na dzień 19 (31) grudnia r. b.

Ocena prac konkursowych i wydanie nagród, niezwłocznie potém dopełnione będą.

Koszta przesyłki i zwrotu dzieł konkursowych należą do autorów.

Dzieła konkursowe zostawać mają na wystawie Towarzystwa w ciągu dwóch tygodni, nieodebrane zaś z wystawy w ciągu sześciu miesięcy przechodzą na własność Towarzystwa.

Autorowie dzieł nagrodzonych obowiązani są złożyć do zbiorów Towarzystwa fotograficzne kopie takowych.

Do dzieła konkursowego dołączoną być winna opieczętowana koperta z nazwiskiem, imieniem i dokładnym adresem autora. Koperta tym samym znakiem co dzieło konkursowe ma być opatrzoną.

Pokwitowanie z odbioru dzieł konkursowych udziela kustosz wystawy Towarzystwa.

W zastępstwie vice-prezesa Towarzystwa *F. Sobański.*

P. o. sekretarza komitetu *Ign. Kosmowski.*

— Jeden z pierwszych artystów naszych, odwiedzając kolegę swego po piórze, przy rozpatrywaniu się różnym zabytkom archeologicznym w mieszkaniu tego ostatniego, dostrzegł i rozpoznał obraz bardzo dawny, olejny, dwu wiekowéj przeszłości, który nieodgadniony dotąd przez posiadających go, przedstawia popiersie *Stanisława Żółkiewskiego*, hetmana wielkiego koronnego, poległego, jak wiadomo, pod Cecorą dnia 6 października 1620 roku. Ówczesny nieznany dotąd malarz, biegłym pędzlem wyobraża hetmana w sile męzkiego wieku, okrytego delią hetmańską, spiętą klamrą ozdobną. Wszystkie zaś cechy téj pamiątki przez znakomitego artystę dopatrzone, dowodzą przekonywająco, że obraz ten był z natury zdjęty, że przez to jest wielce szanownym zabytkiem, przedstawiającym w naturalnéj wielkości oblicze bohatéra polskiego.

Taką wiadomość podaje nam Aleksander Wejnert pracowity badacz starożytności Warszawy. Po bliższém wyszukaniu dawniejszych posiadaczy tego wizerunku, biegłym pędzlem oddającego oblicze wielkiego hetmana, bliższe szczegóły téj pamiątki cennéj podamy,

— *Pielgrzymka do Ziemi swiętéj* Mikołaja Krzysztofa Radziwiłła, w pierwotnym oryginale po polsku napisana, wyszła w przekładzie rossyjskim p. t.: *Pochożdenije w Zemlu Swiatuju Kniazia Radziwilla, w 1578 i 1584 godach.* Praca ta ma stanowić dodatek do XV tomu Roczników Towarzystwa geograficznego w Petersburgu.

— W pismach naszych codziennych czytamy ważny i zajmujący artykuł księcia Michała Ogińskiego, w którym wymownie a przekonywająco, staje w obronie rasy koni żmujdzkich, i zachęca do hodowania jéj w czystéj krwi, jako godnéj téj troskliwości. Sam jako obywatel żmujdzki i hodowca rasy żmujdzkiéj, najlepiéj zna jéj zalety i wartość.

— W Moskwie wychodzi staraniem pp. Ławrowa i Fedotowa przekład dzieł poetycznych Wład. Syrokomli. Z tego zbiorowego wydawnictwa wyboru poezyi litewskiego lirnika ukazał się tom pierwszy. PP. wydawcy w przedmowie wyrażają swe przekonania: „że poznanie i zrozumienie poezyi narodu, z którym zbliżenie się jest pożądane, ma bardzo ważne znaczenie.” Mamy w udatnym przekładzie *Dęboroga*, *Janka Cmentarnika*, i *Starostę Kopanickiego.* Opowiadanie o *Filipie z konopi*, i wybór drobniejszych poezyi. W następnych tomach ukazać się mają *Margier* i inne. Całość ma dać dokładnie poznać talent naszego poety. Tłómaczyli te utwory Syrokomli pp. Minajew, Palmina, Piotrowski, Meja i Wajnberg.

— Dr. Aleksander Brüchner docent gramatyki porównawczéj języków słowiańskich na uniwersytecie Lwowskim, otrzymał na konkursie z funduszu księcia Jabłonowskiego w Lipsku nagrodę 700 marek, wyznaczoną na rok 1878 za rozprawę na temat: *Zestawienie dających*

się dokładnie udowodnić słowiańskich nazw miejscowości w dzisiejszém cesarstwie Niemieckiém.

— Dnia 11 czerwca r. b. w Krakowie odbyła się uroczystość konsekracyi ks. Albina Dunajewskiego na biskupa. Starożytna Jagiellonów stolica, już od wielu lat nie była świadkiem tak wspaniałego obchodu, który nabrał tém większéj powagi, że asystował mu nuncyusz papiezki. Po ceremonii religijnéj w kościele Panny Maryi, nuncyusz udzielił ludowi z polecenia papiezkiego, otrzymanego drogą teelegraficzną, błogosławieństwo apostolskie. O godzinie jedenastéj z rana wyruszyła procesya instalacyjna z kościoła Panny Maryi do katedry na Wawel, gdzie nowokonsekrowany biskup w infule z pastorałem, błogosławiąc obecnym, przybył w progi katedry i zasiadł na tronie swoim biskupim.

Wieczorem miasto zapłonęło świetną illuminacyą. Stary gród wrzał niezwykłém życiem. Nazajutrz pierwszą Mszę ks. biskup odprawił w kościele PP. Wizytek, gdzie przez lat kilkanaście sprawował obowiązki kapelana.

— *Czy potrzebny nowy teatr w Krakowie?* Pod takim napisem wyszła wielce zajmująca broszura w Krakowie (1879 r., w 8-ce, str. 114). Złożyli się na nią dwóch pisarzy: Wł. L. Anczyc znany autor dramatyczny i zdolny pisarz, oraz Walery Rzewuski obywatel i radny miasta Krakowa, z powodu, że dyskusya żywa w pomienionéj radzie powstała, co „budować wprzódy: teatr czy wodociągi?“ a to ze względu na stan majątkowy starego grodu. Jeżeli Anczyc wymownie przedstawia znaczenie, wpływ i cel teatru na społeczeństwo, biorąc za godło piękny czworowiersz J. N. Kamińskiego twórcy teatru we Lwowie, i strażnika pilnego sceny polskiéj w Galicyi:

„Wiek swój pokrzywdza zdaniem zardzewiałém,
Kto czczéj zabawy szuka tu powodu;
Silniéj niż dusza rozmawia się z ciałem,
Rozmawia scena ze sercem narodu.“

zamyka piękną swą rozprawę przerażającemi okazami pożarów różnych teatrów w Europie i Ameryce, a zarazem klęsk i śmierci, których się stały powodem. Teatr krakowski z powodu swéj budowy zacieśnionéj i bogaty w materyał palny, mógłby się stać powodem pożogi miasta i zgonu wielu obywateli.

P. W. Rzewuski, ze stanowiska tylko ekonomicznego wychodząc, zaleca budowę teatru przed wodociągami, i popiera swój wniosek silnemi dowodami, nie tak łatwemi do zbicia, lub usunięcia. Każdy czytelnik bezwątpienia wezwany o danie głosu w téj sprawie, najchętniéj przechyli się do wniosków radzcy Rzewuskiego: tak są bowiem jasno i gruntownie postawione, że niepodobna z tegoż stanowiska innego sądu wydać. Życzyć należy, ażeby sprawa ta jak najrychléj rozstrzygniętą została, czego się spodziewać można przy energicznym zarządzie dr. Zyblikiewicza, jako prezydenta miasta Krakowa.

— Z drzeworytni czasopisma wiedeńskiego Heimath, odznaczającemi się ślicznie wykonywanemi rycinami, wyszedł nakładem znanéj firmy artystycznéj Józefa Bermann'a, piękny portret zasłużonego księgarza lwowskiego Karola Wilda. Naczelnik domu od lat stu istniejącego we Lwowie, Karol Wild, za świadectwem Estrejchera, „pierwszy płacił po 4,000 złp. za tom niewielki dzieł naukowych, co nie było dotąd praktykowane, z wyjątkiem nakładu na dzieła Mickiewicza i Wincentego Pola; nie szczędził nakładu za prace pożyteczne dla kraju, jak Szajnochy, Ujejskiego, Szujskiego, Tatomira" i t. p.

— W Gdańsku, w kaplicy zwanéj *królewską*, odkryty został portret *Jana Sobieskiego*, malowany w r. 1677, w czasie pobytu monarchy w tém mieście, przez słynnego naówczas malarza Adolfa Schutze. Portret dochowany dobrze. Głowa króla pięknie modelowana, technika wyborna, a co najważniejsza, że portret ten niewątpliwie, najwierniejsze przedstawia podobieństwo króla bohatéra.

— *Dziennik ludowy pomorzański*, jeszcze w r. 1846 wydrukował wiadomość o wspaniałym pojeździe króla Jana Sobieskiego; obecnie dzienniki niemieckie powtarzają takową:

„Kiedy król polski, Jan Sobieski, wyswobodził Wiedeń w dniu 12 września 1683 r. od Turków, oblegających to miasto, odbył swój wjazd tryumfalny w drogocennéj karocy. Na prośbę pewnego kościoła czeskiego ofiarowano mu ją na własność.

Podczas siedmioletniéj wojny, pruski generał v. Kleist, wóz tryumfalny króla Jana III uwiózł z Czech razem z innemi zdobyczami wojennemi i przechował go w swojéj lennéj majętności Raddacz, w pobliżu Nowego Szczecina (Neustettin).

Czescy mnisi zwrócili się do Fryderyka Wielkiego z prośbą, o zwrot kosztownéj pamiątki, co im téż przyrzeczoném zostało.

v. Kleist, dowiedziawszy się o takiém postanowieniu króla, wpadł na wykrętny pomysł zatrzymania swojéj zdobyczy; rozkazał tedy karocę przepiłować na pół: dolną część w miejscowym kościele umieścić jako ambonę, górną zaś jako baldachim nad nią i w ten sposób powstała oryginalna pamiątkowa ambona. Dowiedziawszy się Fryderyk o tak szlachetném zużytkowaniu powozu, zwycięzcy pod Wiedniem, rozkazał pozostawić go w tém miejscu, gdzie się dotychczas jeszcze znajduje."

— Król włoski Humbert, J. I. Kraszewskiego mianował wielkim oficerem orderu Korony włoskiéj i nadał mu gwiazdy tego orderu. Z polecenia tego monarchy, kanclerz orderów włoskich Correnti, przesłał zarazem list następujący do naszego pisarza:

Rzym, 31 maja 1879 r.

Dostojny panie!

„Król Jegomość, wielki mistrz przesławnego Zakonu korony włoskiéj, do którego już należysz, szanowny Panie, jako komandor,

chciał dać Wam świetniejsze jeszcze świadectwo swéj przychylności, mianując Was wielkim oficerem tegoż orderu.

„Mam zaszczyt przesłać JWPanu, wraz z dyplomem Waszéj nominacyi, godła nowego stopnia, na jaki wyniesiony zostałeś i załączam najszczersze moje powinszowanie nowego dowodu troskliwości, z jaką JKMość śledzi rozwój licznych prac Waszych, które imieniu Waszemu zdobyły tak zaszczytne stanowisko w dziejach tegoczesnego piśmiennictwa."

Najżyczliwszy
Cezary Correnti.

— Serbski tygodnik *Vienac*, wychodzący w Zagrzebiu, zamieścił piękny portret Matejki, z krótkim, lecz trafnie skreślonym artykułem objaśniającym. W *Svietozorze* prazkim zamieszczono artystycznie wykonany portret J. I. Kraszewskiego z sumiennem ocenieniem zawodu pisarskiego, znakomitego autora *Sfinksa*. Obecnie *Humoristické Listy*, tygodnik polityczno-humorystyczny, wychodzący w Pradze, dał bardzo podobny portret Henryka Siemiradzkiego w dużym formacie. W artykuliku do tego portretu między innemi powiedziano: „Polacy mają szczęście; nietylko we wszystkich zakresach sztuki, w poezyi, muzyce, plastyce, posiadają wielkie talenta, lecz te talenta pozyskują téż powszechne uznanie poza granicami kraju swego, w szerokim świecie ukształconym. Grotger, Matejko, Siemiradzki stanowią trójliść malarzów historycznych, a każdy z osobna listek stanowi sam w sobie odrębną całość. Artur Grotger zbyt wcześnie przez śmierć porwany, jest w każdym rysunku swoim poetą elegijnym, Jeremiaszem przenikającym serce dziełami swémi; Jan Matejko już w swoim *Rejtanie* dał się poznać jako malarz dramatyczny; Henryk Siemiradzki po raz pierwszy stanął przed nami z pracą swoją, a już brzmi wyrok: wielki malarz, wytrawny historyk. Jego *Pochodnie Nerona*, wzbudziły w Pradze największy podziw, a dzień w dzień pielgrzymują do nich coraz nowe tłumy ludu. Siemiradzki *jest Rzymianinem.*

— W korrespondencyi *Gazety Polskiéj* z Pragi Czeskiéj czytamy: Dnia 21 czerwca r. b. przedstawiono *Mazepę*, dramat J. Słowackiego w przekładzie p. Hovozka, w celu powiększenia funduszu na postawienie domu dla akademików. W dzień przedstawienia trudno już było bilet dostać, bo téż udział publiczności był ogromny. Wszystkie miejsca były zapełnione, i cała publika składała się z lepszéj warstwy tutejszego społeczeństwa. Był więc i rektor uniwersytetu prof. Streng, wielu innych profesorów, daléj p. Fr. L. Rygier, Sladkowsky, znany i wielce lubiony powieściopisarz Neruda, profesor języka polskiego p. Kolar i wiele innych osób, którzy swą bytnością zaszczycili ten wieczór. Bo téż i wykonanie było bardzo dobre. Główne role grali najlepsi artyści. Amelię p. Sklenarowa, Mazepę p. Seiferd, króla p. Szymanowski, wojewodę grał p. Kolar. Role były dobrze wystudyowane i wszyscy z zapałem grali, choć były i usterki; szczególnie p. Slukow w roli Zbi-

gniewa często się zająkiwał, widocznie nieumiejąc dobrze swéj roli. Ubiory były wszystkie nowe, a co więcéj historyczne, i na przepychu, jak w ubiorach tak i w wystawie niezbywało. Przed rozpoczęciem przedstawienia odegrana była uwertura z „Romeo i Julja“ Czajkowskiego, ale mało kogo potrafiła zachwycić. Zato mazurek z „Życie za Cara“ Glinki i polonez z „Halki“ ogólne zyskał sobie brawa. Publiczność od początku do końca okazywała swoje zadowolenie, a przy końcu piątego aktu brawom niebyło końca—ba! jeszcze z ulicy długo można było słyszeć uporczywe wywoływania artystów, zasługujących w zupełności na oddawane im pochwały. Jaki gorący udział miała publiczność w całém przedstawieniu, dość może pokazać suma 835 reńskich, czyli dochód z sobotniego przedstawienia. Przedstawienie to było niemałéj wagi pod tym względem, że obecnie dyrekcya teatru, widząc, jakie powodzenie miała ostatnia sztuka nasza u publiczności, nie będzie robiła trudności w przedstawieniu jeszcze innych dzieł naszych; będzie więc możebne w krótkim czasie coś nowego na scenę czeską wystawić. Wiem, że robią się starania o wystawienie „Kiejstuta“ Asnyka, przetłómaczonego przez p. Klikę. W ogóle kółko przyjaciół naszéj literatury coraz się powiększa; daj Boże, aby to tak daléj trwało, a stosunki przyjazne między Polakami i Czechami, aby się coraz nowe zawiązywały, a dawne utrwalały. W krótkim czasie wyjdzie Słowacki w przekładzie p. Mokrego i Bohdan Zaleski w przekładzie p. Pokornego, a o ile mogę ten przekład ocenić, zdaje się, że zadowolni wszystkich. Jeden z najmłodszych poetów czeskich, znany już tutaj z tłómaczeń polskich poetów najnowszéj doby, jako to: Asnyka, Chamca, Tarnowskiego, zakończył już prawie cały przekład dzieł Krasińskiego: i takowy w księgarni p. Otto wkrótce się ukaże. Jedném słowem, zyskujemy coraz nowych przyjaciół, szkoda tylko, że u nas w kraju tak mało się Czechami i ich literaturą zajmują, bo dotąd ten prąd przyjazny wieje tylko od Czechów, z naszéj strony, nic o nim nie słychać.

— Czytelnicy, ciekawi postępów psychologii porównawczéj, z zapałem powitać winni dzieło: *Uczucie koloru, jego początki i rozwój* (*The Coloar-Sense*; *its Origin and Development*, *au Essay in Comparative Psychology*) p. Granta Allen. Londyn, Trübner 1879 r. Autor téj pracy stoi na gruncie darwinistycznym, ale poglądy swoje na rozwój funkcyi psychicznych wypowiada tak trzeźwo, tak malowniczo, z taką ich spójnością, pomimo bogactwa analitycznego, że nawet przeciwnicy tego obozu muszą uszanować metodę, choćby jéj wyników nie podzielali. Grant Allen rozpoczyna od faktów fizycznych światła i barwy.

I tu jednak autor upatruje jeszcze pośrednie punkta: pomiędzy poczuciem światła a poczuciem koloru, uważa on jako pośredniczące: wrażenie ciemności. Dopiéro na tém pierwotném, elementarném jeszcze sprzeciwieństwie (wrażeń światła i wrażeń ciemności), wykluć się mogło przy stopniowym biegu funkcyi psychicznych, poczucie barwy.

I tu, naturalnie, nie obeszło się bez przywołania na posiłki teoryi *wyboru*. Wykształcenie uczucia barwy jest, podług autora, wynikiem wprawy organów barwo-jemnych (*the employment of the colour-percipient structures*). Ciągłe wprawy tego rodzaju, mówi p. Allen, w wyszukiwaniu pożywienia u zwierząt trawo-żernych i owocami żyjących, prowadzą ostatecznie do wzmocnienia tych organów, a następnie do rozwinięcia towarzyszącéj temu procesowi rozkoszy. Ta rozkosz objawia się w formie zamiłowania do barwy. Zamiłowanie podobne spostrzegamy w wielu gatunkach. Objawia się ono jużto w wyborze pożywienia o barwach jaskrawych, jużto w ogólném upodobaniu do przedmiotów świetnych, ale przedewszystkiém w płciowym wyborze wspólnika o jasnych barwach. Temuto właśnie popędowi winniśmy powstanie pięknych barw motyli, ptaków i wielu innych zwierząt.

Fizyologicznego, a raczéj fizykalnego pochodzenia uczucia barwy, p. Grant Allen dowodzić chce nawet filologicznie. Podług niego nazwy pojedyńczych barw, pochodzą ze źródła czysto-konkretnego (różowy, fiołkowy, zielony). *Historyczność* znowu tego uczucia autor widzi dotykalne na nadziejach kultury. Podług p. Allen, Homer nie znał barwy zielonéj i błękitnéj (?). I dlatego p. Allen upomina się o urządzanie badań wśród ludów w stanie pierwotnym zostających, t. j. odsuniętych od owéj kultury, któréj środkowiem była kotlina morza Śródziemnego i wyśledzeniem dosięgniętego przez nich stopnia uczucia kolorów. Na te i tym podobne rysy, *mechanizujące* zanadto proces najpiękniejszéj ze sprężyn psychicznych, a biorące proces za samę jego substancyą, na zasadowe poglądy p. G. Allena, nie każdy się zgodzi, to pewno, ale, zamykając książkę z wykrzykiem: „nie pozwalam," przyznać musi, że ją czytał z natężeniem i szczerém zajęciem.

— I. Frohschammer. Monady i Fantazya Światów *Monadeu und weltphantasie*. Monachium 1879. Profesor Frohschammer znany ze swoich zajść z obrońcami tradycyi, jeszcze w roku 1863 z powodu gromu, jaki rzucono na niego z najwyższych sfer téj tradycyi, wypowiedział był odczyt p. t. *prawa filozofii nowożytnéj w obec Scholastyki* (Monachium 1863 C. Staht). W obecnéj książce nasz filozof podaje przyczynek do swojego dzieła „Fantazya jako zasadniczy czynnik w procesie świata." Jest to jedna z owych teoryi Szelingowskich. która w różnych czasach w różnym ukazywała się kroju, a którą najwymowniéj i najwydatniéj przedstawił Herman Fichte, w swojéj antropologii. Podług prof. Frohschammera, w zjawisku mamy dualizm: formę i materyą, t. j. treść daną i siłę twórczą, albo inaczéj: pierwiastek kształtujący. Natura jest tu artystą, i to artystą plastycznym, tworzącym bez świadomości. Takiém jest zadanie pierwszéj części jego dzieła. Drugą część poświęca ocenie monadologii Leibnitza i Herbarta, a następnie krytyce stanowisk Hermana Fichtego, Carriera i innych.

— Spencer Walpole *Historya Anglii* (*A History of England from the Conclusion of the Great War in 1815*) od końca wielkiéj wojny w 1815 r. tom I i II. Londyn 1879 Longmans.

Dzieło nadzwyczaj ważne tak jakościowo, jak ilościowo. Przed głównym cyklem dziejów Anglii (od r. 1815), autor podaje obszerny zarys historyi Anglo-Europejskiéj okresu poprzedniego, szczególniéj zatrzymując się na wielkiéj wojnie rewolucyjnéj i jej wpływie na Anglią. Maluje on nadzwyczajny wzrost przemysłu i handlu angielskiego, podczas owéj wojny, oraz przewagę na morzu, pod któréj osłoną kupcy angielscy wyroby swoje po całéj kuli ziemskiéj rozwozić mogli. Następnie przedstawia jéj stronę ujemną, skutki nadmiaru produkcyi i bezpośrednio jego następstwo: zastój w zbycie, zatrzymanie w biegu fabryk, a wreszcie przy współdziałaniu klęsk nieurodzaju—nędzę i jéj zwykłych satelitów: zbrodnie i wstrząśnienia. Daléj, jako następstwo, idzie: upomnienie się większości czynniejszéj o głos w sprawach publicznych, wadliwości dotychczasowéj reprezentacyi, godny politowania obraz zyskiwania krzeseł w Izbie niższéj, gdzie miejsca szły na sprzedaż, jak „bilety na operę." Pod naciskiem tedy nowych prądów z jednéj, a tłoczeniem nieubłaganego prawodawstwa z drugiéj strony, powstał ruch ku reformie wyborczéj. Autor daje nam tu wyborną charakterystykę tak ludzi rutyny (*Castelreagh'a)* jak i postępowych (Pitta młodszego) zapatrujących się na zasady Adama Smitha i Jeremiasza Benthama, wprowadzone w dziedzinę prawodawstwa. Niemniéj świetnie przedstawiony został ujemny wpływ widma zakanałowego na umysły prawodawców angielskich, który spowodował, że to, co po tamtéj stronie kanału zniosło nadużycie, w Anglii je utrwaliło na cały okres. Dopiero samobójcza śmierć Castelreagh'a położyła koniec zastojowi. Była to nietylko śmierć męża, ale i śmierć systemu. Mamy tedy czasy Caning'a, Peela i pół-postępowca a pół-rutynisty: Wellingtona. Obok polityki autor kreśli żywemi farbami i stan literatury za czasów regencyi.

† Dnia 11 maja, we Lwowie zakończył życie ś. p. ***Stanisław Kunasiewicz,*** dziennikarz i archeolog. Ogłosił drukiem *Przechadzki archeologiczne po Lwowie. Kilka słów o Rocznikach archeologów, numizmatyków i bibliografów polskich*, 1872 roku; oraz *O wykopaliskach i ich znaczeniu.*

— Dnia 13 czerwca r. b., w Warszawie zakończył życie ś. p. ***Kazimierz Rogiński*** nauczyciel, rektor gimnazyum i inspektor szkoły handlowéj i rzemieślniczo-niedzielnéj. Ukochany przez uczącą się młodzież znakomity pedagog, był, jako uczeń dawnego uniwersytetu Warszawskiego najwybitniejszym przedstawicielem patryarchalnego, ojcowskiego stosunku, między nauczycielem i uczniami. Otaczał go też należny, powszechny szacunek za życia, a skon jego wywołał szczery a serdeczny smutek.

Redakcya Biblioteki Warszawskiéj.

Redaktor odpowiedzialny K. Wł. Wójcicki.

Wydawca *Józef Berger.*

Logika Aleksandra Bain'a

W PRZEKŁADZIE POLSKIM.

W chwili, kiedy walka pomiędzy dwoma kierunkami, współrodnemi sobie przy swojém przeciwieństwie, a więc rozpoczętemi, iż tak powiem, w przedhistorycznych czasach wiedzy ludzkiéj; kiedy walka empiryzmu z apryoryzmem dochodzi do skali niezwykłego dotąd natężenia: niesłychanie ważnym jest faktem ukazanie się wśród naszéj publiczności dzieła, poważnie, stanowczo i z naukowym wdziękiem uosobiającego jeden z tych kierunków. Co szczególniéj daje wysokie prawo obywatelstwa utworom Bain'a, człowieka dziś stojącego na świeczniku, to właśnie ta zasługa, że przeszedł on przez wielkie studyum natury, że psychologią usadowił na fizyologii, że w prace swoje, wielostronnością gałęzi przypominające uniwersalność Leibnica, wprowadził i najskrzętniéj poustawiał ostatnie wyrazy każdéj nauki, od nowoznawstwa aż do mechanizmu nerwów i to, jak powiada Lewes „w świetle spokojnéj, psychologicznéj analizy." Odchylać pojedyńcze subtelności procesu poznawczego, rozstawiać pewne jego grupy, zbierać odosobnione artykuły myślenia i dowodzenia, rozgrzebywać wnętrza pewnéj figury sylogizmu i t. p., może być przywilejem wielu; ale skodeksowanie tych praw w całokształt, z pod którego mocy obowiązującéj żadne zjawisko wymknąćby się nie mogło, takie arcydzieło ścisłości, pożytku naukowego i długiego wpływu na przyszłość swojego kierunku, tylko zpod takiéj potęgi wyjść mogło. „Nikt jeszcze, mówi tenże Lewes, z wyższém powodzeniem nie zgromadził tyle rysów pouczających i tyle wskazówek, jak Bain." Wyobraźmy sobie system o kilku najprostszych punktach wyjścia, uprawnionych psychologicznie, rozpoczynający od wrażenia— system, który następnie, rozprężając się i rosnąc z niezmordowaną ciągłością, bez przeskoku, wkracza kolejno we wszystkie dzielnice, stosuje swoję modłę pierwotną do polityki, chemii, klasyfikacyi chorób, praktyki, botaniki, biologii... a będzie to system Bain'a. Możeśmy nawet i niewłaściwie użyli tego wyrazu, bo raczéj powiedziećby można, że tam każdy paragraf przedstawia coś pełnego, z domyślnym pod wszystkiemi działami i poddziałami, ruchem postępowym.

Że zaś żyjemy w chwili gorącego zajęcia się pomysłami ludzi téj miary jak Spencer, Mill i inni przedstawiciele nowéj siły, przeto nie-

REDAKCYA BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ

podobna było pomyśleć stosowniejszéj pory do wprowadzenia na nasz horyzont, najdojrzalszego z utworów Bain'a, jego *Logiki.*

Przekład *Logiki* Bain'a z którą czytelnika zapoznać zamierzamy, obok wyżéj dotkniętych znamion pierwotworu, ma dla nas przytém ważność specyalną: dokonała go, jak przekonaliśmy się ze ścisłego porównania z oryginałem ręka wytrawna, a czytelnik dziwić się nie będzie, że w przekładzie pracy filozoficznéj stawiamy równie snrowe wymaganie, jak w przekładach utworu sztuki, ba może jeszcze surowsze. Stawiamy je najprzód dla tego, że w żadnéj dzielnicy duch i tok mowy rodzinnéj nie bywa narażonym na takie pokusy, jak w dzielnicy czystego myślenia; powtóre dla tego, że tłómacz nie miałby tu prawa zasłaniać się jakowąś młodzienczością, pierwotnością języka: od wieku Zygmunta aż do dzisiaj pionek filozoficzny przebiegał po wszystkich warstwach téj mowy, a więc że na wszelkie możliwe odkrycia myśli *istnieją* w niéj, albo już czynnie, albo co najmniéj, preformacyjnie, gotowe kształty.

Krótką przedmowę Bain'a (str. XIX—XXI), tłómacz poprzedził własną przemową, któréj w końcu naszéj oceny dotkniemy jeszcze; tymczasem zaś przytaczamy jéj zakończenie: „Logicznego myślenia a następnie czynów logicznych w stosunkach prywatnych i sprawach publicznych: oto czego każdemu wiekowi i każdemu narodowi życzyć należy. Za obojgiem, prawie zawsze następuje poprawa charakteru jednostek i polepszenie bytu tak indywidualnego jak i zbiorowego" (*Przedmowa tłómacza*, str. XVIII).

Pod takiémto hasłem występuje na widownią literatury: *Logika A. Bain'a* (tom I *Dedukcya*, tom II *Indukcya*), tłómaczenie z angielskiego. (Warszawa, skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa, 1878 r.).

Nic tak wydatnie nie przedstawi nam charakteru szkoły, jak sam już plan dzieła.

Nie szło tu myślicielowi o jakąś konstrukcyą na zrębach metafizycznych, gdzie części wysnuwałyby się z pnia *a priori* (w sposób, do jakiego przyzwyczaiły nas teorye porządku germańskiego); przeciwnie, rozpoczyna on od najelementarniejszego zadziergu wiedzy ludzkiéj— chwyta pasmo myśli ludzkiéj w chwili jéj biegu i działania, i nigdy nie spuszczając z oka faktów i treści, odsłania przed nami widok na tę mrówczo-drobiazgową robotę, jakiéj poddają się pojedyńcze jéj włókna mając za spójnią swoję—świadomość.

Plan dzieła podajemy tu w głównych zarysach, zatrzymując się niekiedy na pewnych jego działach, o ile to do wyjaśnienia lub porozumienia się potrzebném będzie.

Ponieważ w skład logiki wchodzi teorya i granice tłómaczenia zjawisk, przeto autor rozpoczyna od wstępu psychologicznego, poświęcając go rozważaniu natury władz umysłowych. Pomimo krótkości swojéj zasługuje on jednak na to, aby mu się bliżéj przypatrzéć właśnie dla tego, że doskonale charakteryzuje nam szkołę. Bain podaje taki rodowód poznania naszego:

„Umysł ludzki posiada zdolność oglądania różnic i oglądania podobieństw, z kojarzenia zaś różnic i podobieństw powstaje poznanie. Aby w nas zrodzić się mogło pewne uczucie, powinna nastąpić zmiana we wrażeniu. Jednostajność wrażenia nie może sprowadzić ani żywości w uczuciu, ani doprowadzić go do stanu czujnéj świadomości. Jeżeli np. temperatura ciągle jest jednostajna, tracimy uczucie ciepła lub zimna. Najżywsza świadomość towarzyszyć zwykła nagłym *zmianom*: pierwszy łyk wody, który nas orzeźwia w pragnieniu, chwila przenosząca nas z ubóstwa do bogactwa i t. p., są to doby najwyższego natężenia poczuciowego; gdy te wrażenia przeminą, pobudzenie słabnie.

Podobne prawo *przejścia* obowiązuje i w akcie poznania. Poznajemy, czém jest ciepło, doświadczywszy wprzód, czém jest zimno. W każdym też akcie poznania jednoczą się dwie rzeczy: nowy stan świadomości do jakiegośmy przyszli (np. świadomość ciepła po zimnie), oraz świadomość stanu, z któregośmy wyszli (zimna); pierwsze nazywamy świadomością wyraźną (*explicit*), drugie zaś (t. j. uprzednie) świadomością niewyraźną (*implicit consciousness*).

Stosunek zaś taki nazywamy paralelizmem, względnością, odnośnością.

Umysł, jak powiedziano wyżéj, zdolnym jest przytém oglądać i podobieństwa. Jeżeli np. po wyniesieniu z pokoju zapalonéj świecy, za chwilę znowu ją przyniosą, wówczas oprócz wrażenia światła, doznaje się jeszcze nowego wrażenia, uczucia *zgodności*, tożsamości, powtarzania.

„Otóż skojarzeniem tych dwu czynników: paralelizmu i podobieństwa (różnicy i zgodności) jest poznanie. I tak np., poznanie tego, czém jest ciepło, zawiera w sobie: *a*) szereg wrażeń, wynikających z różnicy pomiędzy zimnem a ciepłem, *b*) podobieństwa przy powtórzeniu się tych samych wrażeń w zmienionych okolicznościach. Znać jakiś fakt, jestto odróżniać go od wszystkich odmiennych, a upodobniać czyli utożsamiać ze wszystkiemi podobnemi do niego faktami. Podobnież np. nasze wrażenie umysłowe (poznanie czyli idea) szylinga jest sumą wszystkich różnic, jakieśmy zauważyli pomiędzy tym pieniądzem a wszystkiem, co nim nie jest, oraz sumą wszystkich podobieństw, zachodzących między szylingiem a rzeczami z nim porównywanemi. Mówimy, że on jest okrągły, to znaczy: 1) że się różni od wszystkiego co jest kwadratowe, podłużne i t. p., 2) że jest podobny do wszystkich innych przedmiotów równie okrągłych, które nas często uderzały tożsamością kształtu w rozmaitych okolicznościach."

W taki to sposób Bain załatwia się z kwestyą najprostszą napozór, ale najważniejszą i najzawilszą: z kwestyą przetwarzania się *brutto* przedmiotowego na materyał wiedzy naszéj—najważniejszą, ponieważ od sposobu jéj rozwiązania zależy sposób obchodzenia się nadal z całym operatem badań logicznych, a najzawilszą dla tego, że przed okiem badacza zacierać się tu może mnóstwo zjawisk mikroskopijnéj drobności, jakie zachodzą pomiędzy wrażeniem a poznaniem. Bain, jak widzieliśmy, najpierwotniejszą działalność umysłu osadza tu na sprzecz-

ności; wrażenia, coraz to inne są, podług niego, szeregiem faktów, znoszących fakta poprzednie, każde zjawisko, potrącające zmysł człowieka zdaje się budzić go hasłem „to już nie to."

Otóż sądzilibyśmy, że ani przypuszczalna zasada różnicy (tłómacz Bain'a bardzo trafnie dobiera tu wyraz: paralelizm), ani zdolność upodobniania (*agreement, similarity*), nie tłómaczy nam zaspakajająco tajemnicy pierwszych zadziergów wiedzy ludzkiéj. Gdyby wrażenia, wyobrażenia, pojęcia, słowem gdyby poznanie na wszelkich szczeblach swoich ujęte, było jedynie faktem *psychologicznym*, za co zdaje się je nasz autor uważać, w takim razie wyjaśnićby go wyczerpująco niepodobna. Tymczasem przeniesienie kwestyi na grunt ogólniejszy, t. j. pojmowanie procesu wiedzy pod powagą *powszechniejszych praw bytu i dziania się*, w wysokim stopniu ją upraszcza i w takiém pojmowaniu rzeczy tę zasadę naszego myśliciela, że „poznanie kojarzy różnice i podobieństwa," wysłowilibyśmy tak „w poznaniu *kojarzą się* różnice i podobieństwa"— ale uszanować musimy punkt wyjścia autora i wśród *jego* konsekwencyi niniejszą pracę oceniać, a w takim razie niepodobna nie przyznać mu, że od początku do konca, a więc i w podstawach psychologicznych pozostał wiernym chorągwi. Na niéj zaś domyślać się zawsze należy godła: „nic przedhistorycznego w umyśle ludzkim, wszystko jest genezą." Dogmat to może i nie przypadający do przekonania wielu, ale z tą mistrzowską przeprowadzony dyalektyką, co to nawet w przeciwniku każe uznać bohatera. Ludzie tego dogmatu, posiadającego dziś w szeregach swoich potęgi pierwszego rzędu, indukcyoniści, a jeszcze dobitniéj mówiąc: historyści, na wszystkich polach nauk, ściśle pilnują solidarności. Nietylko w rodowodzie wiedzy naszéj nie uznają oni nic *danego* przed-empirycznie, owszem w samych nawet uczuciach, popędach artystycznych i t. p. widzieć chcą jedynie genezę. W téj chwili przychodzi nam na myśl najświeższe pismo Granta Allen'a: *O uczuciu barwy* (*The Colour-sense*). Są to, jak je sam autor nazywa, zarysy z psychologii porównawczéj. Otóż Grant Allen, z góry już zastrzegając *historyczny* początek uczucia barwy, jako pewnik, w piśmie swojém stara się wskazać, w jaki sposób tak barwy same, jak i uczucie barw wprowadzonemi zostały do natury organicznéj. Sądzi on, że sfera wrażliwości, a wyraźniéj jeszcze mówiąc: sfera znajomości barw znakomicie rozszerzyła się od czasu Wedów i Iliady. Homer np. miał nie znać jeszcze koloru błękitnego i zielonego. W takim razie i *Glaukopis* Atena musiałaby coś z uroku swoich oczów odstąpić. Gdybyśmy nawet i zgodzili się na zdanie Granta Allen'a co do historycznego rozwoju uczucia barwy, to trudno jednak przyznać coś podobnego w rzeczach *wiedzy*, którą, jak wiemy, w wielu zagadnieniach, starożytność i to bardzo głęboka starożytność wyprzedziła wieki późniejsze osobliwszą potęgą intuicyi rozumowéj i odgadywaniem systemów najodleglejszéj przyszłości.

Lecz wróćmy do Bain'a. W dalszym obrazie tworzenia się pojęć czytamy u naszego autora, że pojęcie jednostki jest już skupieniem po-

jęć ogólnych. Gdy spostrzeżeniu indywidualnemu nadajemy imię np. danego *drzewa*, wyrażamy przez to nietylko wrażenia chwilowe na zmysły działające, ale oraz skupienie wielu wrażeń uogólnionych.

Bardzo charakterystycznie Bain określa jednostkę, uznając za jéj znamię to, że jednostka stanowi pewne oznaczone skupienie, którego nie mieszamy z innemi jednostkami.

W ustępie (8) o poznaniu uważaném: *a*) jako indywidualne i konkretne; *b*) jako ogólne i abstrakcyjne, autor pominął pewien szczebel pośredni pomiędzy indywidualném a oderwaném pojęciem. Mówi bowiem: „poznanie stołu, znajdującego się w pokoju o pewnéj oznaczonéj porze, jest jak najbardziéj indywidualném czyli konkretném. Poznanie stołu *w ogóle*, bez względu na okoliczność czasu i miejsca, jest ogólném czyli abstrakcyjném." Czyli inaczéj, mamy tu po jednéj stronie indywiduum, a po drugiéj ogół (gatunek, rodzaj, lub jakkolwiek to nazwiemy). Ależ (odpowiadamy na to autorowi) pomiędzy jednostką, wziętą w najściślejszéj konkretności (osobą A, stojącą w téj chwili przed oczyma naszémi), a grupą, pod którą podciągamy i ją wraz z innemi, stoi w pośrodku jeszcze *taż sama* jednostka uogólniona, t. j. uważana w wyzwoleniu od sytuacyi przypadkowych. Otóż pojęcie takiéj jednostki autor pominął. Zdaje się wprawdzie niby napomykać o niéj w § 12, gdzie mówi: „różnica pomiędzy obecném spostrzeżeniem zmysłowém (*presentation*), a przypomnieniem oderwaném (*representation*) polega na tém, że w pierwszém zachodzi określony zbieg uogólnień, a w drugiém takiż zbieg nieokreślony." Zdawałoby się więc, że to jest właśnie owa osoba A, pojęta w swojéj ogółowości, a już nie jako aktor w téj lub innéj podstawie. Tymczasem w przykładzie, przeznaczonym do wyjaśnienia wyczytujemy coś innego: „Szyling, który trzymam w ręku, stanowi postrzeżenie obecne, zmysłowe (*presentation*); szyling uważany jako pieniądz królestwa W. Brytanii, stanowi to, co nazywam przypomnieniem (*representation*)."

Pominęlibyśmy tę subtelność, gdyby tu nam przed oczyma nie stało ważne zagadnienie logiczne, a mianowicie: jakim sposobem np. od kilkukrotnego widzenia osoby A, przyszliśmy do pojęcia ogólnego téj osoby? będzież to pojęcie konkretne, czy oderwane? Podobno ani jedno ani drugie; będzież to jednostka, czy téż grupa jednostkowa? ależ to byłaby rażąca *contradictio in adjecto*. Zgoła na taką postać poznawczą trudno upatrzéć ramy, a przecież jest ona faktem, niedającym się zaprzeczyć. Łatwo mi jest wprawdzie wytworzyć sobie pojęcie znanéj alei, a zarazem wyzwolić się od obrazków jednéj, drugiéj i setnéj pary lip, tę aleą składających. Łatwo wytworzyć sobie pojęcie miliona, bez szczegółowego poczucia składających go jednostek. Ale trudniéj jest pogodzić tam faktyczną mnogość położeń osoby z najoczywistszą jéj jednostkowością. Gdybym widział na scenie Otella, szybko przebiegającego od końca do końca sali, a więc Otella, który się utysiąckrotnił we wrażeniu mojego oka, pytanie, którego z tych tysiąca Otellów wyobraźnia moja wybierze sobie jako przedstawcę? Idąc za

zdaniem Fortlage'go, odpowiedziéćby można: „wszystkich tysiąc w jednym." Rzeczywiście wszystkie konkretne znamiona téj osobistości *implicite* tkwić będą w pojęciu wybraném. Róża, którą własnemi rękami wyhodowaliśmy, nieraz przypomina się nam jako kształt konkretny, jako pojęcie określone o jednéj grupie znamion; ale to pojęcie za pierwszém mocniejszém dotknięciem, rozkrotni się na obrazy: to kiełkującego, to podrastającego krzewu, to kwitnącego, to tracącego zieloność i kwiat, to wreszcie usychającego.

Widocznie tedy uznać potrzeba w zasadzie: ciągłość świadomości ludzkiéj, a to w takiém znaczeniu, że zdolną jest ona do odświetlenia się w pewnéj części swojéj i do pewnego stopnia, a przywilejem umysłu naszego jest zdolność mocniejszego lub słabszego natężania tego stopnia, oraz zwracania ku światłu lub odwracania świadomości tą lub inną jéj stroną. Zgoła, potrzeba przywołać wiekopomną zasadę Leibnica.

Wiadomości nasze, mówi daléj autor, są wynikiem świadomego sobie doświadczenia; przyczém krótko skreśla walkę apryorystów i empiryków z różnemi ich odcieniami; z tém jednakże godłem na czele, że granicę wiedzy ludzkiéj zakreślają zmysły.

Po zagajeniu psychologiczném, wstępujemy z autorem na grunt samego przedmiotu. Bain prowadzi logikę pod trzema stanowiskami: *a*) jako naukę abstrakcyjną i teoretyczną; *b*) jako praktyczną naukę dowodzenia; *c*) jako system metod, czyli sposobów pomocniczych w dochodzeniu prawdy. Za zasadę podziału logiki, bierze cztery główne działania, jakie zachodzą w odkrywaniu i sprawdzaniu naszych wiadomości; z tych jedna tyczy się faktów, trzy zaś pozostałe: uogólniania faktów.

Témi działaniami są: 1) obserwacya, włączając w to i doświadczenie; 2) definicya; 3) indukcya; 4) dedukcya.

Ponieważ obserwacya nie posiada pewnéj ogólnéj normy, którąby obowiązywała na wszystkich drogach gromadzenie faktów, przeto Bain przeczy niemożebność logiki obserwacyjnéj, ale za to gorąco obstaje za prawami indukcyi, jako organicznéj, owszem, podług niego najorganiczniejszéj części logiki. Odmienność warunków, jakich wymaga obserwacya w oddzielnych gałęziach wiedzy ludzkiéj, spowodowała niektórych myślicieli do wyłączenia i indukcyi z zakresu logiki, z powodu, jakoby jéj prawideł niepodobna było unormować w układ obowiązujący wszystkie umiejętności.

W obronie tedy indukcyi, Bain wykazuje owszem, że indukcya np. w astronomii, jest działaniem takiém samém, jak w chemii, fizyologii lub psychologii. Jeżeli są pewne odmienności w stawianiu problematów indukcyjnych, to te odmienności nie różnią nauk indukcyjnych.

Dla umocnienia podziału, a raczéj dla dania czytelnikowi pewnych uprzednich wskazówek, autor nakreśla w ogólnych rzutach znaczenie pozostałych trzech działań poznawczych: definicyi, indukcyi i dedukcyi (§ 53, 54, 55).

Tym sposobem wytworzyły się u autora trzy wielkie działy (księgi), poświęcone trzem głównym operacyom poznawczym; następna księga zawiera *Logikę nauk*, a mianowicie: matematyki, fizyki, chemii, biologii, psychologii, nauk klasyfikacyjnych, polityki, praktyki i medycyny. Ostatnia księga (VI) zawiera traktat o sofizmatach.

Autor rozpoczyna traktat od dedukcyi, usprawiedliwiając się tém, że rozumowanie dedukcyjne jest prostsze, elementarniejsze. Pierwéj jednak, zwyczajem przyjętym u myślicieli francuzkich, po części niemieckich, a głównie angielskich, oprowadza on czytelnika po owéj dziedzinie, w któréj myśl staje się pomysłem: w dziedzinę wyrazów (terminów), pojęć i sądów, stanowiących prawdziwy skład obrobionych pierwiastków wiedzy ludzkiéj. Jestto przedmiot księgi I. Całe dzieło Bain'a wogóle można przytém uważać za złożone z dwu części, z których pierwszą nazwalibyśmy Logiką dawną (wyrażenie autora *Myślini*); drugą zaś, nierównie obszerniejszą: wykładem indukcyi i metodologii nauk. W końcu I éj i II-iéj części Bain umieszcza ważne dodatki, jakoto: o klasyfikacyi podług Bakona, d'Alembert'a, Augusta Comte'a, Spencera, o sofizmatach podług Arystotelesa i scholastyków, o analizie i syntezie.

Dla obeznania czytelnika z taktem i krojem téj znakomitéj pracy, podamy jużto w streszczeniu, już w całych ciągach ważniejsze jéj działy, odzywając się chwilami z ich oceną, a sporne punkta odsyłając do uwag oddzielnych.

O terminach, pojęciach i sądach.

Podnosząc kwestyę terminów (wyrazów), Bain niezapuszcza się poza granicę logicznych interesów, nie zapytuje on siebie, czy téż mowa nie jest czemś więcéj jak owym cycerońskim węzłem społeczeństwa, *vinculum societatis?* czy nie jest ona naturalnym skutkiem rwania się ducha na zewnątrz, organicznym ruchem myśli, zarówno zastrzeżonym przez prawo powszechne, i zarówno nieodwołalnym, jak wszelkie inne zjawiska? Interes czysto społeczny zaspakaja go w tym względzie. Lecz i z tego punktu, przyznać to trzeba, naucza on nas, o ile to myślenie głośne (mowne) przyśpiesza, skraca i udojrzala wywyroby myślenia wewnętrznego. Rozpoczęcie wykładu logiki od zastanowienia się nad wyrazami, usprawiedliwia on głównie trzema pobudkami: 1. tém, że ostatnim elementem logiki, logiczną formą wszelkiéj wiedzy jest sąd, a sąd składa się z wyrazów; 2. tém, że w niewłaściwém użyciu wyrazów leży źródło mnóstwa błędów i zasadzek: 3. że roztrząsanie języków istniejących, jest najłatwiejszym środkiem obeznania się z rzeczami składającemi wszechświat rzeczy a zatem, zamierzając podać całkowity wykład logiki, t. j. pewien kodeks dowodzenia i metod zastosowanych do wszelkich rodzajów wiedzy, należy zrobić przegląd i zebrać w osobne klasy ogół rzeczy istniejących.

Imię czyli wyraz, mówi autor, możnaby nazwać znakiem przyczepionym do rzeczy, w tym celu, aby o niéj mówić można. Z tego powodu Bain potrąca o opinie Lock'a i Milla i wspólnie z Millem oświadcza się za tém zdaniem, że wyrazy są nazwami nie pojęć o rze-

czach, lecz nazwami samych rzeczy. Punkt ten jednakże zdaje się nam zapośpiesznie załatwionym, a więc niezałatwionym [1]).

W rozklasyfikowaniu wyrazów na grupy pojęciowe, Bain zalicza do rzędu właściwie logicznych czynników: tylko słowo, imię i przymiotnik. Słusznie przeto prostuje go nasz tłómacz (str. 55 odsyłacz), gdy mówi „to twierdzenie autora nie jest całkiem słuszne, gdyż przyimki np. i spójniki, łączące bądź pojęcia, bądź zdanie, noszą też charakter logiczny." Owszem dodalibyśmy, że inne części mowy są zabytkami najdawniejszych formacyi logicznych, które poprzedziły dobę rozdwojenia się sądu pierwotnego na podmiot i orzeczenie.

W klasyfikacyi wyrazów ze względu na ich ogólność zauważmy zręcznie pomyślaną przez autora charakterystykę wyrazów ogólnych a mianowicie: że w nich kryje się i znaczenie (denotacya) i spółoznaczanie (konnotacya). Wyraz *gwiazda* oznacza jakąkolwiek gwiazdę na firmamencie, a spółoznacza podobieństwo cechujące wszystkie gwiazdy. Stosunek ten, a raczej przeciwieństwo (znaczenia i spółoznaczania) jest to samo, co ilość zakresu i ilość treści u Hamiltona. Denotacyą wyrazu *człowiek* będzie ogół wszystkich ludzi; konnotacyą zaś jego będzie cała objętość treści, znamion, jakoto: życia, organów, zdolności i t. d. Dlatego też denotacya i konnotacya stoją do siebie w stosunku odwrotnym tak samo właśnie, jak treść i zakres (pomiędzy któremi, jak wiadomo, Herbart upatruje stosunek ścisłości aż matematycznéj).

Ostatecznym rezultatem uogólnienia jest wyraz abstrakcyjny (ruch, ciężkość i t. p.). Z powodu wyrazów abstrakcyjnych, które tak się dziś rozwielmożniły w porządku myślenia i rozumowania, a jednak opierają się jedynie na niejakiémś umyślném złudzeniu, autor daje gorącą przestrogę, przeciwko ich nadużywaniu. Niejednokrotnie tę przestrogę, bardzo ważną podług nas, ponawia nasz tłómacz, przypomina też uczącym się filozofii te wyrazy Bailey'a: gdyby oni chcieli zawsze, lub przynajmniéj wtedy, gdy rzecz na to zasługuje, trzymać się prawidła powyższego i zmieniać sądy abstrakcyjne na konkretne, łatwoby zrozumieli źródło zawikłań i ciemności w metafizyce. Przekonaliby się wówczas, co są warte owe niepoliczone *nic* uchodzące za filozofią."

---

[1]) *Niepodobna* tu nam rozszerzać się w ocenie teoryi tak idealistycznego jak i realistycznego pojmowania języka. Poważamy się jedynie (dogmatycznie na ten raz) przedstawić uwadze czytelnika niejakiś wyraz naszego poglądu na kwestyą. Otóż zdaje się nam, że pomiędzy Bain'em, Millem i t. p. a nominalistami (idealistami) środkowe stanowisko zająćby należało i powiedzieć że wyrazy nie są ani oznaczeniem rzeczy (realizm), ani oznaczeniem pojęć naszych o rzeczach (nominalizm); wbrew zdaniu jednych i drugich, wypowiadają one przeświadczenie nasze o logicznéj tożsamości pojęcia z przedmiotem oznaczonym przez wyraz.

Co do nas, łagodząc nieco krańcowy sąd Bailey'a, zawsze jednak utrzymujemy, że głównym powodem zawiłości metafizyków pewnéj szkoły jest właśnie to, że prawie rozmyślnie unikają pojęć konkretnych, że nie tylko skąpymi są w udzielaniu faktów wyjaśniających, ale co gorsza, w wyjaśnieniach samych, jeżeli ich raczą udzielić, używają i przykładów abstrakcyjnych. Jużto wielkie z ich strony ustępstwo, jeżeli się zdecydują na komentarzyk algebraiczny, np. „wszystkie *A* są *B*, niektóre *B* są *C*, *a zatém* (*!*)..."

Otóż najzwyklejszym owocem takiéj manipulacyi jest to, że uczeń filozofii, po kilkakrotném przepatrzeniu całéj tkaniny, jakby przy światełku lichego łuczywa, wychodzi znękany, zniechęcony, unosząc w trofeu takież samo *X*., z jakiém przystępował do pracy. Już przed kilkudziesięciu laty, Kraszewski obznajmiając czytelników naszych z systematem Hegla upatrzył tę słabę stronę w nauce wielkiego mędrca, że zbudowawszy pewną oderwaną formułę i operując nią następnie, w końcu przyswaja siebie i słuchacza do uważania jéj za coś rzeczowo istnego.

Następnie Bain zwraca się do drugiéj gromady wyrazów, ze względu na ich paralelizm np. (światło-ciemność). Przyczem zaznaczymy tu następującą myśl autora: „Taki paralelizm przenika wszystkie rzeczy, a ztąd okazuje się konieczność nazywania wszystkich rzeczy podwójnie. Języki zatem składaćby się powinny nie z wyrazów szczegółowych, ale niejako z *par wyrazów*. I wistocie pary takie spotykamy bardzo często w językach, chociaż nie jest to powszechne zjawisko (ciepły, zimny, życie, śmierć, pan, sługa)."

Jestto punkt niesłychanie ważny; nie rozwijając go jednak z obawy przekroczenia granic oceny, napomykamy tylko, że zasada paralelizmu, tak zrozumianego, nie zdaje się nam wystarczającą, jeśli już nie w całym obszarze filozofii, tedy przynajmniéj w logice języka. Więcéj zaspokoiłaby nas zasada ciągłości. I w takim razie wyrazy np. „światło i ciemność" byłyby nietyle dwójką paralelizmu, jak raczéj dwoma skrajnemi punktami pewnego szeregu pojęć. Sam autor upoważnia nas do takiéj zasady, skoro mówi: „przeczenie oznacza *resztę* pojęcia ogólnego."

Daléj następują klasy i pojęcia, nad czém zatrzymywać się niéma potrzeby; klasa odnosi się do rzeczy konkretnych (np. przedmioty okrągłe), pojęcie zaś do rzeczy uważanych abstrakcyjnie.

Następnie autor mówi o pojęciach „w formie sądu" gdzie kładzie nacisk na istotową różnicę sądu jedynie słownego od sądu rzeczywistego. „Homer napisał *Iliadę*, jestto sąd czysto słowny, gdyż o Homerze nic więcéj nie wiemy prócz tego, że jest autorem *Iliady*. Przeciwnie, owo zdanie Spencera, że „instynkt jestto odziedziczone doświadczenie" będzie sądem rzeczywistym, albowiem w orzeczeniu jego mieści się fakt nowy, niezawarty wcale w podmiocie." Jestto, jak widzimy, wznowiona rozprawa o sądach analitycznych i syntetycznych, dotąd nie orzekniona, (chociaż zdaje nam się, że wszystkie sądy są jedynie analitycznemi). Za-

sługą Bain'a jest, że tu, jak i we wszystkich działach, podaje masę faktów i wybitnie rzecz wyjaśniających i pouczających czytelnika, ponieważ zaczerpnięte są z nauk przyrodzonych: z fizyki, chemii, biologii, zgoła z całego obszaru nauk.

Ostateczną różnicę sądów słownych od rzeczywistych stanowi wprowadzenie do nich któréjkolwiek z tak zwanych *głównych orzeczeń:* rodzaj, gatunek, różnica, właściwość, przypadkowość; im téż autor poświęca końcowe uwagi o pojęciach.

Następuje dział specyalny o sądach. Bain stawia i sąd pod (obowiązujące i pojęcia) prawo paralelizmu: „we wszelkiém twierdzeniu, zdaniem autora, dopatrywać należy innego współrzędnego sądu, tylko w formie przeczącéj: „Europa leży na północ od równika" (Europa nie leży na południe od równika). „Ta druga połowa ma być niby ową resztą, co pozostała po oderwaniu jéj od całości, jak to było i w pojęciach. I tu jednak zasada ciągłości zdałaby się nam stosowniejszą, aniżeli paralelizmu. Daléj podaje nam autor zewnętrzną formę sądów: ilość, jakość, sądy proste, złożone i t. d.

Z powodu kategoryi *ilości* w sądach, zwracamy uwagę czytelnika na ważny dodatek Hamiltona (tu u autora podany, str. 101 i następ.). Powszechnie w nauce o sądach (co szczególniéj przydaje się w teoryi sylogizmu), kategoryą ilości sądów stosowano tylko do podmiotu (wszystkie kwiaty, niektóre kwiaty są...); orzeczenia zaś uważano zupełnie niezależnie od ilości, to jest albo widziano w niém jakowąś sferę ogólną, albo co najmniéj bez uwzględnienia jéj ilości. Kwestya ta, w sposób najprzystępniejszy takby się dała ustawić: np. czy w tym sądzie: „fiołki są kwiatami" należy upatrywać ilość i w predykacie? Hamilton daje na to odpowiedź twierdzącą; wprowadza tedy do logiki nowe prawo, które przez skrócenie nazwijmy: ukrótnieniem predykatu (orzeczenia). „Wszyscy ludzie są ułomni," w tym sądzie predykat może oznaczać wszystkie, lub téż pewien tylko dział istot ułomnych. Tak właśnie przedstawia się kwestya ukrótnienia predykatu. Bain uznaje ją także i przeprowadza w ten sposób na przykładach zaczerpanych z dziedziny fizycznéj.

„Bardzo nieliczne (mówi Bain) są przypadki, w których własności wyłączne, jedyne, dają początek sądom mającym i podmiot i orzeczenie jednakowego zakresu (ilości). „Rtęć jest metalem płynnym." Metal płynny i rtęć mają zakres równy, bo oprócz rtęci niémasz metalu płynnego.

W sądach najogólniejszych, w których się kojarzą oddzielne własności stale sobie towarzyszące, rzadko zdarza się spotkać sąd, gdzieby podmiot i orzeczenie jednakowy miały zakres (ilość). Obecnie mamy tylko jeden przykład dość charakterystyczny: „wszelkie ciało ciąży." Co znaczy, że istota, własność materyi—bezwładność, zawsze jest związana z przyciąganiem. Są to dwie własności różne, ale spółrozciągłe."

Słowem, kwestya krótkości orzeczenia, mało dotąd zwracająca na siebie uwagi myślicieli, istnieje. Istnienie jéj, oprócz faktów podanych

przez Hamiltona i naszego autora, moglibyśmy jeszcze stwierdzić dowodami z lingwistyki a nawet i z saméj nauki myślenia. I tak język polski rozwinął, jak wiadomo, deklinacyą *podzielności* tylko cząstkowo (daj mi wody, chleba i t. p.), ale nie wykończył jéj tak, aby wejść mogła systematycznie w organiczny skład zdania, a więc aby mogła dać predykat cząstkowy, to jest ograniczyć i uszczegółowić zakres orzeczenia. Jednakże język nasz umié sobie radzić w tym względzie, i drogą uboczną dokonywa ukrótnienia predykatu. I tak mówimy: „pieśni ludu są *pewnego rodzaju* dziedzictwem po dawnych wiekach." W zdaniu francuzkiém predykat miałby tu formę podzielną (partitif).

Ale czysto logiczny dowód podzielności orzeczenia zaczerpnąć możemy z teoryi wnioskowania bezpośredniego, zwanego odwróceniem (*conversio*) sądu. Jak wiadomo, nie każdy sąd daje się odwrócić wprost; przeciwnie potrzeba tu niekiedy w nowym podmiocie, utworzonym z dawnego orzeczenia, ograniczyć ilość, np. „wszystkie drogie kamienie są minerałami," po odwróceniu zaś powiemy: „*niektóre* minerały są drogiemi kamieniami." Dlaczegoż ten sąd nie dał się odwrócić wprost? albo w nim dwa składowe pierwiastki nie równoważyły się z sobą, a w takim razie nie był to sąd prawidłowy—a wtenczas, w cóżby się obróciło owo prawo najpierwszego prawodawcy myślenia, że w sądzie, orzekającym o prawdzie lub fałszu musi być postawiona synteza dwu pojęć, jako stanowiących jednią (Arystot. *Analitica*, t. III, str. 6)—albo też był to sąd w istocie saméj *skrócony*, który, po przywróceniu go do postaci prawidłowéj, tak brzmiećby powinien: „wszystkie drogie kamienie są to minerały" (ale jedynie te minerały, które...)

Następnie autor mówi o opozycyi sądów, ich modalizmie, o treści czyli znaczeniu sądów. Ten ostatni punkt zasługuje, abyśmy na nim zatrzymali się chwilę. Na czém polega treść sądu? jaka jest jego rola wśród powszechnego procesu myślenia i dowodzenia? W odpowiedzi na te pytania Bain nie chce uważać sądu ani za utożsamienie dwu pojęć, jak chciał Hobbes, ani za podciągnięcie pojedyńczego podmiotu pod klasę, albo klasy pod klasę jeszcze ogólniejszą. Zasadę taką uważa on za niedość ścisłą. Otóż, aby rozwiązać powyższe zapytanie, odkrywa on pewne grupy stosunków, pod jakiemi nastąpić mogą najwyższe uogólnienia w sądach: ilość, współ-bytność i kolejność czyli następstwo w czasie. I to właśnie spowodowało autora do wyjścia na szerszy gościniec dla odszukania ogólnych pojęć, jakie należy mieć w pogotowiu, kiedy przyjdzie ustanawiać sądy najogólniejsze.

Wycieczka ta, nadzwyczaj ważna, stanowi jeden z dodatków, w końcu wykładu umieszczonych, który autor nazwał nieco lapidarnie: „wyliczeniem rzeczy."

Tu dopiero na większą skalę, w sposób metafizyczny, przychodzi w pomoc zasada powszechnego paralelizmu, pierwéj skreślona po prostu, jakoby od ręki. Przypomina tu autor czytelnikowi, co ta zasada głosi, a mianowicie: że „wszystkie przedmioty, wchodzące w zakres poznania, mają jakby dwie strony i występują parami. Wszystko wchodzi w za-

kres paralelizmu, on zaś nie może być pod nie podciągniony, podporządkowany. Logicy, naznaczając najwyższy szczebel „prawu sprzeczności," uznają niejako ten fakt naczelny, pierwotny (t. j. paralelizmu)."

Najgłębszym ze wszystkich stosunków, mówi autor (str. 285) jest stosunek przedmiotu i podmiotu, albo innemi słowy; umysłu i materyi, świata zewnętrznego i wewnętrznego. Osadzając ten paralelizm na podstawie psychologicznéj, autor przeprowadza go w duchu przypominającym Dekarta. Gdyby te dwie linie nie szły równolegle, nastąpiłoby ich przecięcie, i wówczas mielibyśmy najwidoczniejszy spinozyzm. Lecz Bain zabezpieczył się stanowczo pod tym względem. „Gdy po doznaném wrażeniu przyjemném (t. I, str. 286), lub przykrém budzi się w nas świadomość rzeczy rozciągłéj, jak np. drzewo, doświadczamy wówczas wrażenia różnicy; przeskoczyliśmy w istocie przepaść najgłębszą i najszerszą, jaką umysł kiedykolwiek przekroczyć może. Te dwa fakta są typami dwu ostatecznych, zasadniczych stanów świadomości ludzkiéj; są one ze sobą współrzędnemi, pociągają się wzajemnie, *nie mogą być* zredukowanemi, stopić się ze sobą w jakiémś doświadczeniu, w jakimś bardziéj jeszcze zasadniczym fakcie... Są to: *summa genera*."

Nie mogąc zatrzymywać się dłużéj na téj świetnéj wycieczce, nadmienimy tylko, że Bain w dalszym ciągu podaje własności (atrybuta) przedmiotu i podmiotu, własności wspólne obydwom, oraz wyłącznie tylko podmiotowi i przedmiotowi; trwanie i kolejne następstwo (z liczby), podług niego, służą zarówno zjawiskom przedmiotowym, jak i podmiotowym.

Element *czasu*, który skupia w sobie kolejność i trwanie, uogólnione do najwyższego stopnia i zredukowane do wspólnéj miary, stanowi własność wspólną obu światom, co zauważano już od zarania filozofii.

Dalej spotykamy tu treściwy ustęp o substancyi, oraz tablicę i ocenę kategoryi Arystotelesa.

Oto są źródła, z których, podług Bain'a, sąd czerpie treść swoję na orzeczenia.

Następnie mamy rzecz o wnioskowaniu bezpośredniém, czyli pozorném, o stopniowaniu w denotacyi, czyli oznaczaniu, o stopniowaniu w konnotacyi (spół-oznaczaniu), o przeciwstawieniu sądów i ich odwróceniu i t. d. Wreszcie, wyborny zbiór przykładów sądu, zaczerpanych z najrozmaitszych dziedzin naukowych zamyka teoryą sądów, nad którą zdawało się nam stosowném dłużéj się zatrzymać.

Znakomicie obszerna, bo trzecia część tomu pierwszego poświęcona jest *Dedukcyi*, a mianowicie: syllogizmowi, z jego aksyomatami i zbiorem przykładów (których, powtarzamy, nigdy zanadto być nie może w syllogistyce). Ileżby zyskała na *pedagogicznéj* wartości np. logika Ueberwega, gdyby nie dziwaczne skąpstwo w przykładach, albo ograniczanie się na trójkątach, ostrosłupach i t. p. Tak figury syllogizmu, jak ich tryby, autor wyłożył z mrówczą pracowitością, (tłómacz przytém dodaje jeszcze wzory syllogizmów z Kremera). W rozdziale

drugim autor dotyka „nowszych poprawek w sylogizmie, a mianowicie Hamiltona, De Norgun'a i Boole'a."

Żałujemy, że autor tak hojny co do Boole'a, wielbiciela *metody królewskiéj*, zamało rozpisał się o dodatkach Hamiltona, chociaż te dotyczą głębszych podstaw sylogizmu, gdy tymczasem poprawki Boole'a więcéj zajęte są subtelnościami trybów. Przypominamy czytelnikom, że Stuart Mill napisał cały, ogromny tom rozbioru filozofii Hamiltona, w którym przyznaje, że filozofia ta zaszczyca się w Anglii wielkim rozgłosem, ale, jak nam się zdaje, rozgłosem, który nie sprawiał Millowi wielkiéj radości. Otóż pomiędzy częściami swojego studyum, Mill poświęca cały rozdział „mniemanym postępom logiki formalnéj, przez Hamiltona dokonanym" [1]). W rzędzie filozoficznych odkryć Hamiltona, mówi Mill (rozdział XXII) niéma żadnego, wyjąwszy jego „teoryą warunkowości" któreby narobiły więcéj krzyku, jak poczytywane mu za odkrycia, dodatki i poprawki w syllogizmie. Wszystkie one sprowadzić się dadzą do dwu zasadniczych teoryi z wnioskami i zastosowaniem, to jest do uznania dwóch rodzajów sylogizmu, treściwego i zakresowego, i do nauki o ukrótnieniu orzeczenia (*quantification*)." Przed ocenieniem doniosłości *mniemanego* odkrycia w syllogizmie, Mill, naturalnie, uprzednio zbija zasadę Hamiltona, dotyczącą ukrótnienia predykatu. Ale podług naszego mniemania, Mill bynajmniéj niezachwiał téj zasady, jak czytelnik sobie przypomni z powyższego ustępu o sądach. Zwracamy się więc do sylogizmu. Hamilton podaje sylogizm np. taki:

Wszyscy ludzie są śmiertelni.
Paweł jest człowiekiem.
Paweł jest śmiertelny.

Ten sylogizm uważa za zakresowy, co znaczy, że: pojęcie *Paweł*, jako tkwiące w zakresie pojęcia *człowiek*, tkwi tém samém w jeszcze ogólniejszym co do zakresu pojęcia *śmiertelny*. Otóż sądzi on, że tenże sylogizm powinienby być pojmowanym i ze względu na treść; a więc w tymże sylogizmie (zmienionym tylko co do porządku przesyłek):

Paweł jest człowiekiem;
Wszyscy ludzie są śmiertelni,
Więc Paweł jest śmiertelny.

W tym sylogizmie, podług Hamiltona, odbywa się już nie podciąganie podmiotu szczególnego pod ogólniejszy i najogólniejszy, lecz podciąganie jego treści (znamion, przymiotów). Lecz ani Stuart Mill, ani Bain (podług nas niesłusznie), téj drugiéj strony uznać nie chcą, (owszem podług Milla, jestto subtelność szkodliwa). Po ogólnym wywodzie Mill powiada w końcu: „użyteczność nowych form (Hamiltona), nie jest bynajmniéj tego rodzaju, aby odpłacić mogła wielki zamęt, jaki wprowadza za sobą do teoryi sylogistycznéj. Celem form sylogistycznych jest to, aby służyły za probierczy kamień operacyi, wyprowadzającéj w języku zwykłym wnioski z przesyłek, postawionych w języku zwykłym.

[1]) Podług Milla mniemanemi tylko, ale podług nas: rzeczywistemi są odkrycia Hamiltona.

Nowe zaś formy bynajmniéj téj operacyi nie ułatwiają; owszem odwracają umysł od prawdziwego znaczenia sądów." A więc, odpowiadamy na to: Mill pragnie, aby do nieskończonéj przyszłości przetrwało to, co powiedział Kant; że „Logika od czasów Arystotelesa nie odważyła się zrobić kroku wstecz, ale téż dotąd nie mogła uczynić i kroku naprzód, a przeto podług wszystkich pozorów zdaje się być nauką zamkniętą i skończoną."

Podnosimy więc zdanie Hamiltona, że „ilość zakresu jest wyrobkiem abstrakcyi, mającym początek w ilości treści, którą doświadczenie i natura rzeczy same bezpośrednio nasuwają umysłowi. Treść jest dla nas rzeczą główną... Jestto monarcha istotny, stojący za tronem nawet wówczas, gdy zakres stroi się we wszystkie zewnętrzne ozdoby królewskości."

W ostatnich rozdziałach dedukcyi autor mówi o zadaniu i wartości sylogizmu, o rozumowaniu łańcuchowem, umiejętnościach dedukcyjnych, dowodzeniu i aksyomatach.

Księgę III Bain poświęca indukcyi, stanowiącéj, jak powiada, najszerszy dział badań naukowych, wskazuje jéj znaczenie i cel, zasady, a następnie przeprowadza jéj działalność pod ustanowionemi poprzednio kategoryami spółbytności, przyczynowości i równości (przyczém dłużéj zatrzymuje się na téj ostatniéj, odkrywając tkwiące w niéj zasady eliminacyi). Następują metody doświadczalne, ich chybiania, zasady tłómaczenia natury, hipotezy, analogia, oraz pomocniczy wpływ dedukcyi przy badaniach indukcyjnych.

Ponieważ indukcya jest drogą prowadzącą do tworzenia sądów ogólnych za pomocą obserwacyi albo faktu, przeto mamy w niéj trzy rzeczy istotowe: 1) rezultatem jéj powinien być sąd orzekający zgodność lub niezgodność, co właśnie jest odwrotnością wobec pojęcia; 2) sąd powinien być ogólnym, czyli dającym się zastosować do wszystkich przypadków pewnego rodzaju; 3) metoda indukcyi powinna być odwoływaniem się do obserwacyi albo faktu.

Zbyteczne powodowanie się widokami ogólności, sprawia, że zamiast sądu rzeczywistego, uzyskujemy w rezultacie sąd jedynie słowny, a zamiast indukcyi, tylko określenie. Zadaniem jéj jest nietylko nawlekanie znanéj przeszłości na jednę nitkę, ale ogarnięcie faktów domyślnych w danem i przewidywanych. Indukcya, będąca jedynie podsumowaniem dostrzeżonych faktów szczegółowych, jest indukcyą niewłaściwą, a więc jedynie: tak zwaną indukcyą.

„Gdyśmy, mówi Bain (t. II, str. 3), przekonali się, że każdą planetę oświeca słońce i mówimy następnie, że wszystkie planety od słońca odbierają światło—tworzymy sąd ogólny, to prawda, ale ten we właściwém znaczeniu indukcyą nie jest. Był on indukcyą w epoce, kiedy znano sześć tylko planet, bo wówczas był on krokiem śmiałym."

Niekiedy sąd wyprowadzony drogą dedukcyjną ma wielkie pozory indukcyi, a jednakże nią nie jest. Dowodzenie np. Euklidesa o równości kątów przy podstawie trójkąta równoramiennego, jako oparte na figurze, wcale wygląda na indukcyą, a przecież ma tylko jéj pozory. Również niewłaściwie jest stosować wyraz: indukcya tam, gdzie idzie

o wykrycie tożsamości, mającéj uzasadnić przesyłkę mniejszą. Autor, swoim chwalebnym zwyczajem, unaocznia to na przykładzie naukowym, na tym wniosku Kepplera, że wszystkie położenia Marsa mieszczą się w elipsie pewnych wymiarów. „Jeżeli Keppler odkrył tu jedynie tożsamość między szeregiem dostrzeżonych położeń Massa, drogą eliptyczną, w któréj ognisku znajduje się słońce, a więc odkrył przesyłkę mniejszą, do znanéj już poprzednio przesyłki większéj (t. j. do twierdzeń o elipsie), nie było to indukcyą."

Duch metody indukcyjnéj, podług autora, streszcza się tak: „to czemu nigdy nie zaprzeczono po dostatecznych badaniach, powinno być uznane za prawdę."

Zatrzymajmy się tu na chwilkę i zapytajmy, co tu leży na dnie całego systematu? Ponieważ Bain uznaje, że wszelką dedukcyą wogóle, na całéj linii badań ludzkich, poprzedzić musiała indukcya, (czyli *wywodzenie*, jak mówi Śniadecki), oczywisty wniosek, że praw absolutnie ogólnych, praw, któreby obowiązywały z całą wszechstronnością, *a priori* my, w zakresie naszéj ludzkiéj świadomości pomyśléć, przypuścić nie możemy. Cały tedy nasz arsenał pojęć, wniosków, nawet pewników, jest jedynym zbiorem prawodawstwa *zwyczajowego*, o mniejszym lub większym zapasie dowodów faktycznych, jednorazowych, prawodawstwa, na łasce i niełasce, co chwila narażonego na zachwianie! Cóżto bowiem jest indukcya, uważana w najwyższém swojém upostaciowaniu filozoficznem? jestto postawienie *wielości* w roli i powadze wszystkości.

Lecz Bain takiego położenia rzeczy nie uważa bynajmniéj za przepaść. To, cośmy przed chwilą nazwali (od siebie) zwyczajowością, Bain i w ogóle cała ta uczelnia, uważa sobie jakoby za rękojmią, jeśli niedorównywającą pewności absolutnéj, to przynajmniéj mogącą ją zastąpić w granicach naszéj umysłowości.

Gdzież jest więc owa (podług nas dopiéro względna) rękojmia, upoważniająca do wstawienia nowego faktu w ramy, zajęte już przez pewien szereg faktów uprzednich? Bain odpowiada: rękojmią tą jest *jednostajność przyrody*. Zasada ta, mówi Bain, rozmaicie w mowie bywa wyrażaną; i tak mówimy: „przyroda się powtarza; przyszłość podobną jest do przeszłości; nieobecne, podobném do obecnego; wszechświatem rządzą prawa." W całym jednym i wielkim dziale nazywamy tę zasadę przyczynowością lub prawem przyczyny i skutku.

Ale bieg świata pokazuje nam nie jedyną jednostajność. W czasach pierwotnych umysł ludzki głęboko był przekonanym o mniemanéj *jedności* przyrody; dzisiaj zaś wiemy, że istnieje wiele szeregów zjawisk, z których każdy ma osobne i właściwe sobie zasady, czyli prawa.

Wyrażenie: „prawo przyrody" jest, zdaniem autora, równoznaczne z témi dwoma zdaniami: 1) że przyroda jest jednostajną; 2) że ta jednostajność ogarnia wielkie mnóstwo osobnych jednostajności.

„Wyraz „prawo" jest tu metaforą pożyczoną z organizacyi społeczeństwa ludzkiego, gdzie zachodzi stosunek władzy i podwładnych. Definicya prawa w ścisłém znaczeniu nie daje się stosować do kolejno na-

stępujących po sobie zjawisk natury fizycznéj. Prawa obowiązują zawsze i wszędzie wszystkich obywateli, noszą charakter *jednostajności.*"

Ze względu na metodę logiczną (mówi Bain), można powszechną jednostajność przyrody rozdzielić na trzy gałęzie, wskazane już przy klasyfikacyi sądów: 1) spółbytność (połączenie własności w tym samym przedmiocie); 2) przyczynowość; 3) równość. Pod kategoryą spółbytności pomieszczono tu porządek w przestrzeni i własności, tkwiące w tym samym przedmiocie; porządek w przestrzeni wyrazić się daje za pomocą praw ilościowych. Pod kategoryą następstwa pomieszczono porządek w czasie i przyczynowość; porządek w czasie jest stosunkiem czysto liczbowym. Trzecia kategorya równości i nierówności, jest podstawą matematyki, t. j. nauki o ilości i liczbie.

Tym sposobem mamy u autora trzy osobne działy badań naukowych, w których czynną jest indukcya. Bacząc jednak na wyniki indukcyi, widzimy, że indukcya zajęta jest wyłącznie drugim działem, t. j. przyczynowością. Cały zawiły mechanizm badania indukcyjnego, nazwany logiką (lub metodą) indukcyjną, ogranicza się do przyczynowości. Najdzielniejsze sposoby, mające na celu eliminacyą okoliczności przypadkowych i ujęcie istotnych, towarzyszących faktom, t. j. „metody doświadczalne," dają się w całości stosować jedynie przy poszukiwaniu praw wiążących przyczynę ze skutkiem.

W rozdziale: „Indukcya spółbytności," zwracamy uwagę czytelnika na tę myśl Bain'a, „wiele praw wyrażających współbytność, można odnieść do przyczynowości. Należy zbadać, czyli są takie, których tam odnieść nie można." Myśl ta mocno przypomina naukę Szopenhauera o „pierwiastkach prawa przyczynowości," a mianowicie dział jego o przyczynie bytowéj (*causa essendi*).

Następnie autor przechodzi do prawa przyczynowości, któremu, jako najważniejszemu, obszerny poświęca ustęp. Cała kwestya przyczynowości prowadzoną tu jest w porządku, znamionującym ducha szkoły w stopniu jeszcze wydatniejszym, aniżeli wszystkie inne części tego dzieła. Bain przyjmuje, a raczéj zastrzega sobie z góry przyczynowość, jako fakt—metafizyczne, ba nawet psychologiczne uzasadowienie tego faktu nie jest jego zadaniem. Ale zato w granicach pojęcia przyczyny, jako faktu, czytelnik z wielkiém ożywieniem dział ten czytać będzie, nietylko bowiem *wrozumie się* on w teoryą autora, ale przytém i nauczy się wielu rzeczy. Prawo przyczynowości Bain tak wyraża: „w każdéj zmianie zachodzi jednostajny związek między zjawiskami poprzedzającémi a następującémi." Zresztą w określeniu pojęcia przyczynowości, probuje on rozmaitych redakcyi, z których najpierwsza tytułowa, zdaje nam się niepewną; brzmi ona tak: „prawa kolejnego następstwa, przejawiające się w przyrodzie, podlegają jednemu wielkiemu prawu przyczynowości."

Pominąwszy praktyczny punkt zapatrywania się na przyczynowość, oraz punkt widzenia naukowy, autor przenosi ją następnie pod punkt widzenia nowoodkryty w dziedzinie filozofii natury: prawo *zacho-*

wania siły. I tu następuje szereg ciekawych szczegółów specyalnie naukowych, które autor zwykł kończyć jakiémś zastosowaniem i wskazówką metodyczną lub wykryciem błędu (tak np. że otoczenie, t. j. okoliczności towarzyszące zjawisku, a więc stanowić mogące część jego przyczyny, brane bywa niekiedy błędnie—za samą przyczynę).

Z kolei mówi o wyłączeniu indukcyjném, mającém na celu to, aby odkrytą być mogła przyczyna i skutek w daném zjawisku, w wyzwoleniu czynników towarzyszących wprawdzie zjawisku, ale niepowodujących go. I tu znowu mamy poczet ważnych wskazówek metodycznych, jakiemi przy wyłączeniu (eliminacyi) kierować się należy; wszystko zaś to wyjaśnioném jest i ożywioném faktami z przeróżnych dziedzin naukowych. Jedynym zarzutem, jaki zrobićbyśmy mogli temu działowi, jest ten, że Bain wprost przechodząc od przyczynowości do siły, niczém tego przejścia nie upośrednił. A przecież trudno się zgodzić na utożsamienie tych dwu pojęć: przyczyna i siła.

W dziale o metodach autor podaje poważne i zajmujące przykłady metod doświadczalnych. Wadliwości metod wogóle sprowadza do dwu głównych, a temi są mianowicie: nieumiejętność znalezienia się co do kwestyi, czy w danym skutku tkwi jedna lub więcéj przyczyn i odwrotnie. Następnie wskazuje zapobiegające środki metodyczne.

Przed zamknięciem ogólnego traktatu o metodzie, autor rozwodzi się nad definicyą, w któréjto części szczególniéj zwracamy uwagę czytelnika na dział o wyrazach ogólnych (t. II, str. 198—212). Pod definicyą matematyczną (t. II, str. 234—235) spotykamy pewne, niezupełnie spodziewane ustępstwo od karności szkoły: przyznanie pojęć pierwotnych określić się nie dających (*fundamental and indefinable notions*... termin polski *pierwotne* wydaje nam się tu nieco chwiejnym). W określeniu liczby autor słusznie odwołuje się do znanéj genezy psychologicznéj, przypominającéj w zastosowaniu naukę Kanta o czasie, a mianowicie, że „liczba czyli ilość krotna, jest szeregiem wrażeń umysłu przerywanych, rozłączonych przez niejakie przestanki: wrażeń kolorów, dźwięków i t. p."

Otóż w tych i tym podobnych szczegółach uznajemy niesłychaną ważność dzieła, albowiem czytelnik zyskuje mnóstwo faktów z całego obszaru wiedzy ludzkiéj nagromadzonych. Ale obok téj zalety wytknąć mu musimy to, że niekiedy podrażnia ciekawość czytelnika zbyt ucinkowém potrącaniem. Tu np. w kwestyi liczby należałoby przejść daléj poza stronę psychologiczną.

W księdze V autor pokazuje nam prawodawstwo logiczne z innéj strony: przedstawia on rozliczne sfery umysłu, wśród których najdzielniejsze znajdują zastosowanie wszelkie teorye logiczne; jestto *Logika nauk*, jeden z działów najobszerniejszych (t. II, str. 229—425) i podobno najpożyteczniejszych. Autor bowiem przebiega tu wszystkie poważne organa wiedzy ludzkiéj, od matematyki aż do medycyny i polityki, obznajmiając czytelnika z wynikami najświeższemi wszelkich dzielnic (biologii, nauk przyrodzonych, ściśle filozoficznych i t. p.),

a w każdéj z tych dzielnic dotrzymując planu ogólnego, t. j. podając naprzód pojęcia, następnie sądy, definicye, dedukcyjny lub indukcyjny przybór lub połączenie obydwu w prowadzeniu każdéj umiejętności.

Niepodobna tu nam streszczać pojedyńczych działów *Logiki nauk*, dla pokazania jednak tonu i taktu naszego pisarza, przytaczymy np. ustęp z logiki biologii, a mianowicie ustęp o organizmie (wobec ciał nieorganicznych). „Ciała żyjące mają budowę sobie właściwą i szczególniéj zawiłą; nazywamy ją pospolicie *organizmem*. Do pojęcia życia przywiązujemy zawsze pewien mechanizm, różny w różnych jednostkach i który w gatunkach zwierząt najwyższych dosięga takiéj zawiłości, jakiéj się nie spotyka w żadnym innym dziale przyrody. Organa takie jak oko, mózg, mogą służyć za przykład najwyższéj doskonałości pod względem mechanizmu i organizacyi... Istotną cechą życia jest Indywidualność... Jako wynik indywidualności, jako cechę przywiązaną do budowy, podać możemy okoliczność tak ważną, iż byłoby nie do darowania, gdyby ją opuszczono w pełnéj definicyi życia, mianowicie: że i w istotach organicznych spotyka się wielką rozmaitość form i budowy. Jednostajność czyli jednokształtność jest prawem powszechném materyi nieożywionéj; rozmaitość zaś jest charakterystyczném znamieniem istot żyjących. Na tysiące liczymy rozmaite kształty roślin i zwierząt. Jest więcéj niż sto tysięcy gatunków roślinnych, a więcéj jeszcze zwierzęcych. Istotném zadaniem biologii jest obmyślić podział tego ogromu form rozmaitych. I ta okoliczność, między innemi, czyni z biologii naukę szukającą pomocy w klasyfikacyi" (t. II, str. 298—299).

Księgę VI autor poświęca sofizmatom (str. 425—460). W końcu dzieła znajdujemy pomiędzy innémi dodatek przedstawiający rozwój *Logiki indukcyjnéj* (Bakon, Newton, Herszel, Whewell).

Oto jest plan obszernego, dwutomowego dzieła, które nieodwołalnie do rąk każdego ucznia, zmierzającego ku pewnéj dojrzałości dyalektycznéj dostać się powinno.

Tłómacz w energicznéj, treściwie obmyślonéj przedmowie (t. I, str. XVIII) poświęca kilka rysów pracom Bain'a, przyznając najprzedniejsze miejsce utworom jego, dotyczącym filozofii wogóle, a w szczególności: psychologii i logiki. Z kierunku swojego nie potakując apryoryzmowi, tłómacz i z naszéj przeszłości zbiera skrzętnie głosy przeciw filozofii spekulacyjnéj odzywające się. Hołd dla wielkich imion: Kołłątaja, Śniadeckich, Dowgirda, Wiśniewskiego, nie kłamanie podzielamy z tłómaczem. Tylko zdanie jego o autorze *Źródła wiedzy tegoczesnéj* (Dominiku Szulcu), arcy-zasłużonym historyku, gorącym przeciwniku wszelkich uzurpacyi etnograficznych, wolelibyśmy widzieć nieco złagodzoném. Podnosimy wprawdzie z dumą narodową zdanie Müllera o „celującém dziele Jędrzeja Śniadeckiego (*Teorya jestestw organicznych*); zdanie L. Feuerbacha o Koperniku; ale myśl trzech ostatnich wierszy *Źródła wiedzy* (str. 85) podług nas, inaczéj nieco zredagowaną być była powinna przez męża dostojnéj pamięci: Dominika Szulca.

Przekład polski *Logiki* Bain'a uważamy za wyborny, rozumiejąc przez to coś więcéj, niż jakieś tam wykończenia *stylowe*. Tłómacz nietylko zrozumiał i pojął mistrza, ale przytém, znając ducha mowy polskiéj na jéj wysokości filozoficznéj, na téj ją wysokości *posunął* daléj. Polską Logikę Bainą uważamy za godną ze wszech miar prawa obywatelstwa w pośród nas.

Feliks Jezierski.

Z PODRÓŻY I PRZECHADZEK

PO POŁUDNIOWO-ZACHODNIÉJ NORWEGII *).

Z LUŹNYCH NOTATEK SPISAŁ

Stanisław Bełza.

IV.

W wagonie kolei żelaznéj.—Droga do Eidswold.—Z czego pamiętne Eidswold? —Na jeziorze.—Moje otoczenie.—Ląd i Lillahamer.

Codziennie rano wychodzi ze stolicy Norwegii pośpieszny pociąg do Eidswold, którym jechać każdy musi, kto chce Miösen oglądać. Puściłem się więc i ja tą drogą. Nie powiem jednak by przedstawiała ona jakikolwiek dla podróżnego interes. Broń Boże! Okolica, którą przecina, jest jednostajna i pospolita, a choć tu i owdzie widnieją zdala góry, przecież nie nęcą one ku sobie.

Powiem tylko, iż cała ta linia długa jest na sześć mil norwegskich a kończy się na mieście, które jéj nazwę nadało.

Eidswold słynne jest w historyi norwegskiéj z tego, że tu w roku 1814, stany państwa zawotowały oderwanie swéj ojczyzny od Danii i połączenie jéj ze Szwecyą. Tu to zebrali się przedstawiciele ludu i ogłosili światu, że nić łącząca ich tak długo z kolebką Torwaldsena, stanowczo i na wieki rozerwaną została. Pomiędzy stacyami Dal i Eidswold oglądać nawet można budynek, upamiętniony zebraniem mężów, którzy tym aktem ze Szwecyą się połączyli. Oprowadza po nim stary włościanin, który sam był członkiem tego pamiętnego w dziejach Norwegii zebrania. Budynek jest drewniany i niczém ciekawém się nie odznacza, prócz chyba galeryi portretów, które przecież tylko historyczną wartość mają.

*) Dokończenie—patrz zeszyt za czerwiec r. b.

— Ale otóż i Eidswold—woła donośnym głosem konduktor. Miasto gdzieś ukryło się za górą a przed nami stacya kolei. Wysiadamy więc. W dali błyszczy zwierciadło wód białych i nieruchomych: to Miösen, owo cudne Miösen, którém się szczyci każdy Norwegczyk, jak Kolonia katedrą swoją. Idziemy do przystani. Tu krzyk, zgiełk i zamieszanie. Do budki kasyera wszyscy się cisną, wołając o bilety, jak gdyby lękali się by ich statek na lądzie nie zostawił. Widok mam piękny i urozmaicony. Tam góry i stacya kolei, tu woda i fałszywe śpiewy majtków, a naokoło mnie masa zbita ludu, ruchoma jak fale morskie, hałaśliwa jak dzieci.

Nareszcie wszystko się uspokaja. Fale ludu rzednieją powoli, a raczéj toną na pokładzie olbrzymiego statku, przed którym stoi kapitan i zaciera ręce z radości. Przybliżam się wtedy do niego i proszę o bilet: *til* (do) Lillahamer.

Chcąc bliżéj i dokładniéj poznać Norwegczyków, bynajmniéj nie powodowany względami oszczędności, zamówiłem sobie miejsce na pokładzie. Wprawdzie lękałem się cokolwiek sąsiedztwa beczek ze śledziami, ale pocieszała mnie za to nadzieja, że będę miał dokoła siebie dzieci ludu, z całą ich rozmaitością i odrębnością; nie ujęte na szczęście jeszcze w te światowe foremki, które paryżanina *z towarzystwa*, niczém nieodróżniają od mieszkańca Sztokholmu, a Polaka upodobniają do Hiszpana lub Portugalczyka. Z tą nadzieją wszedłem na pomost, bo majtkowie niezadowoleni widocznie ze mnie, że jeszcze na lądzie zostaję, zaczęli mi pokazywać gestami, że już niedługo odpływamy. Jakoż zaledwiem ulokował się na mojém nowém stanowisku i usiadł na antałku piwa (ławek na pokładzie, tak jak w naszéj czwartéj klasie kolei nie ma; biédni ci biédni!) zaczęto wrzeszczéć i gwizdać, biegać i łajać—ruszyliśmy.

Zanim rozejrzę się dokoła siebie, z kim ja téż do Lillahamer jadę, pierwéj zwrócić muszę uwagę na to, gdzie jadę i na czém jadę.

Jakto na czém? I mnie się zdawało, że zadawać sobie to pytanie było rzeczą zbyteczną, ale gdy jeden z moich towarzyszów po półgodzinnéj podróży odezwał się najczystszym niemieckim dyalektem:

— No, dzięki Bogu, jużeśmy na Miösen wpłynęli—uznałem za potrzebne roztworzyć mój Przewodnik po Norwegii i oto com w nim wyczytał:

— Wypłynąwszy zpod Eidswold, pierwsze pół mili jedzie się po szerokiéj rzece Wormen, która przy stacyi Minne do jeziora Miösen wpada i t. d. i t. d.

Zaraz mi przyszło na myśl, że gdyby nie mój niemiec, mimo dokładny przewodnik nie byłbym się o tém dowiedział; daléjże więc w pogawędkę z Niemcem.

Był to hamburczyk: pół żyda, pół niemca; kupiec i awanturnik. Handlował piwem i przez całą zimę w zadymionéj knajpie jak szynka się wędził, ale gdy nadeszło lato, zostawiał knajpę żonie, a sam z mantelzakiem, tysiącem talarów w kieszeni i *Wacht am Rein* na ustach—

w świat. Gdzie on nie był, czego nie widział! Pogawędziwszy z nim pół godziny, miałeś go jak na dłoni. Wywnętrzył ci się kim jest, kto go rodzi, ile ma majątku i dzieci, które kraje dotąd zwiedził i które jeszcze zwiedzić zamyśla. Gdy się dowiedział że jestem Polakiem, powiedział mi prosto z mostu komplement, że Polaków nie lubi; ale gdym go przyparł do muru, za co ich nie lubi, przekonałem się, że ten poczciwiec nieledwie tak potrafi myśléć, jak moja para butów. Dałem mu więc pokój i odszedłem ku drugiéj gromadzce, która wskazywała coś na prawo i urywanemi słowami zdradzała swój zachwyt.

Spojrzałem. Na prawo i na lewo przesuwały się cudne panoramy. Byliśmy już na Miösen, które w tém miejscu nie bardzo szerokie, kręci się i wije wdzięcznie. Dokoła wody rosły rozkosznie zielone pagórki i śmiały się do nas tak wdzięcznie, że oderwać się od nich oczów nie chciało. Pagórki te ustępowały wciąż miejsca następnym, statek bowiem mknął jak strzała, ale wszystkie, które przychodziły nas pozdrowić wyglądały tak uroczo i wdzięcznie, że gdyby odemnie zależało, byłbym zatrzymał statek i podpłynął do nich bliżéj, chcąc się przekonać, czy nie są one tym uroczym mirażem, co błądzącego po pustyni Araba, jak błędna mara wiecznie do siebie wabi.

Zewsząd słyszę:

A! Ach! a mój szynkarz klaszcze w dłonie i woła: *reitzend! schön!*

Istotnie jest to co widzimy piękne. W ogóle charakter krajobrazów, jakie Miösen daje, jest spokojny. Nie masz tu groźnéj natury, jaka cię przeraża na jeziorach szwajcarskich, lub Morskiém oku w Tatrach; widoki tu mniéj dzikie. Lekkie wzgórza, czasami tylko przechodzą w strome góry, częściéj jednak rozpływają się w falistości gruntu, która niekiedy, jakby na żart w płaszczyznę się zamienia. Tu i owdzie wyglądają zpoza tych górek nieśmiałe rybackie domki, tu i owdzie kępki czarnych drzew kąpią swoję postać w białém wód zwierciadle, jasnowłose dziewczęta rozciągają na słońcu płótna; pospolitości, jedném słowém tu więcéj, ale ta pospolitość pokryta takim całunem smutku, takiemi melancholijnemi źrenicami Północy spogląda na ciebie, takim cię spokojem przyobleka, taką pogodę udziela, że nieoddałbyś jéj, ręczę, ani za słynną kaskadę Renu, ani za piekielne widoki Zawratu, ani za nic, co przemawia do ciebie grozą i potęgą a nie miłością i wdziękiem.

Tu, na Miösen wszystko drobne, wesołe i urocze, tu nic cię nie przestrasza a wszystko pociąga, nic nieodpycha a wszystko wabi; a spokój wewnętrzny, jaki ci te widoki dają, sprawia, że lgniesz ku nim całą duszą.

Ze wszystkich norwegskich jezior, Miösen jest najdłuższe. Wzniesione 387 stóp nad powierzchnię morza, w najgłębszém miejscu wynosi 1442 stóp, a na przebycie jego potrzeba 8 godzin. Godziny te jednak mkną ci szybko i przyjemnie tak, iż u kresu podróży nie czujesz znużenia. Ponad samym brzegiem jeziora witają cię kilka razy piękne rybackie mieściny, jak Ekornholmen, Stigersan Gillund, Hamar, Bi-

rid, Frengstuen i inne. W środku jeziora leży śliczna wyspa Helgeo (Święta wyspa), wyglądająca jak rozkoszna oaza w piaszczystéj pustyni. Obsiedli ją rybacy i ogrodnicy; wyspa bowiem oblana dokoła wodą, odznacza się wielką urodzajnością.

Przeciskam się przez tłum oblegający mnie, by się téj wysepce lepiéj przyjrzéć.

Przybliża się do mnie Niemiec.

— Coto za nieznośni ci pasażerowie — mówi — przemawiasz do nich jak do ludzi, a oni ci nie odpowiadają i jeszcze się śmieją.

— Widocznie nie rozumieją pana—odrzekłem.

— Ach! dziś przecie cały świat po niemiecku mówi—i znowu zagwizdał *Wacht am Rein*.

Wzruszyłem ramionami i z politowaniem spojrzałem na tego pruskiego *kulturträgera*, mającego żal do tych poczciwych i spokojnych Norwegczyków, że jego knajpowych konceptów rozumiéć nie raczą.

Bo istotnie ci Norwegczycy są rzeczywiście poczciwi i spokojni.

Podczas moich późniejszych wędrówek po Norwegii, miałem sposobność bliżéj przekonać się o tém, i na pokładzie statku przecież, obserwacyą tę nie trudno było mi zrobić.

Jechałem umyślnie na pokładzie, aby lud poznać; zewsząd miałem około siebie ludzi stanu trzeciego, spodziewać się więc mogłem pewnych wybryków, jakich ludzie téj klasy zawsze sobie pozwalają, ilekroć znajdują się w swojém kółku. A jednak na pochwałę ich powiedzieć muszę, iż nic takiego nie dostrzegłem, coby mnie w jakikolwiek sposób nieprzyjemnie dotknęło. Gwaru wprawdzie było pomiędzy niemi co niemiara, ale wszyscy zachowywali się przyzwoicie i nie zdradzali brutalnych narowów. Co mnie szczególniéj, patrząc na nich uderzyło, to pewien szacunek, jaki wszyscy kobietom okazywali. Szacunek ten (którego pomiędzy Niemcami nie szukaj) przejął téż mnie dla nich szczerą sympatyą.

Dopływając do Hamar, stanąłem przy baryerze a myśli moje pobiegły aż na brzegi sinéj Wisły. Zadumany wpatrzyłem się w przezroczystą dal, gdy nagle odgłos zbiorowego śpiewu wyrwał mnie z zadumy.

Oglądam się i cóż widzę?

Oto całe moje towarzystwo wyjęło książki do nabożeństwa i śpiewało pieśń religijną o Chrystusie. Kobiety prym trzymały a mężczyźni wtórowali im głosem czystym i donośnym. Było to widowisko tak piękne, jakiemu równe nie prędko chyba zobaczę. Ukołysany harmonią uroczą, wsłuchiwałem się długo, długo w ton smętny i natchniony, a gdy pieśń ukończoną została i chwilowe milczenie zapanowało na pokładzie, zdało mi się że bardziéj jeszcze kocham ten lud poczciwy, chwalący Pana nad Pany tak prosto i szczerze, a tak gorąco i tak rzewnie..

Mimowolnie wzrok mój padł na Niemca. Stał on z założonemi na piersiach rękami i szklanném okiem patrzał na otoczenie swoje.

I on się zdawał być wzruszonym, choć tego nie chciał po sobie pokazać. Ale to widać było po nim, bo wzruszenie jakie w nas ta pieśń sprawiła, owładnęło wszystkiém i wszystkimi a mnie się zdaje że i matką nawet naturą.

Podszedłem ku niemu i kładąc mu rękę na ramieniu zapytałem:

— Czy trwasz pan przy swojém zdaniu, że ci norwegczycy są nieznośni?

Spojrzał na mnie z głęboką zadumą, machnął ręką i odszedł nic nie mówiąc. Zauważyłem jednak, że już *Wacht am Rein* nie nucił.

Tymczasem statek, który się dotąd lewéj strony trzymał, nagle zrobił zwrot na prawo i szybko biegł ku jakiéjś górze, na któréj ukazywało się miasto. Była godzina 6 po południu; ośm już godzin byliśmy odcięci od lądu; nie sądziłem przecież by ukazujące się miasto było Lillahamer, nie widziałem jeszcze bowiem końca jeziora. Kapitan jednak statku, do którego się zwróciłem z zapytaniem, objaśnił mnie że miasto na górze jest Lillahamer, że u stóp jego kończy się jezioro Miösen, a widniejąca w dali woda, to rzeczka Laagen wpadająca do jeziora. Zadowolony tém objaśnieniem, wziąłem mój pakunek na rękę, gotując się do wyjścia, a w téjże prawie chwili statek przystanął i przez rzucony pomost wydostałem się na ląd. Byłem w Lillahamer.

V.

Daléj w góry.—Ląd i Lillahamer.—Noc w hotelu.—Gore!—Droga do Listad. —Miłe spotkanie w Kirkesten.—Gdzie naszych niéma?—I jeszcze raz Chrystyania.

Lillahamer leży na wysokiéj górze. Chcąc się do miasta dostać, musisz, mój podróżniku, drapać się pod górę, aż cię nogi dobrze zabolą. Jeżeli zaś chcesz oszczędzać nogi, a pieniądze wyrzucać, możesz nająć jednokonny wózek, który cię za kilka szylingów do miasta dowiezie. Codziennie podczas przyjazdu i odjazdu statków parowych, masz takich wózków w przystani pod dostatkiem, a że ruch pasażerski na Miösen jest znaczny, przeto właściciele tych wózków niezłe robią interesa.

Ja idę do miasta piechotą, niosąc mój pakunek na ramieniu i błogosławię stromą drogę, jak umiem. Droga ta wije się przedemną wężykowato i w pół godziny nareszcie doprowadza mnie do miasta. Jest wieczór jasny i pogodny, przedemną mieścina niewielka i uboga, a w dali wspaniałe jezioro, którem dopiéro co opuścił: co tu robić z czasem? Wskazują mi najlepszy hotel Ormsrud, staję więc w nim i wychodzę po chwili do jadalnéj sali, gdzie licznie zebrane towarzystwo spożywa kolacyą. Gwarno tu i huczno aż miło, tak jak w jakiém wielkiém mieście. Przy dwu stołach w sali, siedzą rzędami obojéj płci goście, a języki całego niemal świata, dają się słyszéć w tém zebraniu. Nad wszystkiemi jednak dominuje język angielski, którego ja na nieszczęście nie umiem.

Mój towarzysz jednak z lewéj strony, mówi bardzo nędznie po niemiecku, zawiązuję więc z nim rozmowę, ale po chwili dochodzę do przekonania, iż kto źle mówi pewnym językiem, lepiéj robi gdy usta zasznurowane trzyma.

Gdybym przybywszy do Lillahamer znalazł się był w towarzystwie rozumiejącém mnie dobrze i przezemnie rozumianém, naturalnie, że byłoby niedarowaną rzeczą, gdybym je po krótkim pobycie porzucił. Że jednak trafiłem tak nieszczęśliwie, iż do nikogo ust otworzyć nie mogłem, przeto nic dziwnego, że spożywszy moję *fisk* (rybę) i wypiwszy kufelek *öl* (piwa), wycofałem się dyskretnie do mojego pokoju, gdzie nie mając nic lepszego do roboty, po przeczytaniu paru kartek niemieckiego Przewodnika po Norwegii, powierzyłem się opiece najlepszego z bogów nieśmiertelnych, bo Morfeusza. Niestety, po wieczorze źle spędzonym, w nocy pociechy nie zaznałem, około bowiem północy przebudził mnie hałas na ulicy. Podnoszę się z łóżka i wychylam głowę przez lufcik.

Zewsząd słyszę wołania: *ild*, *ild!* (ogień, ogień!).

Masz tobie, myślę, pożar gdzieś wybuchnął; może sławetny Ormsrud nawet zgorzéć: niechcąc zatém upiec się w tym ogniu, ubieram się coprędzéj, biorę pakunek w rękę i za chwilę jestem na dole.

— A pan gdzie wyjeżdża o téj porze?—pyta mnie po niemiecku szwajcar.

— Jakto gdzie? Przecież się pali, może hotel spłonąć.

— Ale co znowu, my tu jesteśmy bezpieczni. Palą się stogi siana za miastem, ale ogień już opanowano. Wracaj pan do numeru i śpij spokojnie. *God nat* (dobranoc).

— *God nat*—odpowiadam i powracam do siebie.

Rozebrać się i powtórnie położyć do łóżka, było już rzeczą jednéj chwili, tak téż uczyniłem i powstałem nazajutrz dopiéro wtedy, kiedy ruch i hałas na korytarzach wskazały mi, że już wszystko co Boga chwali znajduje się na nogach.

Była niedziela. Słońce zrobiło już dobry łuk na sklepieniu niebieskiém, kiedy spożywszy śniadanie z jaj na miękko i bulionu złożone, zdecydowałem się wyjść na świat i ostatecznie obmyśléć, co mi z osobą moją robić wypada. Po niedługim namyśle powiedziałem sobie, że świętować w Lillahamer nie warto i że należy ruszać w góry.

Jak ruszać?

Miałem do wyboru dwa sposoby: albo na własnych nogach, albo na karyoli; wybrałem pierwszy, był bowiem o wiele od drugiego tańszy.

Daléj więc w góry!...

Zanim jednak puszczę się na północ, przedewszystkiém wypada mi choć paroma słowami pożegnać Lillahamer. Otóż powiem, że miasto to wzniesione jest na 1827 stóp nad poziom morza i liczy 1700 mieszkańców. Ponieważ przez Lillahamer przechodzi wielki, handlowy trakt z Chrystyanii do Drontheim i tu noc zawsze przepędzić wypada, przeto mamy tu aż trzy hotele (Ormsruds, Hammer i Victoria), które prawie nigdy na brak gości nie narzekają. Okolice miasteczka są pię-

kne, nie zasługują przecież na bliższe poznanie. O ćwierć mili mamy malowniczy spadek małéj, przepływającéj przez miasto rzeczki Mesny, który to spadek widzieć warto. Zresztą nic już więcéj w Lillahamer nie zatrzymuje uwagi turysty.

Z Lillahamer (jak mi przewodnik powiada), mamy do Listad przeszło sześć mil, postanawiam więc tę drogę rozłożyć na dwa dni i wyruszam z miasta.

Zaledwie opuściłem rogatki miejskie, oko moje uderzył prześliczny krajobraz; naraz bowiem znalazłem się jakby we wrotach wysokich gór, ciągnących się łańcuchem bez końca. Środkiem tych gór biegnie wężykowata droga, miejscami tak wązka, że dwa wozy minąćby się nie mogły, a po lewéj jéj stronie szemrze uroczy strumień, tocząc swe błękitne, spienione wody do rozwartéj paszczęki Miöseńskiego jeziora. To Laagen, niewielka ale wartka rzeczka, przyjmująca znowu gościnnie w swoje objęcia wszystkie strumienie i ścieki górskie.

Naturalnie, przy tylu przepysznych widokach, jakie co krok na téj drodze cię spotykają, iść szybko w żaden sposób nie można. Wszystko tu bowiem jest dla ciebie nowém: i góry i rośliny i ludzie, ze wszystkiém też się poznajomić pragniesz; wszystko do ciebie przemawia językiem nieznanym wprawdzie, ale tak sympatycznym i wdzięcznym, iż wsłuchiwać się godzinami bierze cię chęć w tę harmonią uroczą, mimo to że przed tobą nieznane strony, które cię bogatszemi daleko skarby obdarzyć jeszcze mają.

Bo to com wyżéj powiedział o Miöseńskiém jeziorze, stosuje się w zupełności i do gór okalających drogę do Listad, a nawet jak się późniéj o tém przekonałem, pod pewnym względem i do krajobrazów Thelemarken. Niéma tu we wszystkiém tém, czém cię południowéj Norwegii natura darzy, grozy i trwogi, ale spokój jakiś uroczy i dziwny, który wabi, pociąga, przykuwa. Rzekłbyś że spogląda z tego wszystkiego ów Bóg skandynawski, wielki, potężny i majestatyczny, ale pociągający więcéj, niż odpychający od siebie. Panuje on bo téż tu harmonią i miłością.

Mimowoli jakoś przychodzą mi na myśl Tatry ze swemi: Morskiém Okiem, Doliną pięciu stawów, Czarném jeziorem i Zawratem, przypomina mi się stroma i straszna droga na Czerwony Wirch, lub szczerb Giewantu przerażający.

Przypominam to wszystko i ponownie powtarzam, że mi tu lepiéj i pogodniéj, że dusza ma pije tu jakiś balsam ożywczy, a wyobraźnia szalonych złudzeń nie tworzy. Tatry moje, więc mi są naturalnie droższe, ale te góry Gudbransdolu milsze są jakoś i sympatyczniejsze od Tatr. Teraz nawet gdy piszę te wspomnienia, dusza ma rwie się ku wzgórzom Norwegii i rada gdy tam przebywać może. Więc niech tam idzie, bo to co od czasu pobytu w tych miejscach przeżyłem, każe mi jakoś szukać spokoju i ulgi... A tam daleko na północy miałem był poddostatkiem tego spokoju podówczas, kiedym go tak, jak dziś, jeszcze nie potrzebował. Więc niech tam idzie...

Idąc powoli, ale ciągle naprzód, spotykam lud wiejski podążający z okolicznych miast do kościoła w Lillahamer. Była niedziela, więc wszystko to się ubrało odświętnie. Mężczyźni przyodziani w długie guzikami nabite surduty, postępowali poważnie około swoich kobiét, których ubiór pstrokaciéj wyglądał. Wprawdzie ta pstrokacizna nie była tak rażąca, jak np. u kobiét spotykanych późniéj w Thelemarken, ale zawsze drażniła moje oko, nieprzywykłe do podobnego widoku. Kolory żółty i niebieski łączyły się tu dość niesmacznie z czerwonym, a szyje wszystkich powleczone były sznurami różnokolorowych korali. Na głowie chustki w rodzaju zawojów dopełniały całości.

Każdy mężczyzna i kobiéta zaopatrzeni byli w duże książki od nabożeństwa. Nieśli je widocznie, a kiedy przechodzili koło mnie, to mi się zdało że oczami zdawali się pytać: „Kiedyto w twojéj ojczyźnie lud na książkach modlić się będzie umiał?"

Kiedy?... I ja nieraz zadawałem sobie to pytanie i ja nieraz wytężałem oczy, jak gdybym chciał przejrzéć grubą zasłonę oddzielającą mnie od przyszłości i dostrzedz choć zdala tę epokę, kiedy to nad brzegami mojéj ukochanéj Wisły, lub na rozkosznych wzgórzach krakowskiéj ziemi, lud mój pracowity i skrzętny, na książce czytać się nauczy; kiedy z tych martwych, ustawionych w szereg jak żołnierze liter, dowié się jak Boga chwalić, jak się od biédy oganiać, jak ogólniejsze potrzeby kraju odczuwać. Ale instynkt jakiś dziwny mówił mi, że to daleka jeszcze chwila, że dużo jeszcze, dużo wody potoczy się korytem naszych rzek królowéj, do burzliwego Baltyku, zanim poziom umysłowy naszego kraju wzniesie się do tych wyżyn, na jakich się znajduje poziom Norwegii.

Bo rzeczywiście Norwegia jest bardzo oświeconym krajem. Wędrując tu i owdzie przekonałem się o tem; rzadko znaleźć w tym kraju człowieka, któryby czytać nie umiał, a bardzo często natrafisz pomiędzy chłopami na takich nawet, którzy kilka klas pokończyli. Książki téż rozchodzą tu się masami po kraju a pisma peryodyczne wciskają się pod strzechy włościańskie.

Nadewszystko też oświata ludowa rozwinięta jest we wschodniéj części Norwegii. Rozsiedli pomiędzy gęstemi lasami, włościanie tamtejsi odznaczają się wielką zamożnością, a że po większéj części za bogactwem idzie oświata, przeto nie żałują szylingów na kształcenie dzieci swoich. Opowiadano mi, że synowie pewnego chłopa znad granicy szwedzkiéj kończą uniwersyteckie studya w Chrystyanii a jeden z inżynierów norwegskich urodził się w chacie prostego bondy z tamtych stron.

Co prawda, to te chaty chłopskie wyglądają na nasze dworki szlacheckie. Spotykałem ich wiele po drodze do Listad, mogę więc zapewnić, że w niczem tym ostatnim nie ustępują.

Zbudowane z drzewa, pokryte dachem gontowym, z zewnątrz już wabią do siebie przechodnia, a wewnątrz odznaczają się tém wygodném urządzeniem, jakiego długo jeszcze zapewne nie zazna nasz

polski włościanin. Powodowany więcéj może ciekawością niż potrzebą, zachodziłem do tych chat, w każdéj jednak, któréj próg przestąpiłem, znajdowałem dostatek i ten konfort, jaki cechuje u nas po wsiach ludzi średniéj klassy i średniéj zamożności.

I tak: wszedłszy do chaty takiego bondy, masz najprzód dużą sień, od któréj drzwi na lewo i na prawo prowadzą. Na lewo kuchnia, spiżarnie i schowanko na różne potrzeby gospodarskie, na prawo pokoje mieszkalne. Tam panuje *frue* (kobieta) z całym swoim fraucymerem dziewek folwarcznych, tu przemieszkiwa mąż i pan domu, z synami i krewnymi swymi. Urządzenie pokojów mieszkalnych jest skromne, ale porządne. Sprzęty gospodarskie ustawione symetrycznie, obrazy Chrystusa i widoki górskie porozwieszane na ścianach, nierzadko półki z książkami; mile to wszystko uderza oko, a zdziwienie podróżnika wzrośnie, jeżeli tu i owdzie dostrzeże przytulony do okna jaki stary fortepian, na którym w niedziele córki gospodarskie wygrywają melodye norwegskie.

Na takich i tym podobnych obserwacyach przyjemnie mi czas schodzi i ani spostrzegam. jak słońce, obiegłszy łuk niebieski, zaczyna się spuszczać ku zachodowi. Uszedłem już co prawda mil kilka, minąłem Fassegaarden i Holmen, ale Kirkestnen gdzie zamierzam nocować jakoś jeszcze nie widać. Mój niemiecki przewodnik mówi mi, że do téj miejscowości już mało co więcéj jak mila, a ja już ze dwie godziny po wypoczęciu w Holmen idę, i końca drogi dopatrzéć się nie mogę. Wprawdzie idąc zatrzymuję się ciągle, bo widoki mam coraz piękniejsze, przecież u celu mojéj dziennéj podróży stanąć już powinienem. Niepokój mój wzrasta tém silniéj, ile że zegarek wskazuje piątą godzinę po południu, zatem już od ośmiu godzin jestem prawie bezustanku w ruchu. Co podnosi moje niezadowolenie, to ta okoliczność, że się tu na téj drodze z nikim rozmówić nie mogę. Każdego kogo spotkam zaczepiam słowami:

— *Til* (do) *Kirkestne*?

— *Halv mil* (pół mili)—odpowiadają wszyscy i idą w swoję stronę.

A mnie tu te *halv mil* wcale się nie kończy. Nareszcie na szczęście się skończyło. Około godziny szóstéj dostrzegam w dali jakieś jezioro, daléj płot i kominy, a jeszcze daléj grono ludzi odzianych po europejsku. W ucho moje zaczynają wpadać gardlane dźwięki angielskie. No, dzięki Bogu, myślę sobie, jestem w Kirkestne.

Istotnie jestem w Kirkestne.

„*Zdala już, zdala widzę że stolica*" przyszedł mi na myśl wiersz Mickiewicza, istotnie bowiem Kirkestne na tle kilkomilowego otoczenia swego wygląda jakby na stolicę jakiego lilipuciego państewka. Poczynając od Lillahamer, na całéj drodze spotykałem zaledwie pojedynczo porozrzucane domki; rzadko gdzie rozsiadły się nie parami, a już trzech obok siebie, nigdzie nie zdarzyło mi się spotkać. Tu na około obszernego i widnego podwórka ustawiło się wkoło aż kilka

takich domków, a jedne od drugich piękniejsze. Widocznie, pomyślałem, miejscowość ta stworzona dla wypoczynku; przepędzę zatem tu noc, a nazajutrz wyruszę daléj na północ do Listad.

A wypoczynku téż, otwarcie mówiąc bardzo pragnąłem. Zrobić cztery mile na dobę, t. j. tyle ile dobry pruski piechur, a do tego po kamienistéj drodze, no to nie każdy potrafi, nie gniewałem się więc wcale, gdy po spożyciu skromnéj kolacyi, ofiarowana mi została za całodzienne trudy nagroda, w postaci dobrze usłanego łóżka, na które téż bez namysłu rzuciłem się, marząc o tem com już widział i co mi jeszcze do widzenia pozostawało.

„A chrapali tak twardym snem, że ich nie budzi,
Blask latarek i wnijście kilkadziesiąt ludzi"

pisał kiedyś nasz największy wieszcz o Soplicowskiéj szlachcie. I o mnie coś podobnego napisaćby wypadało.

Słońce już bowiem nazajutrz dawno pozłociło szczyty Gudbrandsdalu, przyjezdni anglicy już dawno wyruszyli w drogę, a ja znużony wciąż spałem i spałem, tak iż to zaczęło niepokoić posługującą w zajeździe dziewczynę.

Przemógłszy więc dziewiczy swój wstyd, przez otwarte drzwi mojego pokoiku (drzwi na noc w Norwegii nigdzie nie zamykają) poszła ku mnie i śmiejąc się do rozpuku, zaczęła na cały głos wołać:

— *Gud Morgen. Hvordan har De?* (Dzień dobry, jak się pan masz?)

Chropowate dźwięki jéj głosu w związku z wybuchami wesołości przebudziły mnie nareszcie. Roztwieram oczy i widzę przed sobą uroczą rusałkę, dziewczę szesnastoletnie, jasnowłose i smagłe, w ubiorze skromnym ale porządnym, z fartuszkiem na szaréj spódniczce.

Dziewczyna wciąż się śmieje.

— *Hvad er klokken?* (która godzina)—pytam.

— *Klokken er en* (pierwsza godzina)—odpowiada, nie przestając się śmiać.

Czy to być może, pomyślałem i chwytam za zegarek. Roztwieram kopertę, patrzę, istotnie—pierwsza godzina. No, pomyślałem sobie, to mi się tak długo nigdy jeszcze spać nie przytrafiło i w téjże saméj chwili odwróciłem się by dziewczynie choć oczami powiedzieć, dlaczego ja tak długo spałem, ale ledwiem zegarek na swojém miejscu położył, furknęło coś w pokoju i moja rusałeczka zniknęła jak sen jaki złoty Słowackiego.

Ubrać się, umyć i zejść na dół do gościnnego pokoju, było rzeczą jednéj chwili.

W obszernéj izbie na dole zastawione już czekało na mnie śniadanie. Śniadanie to, skromne, składało się z chleba, jaj, sera owczego, maleńkich morskich rybek i wybornego norwegskiego piwa, jakiemu równego pod względem smaku, nie zdarzyło mi się pić nigdzie w Europie.

Piwo to, wyrabiane w Chrystyanii stanowi jedyny trunek powszechnie używany w całym kraju; gdy bowiem wódka jest tam prawie zakazana, trunek ten, nader mocny, zastępuje inne, szkodliwe dla organizmu spirytualia.

Przy stole zastałem jakiegoś nieznajomego. Średniego wzrostu i ujmujących rysów, wyglądał on raczéj na tubylca, niż na podróżnego. Nie sądząc, abym z nim mógł się porozumieć, usiadłem na przeciwległym końcu stołu i zacząłem spożywać w milczeniu zastawione przedemną dary Boże.

Nieznajomy wpatrywał się we mnie uważnie, jak gdyby z twarzy mojéj chcąc wyczytać kim jestem. Pragnąłem napić się piwa. Sięgnąłem po butelkę, która stała na środku stołu. Natenczas wstał on, podsunął mi butelkę i grzecznie rzekł:

— *Ich bitte.*

— *Ich danke* — odpowiedziałem i na tém się urwało.

Ale już pierwsze lody pękły. Mój nieznajomy nie dawał za wygraną.

— *Sie sind ein Deutscher?*—zapytał.

— *Nein, ich bin ein Pole.*

— *Und ich bin auch ein Pole.*

— A więc—zawołałem radośnie—jeżeliśmy obaj polacy, to mówmy ze sobą po polsku.

Nastąpiła rekomendacya.

Mój nieznajomy nie był jak się okazało podróżnikiem, ale kupcem osiadłym w Chrystyanii. Zwał się Wojciechowski. Jechał do Dronthejm za towarami. Ja mu wzajemnie powiedziałem kim jestem i w kilka chwil potém izba gościnna w Kirkestne zapełniła się dźwiękami ojczystéj mojéj mowy. Pewno je wtedy poraz pierwszy dopiero słyszała.

— Różne okoliczności—opowiadał mi p. Wojciechowski— skłoniły mnie osiąść w Chrystyanii. Bez środków przyszedłem tu przed dziesiątkiem lat, i wolę tu niż gdzieindziéj. Inni poszli na Zachód i dziś marnieją na paryzkim bruku, ja poszedłem z bratem na Północ i ciężką pracą dorobiłem się kawałka chleba. Mamy sklep w stolicy Norwegii i dobrze nam idzie.

— Więc pan w Chrystyanii stale zamieszkać zamierzasz?

— Broń Boże! Pobędziemy tam jeszcze lat kilka i wrócimy do kraju, bo nas coś ciągnie ku swoim. Lud tu poczciwy i sympatyczny, pieniędzy nam nie brak, ale nieraz mało serce z bolu i żalu nie pęknie, tak nam tu nudno i ckliwo. Wrócimy więc do kraju.

Z rozmowy z panem Wojciechowskim dowiedziałem się, że nie on jeden z bratem swoim reprezentuje narodowość naszę w Chrystyanii. Jest tam jeszcze fotograf polak, którego przecież nazwisko wyszło mi z pamięci i jeszcze ktoś. Wszystko ludzie pracy.

Spotkanie nasze w Kirkestne było bardzo krótkie. Pan Wojciechowski śpieszył się niezmiernie, po krótkiéj więc rozmowie rozstać się ze mną był zmuszony.

Odprowadziłem go do progu domu a kiedy go już z oczu straciłem, pomyślałem westchnąwszy: gdzie naszych niéma?...

Będąc znużony wielce wczorajszą podróżą, postanowiłem dziś jechać do Listad. Nająłem więc karyolę i około godziny trzeciéj po południu, wyjechałem z małym chłopcem, najpierw do Skiäggestad, a potém do Listad o 1¼ mili od téj ostatniéj stacyi odległego.

Droga szła pod górą, wśród prześlicznych pagórków. Po lewéj ręce miałem wciąż wody, a po prawéj krajobrazy, piękność których tylko pendzel odmalowaćby zdołał. Około godziny szóstéj wieczorem, stanąłem w Listad, zkąd nazajutrz wyjechałem do dnia i tego samego dnia w nocy byłem z powrotem w Chrystyanii.

VI.

Thelemarken.—List I do przyjaciela.

Riukanfoss. Sierpień 1875 r.

Jestem od dwu dni w Thelemarken, to znaczy w raju na ziemi, w najpiękniejszéj prowincyi, jaką wyobrazić sobie możesz, już nie w Szwajcaryi norwegskiéj ale w Norwegii szwajcarskiéj. W téj chwili piszę to w uroczym szwajcarskim domku (Krokau), położonym na wysokości kilkutysięcy stóp nad poziomem morza. Naokoło mnie góry i przepaście, a przedemną wspaniała kaskada Riukanfoss, rzucająca się z wysokości 750 stóp w głębią. Widok, jaki te masy wód spadające z góry, sprawiają, nie do opisania, a szum i huk, jaki tu wciąż panują, nie dowytrzymania doprawdy. Dziwię się, jak tu ciągle mieszkać może pewna, miła bardzo jéjmość, utrzymująca restauracyą w Krakowie.

Ale jakem tu się dostał?

Dawno już, dawno, kiedy marzyłem w młodzieńczych jeszcze snach moich, o Skandynawskim półwyspie z jego dziewiczą naturą, ludami i reniferami, wywiedziałem się coś o Thelemarken. Gdzieś wyczytałem, że ta prowincya Norwegii tyle pono warta co Szwajcarya, że tu zamknięte cuda śpią sobie spokojnie, bo ich nikt nie przychodzi oglądać lękając się trudów i... bałwanów burzliwego Baltyku. Któraś geografia mi powiedziała, że lubo góry w tych stronach niewielkie i nie straszne, przecież w łonie swojém chowają urocze widoki, że tam zaklęty szumi sobie od wieków, bodaj czy nie największy wodospad w Europie.

Kiedym wreszcie po latach wielu, a wielu, stanął nogą na lądzie Norwegii, pewien norwegczyk powtórzył mi to samo, a gdy w dodatku i niemiecki Przewodnik który sobie w Kopenhadze kupiłem, zaczął mi się rozpływać w uniesieniach nad pięknością téj prowincyi, nie było rady, postanowiłem pojechać do Thelemarken. I dziś, nie żałuję tego.

Chcąc z Chrystyanii dostać się do Thelemarken, trzeba przedewszystkiem udać się na banhof zachodniéj kolei, i kupić bilet do Kongsberg. Tak ja robię i za chwilę znajduję się w wagonie trzeciéj klasy,

otoczony kobiétami, dziećmi i... psami. Krzyczy to wszystko jedno przez drugie, gestykulują każde jak umié, a ja wciśnięty w kąt wagonu patrzę i słucham... naturalnie nic z tego całego harmidru nie rozumiejąc.

Nareszcie gwar się ucisza, jedna kobiéta powstaje z miejsca swego i zaczyna coś innym opowiadać. Co słowo powié, to słuchaczki wybuchają sutym śmiechem, a ile razy się zaśmieją, to spoglądają na mnie. Co u licha myślę sobie, czy ja tak śmiesznie wyglądam czy co? Bądź jak bądź, odpowiedzieć sobie na to pytanie nie umiałem, nie rozumiejąc po norwegsku, nie mogłem wiedzieć bowiem o co im chodziło i do dziś dnia zdać sobie sprawy nie mogę z tego, co te kobiéty tak śmieszyło, kiedym razem z niemi jechał koleją do Kongsberg.

Droga do Kongsberg romantyczna i urocza bardzo. Z razu jedziem nad samém morzem, tak iż ci się nieraz zdaje że wpadniesz z całym pociągiem w głębie wód nieprzejrzanych okiem; potém tracisz z oczu lazury morskie aby je zamienić na pagórki, umajone prześliczną zielenią.

Stacye drogi Kongsbergskiéj o prostym i niewyszukanym stylu. Dworce kolei pobudowane przeważnie z drzewa, odznaczają się czystością i porządkiem, ale niczem więcéj. Znać we wszystkiem że *piękne* jest tu poświęcane dla *pożytecznego*, wzgląd bowiem użytecznościowy przebija tu się we wszystkiem. Na pewnéj stacyi pociąg zatrzymał się przydłużéj, umyślnie więc porzuciłem moje kobiéty, aby się o urządzeniu wewnętrznem dworców norwegskich przekonać. Wszystko tam pospolite i skromne, powiem nawet ubogie, ale we wszystkiem znać myśl, zmierzającą do tego, aby podróżnym wygodnie było.

Co odróżnia dworce norwegskie od naszych, to brak sygnałów znanych nam dobrze. Zastąpiane są one donośnemi elektrycznemi dzwonami, które gdy meldują następnéj stacyi o wyjściu pociągu, to aż uszy doprawdy bolą. Po stacyach snują się małe dziewczęta i częstują gości angielskiemi cukierkami i poziomkami. Cukierki te i poziomki ułożone w zgrabnych maleńkich pudełkach, bardzo smacznie napozór wyglądają; znać staranie i porządek w najdrobniejszéj rzeczy w Norwegii.

W kilka godzin po opuszczeniu Chrystyanii jesteś w Kongsberg. Droga przechodzi ci bardzo przyjemnie, zarówno bowiem wzrok twój jak i słuch znajduje na niéj obfity pokarm. Jakto słuch? zapytasz zapewne. Otóż ci powiem, że tak a nieinaczéj; Norwegczycy bowiem mają piękny zwyczaj śpiewać w drodze psalmy nabożne, a że śpiewają pięknie, przeto przyjemność ci to prawdziwą sprawia. Czy więc wsiądziesz na statek na Miösen, czy wtulisz się w kąt pociągu kongsbergskiego, wszędzie i zawsze towarzyszyć ci będzie melodya, z nastrojem religijnym i rzewnym, która duszę twoję dziwnie kołysać będzie.

Kongsberg jest niewielkie miasto; zdaje się że nie liczy więcéj nad 5,000 mieszkańców, ale gwarno w niém i ruchliwie. Jest ono zamieszkane w wielkiéj części przez górników, słyną bowiem w całéj Nor-

wegii kongsbergskie huty. Wydobywają tu nawet srebro i to podobno wcale niepośledniéj wartości. Położenie miasta nie bardzo piękne. Wciśnięte, a raczéj wszczepione w góry, siedzi sobie jak baba pod piecem, dokoła otoczone kłębami dymu.

Kiedym do Kongsbergu przyjechał, zjazd był nielada; mnóstwo bowiem Anglików ściągnęło tu z różnych stron; wszędzie więc słyszałeś mowę dzieci Albionu. Zjazd ten był mi poczęści nie na rękę; gdybym był godziną późniéj przybył, musiałbym chyba na szczerém polu noc przepędzić, wszystkie bowiem numera w dwu hotelach zajęte przez gości były. Szczęściem pośpieszyłem się i dostałem kąt, a Anglik, który po mnie przywędrował, zmuszony był podobno spać w kuchni, pomimo milionów swoich i protekcyi królowéj Wielkiéj Brytanii. Ale tak się dzieje na całym pono świecie: „kto pierwszy w czasie, lepszy w prawie," powiada rzymski jurysta.

Przespawszy noc w *Hansens hotel* w Kongsberg, nazajutrz rano ruszyłem w drogę. Nająłem więc sobie jednokonny wózek (zwany w Norwegii *karyola*) i na nim postanowiłem dotrzéć do samego serca Thelemarken. Drogi przedemną leżały dwie: przez Hitterdal i przez Bolkesiö. Otwieram mój niemiecki Przewodnik i oto co w nim na stronie 112 wyczytuję:

„Droga przez Bolkesiö jest od tamtéj daleko piękniejsza, ale że nie zawsze na niéj można dostać koni, przeto do podróży uciążliwsza. Piesi przecież tą drogą jedynie winni udawać się do Thelemarken."

Dobrze więc, myślę sobie, należy mi poznać obie drogi: pojadę teraz przez Hitterdal, a powracać będę przez Bolkesiö. Pojechałem więc, ale co na téj strasznéj drodze użyłem...

Nigdy téj podróży nie zapomnę.

Co kilka chwil koń mi przystawał, musiałem mu dawać półgodzinny wypoczynek. Chciałem już rzucić i karyolę i konia i iść piechotą do celu wędrówki mojéj, ale mnie chłopiec, którego z sobą wziąłem, od tego kroku ostatniéj rozpaczy gestami odprowadził. Dojechałem więc, ale com przez te sześć godzin przeżył i wycierpiał...

„Nie powiem nikomu,
Bo w śmiertelnych języku niéma na to słowa,"

jak powiada Mirza w *Sonetach krymskich* Adama.

A jednak droga ta, jak zresztą wszystkie w Norwegii piękna, bardzo piękna. Wciśnięta w góry, biegnie równolegle z małym strumykiem, który ci szemrze skandynawskie sagi i do snu kołysze. Znalazłszy się na wysokości 3,350 stóp nad poziom morza, po przejechaniu Tinnelwy, masz tuż, tuż zaraz przy moście pyszny Tinnfoss. Jestto kaskada, pierwsza, jaką w Norwegii widziałem. Jakaż ona powabna i romantyczna! Woda rzuca się z góry w objęcia rzeczki, ale nie z tą grozą, jaka w Riukanfossie, ale ze spokojem i jakoś nawet miłośnie. Rzekłbyś, że to kochanka łączy się z kochankiem, spragnionym jéj eterycznych wdzięków i serdecznego ciepła.

A tam daléj? Stara jakaś *kyrke* (kościół) sterczy wśród wzgórz i pozdrowienie ci zasyła. Jakażto wspaniała budowla! Zatrzymuję konie i podchodzę ku niéj bliżéj, bom czegoś podobnego w życiu jeszcze nie widział.

Wystaw sobie: kościół z drzewa modrzewiowego, właściwie bez żadnego stylu, coś nakształt arki, coś nakształt okrętu. Na każdéj ścianie ganki i daszki, a ściana główna to już chyba z samych daszków złożona. Zczerniałe to wszystko i przybite do ziemi, mówi ci o zgrzybiałości swojéj i zdaje się ostrzegać, byś do wnętrza nie wchodził, bo ci się to wszystko razem na głowę zwalić może. Więc nie wchodzisz, ale zdaleka podziwiasz to arcydzieło dziwacznego pomysłu i ekscentrycznego wykonania. Żałuję, żem nie mógł się dowiedzieć, kiedy ta świątynia wzniesiona, pewny jednak jestem, że stoi wieki. Ktoś, kiedyś, kiedyś przed laty wsadził tę ciesielską zabawkę w góry i stoi to tam sobie spokojnie na chwałę Bogu i pociechę ludzi.

Zaraz za tym kościołkiem, Lysthus, pół drogi do Tinnoset. Zajeżdżam więc, rad wielce, do jakiegoś chłopa i gdy na zapytanie:

— *Kan jeg paa de naeste Stationer faa friske Heste?* (Czy mogę do następnéj stacyi dostać świeże konie)? otrzymuję twierdzącą odpowiedź; pojmiecie łatwo, w jaki mnie to humor wprowadza.

Patrzę na zegarek, mam pierwszą godzinę; do Tinnoset liczą ztąd trzy mile, postanawiam więc z godzinkę wypocząć pod miłym dachem zajezdnego domu i około drugiéj dopiéro wyruszyć daléj w drogę.

Tymczasem klaszczę w dłoń.

Zjawia się *smuke pige* (piękna dziewczyna). Istotnie piękna. Włos płowy, wzrost średni, oko duże, rozumne. Odziana w spencerek szary z niebieską chusteczką na szyi i białym fartuszkiem, wygląda jak zjawisko niebieskie, wśród tych piekielnych dróg. Włosy ma zwite w dwa warkocze, w koniec których wpleciona różowa wstążeczka. Patrzę na nią i myślę sobie:

Miły Boże! kto tę kobiétę odciętą od cywilizacyi i świata, nauczył dobrego gustu?

Ale one już podobno na całym świecie z dobrym gustem się rodzą.

— *Toler de tydsk?* (Czy mówisz po niemiecku)—zapytuję.

— *Ikke* (nie)—odpowiada – i uśmiecha się.

A więc myślę, trzeba się uciec do mojéj smutnéj norwegczyzny.

Recytuję więc dziewczęciu:

Bröd, aeg, smör, fisk.

Za chwilę mam: chléb, jaja, masło i rybę.

— *Tok skal de have* (dziękuję panience).

Odpowiada mi dygnięciem.

Spożyć to wszystko, co mi dziewczyna przed oczy postawiła, było rzeczą prawie jednéj chwili. Znużenie dodawało mi apetytu, to téż gdy moja piękna gosposia weszła znowu do izby, zastała tylko na stole skorupy, oście i małe kawałki niedojedzonego chleba.

W żaden sposób nie mogłem się dowiedzieć, ile to wszystko kosztuje. Przemawiałem do dziewczęcia wszystkiemi znanemi mi językami, nic nie pomogło. Nie rozumiała mnie i tylko się śmiała. Wyjąłem więc kilkanaście szylingów i położyłem na dłoni. Wybrała z nich trzy i dygnęła znowu szepcząc nieśmiało:

— *Tok skal de have* (dziękuję panu).

Kiedym opuszczał chatę, dziewczyna rzekła głośno:

— *Tydsk* (Niemiec).

Odwróciłem się z oburzeniem.

— *Nei. jeg Pollack* (Nie, ja jestem Polak).

— *Ach sso Polack* (ach, tak Polak)—powtórzyły wtedy i matka i córka, i zdaje mi się, że obie wdzięczniéj jakoś na mnie spojrzały.

Pewno, pomyślałem, pierwszego Polaka w życiu, widzą one we mnie, pewno już tak prędko drugiego nie zobaczą.

Westchnąłem wychodząc z chaty i wsiadając na karyolę. Byłżeby to żal po pięknéj dziewczynie??... Być może, bo już przez całą drogę do Tinnoset tylko o niéj myślałem i ani się spostrzegłem, gdy dojechałem do kresu podróży mojéj. Wprawdzie droga była znacznie od poprzedniéj lepsza i koń jakoś lepiéj ciągnął, więc się jechało, jechało i marzyło... Bóg wie już nie o czém.

VII.

Jeszcze Thelemarken.—Tinnoset.—Kogom tu spotkał?—Dalsza podróż we trzech.— Na jeziorze.—Charakter Tynnu.—Pogawędka na pokładzie statku i moje położenie.

Czém dla podróżnego po Saharze bujna i żyzna oaza, tém dla mnie, po przebyciu drogi z Lysthus, było Tinnoset. Nie pamiętam, czy ta droga dała mi co powabnego, najprędzéj prócz monotonności nic; Tinnoset zato przedstawiło mi się tak rozkosznie, że do dziś dnia zapomnieć nie mogę pierwszego po niém wrażenia.

Dojeżdżałem do kresu podróży mojéj, kiedy mrok już zapadał. Słońce znużone całodziennym biegiem, schowało się za pagórki i tylko przez ich szczeliny przesyłało ostatnie *do widzenia* ziemi. Promienie jego krwawe i gorące uderzały najpierw o zwierciadło wód, myjących stopy Tinnosetu i tam skąpane rzucały się nieśmiało na domki, rozsiadłe nad jeziorem. Rzucając się, oświecały jakby od niechcenia te ciche ściany, które zdały się gorzéć w powolnym ogniu. Byłoto piękne, tak piękne, żem dojeżdżając przystanął, aby nacieszyć się tym widokiem; ale zazdrosne o swe ostatnie wdzięki bóstwo ciepła i życia, niedługo dozwoliło mi podziwiać je w pokorze ducha i utonęło całe w lazurze wód, aby rozbudzić się dopiéro nazajutrz. Do zobaczenia więc...

Zajechałem do przyzwoitego zajezdnego domu. Cisza tu panowała grobowa, prócz bowiem dziewki, brzydkiéj jak straszydło, niémiałeś w domu nikogo. Rzekłbyś, że wymarli wszyscy.

Nie wymarli jednak, a tylko poszli łowić ryby. Dowiedziawszy się o tém, właśnie i ja zamierzałem nad jezioro się udać, kiedy nagle do pokoju, w którym się znajdowałem, wpadł jak bomba jakiś młody człowiek, zaczął wołać na cały głos służby, wreszcie przybliżył się do mnie i najczystszym niemieckim akcentem rzekł:

— Pan jest jak widzę cudzoziemcem, ja tu jestem jak u siebie w domu; nazywam się Dideryk Brun i jadę jutro wspólnie z moim kolegą do Rinkanfass. Może mógłbym być panu w czém użyteczny?

Zadziwiła mnie ta mowa młodego człowieka, ale patrzyło mu dobrze z oczów, odpowiedziałem więc bez wahania:

— Jestem podróżującym Polakiem. Jadę również na Rinkanfass i jeżeli można, pragnąłbym odbyć tę podróż w tak miłém towarzystwie.

Podaliśmy sobie ręce i w godzinę później byliśmy jak starzy znajomi.

„Młodości! tobie nektar żywota
Natenczas słodki, gdy z innymi dzielę;
Serca niebieskie poi wesele,
Kiedy je razem nić powiąże złota."

Musiał znać chyba ten wiersz wielkiego poety pan Dideryk Brun, bo gwałtem chciał się prawie wcisnąć do mojego serca. Opowiedział mi że jest studentem uniwersytetu, że jego ojciec jest sławnym norwegskim komikiem, że lubi... wino, kobiéty i śpiéw. Śpiewał więc mi zaraz urocze norwegskie melodye, a gdy mimochodem i o nasze narodowe zahaczył, zdało mi się że go polubiłem nawet.

Nadszedł tymczasem jego przyjaciel.

Byłto znacznie starszy mężczyzna, istna antyteza tamtego. Powolny i flegmatyczny, gorszył się wesołością Bruna i ciągle mu epitet waryata nadawał. Ten się jednak tém nie gniewał: latał z jednego końca pokoju do drugiego, gwizdał, śpiewał, całował mnie, jego, a nawet brzydką, posługującą nam dziewkę; nareszcie wykręcił się na pięcie i wysunął z pokoju.

Nastąpiła cisza i moje zbliżenie do jego przyjaciela.

Opowiedziałem mu kim jestem, w zamian za co dowiedziałem się, że jest on lejtnantem w armii norwegskiéj, że jego ojciec posiada sławny browar w Chrystyanii i że on sam podróżuje po Norwegii, celem rozpędzenia czarnéj melancholii, jaka go bezustannie trapiła. Mimo powolność swoję, człowiek ten również przypadł mi do gustu. Był on od Bruna daleko głębszy i poważniejszy: szkoła życia malowała się na jego twarzy.

Prawdę powiedziawszy, rad bardzo byłem z tego spotkania.

Po pierwsze bowiem, uśmiechała mi się perspektywa wesołego przepędzenia czasu, a powtóre, podróżując z ludźmi ostatecznie wykształconymi, miałem nadzieję, że się wywiem o ich ojczyznie ciekawych szczegółów, które mi w dalszych wędrówkach pożyteczne być mo-

gą. Jakoż nie zawiodłem się wcale, towarzystwo bowiem tych dwu panów w Thelemarken, bardzo mi było przyjemne i pomocne.

Siedzieliśmy tak obaj przy stole, gawędząc o rodzinnym kraju moim, gdy nagle do pokoju wpadł Brun, cały zabłocony i zmoczony.

— A ty waryacie co robiłeś?—zapytał jego kolega.

— Łowiłem ryby, ale o mały włos nie utonąłem w jeziorze. Dyabli skarali, że łódka, w którą wszedłem, była dziurawa; ledwiem nieco odbił od brzegu, zaczęła się w nią nabierać woda: ja skik do jeziora i nie oparłem się aż o was moi poważni przyjaciele. I zaczął gwizdać, ale tak pięknie i rzewnie, iż prosiłem go, aby nie przestawał. To mu się widocznie podobało, bo gwizdał mi jednę melodyą po drugiéj, wyborną mimiką opowiadając co piosnka wypowiedzieć chciała.

Pieśni narodowe norwegskie są bardzo, bardzo piękne; nasłuchałem się ich w Chrystyanii: Brun dał mi poznać wiele nieznanych. Podobne do ukraińskich, głębsze są od nich i boleści pełniejsze. Kiedy się w nie wsłuchujesz, to ci się zdaje, że ci serce z żalu pęknie, taka cię rzewność i tęsknota opanowują. Niémasz tu bogactw harmonii i skomplikowanych tonów, ale prostotę jakąś dziwną, pokrytą całunem melancholii. Czasami zagra ci w tych piosenkach jakaś nuta weselsza, ale wnet przygłusza ją smętna; czasami znowu słyszysz płacz ciągły i na płacz ci się zbiera. Lud, który wyśpiewał te piosenki, nie musiał być szczęśliwy.

Brun mi wciąż nucił, a ja marzyłem. Nareszcie tony mu zmieszał kolega.

— Spać próżniaku, wszakżeż jutro do dnia wyruszamy w drogę.

To go ocuciło.

Ocknął się i on z jakiéjś zadumy, przestał gwizdać i ściskając na dobranoc moję rękę:

— Będę o panu śnił—powiedział.

I wyszli.

Dziwny, choć sympatyczny człowiek, pomyślałem.

Nazajutrz, już o godzinie piątéj rano byliśmy wszyscy trzej na nogach. O szóstéj statek parowy odchodził do Oernös, osady na północnym krańcu jeziora Tynn położonéj; trzeba więc było dobrze się śpieszyć, aby na czas z pakunkami wydążyć. Dzięki pomocy Bruna, który za wszystkich nas się zwijał, zdążyliśmy się zapakować, zjeść śniadanie, kupić bilety na statek i usadowić na nim w najwygodniejszém miejscu.

Jezioro Tynn, wzniesione na 600 stóp nad poziom morza, długie jest na trzy mile. Szerokość jego niewielka sprawia, iż wygląda na wązką szyję. Otoczone z obu stron skałami, miejscami zarysowywującémi się nader groźnie, całym swoim charakterem różni się wielce od Miöseńskiego jeziora. Gdy bowiem tamto obsiadły wdzięczne pagórki, wabiące podróżnika ku sobie, to podmywa stopy strasznym górom, tu i owdzie groźnie spoglądającym ci w oczy. Więcéj ono podobne jest do małych jeziorek Szwajcaryi lub Włoch północnych, niż do uroczego,

śmiejącego się, pieszczotliwego Miösenu, które kołysze się spokojnie i bez troski wpośród natury, pełnéj wdzięcznych i spokojnych powabów.

Miejscami u stromych skał stojących na straży tych wód, spuszczają się tu wązkim wężykiem srebrzyste kaskady i toną w głębiach, które podanie ludowe bezdennemi nazywa.

Jaka jeszcze różnica zachodzi między Miösenem a Tynnem, to ta, że Miösen niéma wcale cech jeziora górskiego. Tak dobrze mogłoby ono sobie drzémać na polistych przestworzach naszych Kujaw, jak w łonie górzystéj Norwegii, niewielkie bowiem pagórki okalające je ze wszech stron, cech gór właściwie nie mają.

Tynn przeciwnie. Zaledwie bowiem upłyniesz z pół wiorsty, czujesz odrazu iż jesteś w górach, co więcéj w *kraju górskim*, cała bowiem natura jest tu skalista i dzika i przeciwstawia się jak dzień do nocy naturze, jaką dajmy na to w Kangsbergu pozostawiłeś.

Zajęty podziwianiem powabnych krajobrazów, jakie co chwila ukazywały się moim oczom, zapomniałem zupełnie o towarzyszach mojéj podróży. Ci jednak pamiętali o mnie dobrze, pozostawili mnie jednak zrazu w spokoju, bym się ich górskim skarbom lepiéj przyjrzał.

Spokój ten jednak trwał niedługo.

— Panie kolego — wrzasnął nagle Brun — dość już tego. Nie jesteś pan malarzem, możesz już na tém poprzestać coś widział, zwłaszcza, że nic więcéj nowego nie zobaczysz. Chodź pan tu do nas, zapal sobie cygaro, pogawędźmy o tém i o owém, a jak co będzie godnego gdzie widzenia, to zwrócimy na to pańską uwagę.

Propozycya ta trafiła do mego przekonania, przybliżyłem się do moich dwu Norwegczyków i ze trzy przeszło godziny spędziłem w ich towarzystwie na gawędzie.

Gawęda ta nie powiem nawet, by mi nie wyszła na korzyść. O ile bowiem Brun był lekki i płytki, o tyle w towarzyszu jego widniały lepsze i głębsze podstawy. Poglądy jakie wygłaszał uderzyły mnie trafnością, przysłuchiwałem się im z zajęciem, odnosiły się one bowiem do kraju, który po mojéj ojczyźnie najwięcéj mnie w téj chwili interesował.

— Żyjemy tu sobie — mówił — odcięci od reszty świata, jak u Pana Boga za piecem. Świat o nas mało wié, nie często tu bowiem cudzoziemiec zajrzy, bo go odstręcza surowość klimatu i urojone niebezpieczeństwo. Każdemu z was, moi panowie, się zdaje, że Norwegia to napół dziki kraj, a mieszkańcy jego to dawni skandynawscy zbóje i złodzieje. A jednak tak nie jest. Mamy własną cywilizacyą, swobodę i moralność. a charakter naszego ludu, jak o tém miałeś pan zapewne sposobność się przekonać, nieustępuje w niczém charakterowi Niemca lub Anglika, a pod pewnemi względami nawet go przewyższa.

Nie mówi tu przez moje usta fałszywy i tani patryotyzm, nie; kocham moję ojczyznę, lecz szowinizmem się brzydzę, bo on nie w sercu ma źródło: ale zdaję sobie jasno sprawę z położenia rzeczy i patrzę na wszystko nie przez zamglone okulary. Zresztą zdanie moje potwierdzi

każdy, kto w moim kraju czas jakiś przebędzie, a mniemam że i pan o przesadę mnie nie obwini.

Połączeni od przeszło pół wieku ze Szwecyą, jesteśmy z tego połączenia zadowoleni. Dania uważała nas za kolonią i wyzyskiwała jak Anglia Amerykańskie Stany. Ten związek z Danią wyniszczał nas i ubożył, a w początkach bieżącego stulecia przyniósł nam takie klęski, że się zpod ich brzemienia dotąd w zupełności otrząsnąć nie możemy.

Od roku 1807 datują te klęski. Cały świat kierowany wszechmocną dłonią Napoleona był w wojnie z Anglią, ale gdy państwa lądowe drwiły sobie z nieprzyjaźni Albionu, państwa morskie doznawały jéj potężnych razów. W rzędzie tych państw, jedno z pierwszych miejsc trzyma Norwegia, ze swemi długiemi, wciśniętemi w ląd i przystępnemi dla floty brzegami. To też Anglia zablokowała nam porty i zniszczyła cały handel drzewem. Jednocześnie wybuchła wojna ze Szwecyą i podczas kiedy od morza groził nam lampart Wielkiéj Brytanii, od strony lądu najechała nas armia szwedzka i pustoszyła wschodnie granice nasze. Nareszcie rok 1809 przyniósł nam pokój, ale na nieszczęście nie trwał na długo i w r. 1813 znowu rozżarzyła się pochodnia wojny. W czasie tych klęsk i niepowodzeń, powstała w głowach naszych mężów stanu myśl, czyby nie było korzystniéj dla kraju zerwać związek z Danią i połączyć się ze Szwecyą.

Było to w roku 1809. Ale myśl ta lubo bardzo szczęśliwa, nie doznała ogólnego poparcia i większość kraju oświadczyła się za nierozrywaniem związku. Dopiero w 1814 r. kiedy urzeczywistnienie jéj wzięły na siebie bagnety, wydała pożądane owoce. Po bitwie pod Lipskiem, Bernadotte zwrócił się przeciwko Danii, wkroczył do Holsztynu i zmusił go pokojem w Kiel Fryderyka VI do odstąpienia na rzecz Szwecyi, Norwegii. Odtąd żyjemy szczęśliwi i spokojni, związek bowiem z Danią był nam nieznośny i do dzisiejszego dnia Duńczycy nie lubieni są w kraju, mimo przecież że nas łączą wspólne tradycye i jeden język.

— Jakto jeden!—zawołał Brun—ja się do téj jedności nie poczuwam. Nasz język jest jędrny i dźwięczny a Duński ślamazarny i zniewieściały. Chcesz pan słyszeć jak Duńczyk śpiewa?—zapytał zwracając się do mnie, i nieczekając na odpowiedź zaczął przedrzeźniać Duńczyków, przeciągając nad miarę słowa—co robiło mniéj więcéj takie wrażenie, jakie na nas mieszkańców powiśla robi harmonijny, ale zabardzo śpiewny akcent litewski.

— Od tego czasu—ciągnął daléj jego towarzysz—żyjemy szczęśliwi i spokojni. Bernadotte następca Karola XIII, panujący w Szwecyi i Norwegii jako Karol Jan do 1844 r., był przedmiotem ogólnego uwielbienia obu tych ludów i dziś jak pan widzisz stawiamy mu pomnik w Chrystyanii. Po nim panował Oskar I, po tym znowu Karol XV znany poeta i literat, a gdy ten zeszedł ze świata bezpotomnie, na tron wstąpił jego brat młodszy, obecny król Oskar II.

Z politycznych urządzeń naszych jesteśmy bardzo zadowoleni. Połączeni tylko unią osobistą ze Szwecyą, mamy osobny rząd i konstytucyą jednę z najliberalniejszych na świecie.

Władza kraju spoczywa w ręku króla i zgromadzenia narodowego, zwanego Storthingiem, który corocznie zbiera się w lutym w Chrystyanii i obraduje przez ciąg od 3 do 4 miesięcy. Co trzy lata zmieniają się jego członkowie, a dzieli się on na dwie izby: Logthing i Odelsthing, które obradują oddzielnie, a w wypadkach tylko wyjątkowych łączą się dla wspólnego zatwierdzenia pewnego wniosku (rządowego).

Ponieważ król przebywa w Sztokholmie, przeto właściwie rządzi krajem tak zwany *rząd norwegski* z ministrów, których jest siedmiu, złożony. Niezależnie od nich jednak stale w stolicy Szwecyi przebywają przy królu nadzwyczajni ministrowie norwegscy, obowiązani udzielić królowi radę, ilekroć razy ten w rzeczach wspólnych zasięgnąć jéj uzna za właściwe.

Niezależnie od konstytucyi, która nas w zupełności zadawala, posiadamy szeroko obmyślany samorząd gminny; żyjemy więc tu sobie spokojnie, nie wiele się troszcząc o tak zwaną wielką politykę, która zjada państwa reszty Europy. Bezpieczni o naszę niezależność, nie rujnujemy się na wojsko, które téż ogółem do 50,000 ludzi nawet nie dochodzi. Zato dźwigamy handel i przemysł, i jesteśmy prawdziwymi rozrzutnikami na rzeczy oświaty.

Zapewne pan wiész, że każdy Norwegczyk obowiązany jest posyłać dzieci swoje do szkoły początkowéj. Pod tym względem rząd nasz jest nieubłagany i nikomu nie dozwala skazywać potomstwa swego na ciemnotę i co nieraz za tém idzie, zbrodnię. To téż urządzenie to do bardzo pomyślnych wyników już doprowadziło. Mały tylko w kraju naszym procent czytać i pisać nie umié, a ludzi ze średniém wykształceniem spotkasz pan nawet pomiędzy naszymi chłopami; a za oświatą podniosło się i bogactwo ogólne.

To wzmożenie się dobrobytu i oświecenia w kraju, od czasu połączenia jego ze Szwecyą, sprawić naturalnie musiało, że sympatya do sąsiedniego narodu silnie się u nas rozwinęła. Lubimy Szwedów i chętnie wyjeżdżamy do Sztokholmu przebyć w ich wesołém towarzystwie czas jakiś.... Charakter tego narodu otwarty i szczery, bardziéj nam się podoba niż duński, który cechują więcéj właściwości niemieckiéj niż skandynawskiéj natury. A choć kilka razy w ciągu tego wieku przychodziło do zatargów ze Szwecyą, zatargi te jednak nosiły na sobie charakter przejściowy i wyglądały raczéj na małżeńskie komeraże, niż na poważne nieporozumienia.

Ale zagadaliśmy się, a to i Tynnu już nie wiele. Widzisz pan ten punkcik na prawo: to Ornäs, i kres podróży naszéj. Tam bowiem postawimy nogę na ląd.

Spojrzałem. W dali bieliło się coś niewyraźnie. Z pasa mgły wychylały się szczyty domów, nad któremi górowały olbrzymie wierz-

chołki gór. Wierzchołki te zdawały się świecić śniegiem, rzucały bowiem dokoła blask i jasność. Było południe, ale słońce schowało się gdzieś za chmury i półcień jakiś dziwny pokrywał całą osadę. Nareszcie wszystko zaczęło nam rosnąć w oczach, aż w końcu ukazało się w naturalnéj wielkości. Byliśmy w Ornäs.

Brun zadowolony z końca podróży, która go nieco nudziła, schwycił pakunki, wyrzucił je na ziemię, tak że aż jęknęły z bolu, a sam śpiewając i tańcząc wyskoczył ze statku i z gracyą podał mi rękę.

— Mam zaszczyt — rzekł śmiejąc się — powitać pana w sercu Thelemarken.

(*Dokończenie nastąpi*)

PRZYCZYNEK

do zdania o dziele Michała Bobrzyńskiego: „Dzieje Polski w zarysie," 1879 r.

PRZEZ

Aleksandra Tyszyńskiego.

Nigdy jeszcze różnorodne gałęzie nauki ludzkiéj nie były tak starannie, bogato i śród specyalności swoich głęboko rozwijane i uprawiane, jak w czasach obecnych i nigdy téż bardziéj jak dzisiaj nie czuje się braku i nie wygląda nauki specyalnéj, nowéj, któraby te różnorodne zdobycze, ich różnostronne kierunki, godzić, jednoczyć, w jednym obrazie oglądać i do jednego łącznego celu skłaniać umiała. Ścieśniając się od téj ogólnéj uwagi do jednéj z owych naukowych gałęzi, do *Dziejów*, a śród tych: do dziejów krajowych, napotykamy tu także podobny objaw. Nigdy jeszcze tyle, ile w ostatnich kilkunastu latach nie ogłoszono u nas bogatych źródeł, pomocy, tyle zarazem obok monografii wytrawnych, rozjaśniających szczegóły naszych dziejów dawnych, ale nie spotykaliśmy dotąd odbicia się tych przyczynków w obrazie łącznym. Nic dziwnego więc, iż nakreślenie takiego obrazu, chociaż (jak ten, o którym mówimy) w zarysie, a nakreślenie właśnie przez jednego z najzasłużeńszych pracowników na owém (monograficznem) polu, tak pochopnie pochwyconém zostało, że tyle żywych sądów już wywołało. Sąd taki umieściła między innémi i *Biblioteka Warszawska* w zeszycie za maj, pióra F. K. Wyrażone w tym sądzie jak

ogólna charakterystyka dziełka, tak i szczególne twierdzenia, zdaniem naszém są najzupełniéj słuszne; gdy jednak samo to dziełko większéj części czytelników *Biblioteki* nie jest, być może, znaném i gdy nadto niektóre objawiane w niém sądy a nawet kreślone fakta szczegółowszego objaśnienia wymagać mogą, przeto nie będzie, sądzimy, zbytniem, do wyrażonych już uwag jeszcze kilka dorzucić.

Dzieje polskie p. Michała Bobrzyńskiego, jestto książka, która z zadania swego nie tyle jest poświęconą kreśleniu obrazów, jak uwag o tych dziejach. Autor jest zwolennikiem prawa i gotując się do napisania téj książki, nietyle oczywiście rozczytywał się w kronikach, ile w *Voluminach legum*. Pogląd ten doprowadził go osobiście do pewnych wniosków, zarazem zaś i do chęci zapisania pewnych przestróg. W miejsce więc najpopularniejszego dotąd u nas podręcznika do poznania dziejów krajowych, który ma napis: „*Dzieje*, które stryj synowcom opowiedział" (i który, dodać można, nauczał młode pokolenie treściwie, różnostronnie i *ściśle bezstronnie* o faktach naszéj dawnéj historyi), dał nam nowy, o którym rzeczby można, iż go „synowiec stryjom opowiedział," t. j. nauczający, jak odtąd o tych dawnych znanych im dziejach sądzić powinni.

Punkt, z którego p. Bobrzyński w zapatrywaniu się na swój przedmiot, t. j. na dzieje polskie wyszedł, jestto ostatni rezultat tych dziejów: upadek kraju. Autor w uwagach swoich zastanawia się głównie nad przyczynami takiego końca, kreśli je, przedstawia dobitnie i powiedzmy to z góry, do następnych w wykładzie swoim dochodzi wniosków:

Kraj nasz upadł, gdyż... musiał upaść, a na skutek ten złożyły się były głównie przyczyny następne: najprzód, iż za swój sztandar i ideał poczytał był wolność („złotą wolność"); powtóre, iż niémiał u siebie nigdy silnego, absolutnego rządu i wreszcie trzecie: iż zamiast pilnować swych pierwotnych granic, a w nich dobrobytu, zbyt się rozszerzył.

Wnioskom tym, jako téż wszystkim innym ogólniejszym zdaniom autora, niémamy tu wcale zamiaru zaprzeczać, ani téż je potwierdzać, a spojrzéć tylko, czyli? i o ile? sam wykład zmusza czytelnika do ich przyjęcia lub nieprzyjęcia.

Podstawą wniosków są sądy, a sądów: fakta; najpierwszym więc warunkiem podzielenia przez czytelnika wniosków, jest przekonanie się czyli te fakta, z których pierwotnie wyszły lub na których się opierają, są wierne.

Pogląd wewnętrzny p. Bobrzyńskiego na dzieje polskie, objaśnia nam najprzód ogólnie podział ich na okresy. Autor do tego podziału główną oczywiście przywiązał wagę, wykłada go bowiem zaraz na wstępie, na pierwszéj karcie książki, pierwéj nawet, niż określił przedmiot, o którym ma mówić i przed przytoczeniem literatury tego przedmiotu.

Okresy te jakież były?

Okresy historyi polskiéj były, według autora, następne: 1-szy od najdawniejszych początków państwa, do połowy XIII wieku, kiedy ludność kraju była jednolitą, a król jéj ojcem: okres *patryarchalny*; 2-gi od połowy XIII wieku, t. j. od czasu wyludnienia kraju przez Tatarów a zaludnienia przez Niemców, do końca XV wieku: okres *patrymonialny*, gdyż w nim, według autora „królowie spokojni o swe *patrymonium*, nadawszy raz przywileje stanom krajowym, nie wtrącali się do ich spraw wewnętrznych, a tylko je bronili na zewnątrz," (str. 9); i wreszcie od początku XVI wieku, do upadku kraju, w którym według wyrażenia autora, „złamano średniowieczne przywileje, a urządzono państwo nowożytne, tak zwane *prawne*" (str. 9).

Podział taki, a następnie jego sprawdzanie, powiedzmy to z góry, nie uprzedziły nas wcale na stronę gruntowności sądów autora. Podział ten jest już błędnym z zasady, stosunek u nas bowiem wszystkich stanów kraju do panujących, był jeden przez całą epokę Piastów, różnice zjawiać się zaczęły dopiéro od króla Ludwika; jak przeto pod względem tych stosunków, między pierwszym powyższym okresem a połową drugiego, różnicy nie było żadnéj, tak znowu między dwiema połowami 2-go okresu były wielkie. Jest téż błędnym według własnych sprawdzeń autora, jak wnet ujrzymy.

Od połowy XIII wieku, mówi autor, zaczął się okres nowy *patrymonialny*, odtąd bowiem „stosunek stanów do książąt polegał na wzajemnym kontrakcie określonym w licznych przywilejach" (str. 137). Lecz oprócz przywileju dla żydów z r. 1264, nie wiemy o żadnych innych przywilejach dla szczególnych stanów z owego czasu. Od połowy XIII wieku istotnie zjawiały się już i doszły do naszych czasów liczne urzędowe akta i przywileje; lecz były to przywileje, nadania, udzielane dla rozlicznych jednostek, dla szczególnych klasztorów, szczególnych miast, ale nie przywileje stanów.

Iż stosunek wszystkich stanów krajowych do książąt i królów, był jeden przez całę epokę Piastów i że ci książęta, królowie przez cały ów okres długi mieszali się w przywileje tych stanów, wskazać to może chociaż przelotne wspomnienie na dzieje ówczesne. „Naród polski, mówi p. Bobrzyński, w owym okresie drugim patrymonialnym, składał się z trzech stanów" (str. 137). Jakie to jednak były te trzy stany, według autora, tego nie wiemy. Na stronie bowiem 8 tak mówi: „Społeczeństwo polskie w okresie tym rozpadło się na *dwa* żywioły: polski i niemiecki, duchowieństwo utworzyło *stan trzeci;*" to zaś co mówi następnie na str. 137, jest jeszcze większą zagadką: „Książęta Piastowscy, mówi tu, przeprowadzili budowę społeczeństwa, opierającą się na *trzech* odrębnie rządzących się stanach: *kościelnym*, *duchownym* i *świeckim*."

Musimy tu więc mówić o stanach, jakie były wtedy w kraju *de facto*, t j.: *kmiecym*, *miejskim*, *szlacheckim* i *duchownym* i o każdym z tych nadmienimy tu po kolei.

Iż stosunek *włościan* do książąt i królów takiż był w okresie pierwszym *patryarchalnym*, jak i w drugim, czyli tak zwanym przez autora *patrymonialnym* do końca XIV wieku, to widzimy z kronik, ustaw i innych świadectw z owego czasu. Zarówno np. Kazimierz Sprawiedliwy w wieku XII (zjazd w Łęczycy), jak Kazimierz W. w wieku XIV (statut wiślicki) rozciągali nad włościanami opiekę; zarówno zkądinąd, jakto widzimy z nadań, los ich szczególny był rozstrzygany w obu tych okresach samowolą władzców, a nieraz w owym okresie drugim, więcéj się daje widzieć właściwéj patryarchalności, niż w pierwszym. Tak np. w nadaniu Konrada Mazowieckiego klasztorowi Czerwieńskiemu z r. 1222 (a więc w okresie 1-ym) czytamy, iż włościanie w nadanéj wsi mają podlegać jurysdykcyi opata pod każdym względem (*ne alicujus obedient judicio nisi sui abbatis, Kod. Rzyszcz.* t. I, str. 26); zaś w nadaniu Leszka Czarnego z r. 1280 (w okresie według autora drugim), książę ten rozpoznawanie dziedzictwa włościańskiego przy sobie zatrzymał (*excepta haereditaria questione. Cod. Tinec.* str. 47). Los włościan dopiéro w drugiéj połowie tego drugiego okresu, zwłaszcza z powodu ustaw Jana Olbrachta, znacznie się zmienił.

Co do *mieszczan*, Władysław Jagiełło dopiéro statutem z 1420 roku, a więc w drugim okresie, zniósł ich *fraternitates* (cechy), a Jan Olbracht konstytucyą z r. 1497 odjął obywatelom miast prawo nabywania dóbr ziemskich. Czy jest w tém dowód, że królowie w okresie tym nie mieszali się do spraw tego stanu?

Co do *szlachty*, zależność urzędów szlacheckich i w ogóle jednostek tego stanu, do królów, takaż była w okresie 1-szym i 2-gim i takież wzajemne stosunki zależne od charakteru jednostek nie przywilejów; takiż np. umieli i mogli czynić opór swym władcom wojewodowie z czasów Władysława Hermana i synów Krzywoustego, jak w okresie następnym z czasów Jadwigi i Jagiełły, a liczne w tym okresie udzielane przez królów przywileje szlachcie, jak Koszycki, Nieszawski i t. p. nie oznaczały także wcale „nie wtrącania się królów" do jéj spraw.

Co do *duchownych*, wreszcie i tych stosunek do królów był jeden za całéj epoki Piastów, a następnie tak do spraw tego stanu, jak do trzech innych, zarówno się wtrącali królowie. Równie np. w wieku XIV, jak XI, biskupi nie wahali się uciekać do klątwy a królowie do zemsty, i tak np. *patrymonialny* Kazimierz W. rownie postąpił z wysłańcem biskupa krakowskiego (Baryczką), jak *patryarchalny* Bolesław Śmiały z samym biskupem. W połowie XV wieku Kazimierz Jagiellończyk odjął przywilej kapitułom obioru biskupów i ten tronowi przywłaszczył.

Cóż więc znaczyło owo założenie autora, iż w okresie patrymonialnym, królowie nie wtrącali się do praw wewnętrznych stanów? Odpowiedź tém trudniejsza, iż jeden z ustępów tego okresu, w saméj książce autora ma napis: „Kazimierz Jagiellończyk łamie przywileje stanów" (str. 213).

Jak okresu II-go, tak niezrozumiałe jest równie oznaczenie i okresu III. „W okresie tym, mówi p. Bobrzyński, złamano średniowieczne przywileje i urządzono państwo nowożytne, *prawne*." Jakie to u nas okres ten złamał przywileje, nie widzimy z wykładu. *Fraternitates* miejskie, jak widzieliśmy, złamał już był Władysław Jagiełło w poprzednim okresie, a w nowym przywrócił je przeciwnie Zygmunt August i trwają dotąd; co zaś do szlachty, okres ten cały rozwijał tylko a nie łamał zdobyte przez nią w poprzednim przywileje. Na czem znowu polegała owa *prawność* nowego państwa i wogóle państw nowożytnych, nie objaśnił nam równie autor. Pisarze polityczni dzisiejsi są dziś najpowszechniéj zdania, że samowola królów nigdy jeszcze do takiéj potęgi nie była wzrosła, jak w wiekach nowych, od czasu zwłaszcza jak protestantyzm nauczył łączyć w ich rękach najwyższą władzę cywilną i religijną. „Jeszcze w połowie XVIII wieku (mówi Kolb w *Culturgeschichte*) ziemie i ludzie byli własnością panujących." Państwa prawne, t. j. z określoną ustawą, powstały dopiéro w naszych czasach. W Polsce, według autora, państwo prawne rozpoczął *Statut* Aleksandra z r. 1505, zastrzegający, że: „nic nowego odtąd król stanowić nie będzie, bez spólnéj zgody stanów." Ale podobny warunek mieścił i statut Kazimierza Jagiellończyka z połowy XV wieku, zaręczający, iż król odtąd nie będzie miał prawa prowadzić wojen, „bez poprzedniéj zgody prowincyi" i podobną była jeszcze na początku XIV wieku w Niemczech deklaracya Henryka VII, iż: „Nie wydamy odtąd żadnego prawa bez poprzedniéj porady naszych książąt i baronów;" państwa prawne uznaćby więc wypadało, iż zaczęły się już w wieku XV i XIV.

W taki sposób sprawdzone zostały w książce autora jego okresy, a sądy takie nie skłaniają czytającego do przyjmowania opierających się na nich i dalszych wniosków.

Książka p. Bobrzyńskiego z zadania pobieżnie tylko miała dotykać faktów, a być za to bogatą w rozumowania, tymczasem (wtrącić tu musimy uwagę) przeciwnie się stało. Słabą stroną okazały się w książce właśnie rozumowania, a fakta, lubo w zarysie, przedstawione zostały (przynajmniéj w epokach pierwszych) krytycznie i trafnie. Właściwie, obraz swój dziejów Polski, podzielił, można powiedzieć, autor na dwa wielkie okresy. Na okres wzrostu państwa od początków do końca wieku XV: okres upadku państwa, i pierwszy z tych *eon amore* przedstawił: Jeżeli okres drugi, to jest całość dziejów krajowych od początku XVI wieku autor naznaczył jedną czarną plamą, lubo nieomieszkiwał wzmianek i o świetniejszych rysach; tedy w okresie pierwszym potępił naodwrót; kreśląc dzieje krajowe z pierwszych pięciu wieków nie przepominał wzmiankować i rysów ujemnych, ciemnych i te jednak wnet białą barwą powlekać umiał. Po określeniu zwycięztw trzech Bolesławów, mówił np. o klęsce podziałów, o najściach Tatarów, dodaje jednak iż podział Polski na księztwa przyczynił się do usamowolnienia różnych części kraju od przesadnéj centralizacyi, do rozwi-

nięcia w tych częściach gospodarstw, nowych urządzeń; a spustoszenia ziem przez Tatarów były źródłem przywoływania osadników z Zachodu i przenoszenia z nimi do kraju wyższéj cywilizacyi. Fakt nawet powszechnéj w owym czasie przewagi Rzymu nad państwami Europy, wywołujący zwykle lament historyków, przez autora przychylnie jest wzmiankowany. W czasie tym, uważa, duchowieństwo dawne polskie żonate, rubaszne, zastąpione zostało przez nowe przejmujące się duchem swego odrębnego powołania. Przepłynąwszy w ten sposób przez wiry, tém sympatyczniéj naturalnie kreśli następnie panowanie Łokietka, Kazimierza W. i pierwszych Jagiellonów. Kazimierzowi przebacza łatwo jego rozpustne życie, jego samowolności, nawet ustępstwo Pomorza Krzyżakom (i trzeba dodać Szlązka), a głównie zwraca uwagę na jego prawodawstwo. „Wielkim, mówi autor, stał się Kazimierz dopiero przez to, że oszczędzając sił narodu od bezużytecznych wyniszczających wojen (w następnym okresie, jak to wnet ujrzymy, każdy nieledwo rok pokoju poczytywał autor za zbrodnię królom), umiał je do pracy wewnętrznéj skupić, i umiał w téj pracy całemu narodowi jasną pochodnią swego geniuszu i niezachwianą energią przodować." „Mądremu zaszanowaniu i wzmocnieniu sił swoich przez Kazimierza W., zawdzięczała Polska swój pokojowy podbój Rusi i (następnie) Litwy, a połączeniu tych trzech narodów ówczesną przewagę swą w Europie" (str. 182).

Przy wzmiance o pokoju Toruńskim z r. 1466 (dopełniającym wcielenia Prus na ich żądanie), dodaje autor uwagę: „był to najświetniejszy tryumf jaki odniosła Polska nie już nad pogańską i barbarzyńską Litwą, ale nad cywilizowanym i wyżéj w wielu względach od niéj stojącym żywiołem niemieckim. Zawdzięczała to swemu ustrojowi politycznemu, który zapewniając siłę i powagę państwu, zostawiał jednostce i społeczeństwu potrzebną do rozwoju swobodę" (str. 216). Z pochwałą jeszcze mówi o rządach Olbrachta i Aleksandra, o pierwszym dla tego, że przyjacielem był Kallimacha „spółziomka Machiawellego, dążącego do zbudowania absolutnéj władzy" i że na sejmach z r. 1493 i 1496, „obmyślano dla szlachty opiekę prawa, wprowadzono ład i porządek w sądy, zniesiono krępujące jéj dobrobyt dawne postanowienia" (str. 231), drugiego że podobnie na sejmach z r. 1504, 1505 i 1506 korzystając z ogólnéj niechęci przeciw możnowładzcom związał się ze szlachtą (str. 237.) Patrząc pod każdym względem różowo na wiek XV, autor w jego ogólnym obrazie także téż między innemi uwagi wyraził: „potęga państwa zabezpieczyła kraj od najazdów, dawała swobodę pracy, rozszerzała handlowe stosunki. Wójtowie i sołtysi, liczbą swą równający się niemal szlachcie, chronili (lud) od wszelkiego ucisku" (str. 187). „Wzorowém gospodarstwem podnoszą się nietylko fortuny panów ale i zamożność narodu... a kiedy idzie o dopięcie szlachetnéj politycznéj ambicyi, o wystawienie obronnych zamków i zbrojnych zastępów... o podjęcie kosztownego poselstwa, *możnowładzca polski* z XV wieku, nie waha się całéj fortuny swojéj postawić na kartę; ludzie prawdziwie męzkiego serca, szerokiego na sprawy ogólnoeuropejskie poglądu, prawdziwie politycznego

rozumu i doświadczenia... niedziw, że rządami swoimi zapisali najświetniejsze karty naszych ojczystych dziejów" (str. 189). Bardzo to pięknie, ale nie rozumiemy zupełnie, dlaczego autor, jak to właśnie widzieliśmy, uwielbiał króla Aleksandra, iż się łączył z przeciwnikami takiego możnowładztwa. Kontrast to taki, (że wspomnimy tu jeszcze) między owém określeniem epoki patrymonialnéj, iż w niéj królowie urządziwszy swe patrymonium, opierali się tylko na dochodach swoich dóbr, a tą udzieloną przez autora pochwałą temuż Aleksandrowi, iż uorganizował nowe najwyższe urzędy, a między innemi: podskarbiego koronnego, który wydatki dworu królewskiego od wydatków publicznych odgraniczył (artykuł w *Ateneum* z r. 1876, t. II, str. 332, pióra autora *Sejmy polskie za Olbrachta i Aleksandra*. Jeżeli teraz dopiero nastało to odgraniczenie, to snać królowie przez ciąg okresu nieopierali się, tylko na dochodach swoich dóbr.

Po takim pomyślnym wzroście i rozwinieniu, zdawałoby się, że musiał chociaż na czas jakiś i kwiat téj pomyślności dla dziejów kraju nastąpić, i istotnie czas ten kwiatu określają nasze kroniki z owego okresu, za niemi nasi dzisiejsi historycy, i nawet historycy cudzoziemcy, gdy czynią o czasach tych wzmiankę. Czasy rządów Zygmunta I, Zygmunta Augusta i Batorego wzmiankowane są zawsze jako świetne, zwłaszcza rządy pierwszego z nich ze szczególném odznaczeniem zawsze są określane.

Że poprzemy się pierwszém lepszém świadectwem jakie mamy pod ręką: autor *Historyi Polskiéj* w wielkim zbiorze *Historyi Powszechnéj*, wydanéj w wieku zeszłym po angielsku, krótką ale dobitną dał charakterystykę panowania tego króla wyrażając: iż w ciągu 42 lat tego panowania, Rzeczpospolita odnosiła same zwycięztwa a nie zaznała żadnéj klęski, (t. XXXI, str. 43 wydania z r. 1780). Historyk francuzki Solignac, opisawszy w swojéj *Historyi Polski* panowanie Zygmunta I, stosunkowo obszernie, poświęcił przy końcu kilka stronnic jego charakterystyce i zwróciwszy w niéj uwagę na tę czynność, którą się ten król bez przerwy odznaczał, na te zwycięztwa, któremi kraj wsławił, na ten stopień wewnętrznego kwitnienia, do jakiego go podniósł; wreszcie na tę cześć powszechną, w jakiéj u postronnych monarchów zostawał, dodaje w przypisku: iż *podziela* zupełnie zdanie tych, którzy wyrażają, iż gdyby Karol V, Franciszek I, Zygmunt I, niepracowali spółcześnie, każdy z nich byłby równie godnym rządzić krajem drugiego i światym całym (*Hist. de Pol.* t. IV, str. 84). Nawet kreślący tak czarno naszę przeszłość w świeżo wydaném dziełku o upadku Polski v. Brüggen, wspomniawszy w niém o czasach *ostatnich Jagiellonów*, zowie je czasem *wewnętrznego blasku*, duchowych dążeń i t. d. [1]). Kiedy tak obcy pisarze bez najmniejszego osobistego powodu oddają sprawiedliwość

[1]) Damals, im XVI Jahrhunderts, hatten glückliche Kriege der letzten Jagiellonen dem Polnischen Staate einem äussern Glanz, hatten geistigen Strebungen etc. *Polen's Auflösung*, str. 41.

i dziejom naszym z wieku XVI i panowaniu Zygmunta I; p. Bobrzyński wysila się, aby dowieść, że wiek XVI był już cały wiekiem naszego upadku i że głównym sprawcą tego upadku był Zygmunt I. Cały ustęp poświęcony pamięci i rządom tego króla, jestto szereg samych wyrzutów.

Przypatrzmy się im, a iżby jaśniéj ocenić, wspomnijmy najprzód, jakiém było panowanie Zygmunta I według historyi. Zygmunt przybywszy z Głogowa dla objęcia tronu polskiego po bracie, nie znalazł go wcale bezpiecznym: Michał Gliński w związku z W. księciem Wasilem odrywał Litwę, wojewoda wołoski Bohdan z Wołochami i Tatarami niszczył południowe prowincye, mistrz krzyżacki (Fryderyk, a po nim Albert) odrywali Pomorze. Świetne zwycięztwa pod Orszą, pod Wiśniowcem, na Wołoszczyźnie, następnie w Prusach królewskich, i znowu nad Wołoszą pod Obertynem; czynność osobista królewska już na końcu w wyprawach, już dyplomatyczna na zjazdach sprawiły: iż jak zaraz na wstępie zakłócony pokój prędko był wrócił, tak i całe długie panowanie tego króla było czasem, rzadko tylko i na krótko przerywanego, pokoju. Czas ten pokoju, Zygmunt nie na zabawy, zbytki i bezczynność, ale staraniom o bezpieczeństwo i dobrobyt kraju poświęcał. Celem obrony kraju przeprowadził on na sejmie z r. 1512 ustawę wojskową, znakomitą, jak mówi sam autor, i urządził władzę hetmanów. Urządził finanse własne (Jan Bonar). Litwie dał (odznaczony nawet śród prawodawstwa spółczesnego) statut, wygotował podobny i dla Korony (kodeks Taszyckiego), w miarę środków czuwał nad dobrem włościan, nad dobrem miast, wzrostem oświaty. Za jegoto panowania ukazały się w kraju pierwsze druki polskie, i pierwsi autorowie piszący po polsku (Marcin Bielski); liczba druków łacińskich z czasów panowania tego nas doszłych jest do 2,000 (Estrejcher *Bibliografia Polska*), a śród autorów tych publikacyi spotykamy między innymi imiona powagi i sławy takiéj jak Jan z Głogowy, Jan ze Stobnicy, Michał z Wrocławia, Wapowski, Kopernik, Kromer, Hozyusz, Dantiscus, Janicki i t. p. Panowanie to Zygmunta uświetnili wodzowie tacy jak Tarnowski, Kamieniecki, Ostrogski, Firlej, trzej Radziwiłłowie i inni, dyplomaci: jak Krzysztof Szydłowiecki, Tomicki, Jan Łaski i t. p. Samo nieszczęśliwe dla popularności króla małżeństwo z Boną wpłynęło pod niektóremi względami (z powodu zbliżenia z Południem) na kraj dodatnio. Sam autor zapomniawszy na chwilę swego systemu, a kreśląc obraz swój przedmiotowo, wyraził między innemi: „Odrodzone we Włoszech a wprowadzone do Polski za Zygmunta Starego nauki i sztuki klasyczne podniosły cywilizacyjnie ogół społeczeństwa, nadały mu świetny polor i otoczyły dziwnym urokiem i blaskiem" (str. 260).

Mimo to wszystko jednak, p. Bobrzyński, jak rzekliśmy, usiłuje wykazać, iż Zygmunt I, nietylko nic dodatniego nie sprawił, lecz owszem to co istotnie sprawił, była to tylko przepaść, do któréj kraj wleciał. Kreśleniu panowania tego króla poświęcił autor w zarysie stronnic ośmnaście, a jawną stronność określa już sam nadpis tego ustępu, brzmi bo-

wiem: *Słabe* (?) *i krótkowidzące rządy Zygmunta I.* W rozwinieniu autor półsłowem zaledwo wspomniał o niektórych zwycięztwach króla, nic o Statucie, nic prawie o Taszyckim; usiłuje zaś wykazywać iż król ten: poniżył miasta, lud wiejski zakuł w kajdany, związał ręce starostom a przez to i królom; iż przystawszy na oddanie domowi Habsburskiemu tronów Węgier i Czech, poniżył dom Jagielloński; iż traktatem z Albertem zhańbił swój kraj: iż wreszcie przez ustępstwo zrobione szlachcie pode Lwowem, zaszczepił wieczną anarchią. „Monarcha ten, mówi autor, wszystkie wielkie posłannictwa stawione Polsce przez jego własnych przodków, w ciągu czterdziestoletniego panowania od niéj odsunął" (str. 248). Obaczmyż po kolei, sprawdzenia.

Na str. 252 autor mówi: „Już przedtem, w końcu XV w. odebrała szlachta samoistność duchowieństwu... *teraz* (za Zygmunta I) przyszła koléj na *miasta* i lud *wiejski.*" Dowody: „Postawiła szlachta zasadę, że kto służby wojennéj nie pełni, niéma prawa dóbr ziemskich posiadać i po kilkunastu latach uporczywéj walki doprowadziła do tego, że jednych mieszczan do wyprzedania swoich dóbr zmusiła, innym do nich zamknęła przystęp." Nabywania mieszczanom dóbr ziemskich wzbronił nie Zygmunt, lecz konstytucya z r. 1496. Cóż winien był Zygmunt I, iż brat jego (Jan Olbracht) prawo to zatwierdził, że nie było mu wolno wzbraniać egzekucyi praw istniejących? Król ten zwolnił owszem przynajmniéj od tego zabronienia dwiema konstytucyami z r. 1538 miasta pruskie i Kraków (*civibus bona terrestria... liberum sit deinceps emere*, *Vol. leg.* wyd. Ohryz., str. I, 267). Z przykładu zaś tego korzystały następnie różnocześnie i inne miasta, jak Lublin, Poznań, Wilno i t. p.

W dowód uciśnienia stanowczo włościan, autor mówi: „Zabrano się najprzód do sołtysów, tych naturalnych stróżów swobody wieśniaczéj i dozwolono szlachcie skupować sołtystwa; odkąd zaś dziedzic wsi został sołtysem, nikła dla osady wieśniaczéj najskuteczniejsza rękojmia jéj samorządu" (str. 253). Zwrócimy tu tylko uwagę, iż prawo sprzedaży sołtystw istniało w kraju *oddawna*, i że dozwoloném już było statutem z r. 1420 Warteńskim. *Et sic dominus soluta taxa... pro se scultetiam obtinebit*); zaś daléj: „po długiéj, cichéj, ale strasznéj walce społecznéj za Zygmunta I, który się wobec niéj obojętnie zachował, przykuła szlachta chłopa ostatecznie do roli, a na sejmach z r. 1520 i 1521 wymogła tryumfująca szlachta *straszne*, *hańbiące* ustawy, w myśl których, każdy wieśniak *bez względu na swe dotychczasowe prawa* i przywileje, winien jest *na znak poddaństwa*, jeden dzień w tygodniu na gruncie pańskim pracować" (str. 254). Konstytucya o któréj tu autor mówi stanowiła, iż każdy osadnik dzierżący tak w dobrach szlacheckich jak i królewskich łan gruntu (i nataralnie jak to było powszechném w osadach, łąki, pastwiska, zabudowania i użytek z lasu pańskiego na opał i budowle), winien był odrabiać za to właścicielowi dzień jeden w tygodniu, dodając jednak, iż ten obowiązek *nie stosuje się* do tych, którzy za osady płacili czynsze w pieniądzach lub zbożem, a także

i do tych, którzy już przedtem nie jeden dzień ale wiele dni w tygodniu odbywali" [1]). Z tego zatém wypada, iż obowiązek ów odbywania jednego dnia w tygodniu nie był na znak poddaństwa, lecz za użytki; iż mylném jest co wyraża autor, iż ten był bez względu na dotychczasowe przywileje, gdy niestosował się do czynszowników, i wreszcie, iż gdy z brzmienia prawa daje się widzieć, iż właściwie tak w dobrach prywatnych jak i królewskich odbywali już w innych miejscach nie po dniu ale *po wiele dni* w tygodniu, tedy prawo stanowiące iż *odtąd* nie może być wymaganém więcéj jak dzień *jeden* roboty, nie rozumiemy zupełnie, dlaczegoby się uważać miało za straszne i hańbiące? Ustawy Jana Olbrachta a zwłaszcza zr. 1496, odnoszące jurysdykcyą włościańską wyłącznie do pana, z pewnością daleko więcéj przyczyniły się do odjęcia swobody, a następnie ucisku włościan, niż ustawy Zygmunta I.

Z kolei wyrzuca autor Zygmuntowi I nie bezczynność lub iżby coś złego uczynił, ale to właśnie co chciał uczynić dobrze; więc np. owę ustawę wojskową, organizacyą władzy hetmanów, oddanie pod zatwierdzenie sejmu pracowicie i umiejętnie ułożonego kodeksu i t. p. Zarzut swój formułuje autor w ten sposób, iż jakoby król Zyg. nie korzystał ze zwiększonéj władzy w swym ręku przez statuta króla Aleksandra i niemiał siły do przeprowadzenia egzekucyi swych projektów i praw (na str. 237). Autor mówi: „górowało w nowém państwie ciało świeżo powstałe, sejm walny, który w ustawach z r. 1505 sam sobie ostateczne granice przepisał." Sejm ten (zastrzegający, iż żadne odtąd nowe prawo nie może być wydane bez wspólnéj zgody stanów), zdaniem autora, nietylko dotychczasowéj władzy króla *nieograniczył* (?), ale ją owszem zwiększył, bo *podawał sposobność* przeprowadzenia na drodze legalnéj wszelkich najdaléj sięgających zmian w ustroju społecznym i politycznym (str. 239). Podawał *sposobność* być może, ale nie *możność*. Jeżeli król nie mógł podobnie nadać Koronie kodeksu jak Litwie, jeżeli nie mógł przeprowadzić egzekucyi ustawy wojskowéj, to dlatego, iż jak stanowienie nowych praw, tak i wykład ich szczegółów nie mogły następować *sine communi consensu* panów rad i posłów (co nawet kraj pojmował w znaczeniu *nemine contradicente*), a temu winien był właśnie statut Aleksandra. Król Zygmunt uorganizował władzę hetmanów. Iż kraj odtąd stał jeszcze silnie dwa wieki, winien to głównie téj władzy, która umiała strzedz granic, począwszy od Jana Tarnowskiego do Sobieskiego. Autor jednak i tę instytucyą gorzko Zygmuntowi wyrzuca, „przez oddanie bowiem wszelkiéj siły wojskowéj

[1]) Oto jest dosłowne brzmienie téj konstytucyi: Statuimus et decernimus *perpetuo* observandum: quod omnes et singuli Coloni seu Kmethones... de quolibet laneo *unam diem* septimatim laborent; *demptis* his colonis qui *censu* pecuniario aut frumentario... dominis sui labores jam antea recompensarunt, et hoc proviso: quod haec constitutio non extendat se contra hos Colonos qui ratione possessi agri, *plures* fortasse *dies* in septimana, dominis suis et nobis laborare conseveverunt. *Vol. leg.* t. I, str. 179.

pod władzę hetmanów, dopuścił, mówi autor, iż utracili znaczenie starostowie grodowi, na których w wiekach XIV i XV opierały się silne rządy królów." „Siła zbrojna, dodaje, służyła odtąd *tylko* do odpierania nieprzyjaciół zewnętrznych, a starostowie utracili egzekutywę [1]). Szczegół ten, drobny napozór w rozwoju naszym dziejowym posiada pierwszorzędne znaczenie, a rządowi Zygmunta I. daje smutne świadectwo" (str. 246). Dzieje nasze nie przedstawiają zażaleń na bezwładność starostów i owszem bardzo liczne na ich nadużycia. P. Bobrz: dla poparcia swojéj uwagi wskazuje tylko na tę skuteczną pomoc, jaką otrzymał był Kazimierz Jagiellończyk od starostów przy egzekucyi dwu swych energicznych pomysłów, a mianowicie: przy ściąganiu podatków, samowolnie przez siebie nałożonych w r. 1455, i przy wygnaniu obranego przez kapitułę krakowską biskupa, dla wprowadzenia swego elekta. Ale czynność starostów w pierwszym przypadku zdaje się, iż oprócz oburzenia powszechnego niemiała innego skutku, podatek bowiem ów samowolny, wnet przez sejm został zniesiony (Dług. pod r. 1456, toż i Kromer: *tametsi retractatum id decretum est*), a odjęcie kapitułom przywileju udzielonego im oddawna przez królów wolnéj elekcyi biskupów posłużyło do ujęcia powagi przywilejom królewskim. Przywłaszczenie nadto sobie przez królów téj elekcyi stawało się przy każdéj nominacyi źródłem malkontencyi i zamętów, bez którychby się obchodziło, niemówiąc już o religijnéj niewłaściwości [2]). Przykłady autora nie popierały więc wcale jego żalu, gdyby nawet ten mógł mieć racyą.

Przechodzi z kolei p. Bobrz. do zbrodni dyplomatycznych Zygmunta i czyni mu najprzód zarzut iż nie przeszkodził zaręczynom dzieci brata Władysława z wnukami cesarza Maksymiliana." „Zygmunt, mówi autor, nie tylko na projekt ten przystał, ale zjechawszy się z Władysławem na wielki kongres do Wiednia, obecnością swoją tryumf Maksymiliana i dynastyi Habsburskiéj nad Jagiellońską uświęcił" (str. 248). Przypomnijmyż bliżéj ten fakt. Na tronach Węgier i Czech panowały elekcyjne dynastye, w wieku XIV i XV zasiadały na nich domy Habsburski i Luksemburski, następnie zasiadł Jagielloński. Przy wstą-

[1]) Autor znakomitéj pracy: *Dzieje Polski*, Józef Szujski, w uwagach swych o obecnym *Zarysie* mówi: „Przyznamy się w pokorze ducha, że nic nie wiemy o sile zbrojnéj, służącéj do egzekutywy starostów, wiemy tylko o woźnych, którym dla bezpieczeństwa jeden szlachcic miał towarzyszyć. (*Niwa*, Czerwiec 893).

[2]) Nasz historyczny erudyt-biograf Bartoszewicz, taką, w przedmowie do kroniki Piaseckiego zapisał uwagę: „Od czasu jak królowie przywłaszczyli u nas sobie prawo obierania na stolicę biskupią, kościół coraz więcéj tracił ze swéj powagi, bo każdy z królów chętnie nagradzał przysługi dla dworu podejmowane jak kościelne. Dla tego to np. wszyscy podkanclerzowie i kanclerze nasi bywali biskupami i zajęci polityką, najmniej myśleli o swych obowiązkach biskupich."

pieniu na tron Polski Zygmunta, królem Węgrów był brat jego Władysław a czeskim syn Władysława Ludwik, mający po śmierci ojca objąć oba te trony. W r. 1515 odbył się w Wiedniu zjazd cesarza, Zygmunta i Władysława, na którym postanowiono dzieci Władysława i wnuków Maksymiliana połączyć związkiem małżeńskim. Zygmunt przystał zapewne chętnie na taki układ t. j. na związek swego synowca Ludwika z wnuczką cesarza a siostrą przyszłego Karola V, świetny ten bowiem związek utwierdzał a nie osłabiał dynastyą Jagiellońską. Możnaż mu czynić zarzut, iż nie był prorokiem? iż w r. 1515 nie przewidywał, że w lat dziesięć Ludwik zginie pod Mohaczem, iż zejdzie bezpotomny, i że następnie w lat kilka stany węgierskie a po nich czeskie obiorą królem Ferdynanda ożenionego z siostrą Ludwika, i że tym razem dynastya Habsburska panować już będzie stale na obu tych tronach? Jeżeli przy owych układach wciśnionym był i warunek (jak to utrzymywał Ferdynand), że w razie zejścia Ludwika bezpotomnie, następstwo przejdzie na szwagra jego Ferdynanda, to na taki warunek Zygmunt nie mógł ani przystawać, ani nie przystawać, jak niemiały go prawa wciskać i same strony, bo wybór nowych dynastyi zależał od stanów państw nie od panujących. Jakoż stany węgierskie zaraz po śmierci Ludwika obrały królem swym księcia siedmiogrodzkiego Jana Zapolyę, brata pierwszéj żony Zygmunta, a następnie męża córki jego i Bony: Izabelli, król ten uznany był w końcu i przez Ferdynanda i panował do śmierci. Następstwa umowy wiedeńskiéj rozwinęły się zupełnie przygodnio, w czasie układów Maksymilian swatał pierwéj siebie niż wnuka, a obu monarchom Maksymilianowi i Zygmuntowi chodziło wtedy z pewnością nie tyle o przyszłość ile o teraźniejszość; pierwszemu o związki sąsiednie przeciw Franciszkowi I i Turcyi, drugiemu przeciwko Moskwie (którą dotąd Maksymilian popierał) i mistrzowi Krzyżaków. I cele te osiągnięte zostały.

Autor *Zarysu* tymczasem po złożeniu na karb Zygmunta obrotu wypadków, silniéj jeszcze wymawia mu następnie odstąpienie prawem lennem siostrzeńcowi swemu Albertowi Prus Książęcych. P. Bobrzyński mówi: „potrzeba jeszcze było wytrwać *krótką chwilę*, należało *wszystkich sił* użyć a niebezpieczne gniazdo Krzyżaków byłoby samo upadło. Zygmunt dla chwilowéj korzyści i miłego spokoju podpisał *hańbiący* traktat" (str. 251). Tych *wszystkich sił* używano już nieraz w walce z Prusami, téj *krótkiéj chwili* w którejby zakon sam upadł czekano od pokoju Toruńskiego, lecz powodzenia polskie były bez przerwy krzyżowane pomocą niemiecką, cesarską i saméj Stolicy apostolskiéj. Obecnie (w r. 1525) z powodu przyjętego przez miasta pruskie i samego mistrza protestantyzmu, wyczekiwanie téj chwili mogło przynieść przeciwnikowi bliższą jeszcze i skuteczniejszą pomoc tak Niemiec jak protestanckiéj już Szwecyi. Zygmunt pospieszył więc skorzystać z pierwszego powodzenia i zawarł z siostrzeńcem traktat, mocą którego Pomorze i całe Prusy zachodnie

zostały już odtąd bezsporną i integralną częścią Polski, a wschodnie jéj księztwem lenném, z warunkiem przejścia do Korony po wygaśnieniu dynastyi, jak świeżo (w skutek właśnie takiegoż prawa) wróciło było do Korony księztwo Zatorskie. Iż Zygmunt wrócił tym sposobem krajowi prowincyą i pokój a Albert złożył mu hołd na rynku krakowskim, cóż za *hańbę* można widzieć dla króla?

Wracając w końcu do ogólnych zarzutów i kończąc niemi swą charakterystykę obranego na ofiarę monarchy, autor mówi: „Zygmunt wykoleił szlachtę z dawniéjszéj jéj roli, oddalił od niéj te wielkie cele, do których dotąd nieskończonemi ofiarami zdążała, skazał ją na bezczynność i wydał na łup możnowładztwu" (str. 257). Jakie to były te wielkie cele, dla których szlachta ponosiła ofiary, autor ich nie objaśnia, a czytelnik domyślić się nie może, jak też i tego dlaczego dopiéro Zygmunt wydał ją na łup możnowładztwu. Jeżeli dla możnéj szlachty zebranéj pode Lwowem uczynił to ustępstwo iż jéj przebaczył, to dawniejszemi były te ustępstwa które uczynił był król Kazimierz Jagiellończyk w roku 1454 w Nieszawie i t. p. i wreszcie w obrocie owéj sprawy pod Lwowem, niewidziano oczywiście tryumfu panów nad królem, kiedy kraj téj wojnie ich z królem dał nazwisko *wojny kokoszéj*.

„Zresztą, wnioskuje ostatecznie autor, małoduszna polityka Zygmunta Starego zapewniała wprawdzie Polsce w drugiéj połowie jego panowania bezwarunkowy pokój, alę zaniedbanie wskazanego narodowi posłannictwa (?) wtrąciło go w odmęt *strasznéj wewnętrznéj anarchii* w téj właśnie chwili, kiedy wszystkie okoliczne państwa gorączkowo się organizowały i uzbrajały." Spółczesny Hejdenstejn kreśląc swe poważne i dokładne opowiadanie dziejów od r. 1572—1594 wyraził w zaczęciu: „Zygmunt August ostatni potomek Jagiellońskiego rodu zostawił po sobie królestwo w tak świetnym stanie, w jakim nigdy wprzód nie było." Po nim nastał świetniejszy jeszcze rząd Batorego, gdzież więc ta *straszna anarchia* w którą według autora wtrącił swój kraj Zygmunt I?.

Jak panowanie Zygmunta I, równie ujemnie to jest gwałtownie ujemnie kreśli autor panowanie jego następcy i wszystkich dalszych następców do upadku kraju, a przedewszystkiém czas bezkrólewia po Zygmuncie Auguście. Ten czas bezkrólewia, czyli wogóle druga połowa XVI wieku, byłto czas głównéj wagi w dziejach przeszłości naszéj, czas bowiem kształtowania się i wyrabiania na sposób taki nie inny, całéj téj przeszłości. Nie tém się odróżniła Polska od innych ludów, iż była umiłowała swobody i miała instytucye ich duchem oddychające. Odznaczały się tą miłością swobód i miały instytucye podobne, wszystkie prawie zrazu ludy Europy, słowiańskie, latyńskie, germańskie i t. p.; ale odróżniła się była tém, iż kiedy te wszystkie ludy z upływem czasu zapomniały były tego ideału i przeszły do wprost odmiennych instytucyi, Polska została jedną w wieku XVI, która pozostała przy tym ideale i rozwijała go nietylko w zastosowaniach, lecz w drodze *rozwagi*.

P. Bobrzyński w którémś miejscu swéj książki mówi, iż takie panowanie jak Zygmunta I, „niemogło" wydać wielkich ludzi, a takie jak Zygmunta Augusta „niedopuszczało" ich ukazania się; geniuszów, zdaniem autora, zdolnym tylko był tworzyć „energiczny" Kazimierz Jagiellończyk i jako na dowód wskazuje między innymi na Jana Ostroroga. Autor mianowicie uwielbia *Pamiętnik Ostroroga*, podany na którymś z sejmu XV wieku. *Pamiętnik* ten podany i napisany oczywiście z natchnienia Kazimierza Jagiellończyka, a nacechowany grubością słów dla duchowieństwa i Stolicy apostolskiéj (dla któréj król ten, syn Zofii Kijowskiéj, nie był jak wiadomo ze szczególném uszanowaniem), był odznaczony istotnie energią słowa i śmiałością względem powszechnéj wtedy przewagi kościelnéj. Wszakże właściwie obejmując tylko projekta lekkich reform w administracyi, ani porównywanym być może z tą wytrawnością i bogactwem dotykanych i rozbieranych szczegółów urządzeń społecznych, jakie widzimy w pisarzach politycznych z wieku Zygmuntów, a jakimi byli np. Modrzewski, Orzechowski, Górnicki, Zamoyski, Goślicki, Warszewicki i tylu bezimiennych. Treść tych pism nie była to *utopia* spółczesnego Tomasza Morus, czyli wyspa z urządzeniami idealnemi, ale była to treść z życia praktycznego czerpana, do niego stosowana i tém uderzająca, iż mimo narzekania w nich częste na bezład, na nadużycia, na ujemności z instytucyi krajowych, wspartych na swobodach, wypływające, nikt jednak nie myślał o ich zniesieniu, a tylko o ich ulepszeniu i rozwijaniu, tak nawet, że najmniéj przychylny ideałowi i wyraźnie kierujący do samowoli Krzysztof Warszewicki, traktatowi swemu czyli dyalogowi, który porady te mieścił, nie śmiał nadać innego nazwiska jak: *de optimo statu Libertatis.*

Jakie były następstwa dla kraju tego kierunku? Następstwa w sposobie pojmowania i stosowania tego kierunku obok dodatnich, były jednak jak wiadomo przeważnie ujemne, a mianowicie w tém, iż do udziału w swobodach dopuszczaną była tylko jedna klasa w kraju szlachecka i że prawo służące każdéj jednostce téj klasy wolnego na sejmach *veto* sprawiało, iż właściwie nie każda z jednostek tych była wysoce wolną; lecz przeciwnie wszyscy, nawet łącznie stawali się niewolnikami jednego: prawo to zatrzymało możność stanowienia ustaw i zatrzymało życie krajowe. P. Bobrzyński jednak prawie nie wskazuje i nie narzeka na te ujemności, na tę mylność w pojmowaniu zasady, ale na samą zasadę; nie narzeka na złe użycie i nadużycia ideału wolności, ale na sam ten ideał. Wstrzymać kraj od upadku, dać mu szczęście, kwitnienie, mógł tylko, zdaniem autora, wcześnie zaprowadzony rząd silny, rząd absolutny. Tak np. na str. 256 zarzucając politykom polskim z XVI wieku, że nie pojmowali praw rzymskich, tak jak je pojmował należało, autor mówi: „nauka prawa rzymskiego z zasadą swoją, że panujący *stoi ponad prawem*, mogłaby wprawdzie *zbawiennie* wpłynąć na umysły szlachty, ale szlachta nie wnikała tak głęboko w naukę prawa." W krytyce charakteru Zygmunta Augusta wyraża: „Zygmuntowi Augustowi brakło przedewszystkiém hartu moralnego, nie zdawał sobie

sprawy, że szlachty polskiéj do zbudowania absolutnéj władzy może z łatwością użyć" (str. 277) i niżéj: „Szlachta w r. 1565 występuje z projektem, ażeby w każdym powiecie król zaprowadził swego instygatora; projekt taki w ręku *mądrego* i energicznego króla byłby się stał w jednéj chwili narzędziem do zbudowania silnéj, absolutnéj władzy; Zygmunt nie umiał z tego korzystać" (str. 288).

Potępiwszy zasadę, a widząc że z téj zasady kraj w XVI wieku powszechnie wychodził, autor potępia naturalnie wszystkie bez wyjątku ówczesne wypadki, ówczesne jednostki, całą literaturę ówczesną i usprawiedliwiając swój pogląd, mówi między innemi: „Nie zmieni sądu naszego ta okoliczność, że pokoleniu temu śpiewał z Czarnegolasu Jan Kochanowski, że dla niego pisał dzieje Polski Kromer, że w jego imieniu zabierał głos Jan Zamoyski, bo *im szkodliwszemu kierunkowi* większe służą talenta, ten kierunek tém oczywiście szkodliwsze wydaje owoce. Zamoyski ogłaszał np., zdumionéj szlachcie, że cały istniejący ustrój Rzplitéj niedościgłym jest ideałem, który tylko w dalekiéj starożytności urzeczywistnili w swéj Rzplitéj Rzymianie; Polska jest ideałem wolności, każda jednostka słucha władzy i króla tylko o tyle, o ile mu się przez wolną elekcyą poddała, państwo niepotrzebuje siły przymusu, bo szlachta mająca wzniosłe cele przed sobą, tylko dla dobra kraju może i będzie występować i działać. Doktrynerzy rozsadzili i zneutralizowali zdrowe, trzeźwe pierwiastki stronnictwa dawnych posłów krajowych. Nie była to już dawna, zdrowe rady dzierżąca arystokracya, ale potworna oligarchia, która prywatę postawiła ponad dobro publiczne, która głosząc zasadę równości, zabijała nią każdy talent (?) i uczciwą ambicyą, która ciemnych tłumów używała jako taran na rozbicie rozsądku politycznego" (str. 301).

Kraj tymczasem ze swego ideału, z owego kierunku wychodził całe trzy wieki; autor więc całe te trzy wieki jedną czarną plamą oznaczył, wszystkich królów, wszystkich hetmanów, wszystkich mężów stanu, wszystkie zwycięztwa, wszystkie instytucye i t. p. Dorywczość, cecha, która głównie odznacza cały wykład p. Bobrzyńskiego w obecném dziełku, nigdzie téż nie wyraziła się tak dobitnie, jak w kreśleniu całéj téj epoki. Wnioski bez zasad, połajania bez przyczyn, sprzeczności, obrazy i zdania bez rysów i nici loicznych, to jest charakter skreślonego przez autora zarysu całych tych trzech wieków. Dla objaśnienia przytoczymy tu po kilka własnych słów jego z kolejnych wypadków.

Jako na główne nadużycia z czasów pierwszego bezkrólewia i pierwszy płód rozuzdanéj swobody, autor wskazuje na konfederacyą z r. 1573 (ogłaszającą między innemi tolerancyą wyznań i konieczność spólnéj elekcyi królów przez dwie połowy państwa), oraz na *pacta conventa*, o których mówi: „*Pacta conventa*, słowo w Polsce dotychczas nieznane, jest niewątpliwie najgorszym, potwornym, pierwszego bezkrólewia płodem." Wtrąćmy jednak, iż nie objaśnił autor co w saméj téj idei paktów widział tak zdrożném. Iż np., wszyscy nasi królowie

wskutek przysięgi na *pacta conventa* starali się strzedz tolerancyi, że np., taki August II przywrócił Polsce Kamieniec; nie mówiąc już o najpierwszych *pactach conventach*, które podał był Władysław Jagiełło starając się o tron Polski i które dotrzymał, co te pakta miały w sobie tak złego i potwornego?

Batory był wielkim królem, wypadło więc złajać sam naród choćby za jego przeszłość, tak więc zaczął autor opowiadanie o jego rządzie: „Upadł naród *dlatego, że się w bezczynnym pokoju* zamknął, musiał się podnieść z chwilą, w którejby siły swoje znowu do wielkich zadań skierował i skupił. Pojął to wybornie Batory" (str. 311). Lecz cóż? „obłęd wolności zamącił głowy szlacheckie i uczynił z nich masę objawiającą swoję siłę w wykrętnych teoryach i szkodliwych krzykach, a niezdatną do żadnego silnego, zgodnego, samodzielnego występu," (str. 310). Jakże bez téj zgody, choćby na pobory (jak miało to miejsce po kilkakroć), król ten mógłby odbyć tyle szczęśliwych wypraw? dokonać tylu organizacyi trybunałów, kozaków, akademii i t. p.

Z rysów rządu Zygmunta III, za trafną uznać trzeba uwagę autora, iż rokosz Zebrzydowskiego stał się źródłem ujemnych następstw przez to, iż król mimo uśmierzenie go, zamiast cofnięcia zatwierdził prawa anarchiczne (mowa tu jest zapewne o konstytucyach z r. 1607 i 1609 *de non prestanda obedientia*). Zkądinąd jednak zagadkową jest dla nas następna charakterystyka tych rządów: „Wojna moskiewska skończyć się musiała na zajęciu kilku prowincyi, turecka na odparciu groźnego najazdu, szwedzka dłuższym rozejmem, (dotąd nic złego); naród zniechęcił się do wojny i niemiał udziału w 30-letniéj, była to dobrowolna, *szkodliwa bez miary* abdykacya. Z martwym kolosem przestawano się liczyć" (str. 362).

Gorzéj jeszcze wypadła charakterystyka syna Zygmunta, Władysława i jest jeszcze większą zagadkowością. Oto jéj słowa: „Pokojem Polanowskim zrzekł się Władysław IV praw swych do korony carów, Moskwa zaś odstąpiła wszelkich roszczeń swoich do ziemi siewierskiéj, czernihowskiéj, smoleńskiéj, Estonii, Kurlandyi i Inflant. Amurat Abazę śmiercią ukarał i pokój dla Polski korzystny w r. 1634 uroczyście odnowił. Szwecya grody zajęte w Prusiech Polsce zwróciła." Ale następna neutralność „przynosząca Polsce (co złego?) długoletni pokój, była zarazem *ostateczną oznaką* (?) jéj zupełnego na zewnątrz i wewnątrz upadku" (str. 369). „Panowanie Władysława IV jest w dziejach Polski tém panowaniem, które *przepełniło czarę* naszéj niedoli" (str. 375).

Po tém przepełnieniu czary nastały rządy Jana Kazimierza, ale charakterystyka tego króla (zapewne z powodu jego projektów burbońskich) niespodzianie przychylniéj wypadła: „pan, mówi autor, mężny w boju, trzeźwy i doświadczony w radzie, energiczny w postanowieniu, nieugięty w nieszczęściu" (str. 376). (Dlaczegóż abdykował?).

Przy Sobieskim wypadło znowu połajać *naród*.

Oto są rysy tego króla, (najprzód jako hetmana):

„Sobieski poparty przez Prażmowskiego, człowieka rzadkiéj stanowczości, postanowił z głupotą szlachecką raz skończyć, konfederacye siłą rozproszyć, niedołężną lalkę (Wiśniowieckiego) z tronu strącić, a księcia de Longueville na nim osadzić i swawoli położyć tamę" (str. 399). „Górował niewątpliwie Sobieski nad całém społeczeństwem, które go otaczało miłością, poświęceniem, talentem i bohatérstwem, ale to społeczeństwo zepsute i upadłe i jego ku sobie zniżało" (str. 405).

Zagadką nad zagadki jest charakterystyka następcy Sobieskiego: „Dopiąwszy pierwszego celu t. j. tronu polskiego, umiał téż August II *wszystkiemi siłami* zwrócić się ku dalszemu celowi, ku złamaniu samowoli polskiéj, a narzuceniu Polsce silnych, jeśli można absolutnych rządów. Na nieszczęście August nie był takim człowiekiem, hulaka i rozpustnik trwonił swoje dochody na czcze festyny i szalone orgie" (str. 413). Cóż więc znaczyły słowa, że *umiał wszystkiemi siłami* zwrócić się ku temu celowi?

Tu następuje z kolei wewnętrzny obraz kraju epoki saskiéj. Jeżeli autor tak nie żałował farb czarnych kreśląc blaski, łatwo zgadnąć jaki być musi koloryt czasów, w których rzeczywiście większość rysów nie była białą. Autor objaśnia, iż był to już czas jawnego upadku i że głównemi hasłami owego czasu, a zarazem bezpośredniemi już sprawami upadku kraju były: *nietolerancya*, *oligarchia*, *niewola ludu wiejskiego*, *rozstrój wewnętrzny* i każdą z tych cech możliwie dobitnemi słowami stara się kreślić. Zdaniem naszém autor w tym razie miał wszelkie prawo do użycia dobitnych określeń. Lekarstwo, iżby skuteczne było, musi być gorzkie; lekcya blado kreślona niebyłaby lekcyą, sztuka wreszcie bez pewnéj przesady niebyłaby sztuką. Trafną jest nawet, zdaniem naszém lubo smutną następna uwaga, którą autor ze stanowiska wewnętrznego poglądu do owego czasu stosuje:

„Sejm pacyfikacyjny (z r. 1717 za Augusta II), jest objawem zupełnie podobnym do tego kompromisu, którym się sto lat przedtém rokosz Zebrzydowskiego zakończył. Wówczas naród i wszystkie jego stronnictwa powiedziały sobie: na co nam walczyć o przeprowadzenie formy rządu, skoro usiłowania nasze na bezowocne narażają nas trudy; wszakże ze złotą wolnością używać będziemy złotego na *wewnątrz* pokoju. Teraz cały naród powtórzył to samo rozumowanie i do polityki *zewnętrznéj* je zastosował; na co nam starać się o utrzymanie wielkiéj siły zbrojnéj i dawnéj politycznéj na zewnątrz przewagi, skoro to nas tak drogo kosztuje; abdykujmy lepiéj ze wszystkiego głosu w Europie, dajmy naszym sąsiadom gwarancyą, że zawsze pozostaniemy bezsilni i słabi, a kiedy nie będziemy nikomu groźnymi, wszyscy nas zostawią w spokoju" (str. 423). Nie rozumiemy tylko zupełnie następnego do tych uwag dodatku: „Apatya ta narodu polskiego w epoce saskiéj przetrwała i po téj epoce. Historya XVIII wieku to *jeden obraz* grubego materyalizmu pozbawiony światła." Dwie połowy XVIII wieku zbyt były u nas niepodobne do siebie tak pod względem wewnętrznym jak zewnętrznym, iżby je można mianować *jednym obrazem*.

Po przedstawieniu w ten sposób rysu dziejów krajowych, kończy go autor rozdziałem mającym napis *uwagi*, t. j. zapisaniem ogólnych wniosków, które zapewne były i kluczem i głównym celem całego dzieła.

Autor w wykładzie zarysu wskazywał na główne rany narodu o którym pisał, a w uwagach objaśniał dlaczego mianowicie te rany zakończyły się śmiercią. „Mieliśmy, mówi autor, liczne wady, ale któryż naród ich niemiał? Każdy jednak znosił je po kolei, a u nas nie nastąpiło to nigdy." Czemu? oto dla tego iż: „nie mieliśmy rządu i to jest jedna, jedyna upadku naszego przyczyna." P. Bobrzyński na każdéj karcie wskazywał jednak na wady naszego rządu, ten więc był oczywiście; ale czegóż właściwie brakło? oto usposobionych należnie rządzców, na jakich niezbywało innym krajom i objaśniając to bliżéj, dołącza autor dosyć ciekawą kolekcyą swych ideałów: „Tak kiedy Francya, mówi, posiadała Franciszka I i Henryka IV, Anglia Henryka VIII (!) i Elżbietę, Hiszpania Karola V i Filipa II [1]), Austrya Ferdynanda (któregoto z Ferdynandów autor pozazdrościł?), Szwecya Gustawa Wazę i Karola Sudermańskiego, Rossya Iwana Groźnego; my jedni mieliśmy słabego poczciwca w Zygmuncie Starym, tchórzącego przed każdym czynem (przed Unią czy Ketlerem?), Zygmunta Augusta, spiskującego na naszą zgubę [2]) Zygmunta Wazę i t. d." (str. 447.)

Mało to jednak, że mieliśmy niedołężnych królów; nie mieliśmy nadto żadnéj znakomitéj jednostki w kraju przez całe ostatnie trzy wieki. „Wszystkie nasze najwybitniejsze osobistości, mówi autor, z trzech ostatnich stuleci: Tarnowski, Zamoyski, Zebrzydowski, Żółkiewski, Lubomirski, Potocki, Czartoryski, nie mówiąc o mniejszych, to ostatecznie postacie bez krwi i życia" (str. 448). Zwolennicy tych postaci cieszyć się tylko mogą, że autor wysilając się na wyszukanie zarzutów, położył tylko tak jawny kontrast z rzeczywistością; niektórym z owych postaci jak np. Zebrzydowskiemu, Lubomirskiemu, prędzéjby już można zarzucić zbytek krwi.

I wreszcie kończąc swoje uwagi, autor wtrąca myśl jakby uboczną, ale szczególnie odbijającą we wnioskach ostatecznych i w książce, poświęconéj z zadania rozumowemu wykładowi przebytych dziejów, czyli historyozofii. Oto wyraża i rozwija przez całą stronnicę myśl, iż kraj polski byłby zapewne szczęśliwym, gdyby zamiast rozpraszania swych kapitałów (?) po dalekim Wschodzie, zatrzymał się był w grani-

[1]) Autor zapomniał oczywiście co sam był wyraził na str. 343 o tymże królu: „Trzeba przeczytać wstrętne pismo Warszewickiego *de opt. st. lib.* zalecające Polsce despotyzm Filipa II, aby ocenić i t. d.

[2]) Jestto oczywiście aluzya do sławnéj plotki z pierwszych lat panowania tego króla, o któréj najtrafniéj powiedział ówczesny podkanclerzy Tarnowski: „Możnaż dopuścić, iżby ktoś kopał dołki pod sobą samym?" i która była podobną do téj, jaką o tymże królu rozszerzał w Szwecyi Karol Sudermański, iż nie był on synem króla Jana, ale podrzutkiem.

cach i przy tym kształcie rządu, jaki był za Kazimierza Wielkiego (str. 450). Historya, a tém więcéj historyozofia, nie znają „gdyby" i niemamy bynajmniéj prawa zaprzeczać autorowi trafności jego pomysłu, jak podobnie nie mielibyśmy prawa przeczenia, gdyby który z mieszkańców owego Wschodu, rozmyślając o swoich losach, wyraził uwagę naodwrót. Moglibyśmy rzec tylko, iż autorowie podobnych zdań uczyniliby trafnie, gdyby zamiast pisania książek o dziejach i celach dziejów, pisali je raczéj o dobrobycie własnym. Myśl ta jednak otwiera zarazem, wtrąćmy, oczy czytelnikowi, a mianowicie, iż autor jéj, prawoznawca, o niewłaściwą dla siebie zaczepił sferę, chcąc zostać historyozofem. Że sfera ta jest mu obcą, objaśnić to może i niejedno wyrażenie użyte w książce.

Tak np. na str. 455 autor mówi: „Nie przyszło żadnemu Polakowi, aż do ostatnich lat XVI wieku na myśl, że jakieś *wyjątkowe posłannictwo* dostało nam się w udziale." Że jednostce w dzieciństwie nie przychodzi to na myśl, co przychodzi w wieku dojrzalszym, to bardzo naturalne. Nietylko Polakowi, ale żadnemu członkowi ludzkości, nie przychodziły podobne myśli za dzieciństwa ludzkości. Lecz dziś inaczéj. Równie ziemia jak niebo, pojmuje to dzisiaj każdy, dziełem są jednéj Myśli, jednéj Harmonii (Mądrości). Każdy szczegół na ziemi, jak szczegół na niebie, ma swój cel, pewną czynność, jest pewném ogniwem. Każdy atom ma swój cel, posłannictwo, jakoż tém więcéj lud. Faktto tak naturalny i jasny, że i sam autor, jak to widzieliśmy, używa nieraz tego wyrazu posłannictwo, w tém tylko myląc się, że mówił o zaprzeczaniu przez lud swemu posłannictwu; twierdzić, iż ktoś może zaprzeczyć swéj misyi, jestto wyznawać, że się nie rozumié, co to jest misya. Daną misyę możemy pojmować lub nie pojmować, lecz ta spełnia się niezależnie od obcéj wiedzy albo niewiedzy. Każdy przytém ma misyą *własną*, ta więc nie może być inną jak *wyjątkową*.

Na stronie 12 autor mówi: „Unosiliśmy się nad wielkiemi wypadkami przeszłości, nad postaciami wielu naszych królów, hetmanów, biskupów, szanowaliśmy przedewszystkiém *tradycyą historyczną*, jaka się wyrobiła o pojedyńczych postaciach dziejowych." Tradycya nie jest i być nie może wynikiem forsy; dziełem jest ona Woli, biegiem dziejów rządzącéj i jest więc właśnie jedną ze *wskazówek* historyozoficznych.

Na stronie 219: „Wydobywał się już w drugiéj połowie XV wieku brzask nowożytnych czasów, w których działalność człowieka o wiele szersze objąć miała zakresy, a myśl ludzka piąć się nawet *poza te naturalne granice, jakie jéj zakreśliła Opatrzność*." O tém co zakreśliła Opatrzność, możemy właśnie dowiadywać się z tego dopiéro, co się staje.

Na stronie 430 wyrażając, iż cały wiek XVIII miał u nas jeden obraz, czy autor nie pamiętał o drugiéj jego połowie, o ustawie 3 maja? Pamiętał, ale taką z tego powodu dołączył naukę: „Niéma nic błędniejszego nad to, jeżeli ktoś głośne wypadki z ostatnich chwil Rzeczypospolitéj rozciąga na cały naród. Wszystkie plany i przedsięwzię-

cia ówczesne wychodzą tylko od *szczuplego zastępu* ludzi i upadają wszystkie, nie wyjmując konstytucyi 3 maja."

Nie krocie Hebreów dawnych miały przymiot i dary proroków; nie krocie Greków: poezyi i filozofii; przymioty te w jednym i drugim kraju, miało zaledwo po kilka jednostek, od tych jednostek jednak mianowane są całe ludy ich charakterem. Tak i w państwie roślinném imię i zaletę rośliny oznaczają nie jéj gałęzie, jéj liście, ale jéj *kwiat.*

Lecz co najjawniéj ujmuje historyozoficzności dziełu autora, jest to zakończenie dziejów krajowych rokiem 1772. Rok ten był owszem punktem zwrotu w tych dziejach; kraj się w nim spostrzegł, przerodził, a kończąc swą misyą dawną, przed śmiercią ozwał się, że się tak wyrazimy, pieśnią łabędzią (3 maja), pieśnią pierwszą w rodzaju swoim w Europie całéj (I ustawa paryzka była o rok późniejsza), a którą Europa cała w pół wieku miała naśladować, powtórzyć. Ta pieśń i owa dawna misya zjednały mu spółczucie obszerne. Autor jednak chce mu zaprzeczyć prawa do tego współczucia, chce mu je odjąć; płacze, iż obraz dziejów, które kreślił, nie mógł być jednym z tuzinkowych.

Co do głównych lekcyi autora, jak rzekliśmy, nie roztrząsamy ich zasad; obaczmy jednak czyli? i co? nam w téj rzeczy, nawet owo modne dzisiaj kryteryum: doświadczenie, może powiedzieć. Zbliżymy tu kilka faktów, biorąc jeden z dziejów naszych krajowych, drugi z ogólnych.

Okres Sasów byłto zapewne z najsmutniejszych naszéj historyi, cóż w nim jednak ujrzéć téż można? oto: obok stałego pokoju, obok dobrobytu jednostek, ten nadto fakt, iż na téj rozległéj przestrzeni, na któréj w wieku XV tyle było odmiennych gwarów i ciągłych swarów, teraz widać było przeciwnie obraz jednostek połączonych jednym wewnętrznie duchem i jedną mową. Taki skutek wydały rządy owych słabych, łagodnych, a dla wymagań prowincyonalnych, ustępstwa tylko czyniących królów; kiedy tymczasem cała np. surowa i wytrwała (albowiem cztery wieki trwająca) energia Solimanów, Osmanów, nie widać wcale, iżby wydała podobny skutek na półwyspie Bałkańskim. Spójrzmy także, iż tę zasadę, za którą potępił autor nasz wiek XVI, w wieku następnym przyjął i umiejętnie rozwinął kraj inny. Na tronie tego kraju, od czasu przyjęcia téj zasady, zasiadły i zasiadają dotąd, mówiąc wyrażeniem autora, „bezsilne lalki;" krajowi temu nikt jednak nie zarzuci zapewne braku potęgi.

Na tém skończymy przyczynek.

Panu Bobrzyńskiemu literatura nasza, mimo niedawno przezeń rozpoczęte prace, winna już wiele. Winna prawoznawcze oceny, opracowania źródeł, badania i traktaty w przedmiocie dawnych ustaw krajowych. Lecz świetny na polu monografii pracownik, jest (w tém dziełku przynajmniéj, o którém mówimy) żadnym historyozofem.

Miassota, 1 lipca 1879 r.

Dopisek.

Mówiąc głównie w powyższym *Przyczynku* o *rozumowaniach* w Zarysie p. Bobrzyńskiego, nie dotykaliśmy prawie faktów, kreślonych. Z powodu jednak pewnéj nowości w przedstawieniu, i podniesieniu przez krytykę jednego z tych faktów, a mianowicie małżeństwa ks. Wilhelma z Jadwigą: dotkniemy tu tego przedmiotu. Według najpewniejszego świadectwa Długosza, który był domownikiem rodziny Jagiełłów, kanonikiem krakowskim, i stąpał po świeżych śladach tego wypadku: Jadwiga i Wilhelm połączeni byli związkiem ślubnym w kościele, jeszcze w małoletności, ślub ten jednak nie miał waloru jako małoletnich; panowie polscy przeto mając inne projekta, nie wpuścili przybyłego księcia na zamek, królowa w orszaku dworzan i panien służebnych widywała się z nim czas jakiś w refektarzu klasztoru Franciszkanów; za zbliżeniem się jednak Władysława Jagiełły, książę zemknął, pozostawiwszy nawet swe skarby u przyjaciela Gniewosza. Pan Bobrzyński wypadek ten tak opisuje: „Wilhelm ujrzawszy Jadwigę na tronie, do Krakowa zjechał i *wspólnie z nią jako prawy małżonek na zamku zamieszkał.* Uroczyście ten dzień obchodzono w Krakowie, bo miasto to niemieckie rade było widzieć na tronie polskim niemieckiego księcia; śród ogólnéj uciechy uwolniono nawet więźniów zamkniętych w ratuszu i zapisano to w aktach" (str. 174). Profesor Szujski w uwagach o zarysie p. Bobrzyńskiego dotknąwszy tego faktu, mówi: „Z kłopotu zapewne wydobędziemy czytelnika, przytaczając źródło, na którém opiera się twierdzenie p. Bobrzyńskiego o doszłym rzeczywiście ślubie Jadwigi i Wilhelma. Jestto zapisek księgi miejskiéj krakowskiéj z r. 1385, w IV tomie *Monumenta medii aevi historica*, usuwający wątpliwość." Naszém zdaniem wątpliwość ta nie jest jeszcze jednak zupełnie usunięta. Notatka o któréj tu mowa wyraża: „Nadmienia się, iż w wigilią św. Bartłomieja po odbytym weselu królowéj Pani, poleconém i proszoném było przez nią królowę Panią, aby wszyscy więźniowie którzy się znajdowali wtedy w więzieniu miejskiém byli uwolnieni," co téż i nastąpiło, a uwolnieni więźniowie wymienieni tu szczegółowie, (tekst brzmi: *Notandum quod in vigilia Sancti Bartolomei post nuptiarum domine regine consummationem comissum et rogatum fuit per eandem dominam reginam ut captivi omnes etc*). Ślub Jagiełły z Jadwigą odbył się w dniu 17 lutego 1386 r., notatka powyższa odnosi się do dnia 23 sierpnia 1385 roku, wniósł więc p. Bobrzyński, iż uwolnienie więźniów nastąpiło z powodu przybycia do Krakowa i zamieszkania z królową księcia Wilhelma. Zwrócimy tu jednak uwagę najprzód, iż notatka nie wymienia nazwiska męża królowéj, powtóre iż mowa tu jest nie o consummatione *matrimonii* ale *nuptiarum* t. j. o odbytym obrzędzie ślubnym; obrząd ślubny królowéj nie mógł być inny jak uroczysty, przy asystencyi głównych dygnitarzy, i dopełnionym przez dygnitarzy: możnaż przypuścić, aby po tak solennym obrzędzie, mąż królowéj mógł

być usuniętym z zamku, iżby jednocześnie ciż dygnitarze mogli zamyślać o projekcie, iżby Jagiełło mógł jechać do poślubionéj pary, a nadewszystko, iżby w kilka miesięcy po tym obrzędzie ślubnym mógł nastąpić drugi obrzęd ślubny bez wyjednania dyspensy, i iżby śladów dyspensy oraz korrespondencyi o dyspensę nie było w aktach kapituły krakowskiéj, a gdyby była, iżby o tém wszystkiem nie wspominał Długosz. Nam się zdaje, że powyższa notatka o uwolnieniu więźniów odnosi się do ślubu z Jagiełłą i do r. 1386, uważać bowiem można (z tego przynajmniéj co widzimy w druku), iż w utrzymaniu akt i szykowaniu foliów księgi miejskiéj niebyło ścisłego porządku; tak np. (na str. 18), znajdujemy notatki z r. 1370, a niżéj dopiero (str. 23—27) z r. 1360; daléj podobnie (str. 34) rok jest 1371, a następnie dopiero 1370: folium na którém jest owa notatka, należy do folium na którém jest nadpis: *Actum sabbato ante sancti Barnabae*, a zatém około 11 czerwca, a w dniu tym nie mogło być wzmianki o tém co się stać miało około 24 sierpnia. Jeżeli folium o którém mowa należy do 1386 r., trudność zostałaby tylko co do dnia i miesiąca; wszakże jeżeli przypuścić można, że obyczaje wieku dozwalały aby z powodu *consummationis matrimonii* zawartego już przed kilku laty, uwalniano więźniów, tedy mogłoby to nastąpić i z powodu *consummationis matrimonii* zawartego przed kilku miesiącami; być mogło także iż uroczystoście i nowe położenie królowéj nie pozwoliły jéj pomyśleć wcześniéj o więźniach, lub téż że teraz dopiero nastąpiły instancye za więźniami. W każdym razie jeżeli opowiadanie autora fundowało się tylko na téj notatce, tedy cała sielanka o radości niemców w Krakowie była wprost wypływem fantazyi, uwolnienie bowiem więźniów nie przez niemców ale z instancyi królowéj nastąpiło.

PRZEMYSŁ CUKROWNICZY

W KRÓLESTWIE POLSKIÉM *).

PRZEZ

Antoniego Wrotnowskiego.

II.

Prawowitość akcyzy od cukru nie może być podawaną w wątpliwość, skoro fabryki cukru nie mają żadnego tytułu do wyjątku od zasady ogólnéj, wedle któréj każda gałąź przemysłu krajowego winna się przykładać do wytwarzania funduszu, potrzebnego na wydatki państwowe, wszędzie z konieczności będące ciężarem ogółu. Na budżet państwowy składają się wszędzie wszystkie bez wyjątku kategorye ekonomicznéj działalności kraju; więc i fabryki cukru do odpowiedniego w téj składce udziału pociąganemi są bardzo właściwie i najzupełniéj sprawiedliwie.

Prawowitość podatku, a jego podstawa, wysokość i rozkład: są to przecież pojęcia najzupełniéj odmienne. Przemysł cukrowniczy nie mógł się był łudzić, iż opodatkowania uniknie; miał przecież tytuł oczekiwać, iż podstawy, wysokość i rozkład akcyzy pomiędzy fabryki temu ciężarowi poddawane, nie odbiegną od wyników nauki i rozwojowi cukrownictwa nie położą tamy. Jeżeli zaś na wzmiankowaną wyżéj ujemną stronę systemu podatkowego w Królestwie, można było niezwracać uwagi wówczas, gdy tenże podatek był umiarkowanym; dziś jednak ta kwestya przedstawia się zupełnie inaczéj, skoro, jak to wkrótce wykażemy cyfrowo, rzeczony podatek przeistoczył się w ciężar bardzo wysoki i na losy przemysłu cukrowniczego wywiera wpływ bardzo doniosły.

Wprawdzie, dział o podatkowości jest działem bezwątpienia najtrudniejszym z całéj nauki ekonomii politycznéj i społecznéj; podatek bowiem oddziaływa na wszystkie inne prawa i obowiązki jednostek w każdém społeczeństwie, na samą pracę i produkcyą, a nawet i na zamianę międzynarodową. Nauka ekonomii jest przecież rozwiniętą do tego stopnia, że pewne jéj zasady mogą być poczytywanemi za pewniki, z któremi każdy statysta ma obowiązek się liczyć i które winien przyjmować za punkt wyjścia, ilekroć pragnie by podatek przez niego projektowany nie oddziałał szkodliwie na rozwój pomyślności kraju.

---

*) Dalszy ciąg—patrz zeszyt za lipiec r. b.

Pewniki w przedmiocie podatkowości podawane przez naukę, a mające niezaprzeczoną dla społeczeństwa doniosłość, dają się streścić jak następuje:

a) Podatek powinien poprzestawać na odpowiedniéj części w korzyściach otrzymywanych przez opodatkowanego, zagarniać pewną *część dochodów*, jakie przynosi ta jego działalność, która ma się właśnie przykładać do ogólnych ciężarów państwa; nie zaś sięgać po część saméj substancyi przyrządów, któremi się ona posługuje. Podatek padający na substancyą nie zaś na dochód z majątku, prowadzi społeczeństwo do zubożenia i bardzo łatwo może znieść źródło, z którego czerpać pragnie, zrujnować i zniweczyć sam przedmiot opodatkowany *(matière imposable)* [1]).

W zastosowaniu do fabrykacyi cukru, przeistaczającéj materyał surowy (buraki) na towar i przedmiot spożycia, podatek powinien przedewszystkiem i głównie brać za podstawę *czysty dochód* każdéj fabryki w każdéj kampanii, i zagarniać jedynie *odpowiedni procent tegoż dochodu.*

Podatek od czystego dochodu z każdéj kampanii niéma żadnego podobieństwa ani żadnéj łączności z tak zwanym podatkiem *dochodowym*, usilnie przez pewną szkołę zalecanym, a przeciwko któremu społeczeństwa bronią się z bardzo wielu i bardzo poważnych względów. Podatek dochodowy opieraćby się musiał na zbadaniu, ile każdy mieszkaniec kraju ma czystego dochodu ze wszystkich źródeł razem; kiedy przeciwnie, podatek od czystego dochodu każdéj kampanii fabrycznéj, pada nie na mieszkańca kraju, nie na jednostkę, ale na proceder, na dane przedsięwzięcie pojmowane odrębnie od jednostek, na daną gałąź przemysłu, nie uwzględniając stopnia zamożności tych, którzy tenże przemysł prowadzą.

b) Podatek powinien być *umiarkowanym*, a więc pozostawiać dla opodatkowanego część dochodów odpowiadającą poczynionym przezeń w dane przedsięwzięcie wkładom i zachodom, a tém samém ani jemu, ani innym nie odejmować chęci do zwracania kapitału i pracy w tę gałąź przemysłu, jaka do uiszczania składki na potrzeby publiczne jest właśnie pociąganą [2]). Do téj równowagi między interesem osobistym

---

[1]) *L'impôt doit être prelévé sur les bénefices, sur le revenu du contribuable* uczył już Sully (*L'impôt*, 2-e partie, *p. l.*). *L'impôt doit être réparti de façon à n'exiger de chaque contribuable qu'une quote-part proportionnée au chiffre total de son revenu particulier* wykłada H. Passy. *(Dictionnaire de l'economie polit.*, str. 90, t. I*). L'impôt est, en principe, assis sur le revenu* poświadcza Edouard Vignes. (*Traité élémentaire des Impôts en France* (fr. 3). Téj treści cytacye możnaby zestawiać bardzo długo, patrz np. *Etude sur les impôts et sur les budgets des principaux Etats de l'Europe*, par Felix Cohen, Paris 1865, str. 9 i nast.

[2]) „L'impôt doit être *modéré*, c'est-à-dire n'exiger qu'une faible partie du revenu des citoyens." (Joseph Garnier, *Traité de Finances*, str. 178).

jednostek, a interesem budżetu państwowego należy zawsze dążyć, skoro ona jest bezwątpienia jednym z warunków ekonomicznego rozwoju w każdym kraju, i jedną z potężnych dźwigni ogólnego dobrobytu.

Zakreślenie granicy dla tego umiarkowania wchodzi już w zakres zadań statysty, powołanego do projektowania ustaw podatkowych. Spełniając to zadanie, nie może on wprawdzie zapominać ani o potrzebach budżetowych, ani o zamierzeniach fiskalnych; jednocześnie przecież ma obowiązek uwzględniać zdolność podatkową téj gałęzi przemysłu, jaką obciążyć zamierza, jéj rozwój, jéj ważność dla ogólnéj ekonomii kraju, i przy ustanawianiu stopy procentowéj, jaką odnosi do owego czystego dochodu, wzmiankowaną równowagę zachować nienaruszoną.

c) Podatek powinien być rozłożonym *sprawiedliwie*, mianowicie zaś uszanować zasadę *równości* wobec każdego ciężaru publicznego, która znowu znajduje swój wyraz w *proporcyonalném*, w *jednakowém* traktowaniu wszystkich, jeden i tenże sam przemysł podejmujących. Jestto zasada szczególnéj doniosłości w stosunkach ekonomicznych, skoro każde odstąpienie od równości wobec podatku, nietylko się sprzeciwia pojęciom i poczuciu sprawiedliwości, ale wytwarzając zarazem przywiléj na korzyść tych, którzy płacą podatek stosunkowo mniejszy, utrudnia lub uniemożebnia konkurencyą dla każdego, obciążonego stosunkowo więcéj [1]).

W związku z tą zasadą: nauka stawia ten jeszcze pewnik:

d) Że wszelkie urządzenia podatkowe obmyślane być powinny w taki sposób, iżby dla każdego z opodatkowanych pozostawiały jak najmniejszą możność naruszenia owéj równości, czyli inaczéj, by zapobiegały, ile się da, premiom obniżającym koszta produkcyi dla tych, którzy też premia dla siebie wytwarzając, zajmowaliby stanowisko mocniejszego względem wszystkich płacących podatek stosunkowo wyższy. Nie mogłaby bowiem ostać się wtedy harmonia społeczna, a tém

---

„Le legislateur doit mettre la plus grande attention à ce que l'impôt ne dépasse jamais la portion du revenu que le contribuable peut économiser. C'est là le *maximum*, parceque, je le répète, au dela est la ruine du pays. (Rossi, *Fragment sur l'impôt*, t. 4, str. 235).

W regułach znowu stawianych przez J. B. Say'a (*Traité*, t. 3, roz. 9) czytamy co następuje: „Les meilleurs impôts ou plutôt les moins mauvais sont les plus modérés quant à leur qualité, ceux dont le fardeau se répartit équitablement, ceux qui nuisent le moins à la reproduction..."

[1]) „D'aprés les idées modernes sur la justice distributive au sein des societés, la repartition des charges doit se faire en vertu du principe *d'égalité* entre les contribuables. Ce principe d'égalité est conforme à *l'équité*. Toute excéption et privilége a pour effet d'augmenter la charge des autres: elle est une iniquité au point de vue social et politique, de plus une erreur et une cause de perturbation au point de vue utilitaire et économique." (Joseph Garnier *loco citato*, str. 42. Rozwinięcie tejże reguły, tamże str. 177).

samém konkurencya między produkującymi przeistaczałaby się w zapasy ze wszech miar niesprawiedliwe [1]).

e) Nauka wskazuje jeszcze te reguły: podatek niepowinien w żadnym razie tamować swobody ruchu, potrzebnéj dla pomyślności przemysłu, czyli krępować go formalnościami kontroli i poboru [2]), i sama podstawa podatku i sposób jego poboru, powinny być jak można najprostsze i o ile się da najoszczędniejsze [3]). Nauka zaznacza także, iż jest rzeczą pożyteczną poddawać rozkład podatku pod kontrolę opodatkowanych, jako w utrzymaniu owéj sprawiedliwości i równości zainteresowanych najbliżéj [4]).

Główną wreszcie zaletę podatków pośrednich upatruje w téj ich właściwości, iż one się zespalają z ceną rzeczy opodatkowanéj i w jéj skład wchodzą; nie przypuszcza bowiem, iżby mogły nie wyłącznie dotykać konsumentów [5]).

III.

Każdemu, kto rzucił okiem na zasady zestawione w rozdziale poprzedzającym, nasuwają się pytania: czy i jak dalece te zasady uwzględnionemi są przez systemat podatku od fabrykacyi cukru, istniejący w Królestwie, i jakie na ten przedmiot poglądy przeważają w sferach, mających doniosły wpływ na przyszłe losy téj gałęzi przemysłu? Chcąc na te pytania odpowiedzieć, odczytaliśmy prace przygotowawcze od tych właśnie sfer pochodzące; szukając zaś zarazem wątku idei przewodniéj, jaka tym pracom towarzyszy, cofnęliśmy się wstecz nawet do materyałów dawniejszych, mniemamy bowiem, że poznanie téj właśnie idei, byłoby w tym przedmiocie stanowczo decydującém [6]). A jakkolwiek za-

---

[1]) „L'assiete et la perception de l'impôt doivent être organisés de façon à laisser au contribuable la moindre facilité possible d'echapper à ses obligations." (Joseph Garnier, *loco citato*, str. 181).

[2]) „L'impôt ne doit en aucun cas entraver la liberté necessaire au succès de son industrie." (Sully, *loco citato*).

[3]) L'assiete et la perception de l'impôt doivent être organisées de la manière la plus regulière, la plus simple, la plus économique."

„L'impôt doit tendre à l'unité de base et de perception, c'est-à-dire à la simplicité." (Joseph Garnier, *loco citato*, str. 181—185).

[4]) L'impôt doit être controlé par les répresentants des contribuables, pour établir de plus en plus l'equitable répartition des charges" (tamże).

[5]) L'impôt indirect est moins sensible pour le contribuable, par ce qu'il se confond avec le prix des choses." (E. Vignes, *loco citato*, str. 4).

[6]) *Trudy Kommisyi Wysoczajsze utwerżdennoj dla peresmotra sistemy podatej i sborow.* Tom IX. Petersburg, w drukarni Bezobrazowa, 1863. *Żurnał zasiedanij Kommisyi i członow ekspertow po razsmotreniju woprosow ob akcyzie z tuziemnaho i poszlinie z priwoznaho sahara.* Petersburg, w drukarni Majkowa, 1871. *Dokład predstawlennyj Gospodinu Ministru Finansów Ko-*

przeczyć temu nie można, iż rzeczone prace statystów z r. 1879 stoją o wiele wyżéj od takichże prac z r. 1862 i 1871 i niewątpliwie zasługują na uznanie; jakkolwiek z pism i publikacyi z r. 1879 płynie dowód, iż rozbiorowi materyi o podatku od fabrykacyi cukru towarzyszy gruntowna znajomość strony technicznej, czyli sposobów tejże fabrykacyi; baczna uwaga na systemata takiegoż podatku w innych istniejące krajach, i staranne zebranie danych statystycznych zagranicznych i miejscowych: niepodobna przecież w tych materyałach, pomimo tylu ich zalet, dopatrzéć się owéj idei przewodniéj, którąby na sam systemat podatkowy wywierała wpływ dominujący, i wybitną kładła na nim cechę.

Z odczytania wymienionych prac wyprowadziliśmy wprawdzie wniosek, iż rozpowszechnienie użycia cukru, zwłaszcza między ludnością włościańską, nie jest obecnie tą ideą przewodnią, w imię któréj projektowano w r. 1862, by do taniości cukru dojść przez podwyższenie akcyzy, przy jednoczesném obniżeniu cła od puda cukru surowego, wchodzącego z zagranicy i lądem i morzem, do 1 r. 50 kop., od rafinowanego zaś do 3 rubli (!?) [1]; iż dzisiejsze zapatrywania zgodnemi są ze zdaniem złożoném w r. 1871 przez jednego z członków ówczesnéj kommisyi, które to zdanie wyrażało, że wobec obniżenia się cen puda cukru z 12 r. 80 kop. w r. 1856, do 6 r. 80 kop. w r. 1871, kwestya taniości straciła pierwotne swoje znaczenie [2]).

Nie jesteśmy wszakże w możności z dostateczną pewnością wyrzec, jaki jest obecnie główny cel tylu statystów: czy tym celem jest mianowicie dalszy rozwój przemysłu cukrowniczego i zachowanie dodatniego wpływu tegoż przemysłu na rolnictwo krajowe; czy protekcya dla fabryk krajowych w konkurencyi z zagranicznemi, czy rozwój międzynarodowego handlu i polepszenie stosunku między ogólnym wywozem i ogólnym przywozem towarów, przez ułatwienia wywozu cukru za granicę: czy wreszcie, zwiększenie dochodu skarbowego bez względu na skutki dla przemysłu i handlu. Każdą bowiem

---

missiéj dla razsmatrienija woprosów ob akcyzie z tuziemnaho i poszliny z priwoznaho sahara. Petersburg, w tejże drukarni, tegoż roku 1871. *Izsliedowanija nad rabotoj sokodobywatelnych snarjadow*, przez b. profesora Instytutu rolniczego rz. rad. st. Eugeniusza Andrejewa. *Ekonomiczeskija Usłowja swiekłosaharnaho proizwodstwa w Rossyi*, przez starszego rewizora Departamentu dochodów niestałych Aleksieja Jermołowa. *Obzor razlicznych sistem wzimanija nałoga z sahara w Ewropie*, przez tegoż. *Kratkij oczerk sowromennaho sostojanija swiekłosaharnych zawodow Imperii i Carstwa Polskaho w techniczeskom otnoszenij*, przez technika Departamentu dochodów niestałych Wiktora Andrejewa. *Razwitije swiekłosaharnaho proizwodstwa w Rossyi*, przez rz. rad. st. Eugenjusza Andrejewa. *Żurnał Kommisyi po peresmotru Ustawa ob akcyzie z saharnaho piesku.*

[1]) *Trudy komm...* str. 66 i 67.

[2]) *Żurnał zasiedanij* str. 95.

z tych konsyderacyi wyczytać można w wymienionych pismach, każda przecież postawioną jest luźno, a żadna z nich nie stała się wyraźnym drogoskazem, wzniesionym na to, iżby zapobiegał zmyleniu kierunku w drodze już z saméj natury przedmiotu nadzwyczaj do przebieżenia trudnéj [1]). Ponad wszystkiemi innemi konsyderacyami zdaje się przecież dominować wzgląd na potrzeby budżetu państwowego, skoro cyfra zamierzeń fiskalnych, kilkakrotnie w rzeczonych pismach stawiana (10 milionów rubli), znalazła miejsce nawet w ostatecznych wnioskach komisyi [2]).

Nie podnosząc w tém miejscu pytania, jaki los spotyka wszelkie zamierzenia fiskalne, ilekroć norma lub wysokość podatku do tego stopnia czynią tenże podatek uciążliwym, iż on nietylko powstrzymuje dalszy rozwój gałęzi przemysłu, na którą spada, ale nawet pociągając jéj ruinę, zmniejsza przedmiot mający przynosić skarbowi dochód *matière imposable;* i nie roztrząsając, o ile staje się zadosyć owym zasadom nauki, ilekroć przy obmyślaniu podatków, zamierzenia fiskalne zajmują stanowisko górujące, skoro wtedy zasady te muszą zawsze pozostać w cieniu: jesteśmy wszakże w konieczności zaznaczyć, iż rzeczone pisma wyczerpując wszystkie inne strony przedmiotu, pominęły przecież stronę bardzo ważną, być może najważniejszą, a mianowicie, *stosunek między cyfrą podatku a cyfrą czystego dochodu fabryk*, i nigdzie nie wspomniały, jaka część tegoż dochodu powinnaby pozostać na korzyść tychże fabryk.

Cyfra czystego dochodu większéj liczby fabryk, a przynajmniéj tych, które należą do spółek bezimiennych, nie mogła przecież być dla statystów żadną tajemnicą, skoro jest wskazywaną w drukowanych corocznie sprawozdaniach i bilansach tychże towarzystw. Bez zwrócenia zaś uwagi na stosunek między cyfrą podatku a cyfrą czystego dochodu fabryk, o granicach umiarkowania fiskalnego nie może być mowy [3]).

Mamy pod ręką sprawozdania i bilanse z pięciu fabryk w Królestwie, wykazujące, że one zapłaciły akcyzy w przecięciu: w r. 187⅚

---

[1]) Porównać: *Razwitije...* str. 231, 232. *Izsliedowanija* str. 102, 103, 104. *Obzor* str. 18, 81. *Żurnał Komissii* str. 5, 6, 25, 26 i 27.

[2]) *Żurnał Komissii*, str. 27.

[3]) Cyfrę czystego dochodu każdéj fabryki można także obliczyć temi sposobami: 1. od przecięciowéj ceny przedażnéj puda cukru odjąć koszt produkcyi tegoż puda; resztę, z odejmowania pozostającą, pomnożyć przez ilość pudów cukru, wyrobionych w ciągu kampanii; albo 2. koszta produkcyi odniesione do jednego centnara, lub berkowca buraków, pomnożyć przez liczbę centnarów, lub berkowców przerobionych w ciągu kampanii, ten zaś iloczyn odjąć od sumy wypadającéj z pomnożenia ceny przedażnéj puda, lub kamienia cukru przez ogólną liczbę pudów lub kamieni cukru wyrobionych w ciągu kampanii. Te zaś dane widzimy w drukowanych sprawozdaniach fabryk na Ukrainie, Wołyniu i Podolu.

31,56%, w r. $187^6/_7$ 37,1%, w r. $187^7/_8$ 29,82% z dochodu, jaki pozostał ostatecznie do rozpłaty między skarb i akcyonaryuszów [1]), Z przecięcia lat trzech, skarb pod tytułem akcyzy otrzymał więc 29,82%, akcyonaryusze zaś 70,18% z dochodu przypadającego do rozdziału. Ten stosunek procentowy jest bezwątpienia wymowniejszym od wszelkich rozumowań i wywodów nauki; zauważony przez statystów, mógłby był wpłynąć na umiarkowanie samychże zamierzeń fiskalnych, wątpimy bowiem, iżby którykolwiek inny przemysł pociąganym był do oddawania pod nazwą podatku tak wielkiéj części pieniężnych swych rezultatów.

Jakoż, akcyza obliczana i pobierana wedle zasad dotychczasowych, właśnie dla tego, iż w rzeczywistości niejednakowo obciąża produkcyą cukru, jest niewątpliwie *podatkiem od fabrykacyi* od procederu, *nie zaś podatkiem konsumcyjnym.*

Ściągając akcyzę od wódki z chwilą gdy ona, wychodząc z gorzelni, wprowadzaną jest w cyrkulacyą handlową, można nie zwracać uwagi na stosunek między podatkiem a czystym dochodem przemysłu gorzelnianego; pobierając jak we Francyi akcyzę od gotowego cukru w chwili, gdy on wychodząc z fabryki, wprowadzanym jest w takąż cyrkulacyą, można się także nie troszczyć o stosunek między podatkiem a czystym dochodem przemysłu cukrowniczego. W obu bowiem razach akcyzę płaci wyłącznie kupujący, czyli ostatecznie sam konsument; wysokość przeto podatku na dochód fabryki, a nawet na pobierane przez nią ceny za przedawany wyrób *niéma bezpośredniego wpływu*, nie tworzy bynajmniéj oddzielnéj rubryki kosztów produkcyi i na tenże przemysł oddziaływa tylko pośrednio w taki sam sposób, jak wszystkie inne postronne wpływy, podnoszące lub zmniejszające ogólny dobrobyt i stopień konsumcyi wszystkich wyrobów, jak na każdy przemysł oddziaływa rozwój lub zastój handlu.

Z podatkami pobieranemi od fabrykacyi, od procederu, rzecz ma się zupełnie inaczéj. Nie spadają one bowiem na konsumentów, ale zwiększają koszta produkcyi, przeistaczając się w jeden z jéj czynników. Wysokość akcyzy *oddziaływa przeto bezpośrednio* na przemysł do podatku pociągany; na ogólny zaś dobrobyt, na mniejsze lub większe upowszechnienie użycia cukru, na jego ceny przedażne, na handel zresztą mają tylko wpływ *pośredni.*

---

[1]) Przeciętny czysty dochód tych pięciu fabryk może być właściwym punktem wyjścia do wszelkich obliczeń, skoro: a) jedna z tych fabryk jest największą w Królestwie, dwie są wielkości średniéj pod względem siły dziennego przerobu buraków i liczby centnarów przerabianych w ciągu jednéj kampanii, dwie wreszcie małe, skoro łącznie dorównywają dopiero każdéj z dwu poprzedzających, pod jednym i pod drugim względem; b) przedstawiają oba systemata fabrykacyi cukru, prassowy i dyffuzyjny i c) jedna z tych trzech kampanii była wyjątkowo pomyślną, druga wyjątkowo niekorzystną, rezultaty zaś trzeciéj poczytywać należy za średnie.

Oto są cyfry wyjęte z drukowanych sprawozdań:

Istnieje więc radykalna różnica w znaczeniu, w cechach i w następstwach podatku od fabrykacyi i podatku konsumcyjnego; o téj róż-

Fabryki Cukru.

Rozliczenie	Józefów	Ostrowy, Walentynów i Tomczyn	Dobrzelin	a w przecięciu z 5 fabryk.	
	Ruble i kopiejki			akcyzy	dywid.
rok 187⅝					
przewyżka dochodu nad wydatki, nie strącając z niego akcyzy	178141,21	461623,99	187865,96		
po strąceniu z niego rezerw, amortyzacyi i t. d. wypłaciły skarbowi akcyzy . . .	55066,54	90007,83	31395,69	31,56%	68,44%
akcyonaryuszom dywid. .	68000	242640	72000		
ta wypłacona suma . . .	123066,54	332647,83	103395,69		
rozdzieloną więc została w stosunku: skarbowi akcyzy	44,75%	27,06%	30,36%		
akcyonaryuszom dywid. .	55,25%	72,94%	69,64%		
rok 187⅞					
przewyżka dochodu nad wydatki przed uiszczeniem akcyzy	162890,03	304347,56	118401,59		
po strąceniu z tegoż dochodu rezerw, amortyzacyi itd. wypłaciły: skarbowi akcyzy . . .	36859,95	96252,19	32184,90		
akcyonaryuszom dywid. .	59500	166680	54000		
	96359 , 95	262932,19	86184,90	37,1%	62,9%
czyli skarbowi	38,25%	36,60%	37,34%		
akcyonaryuszom	61,75%	63,40%	62,66%		
rok 1887/8					
przewyżka dochodu nad wydatki przed uiszczeniem akcyzy	157548,33	568089,71½	220771		
z téj przewyżki po strąceniu rezerw, amortyzacyi itd. wypłaciły: akcyzy . . .	19992,60	97485	31722,41		
dywidendy	68000	312480	112000		
razem. . . .	87992,60	409965	143722,41	22,86%	77,14%
czyli skarbowi. . . .	22,74%	23,78%	22,07%		
akcyonaryuszom	77,26%	76,22%	77.93%		
z sumowania zaś tych 3-ch kampanii: akc. r. 490,967,11 akcyonaryuszom 1,155,300 czyli dla skarbu 29,82% dla akcyonaryuszów 70,18%					

Uwaga. W obliczeniu pominięte części tysiączne ułamków. Potrącenia na rezerwy, amortyzacye i t. d. objaśnimy niżéj, we właściwém miejscu.

nicy nie można się wszakże niczego doczytać we wzmiankowanych pismach. Wnosić przeto należy, iż one nie zwróciły na nią uwagi, zaczém znowu poszło, iż i ów stosunek między podatkiem i czystym dochodem fabryk był zupełnie przepomnianym.

IV.

Przystępując przed laty 30 do opodatkowania fabrykacyi cukru, rzucono okiem na systemata podatkowe w innych istniejące krajach, i z tych systematów wybrano jeden. Być może, wówczas trudno było postąpić inaczéj, skoro cukrownictwo jako przemysł dopiéro się rozwijający i w kraju nowy, nie dał był jeszcze tego poznać, iż całą swą organizacyą oprze na zupełnéj jawności rachunkowéj, iż nad wszystkiemi szczegółami fabrykacyi sam zaprowadzi najdokładniejszą kontrolę; słowem, że działać będzie *au grand jour*, a nawet postawi się w niemożności działać inaczéj. Nie były się téż jeszcze potworzyły towarzystwa akcyjne fabryk cukru i więcéj niż obecnie liczono takichże fabryk, będących w posiadaniu jednostek, nie zaś jak dziś, spółek udziałowych lub bezimiennych.

Wobec téj organizacyi przemysłu cukrowniczego, jaka się ukształtowała przez sam czas, możnaby wszakże do innego na systemata podatkowe dojść poglądu, gdyby rutyna nie stawała temu na przeszkodzie. Rutyna ma jednak na sprawy ludzkie wpływ donioślejszy, niżby to napozór zdawać się mogło: ulegają mu bezwiednie nawet umysły bardzo bystre. I temu wpływowi przypisać zapewne należy, iż nie została dotąd zwróconą uwaga na ową właściwość organizacyi cukrownictwa w Cesarstwie i Królestwie, mającą ten skutek, iż ono należy do tych rzadkich gałęzi przemysłu, na które przychodzi najłatwiéj ustanawiać podatek uwzględniający pewniki stawiane przez naukę i bez potrzeby szukania wzorów za granicą, gdzie organizacya fabryk cukru rozwinęła się być może inaczéj.

Nic bowiem nie staje temu na przeszkodzie, iżby akcyza poprzestając na danéj części czystego dochodu fabryk, przeistoczyła się w podatek sprawiedliwy, równo czyli jednakowo rozłożony, ściągany bez żadnego prawie kosztu, a więc najbardziéj racyonalny. Nadanie akcyzie tych wszystkich cech ułatwia owa organizacya fabrykacyi cukru, na jawności oparta.

Jakoż założenie i prowadzenie fabryki cukru, wymaga tak znacznego kapitału, iż zadanie to w regule ogólnéj przechodzi siły i możność jednego człowieka. W regule ogólnéj wszystkie fabryki cukru są własnością spółek albo akcyjnych albo udziałowych. I w jednych i w drugich kontrola, księgi i rachunkowość muszą i w rzeczywistości są prowadzone z wszelką możliwą dokładnością i ścisłością, a nawet z pewnego rodzaju pedanteryą, jakiéj szukalibyśmy nadaremnie w niejednéj instytucyi rządowéj.

Fabrykami spółek akcyjnych administrują zarządy tychże spółek, obowiązane do składania rachunku ogólnym zebraniom akcyonaryuszów, tak bowiem mieć chcą odnośne przepisy i nawet sama natura rzeczy. Coroczne sprawozdania i rachunki tych zarządów ulegają przedewszystkiém rozpoznaniu komisyi rewizyjnych, wybieranych przez rzeczone zebrania ogólne. To wszystko, przy względzie na interes pieniężny znacznéj liczby akcyonaryuszów, będący zawsze w grze, sprawia ten skutek, iż owe sprawozdania i rachunki są zawsze prawdziwym obrazem stanu każdéj fabryki i jéj corocznych rezultatów, tak dalece, że umieszczane w tych aktach cyfry czystych z każdéj kampanii zysków są zawsze matematycznie prawdziwemi.

Bez żadnéj przeto obawy o narażenie na szwank interesu skarbowego, możnaby na tych cyfrach podatek oprzéć i za podstawę do corocznego obliczenia je przyjąć.

Fabryki znowu należące do spółek udziałowych zarządzane są przez jednego z uczestników każdéj spółki, wybranego na administratora przez tychże uczestników. Składa im on także co rok sprawozdania i rachunki, zupełnie tak samo jak zarządy w spółkach akcyjnych; cyfrom zaś tych sprawozdań i rezultatom rachunkowym nie można również odmówić najpełniejszéj wiarogodności.

Rękojmią téj wiarogodności jest przedewszystkiém interes osobisty akcyonaryuszów i uczestników tych spółek, będący, jak wiadomo, potężną dźwignią każdéj działalności ekonomicznéj. Żaden z agentów skarbowych nie strzeże interesu fiskalnego tak pilnie, jak oni strzegą swéj własnéj kieszeni. Każdy uczestnik sprawdza i oblicza, jaka będzie wysokość przypadającéj nań dywidendy, stanowiącéj nawet jedyny dlań środek utrzymania, ilekroć w nabycie akcyi lub udziału spółkowego włożył całe swoje mienie. Każda zresztą korzyść spółki, w stosunku jéj uczestników i akcyonaryuszów z jéj administratorami i zarządami, przybiera znaczenie grosza publicznego: niedokładne jéj wykazanie lub ukrycie byłoby nadużyciem, a raczéj hańbiącém oszustwem. Przeszłość wszystkich spółek cukrowniczych w Królestwie żadnemi tego rodzaju nadużyciami zaciemnioną nie jest, a nawet takie nadużycia są absolutnie niemożliwemi, skoro jeszcze obok tylu osób zainteresowanych w rezultatach fabryki, stoi jednocześnie na straży wiarogodności ksiąg i kontrol fabrycznych niemniéj żywy interes dyrektorów, techników i całéj służby działającéj na miejscu w każdéj fabryce. Każdy z nich otrzymuje corocznie mniejszy lub większy udział z korzyści obliczanych właśnie na podstawie rzeczonych ksiąg i kontrol. Oprócz stałego uposażenia jedni biorą tantyemy, czyli oznaczone procenta od czystego zysku fabryki; inni wynagrodzenia dodatkowe, w razie gdy manco na ilości zakupionych buraków nie przechodzi pewnego *maximum*—wynagrodzenia stosunkowane miarą oszczędzonéj fabryce na témże manco straty; inni zresztą jednorazowe gratyfikacye w pomyślnych dla fabryki latach. Każdy z nich jest nieodstępnym świadkiem i nieobojętnym widzem całego ruchu w fabryce; nadużycie przeto i fałszo-

wanie kontrol, ksiąg i rachunków, niedałoby się w żadnéj fabryce pojąć inaczéj, jak przypuszczając zmowę dyrektora i całéj służby fabrycznéj z zarządami lub administratorami spółek, czyli niedowierzanie posuwając do *absurdum*.

Społeczeństwo rossyjskie jest zupełnie nieznaném i obcém piszącemu te uwagi; pomimo to jednak poważa się on mniemać, iż fiskalna nieufność, obawiająca się przyjmować w Cesarstwie za podstawę podatkową ksiąg i rachunków fabrycznych, jest posuniętą zadaleko i że społeczeństwo rossyjskie na taki brak wiary zasługiwać nie może. Że zaś takież księgi i rachunki fabryk cukru w Królestwie dostarczają zawsze *danych* ścisłych, matematycznie dokładnych i najzupełniéj wiarogodnych; to tenże piszący, w skutek studyów i własnego przeświadczenia, zalicza do pewników nieulegających żadnéj wątpliwości.

Wzgląd na fabryki cukru, mające tylko jednego właściciela, przy obmyślaniu zasad podatkowych, nie może wprawdzie być dla skarbu obojętnym; znaną jest bowiem ogólna dążność jednostek, w mniejszym lub większym stopniu we wszystkich rozwinięta krajach, do obchodzenia przepisów podatkowych, w celu nie ponoszenia całości ciężaru, jaki jest oznaczanym w tychże przepisach. Przeciwko téj dążności władze skarbowe są wszędzie w prawie oddziaływać za pomocą odpowiedniéj kontroli, zamkniętéj wszakże w pewnych granicach, strzegących, by ona w wykonaniu nie przeistaczała się w weksacyą opodatkowanych. Mniejsza lub większa w obmyśleniu téjże kontroli trudność nie upoważnia przecież do przyjmowania takich zasad podatku, które ostatecznie musiałyby doprowadzić przedmiot opodatkowany do nieuniknionéj ruiny i jak to wzmiankowano wyżéj, zniweczyć samo źródło dochodu skarbowego. W materyi podatkowéj ten ostatni wzgląd powinien być względem przeważnym zawsze i wszędzie; tém łatwiéj zaś przychodzi uczynić mu zadosyć przy ustanawianiu zasad akcyzy od fabrykacyi cukru, skoro obawa, iżby prawdziwy czysty dochód każdéj kampanii przed okiem skarbu ukryty nie był, odnosićby się mogła jedynie do fabryk, które własnością spółek udziałowych lub akcyjnych nie są, a więc do fabryk, będących wyjątkiem i skoro kontrola nawet co do tych fabryk, acz wyjątkowa, nie byłaby ani trudną, ani skutecznie udaremnianą.

I w tych bowiem położeniach, przy poborze akcyzy wyjątkowych, kontrola spotkałaby się zawsze z takąż samą organizacyą na miejscu w fabryce, jaka istnieje we wszystkich fabrykach, należących do spółek udziałowych i akcyjnych. Jakoż między temiż fabrykami, a fabrykami należącemi do jednostek, nie można żadnéj dopatrzéć różnicy pod względem składu służby fabrycznéj, jéj tantyem procentowych i nagród pieniężnych, prowadzenia ksiąg rachunkowych i kontroli. Cóż więc łatwiejszego, jak dla tych wyjątkowych przy poborze podatku położeń, oznaczyć w przepisach, sposób prowadzenia rachunkowości i kontroli w saméj fabryce, tudzież zasady, zobowiązujące miejscową administracyą do układania rachunku i bilansu każdéj kampanii, podług téjże saméj metody i reguły, jakiéj się stale trzymają spółki

udziałowe i akcyjne. Jeden ajent skarbowy byłby w możności sprawdzić, corocznie, w kilkudziesięciu fabrykach, zgodność tych rachunków i bilansów z księgami.

Nie należy téż spuszczać z uwagi, że wszelkie ukrycie lub przeistoczenie cyfr nie dałoby się także wykonać inaczéj, jak przy zmowie właściciela fabryki z jéj dyrektorem i z jéj całą służbą, co znowu nie jest do przypuszczenia i czemuby zapobiegły przepisy, określające odpowiedzialność biorących udział w każdéj zmowie tego rodzaju.

Wobec takiéj organizacyi fabryk cukru, *podatek mógłby więc przyjąć za podstawę czysty dochód z każdéj kampanii.*

Nie sięgałby on po część saméj substancyi rzeczy, nie umniejszałby samego przedmiotu opodatkowanego; lecz poprzestając na zapewnieniu skarbowi udziału w czystym dochodzie fabryk, byłby niewątpliwie podatkiem racyonalnym. I w istocie, przy ustanawianiu podatków, które nie mają być konsumcyjnemi, lecz mają obciążyć fabrykacyą, przeistaczającą materyał surowy na towar, wszędzie na głównym celu jest właśnie czysty jéj dochód; wszędzie przeto podatek sięga tylko po część tegoż dochodu, przez co jednak, jak już powiedziano, nie przybiera bynajmniéj cechy podatku dochodowego, skoro nie pyta, kto prowadzi fabrykacyą i nie zagląda do osobistéj jego kieszeni.

Podatek, oparty na *rzeczywistym* dochodzie gałęzi przemysłu pociąganéj do opłaty, jest podatkiem *najsprawiedliwszym* ze wszystkich, z téj znowu przyczyny, że na wszystkie fabryki rozkłada się jednakowo, czyli równo; w dziedzinie zaś podatkowéj, równość wyraża się nieinaczéj, jak przez zachowanie *jednakowego* stosunku pomiędzy wszystkiemi do opłaty pociąganemi, czyli przez proporcyonalność.

Fabryka przynosząca korzyści 1,000, może i powinna zapłacić podatku 100, jeżeli takaż fabryka dająca czystego dochodu 10,000, pociąganą jest do tegoż podatku w sumie 1,000.

Zachowanie zaś jednakowego stosunku podatkowego między fabrykami, pociąga jeszcze za sobą dwa następstwa, pożyteczne dla ogólnéj ekonomii kraju: 1) nie przyśpiesza ruiny fabryki, dopóki ona dla jakichbądź przyczyn niéma żadnego czystego dochodu lub nawet nie pokrywa wszystkich kosztów produkcyi; w razach przeto przemijających niepowodzeń, nieoszczędzających żadnéj gałęzi przemysłu, fabryka łatwiéj może przetrwać chwile kryzysu. Podatek nie wpłynie wtedy do skarbu, nie możnaby przecież znaleźć sprawiedliwéj zasady do ściągania opłaty z fabryki, nieprzynoszącéj chwilowo żadnéj korzyści. Niedobór zaś podatkowy, taką spowodowany przyczyną, jest wtedy pozornym, skoro ocalenie fabryki od ruiny, zapewni skarbowi źródło dochodu podatkowego na przyszłość, gdy po ustaniu rzeczonego kryzysu, dotknięta nim gałąź przemysłu nanowo zakwitnie. 2) Proporcyonalność do rzeczywistego dochodu danéj gałęzi przemysłu, przyjęta za podstawę podatkową, nie tamuje rozwoju małych fabryk, czyli drobnego przemysłu, działającego w skromniejszym zakresie; kiedy przeciwnie, wszelka pod tym względem nierówność ułatwiając drogę do przy-

wileju tym, którzy stosunkowo niższy płacą podatek, musi ostatecznie wywoływać urządzanie fabryk olbrzymich, monopolizujących daną gałąź przemysłu, obok których drobne fabryki muszą w końcu upaść. Jestto zaś rzeczą wielokrotnie sprawdzoną, że przy podatkach rozkładających się niejednakowo, nie w stosunku rzeczywistego dochodu, wielkie fabryki płacą zawsze mniéj, niż małe, od jednostki, przyjętéj za skalę i podstawę podatku. Upadek drobnego przemysłu, jest wszędzie dowodem złamanéj równowagi między kapitałem i pracą; wszędzie wywołuje niechęć i krytykę ustroju ekonomicznego i nigdzie interesowi ogólnemu nie idzie na pożytek.

Tak więc podatek od fabrykacyi, *oparty na dochodzie rzeczywistym*, jaki ona otrzymuje ze swych nakładów i pracy, jest wszędzie ideałem podatku dobrze obmyślanego. Nie da się on wprawdzie zastosować do każdéj gałęzi przemysłu, ponieważ nie każda gałąź działa tak jawnie jak cukrownictwo. Ilekroć zaś rzeczywista cyfra czystego dochodu z fabryki nie jest do tego stopnia jawną i widoczną, iżby bez wkraczania w stosunki prywatne, domowe, a więc dla obcych niedostępne, mogła być determinowaną; wtedy, ale tylko wtedy *władza prawodawcza jest zmuszoną szukać téjże cyfry za pomocą norm* i na ich podstawie też cyfrę oznaczać w przybliżeniu.

Ta cyfra korzyści, determinowana przez rachunek prawdopodobieństwa, a któréj część ma wpływać do dochodów budżetowych kraju, jest zawsze oznaczaną sztucznie. Skarb, będąc w niemożności dojść do prawdziwéj cyfry dochodu fabryk, jest w konieczności stanowienia norm, wedle których mierzoną być ma siła produkcyjna każdéj fabryki i na wiarę tych norm, domniemywać się cyfry tegoż dochodu. Jestto zło konieczne; unikać go należy, ilekroć cyfry prawdziwe są dostępnemi i mogą być wiadomemi; a właśnie przy opodatkowaniu fabrykacyi cukru, możnaby uniknąć tego zła z wyjątkową łatwością.

Przyjęcie za podstawę akcyzy rzeczywistego czystego dochodu fabryk, miałożby obalać zamierzenia fiskalne? Podnosząc to pytanie dajemy dowód, iż dalecy jesteśmy od odmawiania im *względnego* w téj materyi wpływu; owszem, wyraźnie uznajemy, iż każdy podatek przynieść powinien skarbowi to *maximum*, jakie jest możliwém w danych warunkach przedmiotu opodatkowanego i w danych stosunkach ekonomicznych całego kraju. Mniemamy wszakże, że w tych warunkach i w tych stosunkach szukać właśnie należy granicy dla owych zamierzeń fiskalnych, że więc ich wpływ nie może być nigdy *ani absolutnym, ani wyłącznym*.

Zakreślenie téj granicy, jak to wyżéj powiedziano, jest rzeczą statystów; wszelkie jéj przekroczenie bardzo prędko odpłaca się im samym smutném rozczarowaniem i naraża ich na zawód. Nie do nas przeto należy mówić o tém, jaki procent od czystego dochodu fabryk cukru powinienby zastąpić dotychczasowy podatek, jaka zaś reszta tegoż dochodu pozostawać korzyścią samychże fabryk. Ograniczamy się więc na wykazaniu, jaka może być w przybliżeniu ogólna cyfra rzeczy-

wistego dochodu wszystkich 245 fabryk cukru w Cesarstwie i w Królestwie, ta bowiem ich liczba istniała w r. 1877/8 wedle urzędowych poświadczeń. Mówimy w *przybliżeniu*, nikt bowiem oczekiwać nie może, iżbyśmy w braku danych statystycznych i przy niemożności przejrzenia rachunków, sprawozdań i bilansów z tych wszystkich fabryk, podawali w tém miejscu cyfrę dochodu, jaką one rzeczywiście otrzymały.

Obliczenia nasze opierać się muszą *na rachunku prawdopodobieństwa*, na dedukcyi wyprowadzanéj z danych wiadomych. Mianowicie zaś:

a) z cyfr rzeczywistych za lat trzy, w wymienionych już pięciu fabrykach Królestwa, bierzemy przeciętną czystego dochodu na jeden rok i na jednę fabrykę [1]), tę przeciętną cyfrę mnożymy przez liczbę wszystkich fabryk, t. j. przez 245;

b) z cyfr rzeczywistych zaczerpniętych z bilansu rocznego tych 5-u fabryk, bierzemy przeciętną kapitału umieszczonego w jednéj fabryce; tę przeciętną mnożymy przez 245, iloczyn zaś wykazujący w przybliżeniu ogólną sumę kapitału wprowadzonego w przemysł cukrowniczy w Cesarstwie i w Królestwie, powinien dawać temuż przemysłowi odpowiedni procent. Procent ten stawiamy więc znowu przed linią;

c) takież samo obliczenie wyprowadzamy z urzędowych danych, wskazujących, za pomocą jakiego kapitału zakładowego i obrotowego odniesionego do berkowca buraków, prowadzoną jest fabrykacya cukru;

d) wreszcie z drukowanych sprawozdań 12-u fabryk: na Ukrainie, Podolu i Wołyniu, wyjmujemy ilość rzeczywiście wyprodukowanego cukru w r. 1877/8, koszta produkcyi odniesione do puda tegoż cu-

---

[1]) W przypisku poprzedzającym rozróżniliśmy sumę wykazaną w sprawozdaniach za dochód z kampanii, od sumy rozdzielonéj między skarb i akcyonaryuszów. Dość znaczna różnica między temi dwiema sumami została obróconą na tworzenie funduszów zasobowych, na amortyzacyą wydatków zaawansowanych poprzednio na ulepszenia fabryk lub sposobów fabrykacyi i na zakup nowych machin i przyrządów, wreszcie na koszta zwierzchniego zarządu. Z tych wszystkich wydatków, jedne tylko kwoty zatrzymywane na fundusz zasobowy mogą w przyszłości *przy warunkach pomyślnych* być rozpłacone akcyonaryuszom; w razie przeto przyjęcia za podstawę akcyzy czystego dochodu fabryk, rzeczone kwoty musiałyby uledz opodatkowaniu w miarę i w chwili téjże rozpłaty. Wszystkie zaś inne z owego dochodu czynione wydatki są bezpowrotnemi; pokrywają albo koszta zwierzchniego zarządu fabryk, albo koszta postawienia ich w możności dalszego istnienia lub zapewnienia dodatnich na fabrykacyi rezultatów. Nie wyobrażają przeto rzeczywistéj korzyści akcyonaryuszów, pod żadnym więc pozorem nie mogłyby podlegać opodatkowaniu. Obciążanie tych wydatków akcyzą, równałoby się ściąganiu podatku od kosztu sztucznych nawozów, sprawienia narzędzi do uprawy roli i zaprowadzenia ulepszeń w warsztacie rolniczym majątku ziemskiego.

kru i przecięciową cenę targową, a biorąc przeciętne owych cyfr i różnicy między ceną targową i kosztami produkcyi, obliczamy zysk na pudzie. Z tego rachunku otrzymujemy znowu przybliżony dochód wszystkich 245 fabryk.

Żadna z tych czterech metod, sama i oddzielnie od trzech pozostałych, nie mogłaby posłużyć za podstawę obliczeń, któreby przy obmyślaniu systematu podatkowego, zasługiwały na uwagę. Przeciętna przecież z tych czterech metod rachunku prawdopodobieństwa, może być przyjętą za punkt wyjścia i dać prawdopodobną cyfrę czystego dochodu, do jakiego dochodzi przemysł cukrowniczy w Cesarstwie i Królestwie. Niepodobna dojść do niéj w inny sposób; skutkiem czego, albo ją należy miéć na względzie, albo wyrzec się szukania innéj, pewniejszéj i podatkowość urządzać wtedy zupełnie pociemku, bez pomocy żadnych danych statystycznych i bez oglądania się na rzeczywistość.

Rachunek stawia się jak następuje:

a) 5 fabryk Królestwa miały dochodu z 3-ch kampanii (1875/6, 1876/7 i 1877/8 r.) rub. 2,359,679 kop. 38½ i z téj sumy zapłaciły akcyzy rubli 490,967 kopiejek 11; dywidendy akcyonaryuszom rubli 1,155,300, czyli razem rub. 1,646,267 kop. 11; reszta, jak już objaśniono, obróconą została na tworzenie funduszów zapasowych i na wydatki niepowrotne. Wypada więc przecięciowo po rub. 548,755 kop. 70½ na jednę kampanią, a po rubli 109,751 na jednę fabrykę (opuszczając kopiejki). Przeciętna zaś pobranéj przez skarb akcyzy, odniesiona do jednéj kampanii i do jednéj fabryki, daje sumę rubli 32,731 kop. 90. Ogólny dochód z 245 fabryk, przypadający do rozpłaty między skarb i prowadzących fabryki, czyniłby więc rubli 26,888,995, z czego na akcyzę przypadałoby wedle powyższéj przeciętnéj rubli 8,019,315 kop. 50 [1]).

b) Bilanse wzmiankowanych wyżéj 5-u fabryk z końca lipca 1877 r., wykazują ich kapitał zakładowy i obrotowy na rub. 4,871,415, kop. 38½ [2]), czyli rub. 974,283 z przecięcia na jednę fabrykę. Iloczyn z pomnożenia téj przeciętnéj przez 245, mógłby wyobrażać kapitał wprowadzony w przemysł cukrowniczy całego Imperyum; iloczyn ten czyni rub. 238,699,335 [3]). Ten kapitał powinienby przynosić dochodu

---

[1]) Z pracy E. Andrejewa: *Razwitije* i t. d., jest dowód (str. 251), że skarb pobrał w r. 1878 akcyzy 4,670,455 rub.; cyfra ta porównana z powyższą przeciętną, przynosi więc przekonanie, jak dalece dotychczasowy systemat podatkowy jest wadliwym, skoro rozkłada się nierównomiernie pomiędzy fabryki. Z tego porównania jest widocznem, że te 5 fabryk Królestwa zapłaciły podatku stosunkowo więcéj od innych fabryk.

[2]) W fabryce Józefów rub. 1,158,014, kop. 89½, w fabrykach Ostrowy, Walentynów i Tomczyn rub. 2,473,904, kop 67, w fabryce Dobrzelin rub. 1,389,495, kop. 82, (cyfry wyjęto z drukowanych sprawozdań).

[3]) Na samo Królestwo, wedle powyższéj metody obliczenia, cyfra kapi-

przynajmniéj 12% rocznie, z tego bowiem dochodu musi być przedewszystkiém pokrytą akcyza, reszta zaś przypadająca na rzecz prowadzących fabryki, przy dotychczasowym systemacie podatkowym, nie dochodziłaby więc 9%; ta zaś stopa procentu w naszych stosunkach ekonomicznych, może być uważaną raczéj za nizką, odstręczającą od zakładania nowych fabryk, niż za zbyt wysoką, zwłaszcza przy względzie na spekulacyjną naturę cukrownictwa.

Dochód z 245 fabryk w stosunku 12% wynosiłby więc rocznie rub. 28,643,920.

c) Wedle obliczenia oddziału kijowskiego towarzystwa technicznego, złożonego komisyi ustanowionéj w r. 1871 do zaprojektowania przepisów o akcyzie od cukru, kapitał zakładowy fabryk wynosił po rub. 1 kop. 95, kapitał zaś obrotowy po rub. 2, czyli razem po rub. 3 kop. 95 w stosunku do berkowca buraków, przerabianych na cukier [1]). W urzędowém źródle zamieszczono wprawdzie cyfrę 16 milionów berkowców, jako ilość corocznie przerabianą na cukier; uczyniono przecież uwagę, iż ta cyfra została zaczerpniętą z wiadomości prywatnych [2]). Podnosimy ją przeto do 18,820,000 berkowców, taką bowiem przeciętną wypada ze sprawozdań 12 fabryk na Ukrainie, Podolu i Wołyniu [3]); mnożąc tę daną przez 3 rub. i 95 kop., kapitał umieszczony w przemyśle cukrowniczym wynosiłby rub. 74,339,000, od których dochód obliczony w stosunku 12%, jako fundusz na zaspokojenie akcyzy i na

---

talów zakładowego i obrotowego, umieszczonych w 40 fabrykach wypadłaby na rub. 38,971,320.

[1]) *Żurnał zasiedanij...* anneks: *zapiska kijewskaho otdielenija russkaho techniczeskaho obszczestwa po swiekłosaharnoj promyszlennosti*, str. 11.

[2]) *Razwitije*, str. 231.

[3]) W roku 1877/8 fabryki przerobiły buraków 12 pudowych berkowców, (w urzędowych źródłach berkowiec obliczanym jest na 10 pudów).

Mironowka	165,729
Chochutwa	42,140
Pije	57,750
Piwcę	46,155
Szpanów	74,256
Dziedowczyzna	64,816
Turków	100,560
Mizocz	52,924
Borszcze	40,589
Czyczelnik	84,795
Szczodrów	92,106
Jaropowce	100,039
Razem	921,859

berkowców 12 pudowych, po 76,821½ berkowców przecięciowo na jednę fabrykę, ta zaś liczba pomnożona przez 245 daje 18,820,000 berkowców fabrycznych, czyli 19,760,000 berkowców wagi rządowéj.

procent dla właścicieli rzeczonego kapitału, wypadłaby znowu suma rub. 8,920,680.

d) Z drukowanych wreszcie sprawozdań z tychże dwunastu fabryk okazuje się, iż one w r. 1877/8 wyprodukowały razem 835,976 pudów cukru, czyli z przecięcia po 69,664 i $^2/_3$ pudów. Tę przeciętną mnożąc przez liczbę wszystkich fabryk, t. j. przez 245, otrzymujemy cyfrę ogólnéj produkcyi cukru siedmnaście milionów pudów. Wedle tychże sprawozdań przecięciowy koszt produkcyi puda cukru wyniósł po rub. 3 kop. 93 [1]). Ten koszt obliczanym jest łącznie z akcyzą, która rozłożona na całą ilość wyprodukowanéj mączki, nie zaś na tę tylko, jaka wedle dotychczasowych norm podlega opodatkowaniu, czyni przecięciowo po 35 kopiejek na każdym pudzie. Ze względu na to, iż w rachunku wedle poprzednich trzech metod obliczyliśmy przeciętną dochodu przed zapłaceniem akcyzy, t. j. mającą pokryć i akcyzę i procent od kapitału wprowadzonego w przemysł; dla jednostajności przeto powyższy koszt produkcyi wypada tu obniżyć o 35 kopiejek, wyniesie on więc rub. 3 kop. 58. Że zaś przecięciowa cena handlowa w r. 1877/8 nieda się oznaczyć wyżéj, jak po 4 rub. 50 kop. za pud, na dochód przeto mający pokryć i akcyzę i procent od kapitału, przypadałoby po 92 kop. na pudzie, czyli z całéj produkcyi cukru w cyfrze okrągłéj, 15,640,000; te zaś cztery cyfry dodane tworzą sumę rub. 80,093,595: z któréj czwarta część czyli *20 milionów rubli* w cyfrze okrągłéj, jest ową ostateczną przeciętną, dającą się poczytać za prawdopodobną sumę dochodu otrzymywanego rocznie przez cukrownictwo w Cesarstwie i Królestwie, a z którego ma być pokrywaną i akcyza i procent od kapitałów w téj gałęzi przemysłu umieszczonych.

---

[1]) *Razwitije*... str. 231, podaje ogólną produkcyą cukru na 10,800,000 pudów, ale także na podstawie wiadomości prywatnych. Rachunek prawdopodobieństwa z produkcyi rzeczonych dwunastu fabryk wypada znowu inaczéj. Wyprodukowały one:

			Koszta zaś produkcyi wynosiły na pudzie, łącznie z akcyzą.
Mironowka . . .	128,151	pudów	rub. 3 kop. 78
Chochutwa . . .	37,288	„	„ 4 „ 75
Pijo	52,985	„	„ 4 „ 02
Piwce	34,775	„	„ 5 „ 39
Szpanów	78,139	„	„ 3 „ 28
Dziedowczyzna . .	59,640	„	„ 3 „ 81
Turków	87,138	„	„ 3 „ 19
Mizocz	54,721	„	„ 3 „ 94
Borszcze	31,359	„	„ 4 „ 35
Czeczelnik. . . .	65,327	„	„ 4 „ 51
Szczodrów. . . .	90,439	„	„ 2 „ 95
Jaropowce . . .	92,013	„	„ 3 „ 16
razem . .	835,976	pudów	

Wzmiankowane wyżéj zamierzenia fiskalne, idą więc zadaleko, niemogłyby bowiem pochłaniać *połowy* dochodu fabryk, bez zrujnowania przemysłu cukrowniczego.

Bezpośredni w blizkiéj przyszłości skutek tak nieoględnych zamierzeń wskazuje sama przeszłość. Przy niższych niż dzisiejsze normach i przy niższéj skali podatku, czyli przy akcyzie umiarkowanie dotykającéj każdy pud rzeczywiście wyprodukowanego cukru, liczba fabryk w Cesarstwie wzrosła była w r. 1859/60 do 475 [1]), w Królestwie zaś w r. 1854 było już fabryk 55 [2]). W r. 1877/8 było w Cesarstwie fabryk już tylko 205 (o 270 mniéj), w Królestwie zaś tylko 40 (o 15 mniéj) [3]). Zmniejszenie liczby fabryk w tak rażącym stosunku nie da się czemu innemu przypisać, jak owym częstym zmianom zasad poboru akcyzy, stopniowo podnoszącym koszta produkcyi cukru do takiéj wysokości, iż je z trudnością pokrywają obecne ceny targowe tego towaru; co znaczy, że właśnie dotychczasowy systemat podatkowy przedewszystkiem i głównie pogorszył warunki téj gałęzi przemysłu i nawet sam jéj byt uczynił chwiejnym.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

---

[1]) Czterysta trzydzieści dwie fabryk czynnych i czterdzieści trzy nieczynnych: *Razwitije* i t. d., str. 237.

[2]) *Materyały po dielam Carstwa Polskaho. Swiedienija po finansowoj Czasti.* Zeszyt drugi z r. 1864, str. 199.

[3]) *Kratkij oczerk...* str. 193.

Kronika poznańska.

8 lipca 1879 r.

Wśród zmian, jakie nastają jedne po drugich w rzeszy niemieckiéj i w państwie pruskiém, jest *nowe prawo o urządzeniu sądów i procedurze sądowéj*, które z końcem września staje się obowiązującém, niemałego i dla naszego Księztwa znaczenia i niepodobna jest dla sumiennego kronikarza zamilczeć o takowém. Ta przecież zachodzi tu trudność, że zadanie jest zmudne, a dla czytelników może stać się aż nudném. Uczynimy tymczasem co w naszéj mocy, aby spełniając obowiązek, nie zapuścić się zbyt obszernie w tę materyą. Reforma zmienia organizacyą sądów, prokuratoryi i adwokatur, oraz w znacznéj części procedurę sądową, proces cywilny i kryminalny.

Dotąd mieliśmy *sądy powiatowe*, daléj *apelacyjne*, wreszcie *trybunał najwyższy*, a wszystkie te trzy instancye miały skład kolegialny. Z biegiem czasu zaczęto przychodzić do przekonania, że aparat kolegialny zbyt jest często ciężki w stosunku do wartości przedmiotów, z czego powstała dążność uproszczenia procedury. Dążność ta objawiła się w ordynacyi nowéj konkursowéj z r. 1855, a późniéj w sprawach subhastacyjnych, hipotecznych i opiekuńczych, wreszcie w prawie z r. 1877 o urządzeniu nowém sądów. Prawo to znosi ostatecznie dla sądów pierwszéj instancyi system kolegialny. *Pierwszą instancyą* stanowić będą *sądy okręgowe*, *oraz sądy ziemiańskie*. *Sąd okręgowy* składać się ma odtąd z jednego tylko podsędka, do którego kompetencyi należy każda sprawa niesporna, a ze spornych: subhasty, konkursa, śledztwa. W sprawach cywilnych rozsądza podsędek sprawy, aż do 300 marek wartości, oraz podobne sprawy, jak np. spory między służbą a chlebodawcą; w sprawach karnych wszystkie te przestępstwa, które rozstrzygała dotąd policya, oraz takie przewinienia, których kara dochodzi do 600 marek; daléj sprawy o obrazę, pobicie, kradzież i oszustwo, aż do 25 marek wartości. Zaletą główną zmiany niniejszéj, jest wszechstronne wtajemniczenie się podsędka w stosunki powierzonego swéj pieczy okręgu, z czego wypłynąć powinna pewna ufność między sędzią a podsądnymi, umożebniająca załatwianie sporów drogą dobrowolnéj ugody. Ogólna ta premissa jakże się przecież przedstawia dla naszego Księztwa, jeśli podsędek z reguły nie będzie umiał po polsku i będzie posługiwał się tłómaczem? Zależy więc nam tutaj na tém, aby rząd odtąd nie wysyłał do innych prowincyi sędziów Polaków, jeśli mu chodzi o pewne zespolenie się sędziego z publicznością.

Jak już powiedzieliśmy, stanowią pierwszą instancyą: sąd okręgowy, o którym właśnie mówiliśmy, *oraz* sądy ziemiańskie. Do zakresu czynności tych ostatnich, należą procesa cywilne i kryminalne. Sądy te rozstrzygać będą w pierwszéj instancyi wszystkie sprawy cywilne, jakie wyjęte są z pod kompetencyi sądów okręgowych. W sprawach karnych dzielą kompetencyą sądy ziemiańskie z peryodyczną instytucyą sądów przysięgłych. Obok tego tworzą przecież sądy te ziemiańskie wobec sądów okręgowych, drugą instancyą o tyle, że do nich należą apelacye od wyroków podsędkowskich. Bije tu w oczy, że podsędkowie przeciążeni będą pracą i że zadanie ich stokroć trudniejsze będzie od zadania sędziów ziemiańskich, podczas gdy *faktycznie* wyrobi się, mimo równości w pensyach i w randze, pewna wyższość sędziów ziemiańskich nad podsędkami.

Drugą instancyą stanowić będą *sądy nadziemiańskie* i obejmować będą obszar prowincyi pojedyńczych. Rozpadają się na senaty dwa, cywilny i kryminalny i tworzą drugą instancyą dla spraw, rozstrzyganych w pierwszéj instancyi przez sądy ziemiańskie. *Trzecią instancyą* będzie *sąd państwa;* tworzy on instancyą kasacyjną dla wyroków sądów nadziemiańskich i sądów przysięgłych, a zarazem jest jedyną instancyą w sprawach, dotyczących zbrodni stanu przeciw cesarstwu niemieckiemu i osobie cesarza. Ma także dwa senaty: cywilny i kryminalny.

Oto zarys organizacyi nowéj sądownictwa.

Co do procesu cywilnego, tedy naśladuje nowa procedura prawodawstwo dotyczące francuzkie, t. j. ogranicza czynność sędziego na wysłuchanie stron i świadków, na przejrzenie dokumentów i t. d. i ostatecznie na wydanie wyroku, podczas gdy resztę czynności oddaje w ręce pisarzy sądowych i komorników. Pisarz sądowy będzie odtąd odbierał skargi, spisywał wnioski, oceniał takowe, wydawał pozwy, prowadził protokół, doręczał wyroki, udzielał poświadczeń egzekucyjnych. Komornik zaś spełniać będzie wyroki cywilne, jako samodzielny urzędnik, a rzeczą jest stron kontrolować jego czynności. Naturalnie, że tak pisarz jak i komornik miéć będą do pomocy podrzędnych wykonawców. Procedura ta cywilna nowa, opiera się na wręcz przeciwnych zasadach, aniżeli dotychczasowa. W miejsce piśmiennego postępowania nastaje ustne, wolno jest stronom w każdym okresie procesu przytaczać nowe fakta, a sędzia upoważniony jest do takich poszukiwań, których żadna z stron nie wymaga; wolno mu także rozstrzygać wedle moralnego przekonania, oraz wydawać w każdéj sprawie i w każdéj instancyi, kilka t. z. częściowych wyroków. Jestto więc zupełna, radykalna zmiana. Sąd wyrokować ma odtąd li na podstawie ustnéj rozprawy, skarga służyć tylko będzie do wyznaczenia terminu, znaczenie protokółu upadnie, referat piśmienny ustanie. Z tego wszelako wypływa, że obecność stron będzie teraz niezbędną, skoro w każdym terminie rozpoczynać się będzie mogła sprawa nanowo.

To, co dotąd powiedzieliśmy, dotyczy przeważnie procedury przed podsędkiem, czyli przed sądem t. z. okręgowym. Postępowanie w innych sądach te same ma zasady, tylko że w sądach ziemiańskich i wyższych muszą miéć strony adwokatów. Nowa ordynacya zmienia bardzo jeszcze wiele w obecnych przepisach, ale o tém już rozpisywać się nie możemy. Napomkniemy tylko, że usuwa np. wszelki udział urzędników kościelnych w sprawach rozwodowych, stwarza procedurę tę samę dla spraw przeciw rozrzutnikom, co i przeciw obłąkanym, znosi różnicę dotychczasową między konkursem kupieckim a zwyczajnym.

Co do procesu kryminalnego, ścieśnia nowe prawo władzę sądów okręgowych. W sprawach cywilnych jest sędzia okręgowy samowładnym, w sprawach kryminalnych otrzymuje do boku dwu ławników, którzy rozstrzygać wspólnie z nim będą. Ławnicy wybierani są z ludzi prywatnych, bez fachowego wykształcenia, zamieszkujących w obrębie sądu okręgowego.

Ławnika urząd jest honorowym, a fiskus wraca ławnikom tylko te koszta, które wynikły z podróży. Sposób wyboru ławników jest następujący:

Zarząd gminy (wiejskiéj i miejskiéj) sporządzi co rok spis osób zdolnych do ławnictwa, a spis ten ma być przez dni 7 wystawiony w téj miejscowości, w któréj gmina odbywa posiedzenia. Przeciw spisowi wolno każdemu z interesowanych podać zażalenie. Na podstawie spisów gminnych, sporządza podsędek spis ogólny dla swego okręgu i przysposabia materyał do rozstrzygnięcia zażaleń. Rozstrzygnięcie służy komitetowi, który sędzia powołuje raz w rok, a który składa się z sędziego; daléj z jakiego urzędnika administracyjnego i ze siedmiu mężów zaufania, mieszkających w okręgu. Komitet ten rozbiera podane przeciw spisom zażalenia i wybiera potém, na podstawie spisów sprostowanych, głównych ławników na przeciąg całoroczny, a zarazem wybiera z liczby osób mieszkających w miejscu, gdzie się mieści sąd okręgowy lub w najbliższéj miejsca tego okolicy, ławników-zastępców. Nazwiska osób wybranych spisują się w odrębnych dwu spisach, t. z. spisach rocznych. Posiedzenia sądów tych wyznacza podsędek na rok cały z góry, wybiera także z góry przez losowanie, na podstawie spisów owych rocznych, dwu na każde posiedzenie ławników. Że używanie obowiązkowe li języka niemieckiego utrudni w regule rolę ławników u nas, to niezawodna, tak jak znów z drugiéj strony nie uprzyjemni także urzędu tego honorowego. *Sądy ziemiańskie* rozstrzygać będą sprawy przez deputacye. Dla wygody publiczności urządzone być mają deputacye z stósowną kompetencyą w miejscach, w których sąd okręgowy miéć będzie większą liczbę członków. W deputacyach tych, które nazwać należy wędrownemi, zasiadać będą sędziowie okręgowi. Wyborczy żywioł nie będzie miał w sądach tych udziału, bo zasiadać w nich będą tylko prawnicy z zawodu. Co się tyczy sądów przysięgłych, każdy obywatel, zdolny na ławnika, będzie mógł być obrany przysięgłym. Ważne znaczenie mieć tutaj będą owe spisy

pierwotne, o których wspomnieliśmy wyżéj; wydział bowiem czyli komitet, zbierający się raz na rok przy każdym z sądów okręgowych, układać będzie na podstawie spisów, listę tych osób w okręgu, które chce przedstawić na sędziów przysięgłych, listy zaś te oddawane będą prezesowi sądu ziemiańskiego. Prezes wyznaczy sesyą, na któréj sędziowie roztrząsać będą podane przez kandydatów zażalenia i protesta i wybierać będą tak sędziów przysięgłych, jako i ich zastępców. Obok przysięgłych zasiadać będzie trzech sędziów z zawodu, a różnica między ławnikami a sędziami przysięgłymi ta jest, że ławnicy sądzić będą nietylko o winie lub niewinie, ale i decydować wspólnie z podsędkiem o wysokości i rodzaju kary, podczas gdy sędziowie przysięgli rozstrzygać tylko będą o winie oskarżonych, wymiar zaś kary pozostanie zadaniem wyłącznem sędziów z zawodu. Układ ten sądów karnych niewidzi nam się szczęśliwym, bo i czemuż np., w sądach ławniczych i w sądach przysięgłych biorą udział nie prawnicy, a w deputacyach ziemiańskich sądzą tylko prawnicy z zawodu? Nie widać w tém urządzeniu jednolitéj podstawy, przedewszystkiém zaś przedstawia nam się owo sądownictwo ławników jako ciężar. Albowiem tylko do małych, bagatelnych przeważnie spraw, będzie powoływana publiczność t. j., ławnicy, a rola ich albo będzie niemal żadna, (jeśli nie będą dosyć wykształceni); albo deprymować będzie podsędka. W każdym razie trudno pochwalić, że udział ławników rozszerzono i do wymiaru kary. Zmysł słusznego odmierzania kary mógłby się wprawdzie wyrobić w ławnikach, ale nie w danych warunkach, skoro urzędować mają tylko kilka razy w przeciągu lat dwu. Co zaś do sądów przysięgłych mniemamy, że nie zarobią na znaczeniu przez usunięcie ograniczeń, istniejących dotąd pod względem majątkowym. Tyle o układzie sądów karnych. Procedura kryminalna przedstawia nam się daleko lepiéj, aniżeli układ sądów kryminalnych. W procesach kryminalnych przygotowuje śledztwo akt oskarżenia, proces zaś sam ma li wyrok na celu. Inicyatywa w oskarżeniu przypada w regule prokuratorowi, który z pomocą policyi lub innéj władzy, rozporządza śledztwo, a tylko w razach wyjątkowych zwraca się do sądu z rekwizycyą, jak np.: gdy chodzi o przesłuchanie, mające być stwierdzone przysięgą. Poszczególne takie rekwizycye załatwiać będą sądy okręgowe, a na wniosek prokuratora może nawet śledztwo przejść od sądu ziemiańskiego do okręgowego. W pewnych wszelako razach może całe śledztwo wstępne prowadzone być przez władzę sądową, podczas gdy prokuratorowi przypada tylko rola wnioskodawcy. Dziś przysługuje prawo wniosku o śledztwo tylko prokuratorowi, podług nowéj procedury ma mieć to prawo i obwiniony. Obwiniony ma w pewnych razach prawo protestowania przeciw rezolucyi sądowéj, nakazującéj śledztwo, może nawet podać zażalenie do wyższéj instancyi, jeśli sąd nie przychyli się do wniosku jego o zaczęcie śledztwa. Daléj wolno będzie obwinionemu przybrać sobie już podczas śledztwa adwokata, albo też w niektórych razach prywatną jaką osobę, a obrońcom tym przysługuje prawo przejrzenia akt i czynienia wnios-

ków na korzyść obwinionego. Obwiniony tedy zaraz z początku znać będzie co mu zarzucają, będzie więc wolniejszy stokroć niż dzisiaj, mianowicie zaś będzie miał prawo w pewnych razach wyjść z więzienia za stosowną kaucyą. Gdy śledztwo ukończy się, prokurator wniesie oskarżenie, a sąd obowiązany będzie udzielić obwinionemu akt oskarżenia i wyznaczy zarazem termin, do którego wolno będzie obwinionemu stawiać wnioski i czynić zażalenia. Po upływie tego terminu przystąpi sąd do decyzyi i albo oskarży obwinionego, albo zasystuje dalszą procedurę, nawet bez względu na wniosek prokuratora, który w takim razie będzie musiał wnieść oskarżenie nie własne, ale takie jakiego wymaga rezolucya sądu. Tutaj decyduje w sprawach tych, które sądom ławniczym przypadają, odpowiedni podsędek, w innych sprawach deputacye sądów ziemiańskich. Następuje wreszcie termin ustnéj rozprawy, a postępowanie w takowym pozostanie w głównych zarysach takiém samém, jakiém jest dzisiaj. Ostatnie słowo przysługiwać będzie oskarżonemu, poczém sąd przystąpi do ferowania wyroku. Dziś potrzebną jest do potępiającego wyroku większość absolutna, wedle nowéj procedury wystarcza $^2/_3$ głosów. Właściwéj apelacyi podlegać będą tylko wyroki ławniczych sądów. Apelujący może w drugiéj instancyi nowe przytoczyć dowody, tak samo i strona przeciwna. Wyroki sądów ziemiańskich i sądów przysięgłych mogą być tylko zaczepione rewizyą. Wyższą instancyą względem sądów ziemiańskich stanowią sądy nadziemiańskie, względem sądów przysięgłych, trybunał najwyższy.

W stadyum rewizyi oprzéć się wolno na tém, że przekroczony został poprzednio ten lub ów przepis prawny; w pewnych zaś razach będzie można wnieść o podjęcie na nowo procedury. Wykonanie wyroków karnych będzie rzeczą prokuratora, ale ministrowi sprawiedliwości służy prawo zlecenia egzekucyi wyroków, ferowanych przez sądy ławnicze, sądom okręgowym.

Oto jak się przedstawia zwykły proces karny.

Nadmienim tutaj jeszcze co następuje: wedle obecnych przepisów niewolno prywatnym osobom wnosić oskarżeń, nowe natomiast przepisy zezwalają na to w pewnych przypadkach, jak np., w przypadku obrazy, okaleczenia; wszelako tylko wtenczas, jeżeli dochodzenie tego wykroczenia zależy od wniosku poszkodowanego. Oskarżenie poszkodowanego udzieli sąd obwinionemu i pozwoli mu poczynić przeciw oskarżeniu swoje wnioski i zarzuty. Po upływie pewnego czasu, pozostawionego w tym celu obwinionemu, może go sąd oskarżyć, poczém sprawa przychodzi przed sąd ławniczy. Prywatny oskarżyciel w razie uwolnienia obwinionego, płaci koszta procesu. Oskarżenia te prywatne ustanowione są w interesie osób, poszkodowanych materyalnie przez przestępcę.

Nowe prawo o urządzeniu sądownictwa, skraca wprawdzie o jeden rok czas próby prawniczéj, stanowi bowiem, że po trzech latach studyów uniwersyteckich, wystarczą trzy lata praktyki sądowéj, (a nie cztery jak dotąd), aby otrzymać zupełne prawo do wszelkich posad są-

downiczych w całych Niemczech, wszelako Prusy oświadczyły na mocy § 1 prawa wykonawczego, zezwalającego poszczególnym państwom rzeszy niemieckiéj przedłużyć peryod przygotowawczy, że pozostają przy czterech latach praktyki sądowéj.

Adwokatura, którą dotąd rozdawała władza krajowa tak samo jak i inne urzędy, staje się według nowego prawa wolną. Kandydat na adwokata poda odtąd wniosek do ministeryum sprawiedliwości, z wymienieniem miasta, w którém chce praktykować. Ministeryum z wyjątkiem pewnych, ściśle określonych przypadków, nie może odmówić pozwolenia. Wszelako nowe to prawo ustanawia, z obawy aby zbyt wielu etatowych sędziów nie przeszło naraz do adwokatury, że wolno jest władzy odmawiać konsensu sędziom w pierwszych trzech latach istnienia nowego prawa. Aby tylko władza nie użyła tego zastrzeżenia względem sędziów naszych, chcących wrócić do Księztwa, to zresztą zastrzeżeniu temu niémamy nic do zarzucenia.

Kwestya lichwy coraz bardziéj zatrudnia u nas umysły. Jak może wam wiadomo, lichwę zniosło prawo na całym obszarze państwa, a więc i w naszém Księztwie, ale zapomniano o stawieniu zapór przeciw wyzyskiwaczom bezczelnym, którzy nie wahali się odtąd rzemiosło swe w biały dzień prowadzić daléj. Ile klęsk poniosły u nas całe wsie, jak wyzyskiwano bezwstydnie tysiące gospodarzy chłopskich, ilu mieszczan padło ofiarą, nie da się opisać. Palcami wskazać można na setki lichwiarzy, tuczących się mieniem ludzi poczciwych, a prawo jest bezsilném wobec ich działania zgubnego. Znamy całe wsie, a nawet okręgi, w których wszystkich niemal wyssała już lichwa. Na sejmie radzą o téj klęsce, a czas już wielki położyć tamę skutkom zniesienia lichwy. Nie chodzi wprawdzie o powrócenie do dawnych przepisów, ale drogę jakąś wynaleźć trzeba koniecznie, na którejby się zapobiedz dało dalszéj ruinie całych warstw społecznych. Procenta wysokie dadzą się wytłómaczyć, gdy pożyczka dotyczy interesu, który przedstawia ryzyko; natomiast nie dadzą się uniewinnić tam, gdzie tego ryzyka niéma i gdzie chodzi tylko o eksploatacyą potrzebujących, nieświadomych i lekkomyślnych. Jeżeli np., chłopu, który pożyczony kapitał zabezpieczył na swéj posiadłości, wypowiedziany zostaje takowy nie wczas i on zmuszony przez to zostaje do obietnicy procentów na setki idących, albo do dopisania do długu trzeciéj lub choćby i piątéj części waloru długu i tym sposobem stawa nad przepaścią straty majątku, ażaliż manipulacya taka nie powinna być uznaną za lichwę? Powinna przecież postawiona być różnica w ocenianiu pożyczek na wielkie procenta, wedle tego, czy kapitalista ponosi podwyższone ryzyko pożyczając, lub czy téż nie ponosi żadnego, a wyzyskuje tylko bezczelnie biédę lub głupotę cudzą. To rozróżnić możemy wszyscy, a więc może i sędzia. Moralna zasada powinna tutaj wpłynąć na ukształtowanie dotyczących przepisów. Pisma nasze poznańskie wszelkiéj barwy biją jednogłośnie w potrzebę choćby ścieśnienia prawa wystawiania weksli i popierają myśl, wypowiedzianą przez posła Rejchenspergera, który uczynił wniosek na

sejmie, aby pozostawić prawo wystawiania weksli członkom towarzystw pożyczkowych, konsumcyjnych i t. d., w stosunkach ich z temiż towarzystwami. Byłoby to bardzo zbawienne ograniczenie powszechnego prawa wystawiania weksli, a przydałoby się nam mianowicie i z innego jeszcze względu, przyzwyczaiłoby bowiem masy do idei asocyacyi, która przeznaczona jest do odgrywania coraz większéj roli w stosunkach ludzkich.

Przegląd bibliograficzny z ostatnich miesięcy każe nam wymienić nasamprzód tom II *dzieł Platona*, przekładu zasłużonego na tém polu profesora gimnazyum ostrowskiego, Antoniego Bronikowskiego.

Realizm dzisiejszy chce z gruntu wyrugować dotychczasową metodę gimnazyalną, opartą na podstawie języków starożytnych, łacińskiego i greckiego. Jestto dążenie niesłuszne, bo podstawą cywilizacyi prawdziwéj pozostanie, wedle naszego zdania, literatura i sztuka starożytna, do poznania zaś ducha starożytności, który nierozerwanym węzłem kojarzy się z rozwojem ludzkości, za wielce potrzebne uznajemy dobre tłómaczenia łacińskich i greckich znamienitych autorów. P. Bronikowski już od lat przeszło dwudziestu położył sobie za zadanie pracować w téj dziedzinie i pracuje téż z wielkiém zamiłowaniem i znajomością przedmiotu. Przetłómaczył już Homera, Herodota, Ksenofonta, Tucydydesa, a w ostatnich latach zajął się tłómaczeniem Platona. Niedawno wyszedł tom drugi dzieł Platona w komisie księgarni Żupańskiego. P. Bronikowski stara się przedewszystkiem o zachowanie jaknajzupełniejsze indywidualności każdego z autorów i nie szczędzi niczego, aby zadaniu sprostać. Powtarzamy, że nie szczędzi niczego, a w tém naszém powiedzeniu tkwi tak dobrze pochwała, jak i nagana. Archaizmy i odrębna składnia przystoi wprawdzie tym dawnym pomnikom duchowym, ale te archaizmy i ta składnia nieraz téż rażą mocno, bo gwałcą ducha i prawa języka naszego. Następstwo wyrazów przenosi p. Bronikowski żywcem z oryginału na polskie, przez co nieraz traci tłómaczenie na jasności i na udatności. Szanowny tłómacz chce wprawdzie temu zapobiedz przez częste w odsyłaczach objaśnienia, ale to właśnie dowodzi, że przesadza przez zbyt ścisłe zastósowywanie się do słów oryginału. Pod względem wartości pedagogicznéj traci tym sposobem tłómaczenie, bo nie wprawia ucznia w stosowne władanie językiem ojczystym. Mimo te wady, całość tłómaczenia składa się na nielada całość cenną, która zasługuje na uznanie wszystkich tych, którzy lubują się w starożytnych językach i czują potrzebę zapoznania się z niemi w przekładzie. Najlepiéj może potrafił nam szanowny autor przepolszczyć Herodota.

Wyszedł w ostatnim czasie także trzeci tom *Kodeksu dyplomat. Wielko-polskiego*, oraz tom drugi *Listów Lelewela*. Tom ten zawiera 145 listów do braci Jana i Prota, oraz siostry, p. Majewskiéj. Ciągną się szeregiem lat, począwszy od roku 1833. Przyczyny umieszczenia wśród nich, dziesięciu listów nie do rodzeństwa pisanych, nie rozumie-

my. Tom niniejszy do poznania Lelewela nader cenny dostarcza materyał. Autor nie miał wcale usposobienia na polityka, tém więcéj na człowieka naukowego. To téż nader zajmującym jest szereg szczegółów, dotyczących każdego jego naukowego dzieła, a już z pewnością odkrywa nam zbiór tych listów smutny, chociaż zarazem i wzniosły obraz męża, który walczył z biédą, a znosił ją z tym stoicyzmem, jakiego dziś z latarnią szukaćby potrzeba.

Poczet pism naszych peryodycznych pomnożył się od 1 lipca *Przeglądem kościelnym*, pod redakcyą ks. Jaskólskiego, autora gramatyki hebrajskiéj, a w ostatnim czasie współpracownika *Kuryera*. Mamy tedy w Poznańskiém pism trzynaście, a mianowicie: *Dziennik*, *Kuryera*, *Gońca Wielkopolskiego*, *Orędownika*, *Ziemianina*, *Wartę*, *Niedzielę*, *Gwiazdę*, *Lecha*, *Ruch społeczno-ekonomiczny*, *Tygodnik powieści*, *Oświatę* i *Przegląd Kościelny*. Liczba nie lada, ale czy pożywienie liczbie odpowiada, to inna kwestya, nad którą późniéj może nieco zastanowimy się.

O wyjściu *Rocznika V Kółek włościańskich*, już doniosłem w poprzedniéj kronice i chyba kilku słowy dopełnić mi wypada wzmiankę tę. Otóż w jedném i drugiém miejscu kwitną Kółka, w innych tyle tylko że wegetują, podczas gdy w trzecich tak dobrze jak nic o ich działalności nie słychać. Patron téj arcy-zbawiennéj instytucyi, p. Maks. Jackowski z Pomarzanowic w powiecie Sredzkim, dokłada wprawdzie wszelkich starań, aby nietylko ją podtrzymać, ale i rozszerzać coraz bardziéj, ale, jak to bywa nieraz, skoro tylko niedostaje kogoś, coby wziął rzecz do serca, chroma takowa. Przyjedzie patron, rozjaśni umysły, zagrzeje serca, znajdzie się ten i ów, co w jego ślady wchodzi, to rzecz idzie; w ogóle przecież instytucya Kółek nie przeszła jeszcze w soki i krew. Pocieszać się trzeba, że wszelki początek trudny, a niech tylko myśl będzie na czasie, zdrowa, zdrowo podjęta i wykonywana, chociażby tylko częściowo, z pożytkiem dla członków, a przyjąć się musi w społeczeństwie niezepsutém zbytnią negacyą. Obecnie sto kilkanaście Kółek wylicza sprawozdanie; interesujących się bliżéj tą sprawą, odsyłamy do *Rocznika* samego.

Nasze zgromadzenia nie koniecznie cieszą się tego lata udziałem członków. Na dopiero co odbytym zjeździe delegatów filialnych Towarzystw agronomicznych pospołu z zarządem centralnym, bodaj dziesięciu przybyło delegatów, a walne zgromadzenie Towarzystwa Przyjaciół Nauk, trzeba było dla braku dostatecznéj liczby członków, odłożyć na późniéj. Kiedy już mowa o Towarzystwie Przyjaciół Nauk, napomkniemy o pracy przez samego prezesa czytanéj p. t. *Ślady historycznych wypadków polskich w dwu dramatach Szekspira*, *Zimowa powieść i Burza*. Prelegent nadmienił na początku zaraz, że prof. Caro w dziele swém o Szekspirze, wykazał miejsca w dramatach jego kilku, które przypominają żywcem wypadki historyczne polskie. Dramat *Burza*, ma być, wedle prelegenta ustępem z wojen Jagiełły z Krzyżakami. Pierwsza wyprawa dość liczna, przyszła z Anglii na pomoc

Krzyżakom w roku 1390, druga w dwa lata później jeszcze liczniejsza, przypłynęła aż na dwustu kilkudziesięciu statkach. Naczelnik pierwszéj wyprawy Derby, był w dobrych z Witoldem stosunkach i mógł nie jednéj, za powrotem do Anglii, udzielić ziomkom wiadomości o Polsce i jéj stosunkach, Prelegent zastanawiając się nad osobami w dramacie przedstawionemi, sądzi, że król neapolitański to Jagiełło, Prosper ks. Medyolanu, to Skirgiełło i t. d. *Noc Zimowa* przedstawiać znów ma ustęp z historyi Mazowsza, a mianowicie zamordowanie Ludmiłły przez Ziemowita, który niesłusznie ją podejrzywał o stosunek miłosny z dworzaninem i zgładzić oboje rozkazał. Ale gdy wyszła niebawem na jaw niewinność obojga, Ziemowit z zgryzoty umarł. Było to pod koniec (daty dobrze nie spamiętaliśmy) XIV wieku. W *Nocy Zimowéj* król jakiś sycylijski nie mogąc miłego sobie gościa, króla czeskiego, uprosić aby pozostał dłużéj, namawia żonę swą aby to wymogła na gościu. Żona cel życzony przez męża osięga. Aliści naraz robak zazdrości ukąsza sycylijczyka, który w nadmiarze rozpaczy wtrąca żonę do więzienia, i godzi zarazem na życie króla, gościa. Przekonawszy się wkrótce, że niesłusznie oboje posądził, głęboko uczuwa popełnione okrucieństwo.

Kto przed mniéj więcéj trzydziestu, a nawet tylko dwudziestu laty znał Poznań w czasie, gdy interesa z chęcią porozumienia się wzajemnego w kwestyach bieżących, sprowadzały napływ obywateli do miasta, tego uderzyć musi zmiana, jaką dziś spostrzega. Dziś każdy kto do Poznania dla załatwiania interesów przybywa, zaledwie je ukończy, odjeżdża, nie pytając o drugich, nie zajrzawszy nigdzie. Prawdą jest z drugiéj strony, że trudnoby przyszło znaleźć w Poznaniu dom otwarty, któryby chociaż w części przedstawiał jakiś punkt zborny towarzyski. Domu takiego braknie zupełnie. Jeżeli więc przyjezdny obywatel chce zasięgnąć języka, zobaczyć się z kimś, musi iść do resursowego lokalu lub do jakiéj, notorycznie przez znajomych swych bliższych a choćby i dalszych, uczęszczanéj restauracyi lub piwiarni. Obraz świetny towarzyskości, jaki przedstawiał Poznań w czasie tegorocznego karnawału i podczas odczytów profesorów krakowskich, mieć trzeba za jaknajzupełniejszy *hors d'oeuvre*. Ginie całkiem to, co znamionowało nasz żywot, ginie towarzyskość, a wraz z towarzyskością niknącą, niknie i wyrazistość opinii powszechnéj, która, bądźcobądź, stanowić powinna siłę publiczną.

WARSZAWA,

JÉJ ŻYCIE UMYSŁOWE I RUCH LITERACKI

W CIĄGU LAT TRZYDZIESTU *).

(od 1800—1830 r.).

PRZEZ

K. Wł. Wójcickiego.

VIII.

Wojciech Bogusławski i jego dzieła dramatyczne.—*Spazmy modne*, komedya.—Powód do ich napisania.—Molier na scenie Teatru Narodowego.—Lessing.—Ryszard Scheridan.—Znakomitsi aktorzy polscy.—Szekspir.—Hamlet.—Alfieri.—Pierwsza opera polska.—Maciéj Kamieński, kompozytor.—Stuletni jubileusz opery polskiéj.—Rok 1821.—Upadek *Pamiętnika Warszawskiego*.—*Astrea* Franciszka Grzymały.—Wartość literacka tego pisma.—*Iliada* Homera w przekładzie Franciszka Dmochowskiego.—Stanisław hr. Potocki, książe mówców.—Pierwsze objawy romantyzmu.—Posągi: Jana Sobieskiego w Łazienkach królewskich i księcia Józefa Poniatowskiego, dłuta Thorwaldsena.—Obrona klasyczności.—Recenzya Fr. Grzymały, pierwszych tomików poezyi A. Mickiewicz 1822 r.—Usiłowania klasyków, oddawania przedmiotu z natury, harmonijnie i malowniczo wierszem.—I. U. Niemcewicz.—Jan Kruszyński.—Franciszek Wężyk.—J. N. Kamiński brzmienie dzwonu naśladuje.—Ludwik Rajszel, bajkopisarz. Jan Gorczyczewski, tłómacz satyr i listów Boala Despro.—Stefan Witwicki.—Jego ballady i romanse, piosnki sielskie.—Poezye biblijne.—Fryderyk Szopen (Chopin).—*Podróż do Ciemnogrodu* „Świstka krytycznego."—Oburzenie księdza Surowieckiego.—Krytyka: *Świstak wyświstany*. Romans czy satyra obyczajowo-społeczna?—Zarzewie rozniecone pomiędzy romantykami a klasykami.—*Świątynia Wenery w Knidos*, poemat Józefa Szymanowskiego.—Wydanie jego w Parmie—Co jest romantyczność?—Wiersz A. E. Odyńca.—Jan Śniadecki: *O pismach klasycznych i romantycznych*.—*Romantyczność*, wiersz Mickiewicza.—Sonety Mickiewicza i jego rozprawa objaśniająca romantyczność.—Tryumf klasyków.

Dzieła dramatyczne Bogusławskiego dają nam dokładną wiadomość o stanie Teatru Narodowego z końca upłynionego i z początko-

*) Dalszy ciąg—patrz zeszyt za lipiec r. b.

wych lat bieżącego stulecia, a zarazem objaśnienie, jak się rozwijała literatura dramatyczna.

Dwie tylko sztuki oryginalne swoje, pomieścił w tym zbiorze autor. W tomie II *Spazmy modne*, komedyą w 3-ch aktach, wystawioną w r. 1797 i *Henryka VI na łowach*, komedyą w 3-ch aktach także, w któréj sam przedstawiał z wielkiém powodzeniem główną rolę téj sztuki.

Szczególne powody miał do napisania *Spazmów modnych*, która na scenie zyskała świetne powodzenie. Objaśnienie tych powodów znajdujemy na czele téj komedyi przez Bogusławskiego, który jako zajmujący obrazek ówczesnéj społeczności podajemy.

„Przed dwudziestu laty (a zatém około r. 1777) spazmy, migrena i drżenie serca tak powszechną prawie po wszystkich wyższych domach były chorobą, że ją ledwie nie epidemiczną nazwać można było. Czy złość powietrza, czyli dobroć mężów, czyli nakoniec niezręczne sprawowanie się ówczesnych amantów, były tego powodem, do dziś dnia nie dali nam objaśnienia doktorowie, którzy z wszelką Hipokrata umiejętnością uwijali się około cierpiących piękności.

„To wszelako było istotną prawdą, która się nietylko poznać, ale nawet wielu mężom, a najprzykrzéj służącym uczuć dawała, że ta choroba zjawiała się zazwyczaj wtenczas, kiedy jéj było potrzeba. Każde nieledwie niezadowolenie (naówczas jeszcze nieukontentowaniem zwane) sprowadzało ją natychmiast. Często używaną była za sposób usprawiedliwienia się z jakowych zarzutów, a częściéj jeszcze za sposobność zasłużenia na nie. Nigdy zaś nie ustawała prędzéj, aż póki, jak pogańskie bożyszcza, drogą jaką ofiarą ubłaganą nie była. Jeżeli gdzie zobaczono niespodziewanie nowy ekwipaż, nowe brylanty, nowego przyjaciela, zaraz się domyślano (bo czegóż się nie domyśla złość ludzka), że tam spazmy albo migrenę leczyć musiano. Świadek takowych nie w jednym domu przypadków, nieraz zastanawiałem się nad szkodliwą społeczeństwu słabością, a chociaż ani stopą nie postałem w świątyni Galena, domyślałem się wszelako, że ona nie we krwi, nie w ciele, ale w umysłach miała swoje siedlisko. Kilkakrotnie zabierałem się do wystawienia onéj na scenie, ale ilekroć brałem pióro do ręki, zawsze mi wypadało z przestrachu, gdy sobie przedstawiałem skutki zuchwałości mojéj, porywać się na słabości płci pięknéj, wyjawiać tajemnicę, jéj tylko i uprzywilejowanym jéj lekarzom wiadomą. Następujący przypadek przymusił mnie do uskutecznienia tego długo wstrzymywanego przedsięwzięcia.

„Znajdowałem się naówczas we Lwowie. Pewna panienka, w grono artystów dramatycznych policzona, przy pięknéj postaci, powabnéj twarzy i świeżych młodości wdziękach, tak niezgrabną, nieczułą i niezdatną do sztuki scenicznéj, przy początkowych rolach okazała się, że cała publiczność, żałując mocno uprzyjemniających ją darów natury, jednomyślny wydała wyrok, że nigdy i do żadnéj roli nie będzie zdatną. Chociaż nie pierwszy już raz udało mi się było, z nieczy-

niących żadnéj nadziei, wystawić później ulubionych publiczności artystów, wyznać wszelako muszę, że i sam o ulepszeniu wspomnianéj młodéj aktorki wątpić zaczynałem; kiedy wchodząc raz do jéj pomieszkania, zastałem u nóg jéj kochanka w rozpaczy pogrążonego, onę zaś najstraszliwsze drżenie serca tak przewybornie udającą, że zdawała się być w ostatnich konwulsyach śmierci. Spojrzawszy na mnie wchodzącego wzrokiem, który w uśmiechu twarzy, udanie choroby potwierdził, dała mi sposobność poznania, jak wybornie i naturalnie podobne spazmy wystawiłaby na scenie.

„Siadłem nieodwłocznie do pióra, a w skończonéj w ciągu dwu miesięcy komedyi *Spazmy modne*, umyślnie dla niéj rolę starościny, doskonale wprzód wyprobowawszy jako aktorkę w pierwszych rolach grać zaczynającą, wystawiłem na scenę. Nie potrafię opisać zadziwienia i zadowolnienia patrzących, równie jak doskonałego przez tę młodą osobę wystawienia rozlicznych sposobów mdłości, jęków, wzdychań i konwulsyi, które zdawały się wyrzucać serce z jéj piersi. Tysiącznemi uwielbiona oklaskami, wystąpiła w innych rolach i zyskała świetne powodzenie."

Komedya *Spazmy modne* przychylnie na scenie przyjęta, w pięknych towarzystwach wiele na autora zagniewanych spojrzeń i dotkliwych ściągnąwszy przycinków, przetrwała nakoniec burze, a jak wszystkie rzetelne prawdy, rzuciwszy światło na tajemnicę modnéj choroby, niejedno zaprawdę małżeństwo od przykrych uwolniła udręczeń.

Z literaturą dramatyczną obcą, a szczególniéj też prawdziwémi arcydziełami, Bogusławski wcześnie poznajomił publiczność polską. Molier ukazał się na scenie narodowéj w r. 1781 z komedyą: *Szkoła kobiét*, jakkolwiek prozą z wiersza przełożoną w V aktach, oraz *Przekory miłosne* tegoż w r. 1783. Drukując *Szkołę kobiét* w dziełach swoich Bogusławski, dołączył zarazem życiorys Moliera.

Sławną w owe czasy *Lessinga* tragedyą w pięciu aktach, przetłómaczył i na scenie warszawskiéj przedstawił w r. 1790. We trzy lata później ukazała się komedya wyborna Ryszarda Scheridana (r. 1793), p. t. *Szkoła obmowy*, w V aktach, ale nie w tłómaczeniu z angielskiego, ale przerobiona i do świata polskiego i osób zastosowana. Przy zmianie układu wielu scen, dana w coroczną uroczystość koronacyi Stanisława Augusta, zyskała oklask powszechny. Przedstawienie jéj było wzorowe, do czego przyłożyli się głównie najznakomitsi ówcześni aktorzy: jak Owsiński zwany „Garrikiem polskim" (w roli starosty), Truskolawska przy pięknéj postaci i wdziękach, wykwintnym ubiorem, wesołością humoru, w roli starościny; Swierzawski, przedstawił po mistrzowsku cześnika, jak Mierzyński regenta, a przybyły z piotrkowskiéj palestry Każyński, nieporównanie oddał rolę nadętego młodego adwokata. Role kobiét aktorki: Ludwika Iwańska, Deszner, Pierożyńska i Maranowska, doskonale w myśl przybranych charakterów odegrały, jak znakomity Hempiński dobitném w pierw-

széj scenie opisaniem wszystkich osób, występujących na scenę, zwrócił ciekawość i zajęcie całéj publiczności.

Bogusławski chlubił się tém, że król, czytając jego przeróbkę w rękopiśmie, w wielu miejscach ją własnoręcznie poprawiał.

Późniéj, bo w siedm lat ujrzała publiczność warszawska Szekspirowego *Hamleta* (1797 r.), przełożonego z niemieckiego i zastosowanego do wymagań ówczesnych teatru.

Alfierego tragedya w 5 aktach *Saul*, przedstawioną została już za czasów Księztwa Warszawskiego 1809 r., gdy kraik ten po napadzie wojsk austryackich, chwilowo odetchnął po burzy wojennéj, wstrząśnięty nią do gruntu.

Nie możemy pominąć opery w 2 aktach: *Nędza uszczęśliwiona*, która jakkolwiek nie napisana przez Bogusławskiego, w zbiorowém wydaniu dzieł jego wydrukowaną została, z objaśnieniem, „że nie w chęci przywłaszczenia sobie cudzéj pracy, ale jedynie w zamiarze zachowania onéj od zupełnéj zczasem zatraty w tym zbiorze pomieszczona.” Jakoż była to najpierwsza oryginalna opera polska. Dzieje jéj są ciekawe: pomiędzy kadetami korpusu królewskiego w Warszawie, znalazło się w r. 1776 kilku z młodzieży, którzy ucząc się muzyki, szczególny talent do śpiewu pokazali. Stanisław August objawił życzenie, ażeby mógł ich słyszéć razem śpiewających. Ks. Franciszek Bohomolec, w chęci spełnienia woli królewskiéj, znany jako autor komedyi grywanych w kolegiach jezuickich i pijarskich przez młodzież szkolną, ułożył komedyjkę w jednym akcie p. n.: *Nędza uszczęśliwiona* z dodaniem kilku piosnek. Została ona wydrukowana, ale graną nie była.

Maciéj Kamieński muzyk, powziął myśl przedstawienia jéj na Teatrze Narodowym, napisał muzykę do piosnek w niéj umieszczonych i ofiarował ją ówczasowemu przedsiębiorcy teatru Montbrun, który gorliwie starając się o wydoskonalenie polskich artystów w tragedyi i komedyi, chciał jeszcze i śpiewaków wystawić. Przyjął więc z zapałem pracę Kamieńskiego, ale że komedyjka z kilku tylko scen złożona, nie mogła nazwać się operetką, dorobiono do niéj nowe sceny, oraz kilka pieśni nowych, na dwa akty podzielono i w takim stanie przedstawioną na scenie narodowéj została. W zeszłym roku przypadała właśnie stuletnia rocznica pojawienia się w r. 1778 pierwszéj opery polskiéj i przypomniał nam ją Aleksander Wejnert w swojéj rozprawie. Maciéj Kamieński urodzony w Edemburgu, miasteczku węgierskiém 1734 r., w nadwornéj kapeli hrabiego Henkela nabywszy początków muzyki, stale osiadł w naszéj ziemi i serdecznie do niéj się przywiązał, gdzie był cenionym nauczycielem muzyki gry na fortepianie. Lubo przyjęcie *Nędzy uszczęśliwionéj* na scenie Teatru Narodowego świetnego doznało przyjęcia, gdy i głosy niechęci zabrzmiały, rozgniewany muzyk partyturę spalił, późniéj jednak uproszony przez właściciela teatru Ryxa starosty piaseczyńskiego, nanowo ją napisał i udzielił. Ostatniém jego muzyczném dziełem była muzyka do kan-

taty, śpiewanéj przy odsłonieniu posągu konnego króla Jana Sobieskiego na moście w Łazienkach królewskich. Inne jego opery, jak do tekstu Zabłockiego: *Balik gospodarski* i innych, *Słowik* i *Tradycya załatwiona*, zaginęły w niepamięci. *Nędza uszczęśliwiona*, pozostała zawsze jako szczęśliwa próba pierwszych usiłowań opery polskiéj, rozwijającéj się z powijaków niemowlęctwa. Pod zarządem bowiem W. Bogusławskiego, Teatr Narodowy śmiało się kusił w wystawianiu większych zagranicznych oper i w téj gałęzi sztuki dramatycznéj niemałego doznawał powodzenia.

Rok 1821 w dziejach ruchu zmysłowego Warszawy, stanowi ważny a nowy okres. W tym roku bowiem pojawiły się *Poezye Kazimierza Brodzińskiego*, które więcéj oddziałały na ogólny smak społeczności polskiéj niż piękne jego i uczone rozprawy. W tym roku dokonywał żywota swego *Pamiętnik Warszawski* pod redakcyą Feliksa Bentkowskiego, nie mogąc współzawodnictwa dotrzymać *Astrei* pod sterem Franciszka Grzymały. Ubywało coraz prenumeratorów, wreszcie wydawcy: Zawadzki i Węcki, nie mając zwrotu wydatków na druk i papier niezbędnych, dalszych kosztów ponosić nie chcieli. *Astrea, pamiętnik narodowy polski: historyi, literaturze, poezyi, filozofii moralnéj, ekonomii politycznéj, rzeczom krajowym i dziejom współczesnym poświęcony*, nietylko samym tytułem zaimponował, ale i treścią swoją, żywotną, mocno obchodzącą każdego wykształconego czytelnika. Grzymała był niepoślednim publicystą, a mając rozgałęzione stosunki z literatami, chętną u nich znalazł pomoc i poparcie; tembardziéj, że do współudziału poruszył tém godłem Jana Kochanowskiego, położoném na czele:

„Służmy poczciwéj sławie, a jako kto może,
Ku powszechnemu dobru niechaj dopomoże."

Zaraz téż na początku pierwszego zeszytu *Astrei*, z taką przedmową wystąpił:

„Rozpoczynam nowy zawód, przejęty będąc czystém przywiązaniem do kraju i szczerą chęcią stania się wam użytecznym, ziomkowie! Przekonany jestem o wielkości obowiązku, które na siebie wkłada każdy piszący, a szczególniéj każdy wydawca publicznego pisma. Wiem, że ten zawód jest trudniejszy, im więcéj jest sprzeczności, które pogodzić z sobą należy. Dlatego téż waszemu światłu zostawuję, ziomkowie! ocenienie przyszłych i teraźniejszych usiłowań moich, pewnym będąc wyrozumiałości i pobłażania z waszéj strony, przez wzgląd na ważność i trudność zamiaru.

„Żyjemy w czasach, które wymagają większego umiarkowania i rozwagi; lecz i w obecnéj ważnéj chwili, godzi się nam, a nawet powinniśmy troskliwie pielęgnować i kształcić język narodowy, tę najdroższą po przodkach spuściznę, którą (wypłacając się z długu ojcom naszym) w czystości odległym wnukom zachować jesteśmy obowiązani.

„Pole nauk jest zbyt obszerne. Niemało narodów pochlubić się może, iż żadnéj cząstki téj niwy odłogiem nie zostawiło. My w wielu rzeczach wielkie poczyniliśmy postępy i w wielu względach niémamy potrzeby zazdrościć postronnym. Lecz ileż nam jeszcze zostaje do uzupełnienia? W jakże wielu przedmiotach jesteśmy dopiéro uczniami, do nas więc należy zapełnić ten niedostatek! Kochajmy kraj własny, bo miłość ojczyzny jest najpierwszą cnotą cywilizowanego człowieka; a razem kochajmy nauki, rozszerzajmy w ziemi rodzinnéj światło gruntowne, jako najtrwalszą chwałę każdego narodu, rękojmią i główną podstawę szczęścia społeczeństw ludzkich."

Pisał to Grzymała w lipcu 1821 i podpisał się jako obywatel województwa Augustowskiego, wydawca i redaktor *Pamiętnika Polskiego Astrea.*

Słowa powyższe żywo przemówiły do serca ogółu; znaleźli się zaraz liczni prenumeratorzy i gdyby niepunktualność Grzymały nie odstręczała ich coraz więcéj, mógłby się liczyć na parę tysięcy. Ale cóż, wydawał on pismo swoje własnym nakładem; prenumerata wychodziła na prywatne jego potrzeby, a papier i drukarnia regularnie nie odbierały należności. Ztąd zatargi i zwłoka, a przez lenistwo redaktora i brak często rękopismów. *Astrea* wedle prospektu miała wychodzić 1 i 15 każdego miesiąca, ale opóźnianie się ciągłe zeszytów, tworzyło zaległości niedoścignione.' Dość powiedzieć, że *Pamiętnik* ten rozpoczęty w lipcu 1821 do końca r. 1823, a zatém przez półtrzecia roku, obejmuje tylko cztery tomy niewielkich rozmiarów; pierwsze dwa po trzysta kilkadziesiąt stronnic, tom trzeci i czwarty niespełna po trzysta. Pismo to pomimo usterków w prasie polskiéj zaszczytne zajmuje stanowisko, a Fr. Grzymale przyznać potrzeba, że był wybornym redaktorem umiejącym dobierać zajmujące i pouczające przedmioty, będące na czasie i przezto pożądane dla czytelników. Znając uwielbienie niewygasłe i wielką miłość, a nawet słabość dla Napoleona I swoich ziomków, którzy pomimo klęsk bohatéra i niewoli na pustéj samotnéj skale Ś-téj Heleny, zwracali baczną uwagę na niego i chciwie każdéj o nim wieści nasłuchiwali, pomieszczał w *Astrei* tak pożądane wiadomości jak: *Ostatni rękopism Napoleona. Wiadomości historyczne o drugiéj jego abdykacyi*, przez Beniamina Constant. *Rozmowa z generałem Kapp, po wylądowaniu z Elby* i wiele innych.

Historya zajmowała dział poważny i szeroki. Mamy tu materyały dziejowe zajmujące do dziejów starożytnych Polski, dzieje współczesne obok tego.

W dziale *literatury i sztuk pięknych* znajdujemy rozprawy gruntownie pisane i rozbiory najnowszych dzieł wychodzących. Pomiędzy pierwszemi dwie zasługują na szczególną uwagę: pierwsza o przekładzie *Iliady* Homera Franciszka Dmochowskiego. Nieznany nam z nazwiska krytyk-lingwista, zbija niedorzeczną plotkę, że Dmochowski tłómaczył z prozy pani Dacier.

„Wielu zarzucają (pisze na początku swéj krytyki) i dotąd jeszcze zarzuca Dmochowskiemu, że Homera przeléwał na język polski nie z oryginału, ale z tłómaczenia pani Dacier. Nie myślę zgłębiać jak dalece sprawiedliwym jest ich domysł, powiem tylko, że porównywając uważnie przekład polski z oryginałem, dostrzegłem w wysłowieniu dziwnéj trafności, prostoty i wdzięku, co godnie odpowiada naturze języka greckiego. Przytém oddanie prawie zawsze jednego wiersza Homera, jednym wierszem polskim, zbija już poniekąd ów zarzut; kiedy tłómacząc z prozy pani Dacier, a nieumiejąc po grecku, żadną miarą nie byłby tego dokazał. Krótko mówiąc, Dmochowski jest wzorowym tłómaczem *Iliady*, a przekład jego uznalibyśmy najdoskonalszy, gdyby nie uchybienia w miejscach nawet piękniejszych."

Te uchybienia w miejscach znaczniejszych gruntowny krytyk przywodzi, przytaczając tłómaczenia ich w językach włoskim (Cesarotti'ego), w niemieckim Vossa, nakoniec w angielskim Aleksandra Popego.

Tak obok oddania należnego hołdu pracy Dmochowskiego, nie pomija jego usterków, błędów i opuszczeń przy ścisłém porównywaniu z tekstem oryginału.

Zbliża się coraz więcéj okres wybuchu walki pomiędzy klasycznością a romantykami. Jeżeli o romantyczności głucho było w czasach pełnych zapału całéj społeczności naszéj za czasów *Księztwa Warszawskiego*, w pierwszych latach *Królestwa Polskiego* wyraz ten jak złowieszcze widmo dla konserwatystów klasycznych, zaczął się we mgle z początku ukazywać, następnie w coraz groźniejszéj postaci, z zachmurzoném obliczem zbliżać i grozić.

Stanisław hr. Potocki, *Książe mówców*, jak go zwano powszechnie w ową dobę, pierwszy użył wyrazu *romantyczność* na oznaczenie ciemnoty i barbarzyństwa w *Pamiętniku Warszawskim*, pisząc pod pseudonimem *Świstka krytycznego*. Ale pojęcie jakie do niego wówczas przywiązywał ten mąż zasługi, nie miało najmniejszego związku ze znaczeniem, jakiego nabrał w rozwoju następnym literatury polskiéj. Już K. Brodziński w pięknych estetycznych rozprawach swoich, wraca mu właściwe znaczenie, odróżniające od klasycyzmu. Józef Kalasanty Szaniawski w téj myśli kreśli téż swoje uwagi o utworach i kierunku literatury naszéj; *Astrea* zaraz w pierwszym tomie swego istnienia, pomieściła *Listy o literaturze polskiej*, z których jak widzimy, już pierwsze jakby błędne ogniki zaczynają przebłyskiwać, owéj walki, która początkowe żarzewia w stos gorejący i palny zamieniła. Co czytamy w *Astrei*, wykazuje głębszego myśliciela i estetyka, który bezstronnie ocenia oba kierunki i ich wartość wykazuje; z tego powodu nie możemy pominąć szerszych z nich ustępów, które tém są ważniejsze dla badacza, że pisane były przed pojawieniem się Mickiewicza. Owóż czytamy w pierwszym liście:

„Po długiéj przerwie, szanowny przyjacielu! przystępujesz jak widzę, do wznowienia ulubionéj ci walki między klasycznością a romantycznością, a przebiegając w krótkości stan literatury polskiéj,

uważasz za zbyteczne pochwały dawane Felińskiemu, Osińskiemu, Koźmianowi i innym dziś znamienitszym poezyi naszéj pisarzom. Winą ich całą naśladowanie wzorów klasycznych. Rzucićby, podług ciebie należało ten tór, tylu świetnemi gieniuszu pomnikami ozdobny. Wcale nowa pod ojczystém niebem zrodzona, wszystkiemi świeżości powabami jaśniejąca, lekka, więzów żadnych niecierpiąca bogini wzywa do wcale odmiennych, daleko dla nas stosowniejszych zawodów. W téj nowéj smaku krainie zrobili już znaczne postępy Dant, Lopez de Vega, Szekspir, Szyller, Goëthe, Lord Byron i inni romantyczni pisarze. Skoro się ich duchem przejmiemy, natenczas jak mniemasz, zrodzi się szczęśliwie nowy, wielce upragniony rodzaj poezyi, na nowoczesnych wyobrażeniach oparty.

„Niesądź, abym klasyczności czciciel zabobonny, hołd wyłączny starożytnym wzorom przeznaczał; abym mniemał, że rozbiorowy geniusz Arystotelesa, zakreślił sztuce nieprzestępne granice; abym zachwycony pięknością budowy, jaką Francuzi na klasycznéj wznieśli posadzie, wyłączać i potępiać miał wszelkie nam dotąd nieznane piękności, dotąd jeszcze w łonie gieniuszu zawarte, które się przecie zczasem rozwinąć mogą i pewnie rozwiną. Nie zrodziłem się w arkadyjskich gajach, nie zrodziłem się pod wiecznie pogodném niebem, gdzie tyle wielkich, tyle rozkoszą upajających widoków natury, do słodkich i radosnych natchnień pobudza. Wznosi się nademną niebo posępne, puszcze ponure szumią dokoła ziemi rodzinnéj, mróz drętwi strumienie, śnieg przyodziewa pola, łąki i gaje smutną jednostajności szatą! Zamiast wesołych mitologii urojeń, która z pochlebnych człowiekowi namiętności, bóstwa tworzyła; która rzecz każdą w pięknéj i uszczęśliwiającéj malowała postaci—surowe prawdy religijne każą mi zrzekać się obecnych rozkoszy, padół ziemi za kraj wygnania uważa i do dalekiéj nieznanéj, za grobem istniejącéj tęsknić krainy. Tyle odmian, taka strefy, religii, języka, zwyczajów i obyczajów różnica, musi zapewne do wcale różnych pobudzać uniesień, i utworom wyobraźni, nowych, nam jedynie właściwych użyczać kolorów."

W tym ustępie już widzimy pierwsze obudzające się uczucie narodowości w literaturze, i żywiołów jéj dla odżywienia omdlewającego klasycyzmu. Posłuchajmy co daléj nasz estetyk z pierwszéj połowy bieżącego stulecia mówi, i jak wymownie w obronie klasyczności staje.

„Tak usprawiedliwiając śmiało romantyków zapędy, chcąc stargać jarzmo klasycznych prawideł; nie gardźmy jednak lekkomyślnie upominkami, jakich nam dostarczyły wieki poprzednie: nie posuwajmy zadaleko uprzedzeń naszych za romantyczności bożyszczem, i zupełną bezstronnością powodowani, zapytajmy czyli niémasz w naturze powszechnych własności, któreby wszystkim strefom i wszystkim czasom były wspólne? Czyli wszelkie religie niémają pewnéj styczności? Czyli zdrowy, niczem nie ujarzmiony rozsądek we wszystkich krajach i wiekach, nie ulęga pewnym powszechnym prawidłom? Czyli przeto i dzie-

ła smaku, bez względu na czasów i na miejsc różnicę, nie gruntują się poniekąd na ogólnych i powszechnych zasadach?

„Któż obejmie i określi dokładnie całą rozmaitość charakteru jednéjże ojczyzny mieszkańców? Jak każdy z nich ma coś właściwego! Jak trudno wynaleźć dwu zupełnie sobie podobnych ludzi? Jak mnogie, jak rozmaite, jak delikatne pomiędzy niemi zachodzą odcienia? Jak daleko większa jeszcze pomiędzy niemi spostrzegać się daje różnica, pomiędzy mieszkańcami pod względem strefy, religii, zwyczajów i obyczajów od siebie zupełnie odmiennych narodów? Pomimo téj atoli różnicy, gdzież jest zakąt ziemi, czyli gdzież był dotąd ucywilizowany naród, w którymby ludzie nieprzystępni byli lubéj uczuciom miłości? Nie znali gniewu, zemsty i innych namiętności uniesień; nie poczuwali wyższéj nad sobą niewidomej Istoty i nie przenosili się wieszczym pomysłem za okres nikłego życia? Wyobrażenie nieśmiertelności jestże wyłącznie religii chrześciańskiéj utworem? Główne to chrześcian wyobrażenie, byłoż zupełnie obce starożytnym narodom? Nie zachodzą jeszcze inne liczne pomiędzy dawnemi religiami, a tegoczesną wiarą styczności? Czyli zdrowy, nieuprzedzony rozsądek dawnych, pod tylu rozmaitemi względami wzorowych wieków, stoi w sprzeczności z takimże rozsądkiem czasów obecnych? Bynajmniéj: co u starożytnych było od miejscowych okoliczności niezależącą, wszechwzględną, na naturze człowieka opartą, to i po upłynieniu najodleglejszych wieków, fałszem być niemoże.

„Czemużbyśmy prawdy takie we względzie nauk nadobnych, zpod tego powszechnego wyłączać mieli prawidła; wyłączenie to byłoby zaiste większą dla dobrego smaku, daleko zgubniejszą arystokracyą, aniżeli jest ta, o którą zwolennicy *romantycznej mary*, obwiniają mylnie, mniéj może za popędem wyobraźni, lecz bardziéj za surową logiką idących przeciwników, niczem nie powściągnionéj, z dzikości, niesforności i zupełnego rozprzężenia nawet zalety szukających pisarzy. Wszakże natura poprzedziła sztukę i dostarczyła jéj wszelkich wzorów. Sztuka poprzedziła przepisy, któreby bez niéj nie istniały; powszechne przeto prawidła, ze starożytnych wzorów wyczerpnięte, odnoszą się do natury, do owego najczystszego i niepomylnego źródła.

„Lecz od tych ogólnych, zadaleko prowadzących rozumowań, przystępując do uwag bliżéj rzeczy naszych dotyczących, nie zgodziszli się na to, że czyn jaki jasny, rozwijający się śmiało i porządnie, opowiadany z całym wdziękiem wymowy, podoba się i zawsze i wszędzie daleko więcéj, aniżeli obnażone ze wszelkich wdzięków, albo téż mnóstwem ozdób przeciążone opowiadanie tłumu dziwotwornych zdarzeń? Że opowiadanie powinno budzić ciekawość, skoro bowiem zajmować nie będzie, któż wytrwa do końca? Że jedna rzecz tak przedstawiona, iżby wszystko inne przyczyniało się jedynie do podniesienia głównego przedmiotu, snadniéj pojętą być może, aniżeli kilka razem zawikłanych ubocznemi okolicznościami przyćmionych przedmiotów?

Że utwory poezyi łatwo i mile wpływać powinny na umysł i serce słuchacza; nużąc go podobać się nie mogą? Że przeto są pewne, ogólne, powszechne zasady gustu, które aczkolwiek dawno odkryte, nigdy jednak świeżości swojéj nie tracą i w późne wieki utworom geniuszu nie przewodniczyć, lecz towarzyszyć będą.

„*Klasyczność* je odkryła i czuwa nad niemi, nie idzie jednak zatém, aby nam zabobonne naśladowanie wszystkich starożytności szczegółów zalecać miała. Tak jest zaiste, *klasyczność* nie pragnie bynajmniéj, abyśmy *nektarem* poili dzisiejsze niebiany, abyśmy którego z nich pod postacią łabędzia do nowéj Ledy przywiedli; abyśmy zazdrosnego malowali Wulkana, pod Lipsk w greckie tarcze i dzidy zbrojnych prowadzili rycerzy, ani też ażeby bóg męztwa i boju Mars krwawy, dzisiejszym rotom przodkował.

„Jak Homer wierny swojemu czasowi, nie maluje gromów ze śpiżu miotanych, Achilla orderem Orła białego nie zdobi, ani Hektorowi marszałkowskiéj nie daje buławy; podobnie też nie strójmy bohatérów naszych w szaty Rzymian i Greków: tego klasyczność nie żąda, naucza owszem najwierniejszych dobierać kolorów, podaje ogólne na naturze wszystkich miejsc i wiekow oparte prawidła."

Pięknie to brzmiące są słowa, ale w zastosowaniu nie miały żadnego znaczenia, czego widoczne mamy dowody. Jan Sobieski w Łazienkach królewskich na moście, tratując koniem rozbitych muzułmanów, w rzymskim hełmie i stroju galopuje, to pomnik zeszłego wieku. Nawet w naszém stuleciu gdy składką kraju polecono sławnemu rzeźbiarzowi Thorwaldsenowi wykonanie posągu księcia Józefa Poniatowskiego, położono za główny warunek, ażeby go po rzymsku przystroił: artysta spełnił życzenia, a gdy w Warszawie go odlano, towarzysze broni bohatéra, ze zgrozą oburzenia spoglądali na postać ulubionego wodza i swéj niechęci bynajmniej nie taili. Taką to jeszcze klasyczność miała przewagę. Ale idźmy daléj za jéj obrońcą.

„W wymowie naszéj nie naśladujmy wszystkich szczegółów Izokrata, Demostenesa i Cycerona, nie zwracajmy wyrazów do Kapitolińskiego Jowisza; ale objawmy cele tyczące się mowy, ale zbierzmy wyjaśniające i utwierdzające rzecz naszę dowody: ale zachowujmy w całym ciągu, ciągły, jasny i przyzwoity postęp. W poezyi malujmy czyny, malujmy uczucia, obyczaje i zwyczaje naszego narodu; czerpajmy we własném życiu; życie przenośmy w poezyą, ale przenośmy rządnie, przenośmy tak żywemi, tak prawdziwemi kolorami, jakiémi przedmioty swoje wydawali starożytni pisarze.

„Otóż to właśnie czego klasyczność wymaga, to, w czém starożytne wzory naśladować należy.

„*Klasyczność* jest-li owym tyranem, który swoje więzy i urojenia, bezwarunkowo narzuca? Jestto owszem doświadczeniem wieków uposażony, łagodny doradzca; jestto bóstwo opiekuńcze wolnéj nauk Rzeczypospolitéj, niedopuszczające, aby ginęła zbytnią i wyuzdaną wolnością. Słodkie jest jego jarzmo, jak słodkie są więzy czystéj miłości,

za których granicą niémasz lubéj, niémasz niebiańskiéj rozkoszy: jest tylko burzliwe i prędki niesmak rodzące uczucie. Ktoby zaś w klasyczności kodeks despoty upatrywał, ten widziałby więcéj niżeli jest w istocie, i walcząc przeciwko urojonemu widmu, przypominałby rycerza w Cerwantesie, staczającego boje z wiatrakiem.

„Bo i któż każe trzymać się ślepo martwych przepisów? Któż każe z Arystotelesem, Homerem, lub Boalem w ręku ważyć na szali szkodliwości, czyli ta lub owa scena wrażenia na sercu i duszy czynić powinna? Kto z prawdziwych znawców sztuki utrzymywać może, że starożytne jedynie przedmioty obrabiać należy, że form dawnych udoskonalać i nowych, ale przedmiotów właściwych, ale na powszechnéj zasadzie rozsądku opartych form, tworzyć nie wolno? Klasyczni pisarze nie sąż nam w téj mierze swobody dowodem? Czy poszedł Wirgili niewolniczo za śladami Homera? Nie jestże wcale nowym Owidyusz w swoich *Przemianach*? Nie postrzegamyż w tragedyi greckiéj od Eschila do Eurypidesa wielkiego postępu? Zostałaż zawsze na jednym stopniu tragedya francuzka? Ester, Atalia, a mianowicie Polieukt, Mahomet, Templaryusze, Cyd, Alzyra i Zaira nie sąż duchowi nowożytnemu, nie sąż romantyczności właściwemi przedmiotami? Niemniéj przeto utwory te do rzędu klasycznych należą. Nie zachowanie martwych prawideł, jak mianowicie z Cyda przekonać się można, ale prawdziwe dzieła doskonałości, stanowi klasyczność znamiona.

„Doświadczenie zaś przekonało, że doskonałość takowa, przy samowolném, żadną rządnością, nie powściągnioném bujaniu wyobraźni, w żaden sposób osiągniętą być nie może.

„Oręża przeciw klasyczności dostarczają dzieła tych pisarzy, którzy nie wzbogaceni zasobem potrzebnych wiadomości, nieobeznani z duchem czasu swojego, bez własnych uczuć i pomysłów, otoczyli się światem dawnym, przenoszą w dzieła swoje czcze formy, i jak papugi, lub martwe echo, powtarzają niejasne, przeistoczone, zeszkaradzone starożytnych obrazy.

„Stargajmy wreszcie wszelkie, tyle romantykom nienawistne klasyczności prawidła; porzućmy te pogańskie muzy, które wieszczom starożytnym boskie natchnąwszy utwory, wskazały drogę nieomylną do przybytku sławy: puścimy się za romantyczności natchnieniem! W jakąż to nową krainę, w jaki świat nowy, ta nas nowa gwiazda zaprowadzi?

„Oto z pewnością powiedzieć można, że ta ulubiona *Fea*, ta rozwiązłéj żadnym prawom nieulegającéj miłośnica wolności, wraz z gronem Sylfów swoich, długo nas po różnych utrudniwszy bezdrożach, doprowadzi nakoniec do tego samego, dawno ubitego toru, po którym stąpał Homer, Sofokl i Wirgili, którym poszli Tas, Kornel i Rasyn, na którym zbierał Jan Kochanowski (po upływie trzech wieków) całą świeżością jaśniejące laury, którym poszedł nasz nieśmiertelny, a w utworach swoich tak narodowy, duchowi wieku swego zupełnie właściwy Krasicki; którym biedz się zapędził, nieco zbytniém naśladownictwem

grzeszący, niemniéj jednak znakomity i z wielu miar wzorowy Feliński, a który to tór dziś niestety! niestosowną dla nas *klasycznością* zowiemy.

„Lecz kiedy nam się tak podoba, kiedy upominki wieków niemogą być dla nas nauczającą przestrogą; doświadczajmyż o własnym koszcie: zdążajmy powoli i niepewną drogą do tego, czemeśmy odrazu, a przynajmniéj prędzéj być zdołali. Nie zaczynajmy postępów w sztuce od punktu na którym dotychczasowi najznakomitsi stanęli pisarze: zwróćmy ją owszem do pierwiastkowego nieudolności stanu. Snadniejszym to będzie od tworzenia dzieł, któreby surową na zasadzie zdrowego rozsądku opartą wytrzymać mogły krytykę. Ale jak mniemam, przykład Krasickich, Trembeckich, Felińskich, Koźmianów i innych w zawodzie literackim znakomitych mężów; dobrym smakiem i wymowy powabami jaśniejące rozprawy Osińskiego o literaturze, i własne nareszcie bezstronne zastanowienie się, ustrzedz nas zdołają od téj dobremu smakowi zagrażającéj kolei."

Ze zdumieniem, przyznajemy, odczytywaliśmy tę rozprawę P. H. Kalińskiego, który już poprzednio w *Astrei* oddając hołd talentom i zasługom Stanisława hr. Potockiego (autora *Świstka Krytycznego*), wykazywał uchybienia tego *księcia mówców* przeciwko naturze języka polskiego, ze zdumieniem, powtarzamy; gdyż pisał ją i drukował w r. 1822, kiedy dopiero pojawił się Mickiewicz ze swemi poezyami.

Wprawdzie grono jego zwolenników olbrzymio wzrastało, ale jeszcze walka romantyków z klasykami była w zaczątku, i tylko harce lekkie staczano; dopiero w lat kilka późniéj, jak to zobaczymy, w otwarte szranki turniejowe wjechali w pełnéj zbroi gorący zapastnicy i rozpoczęli z sobą bitwę *na ostre*, któréj się bliżéj w dalszym ciągu szczegółowo rozpatrzymy, bo ciągnęła się blizko lat ośm bez przerwy.

Widać przecież z tego, że trwoga panowała w obozie klasyków, chociaż wokoło cisza panowała głęboka; przeczuwali, że nadchodzi burza, chociaż zwiastunów jéj nie widzieli. Horyzont literacki w Warszawie pogodny, bez chmury; organa prasy zajmując się polityką, mało co dotykały literatury, i to najwięcéj francuzkiéj. Zkądże obawa, zkąd pochwały klasyczności, a wstręt do romantyzmu; kiedy to dzikie widmo, jak go sobie wystawiano, niecierpiące żadnych więzów, najrozumniejszych przepisów, jeszcze się we właściwéj nie ukazało postaci. Widać zdaleka jak czujne oczy i uszy klasyków, przeczuwszy je, oczekiwały ażeby na nie gromadnie uderzywszy, za pierwszém pojawieniem zdławić i zdusić.

Tymczasem przyszły wieku hetman *romantyków* siedział spokojnie w Kownie, i jako profesor literatury zajęty był lekcyami, przygotowując zbiór poezyi swoich do druku, wykończając poetyczną powieść *Grażynę*. Dwa małe tomiki miały składać to wydawnictwo, jakoż w ciągu dwu lat 1822 i 1823 ogłosił je w Wilnie w drukarni Józefa Zawadzkiego. Druk drobny, ścisły, ale wyraźny; okładziny czerwono-ceglaste. Lista prenumeratorów pomieszczona na czele pierwszego

tomiku wykazuje ich liczbę sto trzydzieści dziewięć, między temi Joachim Lelewel na trzy egzemplarze.

Sam redaktor Grzymała, w tomie III *Astrei* (rok 1823), wystąpił z pierwszym rozbiorem tych poezyi. Przywiedziemy z niéj ustępy, jako ciekawy zabytek owych sądów, które na pierwszym wstępie w szranki literackie ten geniusz spotkały w Warszawie.

Grzymała wyliczywszy treść obu tomików, pisze daléj:

„Podobne rzadkie zjawisko w literaturze niemieckiéj lub francuzkiéj ściągnęłoby liczne rozbiory i recenzye; lecz nasze pisma krytyczno-literackie obznajmiając nas z dziełami hiszpańskiemi, szwedzkiemi i duńskiemi (przymówka do *Gazety Literackiéj*) i t. d., nie poczytały za obowiązek zwracać uwagi na wiele dzieł narodowych, a między innemi nic nie wyrzekły o pismach Mickiewicza."

„Pisma p. Mickiewicza (pisze daléj) wcale nie mogą być lekceważonemi, nie mogą zasługiwać na obojętność. Owszem śmiało powiedzieć mogę, że jego poezye w dzisiejszych czasach *rozdwojenia estetycznego*, w walce stronnictw poetycznych, toczących się od niejakiego czasu w Europie, a nawet i w Polsce, tém większą powinny zwracać uwagę piszących rodaków, bo p. Mickiewicz pierwszy prawie z rodaków poszedł otwarcie tak okrzyczaną drogą *romantyczną*, bo wykształcony na wzorach romantyków angielskich i niemieckich, w mowie narodowéj przemawia ich językiem, nie jako tłómacz, ale jako pisarz oryginalny, czerpający w łonie przeszłości, w łonie wieków odległych swojego narodu, osnowę do swych utworów. Pieśni, podania a nawet zabobony ludu litewskiego i pogranicznych narodów, są główną podstawą jego poezyi. Chce on stworzyć poezyą ludu, w czém mu obfita mitologia litewska i obfite źródło śpiewów i podań ludu tamecznego na wielkiéj są pomocy. Albo więc gorliwsi stróże smaku, kształconego na wzorach klasyczno-francuzkich, powinni mu wydać otwartą wojnę i w samym zarodzie stłumić niebezpieczną zarazę: albo umiarkowani, szukający jakiéjś średniéj drogi, pragnący pojednania stronnictw rozjątrzonych, powinni bezstronnie ocenić wartość pism jego, w rzetelném świetle wystawiając zalety i wady.

„Nie wdając się w ocenianie szkoły, jakiéj jest zwolennikiem p. Mickiewicz, przyznać należy, że natura obdarzyła go wszystkiemi przymiotami, które są poecie niezbędnie potrzebne, to jest: ma mocną, żywą i obfitą imaginacyą, jest czułym, tkliwym i tę czułość i tkliwość, we wszystkich tworach swoich stara się rozlewać: najczęściéj przebija się łatwość, zręczność i rozmaitość w wyrażaniu myśli i uczuć. Słowem, o ile pana Mickiewicza niemożna podawać bezwarunkowo za wzór do naśladowania młodzieży, rozpoczynającéj zawód poetyczny, o tyle odmówić mu niemogą najdojrzalsze umysły prawdziwego talentu, i jeżeli jako prawdziwy talent dalekim zostanie zawsze od zarozumiałości; jeżeli w trudnym zawodzie dążyć będzie stale do ostatecznego wydoskonalenia, Pol-

ska, w nim wkrótce ujrzy prawdziwego i oryginalnego poetę, czego jéj właśnie w tych czasach potrzeba."

Zamknąwszy w tych słowach wiadomość o pojawieniu się młodego poety, z *Dziadów* przedrukowywa na czele pomieszczony wiersz *Upiór*, a w następnych zeszytach podaje z ballad: *Powrót Taty*, *Świtezianka*, i krótki wierszyk: *Pierwiosnek* (*Primula veris*).

Widzimy z tego, że przyjęcie pierwszych utworów Mickiewicza, nawet w obozie klasyków było przyjazne, bez żadnéj cechy nienawiści, która się dopiero późniéj objawiła, po obustronném, długiém rozdrażnieniu.

Tymczasem poeci klasyczni odbywali narady, wysilali głowy nad wynalezieniem sposobu takiego dobierania wyrazów, ażeby one samém brzmieniem dosadnie, harmonijnie i z całą ułudą, pomyślany przedmiot malowniczo oddawać mogły.

Zgodzono się po długich debatach na to wreszcie, że pewne litery powtarzane, wielce temu dopomódz mogą.

Zacny, sędziwy J. U. Niemcewicz, który chętnie stawał zawsze albo na czele, albo w pierwszym szeregu do podjęcia pracy, która mu do myśli, smaku lub serca przypadła; pisarz z prawdziwém pojęciem piękna poszedł za tém marzeniem wierszopisarzy klasyków, i niedługo napisawszy wiersz, mający naśladować turkot wodnego młyna, i plusk spadającéj z koła wody; na jedném zebraniu skandował swój wiersz brzmiący w tych słowach:

„Kołacącego młyna, kręcące się koło."
– – –∨∨ ∨∨ – – – – ∨∨

a skandował go po sylabie, ażeby uwydatnić obrót koła i plusk spadającéj wody.

Słysząc to obecni, przyklasnęli jednomyślnie autorowi, przyznając że wybornie naśladuje naturę.

Wówczas wystąpił Jan Kruszyński, zacny i zasłużony pisarz, który nieraz z obcych języków szczęśliwie tłómaczył. Ten pragnął oddać harmonijnie szmer spadającego śniegu na ziemię. Trzymał się on położonej na poprzednich zebraniach zasady, ażeby zadanie trudne ułatwić sobie powtarzaniem jednéj litery w wyrazach użytych. Wymozolił więc dwa następne wiersze:

„Szum, świst, szelest szumi w suchym lesie;
Śnieg sypie ślady: śniady śnieg ściele się."

Skandował podobnież sylabę po sylabie, i tyle szumu wywołał, że obecni spoglądali, czy na prawdę śnieg gęsto nie pruszy.

Albo malując drżenie ziemi pod kopytem licznéj jazdy:

„A ziemia drżała pod tententem koni."

Kasztelan Franciszek Wężyk, pragnąc oddać harmonijnie wytrysk krwi z rany zadanéj, umyślnie, jak mi sam opowiadał, w wyrazach dobierał litery *r* i napisał w tragedyi swéj: *Gliński*, wiersz taki:

„Wnet krew w ranach wezbrana, trysnęła potokiem."

który Ignacy Humnicki, żywcem do swéj tragedyi: *Żółkiewski pod Cecorą* wcielił.

Jan Nepomucen Kamiński, tłómacz *Obozu Wallensztejna* F. Szyllera i wielu jego ballad, poeta władający po mistrzowsku ojczystym językiem, w téjże saméj myśli niemało się napocił. Wreszcie ażeby dobrze oddać głos dzwonu, napisał wiersz p. t. *Myśl pod krzyżem*, wydrukowany w kilka lat późniéj w piśmie zbiorowém Chłędowskiego p. n. *Haliczanin*, (tom pierwszy,) w którym taką strofę na początku pomieścił:

„Czas, wieczność karmi światowym wyszczerbem.
Był! Czasu pieczęć! *Był* grobowym herbem.
Był i grobowe skrzypnęły zawiasy,
Po wszystkie czasy."

Owóż ten wyraz *był*, wymawiany przeciągle z pewnym naciskiem, miał naśladować bicie dzwonu. Trzeba było słyszéć, jak ja miałem sposobność we Lwowie, gdy sam Kamiński wymawiał, przeciągał ten wyraz *był*, nadając mu brzmienie jakby metalowego echa. W jego ustach rzeczywiście coś przypominało uderzenie dzwonu.

Była téż wielka liczba wierszopisarzy, którzy głęboko rozmyślali nad wynajdowaniem najtrudniejszych rymów. Szkolny mój kolega Ludwik Rajszel, bajkopisarz, oficer czwartego pułku piechoty liniowéj, całe życie troskliwie wyszukiwał nadaremnie rymu do wyrazu *bęben*. Niech mu Bóg niepamięta, a dawno poczciwy ten koleżka spoczywa w grobie, ile on mnie o ten rym namęczył.

Klasycy do téj pory stali górą i tryumfowali, umieli téż zręcznie wyzyskiwać każde pojawienie się pracy z ich szkoły wychodzące, które nosiło chociażby drobny ślad talentu i sumienności wykonania.

Żył pod owe czasy zacny kapłan, opat komendaryjny sulejowski, członek Towarzystwa Warszawskiego Przyjaciół Nauk, ks. Jan Gorczyczewski († 1823 r). Mąż ten w zawodzie pedagogicznym oddał niemałe usługi krajowi, jako profesor i rektor w szkołach publicznych. Zapalony zwolennik literatury pięknéj, wydał w r. 1803: *Satyry Boileau Despreaux*, przekład z francuzkiego. Nie można odmówić ani talentu, ani staranności przekładu. Wiersz płynny i okrągły, język czysty i wytworny, wskazywały dorazu wytrawnego pisarza. Nie był to gorszy tłómacz od Fr. Dmochowskiego, ale nie był téż i lepszy. Ale klasycy niemając pod ręką lepszego dzieła, któreby odpowiadało ich widokom i tak zgodnego z przepisami istniejącego kodeksu literackiego, tę pracę wysuwali naprzód, oddając jéj wielkie pochwały. Nie powiemy, żeby ona ze wszelkich względów na ten hołd zasługiwała, ale zawsze była i pozostanie pracą poważną w dziejach literatury naszéj. Rozgłos jéj nadany skłonił tłómacza, po wyczerpaniu pierwszéje dycyi, do przejrzenia jéj na nowo w celu poprawek, jakie za stosowne uznał i powiększenia. Znalazł téż chętnych nabywców. Jakoż firma Zawadzkiego i Węckiego wydała tę pracę w okazalszéj niż zwykle edycyi, w dwu tomach (w 8-ce) 1818 r., p. n.: *Satyry Boala Despro z przystosowaniem ich do rzeczy*

polskich, w powtórném wydaniu poprawione. Tudzież *XII listów* tegoż autora i kilka innych innéj ręki, wierszem polskim przełożone przez ks. Jana Gorczyczewskiego w dwu częściach, (w Warszawie 1818 roku).

Autor jakkolwiek w skromnéj przemowie do czytelnika, przypisuje sobie niemały wpływ na owoczesną społeczność, że położył tamę „napływowi ladajakich pism, któremi oświecenie publiczne i czystość języka polskiego były zagrożone; potém krzywdzącym cnotę, religią i charakter narodowy obyczajom, przycisnąć piętno tyle odrażające, aby oddani tym wadom, przynajmniéj w publiczności przestali się z niemi popisywać. Obydwom tym zamiarom pożądany skutek odpowiedział."

Przywodzimy dosłownie wyrażenia zacnego tłómacza, bo to jest cechą wydatną owoczesnych klasyków, że mieli przekonanie, iż ogromny wpływ na smak, kierunek myśli i ducha narodu wywierają. Uważali się jako kapłani oświaty, rozszerzyciele wiedzy, apostołowie prawdy i moralności; chociaż te bez ich wpływu, szły swoją zwyczajną drogą, kierowane ręką Opatrzności.

Niemałéj téż pociechy i tryumfu doznali, gdy po zjawieniu się pierwszych dwu tomików poezyi Mickiewicza, znalazł się najpierwszy ale i najniefortunniejszy jego naśladowca w Warszawie.

Był nim młody uczeń szkół krzemienieckich Stefan Witwicki, pisarz prawdziwego talentu gdy wszedł na drogę samodzielną, ale wówczas zapalony wielbiciel, ślepy naśladowca. W gorącym pośpiechu napisał i wydał swoim nakładem w dwu tomach *Ballady i romanse*, które chciwie jako nowość rozkupywano. Słabe te utwory, niegodne pióra Witwickiego, sam autor najlepiéj osądził. Pisarz prawdziwéj nauki, wytwornego smaku, gdy ochłonął z pierwotnego szału, zaczął z równą gorliwością *Ballady swoje i romanse* wykupywać od księgarzy i palić w piecu. Tak się zawinął w téj sprawie energicznie, że w ciągu jednego roku zniknęły już z obiegu i stały się prawdziwie osobliwością bibliograficzną, *białémi krukami*. Cios jednak, jaki *romantyczności* zadał nieoględném swém wystąpieniem, nie łatwym był do zagojenia. A klasycy mieli słuszny tryumf.

— Gdzież dojdzie nasza literatura?—wołali—jeżeli takich wywoływać ma Mickiewicz naśladowców; toć chyba zdziczeje ona, a praca przeszłych wieków pójdzie w marność. Nam potrzeba pisarzy ze smakiem i gustem, z uczuciem piękna, a nie takie dziwolągi.

I mieli prawdę za sobą; przecież w kilka lat, ten sam jak go nazwali *bazgraez*, wybił się wysoko nad ich poziom, wydaniem *piosnek sielskich* i *poezyi biblijnych:* w pierwszych umiał prostotę, wdzięk i naiwność pieśni ludowych zachować; w drugich zadziwiał powagą stylu prawdziwie biblijnego i poetycznością obrazów. Odtąd szedł Witwicki samodzielnie i stanął w rzędzie poetów i prozaików, których do najznakomitszych policzamy. *Piosnki sielskie* szczególnego doznały powodzenia, poparte przez genialnego Fryderyka Szopena. Muzyk ten wy-

brał kilka, które sobie upodobał jak: „Szynkareczko, szafareczko," albo „O! gdybym ja była słoneczkiem na niebie" i kilka innych i podłożył do nich muzykę. Tak ilustrowane piosenki rozbiegły się po kraju w najdalsze jego zakątki i ochotnie wszędzie były powtarzane, a imiona poety i muzyka nabierały zasłużonego rozgłosu.

Kiedy społeczność wykształcona Warszawy, żywo zajmowała się pojawieniem się Mickiewicza i jego naśladowców, to wrzawą klasyków zaciętą, nagle uwaga jéj w inną stronę zwróconą została.

W roku 1820, nakładem swoim wydał Natan Glücksberg w czterech tomikach: *Podróż do Ciemnogrodu* przez autora *Świstka krytycznego*. Ten *Świstek krytyczny* znanym już był dobrze z *Pamiętnika Warszawskiego;* wiedziano że był nim minister wyznań religijnych i oświecenia publicznego: Stanisław Kostka Potocki, mąż wielkich zasług dla oświaty krajowéj i sam pisarz niepośledniego talentu. Równocześnie rozeszła się wiadomość o jego uwolnieniu z ministerstwa i chorobie z głębokiéj zgryzoty, że usunięty został z godności, którą sobie najwyżéj cenił. Publiczność, któréj był ulubieńcem, zaledwie wyszła wiadomość o pojawieniu się *Podróży do Ciemnogrodu*, rzuciła się skwapliwie do jéj rozkupu. Jakoż w ciągu trzech miesięcy, z nakładu 2,500 egzemplarzy (co na owe czasy zjawiskiem było osobliwém), wykupiono wszystkie prawie.

Dziełko to, jak i poprzednie *Świstki* w *Pamiętniku Warszawskim*, były celem ostréj krytyki, wywoływały okrzyki zgrozy i niechęci zjadliwéj przeciw autorowi.

Był wówczas ks. Surowiecki, brat rodzony uczonego historyka Wawrzyńca, ale w niczém do tego czcigodnego męża niepodobny. Miał dużo nauki, lingwista niepośledni, ale fanatyk, który potrzeby oświaty i postępu pojmować nie mógł; ten sarkając ciągle przeciw Potockiemu jako *masonowi*, teraz bezimiennie wydrukował ostrą krytykę, pełną brutalnych wyrażeń, mieszając z błotem i autora i dzieło, p. n.: *Świstak wyświstany*. Jakkolwiek cenzura ówczesna nie pozwoliła na druk, ks. Surowiecki potrafił tę publikacyą wydać zpod prasy i rozpowszechnić wpierwéj, nim władza właściwa mogła przedsięwziąć odpowiednie kroki do powstrzymania tego paszkwilu. Odczytał go Potocki z uśmiechem pogardliwéj litości dla autora, który w swéj zaciekłości niémiał miary i granicy.

Niedługo też dostojny wędrownik do Ciemnogrodu zakończył życie (umarł w Willanowie pod Warszawą, d. 14 września 1821 r.). Zgon jego był prawdziwą żałobą między światłymi obywatelami, dla fanatyków i zwolenników zakonu smorgońskiego dniem radości i wesela. Pozbywali się bowiem kapłana światła i postępu, mogli oddychać swobodnie i drogą ulubioną bez przeszkody postępować.

Autor dziełko swoje przypisał hrabinie Janowéj z Potockich Potockiéj, a powód wydania we wstępie objaśnia:

„Wahałem się z ogłoszeniem *Podróży do Ciemnogrodzkiéj krainy*, bym nie pomnożył liczby książek, co się postarzawszy na półkach

księgarzy, a rzadko pozyskawszy zaszczyt oprawy, rozlatują się arkuszami po korzennych i piekarskich sklepach. Lecz zaspokoiło tę obawę pisemko umieszczone w numerze 32 *Tygodnika*, mianowicie te jego słowa: „A ty śpisz *Swistku!*" Z nich bowiem wniosłem, że kiedy pisarz tak dowcipny wzywa *Swistka*, by stanął na pomoc dobréj sprawie, miał on czytelników, a może więcéj niż ci wielcy ludzie, których uczenie tęskne lub heroicznie komiczne, spoczywają u ich księgarzy *in pace*. Wziąłem się więc natychmiast do zredagowania dziennika *Pielgrzymki mojéj do Ciemnogrodu.*"

Główną treścią całéj pracy jest satyra, barbarzyńskich pozostałości dawnych wieków, a szczególniéj téż ukazanie potrzeby oświecenia, które leżało tak na zacném sercu Potockiego. Publiczność z niezwykłém zajęciem czytała: *Wyjazd autora z Warszawy do Portu Ośle-go.* Szczęśliwe do niego przybycie, pobyt w nim przez dni kilka. Wizerunek gubernatora Ośłego portu i wyjazd. Dzień pierwszy popasu u Bonzów. Nocleg w domu barona Derus'a. Walka z duchami, czarownicami i rozbójnikami niewidzialnymi; tryumf i zwycięztwo. Dalsza droga, popas u księcia Bojosława. Postać to wydatna i sympatyczna, w pośrod wielu, którémi nas autor dotąd otaczał; przybywają wreszcie nasi podróżni do stolicy kraju: Ciemnogrodu.

Niepodobna nam za autorem w szczegóły się wdawać drobne, które wszystkie ściągają się do jednego celu, do wykazania, czém państwo jest bez prawdziwéj oświaty, jak nizko spada moralność społeczna. Obok tego mimochodem ciekawą wyczytujemy wiadomość (t. II, str. 173). „Któż wié, pisze Potocki, czyli po pół wieku, widzowie komedyi Niemcewicza: *Powrót posła*, nie wezmą ją za przesadzoną karykaturę i wierzyć nie zechcą, że był to wierny wizerunek podówczas żyjących przeciwników konstytucyi 3 maja."

Autor nazywa dzieło swoje *romansem*, lubo w pierwszych dwu tomach jest raczéj satyrą społeczną, moralną, obyczajowo-ekonomiczną, gdyż maluje administracyą Ciemnogrodu, wysokich dygnitarzy, ich sposób zapatrywania się na zarząd powierzonéj im części kraju, moralność w ich urzędowaniu, handel, przemysł, rolnictwo i stan najniższéj warstwy ludowéj. Daléj za przybyciem do stolicy, daje nam obraz samego monarchy Ciemnogrodu, jego otoczenia i dygnitarzy, rządu, skarbu, policyi, inkwizycyi świętéj, przedstawia siedmiu winowajców osądzonych przez tęż inkwizycyą i ich spalenie żywcem. W opisach powyższych nieraz stawia porównanie pomiędzy starą z XVII stulecia Rzecząpospolitą polską a Ciemnogrodem, wynajdując je, lubo nieraz w przesadzonéj paraleli.

Prawdziwym romansem zaczyna być *Podróż do Ciemnogrodu* od trzeciego tomu i dramat pełen życia, nadzwyczaj się szybko rozwija. Śmierć nagła panującego monarchy, wywołuje liczne katastrofy. Córka jego, księżniczka Pięknosława, obejmuje po nim najwyższą władzę i opiekę nad młodszym bratem, prawym następcą, jakkolwiek pełnoletnim. Książę Bojosław, mąż zarówno rozumnéj rady, jak wojownik

doświadczony, staje w obronie młodego następcy tronu. W wychowanicy jego Wandzie, kocha się właśnie Wacław, towarzysz podróży naszego autora, dowódzca szwadronu jazdy, nietylko dzielny kawalerzysta i rębacz, ale człowiek wykształcony i dorodny.

Od pierwszego poznania urocza i powabna Wanda, towarzyszka i przyjaciółka księżniczki Pięknosławy, zajęła jego myśl i serce. Widział przeszkody i zawady, ale te powoli usuwa. W ciągu romansu Wacława i Wandy wybucha wojna domowa, do której daje hasło księżniczka, opiekunka i protektorka starego zwyczaju i rządu, poparta przez zuchwałych baronów i ich nadworne wojska. W stoczonéj przecież bitwie pod murami Ciemnogrodu, wojska burzycieli, jakkolwiek o wiele silniejsze od zastępów młodego króla, pod wodzą księcia Bojosława, pobite na głowę zostały, duma baronów ukorzona, a księżniczka w przestrachu szukała schronienia w klasztorze Bonzów; ale nie ścigali jéj bynajmniéj wspaniali zwycięzcy.

Po uspokojeniu burzy wojennéj, za dozwoleniem księcia Bojosława, z którego córką następca tronu się ożenił, poślubił Wacław piękną Wandę i wraz z przyjacielem swoim a autorem podróży, zaczęto się gotować do powrotu. Księżniczka Pięknosława na morową zarazę umiéra. Zanim nasi wędrownicy opuścili Ciemnogród, zaszły wielkie w téj krainie przemiany, gdyż zaprowadził młody król, przy energicznéj pomocy księcia Bojosława, ład i porządek w rządzie, zrównoważenie wydatków z przychodami, uporządkował siłę zbrojną, poskromił swawole dawnych baronów, karcąc nadużycia i przynosząc ulgę biédnemu ludowi wiejskiemu.

Z upadkiem dawnego rządu w Ciemnogrodzie, runęły dwie akademie podobne w zastosowaniu do kierującéj w nim myśli. Że one musiały miéć licznych u nas zwolenników, dowodzi tego ustęp następny, który Potocki pomieścił w tomiku IV swéj podróży, pisząc o wstępie na tron młodego, ale światłego i żądnego postępu następcy.

„Tak upadł sławny ten zakon, już w zasadach swoich zachwiany, od śmierci nieodżałowanéj dla niego pamięci Mieczysława V, co był wzniósł sławę jego do najwyższego stopnia. Tak pozbawieniśmy zostali pożądanego widoku wspaniałych obrzędów jego, których pono już jedyny ślad został w *Swistkowych* opisach. W nich się nauczyć możesz, czytelniku, jak znakomitemi dla nieoświecenia prace Zakonu były. Lecz szczęściem snują się jeszcze cienia jego wśród europejskiéj oświaty: a Smorgońska i Pacanowska [1]) akademie, mają u nas gorliwych stronników."

---

[1]) W przysłowiach narodowych przechowały się oba te miasteczka. Smorgoń na Litwie, w gubernii Wileńskiéj, słynęło z przemysłu mieszczan swoich, którzy się trudnili hodowaniem i uczeniem niedźwiedzi, oprowadzając je po całéj niemal Europie, i okazując zdziwionemu gminowi ich tańce i nadzwyczajną karność tych drapieżnych zwierząt. Słynęła więc po całéj dawnéj Polsce i Litwie ta szkoła, żartobliwie „Akademią smorgońską" przezwana,

Znał ich dobrze jako minister oświecenia publicznego Potocki, bo walczyć z nimi musiał prawie na każdym kroku i usuwać przeszkody i zawady, jakie mu z wielką zręcznością umieli stawiać, sami napozór nie biorący w tém żadnego udziału.

Nie powiemy, że *Podróż do Ciemnogrodu* niéma stron ujemnych i wielu miejsc słabych, że autor nie ukrywa swéj niechęci do duchowieństwa; ale jeżeli poważna, surowa a rozsądna krytyka miałaby niemało do zarzucenia, całość jak i dążność autora przeważy zawsze ujemne strony.

Podróż ta przecież nie zasługiwała na tak bezwzględną krytykę, jaką napisał ks. Surowiecki w swoim *Świstaku wyświstanym*, gdyż nie była to ani recenzya, ani krytyka, ale wystąpienie brutalne przeciw osobie znienawidzonego ministra oświecenia. Takie sprawy należą już do sądów kryminalnych, których szczęśliwie uniknął autor tego paszkwilu.

Równocześnie żarzewie rozniecone przez pierwsze objawy *romantyczności*, zaczęło gorzeć, a po zjawieniu się Mickiewicza, zamieniać w ognisty płomień, rozszerzający się coraz więcéj. Nowe organa prasy warszawskiéj jak *Gazeta Polska*, *Kuryer Polski*, wreszcie poważny zeszytami organ naukowy *Dziennik Warszawski*, te trzy pisma stanęły razem w jednym szeregu, jako najgorliwsi szermierze i obrońcy nowego kierunku literackiego, a głównie téż poezyi polskiéj. Rzeczywiście cała społeczność nasza już była znudzona i zmęczona czczością tak zwanéj poezyi klasycznéj. Niezręczność, ba, nawet zarozumiałość krytyki klasyków, tę niechęć wzmagała.

Zaślepieni dla literatury francuzkiéj i nieograniczone dla niéj uwielbienie, były powodem ostrych przycinków i słusznego śmiechu. Dość tu przypomnieć wypadek z drobną powiastką Montesquieu'ego p. t. *Swiątynia Wenery w Knidos*. Józef Szymanowski w ostatnich latach zeszłego wieku, z prozy francuzkiéj przerobił ją na poemat. Sam, zacny życiem i zasługami dla kraju obywatel, w wolnych chwilach od prac publicznych krajowych, zajął się tą przeróbką prozy francuzkiéj na wiersz polski, jako miłą dla siebie rozrywką; ani myśląc, ani przypuszczając, że z téj drobnostki ktoś zechce zrobić jakieś ważne, literackie dzieło.

Józef Szymanowski w r. 1801 umiera, i w tymże samym roku Potocki, autor *Podróży do Ciemnogrodu*, wystąpiwszy z jego pochwałą

---

a zatém poszły różne przysłowia: „Uczeń ze Smorgońskiéj szkoły;" „Gagatek smorgoński;" „Uczył się w Smorgoniach" (na głupca i nieuka używane).

Pacanów w gubernii Radomskiéj, powiecie Stopnickim, dało powód przez jakieś niepomyślne wypadki, licznym z siebie urągowiskom. Niedowarzonego, niezgrabnego i zarozumiałego młodzieńca, oddawna u nas nazywano: „Uczniem akademii Pacanowskiéj." Liche zapewne musiały być szkoły, lecz rzemieślnicy doskonali, gdy kozę robiącą w ogrodzie szkody, bez skaleczenia okuł kowal; zkąd powstało przysłowie, że „w Pacanowie i kozy kują."

w zgromadzeniu Towarzystwa Warszawskiego Przyjaciół Nauk, ogłasza z niezwykłym zapałem, uniesieniem i wymową *Świątynię Wenery w Knidos*, jako „arcydzieło stanowiące epokę w literaturze polskiéj."

Powaga jakiéj używał Potocki w pośród inteligencyi polskiéj, sprawiła, że Jan Feliks Tarnowski, tego arcydzieła przygotował nowe wspaniałe wydanie w Parmie, w drukarni J. B. Bodoni'ego, (w 8-ce wielkiéj, str. 63).

Niezręczna i przesadzona przyjaciela pochwała, stała się następnie powodem szyderstwa, na które czcigodny Szymanowski nie zasłużył.

Klasycy przez długi czas, nieumieli zdać sobie sprawy co to jest *romantyczność?* Jedni uważali za główny ich cel *średnie* wieki, czasy *rycerstwa*, gonitw i turniejów, przesadzonéj grzeczności i galanteryi dla kobiét; drudzy lubo ten żywioł za jeden z ważniejszych mieli w poezyi *romantycznéj*, za główną jéj treści podstawę i zasadę, brali przesądy, zabobony i zwyczaje ludowe, trzymając się *Dziadów* Mickiewicza. W tém byli tylko zgodni wspólnie, że *romantyczność*, która żadnych prawideł ani przepisów niecierpi, a w zaślepieniu swém i zarozumiałości głosu rozsądku, ani rozumu nie słucha, prowadzi prosto do barbarzyństwa, depcąc po swéj drodze wszystko, co praca upłynionych wieków na pożytek duchowy ludzkość zgromadziła, i czem przez tyle stuleci Opatrzność pokolenia karmiła.

W tém zakłóceniu umysłów, wśród przestrachu klasyków ukazała się ballada A. E. Odyńca, najlepiéj malująca ich położenie i zamęt w saméj definicyi samego wyrazu. Dał jéj tytuł:

Romantyczność.

Szło dwóch w nocy z wielką trwogą,
Aż pies czarny bieży drogą:
Czy to pies?
Czy to bies?
Rzecze jeden do drugiego:
„Czy ty widzisz psa czarnego?"
Żaden nic nie odpowiedział,
Żaden bowiem nic nie wiedział:
Czy to pies?
Czy to bies?
Lecz obadwa tak się zlękli,
Że weszli w rów i przyklękli;
Drżą, potnieją, włos się jeży:
A pies bieży, a pies bieży...
Bieży, bieży, już ich mija,
Podniósł ogon i wywija:
Czy to pies?
Czy to bies?
Już ich minął, pobiegł daléj,
Oni wstali i patrzali:

Czy to pies?
Czy to bies?
Wtém, o dziwy! w oddaleniu
Na zakręcie znikł im w cieniu:
Czy to pies?
Czy to bies?
Długo stali i myśleli,
Lecz się nic nie dowiedzieli:
Czy to pies?
Czy to bies?

Po długiém staniu i dojściu do przytomności uznali jednozgodnie, że to *bies*, a nie *pies*. i postanowili obronę przeciw złemu duchowi.

Odyniec szczęśliwie pochwycił tę niepewność klasyków w definicyi *romantyczności*, i lęk ich, którym przejęci w owe czasy byli. Kto nie żył w nich, trudno może sobie wyobrazić, jakimto była ona postrachem dla poważnych wierszopisarzy i literatów. Przeczuwali oni burzę która na nich spadnie, ale byli spokojniejsi, że na sięgnięcie gromu mają oni swoje konduktory.

Zaczęto się pilniéj rozczytywać w poezyach Mickiewicza, ale egzemplarze wileńskiego wydania stawały się coraz bardziéj rzadkością; wreszcie stały się *białemi krukami* bibliograficznemi. Przez ten czas genialny poeta niepróżnował, i tworzył wciąż nowe arcydzieła. Wydał poemat: *Konrad Wallenrod*, i zbiór sonetów, pomiędzy któremi znaczna część *Sonetów krymskich*. Zarazem opracowywał rozprawę: *O recenzentach i krytykach warszawskich*, którą chciał umieścić na czele nowego a w porządku *drugiego* wydania swoich poezyi, które wyszły w Petersburgu, nakładem autora, drukiem Karola Kraya, 1829 r. (W 8-ce, t. I, str. 284, t. II, str. 298).

Jasne pojęcie o *romantyczności* jeszcze więcéj zamglił sławny nietylko na owe czasy, Jan Śniadecki matematyk i filozof, jeden z najznakomitszych pisarzy XIX stulecia, rektor uniwersytetu Wileńskiego, który w IV tomie wydanych swoich *Pism rozmaitych* (Wilno, w 8-ce, 1822 r.), na czele pomieścił obszerną rozprawę p. t. *O pismach klasycznych i romantycznych*, i tém większą obawę a nawet trwogę pomiędzy polskimi klasykami rozniecił. Oto wstęp, w którym rozróżnia pisma klasyczne i romantyczne.

„W pięciu numerach *Pamiętnika Warszawskiego*, od marca aż do lipca, znakomity w języku naszym pisarz Kazimierz Brodziński, uczenie i przyjemnie opisał własności pism klasycznych i romantycznych. Są tam zbawienne rady i rozsądne przestrogi dla poezyi polskiéj. Przyszły mi w czytaniu tego pisma niektóre myśli, które posłużą może do wyraźniejszego widoku rad podanych od autora, a silniéj powściągną młódź naszę od polubienia i naśladowania przywar sąsiedzkich."

„Że romantyczność jest oddzielnym i niby nowym rodzajem poezyi, że się zajmuje i ożywia żałosném wspomnieniem do rzeczy prze-

szłych, albo wznowieniem i tęsknotą do rzeczy przyszłych, albo wznowieniem zdarzeń, jakie bawiły ludzi w wiekach rycerskich, wcale to do mojéj uwagi nie wchodzi. Uważam ja ją, z jéj niezaprzeczoném znamieniem i pod względem jedynie dla literatury i oświecenia prawdziwie szkodliwém, to jest jako niesłuchającą prawideł sztuki, i w swobodném bujaniu *imaginacyi* szukającą zalet, i jakby nowych dróg zbawienia i nauczania. Dla tego piękności greckie i rzymskie, jakoby foremne i postrzyżone ogrody, nie tak przypadają jéj do smaku, jak bujne stepy i zarośle azyatyzmu: kocha się radziéj w dzikiéj, jak w przyozdobionéj sztuką naturze. W mojém więc rozumieniu, to wszystko jest *klasyczném* co jest zgodne z prawidłami poezyi, jakie dla francuzów Boileau, dla polaków Dmóchowski, a dla wszystkich wypolerowanych narodów przepisał Horacy; *romantyczném* zaś to, co przeciwko tym prawidłom grzeszy i wykracza."

Po tak dobitnym wstępie, dowodzi że romantycy nic nowego nie wynaleźli, ale wskrzesili dawno zapomniane rzeczy, do stanu dzisiejszego towarzystwa wcale nieprzystające: porównywa romantyków na polu dramatycznóm z pisarzami greckimi i łacińskimi. Objaśnia że wymysły romantyków nie są ani naturą, ani obrazem społeczności; wykazuje trafnie wskazany cel komedyi i tragedyi przez Horacego. Stawia Szekspira jako wzór romantyków i poświęca mu obszerny ustęp. Określa jego powołanie, naukę i stan umysłowy Anglii za jego czasów. Dowodzi że pisałby inaczéj, gdyby miał nauki i pomocy ile pisarze dzisiejsi: wspomina że bez jedności *rzeczy*, *miejsca* i *czasu* nie może być *illuzyi* teatralnéj. Wreszcie, że wskrzeszenie romantyczności wypadło z filozofii transcendentalnéj niemieckiéj: jedno i drugie jest wywołaniem z grobu zapomnianych. Skwapliwe ubieganie się za oryginalnością, bez natchnienia prawdziwego talentu, prowadzić może do szaleństwa. Zamyka wostatku rzecz swą témi słowy:

„My polacy! słuchajmy nauki Lokka w filozofii, przepisów Arystotelesa i Horacego w literaturze, a prawideł Bakona w naukach obserwacyi i doświadczenia. Uciekajmy od *romantyczności*, jako od szkoły zdrady i zarazy!

„Romantyczność radzi porzucić wszystkie prawidła sztuki, żeby nabyć znaczenia w niepodległości; my postanówmy sobie unikać bezprawia i rozwiozłości, bo te prowadzą nie do znaczenia, ale do nierządu i barbarzyństwa.

„Romantyczność mówi: durzmy ludzi, pokazujmy im *duby*, znieśmy prawa nauki i rozsądku, żeby niebyło prawidła do sądzenia nas! My szanujmy od dwu tysięcy lat przepisane prawa, które potwierdziła prawda i doświadczenie: bądźmy im posłuszni, bo one wydały tak wielkich ludzi, jakich jeszcze nie urodziła, i podobno nigdy nie urodzi romantyczność. Pomyślmy sobie, że nowość bez prawideł może być dziwactwem, albo rozpaczą głów dumnych, a zatém środkiem niebezpiecznym dla oświaty krajowéj. Starajmy się tak pisać i myśleć, żebyśmy się nigdy nie bali sądu w trybunale prawdy, przyjemności i smaku.

„Romantyczność odrzuca jeszcze doświadczenie, burzy imaginacyą przeciwko rozumowi, i zapala jak wojnę domową między władzami człowieka. Nie słuchajmy tych poduszczeń spiskowych: bo najpiękniejsze twory umysłu ludzkiego są to dzieci pokoju, zgody i harmonii między wszystkiemi siłami duszy, które się nawzajem w ich wydaniu łączą i posiłkują. Nie wchodźmy w zapasy z żadnym obcym narodem, nie zazdrośćmy żadnemu jego chwały i zaszczytów; ale starajmy się pomnażać nasze własne. W domu tylko, w dobru i pożytkach naszych ziomków szukajmy znaczenia i sławy; bo wziętość narodu u zagranicznych, rodzi się i wynika z wielkiéj masy zaszczytów domowych."

Tak zamknął swą rzecz Jan Śniadecki, pisząc tę rozprawę w Wigilią Bożego Narodzenia, d. 24 grudnia 1818 r.

Jak pojmował romantyczność sam Mickiewicz, wymownie nam określa w wierszu swoim i przedmowie do pierwszego wydania, 1822 r., pierwszych swoich tomików poezyi. Na czele wiersza położył za godło wiersz Szekspira:

„Zdaje mi się że widzę... gdzie?
Przed oczyma duszy mojéj."

Przypomnijmy ów wiersz wielkiego poety:

Romantyczność.

Słuchaj dzieweczko!
— Ona nie słucha.
To dzień biały! to miasteczko!
Przy tobie niéma żywego ducha.
Co tam wkoło siebie chwytasz?
Kogo wołasz? z kim się witasz?
— Ona nie słucha!
To jak martwa opoka,
Nie zwróci w stronę oka;
To strzela wkoło oczyma,
To się łzami zaleje;
Coś niby chwyta, coś niby trzyma:
Rozpłacze się i zaśmieje.
— „Tyżeśto w nocy? To ty Jasieńku!
Ach! i po śmierci kocha!
Tutaj, tutaj, pomaleńku:
Czasem usłyszy macocha;
Niech sobie słyszy, już niéma ciebie,
Już po twoim pogrzebie!
Ty już umarłeś? Ach! ja się boję!
Czego się boję, mego Jasieńka?
Ach! to on! lica twoje, oczki twoje!
Twoja biała sukienka!

I sam ty biały jak chusta,
Zimny, jakie zimne dłonie:
Tutaj połóż, tu na łonie,
Przyciśnij mi do ust usta!
Ach! jak tam zimno musi być w grobie!
Umarłeś, tak, dwa lata!
Weź mnie, ja umrę przy tobie:
Nie lubię świata.
Źle mi w złych ludzi tłumie!
Płaczę, a oni szydzą;
Mówię, nikt nie rozumié:
Widzę, oni nie widzą!
Śród dnia przyjdź kiedy! To może we śnie?
Nie, nie, trzymam ciebie w ręku.
Gdzie znikasz, gdzie, mój Jasieńku?
Jeszcze wcześnie, jeszcze wcześnie!
Mój Boże, kur się odzywa,
Zorza błyska w okienku.
Gdzie znikłeś? Ach! stój, Jasieńku!
Ja nieszczęśliwa!
Tak się dziewczyna z kochankiem pieści:
Bieży za nim, krzyczy, pada;
Na ten upadek, na głos boleści,
Skupia się ludu gromada.
„Mówcie pacierze! krzyczy prostota,
Tu jego dusza być musi,
Jasio być musi przy swéj Karusi:
On ją kochał za żywota."
I ja to słyszę i ja tak wierzę,
Płaczę i mówię pacierze.
„Słuchaj dzieweczko! krzyknie śród zgiełku
Starzec i na lud zawoła:
Ufajcie memu oku i szkiełku,
Nic tu nie widzę dokoła."
„Duchy karczemnéj tworem gawiedzi,
W głupstwa wywarzone kuźni;
Dziewczyna duby smalone bredzi
A gmin rozumowi bluźni [1])."
Dziewczyna czuje, odpowiadam skromnie
A gawiedź wierzy głęboko,
Czucie i wiara silniéj mówi do mnie,
Niż mędrca szkiełko i oko.

[1]) Te cztery wiersze obejmują wyrazy i wyrażenia, użyte przez Jana Śniadeckiego przeciw romantyczności.

Martwe znasz prawdy, nieznane dla ludu,
Widzisz świat w proszku, w każdéj gwiazd iskierce;
Nie znasz prawd żywych, nie obaczysz cudu:
Miéj serce i patrzaj w serce.

Ostatni wiersz nietylko stał się przysłowiem dla społeczności całéj, ale dla młodego pokolenia jakby religijnym dogmatem. Gdziekolwiek bowiem słyszałeś rozmowę o literaturze polskiéj, a szczególniéj o poezyi, zawsze „Miéj serce i patrzaj w serce," stawało na czele dysputy lub ją zamykało.

W Moskwie wyszło pierwsze wydanie sonetów Mickiewicza (w małéj 4-ce 1826 r.). Edycya ta zaimponowała wielce klasykom, a okrzyk radości w obozie romantyków wywołała. Na czele bowiem pomieszczona litografowana stronnica, obejmowała sonet V (z poczetu *Sonetów krymskich*), przetłómaczony na wiersz perski. Przetłómaczył go Mirża Dżafar Topczy-Basza, profesor adjunkt w uniwersytecie St. Petersburskim, tłómacz w kolegium Azyatyckiém.

Widok gór ze stepów Kozłowa.

Pielgrzym.

Tam! czy Allah postawił wpoprzek morze lodu?
Czy aniołom tron oddał z zamrożonéj chmury?
Czy *diwy* [1]) z ćwierci lądu dźwignęli te mury,
Aby gwiazd karawanę nie puszczać ze Wschodu?
Na szczycie jaka łuna! [2]) pożar Carogrodu!
Czy Allah, gdy noc *chylat* [3]) rozciągnęła bury,
Dla światów żeglujących po morzu natury,
Tę latarnią zawiesił wśród niebios obwodu?

Mirża.

Tam? Byłem: zima siedzi, tam dzioby potoków
I gardła rzek widziałem pijące z jéj gniazda.
Tchnąłem, z ust mych śnieg leciał; pomykałem kroków,
Gdzie orły dróg nie wiedzą, kończy się chmur jazda,
Aż tam, gdzie nad mój turban była tylko gwiazda:
To *Czatyrdah!* [4])

---

[1]) *Diwy*, według starożytnéj mitologii Parsów, złośliwe geniusze, które niegdyś panowały na ziemi, potém wygnane przez aniołów, mieszkają teraz na końcu świata, za górą Kaf.

[2]) *Na szczycie jaka łuna?* Wierzchołki Czatyrdahu po zachodzie słońca, skutkiem odbijających się promieni, przez czas jakiś zdają się być w ogniu.

[3]) *Chylat*, suknia honorowa, którą sułtan obdarza wielkich urzędników państwa.

[4]) *Czatyrdah*, najwyższy w pasmie gór Krymskich na brzegu południowym, daje się widzieć zdaleka, niemal na 200 wiorst, z różnych stron, w postaci olbrzymiéj chmury sinawego koloru.

Pielgrzym.

Aall

Zatrzymać musimy uwagę nad rozprawą Mickiewicza, pomieszczoną na czele pierwszego wydania poezyi jego (Wilno, 1822 r.), w któréj objaśnia, co rozumiéć należy przez poezyą romantyczną.

„Na ruinach państwa rzymskiego usadowione hordy północne i z ludem miejscowym zmieszane, miały kiedyś obudzić uśpioną długi czas imaginacyą i zdobyć się na wcale nowy rodzaj poezyi. Hordy te, ile ich być mogło, miały zapewne właściwe sobie uczucia, opinie, wyobrażenia mityczne i podania; lecz pośród nich nie powstawały talenta poetyckie, któreby tak świetnie, jak niegdyś u Greków, mogły świata bajecznego użyć, wpłynąć na uobyczajenie ludów, charakter narodowy oczyszczać i wzmacniać. Rozwinieniu się w tym sposobie talentu poetycznego liczne stawały przeszkody. Dzikie lub tułackie życie ludów północnych, mieszanie się jednych z drugiemi, udzielanie sobie nawzajem wyobrażeń, mniemań, obyczajów i wyrazów języka sprawiły: że mitologia północna, jakkolwiek po niektórych stronach, w poezyą bogatszych, kształcona, nigdy nie ustaliła się jednak, wyobrażenia mityczne nie złożyły foremnéj, pięknéj i harmonijnéj jedności, czyli systematu świata mitycznego. Zawsze tam przebijała się nieforemność, potworność, brak porządku, związku i całości. Dla téjże saméj przyczyny, język tych ludów długo był nieokrzesany, mógł być śmiały w wyrażeniach, ale mniéj dobitnych i ścisłych. Lecz ponieważ stan rzeczonych ludów nagle i szybko zmieniał się, zawsze dla poezyi pomyślnie, aż się nareszcie ustalić musiał; ztąd i poezya, idąc statecznie za zmianami, przyjmowała zawsze coraz pewniejszą postać i charakter. Nowe uczucia i wyobrażenia samym barbarzyńcom właściwe, tak nazwany *duch rycerski* i z nim połączony szacunek i miłość ku płci pięknéj, Grecyi i Rzymianom obcy, ścisłe przestrzeganie praw honoru, uniesienia religijne, podania mityczne i wyobrażenia ludów barbarzyńskich, dawniejszych pogan i nowoczesnych chrześcian pomieszane razem: oto jest co stanowi w wiekach średnich *świat romantyczny*, którego poezya zowie się téż *romantyczną*.

Poezya ta miała swój stały charakter, miarkowany tylko miejscowym wpływem ponurych i uniesionych Normandów, wesołych Minesingerów, czułych Trubadurów. Zewnętrzne wydanie, czyli język zlewkiem będąc języków północnych i rzymskiego, nazwany został *romanckim*; zkąd poszło, że późniejsi i ową poezyą i duch czasu *romantycznemi* mianowali."

Przywiedliśmy ten ustęp z tego powodu, że klasycy uderzali nim jak taranem w zastępy romantyków, pokazując im, że cała ich literatura i poezya od dzikich ludów i barbarzyńskich bierze początek. A gdy występowali z obroną młodzi romantycy, odpowiadano im z pogardą:

„Czytajcie waszego mistrza, wszakże sam Mickiewicz okazuje z jakiego kału wypłynęła romantyczność. My trzymamy się zawsze pięknéj, zawsze pogodnéj *Hellady*, wraz ze starożytnym Rzymem, co

światem rządził i przepisywał mu prawa. Wolimy boskiego Homera, nieporównanego Wergilego, niż waszych Minesingerów i Trubadurów, co po zamkach rozbójniczych baronów i rycerzy średniowiecznych, wznosili im pieśni pochwalne i wynosili ich cnoty.

d. 14 lipca 1879 r.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

KRONIKA PARYZKA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Wystawa rzeźb i obrazów na Polach Elizejskich.—Walka w dziedzinie sztuki.—Nowa szkoła impresyonistów.—Obrazy religijne, historyczne, mitologiczne i rodzajowe, portrety, krajobrazy, rzeźby.—Salon oświetlony elektrycznością.—Walka w akademii: Henri Martin i Emil Olivier.—*Sztandar*, powieść Juliusza Claretie.—*Czterej sierżanci z Rosszelli*, dramat.—Pomnik księdza de l'Epée w Instytucie głuchoniemych w Paryżu.—Wystąpienia koncertowe panny Kamili Morzkowskiéj w Nicei.

Paryż cały zajęty wystawą rzeźb i obrazów na Polach Elizejskich, zwaną najniewłaściwiéj salonem. Tradycyjna ta nazwa sięga czasów, kiedy jeden salon w Luwrze obejmował prace artystów, wystawiane na widok publiczny. W końcu wieku zeszłego, do tego salonu przybył drugi i trzeci, liczba dzieł sztuki rosła szybko. Diderot jeden z pierwszych sprawozdawców, utyskuje na zbytni nawał dzieł wystawionych. „Wśród czterechset obrazów, mówi on, oko błąka się, nim trafi na przedmiot rzeczywistéj wartości."

Cóżby dziś powiedział Diderot na widok tych trzydziestu kilku sal, zawieszonych obrazami, na tę galeryą pełną akwareli, rycin, pasteli i rysunków, na ten oszklony ogród pełen grup, posągów i popiersi? Jeżeli słynny krytyk błąkał się w chaotycznym nawale czterechset dzieł sztuki, różnych wartością; o ileż dziś trudniejszém zadanie sprawozdawców, zabłąkanych w tym istnym lesie, wśród sześciu tysięcy dzieł pędzla, dłuta i rylca?

Niepodobna nam ze względu na szczupłe ramy nasze, wdawać się w szczegółowe ocenienie tych rzeźb i obrazów; pragniemy tylko w najogólniejszych zarysach wskazać rozliczne drogi, jakiemi artyści francuzcy dążą dziś do urzeczywistnienia myśli swojéj. Drogi te rozchodzą się w odrębnych zupełnie kierunkach. Podczas gdy jedni pilnują wiernie klasycznych podań, do czego pomaga stypendystom rzymskim

kilkoletni pobyt wśród szczątków cywilizacyi starożytnego świata; drudzy odtrącają z pogardą wszelkie tradycye, zrywają całkiem z przeszłością, torują sobie nowe ścieżki, nie przez urocze smugi rzeczywistego życia, jak to czynili romantycy, ale przez topieliska i odmęty najniższego realizmu. Między temi dwoma wprost przeciwnemi kierunkami, jest jeszcze trzeci pośredni, usiłujący podnieść i uszlachetnić rzeczywistość. Zwolennicy téj szkoły szanują klasycyzm, w tém co miał w sobie dodatniego, pragną tylko ściągnąć go z abstrakcyjnych wyżyn, natchnąć nowém życiem. Słowem troisty kierunek sztuki, wiernie w oczach naszych wyobraża troistą dążność społeczeństwa dzisiejszego: abstrakcyjny klasycyzm odpowiada ideom legitymistycznym, krańcowy realizm równoważny z nihilistycznym prądem, szkoła pośrednia będąca dalszym rozwojem romantyzmu, idzie w parze z postępem idei demokratycznych. Szkoła ta przeważa nad innemi, szerokie pole otwarte dla przyszłych jéj tryumfów; potrzeba jéj tylko podnieść swój ideał do tych wyżyn, zkąd świeci słońce prawdy i rozsiewa promienie twórczych natchnień.

Dodajmy tu, że nowo zrodzona szkoła ultra-realistów, wyłączoną została z salonu jednomyślnym głosem sędziów przysięgłych. Zwolennicy téj szkoły przyjęli nazwę *impresyonistów*, z powodu, że zasadą ich przyjmować tylko wrażenia z natury i oddawać je według pojęć własnych, z zaparciem się wszelkiéj wyższéj myśli, z odrzuceniem wszelkiego ideału. Ci nowatorowie urządzili osobną wystawę, zapełnili ją stekiem najobrzydliwszych bazgranin. Kilku z nich jednak, dzięki biegłości pędzla, znalazło wyjątkowo miejsce w salonie. Dzienniki realistyczne unoszą się nad ich utworami, zowiąc tych wrogów ideału, odrodzicielami malarstwa.

Liczba sześciu tysięcy dzieł zapisanych w tegorocznym katalogu, przechodzi o ośmset liczbę wystawionych w roku zeszłym; świadczy to wymownie o żywotności ducha francuzkiego. Dodajmy, że sąd odrzucił do dwu tysięcy nadesłanych utworów. Jak wszędzie w świecie, tak i tu wkradły się niejakie nadużycia. Mieliśmy sposobność widzieć kilka obrazów, które wartością przechodziły wiele pomieszczonych w salonie, odrzuconych skutkiem zabiegów i protekcyi. Sprawiedliwość bezwzględna nie jest udziałem ludzkim! To pewna, że zbytnia względność sędziów w przyjmowaniu protegowanych miernot nadzwyczaj utrudnia zwiedzanie salonu, nuży cierpliwość i rozrywa uwagę.

Obrazów religijnych niewiele stosunkowo. Łatwo to pojąć gdy weźmiemy na uwagę, że katalog wymienia do dziesięciu kościołów, tak w Paryżu jak w innych miastach, ozdobionych w tym roku obrazami i freskami najbieglejszych malarzy. Nad wszystkiemi, jakie widzimy na wystawie, panuje *Chrystus w grobie*, Hennera. Nie pierwszy to raz mistrz podejmuje ten wielki przedmiot, ale w tym roku prześcignął on sam siebie. Wszystko tu godne podziwienia: i doskonała znajomość anatomii i promienisty koloryt, właściwy tylko Hennerowi; szczególnie jednak przemawia do nas ten nieporównany spokój rozlany w całéj postawie, ta świętość tryskająca z oblicza pomimo grobowéj ciemności.

Inném arcydziełem jest obraz Mersona Oliwiera, przedstawiający *Ucieczkę do Egiptu.* Przedmiot tylokrotnie obrabiany przez mistrzów, znalazł w Mersonie oryginalnego tłómacza. Noc cięży nad pustynią. Na drugim planie sterczy olbrzymi sfinks; z pomiędzy łap potworu wybiega jasne światło i rzuca blask na cały obraz. Zkądże ten snop złotych promieni? Oto Marya z Dzieciątkiem utuliła się tam na wypoczynek nocny. Poniżéj Ś-ty Józef spi na gołéj ziemi z głową wspartą o kamień; daléj osioł rozkulbaczony skubie bezmyślnie trawę. Dym z gasnącego ogniska, wąziuchnym słupkiem ubiega wprost ku niebu. Wśród ciemności i grozy powszechnéj, promień bijący od Chrystusa, zapowiada nowy ład w świecie, zorzę nowo zbudzonych pojęć. Na całéj wystawie niéma wymowniejszego obrazu.

Drugie płótno tegoż artysty przedstawia *ś. Izydora* patrona rolników. Po lewéj ręce święty kmiotek klęczy na zagonie, wyraz natchnienia rozpromienia jego rysy, w oku widoczny zachwyt. Postać cała pełna wzniosłéj prostoty. Na drugim planie, anioł w śnieżnéj szacie, podjął pług porzucony na roli, orze wesoło skibę. Woły raźnie stąpają, snać uradowane z niebiańskiego oracza. Postać anioła ślicznie odbija na tle ciemnobłękitnego nieba Andaluzyi.

Oliwier Merson należy do młodéj generacyi malarzów, niedawno opuścił szkołę rzymską; kilka lat temu otrzymał już złoty medal. Tegoroczne prace stawiają go w rzędzie pierwszych mistrzów francuzkich.

Uderza uwagą wielki obraz p. Maignan: *Chrystus powołujący do siebie nieszczęśliwych.* Zbawiciel siedzi na podwyższeniu, osłonięty ciemno fioletową draperyą; jednę rękę uniósł do góry, drugą rozwija połę płaszcza, jakby osłaniał tłum cisnący się do niego. Po jednéj stronie klęczy kobieta, wsparta o trumnę, z wyrazem najwyższéj boleści. Po drugiéj, inna kobieta, żona czy matka, podtrzymuje żołnierza śmiertelnie ranionego; konający jedną ręką ściska rękojeść złamanéj szpady, drugą podarty sztandar. Daléj występują inne rozbitki, z téj burzliwéj żeglugi zwanéj życiem. Na ziemi rozrzucone grobowe wieńce, strzaskane oręże, zdemontowane działa. Sąd przyznał artyście złoty medal.

Tęż samę nagrodę otrzymał Dues, za wielki tryptyk przedstawiający *Legendę o świętym Kutbercie.* Każda część wyobraża osobną chwilę z życia apostoła Anglii. Na lewém skrzydle widzimy go małym pastuszkiem; brzask ranny słabo rozjaśnia przestrzeń; dziecię klęczy na wzgórku wpośród owieczek, patrzy z zachwytem na drobny płomyk ulatający w górę: to dusza zmarłego kapłana, który podjął go sierotą i wyuczył go wiary. W środkowéj części, największéj, święty Kutbert występuje jako biskup w kapie, z pastorałem w ręku; idzie drogą widocznie znużony. Większe jeszcze znużenie widać na małém pachołęciu, towarzyszu wędrówki. „Ufajmy Panu, On nas nakarmi" mówi biskup do chłopca, i w téjże chwili orzeł spuszcza się z obłoków; trzyma w szponach rybę złowioną w morzu. Na trzeciéj części,

święty przedstawiony jako pustelnik; rozbija motyką twardą ziemię; upomina ptaszęta, aby nie pożerały ziarn tylkoco zasianych na roli: ptaszyny uciekają. Duez należy do młodych artystów, dotąd malował drobne obrazki rodzajowe: pierwszy raz uderzył w skrzydła do wyższego polotu.

Wspomnijmy tu jeszcze bardzo piękny obraz religijno-historyczny: *św. Ludwika wśród krzyżowców*. Kronikarz opowiada jak król w pochodzie z rycerstwem, spostrzegł, minąwszy wąwóz, wielką moc trupów powalonych na ziemi. Wstrzymuje konia, rozkazuje pogrzebać ciała chrześcian, ale rycerstwo cofa się ze wstrętem, powietrze bowiem zatrute odrażającą wonią. Wtedy król zsiada z konia, dźwiga z ziemi jednego z trupów. „Przyjaciele moi, rzecze do swoich, dajmyż garstkę ziemi tym męczennikom Chrystusowym." Artysta wiernie poszedł za tradycyą. W głębi obrazu widzimy granitowe bryły przecięte czarnym wąwozem. Pierwszy plan zawaliły gnijące ciała. Św. Ludwik w błękitnéj szacie i stalowym pancerzu, trzyma oburącz martwe zwłoki. Tuż za królem, młody rycerz wiedzie konia za uzdę, drugą ręką podnosi purpurowy proporzec. Krucy przelatują w powietrzu. Koloryt piękny, spokojny, grupa tworzy harmonijną całość.

Tuż obok widzimy inny obraz, wielkich także rozmiarów; przedstawia *św. Wincentego a Paulo*, wspierającego zgłodniałych Alzatów i Lotaryngów, świeżo przyłączonych do Francyi. Za wielkim stołem założonym jak kram, jadłem i odzieżą, siedzi na ławie święty, obok poważnéj matrony; Siostra Miłosierdzia przynosi ogromny kosz chleba. Wkoło ciśnie się lud ubogi; klęcząca matka podaje dziecię opiekunowi sierot; chory młodzian pełza do nóg świętego; żebracy w łachmanach wyciągają ku niemu wychudłe ręce. Chrystus otoczony wieńcem aniołów, patrzy z góry na czyny miłosierdzia. Obraz ten pędzla p. Nony, przeznaczony do nowego kościoła, św. Franciszka Ksawerego.

Widzimy *św. Hieronima* na dwu pięknych obrazach, p. Sanrage, ukazuje go na pustyni, czytającego w wielkiéj księdze. Postać naturalnéj wielkości, pełna powagi i natchnienia. Artysta otrzymał srebrny medal. P. Carteron przedstawia znów świętego w gronie anachoretów. Siedzi na pierwszym planie, pochylony nad księgą, podniósł rękę, snać przemawia do mężów obecnych; jeden, młody zakonnik, odziany szarą tuniką, trzyma pióro, gotów spisywać słowa mistrza; drugi zatopiony w myśli, trzeci podaje zwój pargaminowy świętemu. Oblicza ich pełne natchnienia; dzika i pusta okolica daje wierne pojęcie Tebaidy.

Zwraca też uwagę *św. Elżbieta*, pędzla Wenkera, młodego ucznia rzymskiéj szkoły. Ranny starzec siedzi na tronie, królowa obmywa mu głowę skrwawioną; postać jéj pełna słodyczy i świętości. Niewiasty dworskie krzątają się pilnie, jedna podaje wodę, druga trzyma purpurowy płaszcz swojéj pani.

Sceny biblijne znalazły kilku biegłych przedstawicieli, w młodych artystach francuzkich. Wspomnimy tu naprzód *Ewę* z dwojgiem

dzieci, pędzla p. Courlat. Matka rodu ludzkiego siedzi na murawie wśród bujnéj roślinności. Abel, istny cherubinek ssie pierś macierzyńską; dwuletni Kain, przytulony do matki zda się jakby zawistném okiem poglądał na maleńkiego brata. Adam nieco opodal rozbija maczugą twardą ziemię; słońce pełnym blaskiem oblewa matkę z dziećmi.

Młody malarz Lerolle wykonał na wielkim obrazie: *Jakóba u Labana.* Cała grupa złożona z trzech osób: z starego patryarchy, dorodnéj Racheli i młodego pasterza. Spotkanie odbywa się w polu pod gołém niebem, obok szopy zasłanéj snopami świeżo zżętego zboża. Koloryt spokojny, układ pełen prostoty. Szkoda tylko, że typy nie dosyć wschodnie i niebo pozbawione wschodniego blasku. Przysądzono artyście medal.

Pomijamy *piękną Judytę żonę Putyfara* i *Józefa tłómaczącego sny Egipcyanom*, a przystępujemy do obrazu, który jest koroną utworów biblijnych i ważne miejsce zajmuje na wystawie. Mówimy tu o *Synu Marnotrawnym*, pędzla Puois de Chavannes. Malarz ten, wzniosły idealista, obrał odrębną całkiem drogę; ma więc gorących zwolenników między czcicielami ideału, ze strony zaś materyalistów, wystawiony na ciągłe szyderstwa i pociski. Widząc nadużycia kolorystów dzisiejszéj szkoły, Puois de Chavannes wziął sobie za cel pokazać, że sztuka nie polega na samym kolorycie, ale czerpie natchnienie w głębi ducha. Przypuśćmy, że teoryą swoję posunął do przesady; trudno jednak zaprzeczyć, iż obrazy jego tchną najszczytniejszą poezyą. Postać syna marnotrawnego, dziwnie przypadła do usposobienia artysty: umieścił go na pierwszym planie obrazu, odzianego brudnym łachmanem, w którym dopatrzyć można szczątku zbladłéj purpury, przetykanéj strzępkami złota. Rysy jego schudzone i wybladłe; wyraz oblicza pełen boleści, oczy zapadłe, płonące gorączkowo. Obie ręce przycisnął do piersi, snać myśli o rodzicielskim domu, o szczęściu dobrowolnie straconém. Krajobraz jałowy, zjeżony złomami nagich skał, wiernie odpowiada uczuciom pokutującego grzesznika. Gdzieniegdzie tylko sterczy karłowate drzewko oliwne; na wzgórku rysuje się szałas spleciony z chrustu, poniżéj trzoda chlewna ryje spaloną ziemię. Wszystko tworzy całość pełną poetycznéj harmonii.

Obrazów historycznych mniéj jeszcze na wystawie.

Zawzięta walka politycznych stronnictw, zatamowała artystom obfite źródło bohaterskich pobudek. Nikt nie śmie sięgnąć myślą w przedrewolucyjną przeszłość, aby go nie posądzono o legitymistyczne marzenie. Epopea napoleońska śpi zagrzebana całą zaspą uprzedzeń. Poetyczny cykl Karola Wielkiego, budzi nieufność i obawę. Król Franków, zrodzony w Akwizgranie, nie byłże raczéj niemcem? zapytują pozytywni artyści, i zastawiają wielkiego cywilizatora na własność zareńskim sąsiadom, którzy ze swéj strony, w pogromcy Witykinda, nie śmieją uznać bohatera narodowego. Epoka wreszcie galska, nazbyt odległa i nazbyt mało znana. Głos Henri Martin wołający od lat wielu: „Uznajmy się potomstwem Brennusów i Wercyngetoryksów; my nie

synami zaborców rzymskich, ani germańskich drużyn, ale krwią ze krwi, kością z kości starych Gallów!" Głos ten nie wniknął jeszcze do serca artystom, błąkają się też po manowcach przeszłości, i nie znajdują nigdzie krynicy wód żywych, gdzieby odrodzić ducha.

Ktokolwiek od lat kilku śledzi wystawy tutejsze, musi przyznać że w malarstwie historycznem radykalny nastąpił przewrot. Prąd pozytywizmu oddziałał tu widocznie. Artyści nie szukają wielkich chwil dziejowych, nie idzie im o to, aby przedstawieniem wielkich charakterów, skorych do czynu, gotowych do ofiary, podnosić serca, zapalać iskrę w piersi ludzkiéj; celem ich głównie podniecać wyobraźnią, odtwarzać życie przeszłych pokoleń z drobiazgową ścisłością. Popęd ten objawił się najprzód u historyków; jest on nieodrodném dzieckiem romantyzmu. Odkąd historycy poczęli wygrzebywać z kronik najdrobniejsze rysy cechujące indywidualność osob, którym dano było odegrać rolę w dziejach; odtąd malarze porzucili wielkie zarysy a chwycili się charakterystycznych szczegółów. O ile pisarze spopularyzowali historyą, wprowadzając do niéj żywioł powieściowy, o tyle artyści spopularyzowali historyczne malarstwo łącząc je z rodzajowém. Zwrot ten był koniecznym, utyskiwać nad nim zakrawałoby na donkiszoteryą; przyznać jednak musimy, że sztuka stanęła na niebezpiecznéj pochyłości, zkąd łatwo stoczyć się może w gruby a zabójczy dla niéj realizm.

Równém też niebezpieczeństwem dla artystów są walki stronnictw politycznych, odbrzmiewające silném echem na polu sztuki. W iluźto dziś utworach spostrzegamy zamiast pogoni za wyższym ideałem, chęć schlebiania panującym opiniom, dla zdobycia rozgłosu i oklasków. Zobaczmy oto przedmioty historyczne, jakie wybierają malarze francuzcy gwoli uciesze tłumom. Luminais przedstawił śmierć Chrama; osoby tu naturalnéj wielkości. Oto Chram zapomniany już w dziejach, był synem Klotaryusza I; kilkakrotnie podniósł bunt przeciw ojcu, czém go nakoniec doprowadził do ostatniéj wściekłości. Król rozkazał przytroczyć go do ławy, udusić, nakoniec spalić z żoną i córkami w drewnianym teremie gdzie mieszkał. Obraz pokazuje trupa skrępowanego powrozem, dwie księżniczki przywiązane do słupa, rzucają się konwulsyjnie na widok buchających płomieni.

„Patrzcie! wołają krańcowe dzienniki, oto próbka tych dobrych czasów, (*ce bon vieux temps*), ku którym niektórzy tak wzdychają." Odpowiedzmy im na to: a małożto zbrodni i gwałtów popełniono w imię wolności w czternaście już wieków po dzikich Merowingach? albożto w trzechtysięcznym roku ery naszéj, przyszli doktrynerowie, patrząc na odtworzone pędzlem gwałty konwencyi narodowéj i dzisiejsze pożary petrolez, nie rzekną z urąganiem do współczesnych: *Voilà le bon vieux temps!*

Inny epizod z dobrych czasów obrał Melingue za przedmiot do obrazu. Scena przedstawia walkę miasta Paryża z tronem. Królewskość wyobrażona w Delfinie, synu Jana uwięzionego przez Anglików; reprezentantem Paryża starszy cechu kupieckiego Ethienne Marcel.

Mieszczaństwo napada pałac królewski, morduje dostojników: trupy ich tarzają się we krwi. Jeden z tłumu zmierzył Delfina groźnym wzrokiem, książę blady jak widmo, półumarły ze strachu, czeka rychło miecz błyśnie nad jego głową. „Ratuj mnie!" woła wyciągając ręce do Marcela. Ten kładzie na głowę Delfinowi czapkę własną z godłem Paryża: to paladyum zasłoni go od pomsty. Obraz wykonany biegłym pędzlem, postać Robespiera XIV-go wieku, oddana z wielką siłą. Delfin za to w płaszczu błękitnym, zasianym liliami, z twarzą sino-bladą, z okiem zagasłém oddany jako typ niedołęztwa. Onto przecież zjednał sobie w dziejach Francyi chlubną nazwę Karola Mądrego.

Miał też na myśli *dobre czasy* mistrz pędzla, Laurens, przedstawiając ustęp z wojen Albigensów, p. t. *Zamurowani w Carcassonnes.* Co do wykonania, obraz ten można nazwać perłą tegorocznéj wystawy. Lud w jaskrawych szatach średniowiecznych oblega więzienie. Wśród tłumu stoi franciszkanin Bernard, uspakaja umysły; wszyscy wyciągają ku niemu ręce, matki pokazują go dzieciom: mularze tymczasem rozbijają taranami grobowy mur, za którym jęczą nieszczęśliwe ofiary. Dlaczego malarz nie rozbił choćby do połowy tego muru? zrozumiéć tego nie możemy; o ileżby przez to podniósł dramatyczną stronę kompozycyi!

Jeden z uczniów Laurensa przedstawił naczelną scenę z czasów Karola Wielkiego. W wieczór zimowy, Egenhart kronikarz i ulubieniec króla, zabawił się zbyt długo na rozmowie z piękną królewną Emmą; śnieg tymczasem spadł wielki. Co tu czynić? ślady stóp męzkich pozostaną wyciśnięte na śniegu: orla źrenica Karola wyśledzi je porankiem. Emma nie traci głowy, bierze śmiało na barki Egenharta, zanosi go do domu. Śnieg ustał, gwiazdy zabłysły, Karol Wielki, który chętnie w nich czytał, nie spuszczając jednakże z oka ziemi, dostrzegł przez okno córkę piastującą rycerza; przywołał ich oboje, pozwolił na ich związki. Scena ta piękniejsza w poezyi, niżeli na obrazie.

Młody malarz Alfred Didier, wbrew modzie nakazującéj poniżać dawne czasy, wydobył z dziejów bohaterską postać Bayarda, *rycerza bez trwogi i bez zmazy* (*sans peur et sans reproche*). Widzimy go na brankardzie po lewéj stronie sceny, u wezgłowia stoi chirurg i kilku druhów. Z przeciwnéj strony zabiega drogę oddział konny nieprzyjacielskiego rycerstwa. Wódz oddziału konetabl Bourbon wstrzymuje konia; widok konającego uderza piorunem serce zdrajcy. Bayard oburącz podnosi krucyfiks, błyska nim w oczy Burbonowi: „nie żałuj mnie, rzecze, iż umieram; lituj się nad sobą, żeś zdrajcą twéj ojczyzny!" Obraz to bardzo piękny, pełen dramatu: koloryt przy całém bogactwie nie razi jaskrawością. Didier przecież nie odebrał żadnéj nagrody.

Większą jeszcze odwagę pokazał inny młody artysta Le Blanc, przedstawiając ustęp z wojny domowéj 1792 roku. Dzielny Larochejacquelin prowadzi do boju zastęp ochotników wandejskich, uzbrojonych w kosy, widły, siekiery i kłonice; młody wódz z podniesioną szpadą zwraca się do swoich: „Gdy pójdę naprzód, woła, ruszajcie za mną! jeśli się cofnę, rozsiekajcie mnie! jeśli polegnę, pomścijcie krew

moję!" Mimo wysokich zalet pędzla, mimo życia i ruchu, mimo typów wybornie oddanych, sąd nie przyznał nagrody artyście, z powodu niepopularnego przedmiotu jaki wybrał. Wprawdzie przebaczono Wiktorowi Hugo, że rozpaczliwie usiłowania królewkich w pięknem przedstawił świetle w słynnéj powieści: *Rok 1792.* Ale *quod licet Jovi, non licet bovi*, przysłowie sprawdziło się na zbyt śmiałym malarzu.

Przedmioty z obcych dziejów niezbyt szczęśliwie wybierane. Pelez, uczeń szkoły rzymskiéj wystawił na wielkiém płótnie *Skon cezara Kommoda.* Trup zamordowanego zajmuje pierwszy plan obrazu. Nic straszliwszego jak te rysy skurczone konwulsyjnie w ostatniéj walce z życiem. Rudy gladyator pochylony nad ciałem, tylko co spełnił krwawe dzieło; zpoza framugi wychyla się złowroga Marcya, małżonka cezara, odziana czarnym płaszczem: patrzy czy rozkaz jéj wykonany. Pelez otrzymał srebrny medal.

Niemniéj straszliwy obraz Morota, inne przecież budzi w widzach uczucie; pobudka w nim zacniejsza: rozpaczliwa obrona dwóch owych ognisk usprawiedliwia okrucieństwo. Rzecz dzieje się w czasach zaciętych walk Rzymian z galskimi tubylcami w Italii. Ambrony wycięci już do nogi mieczem legionistów; małżonki i siostry chwytają oręż wypadły z rąk mężów i braci, odpierają wściekle konny oddział wdzierający się gwałtem do obozu. To nie kobiéty, ale jakieś piekielne harpie. Jedne stoją na szańcach, walą z góry ogromne złomy opok, drugie leją na głowy najeźdźców kipiący war czy oléj. Zęby ich wyszczerzone, twarz obrzękła, usta się pienią, oczy wylazły na wierzch. „Po co tyle trudu, mówi złośliwie jeden krytyk; dość im było pokazać się: sam widok tych wiedźm byłby odstraszył Rzymian." Przebaczmy jednak tę przesadę młodemu malarzowi, myśl jego wzniosła; bodajby młodzi artyści błądzili tylko zbytkiem szału. Sąd nagrodził złotym medalem tę energiczną pracę.

Brak Matejki w dziale obrazów historycznych, stanowi w tym roku szczerbę niczém niezapełnioną. Przekonani jesteśmy, że Grunwald przyćmiłby te wszystkie mniéj więcéj udatne utwory. Ktokolwiek ma pojęcie sztuki, musi przyznać, iż żaden z historycznych malarzy francuzkich nie może iść w parze z naszym mistrzem.

Nie wiemy do jakiego działu zaliczyć ogromny obraz Ehrmana, wykonany na pamiątkę wystawy międzynarodowéj. Na balustradzie fantastycznego gmachu stoi postać niewieścia kolosalnych rozmiarów, w żółtéj sukni i płaszczu fiołkowym. Jestto uosobienie Paryża. Dziwi nas barwa płaszcza, wiadomo bowiem że kolor fiołkowy uważany za godło Napoleońskie: malarz poświęcał rzecz dla efektu. Korona z baszt wieńczy głowę symbolicznéj postaci, rude kosy spadają na ramiona, w ręku trzyma złocisty wieniec. Dwa geniusze grzmią pobudkę na złotych trąbach, trzeci geniusz leci naprzód, trzymając oburącz trójkolorowy sztandar. Skrzydła jego zamałe w stosunku do chorągwi, rozpostartéj niby olbrzymi żagiel.

W głębi poza rudą niewiastą siedzi inna w płaszczu purpurowym: to Rzeczpospolita francuzka. Szeroka draperya koloru nadziei rozpostarta nad nią, trzyma w półcieniu jéj oblicze, z czoła tryska wieniec złotych promieni. Kompozycya ta, wykonana jak się zdaje na model do gobelin: charakter dekoracyjny zapowiada takie jéj przeznaczenie.

Rzućmy teraz okiem na mitologiczne przedmioty: powiew realizmu odwrócił widocznie artystów od ulubionych im olimpijskich widziadeł. Z wielkiém podziwieniem nie dostrzegliśmy w tym roku ani jednéj muzy, ani jednego Apolina. Jedyny tylko Jowisz przybiega do Ledy białym łabędziem; dwu tylko Perseuszów odcina głowy dwum złowrogim Meduzom. Satyry pouciekały z gajów, Nimfy nie pląsają jak niegdyś nad krynicami, jedyny Narcyz przegląda się w potoku. Minerwę raz jeden spostrzegliśmy i to zawstydzoną, gdy sąd Parysa przyznał Wenerze złote jabłko. Amor tylko swawolnik, jawi się tu i owdzie i nie dziwić się temu; pod jednym mówi napis:

Po co uciekasz? dogoni cię wszędzie;
On twoim panem: był nim, jest lub będzie!

Nie myślimy opisywać tych niedobitków Olimpu, chorych widocznie na anemią, których bladość témbardziéj odbija obok krwistych śmiertelników, tak ulubionych dzisiejszym kolorystom. Sądząc jednak rzeczy bezstronnie, przyznać musimy, że kilku mistrzów umiało cudem pędzla ożywić te zużyte postacie, jak Pigmalion ożywił kamienną Galateą. Ogromny obraz Lefebura, *Dyana z gronem towarzyszek zaskoczona w kąpieli*, panuje w tegorocznym salonie. Figury wykonane po mistrzowsku, ugrupowane z nieporównanym wdziękiem.

Piękna téż Wenus pędzla Bougereau, tylko co zrodzona z morskiéj piany i otoczona gronem nimf i skrzydlatych geniuszów, otrząsa z wody złote kędziory: krople spadłe z nich, mają rozsiać po ziemi życie i radość. Bougereau malował dotąd Madonny w rozmaitych postawach, nie został jednak nowym Rafaelem. Bogarodzicom jego brak ideału świętości, mitologiczne postacie lepiéj jakoś odpowiadają geniuszowi wytwornego artysty.

Niezmordowany Gustaw Doré wystąpił z obrazem ogromnych rozmiarów: przedstawia: *Śmierć Orfeusza*. Twórczość Dorégo podziwem jest dla wszystkich; do niegoto w całém znaczeniu zastosować można owe Cezarowskie: *veni, vidi, vinci*. Ledwie że myśl twórcza błyśnie w głowie artysty, wprawna ręka wykona ją natychmiast, bądź pędzlem, bądź dłutem lub ołówkiem, a każdy rzut jéj śmiały, pełen życia, zapewnia mistrzowi nowy tryumf. Krytyka nie wié, jak osądzić Dorégo; realiści zowią go chorobliwym idealistą, klasycy zuchwałym improwizatorem. Przyszłość zdumiona takim nawałem dzieł wykonanych, może zaprzeczy mu istnienia, nazwie go prostym mytem, przedstawicielem zbiorowéj myśli, jak nazwano dziś Homera i Osyana. My jednak wiemy, że Doré żyje, że ma pracownią w samém centrum Paryża, iż z téj pracowni rzuca pełną ręką olbrzymie płótna, wielkie grupy z marmuru

i spiżu, wreszcie tysiące genialnych illustracyi, w których jak w zaklętém zwierciedle, odbija geniusz Danta, Colleridge'a, Aryosta i Cerwantesa.

Obraz tegoroczny przedstawia grupę rozszalałych Bachantek, nad trupem zamordowanego Orfeusza; jedna podnosi odciętą świeżo głowę, inne oskoczyły krwią ściekający kadłub. Przerażający to symbol tryumfu rozpusty nad geniuszem.

Bardzo humorystycznie oddał Motte podobną myśl, w niewielkim lecz starannie wykonanym obrazku; przedmiot to wzięty z *Odyssei*. Jesteśmy w pałacu złośliwéj Cyrce; wkoło sali rozstawione złociste krzesła, każde miękkiém pokryte wezgłowiem. Na trzech śpią jeszcze smaczno tryumfatorowie trojańscy; jednego z nich czarodziejka dotyka zaklętą swoją laską. Inne krzesła opróżnione; ci, którzy zasnęli w nich przed chwilą, pląsają po sali w najkomiczniejszych postawach, przedzierżgnięci już w trzodę chlewną.

Obraz ten wprowadza nas do wielkiego działu rodzajowych utworów, najliczniéj reprezentowanych na wystawie. Dział ten rozpada się na kilka odrębnych kategoryi. Tu wkracza w historyą, tam potrąca o mytyczną symbolistykę, tu znów odtwarza wojskowe sceny, daléj salonowe epizody, wreszcie przybiera charakter etnograficzny, pokazując życie i obyczaje różnych ludów. Słowem obrazy rodzajowe są tém w malarstwie, czém jest w literaturze powieść. Rozmaitość w nich niesłychana: tu dramat, tam komedya; tu satyra zaprawna szczodrze solą atycką, tam pobrzmiewa jakiś nastrój liryczny: wszystkie chwytają życie w rozmaitych jego objawach, bądź w przeszłości, bądź w chwili obecnéj.

Prawdziwą perłą rodzajowych obrazów jest: *Taniec mieczów* Siemiradzkiego. Zostawiliśmy tytuł dany w katalogu, lubo ten nie określa rzeczy. Miecze odgrywają tu ważną lecz bierną rolę. Wchodząc do wielkiéj sali, w któréj pomieszczono ten śliczny obraz, poznaliśmy go odrazu wśród stu innych, po słonecznéj łunie, jaką roztacza wkoło. Wyobraźmy sobie na tle południowego nieba, zlanego harmonijnie z falami wód Śródziemnych, cudne wybrzeże, zasiane tu i owdzie grupą drzew. Od strony lądu zamyka widnokrąg pasmo gór, owianych mgłą fiołkową. Pod wystawą po prawéj ręce, siedzą patrycyusze rzymscy, w białych togach, z wieńcami róż nad czołem. Oczy utkwili w młodéj niewolnicy pląsającéj po kobiercu, między sterczącémi w górę ostrzami kilku mieczów. Ileżto powietrza, ile życia i ruchu! Jak cudnie oddane kształty ciała, rozpląsanéj Transteweranki; jaka harmonia w kolorycie! Całość prawdziwie czarodziejska!

Po téj cudnéj fantasmagoryi, nie wiemy doprawdy gdzie spocząć okiem i myślą; wszystko zgaśnie w blasku tego słońca, w tém niezrównaném bogactwie sztuki. Smutno nam téż jakoś, gdy patrzymy na *sztukę*, jak ją uosobił pesymista Cazin. Wkoło głuche pustkowie, ziemia popękana od spieku, najeżona skałami pod laurowém drzewem, zwiędłém bez dżdżu i rosy; biédna *sztuka*, ledwie odziana w zdarty

łachman, ogorzała od słońca, tuli znękaną głowę nieuwieńczoną świeżym listkiem. Wprawdzie w powietrzu błyszczą złote korony, lecz te inni zabiorą; dla niéj tylko pędzel i paleta, ściska téż chudą ręką te jedyne swe skarby. Smutny to obraz, lecz pełen myśli, wykonany z wielkiém poczuciem ideału.

Obok téj żałosnéj wygnanki z rzeczywistego świata, widzimy inny obraz przedstawiający *złoty wiek poezyi*. Piękna pani w stroju średniowiecznym, niesie na złocistym półmisku pawia, całkiem pokrytego piórami; heroldowie dmą w trąby i fletnie. Podczas tak zwanych sądów miłości, czyli poetycznych konkursów, zwyczaj wymagał, aby najpiękniejsza z grona, stawiała ten przysmak na stole przed szczęśliwym tryumfatorem. Wielki ten obraz pięknie ozdobi salę jadalną; oprócz ram złotych są inne, malowane w bekasy, zające, kwiczoły i t. p.

Ze świata poetycznego wziął téż przedmiot włoski artysta Cotti: przedstawia on *powrót Danta do Werony*, po długiém oddaleniu. Poeta w długiéj sukni szkarłatnéj przechodzi ulicą; niewiasty wskazują go palcem: „Patrzcie, to ten co wraca z piekła," szepczą jedne do drugich. Przestraszone dzieci uciekają do matek. Obraz bardzo wymowny.

Delaume w wielkim tryptyku, pod tytułem: *Trzy wieki*, pokazał działalność kobiéty w społeczeństwie. Na jedném skrzydle, młoda panienka wskazuje na elementarzu litery małemu braciszkowi. W pośrodku widzimy parę wieśniaków bretońskich; wracają zapewne z jarmarku: mąż błędne ma jakieś oczy, zatacza się na nogach, żona podtrzymuje go silném ramieniem. Na trzeciém skrzydle, stary niewidomy wiarus siedzi w krześle; Siostra Miłosierdzia czyta na głos: on słucha z wytężoną uwagą. Pobudka dobra, wykonanie piękne; każdy obraz z osobna wiele mówi; w połączeniu ich brak przecież harmonii.

Przebiegając długi szereg sal, w każdéj spostrzegamy wschodnie przedmioty, bijące w oczy jaskrawym kolorytem. Trudno zaprzeczyć, że wśród licznych scen z życia Arabów, niektóre uderzają pięknością. *Widok Sahary Algerskiéj*, wykonany pędzlem Guillometa, porywa w zaklęty świat tysiące jednéj nocy. *Harem Emira* cudnie oddany przez Beniamina Constant, czaruje nas urokiem typów niewieścich. Wśród orjentalistów, niepospolite miejsce zajmuje ziomek nasz p. Stanisław Chlebowski. Wystawił on *sklep brokantera* w Konstantynopolu; tu obok tureckich makat i dyftyków, obok damasceńskich oręży, widzimy prześliczną brankę wystawioną na sprzedaż. Scena to jak widać dawniejsza, gdyż od lat bowiem czterdziestu, handel publiczny kobiétami surowo wzbroniony, nie w samym tylko Stambule, lecz we wszystkich posiadłościach tureckich, tak w Europie jak w Azyi.

W obec tak mistrzowskich dzieł jak powyższe, byłoby niedorzecznością potępiać artystów szukających natchnień, czyto nad Bosforem, czy téż u podnóży Atlasu. Utyskujemy tylko na nadużycie tak niebezpiecznéj mody. Jest ona plagą sztuki, a szczególniéj plagą salonów. Jeden obraz wschodni, choćby miernéj wartości, iskrzący się kolorytem jak siedmiobarwna tęcza, zabije wkoło siebie setki pełnych wartości

płócien. W jednéj z wielkich sal, *izraelitka marokańska*, strojna do ślubu w suknię płomienistą, obwieszona tysiącami cekinów, pociąga ku sobie tłumy goniące jak ćmy za światłem i błyskotką. Trzeba dobrze przetrzéć oczy, z téj powodzi światła i szkarłatu, aby ocenić poblizkie obrazy, stokroć wyższe artyzmem, ale traktowane sumiennie, bez efektowych sztuczek.

Moda oryentalizmu nie dzisiejsza we Francyi. Wprowadził ją najprzód słynny Gros, po wyprawie Napoleona do Egiptu; stanowczy przecież jéj tryumf datuje od przewrotu romantycznego. Wówczasto dzielny zapaśnik Delacroix, w imię nowych pojęć o sztuce, podjął śmiało chorągiew proroka i rzucać począł w oczy struchlałym klasykom, niby siarczyste bomby: *Mordy w Scyo*, *Zapowietrzonych w Jaffa* i inne arcydzieła kolorytu. Pogromca klasycyzmu znalazł godnych siebie uczniów i następców; do najświetniejszych należy Henryk Regnault, w pełnym rozkwicie geniuszu, zmieciony kulą pruską. Szkoła ta ma jeszcze godnych przedstawicieli, jak wskazaliśmy powyżéj, ale nierównie więcéj liczy niesmacznych naśladowców, którzy zrazili ku niéj smak powszechny. Nic téż dziwnego, że jak niegdyś wołano niecierpliwie: „Kto nas uwolni od Greków i od Rzymian?" dziś liczne głosy powtarzają chórem: „Kto nas oswobodzi od Arabów?"

Nowe źródła natchnienia trysły dla sztuki, w bliższém poznaniu życia i tradycyi ludu wieśniaczego. Brak nam miejsca i czasu na samo wyliczenie tylu udatnych utworów, w których artyści oddają wiernie typy wieśniaków, prace ich w polu i pod domową strzechą. Spotykamy tu co chwila ogorzałych żeńców i kosarzy, rybaków na łodziach, tkaczy nad krośnem, prządki przy kołowrotku; widzimy młodzież pląsającą na godach weselnych, gromady włościan ciągnące pobożnie na odpust albo za trumną druha. Najpiękniejsze z tych obrazów: *Młócka*, Destrema, *Sianożęcie* Duprego, *Niedziela Palmowa w kościołku wiejskim* Winklera, zjednały tym artystom dobrze zasłużone nagrody. Żałujemy tylko, że naczelnik ludowéj szkoły, Juliusz Breton z cichéj ustroni wiejskiéj, gdzie przebywa, nadesłał tylko popiersie młodziuchnéj wieśniaczki. Prześliczny to typ, pełen myśli i poezyi, ale przywykliśmy podziwiać mistrza w utworach większéj doniosłości.

Realizm poczyna rozpościerać szeroko skrzydła, nad tą ledwie zrodzoną szkołą; już i do tego raju wślizgnął się wąż kusiciel. Najzdolniejszy z malarzy realistów Bastien Lepage, wystawił na wielkiém płótnie *dwie dziewczyny wiejskie*, zajęte kopaniem kartofli. Obie wprawdzie jak żywe, ale najmniejsza iskierka myśli nie tryska z tych obrzękłych oczu, z tych ust gapiowato rozwartych. Patrząc na ten kierunek w sztuce, wyłączającéj z niéj wszelki ideał, strach przejmuje tém większy, gdy nawet tacy mistrze jak Lepage, wypisują na sztandarze okropne godło: „Precz z ideałem!" *nihil!* Z wielkiém zgorszeniem realistycznych krytyków, sąd nie przyznał artyście żadnéj nagrody, ani rzymskiego stypendyum.

Dział etnograficzny wzbogaciły obrazy, nadesłane na wystawę z obcych krajów. Widzimy tu wieśniaczki szwedzkie przy żniwie, rybaczki holenderskie przy połowie śledzi, Andaluzyanki pląsające przy trumience dziecięcia, na znak radości, że anioł przybył w niebie; widzimy Szwajcarki przy kądzieli i Tyrolczyków, ścinających jodły toporem i Rumunów na jarmarku i Bośniaków przed karczmą. Angielski malarz Herkomer, ozdobiony na wielkiéj wystawie honorowym medalem, nadesłał prawdziwe arcydzieło: *Dom przytułku dla kobiét.* Zgromadził w obszernéj izbie grono starych jak świat babinek: jedna popija kawę, druga ogrzewa przy ogniu stare kości, inne toczą rozhowor; wszystkie bez zębów, u każdéj nos spotyka się z brodą, mimo to jedna do drugiéj niepodobna: na każdém obliczu życie innemi wyryło się bruzdami.

Artysta nasz p. Jan Piątkowski, w wielkim obrazie przedstawił *rys obyczajów ukraińskich z XVIII wieku.* Na pierwszym planie, u dzwonnicy kościołka wiejskiego, widać młodą kobiétę przytwierdzoną sznurami, wystawioną na urągowisko powszechne. Tak karano niewierne żony! Lud wiejski otoczył potępioną: jedni patrzą ze zgrozą, drudzy z politowaniem, inni poprostu z ciekawością. Typy Ukraińców wyborne. Charakterystyczny ten obraz przyciąga licznych widzów i daje powód do śmiesznych komentarzy.

— Gdyby—rzekł ktoś do pięknéj pani—zwyczaj taki istniał w Paryżu, nie starczyłoby dzwonnic! Byłożby to ciekawe widowisko!

Równie otoczony *tabun ukraińskich koni na jarmarku w Balcie*, Józefa Chełmońskiego. Jak w dawniejszych pracach tego artysty, uderza i tu szalona fantazya, połączona z niesłychaną energią. Drugi jego obraz, mniejszych rozmiarów, przedstawia dziarską *czwórkę*, uprzężoną w poręcz do bryki, wyrusza z przed karczmy rączym kłusem; włościanie licznie zgromadzeni, w świąteczny dzień jak widać, szydzą z pijanego woźnicy, który zawadził o jakiś pień na drodze. Patrzymy na obrazy Chełmońskiego z równém upodobaniem, z jakiém przyglądamy się falom bijącym w skałę. Nie szukać tu wykończenia, pędzel zawadyacki, ale pod tą szorstkością jaki ogień, jaki dziwny nadmiar życia.

Z francuzkich malarzy, jeden tylko Detaille okazuje równą energią w swych epizodach wojennych. W tym roku wystawił on *bitwę w Champigny.* Wkoło zamku zgiełk, wrzawa, zamęt. Nieprzyjaciel ciągnie szybkim pochodem, sypie strzały ze wzgórza. Wśród kłębów dymu widać tu i owdzie rannych. Artylerzyści sposobią się do obrony: jedni ciągną działa, drudzy wynoszą sprzęty z zamku, inni barykadują się w ogrodzie, burzą inspekta. Piechota spoczywa na ziemi, nabiera sił przed bitwą. Wszystko tu obmyślone. Detaille brał czynny udział w tych utarczkach, które oddaje dziś tak wiernie. Miał wtedy lat dwadzieścia.

Wśród epizodów wojennych, uderzył nas także obraz Chevalliera; przedstawia on *bitwę pod lasem.* Grupy nikną w tumanach dymu.

Na pierwszym planie leży żołnierz śmiertelnie ranny; pochylony kapłan objął go jedną ręką, drugą podaje mu krucyfiks. Obie postacie wybornie oddane: w rannym głęboki spokój, w kapłanie silna wiara.

Do téjże kategoryi scen wojskowych, należy obraz Alberta Kossaka; nie przedstawia on bitwy, ale *manewra wojskowe pod Krakowem*. Młody malarz obznajmiony dobrze z przedmiotem swoim, tak w teoryi jak w praktyce. Mistrzem jego był znakomity ojciec, którego konie, pełne ognia i werwy, znane równie w Polsce jak w Paryżu. Naukę praktyczną odebrał młodzian, podczas służby w tymże pułku ułanów, co tak żwawo kłusuje pod biegłym jego pędzlem. Piękny krajobraz z widokiem na Kraków, godnie służy za tło kompozycyi.

Wspomnijmy tu jeszcze p. Rosena z Warszawy, dawniéj ucznia Pilsa w Monachium, dziś Geroma w Paryżu. Śliczny obraz jego: *Polowanie z ogarami*, pełen ruchu i fantazyi. Niéma tu nawału przedmiotów: jeźdźcy, konie, psy, wszystko to razem zlewa się w harmonijną całość: perspektywa wyborna.

Czas nam przejść do portretów. Dział ten malarstwa jest dziś prawdziwym tryumfem sztuki francuzkiéj: przyznał to sąd przysięgłych, obdarzając honorowym medalem Carolusa Durana. Od czasów Wan Dycka, Holtejna i Welaskeza, nigdy portrety nie doszły do takiéj doskonałości, jak dziś pod pędzlem Bonnata, Durana, Cabanela, Cota, Delaunay'a, panny Jacquemart i kilku młodszych, którzy z uczniów staną się wnet mistrzami. Największy rozgłos sprawił portret Wiktora Hugo, pędzla Bonnata. Sto dzienników paryzkich podniosło go równocześnie, ale w tych stu głosach tyle brzmi sprzecznych tonów, że wszystkie razem tworzą dziwną *kakafonią*, prawdziwe *chariwari*.

Posłuchajmy *Gazety francuzkiéj*, a dowiemy się, że portret poety jest niesmaczną bazgraniną, pozbawioną wszelkiéj wartości; że pospolite rysy oryginału, postawa krępa, trywialna, nie mogły natchnąć malarza wyższą myślą; że księga Homera, na któréj Hugo trzyma łokieć, stanowi najśmieszniejsze *accessorium*. Pomijamy długi szereg pocisków, rzucanych jak race i w model i w malarza. Zobaczmy teraz co mówi o tymże portrecie, inny krytyk, Wiktor de St. Paul, jeden z nowych kandydatów do Akademii francuzkiéj.

„W muzeum naszéj narodowéj chwały, pisze on, istniała dotąd próżnia: Wiktor Hugo niémiał godnego siebie portretu. Człowiek, którego głos zapełnił wiek cały, pozostał bez oblicza; sztuka przepomniała mistrza, który zaludnił świat poetyczny tysiącem nieśmiertelnych typów. Ta próżnia świetnie została zapełnioną. Bonnat stworzył arcydzieło; malując twórcę tylu arcydzieł, oddał on nietylko fizyczne podobieństwo, ale co więcéj geniusz i duszę świetnego modelu, jego życie kontemplacyjne; ów płomień niewygasły pod brzemieniem lat, przeciwnie, coraz to silniejszym tryskający promieniem. Dzięki malarzowi, mamy historyczny portret Wiktora Hugo; przyszłość zobaczy go, jak my go dziś widzimy!

„Poeta siedzi przy stole dębowym, wsparty łokciem o wolumin Homera: imię to stanowi jedyny łącznik, między epopeą starożytną a *Legendami Wieków*. Ten wolumin pod łokciem Wiktora Hugo, wygląda jakby pargaminowy rodowód. Jednę rękę założył poeta za surdut, drugą przycisnął do czoła, jakby chciał zatrzymać myśl w przelocie. Malarz oddał wiernie to genialne czoło, pełne ruchu i światła, ideałów i marzeń, zorane w głębokie bruzdy, pysznie zwieńczone koroną śnieżnych włosów, jakby najeżonych natchnieniem. Godny to przybytek ducha, niewyczerpanego w twórczych pomysłach, pracującego bez spoczynku. Wzrok cudownie też pochwycony: to owe oczy płomieniste, głębokie, zwrócone razem na zewnątrz i w głąb ducha, które z równą potęgą przywołują niewidzialne obrazy, jak odbijają świat zewnętrzny; to oczy myśliciela i czarodzieja, które mają do posług tylu geniuszów, ilu miała ich cudowna lampa Aladyna z *Tysiąca jednéj nocy*."

Daliśmy na próbę, małą tylko szczyptę kadzideł, hojnie sypanych przed bożyszczem. Złośliwi utrzymują, że Wiktor de Saint Paul rzucił ten fajerwerk, aby zniewolić Wiktora Hugo do popierania go przy akademickich wyborach. My nie obwiniamy go o interes, widzimy w nim raczéj sfanatyzowanego czciciela poety i zwolennika krańcowych idei społecznych, jakie Hugo reprezentuje. Przytoczyliśmy także ten ustęp, aby dać poznać sprzeczność w sądach krytyków francuzkich, któréj są raczéj ludźmi partyi, niż miłośnikami bezwzględnego piękna. Biada temu, ktoby chciał polegać ślepo na ich zdaniu.

W oczach naszych portret Wiktora Hugo piękny, nie ustępuje portretom Thiersa i Lesepsa, od których Bonat rozpoczął seryą znakomitości tego wieku; w niczém jednak nie przewyższa poprzednich prac artysty. Co do woluminu Homera, lubo śmiesznem jest dla nas, usunięcie Kornela, Rasyna i tylu geniuszów z panteonu chwały narodowéj, a wyprowadzanie Wiktora Hugo wprost od śpiewaka Illionu, bez żadnych pośredniczących opinii; co do woluminu Homera, powtarzamy, ten nas bynajmniéj nie razi. Wszakże i Delaunay pomieścił partycya Mozarta pod wizerunkiem Gounoda, co nie dowodzi, żeby francuzki kompozytor nie uznawał innych geniuszów muzycznych, a od twórcy Don Juana wywodził jedynie swój rodowód.

Wielki portret kobiéty Carolusa Durana, nagrodzony honorowym medalem, zasługuje bez wątpienia na ten zaszczyt. Artysta słynny od lat dziesięciu, z mistrzowskiego oddawania aksamitów, atłasów i koronek, dowiódł w ostatnich czasach, że nie jest tylko świetnym dekoratorem, lecz i pierwszorzędnym portrecistą. Kobiéta w białéj sukni atłasowéj, przysłonięta czarną okrywką z futrem, uwieńczona tylko splotami jasnych włosów, przedstawia się tém wspanialéj, że artysta uniknął w obrazie wszelkich sztucznych effektów.

Cabanel oddał po mistrzowsku portret nababa amerykańskiego Makaya. Bogacz ten podczas zeszłorocznéj wystawy, rozrzucał pełną ręką dolary na kupno najwytworniejszych dzieł przemysłu francuz-

kiego. Przypominamy sobie owe bezcenne perły i brylanty, owe prześliczne biórka cenione po 100,000 franków, zakupione przez niego, jak pokazywał napis. Wybornie oddany typ spanoszonego Jankesa, z rudemi bokobrodami, z głową podniesioną, z uśmiechem tryumfalnym, z ręką żylastą rozrosłą w twardéj pracy: możnaby z niéj wykroić cztery przynajmniéj ręce europejskich arystokratów. Malarz wybornie pochwycił tę cechę typową; wiemy z antropologii Quatrefage'a, iż fabrykanci paryzcy osobne wyprawiają rękawiczki dla amerykańskich Jankesów.

Kilku polskich malarzy wystąpiło z pięknemi portretami: p. Bakałowicz wystawił ich dwa: mężczyzny i kobiéty, w całkowitéj figurze, oba piękne i okazałe. Pan Piątkowski wykonał śliczny portet p. Tallien, słynny za czasów Dyrektoryatu; w białéj atłasowéj sukni, krojem greckim, jakie w wówczas noszono. Powitaliśmy téż młodego malarza p. Pawła Merwarta; pierwsze to wystąpienie publiczne utalentowanego artysty; portret młodéj panienki, wykonany śmiałym pędzlem, pokazuje zdolność niepospolitą. P. Merwart od lat dwu uczniem jest Lehmana; pracuje z zapałem i wytrwałością: świadczą o tém konkursowe medale i pochwały. Z pierwszych prób jego pędzla, jak niemniéj z zamiłowania pracy, śmiało możemy wnosić, że powiększy grono tak znakomitych dziś polskich artystów.

O ile dział portretów kwitnie w tegorocznym salonie, o tyle znów, w dziele krajobrazów, widoczna stagnacya. Na wielkiéj wystawie zeszłorocznéj nie można było dostrzedz tego braku. Zgromadzono tam jeszcze piękne utwory mistrzów zmarłych w ciągu kilku lat ostatnich; były tam obrazy Corrota, Troyona, Daubignego, Chintreil'a, którzy tak rozgłosili w świecie sławę krajobrazów francuzkich.

Nie idzie zatém, żeby w tegorocznym salonie brakło pięknych pejzaży, tylko że liczba ich nie tak przeważna, jak to bywało dawniéj. Mamy tu śliczny zimowy krajobraz Emila Breton, i kościołek wiejski tegoż artysty, otoczony wieńcem lip i wiązów; mamy normandzkie pastewniki Van March'a i Barillota, pełne krówek mistrzowsko wykonanych, mamy piękny krajobraz z Prowancyi Vaysona, nagrodzony medalem. Malarz belgijski Cezar Cook wystawił prawdziwy klejnot: widok skoszonéj łąki, po któréj przesuwa się wóz pełen siana, otoczony garstką kosiarzy. Szwajcarzy nadesłali téż malownicze stoki Oberlandu; Norwegowie zielone wybrzeża swoich fiordów. Z malarzy polskich p. Walery Brochocki wystawił mały ale dziwnie poetyczny obrazek: widok polskiéj wioski o świcie. Gromada bydła wychodzi w pole, mgła nocna jeszcze nie opadła; przez kłęby jéj przedziera się różowy odblask rannéj zorzy i ciepłym tonem oblewa całą przestrzeń. O ile wiemy, p. Brochocki, na tegoroczną wystawę Monachijską wykonał obraz szerszych rozmiarów, przedstawiający lud nasz w strojach świątecznych, ugrupowany wkoło kościoła. Obecnie artysta pośpieszył do kraju, w okolice Kujaw, gdzie pragnie skąpać się w rodzinnéj atmosferze i przygotować szkice do nowych krajobrazów.

W dziale martwych przedmiotów (*nature morte*), spotykamy znów imię polskie. P. Przepiórski odmalował pyszną czarę, ze zbiorów Luwru, przedstawiającą w płaskorzeźbie: zdobycie miasta Tunis przez Karola V.

Nim przejdziemy z kolei do rzeźb, zapiszmy sobie imiona artystów naszych i artystek, spotkane w galeryach akwarel i rysunków. Są tu miniatury p. Amplewskiéj, emalie panny Stryjeńskiéj, akwarele p. Płużańskiéj i pana Bolesława Sokołowskiego, porcelany pani Konstancyi Boulard, fajanse panny Bryckiéj, drzeworyty p. Górskiego; jest wreszcie piękny rysunek p. Mioduszewskiego: portret zmarłego księdza A. J. przełożonego misyi polskiéj w Paryżu. Brak nam miejsca na szczegółowy opis tych utworów; powiedzmy tylko że samo przyjęcie ich do salonu, bardzo utrudnione w tym roku cudzoziemcom, daje rękojmię ich wartości.

Przejdźmy nakoniec do rzeźby: oszklony ogród w którym ją jak zwykle pomieszczono, tworzy obraz prawdziwie czarodziejski. Z wystawą rzeźby łączy się w téj chwili wystawa kwiatów. Nic cudowniejszego nad te grupy, oplatane wieńcami róż i azalii, wychylających się zpośród wachlarzowych palm i rozkwitłych rododendronów. Gwoździki i heliotropy balsamiczną wonią napełniają powietrze. Do tych uroków dodajemy jeszcze powódź elektrycznego światła, rozlaną wieczorem na owe malownicze postacie ze śpiżu, gipsu i marmuru. W tém cudowném oświetleniu, najmniéj udatny gips wydaje nam się arcydziełem; cóż dopiero powiedzieć o wielkich dziełach sztuki, jakie tu spotykamy.

Na czele wszystkich postawimy genialny utwór młodego rzeźbiarza Saint Marceau, zaszczycony medalem honorowym. Na czworoboczném piedestale stoi w rogu starożytna urna; czuwa nad nią geniusz śmierci: ogarnął ją oburącz, strzeże tajemnic grobu. Czoło jego oplecione cyprysem, zpoza wieńca spada żałobny welon, przysłania w części nagie ciało. Oblicze całe tchnie nadziemskim spokojem, oczy zwrócone w górę; usta pełne zdają się przyciśnięte pieczęcią tajemnicy. Pochylony tors oddany po mistrzowsku; nogi i ręce wyborne: zda się krew kipi w żyłach.

Pyszne to dzieło, od pierwszych dni wystawy pociągnęło ku sobie oczy wszystkich; każdy w myśli przyznawał mu wielką nagrodę. Zdziwienie téż było powszechne, kiedy po pierwszéj naradzie konkursowéj ogłoszono, iż Saint Marceau otrzymał tylko zwyczajny złoty medal. Powstał krzyk po dziennikach, tak głośny, tak stanowczy, że sędziowie zmuszeni byli tłómaczyć się przed publicznością młodym wiekiem rzeźbiarza. Protestacya wzmogła się tém więcéj: sąd wziął rzecz pod głębszą rozwagę. Powtórzono głosowanie; artysta otrzymał medal honorowy: opinia odniosła tryumf.

Saint Marceau ma ledwie lat trzydzieści; jest on synem zamożnéj rodziny francuzkiéj; podjął dłuto nie dla zarobku, lecz ulegając téj sile nieprzepartéj, co popycha wybranych ze zwykłéj drogi życia, w nieskończony świat ideału.

Przedmiotem ogólnéj ciekawości jest także wzór nagrobku dla Micheleta, wykonany dłutem znakomitego rzeźbiarza Mercié. Grobowy pomnik przedstawiać będzie fronton świątyni greckiéj, wsparty na dwu filarach porządku doryckiego. Przestrzeń między filarami zapełnia wielka płyta z kararyjskiego marmuru. Model jéj gipsowy mamy tu przed oczyma. Na sarkofagu leży zmarły Michelet; stoi nad nim geniusz historyi, piękna, skrzydlata postać, pełna wyrazu. Prawą ręką wskazuje napis skreślony w górze: *L'histoire est une resurrection*: słowa to zmarłego historyka.

Mercie wykonał jeszcze konkursowy pomnik Franciszka Arago. Słynny astronom kolosalnych rozmiarów, stoi na piedestale; jedną ręką wskazuje niebo, w drugiéj trzyma zwój pargaminów. U stóp jego glob astronomiczny i rozrzucone teleskopy. Podnoże ozdobione płaskorzeźbą. W głębi wznoszą się wieże i dzwonnice miasta Perpinianu; w cieniu okopów siedzi młodzieniec wsparty łokciem o ziemię; przed nim rozwarta wielka księga. Arago urodził się w Perpinianie, tam pobierał pierwsze nauki. Rodzinne miasto wspaniałym pomnikiem uczciło jego pamięć.

Pomnik Woltera, to jest model wykonany z gipsu przez rzeźbiarza Caillé, góruje na wystawie kolosalnym rozmiarem. Miasto Paryż ma wznieść ten pomnik podobno na ratuszowym placu, na pamiątkę stuletniéj rocznicy, niedawno obchodzonéj. Najzagorzalsi zwolennicy Woltera, choćby tak rozmiłowani w nim jak Saint-Paul w Wiktorze Hugo, nie potrafiliby podnieść do apoteozy tego szkieletu, odzianego fałdzistym płaszczem. Pierś zapadła niknie w koronkowych żabotach. Zpod utrefionéj peruki widać tylko długi nos i wystającą brodę; śmiech szyderczy dziwnie wykrzywił usta. Trudno pojąć jak te nogi bocianie, w pończochach i trzewikach, udźwignąć mogą ten chudy ale wysoki korpus. Dla utrzymania równowagi, starzec pochylił plecy i podpiera się kijem. W palcach suchych jak szpon krogulczy, trzyma pióro i wielki zwój papierów. Cała fantasmagorya światła elektrycznego, nie zdoła zidealizować téj postaci tak szpetnéj i odrażającéj.

Mało widzimy na wystawie rzeźb religijnych wysokiéj wartości. Między temi uderza kolosalna figura Ś-go Wincentego a Paulo: Falguere wykonał ją po mistrzowsku. Rysy świętego znane z współczesnych wizerunków, dalekie były od form, jakie sztuka zowie pięknemi, a jednak rzeźbiarz rozlał na obliczu taki blask miłosierdzia, usta rozpromienił tak słodkim uśmiechem, że postać cała uderza niewysłowioną pięknością. Święty odziany wielkim płaszczem, wspaniale udrapowanym, piastuje na ręku dwoje śpiących niemowląt. Śliczny ten posąg przeznaczony do panteońskiego kościoła.

Piękna głowa Ś-go Jana Chrzciciela, złożona na wielkiéj misie wraz z mieczem, dłuta Antokolskiego, ściąga téż powszechną uwagę.

Przedmiotów mitologicznych, tak ulubionych rzeźbiarzom, gdyż pokazują biegłość w oddaniu ciała, niewiele spotykamy w tegorocznym salonie; zato uderza nas widoczny zwrot ku przedmiotom rodzajowym

Dział etnograficzny wzbogaciły obrazy, nadesłane na wystawę z obcych krajów. Widzimy tu wieśniaczki szwedzkie przy żniwie, rybaczki holenderskie przy połowie śledzi, Andaluzyanki pląsające przy trumience dziecięcia, na znak radości, że anioł przybył w niebie; widzimy Szwajcarki przy kądzieli i Tyrolczyków, ścinających jodły toporem i Rumunów na jarmarku i Bośniaków przed karczmą. Angielski malarz Herkomer, ozdobiony na wielkiéj wystawie honorowym medalem, nadesłał prawdziwe arcydzieło: *Dom przytułku dla kobiét.* Zgromadził w obszernéj izbie grono starych jak świat babinek: jedna popija kawę, druga ogrzewa przy ogniu stare kości, inne toczą rozhowor; wszystkie bez zębów, u każdéj nos spotyka się z brodą, mimo to jedna do drugiéj niepodobna: na każdém obliczu życie innemi wyryło się bruzdami.

Artysta nasz p. Jan Piątkowski, w wielkim obrazie przedstawił *rys obyczajów ukraińskich z XVIII wieku.* Na pierwszym planie, u dzwonnicy kościołka wiejskiego, widać młodą kobiétę przytwierdzoną sznurami, wystawioną na urągowisko powszechne. Tak karano niewierne żony! Lud wiejski otoczył potępioną: jedni patrzą ze zgrozą, drudzy z politowaniem, inni poprostu z ciekawością. Typy Ukraińców wyborne. Charakterystyczny ten obraz przyciąga licznych widzów i daje powód do śmiesznych komentarzy.

— Gdyby—rzekł ktoś do pięknéj pani—zwyczaj taki istniał w Paryżu, nie starczyłoby dzwonnic! Byłożby to ciekawe widowisko!

Równie otoczony *tabun ukraińskich koni na jarmarku w Balcie*, Józefa Chełmońskiego. Jak w dawniejszych pracach tego artysty, uderza i tu szalona fantazya, połączona z niesłychaną energią. Drugi jego obraz, mniejszych rozmiarów, przedstawia dziarską *czwórkę*, uprzężoną w poręcz do bryki, wyrusza z przed karczmy rączym kłusem; włościanie licznie zgromadzeni, w świąteczny dzień jak widać, szydzą z pijanego woźnicy, który zawadził o jakiś pień na drodze. Patrzymy na obrazy Chełmońskiego z równém upodobaniem, z jakiém przyglądamy się falom bijącym w skałę. Nie szukać tu wykończenia, pędzel zawadyacki, ale pod tą szorstkością jaki ogień, jaki dziwny nadmiar życia.

Z francuzkich malarzy, jeden tylko Detaille okazuje równą energią w swych epizodach wojennych. W tym roku wystawił on *bitwę w Champigny.* Wkoło zamku zgiełk, wrzawa, zamęt. Nieprzyjaciel ciągnie szybkim pochodem, sypie strzały ze wzgórza. Wśród kłębów dymu widać tu i owdzie rannych. Artylerzyści sposobią się do obrony: jedni ciągną działa, drudzy wynoszą sprzęty z zamku, inni barykadują się w ogrodzie, burzą inspekta. Piechota spoczywa na ziemi, nabiera sił przed bitwą. Wszystko tu obmyślone. Detaille brał czynny udział w tych utarczkach, które oddaje dziś tak wiernie. Miał wtedy lat dwadzieścia.

Wśród epizodów wojennych, uderzył nas także obraz Chevalliera; przedstawia on *bitwę pod lasem.* Grupy nikną w tumanach dymu.

Na pierwszym planie leży żołnierz śmiertelnie ranny; pochylony kapłan objął go jedną ręką, drugą podaje mu krucyfiks. Obie postacie wybornie oddane: w rannym głęboki spokój, w kapłanie silna wiara.

Do téjże kategoryi scen wojskowych, należy obraz Alberta Kossaka; nie przedstawia on bitwy, ale *manewra wojskowe pod Krakowem.* Młody malarz obznajmiony dobrze z przedmiotem swoim, tak w teoryi jak w praktyce. Mistrzem jego był znakomity ojciec, którego konie, pełne ognia i werwy, znane równie w Polsce jak w Paryżu. Naukę praktyczną odebrał młodzian, podczas służby w tymże pułku ułanów, co tak żwawo kłusuje pod biegłym jego pędzlem. Piękny krajobraz z widokiem na Kraków, godnie służy za tło kompozycyi.

Wspomnijmy tu jeszcze p. Rosena z Warszawy, dawniéj ucznia Pilsa w Monachium, dziś Geroma w Paryżu. Śliczny obraz jego: *Polowanie z ogarami*, pełen ruchu i fantazyi. Niéma tu nawału przedmiotów: jeźdźcy, konie, psy, wszystko to razem zlewa się w harmonijną całość: perspektywa wyborna.

Czas nam przejść do portretów. Dział ten malarstwa jest dziś prawdziwym tryumfem sztuki francuzkiéj: przyznał to sąd przysięgłych, obdarzając honorowym medalem Carolusa Durana. Od czasów Wan Dycka, Holtejna i Welaskeza, nigdy portrety nie doszły do takiéj doskonałości, jak dziś pod pędzlem Bonnata, Durana, Cabanela, Cota, Delaunay'a, panny Jacquemart i kilku młodszych, którzy z uczniów staną się wnet mistrzami. Największy rozgłos sprawił portret Wiktora Hugo, pędzla Bonnata. Sto dzienników paryzkich podniosło go równocześnie, ale w tych stu głosach tyle brzmi sprzecznych tonów, że wszystkie razem tworzą dziwną *kakafonią*, prawdziwe *chariwari.*

Posłuchajmy *Gazety francuzkiéj*, a dowiemy się, że portret poety jest niesmaczną bazgraniną, pozbawioną wszelkiéj wartości; że pospolite rysy oryginału, postawa krępa, trywialna, nie mogły natchnąć malarza wyższą myślą; że księga Homera, na któréj Hugo trzyma łokieć, stanowi najśmieszniejsze *accessorium.* Pomijamy długi szereg pocisków, rzucanych jak race i w model i w malarza. Zobaczmy teraz co mówi o tymże portrecie, inny krytyk, Wiktor de St. Paul, jeden z nowych kandydatów do Akademii francuzkiéj.

„W muzeum naszéj narodowéj chwały, pisze on, istniała dotąd próżnia: Wiktor Hugo niémiał godnego siebie portretu. Człowiek, którego głos zapełnił wiek cały, pozostał bez oblicza; sztuka przepomniała mistrza, który zaludnił świat poetyczny tysiącem nieśmiertelnych typów. Ta próżnia świetnie została zapełnioną. Bonnat stworzył arcydzieło; malując twórcę tylu arcydzieł, oddał on nietylko fizyczne podobieństwo, ale co więcéj geniusz i duszę świetnego modelu, jego życie kontemplacyjne; ów płomień niewygasły pod brzemieniem lat, przeciwnie, coraz to silniejszym tryskający promieniem. Dzięki malarzowi, mamy historyczny portret Wiktora Hugo; przyszłość zobaczy go, jak my go dziś widzimy!

„Poeta siedzi przy stole dębowym, wsparty łokciem o wolumin Homera: imię to stanowi jedyny łącznik, między epopeą starożytną a *Legendami Wieków*. Ten wolumin pod łokciem Wiktora Hugo, wygląda jakby pargaminowy rodowód. Jednę rękę założył poeta za surdut, drugą przycisnął do czoła, jakby chciał zatrzymać myśl w przelocie. Malarz oddał wiernie to genialne czoło, pełne ruchu i światła, ideałów i marzeń, zorane w głębokie bruzdy, pysznie zwieńczone koroną śnieżnych włosów, jakby najeżonych natchnieniem. Godny to przybytek ducha, niewyczerpanego w twórczych pomysłach, pracującego bez spoczynku. Wzrok cudownie też pochwycony: to owe oczy płomieniste, głębokie, zwrócone razem na zewnątrz i w głąb ducha, które z równą potęgą przywołują niewidzialne obrazy, jak odbijają świat zewnętrzny; to oczy myśliciela i czarodzieja, które mają do posług tylu geniuszów, ilu miała ich cudowna lampa Aladyna z *Tysiąca jednéj nocy*."

Daliśmy na próbę, małą tylko szczyptę kadzideł, hojnie sypanych przed bożyszczem. Złośliwi utrzymują, że Wiktor de Saint Paul rzucił ten fajerwerk, aby zniewolić Wiktora Hugo do popierania go przy akademickich wyborach. My nie obwiniamy go o interes, widzimy w nim raczéj sfanatyzowanego czciciela poety i zwolennika krańcowych idei społecznych, jakie Hugo reprezentuje. Przytoczyliśmy także ten ustęp, aby dać poznać sprzeczność w sądach krytyków francuzkich, któréj są raczéj ludźmi partyi, niż miłośnikami bezwzględnego piękna. Biada temu, ktoby chciał polegać ślepo na ich zdaniu.

W oczach naszych portret Wiktora Hugo piękny, nie ustępuje portretom Thiersa i Lesepsa, od których Bonat rozpoczął seryą znakomitości tego wieku; w niczém jednak nie przewyższa poprzednich prac artysty. Co do woluminu Homera, lubo śmiesznem jest dla nas, usunięcie Kornela, Rasyna i tylu geniuszów z panteonu chwały narodowéj, a wyprowadzanie Wiktora Hugo wprost od śpiewaka Illionu, bez żadnych pośredniczących opinii; co do woluminu Homera, powtarzamy, ten nas bynajmniéj nie razi. Wszakże i Delaunay pomieścił partycya Mozarta pod wizerunkiem Gounoda, co nie dowodzi, żeby francuzki kompozytor nie uznawał innych geniuszów muzycznych, a od twórcy Don Juana wywodził jedynie swój rodowód.

Wielki portret kobiéty Carolusa Durana, nagrodzony honorowym medalem, zasługuje bez wątpienia na ten zaszczyt. Artysta słynny od lat dziesięciu, z mistrzowskiego oddawania aksamitów, atłasów i koronek, dowiódł w ostatnich czasach, że nie jest tylko świetnym dekoratorem, lecz i pierwszorzędnym portrecistą. Kobiéta w białéj sukni atłasowéj, przysłonięta czarną okrywką z futrem, uwieńczona tylko splotami jasnych włosów, przedstawia się tém wspanialéj, że artysta uniknął w obrazie wszelkich sztucznych effektów.

Cabanel oddał po mistrzowsku portret nababa amerykańskiego Makaya. Bogacz ten podczas zeszłorocznéj wystawy, rozrzucał pełną ręką dolary na kupno najwytworniejszych dzieł przemysłu francuz-

kiego. Przypominamy sobie owe bezcenne perły i brylanty, owe prześliczne biórka cenione po 100,000 franków, zakupione przez niego, jak pokazywał napis. Wybornie oddany typ spanoszonego Jankesa, z rudemi bokobrodami, z głową podniesioną, z uśmiechem tryumfalnym, z ręką żylastą rozrosłą w twardéj pracy: możnaby z niéj wykroić cztery przynajmniéj ręce europejskich arystokratów. Malarz wybornie pochwycił tę cechę typową; wiemy z antropologii Quatrefage'a, iż fabrykanci paryzcy osobne wyprawiają rękawiczki dla amerykańskich Jankesów.

Kilku polskich malarzy wystąpiło z pięknemi portretami: p. Bakałowicz wystawił ich dwa: mężczyzny i kobiéty, w całkowitéj figurze, oba piękne i okazałe. Pan Piątkowski wykonał śliczny portet p. Tallien, słynny za czasów Dyrektoryatu; w białéj atłasowéj sukni, krojem greckim, jakie w wówczas noszono. Powitaliśmy téż młodego malarza p. Pawła Merwarta; pierwsze to wystąpienie publiczne utalentowanego artysty; portret młodéj panienki, wykonany śmiałym pędzlem, pokazuje zdolność niepospolitą. P. Merwart od lat dwu uczniem jest Lehmana; pracuje z zapałem i wytrwałością: świadczą o tém konkursowe medale i pochwały. Z pierwszych prób jego pędzla, jak niemniéj z zamiłowania pracy, śmiało możemy wnosić, że powiększy grono tak znakomitych dziś polskich artystów.

O ile dział portretów kwitnie w tegorocznym salonie, o tyle znów, w dziele krajobrazów, widoczna stagnacya. Na wielkiéj wystawie zeszłorocznéj nie można było dostrzedz tego braku. Zgromadzono tam jeszcze piękne utwory mistrzów zmarłych w ciągu kilku lat ostatnich; były tam obrazy Corrota, Troyona, Daubignego, Chintreil'a, którzy tak rozgłosili w świecie sławę krajobrazów francuzkich.

Nie idzie zatém, żeby w tegorocznym salonie brakło pięknych pejzaży, tylko że liczba ich nie tak przeważna, jak to bywało dawniéj. Mamy tu śliczny zimowy krajobraz Emila Breton, i kościołek wiejski tegoż artysty, otoczony wieńcem lip i wiązów; mamy normandzkie pastewniki Van March'a i Barillota, pełne krówek mistrzowsko wykonanych, mamy piękny krajobraz z Prowancyi Vaysona, nagrodzony medalem. Malarz belgijski Cezar Cook wystawił prawdziwy klejnot: widok skoszonéj łąki, po któréj przesuwa się wóz pełen siana, otoczony garstką kosiarzy. Szwajcarzy nadesłali téż malownicze stoki Oberlandu; Norwegowie zielone wybrzeża swoich fiordów. Z malarzy polskich p. Walery Brochocki wystawił mały ale dziwnie poetyczny obrazek: widok polskiéj wioski o świcie. Gromada bydła wychodzi w pole, mgła nocna jeszcze nie opadła; przez kłęby jéj przedziera się różowy odblask rannéj zorzy i ciepłym tonem oblewa całą przestrzeń. O ile wiemy, p. Brochocki, na tegoroczną wystawę Monachijską wykonał obraz szerszych rozmiarów, przedstawiający lud nasz w strojach świątecznych, ugrupowany wkoło kościoła. Obecnie artysta pośpieszył do kraju, w okolice Kujaw, gdzie pragnie skąpać się w rodzinnéj atmosferze i przygotować szkice do nowych krajobrazów.

W dziale martwych przedmiotów (*nature morte*), spotykamy znów imię polskie. P. Przepiórski odmalował pyszną czarę, ze zbiorów Luwru, przedstawiającą w płaskorzeźbie: zdobycie miasta Tunis przez Karola V.

Nim przejdziemy z kolei do rzeźb, zapiszmy sobie imiona artystów naszych i artystek, spotkane w galeryach akwarel i rysunków. Są tu miniatury p. Amplewskiéj, emalie panny Stryjeńskiéj, akwarele p. Płużańskiéj i pana Bolesława Sokołowskiego, porcelany pani Konstancyi Boulard, fajanse panny Bryckiéj, drzeworyty p. Górskiego; jest wreszcie piękny rysunek p. Mioduszewskiego: portret zmarłego księdza A. J. przełożonego misyi polskiéj w Paryżu. Brak nam miejsca na szczegółowy opis tych utworów; powiedzmy tylko że samo przyjęcie ich do salonu, bardzo utrudnione w tym roku cudzoziemcom, daje rękojmię ich wartości.

Przejdźmy nakoniec do rzeźby: oszklony ogród w którym ją jak zwykle pomieszczono, tworzy obraz prawdziwie czarodziejski. Z wystawą rzeźby łączy się w téj chwili wystawa kwiatów. Nic cudowniejszego nad te grupy, oplatane wieńcami róż i azalii, wychylających się zpośród wachlarzowych palm i rozkwitłych rododendronów. Gwoździki i heliotropy balsamiczną wonią napełniają powietrze. Do tych uroków dodajemy jeszcze powódź elektrycznego światła, rozlaną wieczorem na owe malownicze postacie ze śpiżu, gipsu i marmuru. W tém cudownėm oświetleniu, najmniéj udatny gips wydaje nam się arcydziełem; cóż dopiero powiedzieć o wielkich dziełach sztuki, jakie tu spotykamy.

Na czele wszystkich postawimy genialny utwór młodego rzeźbiarza Saint Marceau, zaszczycony medalem honorowym. Na czworobocznym piedestale stoi w rogu starożytna urna; czuwa nad nią geniusz śmierci: ogarnął ją oburącz, strzeże tajemnic grobu. Czoło jego oplecione cyprysem, zpoza wieńca spada żałobny welon, przysłania w części nagie ciało. Oblicze całe tchnie nadziemskim spokojem, oczy zwrócone w górę; usta pełne zdają się przyciśnięte pieczęcią tajemnicy. Pochylony tors oddany po mistrzowsku; nogi i ręce wyborne: zda się krew kipi w żyłach.

Pyszne to dzieło, od pierwszych dni wystawy pociągnęło ku sobie oczy wszystkich; każdy w myśli przyznawał mu wielką nagrodę. Zdziwienie téż było powszechne, kiedy po pierwszéj naradzie konkursowéj ogłoszono, iż Saint Marceau otrzymał tylko zwyczajny złoty medal. Powstał krzyk po dziennikach, tak głośny, tak stanowczy, że sędziowie zmuszeni byli tłómaczyć się przed publicznością młodym wiekiem rzeźbiarza. Protestacya wzmogła się tém więcéj: sąd wziął rzecz pod głębszą rozwagę. Powtórzono głosowanie; artysta otrzymał medal honorowy: opinia odniosła tryumf.

Saint Marceau ma ledwie lat trzydzieści; jest on synem zamożnéj rodziny francuzkiéj; podjął dłuto nie dla zarobku, lecz ulegając téj sile nieprzepartéj, co popycha wybranych ze zwykłéj drogi życia, w nieskończony świat ideału.

Przedmiotem ogólnéj ciekawości jest także wzór nagrobku dla Micheleta, wykonany dłutem znakomitego rzeźbiarza Mercié. Grobowy pomnik przedstawiać będzie fronton świątyni greckiéj, wsparty na dwu filarach porządku doryckiego. Przestrzeń między filarami zapełnia wielka płyta z kararyjskiego marmuru. Model jéj gipsowy mamy tu przed oczyma. Na sarkofagu leży zmarły Michelet; stoi nad nim geniusz historyi, piękna, skrzydlata postać, pełna wyrazu. Prawą ręką wskazuje napis skreślony w górze: *L'histoire est une resurrection*: słowa to zmarłego historyka.

Mercie wykonał jeszcze konkursowy pomnik Franciszka Arago. Słynny astronom kolosalnych rozmiarów, stoi na piedestale; jedną ręką wskazuje niebo, w drugiéj trzyma zwój pargaminów. U stóp jego glob astronomiczny i rozrzucone teleskopy. Podnoże ozdobione płaskorzeźbą. W głębi wznoszą się wieże i dzwonnice miasta Perpinianu; w cieniu okopów siedzi młodzieniec wsparty łokciem o ziemię; przed nim rozwarta wielka księga. Arago urodził się w Perpinianie, tam pobierał pierwsze nauki. Rodzinne miasto wspaniałym pomnikiem uczciło jego pamięć.

Pomnik Woltera, to jest model wykonany z gipsu przez rzeźbiarza Caillé, góruje na wystawie kolosalnym rozmiarem. Miasto Paryż ma wznieść ten pomnik podobno na ratuszowym placu, na pamiątkę stuletniéj rocznicy, niedawno obchodzonéj. Najzagorzalsi zwolennicy Woltera, choćby tak rozmiłowani w nim jak Saint-Paul w Wiktorze Hugo, nie potrafiliby podnieść do apoteozy tego szkieletu, odzianego fałdzistym płaszczem. Pierś zapadła niknie w koronkowych żabotach. Zpod utrefionéj peruki widać tylko długi nos i wystającą brodę; śmiech szyderczy dziwnie wykrzywił usta. Trudno pojąć jak te nogi bocianie, w pończochach i trzewikach, udźwignąć mogą ten chudy ale wysoki korpus. Dla utrzymania równowagi, starzec pochylił plecy i podpiera się kijem. W palcach suchych jak szpon krogulczy, trzyma pióro i wielki zwój papierów. Cała fantasmagorya światła elektrycznego, nie zdoła zidealizować téj postaci tak szpetnéj i odrażającéj.

Mało widzimy na wystawie rzeźb religijnych wysokiéj wartości. Między temi uderza kolosalna figura Ś-go Wincentego a Paulo: Falguere wykonał ją po mistrzowsku. Rysy świętego znane z współczesnych wizerunków, dalekie były od form, jakie sztuka zowie pięknemi, a jednak rzeźbiarz rozlał na obliczu taki blask miłosierdzia, usta rozpromienił tak słodkim uśmiechem, że postać cała uderza niewysłowioną pięknością. Święty odziany wielkim płaszczem, wspaniale udrapowanym, piastuje na ręku dwoje śpiących niemowląt. Śliczny ten posąg przeznaczony do pantecońskiego kościoła.

Piękna głowa Ś-go Jana Chrzciciela, złożona na wielkiéj misie wraz z mieczem, dłuta Antokolskiego, ściąga téż powszechną uwagę.

Przedmiotów mitologicznych, tak ulubionych rzeźbiarzom, gdyż pokazują biegłość w oddaniu ciała, niewiele spotykamy w tegorocznym salonie; zato uderza nas widoczny zwrot ku przedmiotom rodzajowym

z życia wiejskiego ludu. Widzimy tu śliczną dzieweczkę, dłuta Itassa: niesie paszę dla kozy, którą wiedzie na sznurku. Aube przedstawia *Rolnictwo* w postaci krzepkiéj dziewoi w wieńcu kłosistym; stoi wsparta na kozie, przy wielkim snopie zboża. Tu znów dziewczyna strzyże owce, tam pochylony żniwiarz zajmuje sierpem garść pszenicy. To uczczenie prac rolniczych wprowadzeniem ich w dziedzinę sztuki plastycznéj, bardzo według nas charakterystyczne; szczerze mu téż przyklaskujemy.

Z artystów naszych wymienimy tu p. Hegla z Warszawy. Dwa marmurowe popiersia jego dłuta odznaczają się wytwornem wykonaniem; jeden którego model nam znany, uderzył nas podobieństwem rysów i wyrazu. Pan Godebski wystawił piękny portret hr. Z. Pan Guyski oddał na marmurze znaczące rysy pani Henryki L... pełne męzkiéj energii, połączonéj z niewieścią słodyczą. Widzimy tu jeszcze udatne prace dwu panien Dąbrowskich z Wilna: jedna wystawia biust gipsowy, druga pięknego psa, ulanego ze śpiżu.

Akademia francuzka tak zazwyczaj spokojna, przeszła w tym czasie burzę niepamiętną w jéj dziejach. Na dzień 29 maja zapowiedzianém było uroczyste przyjęcie Henri Martin. Szczególny traf sprawił, że na mowę jego miał odpowiadać Emil Olivier, dawny minister napoleoński, on bowiem pełnił obowiązki dyrektora w chwili gdy umarł poprzednik. Traf to był przykry dla akademii: wszyscy przewidywali starcie. Wyobraźmy sobie dwu zaciętych wrogów politycznych, dwu reprezentantów przeciwnych stronnictw, republikanizmu i bonapartyzmu, obowiązanych sypać sobie w oczy pochwały, wobec grona akademickiego i tysiąca słuchaczów. Położenie było i trudne i śmieszne zarazem. Tymczasem wszedł tu jeszcze trzeci żywioł, który komedyą przemienił w dramat, poruszając najdrażliwsze pytania. Obaj mówcy obowiązani byli uczcić Thiersa gorącym panegirykiem, a przebiegając długoletnie jego działania, musieli bądź cobądź pokazać go jako szermierza w walce przeciw Cesarstwu.

Henri Martin łatwiéj mógł wyjść z trudnego położenia. Wprawdzie był on niegdyś silnym antagonistą Thiersa za czasów jego ministeryum; surowo potępiał jego politykę tak wewnętrzną jak i zewnętrzną, mianowicie w sprawach wschodniéj Europy; ostatnia przecież wojna zbliżyła go z Thiersem, zapomniał o przeszłości, widział w nim jedynie wielkiego patryotę. Cześć ta wzrosła jeszcze, kiedy przy osobie Thiersa połączyły się tak ekonomiczne jak i finansowe siły, które umiały wydobyć z Francyi ogromny okup pięciu miliardów i to bez zubożenia kraju, a nawet z materyalną jego korzyścią. Inna zupełnie rzecz z Olivierem: ten widział w Thiersie nietylko wroga bonapartyzmu, ale nawet wroga Francyi.

Ustawy akademickie wymagają, aby mowy dwu członków przed publicznem ich wygłoszeniem, poddane były pod sąd wyznaczonéj na ten cel komisyi. W pierwszych dniach maja, na prywatném zebraniu,

Henri Martin i Olivier odczytali więc mowy swoje. Jak w jednéj tak w drugiéj były ustępy, które mogły wywołać skandal: sędziowie żądali ich usunięcia. W mowie Henri Martin uznano za niewłaściwy obraz burzliwéj sesyi w Izbie, na któréj Thiers wyrzucał Cesarstwu zamiar wypowiedzenia wojny Prusom, mieniąc go prawdziwém szaleństwem. Henri Martin gotów był wymazać ten ustęp; usunięcie drażliwego paragrafu usuwało samo przez się ostrą odpowiedź Oliviera. Ale w mowie ministra napoleońskiego, był inny zarzut bardziéj jeszcze palący: utrzymywał on, że w tragicznych wypadkach 1870 roku, Thiers nie okazał się patryotą ani Francuzem. Zdaniem jego w chwili klęsk walących się na Francyą, Thiers powinien był złączyć się z Cesarstwem, jak to uczynił generał Changarnier, którego patryotyzm podnosi mówca do apoteozy.

Na żądanie akademii, tak Henri Martin jak Olivier, przyrzekli zmodyfikować mowy swoje. W wyznaczonym terminie odczytali je znów wobec komisyi. Z mowy Henri Martin znikł obraz walki parlamentarnéj. Olivier usunął odpowiedź na wyzwanie, lecz pozostawił w całości filipikę zaprzeczającą Thiersowi uczuć patryotycznych.

Łatwo pojąć jak gwałtowną burzę wywołało to potrącenie w strunę patryotyzmu, tak bardzo wyprężoną we Francyi, zwłaszcza od klęsk ostatnich. Juliusz Simon, Dufaur, Mignet, ściśle połączeni z Thiersem, odczuli głęboko te pociski, widzieli w nich zniewagę osobistą. Jedni z akademików chcieli poprostu usunąć Oliviera, to jest powołać innego z członków do odpowiedzi wybranemu; większość głosowała za odroczeniem akademickiéj uroczystości do listopada, jeśli Olivier nie uczyni pojednawczych kroków przed nadchodzącą porą letniego wypoczynku.

Zacięty bonapartysta niechciał ani na krok ustąpić. Zadraźnił jeszcze sprawę otwartym listem do akademików, który ogłosił w dziennikach. Dowodzi on w tym liście, że dyrektor akademii nie jest bynajmniéj obowiązany przemawiać w imieniu całego grona, lecz osobiście odpowiada za własne opinie. Szydzi przytém złośliwie z urzędowych panegiryków, a bardziéj jeszcze z dwulicowéj polityki nieśmiertelnych; pokazuje sprzeczność w ich sądach, jakiéj po dwakroć sam na sobie doświadczył.

„W roku 1874, mówi on, podałem do komisyi mowę moję o Lamartinie, p. Guizot wyrzekł z dumą:

„Nie jesteśmy wcale obowiązani prawić panegiryków. Pan zanadto wychwalasz Lamartina, nie zasłużył on bynajmniéj na nazwę męża stanu, równie jak Mirabeau, z którym go porównywasz."

„W roku 1879 przedstawiam innéj komisyi mowę moję o Thiersie w téjże saméj sali, na témże samém miejscu; p. Juliusz Simon rzecze do mnie, jakby z kapłańskiém namaszczeniem:

„Powinnością naszą głosić panegiryki. Cokolwiek pan myślisz o działaniach Thiersa, nie wypada ci zmniejszać zasług wielkiego męża stanu."

Broniąc niepodległości słowa, sięga Olivier w przeszłość akademii, przypomina ostre nieraz pociski mówców, gdy sumienie nakazywało im wypowiadać prawdę o zmarłych poprzednikach.

Lacretelle, zajmując w roku 1804 krzesło po Laharpie, tak określał jego charakter: „suchy, cierpki, sztywny w pożyciu, takim samym okazywał się w krytykach literackich. Chłostał bez litości młodych autorów, czém odstręczał ich od literatury z rzeczywistą jéj szkodą. Ta gorycz, posunięta nieraz do niesprawiedliwości, okazuje się szczególniéj w walkach z filozofami przeciwnego obozu: duch stronniczy zawsze nim powoduje."

Przytoczywszy kilka podobnych rysów, dalekich od panegiryzmu, Olivier powtarza słowa Montalemberta, wyrzeczone w r. 1852 na pochwały akademii, słowa podnoszące jéj bezstronność i niepodległość w sądach.

„Niepodległość, rzekł Montalembert, stanowi siłę waszę, jest kamieniem węgielnym waszéj instytucyi. W pełnym wieku ośmnastym, kapłan przemawiając w imię akademii nad otwartym grobem Woltera, miał odwagę potępić tryumfatora, że nie wzgardził fałszywą chwałą, jaką się zdobywa zuchwalstwem i rozkiełznaniem."

Żałujemy, że Olivier do licznego szeregu argumentów, świadczących o niepodległości akademii, nie dodał jednego jeszcze, bardzo charakterystycznego. Kiedy Caumartin przyjmował w imieniu akademii biskupa Clermont-Tonnére, który nieposiadał innych tytułów do zaszczytu, prócz względów Ludwika XIV, i pozwolił sobie złośliwych żartów z nowo wprowadzonego członka; biskup do żywego dotknięty zachował w sercu urazę. Wkrótce potém ciężko zachorował; sądząc się blizkim śmierci, przywołuje do łoża złośliwego antagonistę, przebacza mu wszystko, błogosławi go, wreszcie zdejmując z palca dyamentowy pierścień, ofiaruje kosztowny upominek na znak serdecznéj zgody. Wątpimy bardzo, aby sprawa między Olivierem a Henri Martin, skończyć się miała tak chrześciańskiém pojednaniem.

List Oliviera, o którym akademia dowiedziała się dopiéro z dzienników, zdziwił wszystkich, a oburzył niechętne mu stronnictwo. Zwołano stanowczą naradę. Większością jednego głosu (13 przeciw 12), usunięto Oliviera od obowiązku przyjmowania Henri Martin: zastąpi go Marmier.

Po zapadłym wyroku, Oliwier ogłosił w dziennikach mowę swoję: charakter jéj przeważnie polityczny. Mówca zbywa pobieżną ledwie wzmianką historyczne prace Henri Martin'a; o Thiersie, jako historyku, wyraża się tylko ogólnikiem. Głównym celem mowy, obrona pierwszego i drugiego Cesarstwa.

Wśród wielkiéj liczby powieściopisarzy, którzy mniéj więcéj udatnemi utworami zapełniają odcinki dzienników, Juliusz Claretie zdobywa sobie coraz to większe uznanie w publiczności francuzkiéj. Główną jego zaletą obrazowanie pełne życia i barwy. W powieści *Muskadyni*,

odmalował wybornie obyczaje z czasów Dyrektoryatu: w *Pięknym Solininku*, życie wojskowe z epoki pierwszego Cesarstwa. Późniejsza powieść p. t. *Pociąg siedmnasty*, wprowadza nas w świat robotników, nie téj gawiedzi poniewierającéj się po szynkach, którą wywłóczy z rynsztoków realistyczna szkoła dzisiejsza, ale uczciwych robotników, pilnie zajętych przy warsztacie.

Ostatni utwór: *Le Drapeau* (Sztandar), poruszył do głębi wszystkie serca. Bohaterami powieści są dwaj starzy kapitanowie gwardyi Napoleońskiéj, którzy, po rozwiązaniu armii zamieszkali spokojnie w mieście Vernon. Po latach wielu dowiadują się z dziennika, że sztandar, zakopany przez nich tajemnie pod Waterloo, podczas gdy ostatni karabatalion bronił się jeszcze z rozpaczliwym wysiłkiem; dowiadują się, powtarzamy, iż ten drogi im sztandar, odkryty został przy grzebaniu trupów, i wpadł w ręce pruskich żołnierzy. Wieść ta zatruwa goryczą ostatek życia biédnych weteranów; odbiera im pocieszającą myśl, że spełnili powinność, że uchronili sztandar swój od zniewagi. Postanawiają bądźcobądź, odebrać ów sztandar, nie zdobyty przemocą, lecz nikczemnie skradziony.

Było to w r. 1855. Podróż z Vernon do Poczdamu daleka była, kosztowna i uciążliwa. Nie zraża to bynajmniéj niedobitków wielkiéj armii. Odmawiają sobie wszystkiego: nie piją wina, ani kawy, nie palą tytoniu; dokładają cierpliwie grosz do grosza. Po trzech latach uciułali razem do dwu tysięcy franków: pewni tryumfu, puszczają się w drogę. Niestety! Krótka radość! W Kolonii jeden z nich umiera na gorączkę. Pozostały zamyka oczy przyjacielowi, rzuca mu garść ziemi na trumnę i sam jeden wyrusza daléj. Przybywa wreszcie do Poczdamu, zdziera sztandar znad trumny Fryderyka. Nie uszło to argusowego oka dozorców. Biédny weteran ucieka przed pogonią; złapany w ciasnéj uliczce, przyparty do muru, broni się rozpaczliwie pięściami. Oblanego krwią, wtrącają Prusacy do więzienia. Trzy lata siedzi za kratą, o chlebie i o wodzie. Wypuszczony na wolność, wraca biédak do Vernon, gdzie umiera wkrótce ze zgryzoty.

Autor umiał z prostéj przygody, wysnuć powieść wysoko poetyczną.

Przy dzisiejszym kierunku, tak realistycznym, ów starzec poświęcający życie dla ideału, zdaje się być anachronizmem. Potrzeba było w rzeczy saméj wielkiéj śmiałości, aby podjąć i przeprowadzić taki przedmiot. P. Claretie wyszedł zwycięzko z próby: powieść jego żywe obudziła współczucie.

Wspomnienia wielkiéj armii, niedawno tak głęboko zagrzebane, taką okryte pogardą, zaczynają nieznacznie wydobywać się na jaw i poruszać znów serca. Uważaliśmy to w teatrze Cluny, na przedstawieniu starego dramatu z r. 1831, pod tytułem: *Czterej sierżanci z Roszelli*. Dramat ten nie wielką ma wartość artystyczną, ale jest wiernem powtórzeniem bardzo dramatycznego faktu. Po upadku Cesarstwa,

tryumfujący Burboni zreorganizowali wojsko po swojemu; wszystkie wyższe stopnie zajęli dawni emigranci, których pierwszém polem były walki prowadzone w Wandei lub nad Renem, przeciw własnéj ojczyznie. Żołnierze pamiętni tryumfów pod Austerlic, Wagram, Jeną, nienawistném okiem patrzyli na dowódzców swoich; widzieli w nich prostych zdrajców kraju. Goręts poczęli spiskować. Na czele ich stanął sierżant Bornes, z trzema towarzyszami. Rzecz wydała się wkrótce; czteréj sierżanci z Roszelli, przypłacili krwią własną szalony zamach: głowy ich spadły w Paryżu, w r. 1822.

Bornes miał narzeczoną, młodą i piękną Franciszkę. Kiedy stanął na rusztowaniu, spostrzegłszy w tłumie ukochaną, rzucił jéj wiązkę kwiatów na znak pożegnania. Franciszka podjęła kwiaty i przez lat z górą czterdzieści, chowała je na sercu. Paryż dotąd pamięta tę biédaczkę. Przed piętnastu laty spotykano jeszcze na cmentarzu Montparnaskim, gdzie pochowano sierżantów, starowinę zgiętą przez pół, wspartą na kiju, z twarzą zżółkłą i pomarszczoną. Mieszkała na poddaszu, blisko bramy cmentarnéj. Żyła bardzo ubogo, z własnéj pracy, nie prosiła nigdy o wsparcie. Umarła w r. 1864. Sąsiedzi świadomi jéj przeszłości, włożyli do trumny suchą wiązkę kwiatków, którą tak troskliwie pielęgnowała za życia, a którą po śmierci znaleziono na jéj zastygłéj piersi.

Nie zatrzymujemy się nad dramatem. Poprowadzony on bardzo słabo, w sposób nie godny przedmiotu, jaki mu dał pobudkę. Bądźcobądź, porusza serca do głębi i wyciska łzy widzom.

Kilka tygodni temu odbyła się rzewna uroczystość, w wielkim tutejszym Zakładzie głuchoniemych. Wobec ministra sprawiedliwości i innych dostojników inaugurowano pomnik księdza de l'Epée, pierwszego twórcy ważnéj instytucyi. Wykonał ten pomnik Feliks Martin, głuchoniemy rzeźbiarz, wychowaniec powyższéj szkoły. Założyciel przedstawiony w pięknéj postawie, uczy stojącego przy nim chłopczyka: znakami przemawia o Bogu.

Na piedestale data urodzenia i śmierci; urodził się w Wersalu, r. 1712, umarł w Paryżu, r. 1789. Po trzech stronach umieszczone płaskorzeźby. Na jednéj ksiądz de l'Epée przyrzeka nieszczęśliwéj matce zająć się wychowaniem upośledzonych jéj dziatek; na drugiéj, daje odmowną odpowiedź cesarzowi Józefowi, który usiłował gwałtem wyprowadzić go z Paryża a osadzić w Wiedniu; na trzeciéj, zgrzybiałym przedstawiony już starcem, tuli się napół skrzepły w chłodnéj izdebce, podczas twardéj zimy 1788 r., aby fundusz przeznaczony na opał, obrócić na potrzeby drogich mu dziatek.

Głuchoniemy rzeźbiarz otrzymał z rąk ministra krzyż Legii honorowéj.

Jeden z uczniów przemówił znakami, drugi podał ministrowi tę mowę wydrukowaną w Zakładzie przez głuchoniemych zecerów.

Gazety z Nicei obsypały téj wiosny pochwałami naszę utalentowaną śpiewaczkę, pannę Kamillę Morzkowską. *Le Monde élégant* mówi o jéj świetném wystąpieniu koncertowém. „Artystka, wyraża się sprawozdawca, odśpiewała aryą z *Wesela Figara* Mozarta, i aryą z *Joanny d'Arc* Verdego, głosem pełnym, dźwięcznym, z metodą świadczącą o doskonałéj szkole." O inném znów wystąpieniu tak się wyraża drugi dziennik: „Część wokalna koncertu powierzoną była śpiewaczce znakomicie utalentowanéj. Sposób śpiewania panny Morzkowskiéj, zupełnie jest oryginalny. Słuchaliśmy jéj z podziwem i zachwyceniem. Skala jéj głosu bardzo rozległa; wysokie tony czyste, prawdziwie kryształowe, średnie pełne i brzmiące; nizkim zaś tónom umié artystka nadać szczególny dźwięk, przenikający do głębi słuchaczów. Odśpiewała prześlicznie mazurka Chopina, układu na śpiew pani Viardot."

Panna Morzkowska przebywa obecnie we Francyi, zkąd zapewne dojdą nas wkrótce wieści, o nowych jéj tryumfach.

KORRESPONDENCYA.

Do Redakcyi Biblioteki Warszawskiéj.

Oceniając potrzebę i ważność tematu proponowanego do konkursu Biblioteki Warszawskiéj: *Historya języka polskiego*, nie mogłem stłumić w sobie pewnych powątpiewań, azali w dobie obecnéj, kwestya ta jest już do stanowczego traktowania dojrzałą. Nauka lingwistyki, jak każda nauka młoda, ma jeszcze, zwłaszcza u nas, zwolenników entuzyastów, łaknących oryginalności, a ztąd pochopnych do poglądów częstokroć zbyt śmiałych, do tworzenia teoryi wątpliwych, narzucanych wszakże ogółowi ludzi ukształconych lub dopiéro kształcących się, lecz wcale nie uzdolnionych do sądzenia o rzeczach tak specyalnych, jak badania językowe.

Bez uroszczeń do wysokiéj kompetencyi, jednakowoż z obeznania się o ile możność mi pozwoliła z pracami lingwistów naszych, powziąłem zdanie, może tylko na poczuciu ducha narodowego oparte, że w ogólności podlegają one zarzutowi, iż nazbyt są wszechsłowiańskie, a zamało uwzględniające prawa do odrębności naszego języka, wyrobionego historyą narodu, odmiennym od samego wystąpienia na widownią dziejów, kierunkiem uspołecznienia i oświaty; z czego wynikły odmienne niż u innych przedhistorycznych krewniaków, życia narodowego objawy: społeczne, moralne, umysłowe i najbardziéj widome ich znamię, język własny. Niemowlęctwo, jakiémkolwiek było, nie zbudowało

żadnych pomników; organiczne zaś wyosobienie indywidualności języka uwieńczoném zostało dojrzałością, wyzwalającą z zależności od innych języków, pierwotnie ze wspólnéj wyszłych kolébki. Zjawisko to dla saméj nawet nauki ma wielką w lingwistyce wagę, dostarcza bowiem nowego stwierdzenia téj właściwości języków rodziny aryo-europejskiéj, na mocy któréj za czasów nawet historycznych, a względnie bardzo niedawnych i w innych téj rodziny szczepach: italskich, germańskich, w podobny sposób powstały nowe języki i wyosobiły się jako organizmy samoistne. Życie dziejowe powytwarzało w łonie tych plemion narody historyczne, a w nagrodę téj pracy dziejowéj każdy z nich posiada własną narodowość, którą umié cenić i własny język (Hiszpanie, Francuzi, Anglicy i i.).

Z tego zapatrywania się wychodząc, mniemam, że w naukowém traktowaniu języka naszego najzupełniéj można i należy obywać się bez materyału obcego, a zatém nie powoływać się na czynniki, które do kształcenia języka nie przyczyniały się wcale, nie naciągać sposobów objaśniania zjawisk mowy, niezgodnych z ewolucyą języka. Czego np. mogą nas uczyć lub do czego zobowiązywać owe jery, jatie, samogłoski dwoiste, czyste i jotowane.

Tymczasem, ponieważ w dotychczasowéj lingwistyce słowiańskiéj koryfeuszem przodującym jest Miklosich (Serb), owych języków przez greczyznę wychowanych, rzeczywiście znawca gruntowny; ponieważ lingwiści nasi od niego się uczą, mniemają przeto, że w wykładzie nauki innych dróg niéma. Nawet prof. Małecki, najwięcéj poczucia polskiego okazujący, nie potrafił w swéj gramatyce bez owych wyżéj wzmiankowanych pomocy się obejść. Inni po téj drodze zaszli daléj za mistrzem cudzoziemcem i tu jest źródło owego nieuznania paktu naszego, uświęconego wiekami z mistrzynią łaciną, która wychowaniu narodu przewodniczyła, owo np. natarczywe zalecanie jotowania pewnych zakończeń żeńskich w imionach z łaciny wziętych, które jak w rodzinnym swym języku, tak i we wszystkich cywilizowanych językach Europy, używających alfabetu łacińskiego, a zatém i u nas w odznaczającéj się prostotą formie, bez tego jotowania były i są dobrze wymawiane i czytane. Natarczywość ta doktrynerska, nacechowana iście jakimś fanatyzmem szkolniczym, nie pojmuje i nie zważa na łatwy innym do pojęcia wstręt i opór, jaki poczucie narodu jéj stawi; powtarza argumenta swoje poczerpniete z kirylicy, bałamutną naukę na własną odpowiedzialność wlewa od młodości w szkole, usuniętéj dzisiaj z pod kontroli narodu i zaczyna kosztować już owoców zgorszenia. Najpierw gazety codzienne z nałogu chwytające nowości, dały przykład tego zboczenia z toru historycznéj tradycyi, a lubo wszystkie poważniejsze, rychło się z téj drogi wycofały, coraz gęściéj odtąd pokazywała się i w piśmie i w druku owa zalecana pisownia. Po głośném wystąpieniu ks. Malinowskiego, nawet korporacya najwyższy w kraju przywilej naukowy piastująca, któréj jednéj przystałoby w téj raz po raz wznawianéj kwestyi wschodniéj użyć powagi i dać przykład; zamiast tego, poło-

wicznie wprawdzie i chwiejnie, ale już nienarodowemu temu nowatorstwu ulega. Nie zaprzeczy nikt, że brak ten zasady i płynąca ztąd niejednostajność, zewnętrznéj szaty języka w publikacyach Akademii nie wygląda poważnie.

Przed pół wiekiem, Towarzystwo Przyjaciół Nauk uczuwało już potrzebę naukowych badań nad językiem i z łona swego wybrało na ten cel pracowników. Bliżsi tradycyi narodowéj, pełném jeszcze życiem tchnącéj, uczestnicy lub świadkowie wielkiego sejmu, rówiennicy dzielnych mówców z kazalnicy, z katedry i trybunału, badania swoje oparli przeważnie na podstawie zwyczaju narodowego, rozumiejąc pod tém wyrażeniem odbicie form językowych w wyższych objawach narodowego życia i w mowie ludzi przodujących społeczeństwu. Dzisiaj rozporządzamy w badaniach naukowych bogatszym materyałem, posiadamy udoskonalone metody, które wytworzyła już późniéj nauka; możemy tedy uznać; że dziś nie wystarcza już dla badań tego rodzaju jeden tylko punkt podpory; tém niemniéj jednak, choć nie będzie już jedynym, nazawsze powinien pozostać pierwszorzędnym i zasadniczym, bo wlewa ducha i nadaje kierunek; jest i będzie drogowskazem, broniącym od zejścia na manowce z drogi właściwéj.

Dzisiaj przeto, przystępujący u nas do badań nad językiem ojczystym, powinien obok odpowiedniego ukształcenia lingwistycznego, równe przynajmniéj dawać rękojmie należytego wyrobienia politycznego, dojrzałości pozwalającéj utrzymać się wyżéj ponad sferą przemijających w nauce prądów, młodzieńczego a niewczesnego nowatorstwa, najfałszywszych sympatyi, a umiéć stać silnie na godziwym gruncie praw narodowych, w potrzebie zaś bronić ich nietylko od przemocy, ale i od zdradliwych insynuacyi, grożących ich podkopaniem.

Wyrażone tu wątpliwości względem odpowiedniego potrzebie czasu rozwinięcia, podanego do konkursu zadania, niémiały wcale zamiaru odwodzenia od traktowania tego przedmiotu. Kwestya—nietykana nie posuwa się naprzód, nie wyjaśnia się, nie dojrzewa; prace zaś, choćby nawet jednostronne, pod urokiem pewnych uprzedzeń, lub dla braku samodzielności, pod wpływem obcéj szkoły dokonane, aby tylko przez ludzi szczerych, narodowość swą szanujących i miłujących, a dostatecznym zasobem nauki i talentu obdarzonych, jeśli oczekiwaniu w zupełności nie odpowiedzą, to zawsze zostaną cennym dla następców przyczynkiem. Wystąpienia przeto mojego celem, było jedynie obudzić czujność przeciwko pewnym teoryom, niedającym się pogodzić z historycznym rozwojem naszego języka, tudzież spowodować jasne wypowiedzenie tego, czego od téj pracy mamy prawo wymagać.

A. Wałecki.

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Złota księga szlachty polskiéj. Przez Teodora Żychlińskiego. Rocznik pierwszy. Poznań 1879 r.

Rocznik pierwszy *Złotéj księgi szlachty polskiéj*, o którym słów kilka powiedzieć zamierzamy, obejmuje kilkadziesiąt mongrafii historyczno-genealogicznych rodzin polskich.

Pan Żychliński dostrzegłszy, że w żadnym może kraju większéj niéma apatyi i obojętności na stosunki rodowe i rodzinne jak u nas, pragnie wydawnictwem tém, które w poszytach rocznych na wzór *Almanachu gotajskiego* wychodzić będzie, obudzić poczucie rodzinne tam, gdzieby było potrzeba, zapoznać nieznanych a blizkich krwią ze sobą, przypominać i uprzytomiać rodzinnym kołom ich związki i tradycyą: księgi rodzinne za nic prowadzić.

Że autor *Złotéj księgi* miał na celu pożytek ogółu, wątpić nie można, ale że go nie osiągnął, z żalem przyznać musimy.

Wydawnictwa Akademii umiejętności i galicyjskiego wydziału krajowego, pomniki Helcla, kodeksy dyplomatyczne i liczne źródła dziejowe, stanowią obok akt przechowanych w archiwach, nieprzebrany skarb dla heraldyka, z którego czerpać winien wiadomości do prac swoich. Na takich źródłach praca jego oparta, będzie prawdziwém odbiciem przeszłości rodowéj szlachty polskiéj i nawet stanowić może ważny przyczynek do dziejów krajowych. Kołom zaś rodzinnym wskazawszy autor źródła, z których sam czerpał, powoli zapozna je z niemi i obudzi w nich chęć do bliższego zapoznania się z życiem swoich praojców, przez skrzętne zbieranie o nich dokładnych wiadomości.

Jeżeli zaś autor dzieła heraldycznego, jakto właśnie p. Żychliński uczynił, nie wesprze się w swéj pracy na prawdzie historycznéj, a do kreślenia monografii służyć mu będą przeważnie za podstawę, zawarte w *Herbarzu* Niesieckiego i udzielone mu przez rodziny wiadomości, nie poddawszy ich wprzód surowéj krytyce; praca taka nietylko że nie przyniesie najmniejszego pożytku ogółowi, ale będzie miała ten zły skutek, że wskaże kołom rodzinnym sposób, w jaki dla dogodzenia swéj próżności, układać mają genealogie swoich domów.

Rodowody Borkowskich i Męcińskich, tak jak są zamieszczone w *Złotéj księdze*, nie powinny były znaleźć miejsca w poważnéj pracy; podaniem ich autor dziełu swojemu wielką krzywdę wyrządził i złamał sam odrazu kierunek, który był winien wydawnictwu temu nadać.

Nie mamy zamiaru dać sprawozdania z całości *Złotéj księgi*, bo te tylko usterki wykazać i błędy sprostować pragniemy, co do których zdanie nasze odpowiedniemi dowodami poprzéć możemy.

Idziemy porządkiem alfabetycznym.

W rodowodzie Bnińskich h. Łodzia, p. Żychliński wyliczając dygnitarzy téj rodziny, wspomina o Jakóbie w 1280 r. wojewodzie poznańskim i o Andrzeju w 1293 r., kasztelanie kaliskim. Otóż ani pierwszy ani drugi nie piastowali wzmiankowanych urzędów.

W 1280 r. wojewodą poznańskim był Beniamin, przed nim Tomisław, który objął ten urząd po Przedpełku.

Po Beniaminie był znów wojewodą inny Tomisław, w przeciągu lat 1252—1294. Jakóba wojewody poznańskiego wcale niéma (Helcla *Starodawne prawa polskiego pomniki* t. I; *Tabela dostojników wielkopolskich* i *Kodeks dyplomatyczny wielkopolski* t. I).

Kasztelanem kaliskim w 1293 r. był nie Andrzéj a Berwald, który na tym urzędzie pozostawał w latach 1290—1299 (*Tabela dostojników*, Helcla i *Kod. dypl. wielkopolski* t. II, nr. 805). Daléj autor powiada, że Mirosław syn Przedpełka kasztelan bniński, zmarły około 1260 r. wojewodą poznańskim, otrzymał od Przemysława II prawo niemieckie dla Bnina, Rogalina i t. d. I tu niedokładność. Mirosław rzeczywiście otrzymał prawo niemieckie dla powyższych osad, ale dopiéro w 1294 r., nie mógł więc umrzéć wojewodą poznańskim około 1260 r. (*Kod. dypl. wielkopolski* t. II, nr. 718).

Rodowód rodziny Duninów-Borkowskich h. Łabędź, wywodzącéj swój początek od króla duńskiego Eryka (1095—1103 r.) i poprowadzony bez żadnéj przerwy po dzień dzisiejszy, na szczególną zasługuje uwagę. Wielka jednak szkoda, że autor *Złotéj księgi*, podając nam tak dokładne wiadomości z odległéj przeszłości, nie wskazał źródeł, z których je zaczerpnął. W monografii téj, prawdopodobnie autor szedł za Niesieckim, z tą jednak różnicą, że podanych przez Niesieckiego w chronologicznym porządku, wątpliwéj autentyczności szereg dygnitarzy rodu Duninów, przyjmuje za pokolenia po sobie idące i jako takie do rodowodu Borkowskich przenosi. Protoplastą Duninów-Borkowskich, podług autora *Złotéj księgi*, jest Piotr Dunin, syn Wilhelma podskarbiego królestwa duńskiego, a wnuk króla Eryka. Pojął on za żonę w 1104 r. Maryą, córkę Światopełka, wielkiego księcia kijowskiego; umarł 1153 r., zostawiwszy liczne potomstwo. Córka jego Beatriksa poślubiła Jaksę, księcia Serbii; syn zaś najstarszy Piotr, był w 1190 r. pierwszym kasztelanem łęczyckim. Syn tego Piotra Otton, miał syna Piotra w 1240 r. wojewodę łęczyckiego, którego syn także Piotr w 1271 r. kasztelan sandomirski, pozostawił syna Mikołaja, dziedzica Borkowic, od którego już daléj idą Borkowscy.

Chociaż proste przytoczenie powyższego ustępu monografii Borkowskich, już daje dostateczne wyobrażenie o jéj wartości i o sposobie, w jaki autor *Złotéj księgi* tworzy rodowody niektórych rodzin, nie mo-

żemy się jednakże powstrzymać od wykazania bezzasadności tego wywodu pochodzenia rodziny Borkowskich, od króla duńskiego Eryka.

Wydana poraz pierwszy w 1865 r. przez Mosbacha, a obecnie zamieszczona w tomie III *Pomników dziejowych: Kronika o Piotrze Właście* poucza nas, że nie Piotr Duńczyk, a Piotr syn Własta, Słowianin więc z pochodzenia, był doradzcą i przyjacielem króla Bolesława, fundował przeszło 70 kościołów, żonaty był z Maryą księżniczką ruską i Jaksę miał za zięcia. Wiadomość o Piotrze synie Własta, przechowana w téj kronice, znajduje potwierdzenie w najdawniejszych historycznych źródłach wspominających o Piotrze.

Tak *Kronika zwifalteńska* jak *Kronika polska*, mistrz Wincenty i Herbord, znają tylko jednego Piotra i to syna Własta. Boguchwał dopiéro pierwszy, niewiadomo na jakiéj podstawie, wprowadza na widownię dziejową dwu Piotrów: Piotra syna Własta, pogromcę Wołodara i Piotra Duńczyka, kładąc na karb tego ostatniego to wszystko, co niezaprzeczenie do pierwszego odnieść należało.

Długosz w swéj historyi, obok Piotra Włoszczowicza umieszcza Piotra Duńczyka, dając mu raz za ojca Wilhelma, drugi raz Świętosława.

Wszystkie powyższe źródła nietylko że nam nie dają żadnéj pewnéj wiadomości o królewskiém pochodzeniu Piotra Duńczyka, ale nawet istnienie jego w wątpliwość podają. Lecz czy przyjmiemy, że Piotr Duńczyk i Piotr syn Własta były dwie różne osobistości, w jednym żyjące czasie, jak to czynił hr. Stadnicki (*Przyczynek do heraldyki*, Lwów 1879 r.), czy téż zgodnie ze zdaniem dr. Semkowicza (Wstęp do *Kroniki o Piotrze Właście*) powiemy, że Piotr Duńczyk i Piotr syn Własta są jedną i tą samą postacią historyczną; zawsze ten Piotr czy przybył on z Danii, czy był synem Własta, nie mógł być protoplastą Borkowskich, gdyż niémiał syna Piotra, po którym podług *Złotéj księgi* idą Borkowscy. A na to wszystkie się źródła zgadzają. Długosz wspomina o dwu jego synach: Idzim i Konstantym, inne źródła znają tylko jednego Idziego. Zkąd więc autor *Złotéj księgi* zaczerpnął wiadomość o licznem jego potomstwie i najstarszym synie Piotrze, pozostaje zagadką.

Nie możemy również pominąć w monografii Borkowskich tego szczegółu, że w rodowodzie ich od 1578 po 1640 r., t. j. w przeciągu 70 lat, spotykamy aż pięć pokoleń po sobie idących.

Syn Jana Stanisław, który żył w 1578 r. i miał być kasztelanem połanieckim, pozostawił syna Jana (linia senatorska), ten znów Stanisława, po którym idzie trzeci Jan, a tego syn Stanisław miał zostać w 1640 r. kasztelanem połanieckim. Gdybyśmy przyjęli na każde pokolenie tylko lat 20 i że ostatni Stanisław w 21 roku życia został kasztelanem połanieckim, to i tak tych wszystkich pięciu Borkowskich w tym przeciągu czasu pomieścićby się nie dało.

Widocznie w rodowodzie popełniono pomyłkę, chcąc koniecznie wszystkich trzech Janów i trzech Stanisławów, odnieść do jednéj gałęzi Borkowskich.

Prawdopodobnie Stanisław, który miał być kasztelanem połanieckim, a żył 1578 r., miał syna Jana, który umarł przed 1647 r. i z Katarzyny Gołuchowskiéj pozostawił syna Stanisława i córki: Zofią, Elżbietę i Krystynę (*Metr. Kor.* ks. 190, fol. 322). Ten Stanisław, 1664 r. łowczy sandomirski, w marcu 1670 r. stolnik lubelski, został w kwietniu 1670 r. kasztelanem połanieckim (*Sig. Metr.* ks. 11).

Jan zaś, który podpisał elekcyą Jana Kazimierza, nie był wcale ojcem Stanisława kasztelana i wraz ze swoim ojcem Stanisławem, do innéj linii Borkowskich odnosić się musi.

Protoplastą rodziny Chełmskich h. Ostoja, ma być Mikołaj, syn Ścibora Ściborowicza wojewody siedmiogrodzkiego, który wraz z braćmi: Piotrem kasztelanem połanieckim i Ściborem, żyli w pierwszéj połowie XV stulecia. Tak nie jest, i gdyby autor *Złotéj księgi*, zamiast szukać protoplasty Chełmskich w Siedmiogrodzie, obejrzał się staranniéj po krakowskiéj ziemi, byłby znalazł w sądowych zapiskach zebranych przez Helcla, że Piotr kasztelan połaniecki i Mikołaj są synami Hanka z Chełmu, a Ścibor nie jest ich bratem a synem Piotra.

W 1389 r. żył Hanko z Chełmu (Helcel t. I, nr. 241) z żony Katarzyny zostawił sześciu synów: Piotra, Imrama, Jana, Hanka, Mikołaja i Jakóba, którzy w 1404 r. oddają matce swéj w dożywocie wieś Chełm (Helcel t. II, nr. 1082).

Piotr najstarszy z nich, w 1436 r. kuchmistrz królowéj Zofii, a w latach 1436—1445, kasztelan połaniecki (*Vol. Leg.* 1436, u Helcla lata 1439—1445) dziedzic na Woli-chełmskiéj, Przegorzałach i Bielanach, w r. 1445 r. oddał je najstarszemu swemu synowi Janowi (Helcel, t. II, nr. 3222). Z aktu tego okazuje się, że miał drugiego syna Ścibora, żonatego z Anną wdową po Janie Straszu (Helcel, t. II, nr. 285). Do tego Ścibora, syna Piotra kasztelana połanieckiego, który dziedzicem był Pońca (*Metr. Kor.* 10, f. 108), odnieść należy wszystko co o Ściborze w *Złotéj księdze* powiedziano. Jan, najstarszy syn Piotra, był także kasztelanem połanieckim w 1451 r. (Helcel, t. II, nr. 3459 i 3465).

Niepodobna przypuścić, ażeby ten sam Mikołaj, brat kasztelana połanieckiego, którego chociaż jeszcze nieletniego, u Helcla pod r. 1404 znajdujemy, był ojcem: Marcyana, Jana, Remigiana i Juliana, którzy po raz pierwszy zeznają dopiero akta około 1520 r. (*Metr. Kor.* ks. 39, f. 165, ks. 31, f. 176, ks. 35, f. 901). Inny więc Mikołaj musiał być ich ojcem, ten żył jeszcze w 1518 roku, żonaty był z Anną i pisał się do Chełm (*Metr. Kor.* ks. 33, f. 167, ks. 45, f. 264). Marcyan I chorąży krakowski miał nie trzech synów wymienionych w *Złotéj księdze*, lecz jednego, także Marcyana, któremu w 1569 r. ceduje chorążostwo krakowskie (*Metr Kor.* 105, f. 327). Ten drugi dopiero Marcyan zostawił czterech synów: Mikołaja, Marcyana, Stanisława i Krzysztofa; trzej pierwsi prawa swe do spadku po siostrze Katarzynie Oraczowskiéj, odstępują w 1608 r. bratu Krzysztofowi (*Metr. Kor.* 152, f. 411). Z nich Mikołaj żonaty był z Jadwigą Waliszewską (*Metr. Kor.* 152, f. 519),

a Marcyan III z Dorotą Gostomską, córką Tomasza wojewody mazowieckiego, o czém plenipotencya téjże z r. 1637, w grodzie czerskim zeznana przekonywa (Akta ziems. czers., ks. 19, f. 83). Że Józef Chełmski był synem Andrzeja, a nie Marcyana obożnego koronnego, że tenże Józef miał dwie siostry: Annę za Tworzyańskim i Teresę za Czarnockim, że nakoniec sam z Heleny Zielonackiéj pozostawił dwu synów: Heliodora i Stanisława, przekonywa o tém wyrok trybunału piotrkowskiego z dnia 18 grudnia 1748 r. o dobra Łukomia wydany.

W starannie skreślonéj monografii Cieleckich h. Zaremba, prostujemy następujące niedokładności.

Mikołaj Cielecki był pewnie komornikiem granicznym lub ziemskim, a nie komornym kaliskim, gdyż urzędu takiego nie było.

Krzysztof nie z cześnika, a z podczaszego został kasztelanem szremskim i to nie w r. 1613, a 3 marca 1620 r. (*Metr. Kor.* nr. 166, f. 31). Umarł przed 18 kwietnia 1627 r.

Syn Bartłomieja, a wnuk Mikołaja „Groszka" Jan Cielecki, z pisarza grodzkiego poznańskiego w 1597 r. podstoli poznański, oprócz dwu wzmiankowanych w *Złotéj księdze* synów: Bolesława i Jana, miał jeszcze syna Zygmunta, ktoremu w 1612 r. ceduje wieś Gonięcin (*Metr. Kor.* nr. 154, f. 208).

Jakób był stolnikiem poznańskim a nie podsędkiem, po jego śmierci otrzymał ten urząd w 1621 r. Jerzy (*Metr. Kor.* nr. 165, f. 383). Podsędkiem zaś był Łukasz, który objął ten urząd po Niegolewskim w 1622 r. (*Metr. Kor.* nr. 168, f. 47).

Elżbieta córka Jakóba, była 1 v. za Adamem Brodnickim, 2 v. za Kobierzyckim (*Metr. Kor.* nr. 179, f. 241).

Piotr Czarnecki od którego autor *Złotéj księgi*, rozpoczyna rodowód domu Czarneckich h. Prus III-tio, nie był kasztelanem zakroczymskim w 1620 r., ani następnie kasztelanem zawichojskim.

Kasztelanem zakroczymskim w 1613 r. jest Jakób Lelowski, (*Vol. Leg.*), po śmierci którego otrzymuje ten urząd w styczniu 1620 r. Jan Brochowski (*Metr. Kor.* nr. 166, f. 28) i jest nim jeszcze w 1633 r. (*Vol. Leg.*). Kasztelanem zawichojskim po Maksymilianie Przerębskim 1 stycznia 1620 r. zostaje Hermolaus Ligęza i jest nim do grudnia 1624. Po nim w lutym 1625 r. zostaje Mikołaj Porębski, po śmierci którego w 1637 r. otrzymuje nominacyą Bartłomiéj Kazanowski (*Metr. Kor.* ks. 163, f. 379, ks. 166, f. 1, ks. 172, f. 114 i ks. 182, f. 163).

Giżycki Wojciech (f. 53) nie mógł być wojewodą bełzkim w 1620 roku, gdyż po śmierci Niszczyckiego został nim w 1617 r. Prusinowski, po nim w 1619 r. Leszczyński, który umarł dopiero w 1636 r. (*Metr. Kor.* ks. 161, f. 118, ks. 163, f. 193 i ks. 182, f. 67). Wprawdzie Niesiecki zamieścił Wojciecha na liście wojewodów bełzkich, lecz jedynie z zasady że w Konst. sejm. z 1620 r. wspomniany jest Mikołaj Giżycki, jako wojewodzic bełzki; nie wypływa ztąd jednak, ażeby Wojciech był w r. 1620 wojewodą, jak się to podobało p. Ż. napisać.

Kiełczewski Wacław z biechowskiego kasztelan lendzki, został w 1620 r. kasztelanem łęczyckim, a w 1627 r. podkomorzym koronnym (*Metr. Kor.* nr. 176, f. 170). Był żonaty nie z Karnkowską, lecz z Anną Maryą Duninówną, z którą jeszcze jako starosta wschowski w 1596 r. wieś Niwki w dożywocie otrzymuje (*Metr. Kor.* nr. 140, f. 294). W 1621 r. będąc już kasztelanem łęczyckim, otrzymuje już comunicativum na wieś Tuczno dla żony Maryanny à Donna (*Metr. Kor.* nr. 165, f. 354): czy to pomyłka pisarza, czy też rzeczywiście drugą jego żoną była taż Maryanna, nie wiadomo.

Izabela Karnkowska córka Jana wojewody płockiego, była żoną Krzysztofa Kiełczewskiego cześnika łęczyckiego; posiadali w 1628 r. dożywociem wieś Tuczno (*Metr. Kor.* nr. 177, f. 87). Po śmierci Kiełczewskiego wyszła rzeczywiście za Konarskiego.

Cecylia Kossecka, córka Ksawerego Franciszka, żona Józefa Lubowidzkiego, a nie Lubowieckiego.

Lubowidzcy h. Topacz pochodzą z województwa rawskiego, ze wsi Lubowidza.

Monografia Krzyżanowskich h. Dębno, jest wyciągiem z obszerniejszéj pracy, przygotowanéj do druku przez dr. Stanisława Krzyżanowskiego.

Co do niéj, przedewszystkiem sprostować musimy, że Piotr z Krzyżanowic, który pierwszy zwał się Krzyżanowskim, nie był podsędkiem krakowskim, pomimo że go takim mieni autor.

Z zapisek sądowych Helcla, mamy dokładny spis podsędków krakowskich, którzy ten urząd od 1370 r. po 1503 r. sprawowali. W ich liczbie znajdujemy dwu Piotrów: jednego z Bąkowca w latach 1410—1413, drugiego Czikowskiego od 1442 r. po 1454 r. Piotra z Krzyżanowic wcale w ich liczbie niéma.

Autor monografii téj utrzymuje, że Jan Krzyżanowski dowiedziawszy się o dziewicy dziwnéj piękności, a dziedziczce wielkich dóbr Jadwidze Księskiéj, zamkniętéj na zamku w Iłży, napadł na ten zamek, zrabował, a pochwyconą Jadwigę poślubił. Autor zaś *Złotéj księgi* w przypisach dodaje, że cała ta sprawa napadu na zamek w Iłży i poślubienia Jadwigi Księskiéj, nie jest dostatecznie wyjaśnioną.

Gdyby był p. Żychliński przed wydaniem monografii Krzyżanowskich, starannie odczytał zapiski sądowe Helcla, byłby w nich znalazł szczegółowy przebieg całéj téj sprawy i przekonał się, że Krzyżanowski nigdy nie był mężem Jadwigi Księskiéj, że wprawdzie napadł na zamek w Iłży i nawet zrabował takowy, ale prawdopodobnie wtenczas, gdy już w nim Jadwigi Księskiéj nie było.

W 1434 r. nastąpił układ pomiędzy Janem Oleśnickim podówczas marszałkiem wielkim koronnym, a Spytkiem z Melsztynu, na mocy którego syn marszałka Zbigniew, miał poślubić Jadwigę Księską córkę Jaśka. Układ ten jednak nie przyszedł do skutku, bo 2 października 1441 r. Oleśnicki z Jadwigą Księską zwalniają się wzajemnie z przyjętych na siebie zobowiązań, a Oleśnicki oddaje trzymane przez siebie

dotychczas jéj włości Rabsztyn i Książ (Helcel, t. II, nr. 2519, 2531 i 2912).

W kilka tygodni późniéj, bo 27 listopada tegoż roku, Jadwiga córka Jaśka z Melsztynu, jest już żoną Andrzeja Tęczyńskiego kasztelanica woynickiego, z którym wzajemne zeznają dla siebie zapisy (Helcel, t. II, nr. 2922 i 2924).

Ten Andrzéj zabity przez mieszczan krakowskich, pozostawił z Jadwigi syna Jana, który się pisał Rabsztyńskim. (Helcel, t. II, nr. 3701, 3704 i 3706).

W dwa lata dopiero po wyjściu za mąż Jadwigi, bo 1443 r. znajdujemy toczącą się w sądzie sprawę Oleśnickiego przeciwko Krzyżanowskiemu, o napad na zamek w Iłży i zrabowanie takowego (Helcel, t. II, nr. 3155 i 3164).

Mikołaj Lasocki h. Dołęga, podkomorzy dobrzyński i starosta łęczycki, żonaty z Dorotą Melsztyńską, nie był marszałkiem wielkim, lecz marszałkiem nadwornym koronnym; właśnie dzieło Helcla, na które się autor *Złotéj księgi* powołuje, głównie tego dowodzi.

Marszałkiem wielkim koronnym w latach 1440—1461, był Mikołaj z Brzezia (Helcel, t. II i A. G. Z., t. IV). Mikołaj Lasocki raz jeden wzmiankowany jest u Helcla marszałkiem nadwornym pod r. 1468, (nr. 3918).

Jakób syn Stanisława nie z kasztelana inowrocławskiego, a z inowłodzkiego, został kasztelanem łęczyckim. Kasztelanem inowłodzkim mianowany 22 października 1545, a łęczyckim 27 lipca 1550 r. (*Metr. Kor.* ks. 70, f. 222 i ks. 78, f. 413). Agnieszka Brochowska żona Olbrachta-Adryana Lasockiego, była córką nie Jana kasztelana, lecz Feliksa pisarza ziemskiego zakroczymskiego (*Metr. Kor.* nr. 201, f. 448).

Ani Paprocki, ani Okolski nie wspominają, ażeby Męcińscy h. Poraj, wprost od Kurozwęckich ród swój wiedli, a Starowolski umieścił w *Monumentach* nagrobek Stanisława z Kurozwęk i Michałowa, syna Dobiesława kasztelana sandomierskiego, który opiewa, że tenże Stanisław ostatnim był ze swojego rodu, i że ze Zborowskiéj pozostawił jedyną córkę Barbarę.

Niesiecki pierwszy dopiero wzmiankował, że od Kurozwęckich idzie dom Męcińskich. Wielądek daléj zaszedł i wymieniwszy Piotra, Krzesława i Stanisława z Kurozwęk dodał: że ci mieli znaczne potomstwo, które wzięło imie Męcińskich.

Autor *Złotéj księgi* już wprost rodowód Męcińskich od Kurozwęckich poczyna. Doszedłszy do Stanisława z Kurozwęk, podskarbiego nadwornego, żonatego ze Zborowską, powiada, że syn jego Wojciech nabywszy dobra Męciny, od nich pisać się zaczął i od tegoż Wojciecha prowadzi daléj ród Męcińskich.

Stanisław więc z Kurozwęk, na którego nagrobku wypisano, że był ostatnim z tego rodu, jest podług p. Ż. protoplastą Męcińskich.

Może być, że to co nam Starowolski o nagrobku Stanisława z Kurozwęk przechował, należy wziąć w tém znaczeniu, że ten Stanisław

był ostatnim z historycznéj linii Kurozwęckich, idącéj od Dobiesława kasztelana krakowskiego, a tém samém, że i Męcińscy mogą pochodzić od któréj bocznéj odnogi tego domu, np., że idą po Stefanie, Mszczuju, Tomisławie lub Macieju z Kurozwęk, których w zapiskach Helcla znajdujemy (Helcel, t. I, nr. 165, t. II, nr. 432 i 941). Uwierzyć jednak temu, że Wojciech Męciński był synem tego ostatniego potomka historycznéj linii Kurozwęckich Stanisława, na proste twierdzenie autora *Złotéj księgi* w żaden sposób nie możemy.

Miączyński Piotr, żonaty nie z Cieślińską, a z Reginą Cieklińską; (*Metr. Kor.* nr. 180, f. 410); słusznie przeto Bobrowicz mylnie napisawszy jéj nazwisko, przypisał jéj herb Habdank, którym się rodzina Cieklińskich pieczętuje.

Mielżyński Łukasz, kasztelan gnieźnieński, miał oprócz Łukasza, drugiego syna Andrzeja (*Metr. Kor.* nr 165, f. 63 i 64).

Żoną Mikołaja kasztelana gnieźnieńskiego była podług *Metr. Kor.*, nie Rokosowska, a Radoszewska Katarzyna; córka ich Anna wyszła nie za Wacława, a za Przecława Leszczyńskiego, starostę nakielskiego i kcyńskiego, syna Andrzeja wojewody brzeskiego (*Metr. Kor.* nr. 177, f. 99). Niesiecki mieni tego Przecława wojewodą derpskim, lecz nim nie był; natomiast konstytucya sejmowa z 1649 r. wspomina o nim, jako kasztelanie szremskim.

Wacław Leszczyński, kanclerz wielki koronny niémiał syna Wacława; ustanawiając opiekę nad dziećmi w 1623 r., wymienia: Andrzeja, Władysława, Jana, Rafała, Maryą, Annę i Barbarę (*Metr. Kor.* nr. 170, f. 577).

Nie Wacław Leszczyński lecz Władysław był wojewodą łęczyckim, którego żona Katarzyna Gajewska.

Dziwna rzecz, że Niesiecki zamieszcza na liście wojewodów łęczyckich Wacława i w tekscie o nim pisząc, powołuje się na konstytucyą sejmową z 1661 r., która właśnie dowodzi, że nie Wacław, lecz Władysław był wojewodą łęczyckim. Pan Ż. zawsze ślepo idąc za Niesieckim i tu powtarza pomyłkę przez niego popełnioną, a mógł ją łatwo sprostować odczytawszy wyżéj przytoczoną konstytucyą sejmową.

Krzysztof Mielżyński, syn Krzysztofa, niemógł być kasztelanem kaliskim w 1638 r., urząd ten bowiem piastował Kacper Zebrzydowski, mianowany jeszcze w 1624 r., po śmierci którego otrzymał to krzesło w 1649 r. Jakób Rozrażewski (*Metr. Kor.* ks. 171, f. 44 i ks. 191, f. 236).

Żoną Jakóba Mielżyńskiego, syna Krzysztofa, była nie Konstancya lecz Anna Grudzińska. Jakób był starostą kcyńskim (*Sig.* ks. 3, f. 143).

Morsztynowie herbu Leliwa, nie pochodzą od Mondsternów i nie przybyli dopiéro w XVI stuleciu do Polski, gdyż ich już w XV stuleciu pomiędzy mieszczanami i rajcami krakowskimi znajdujemy. Stanisław rajca krakowski 1462 r., Jerzy, żupnik krakowski i ruski, syn tegoż Jerzy, rajca krakowski, nabył kopalnie w Swoszowicach (Helcel, t. II, nr. 3662, 3975, 3994, 4097 i 4283).

Jerzy nobilitowany w 1492 r., był przypuszczony do herbu Leliwa, przez Tarnowskich (*Metr. Kor.* ks. 56, f. 47).

Pisali się Morstyn, Mornstin, Mornsteyn, Morstin, Morsthein, ale nigdy Mondstern.

Ostroróg Andrzej, starosta garwoliński i drohowiski, żonaty był nie z Emerencyanną Stadnicką, lecz z Maryanną, córką Jana Kazimierza (*Metr. Kor.* nr. 196, f. 130 i 131), która drugi raz wyszła za Wojciecha Emeryka Mleczkę, wojewodę podlaskiego.

Dobiesław z Oleśnicy był wojewodą sandomirskim nie w 1413 r., lecz w 1440 (Helcel t. II). W latach 1410 i 1430, wojewodą był Mikołaj z Michałowa.

Sierakowski Marcin, syn Stanisława, był kasztelanem inowłodzkim, a nie inowrocławskim. Mianowany 29 listopada 1603 r. Jest jeszcze o nim wzmianka pod r. 1619, zawsze jako kasztelanie inowłodzkim, staroście przedeckim (*Metr. Kor.* ks. 148, f. 197 i ks. 163, f. 260).

Jan najstarszy syn Marcina, z kasztelana santockiego został w 1649 r., kasztelanem bydgoskim (*Metr. Kor.* nr. 192, f. 62).

Ojcem Jadwigi Modliszewskiéj, żony Łukasza Sierakowskiego, był Andrzej, starosta łomżyński (*Metr. Kor.* nr. 134, f. 199). Jan Szymon Szczawiński, mąż Reginy Sierakowskiéj, był synem Jakóba wojewody brzeskiego, urodzonym nie z Karnkowskiéj lecz z Zofii z Warzymowa Sokołowskiéj. Już w 1619 r. występuje w aktach tenże Jakób z żoną Sokołowską, o któréj jest jeszcze wzmianka pod r. 1638, już jako o wdowie (*Metr. Kor.* ks. 163, f. 147 i ks. 185, f. 5).

Domicela, córka Jana Szymona Szczawińskiego, wojewody brzeskiego, żoną nie Krystyna, lecz Konstantego Lubomirskiego, podczaszego koronnego (*Metr. Kor.* ks. 192, f. 123 i *Sig.* ks 5, f. 112).

Stadnickich linia, pisząca się ze Żmigrodu, wydała od 1490 r. trzech wojewodów i dziesięciu a nie czterech kasztelanów, jak się podobało autorowi *Złotéj księgi* zamieścić.

Oprócz kilkudziesięciu monografii znajdujemy w *Złotéj księdze* tablice genealogiczne domu Pilawitów Potockich. Tablice te ułożone zostały przez p. Ż. na podstawie *Monografii Potockich*, skreślonéj przez hr. Kossakowskiego i notat udzielonych mu łaskawie pzez niektórych członków téj rodziny.

Dlaczego autor *Złotéj księgi* nie poszedł za przykładem danym mu przez hr. Kossakowskiego i nie rozpoczął rodowodu Potockich od Macieja, od którego zaczynają się niezbite dokumenta genealogiczne tego domu i od którego sama rodzina Potockich, genealogią swoję rozpoczyna?

Dlaczego dał im za protoplastę Jakóba, który miał być w 1398 r., kasztelanem radomskim, a w rzeczywistości nigdy nim nie był: trudno zrozumiéć.

Że Jakób z Potoka nie był w 1398 r. kasztelanem radomskim, dowodzą zapiski sądowe Helcla, w których znajdujemy na tym urzędzie

w latach: 1390, 1398, 1400 i 1403, Klemensa, który jak nas *Volumina Legum* pouczają, pisał się z Mokrska (*Vol. Leg.* r. 1413).

Tak dla wiadomości autora *Złotéj księgi*, jakotéż przyszłych heraldyków, którzyby o domie Potockich pisali, oprócz powyższego sprostowania dajemy o téj rodzinie następujące szczegóły:

Jakób Potocki, który miał być marszałkiem dworu Zygmunta Augusta, podówczas królewicza, z podsędka został w 1543 r., podkomorzym halickim (*Metr. Kor.* nr. 64, f. 275).

Tenże Jakób nie był żonaty z Koźmińską, albo téż ta Koźmińska była wprzód za Jemielnickim i liczniejsze z niéj zostawił potomstwo niż to, o którém autor *Złotéj księgi* wzmiankuje, gdyż w aktach warszawskich zwanych *dudkami*, w ks. 43, f. 465, pod rokiem 1556 znajdujemy wyrok działowy zapadły pomiędzy Łucyą, żoną Mikołaja Szczuckiego, Anną Dobromirską, Mikołajem, Janem, Andrzejem, Elżbietą, żoną Jana Śmietanki, Anną, żoną Mikołaja Korycińskiego i Katarzyną panną, dziećmi niegdy Jakóba Potockiego podkomorzego halickiego i Katarzyny Jemielnickiéj, o dobra ojczyste Babczyńce, alias Krzyków, Suchodół, Kowiaczen, Krzewo, Bednarów i Sidorów. Jednocześnie z Jakóbem Potockim żył Jan Potocki, który w 1542 r. został cześnikiem halckim, (*Metr. Kor.* ks. 63, f. 114).

Żonie Mikołaja Potockiego Czermińskiéj, było na imię Anna; posiadali dobra Jabłonów w powiecie trembowelskim (*Metr. Kor.* ks. 79, f. 188 i akta ziemskie kamienieckie, ferya 5 po Ś-téj Agnieszce, 1577 roku).

Z córek Mikołaja z Czermińskiéj, Katarzyna była za Wołuckim (*Metr. Kor.* ks. 158, f. 237).

Jadwiga, a nie Elżbieta Prusinowska była żoną Jakóba wojewody bracławskiego (*Metr. Kor.* nr. 142, f. 72).

Anna, córka Andrzeja Potockiego z Piaseckiéj, była 1 v., za Stanisławem Golskim, 2 v., za Konstantym, księciem Zasławskim, 3 v., za Karolem, księciem Koreckim. Z tym ostatnim miała syna Samuela i córkę Eufrozynę. (Wyroki trybunału lubelskiego z 1621 r. i akta ziemskie kamienieckie, ferya 5 po ś. Stanisławie biskupie, 1630 r.).

Z kilkunastu bardzo starannie skreślonych monografii w *Złotéj księdze*, doszliśmy do przekonania, że gdyby p. Ż., przed jéj wydaniem poznał dokładnie wydawnictwa źródłowe lat ostatnich i na ich podstawie nie powtarzał, ale odrzucał i prostował błędy popełnione przez poprzednich heraldyków, umiejętny czynił wybór z nadsyłanych mu przez rodziny dokumentów i notatek, a nakoniec cytował źródła zkąd wiadomości czerpał, praca jego byłaby się w zupełnie inném przedstawiła świetle i nosiłaby tę cechę prawdy, którą każde dzieło heraldyczne, jako wchodzące w zakres historyi nosić na sobie winno. Miéjmy nadzieję, że w przyszłym roczniku autor *Złotéj księgi* staranniéj opracuje zapowiedziane monografie, podań rodowych lub legend za prawdę historyczną podawać nam nie będzie, zwróci szczególną uwagę na daty, które w dziele heraldyczném ważną odgrywają rolę, a wtenczas bezwątpienia

praca jego przyniesie i pożytek ogółowi i znajdzie poparcie w kołach rodzinnych.

Adam Boniecki.

Jan Łaski arcybiskup Gnieźnieński sprzymierzeńcem Sułtana Tureckiego, przez d-ra Aleksandra Hirschberga. We Lwowie. Nakładem *Tygodnia*, 1879 r. (W 12-ce, str. 76).

Nieobcą nam jest znakomita postać Jana Łaskiego. Wiemy ile zasług położył dla kraju, dla Kościoła i nauk; nie mogliśmy go wszelako posądzać, ażeby tak wysoki dostojnik Kościoła był sprzymierzeńcem sułtana.

Dr. A. Hirschbergowi podobało się widać to zestawienie, pozory biorąc za rzeczywistość, dla saméj swéj oryginalności; bo jakże to brzmi donośnie: najwyższy kapłan polski i padyszach muzułmański w przymierzu! Zawsze to tytuł nowy, i rzecz jakby nowa, chociaż nią nie jest bynajmniéj.

Stanisław Bużeński w dziele swojém: *Żywoty arcybiskupów gnieźnieńskich, prymasów korony polskiéj i wielkiego księztwa litewskiego, od Wilibalda do Andrzeja Olszowskiego włącznie*: (z rękopismu łacińskiego) przełożył Michał Bohusz Szyszko, z dodatkami M. Malinowskiego. Wilno, 1860 r., dosyć obszerny życiorys Jana Łaskiego podaje, (t. II, str. 165). W nim znajdujemy dowody, na wplątanie się wprawdzie w sprawy węgierskie, które popierali Turcy, ale wplątanie to nastąpiło za pośrednictwem jego synowca Hieronima Łaskiego, zarówno zręcznego i biegłego dyplomaty jak dzielnego wojownika. Nieśmie jednak go nazywać sprzymierzeńcem sułtana.

F. M. Sobieszczański w *Encyklopedyi Powszechnéj* (większéj) S. Orgelbranda, wydrukował także życiorys Jana Łaskiego, wspomina o zawziętym nań gniewie Rzymu; ale mylnie dodaje, że papież rzucił klątwę na arcybiskupa i jego rodzinę. Rzecz tę bliżéj nam rozjaśnia dr. Aleksander Hirschberg, i z tego powodu jego praca jest szacownem uzupełnieniem pomienionych życiorysów. Rzecby nawet można, że ona stanowi główną treść rozprawki autora, i dała niefortunny pomysł nadania zasłużonemu arcybiskupowi tytułu sprzymierzeńca z sułtanem tureckim.

Spraw węgierskich, do których wplątał się ukochany przez prymasa synowiec Hieronim Łaski Bużeński lekko wspomina, F. M. Sobieszczański zaledwo dotyka; lubo obaj przyznają, że spory z tego powodu z Watykanem, przyśpieszyły zgon sędziwemu arcybiskupowi. Niemasz wątpliwości, że Jan Łaski wplątany w zatargi węgierskie, wspomagał swoim wpływem i pieniędzmi synowca Hieronima; że się opiekował zaciężnemi jego rotami, które z Niemiec sprowadzał Hieronim: to było powodem, że dwór wiedeński zagrożony utratą Węgier, gdyby się Jan

Zapolya utrzymał na tronie, a tego właśnie wspierali Łascy; zbliżywszy się do Watykanu znalazł w nim pomoc i opiekę przemożną. Klemens VII papież, naciskowi błagalnemu Habsburgów niemógł się oprzeć: wymierzył więc cios najsilniejszy na arcybiskupa naszego. Z rozkazu Ojca św. złożono sąd w téj sprawie i kazano się osobiście stawić przed nim oskarżonemu: postanowienie to papieża, widocznie pod wpływem dworu wiedeńskiego pisane, jeżeli z jednéj strony ukazuje całą uległość Klemensa VII dla Karola V, z drugiéj, nagromadzenie niesprawiedliwe wielu zarzutów na głowę sędziwego arcybiskupa. W piśmie tém Jan Łaski nazwany: „zdrajcą Kościoła, sprzymierzeńcem heretyków i sułtana tureckiego, arcydyabłem i judaszem.“

Przecież to dyktowała zemsta i złość niemiecka. Wszystkie grzechy przeciw Habsburgom synowca Hieronima zrzucono na głowę arcybiskupa, i sędziwego starca przed sąd do Rzymu powołano: powtarzamy, zemsta i złość niemiecka niepowinny były młodego badacza nakłaniać do kładzenia tych słów na karcie tytułowéj, do zohydzenia pamięci męża, który zasłużył sobie na lepsze u potomności wspomnienie.

Tento sam Jan Łaski jest wydawcą *Statutów*, czyli pierwszego zbioru praw 1506 r., na czele których znajdujemy po polsku pieśń *Boga Rodzica*. Jestto ze znanych dotąd pierwszy druk polski. Jan Łaski pierwszy też radził założyć bank krajowy pod imieniem *Mons pietatis*, na który złożyć się mieli posiadacze ziemscy. Nie żałował złota na kupno ksiąg i rękopismów. Nabył bibliotekę sławnego Erazma z Roterdamu (T. Czacki: *O polskich i litewskich prawach*). Arcybiskup zmartwiony niepowodzeniem synowca, a więcéj gromami Rzymu, które niespodzianie zahuczały nad jego głową, patrząc na coraz liczniejsze grono swoich zaciętych wrogów, zarówno w Krakowie, w otoczeniu dobrego króla Zygmunta I, i w Rzymie przy boku Ojca Św. Klemensa VII, złamany zgryzotą, umarł w Kaliszu 1531 r.

Zarzucano mu że zbyteczne robił usiłowania, w celu wyniesienia swéj familii: zarzut ten popierają dowody. Rzeczywiście miał to na myśli arcybiskup, nie żałował po temu ani starań, ani zabiegów i wpływu osobistego, ani też hojnego złota, a miał niemałe dochody: synowców, swoim kosztem edukował, wysyłał za granicę, a następnie starał się o ich znaczenie w kraju. Zabiegi te mnożyły mu coraz więcéj nieprzyjaciół.

Była to słabość arcybiskupa dla imienia Łaskich, ale srodze ją i to w sędziwych latach odpokutował. Kochany synowiec (którego udział w sprawach węgierskich wymownie opisał Mikołaj Malinowski w *Tece Wileńskiéj*) nie dopiął dumnych zamiarów, a starzec wplątany przez niego, o mało gromem klątwy papiezkiéj niedosięgnion, zagrożonym został utratą dostojności arcybiskupiéj. Gorzkie też miał ostatnie chwile życia wtedy, gdy myślał swobodnie odetchnąć i zbierać owoce swych trudów, nakładów i pracy. Dr. A. Hirschberg, ze współczuciem pisze o ostatnich latach życia Łaskiego; nie pojmujemy przeto powodu, dlaczego na karcie tytułowéj nadał mu przydomek *sprzymie-*

rzeńca sułtana, uprzedzający z góry źle, o arcybiskupie, gdy w ciągu całéj swéj rozprawy mówi o nim z umiarkowaniem, boleje nad jego niedolą i dodatnich stron tego kapłana bynajmniéj nie ukrywa.

K. Wł. Wójcicki.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE,

NAUKOWE, LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

WARSZAWA.

Lipiec 1879 r.— Do rzędu nowych pism czasowych, które powiększyły poczet wychodzących, należą dwa razy na miesiąc wychodzące *Mody paryzkie*, a od 1 lipca r, b. pojawiający się *Ogrodnik Polski*, dwutygodnik pod redakcyą E. Jankowskiego, pismo użyteczne, bo oddane wyłącznie sprawom ogrodnictwa polskiego. Zdobić je będą kolorowe tablice owoców i *fototypy* tekst objaśniające. Rękojmią wartości pisma jest redaktor specyalista w swym zawodzie ogrodnictwa, i pomoc uzyskana przez niego pomiędzy miłośnikami téj gałęzi gospodarstwa krajowego.

— Na Cmentarzu Powązkowskim stanął w pierwszéj połowie lipca r. b. pomnik na grobie ś. p. Jana Feliksa Piwarskiego zmarłego 17 grudnia 1859 r. Znakomity rysownik, od pierwszego pojawienia się *Tygodnika Illustrowanego*, objął w nim ster części artystycznéj i do śmierci prowadził. Jego *Kram malowniczy* pozostanie dziełem pełném wartości i przechowa pamięć zacnego artysty jako profesora uniwersytetu Warszawskiego, Szkoły Politechnicznéj, a następnie w Gimnazyum Realném i w Szkole Sztuk Pięknych. Imię Piwarskiego ściśle się łączy z dziejami sztuki polskiéj. Pomnik ten stanął staraniem uczniów ś. p. Piwarskiego.

— W *Tygodniku Illustrowanym* znajdujemy pyszny drzeworyt rysunku Juliusza Kossaka, przedstawiający konsekracyą biskupa Albina Dunajewskiego w kościele archiprezbyteryalnym N. Panny Maryi w Krakowie.

Jest to chwila gdy czcigodny kapłan, w ubiorze biskupim, zpod baldachimu podtrzymywanego przez mieszczan Krakowa, przybranych w stroje narodowe, błogosławi ludowi jako biskup krakowski. Wyborny rysunek, jak wycięcie rylcem nie pozostawiają nic do życzenia.

— Ludwik Kucharzewski rzeźbiarz zamieszkały w Warszawie, otrzymał od cesarskiéj Akademii Sztuk Pięknych w Petersburgu wielki medal srebrny, jako nagrodę za posąg *Rozbitek*.

— W przeszłym zeszycie wspomnieliśmy o odkryciu wizerunku Jana Sobieskiego z natury malowanego. *Gazeta Warszawska* podaje nam o nim bliższe i dokładniejsze szczegóły.

„Proboszcz królewskiéj kaplicy w Gdańsku posiada wyborny oryginalny portret króla Jana Sobieskiego. Obraz na piąterku plebanii spoczywał długo w zapomnieniu, z którego wydobył go dopiéro Matejko podczas pobytu swego w Gdańsku przed dwoma laty. Portret ten wykonał w r. 1677, podczas pobytu Jana III w Gdańsku, malarz w swoim czasie sławny nietylko w Niemczech, ale także we Francyi, Daniel Schültze. Obraz ten ma wysokie zalety techniczne i pomimo retuszów i poprawek późniejszych, nie jest zbyt uszkodzony. Portret jest wyśmienicie indywidualizowany. Przedstawia on Sobieskiego jako męża 50-cio letniego o czerstwéj twarzy, pełnéj wyrazu, z rysami energicznemi, ale nie twardemi, ze spojrzeniem ożywioném myślą i przebłyskiem niepospolitéj duszy. Głowa bardzo dobrze i delikatnie modelowana. Proboszcz dr. Redner, obecny właściciel portretu, ma zamiar rozpowszechnić go w drodze fotograficznéj i spodziewa się, że ponieważ obchodzić będą wkrótce w Wiedniu dwusetną rocznicę oswobodzenia stolicy Habsburgów przez króla Sobieskiego, być więc bardzo może, że znajdzie się jakiś miłośnik pamiątek dziejowych, który portret ten nabędzie do swego zbioru."

— Dom Kościuszki w Solurze, po śmierci, w kwietniu 1878 r. ostatniéj jego właścicielki, panny Zuzanny Amelii Thomas, angielki, został sprzedany. Nabył go na licytacyi publicznéj „bank pomocy" (hülfs bank), za cenę 53 tysiące franków i odprzedał za 75 tysięcy franków. Na domu tym znajduje się marmurowa tablica, wmurowana w roku 1864, z napisem przypominającym, że Kościuszko tu mieszkał i umarł.

Po Kościuszce dom przeszedł na własność Zeltnerów. Przed rokiem 1830 nabył go anglik Thomas, po jego śmierci właścicielkami zostały dwie jego córki, z których ostatnia zmarła w zeszłym roku. Angielska ta rodzina zachowała pozostałe po nim pamiątki. Pomiędzy niemi było łóżko, na którém zmarł Kościuszko; nad łóżkiem w alkowie wisiał jego portret, umieszczony tam w r. 1843 z odpowiednim napisem.

Nabył także łóżko, w którém wielki wódz i patryota zakończył życie d. 15 października 1817 r. w Solurze. Dwaj notaryusze solurscy poświadczyli w sposób urzędowy autentyczność téj pamiątki. Oprócz łóżka nabył ozdoby bronzowe i tapety z mieszkania Kościuszki, a oddawna już posiada liczne tegoż autografy i korrespondencye, rachunki prywatne, *facsimile* testamentu i dokumentu, którym Kościuszko uwolnił włościan w swych dobrach od pańszczyzny (oryginały ostatnich dwu dokumentów znajdują się w archiwach kantonu solurskiego); daléj kilka oryginalnych portretów generała z różnych epok jego życia, jego włosy i jego wyroby z czasu niewoli rossyjskiéj.

— Postanowiono w mieście Brody wmurować płyty pamiątkowe w domu, gdzie sią urodził Józef Korzeniowski dramaturg i powieściopisarz naszego okresu.

— Kończy się *Encyklopedya Rolnicza*, starannością i poparciem obywateli ziemskich doprowadzona szczęśliwie do skutku. Obecnie zapowiedziany mamy przez redakcyą *Wędrowca: Słownik geograficzny*, na który oczekiwaliśmy długo daremnie. Do redakcyi téj pożądanéj publikacyi, przystąpił także obywatel gostyński, powszechnie szanowany Władysław Walewski, brat starszy ś. p. Cypryana, znanego bibliografa i historyka. Słownik wychodzić będzie miesięcznie zeszytami. Spodziewamy się, że wydawnictwo to znajdzie silne poparcie i rozpowszechnienie w naszéj społeczności.

— J. I. Kraszewski, na list, który p. Correnti napisał w imieniu króla włoskiego, przesyłając jubilatowi order Korony włoskiéj, odpowiedział w następujących słowach:

„Panie komandorze!

„Nie śmiem utrudzać Króla Jegomości wyrazami głębokiéj wdzięczności mojéj za osobliwy zaszczyt, jakim mnie obdarzył; proszę przeto Waszéj Ekscelencyi, abyś złożył u stóp Jego Król. Mości dzięki moje i zapewnienie uszanowania i przywiązania, jakie czuję dla Niego.

„Dumny jestem z tego objawu dobrych chęci, albowiem nie mogę go uważać, jako tyczący się jedynie mojéj osoby i przypisuję go wspaniałomyślnemu współczuciu Jego Królewskiéj Mości...

„Zasługiwać na tę łaskę będzie odtąd celem wszystkich moich usiłowań.

„Wasza Ekscelencya raczy przyjąć także za udział, jaki wziąłeś w mojéj nominacyi, dziękczynienie moje i hołd najżywszéj wdzięczności. Wiem dobrze, że ją zawdzięczam całkiem życzliwéj Waszéj Ekscelencyi opiece.

„Chciéj przyjąć, panie komandorze, wyraz mojéj wdzięczności i najwyższego poważania, z jakiém mam zaszczyt zostawać Waszéj Ekscelencyi najniższym i najżyczliwszym sługą

J. I. Kraszewski.

Drezno, 5 czerwca 1879 r."

— *Korrespondencya ze Żmujdzi.* Z powiatu Poniewieskiego otrzymujemy następujące szczegóły o pobycie Jego Ekscelencyi Administratora Dyecezyi Żmujdzkiéj, biskupa Beresniewicza.

Często piszą o mieszkańcach innych krajów, jak np. o tyrolczykach austryackich, że to mają być ludzie religijni, uczciwi i nabożni— nie przeczę temu. Lecz żeby ciż sami turyści zwiedzili żmujdzką krainę i byli obecni, zwłaszcza w czasie wizyty kościołów przez Pasterza, wtedy tylko mogliby porównać i cenić z innemi i naszych niemniéj, ale może i więcéj gorliwych o chwałę Bożą ludzi. Nie wiem czy się znajduje na kuli ziemskiéj jaki inny naród, tak miłujący Boga, swą religią i jéj przewodników, jak żmujdzki. Kapłan w jego myśli i oczach

jest świętą osobą. Ten naród silny w wierze i czystych obyczajów, nie prędki do przyjęcia nowości, trzyma się ślepo tradycyi i podania. Powaga religii może nim tylko kierować we wszystkiém, na resztę spogląda obojętnie. W biedzie i nieszczęściu cierpliwy i wytrzymały, nie oddaje się rozpaczy; lecz powierza się Opatrzności i oczekuje od niéj pociechy i pomyślnego końca. Byłem obecnym w trzech parafiach przy Pasterzu. Pomimo woli i męzkości łzy stają w oczach patrząc na ten drogi, niewinny i nie skażony materyalizmem XIX wieku widok: z jakim zapałem, ochotą i wiarą gorącą starał się lud okazać posłannikowi Bożemu swą radość i przywiązanie. Dnia 20-go czerwca, gdym jechał do m. Podbirza, gdzie miał przybyć nasz ukochany Pasterz, z sąsiedniéj parafii, po drodze téj zastałem mieszkańców w uroczystych szatach oczekujących na biskupa, dziewczęta z wieńcami na głowach, trzymające bukiety w ręku, niektóre z koszykami pełnemi kwiatów dla posypania drogi. Ulice po wszystkich wioskach pozamiatane, wysypane żółtym piaskiem, gałązkami jodłowemi, a indziéj tatarakiem. Gościniec nawet w niektórych miejscach blizko siedzib ludzkich zamieciony. Przy wstępie do każdéj wsi i miasteczka powiewają na zielonéj tryumfalnéj bramie trzy czerwone chorągwie, bramy zaś splecione z wieńców róż, kwiatów rozmaitych i girland z liścia dębowego, dla większego efektu porozwieszane obrazy świętych, a z góry na dół porozwieszane firanki różnokolorowe. Dalej przez całą wioskę i to wszędzie alee drzew zielonych, powtykanych w ziemię, na których powiewają wstęgi rozmaitych barw i figury symboliczne, powystrzygane z kolorowego papieru; na parkanach w wielu miejscach dały się widzieć obrazy Ojca Św. Leona XIII i świętych, białe opony i chustki odświętne zamiast dywanów, zdobiły ich parkany. I to lud prosty, nie umiejący pisać, nie znający estetyki i symetryi, zdobywa się na to wszystko i podług gustu własnego ozdabia wspaniale mieszkania swoje. Kto mu to dyktował, kto go zmuszał do tego i rozkazywał? Zapewne że nikt ze śmiertelnych, ale gorące serce i uczucie miłujące Boga, religią i jéj przedstawicieli.

Była już dziesiąta godzina wieczór, gdy dał się słyszéć głos dzwonu, zwiastujący wjazd do Podbirz Pasterza. Powstał ruch ogólny, na każdego twarzy malowała się radość, wszyscy cisnęli się ku pojazdowi i klęknąwszy z pochylonemi głowami, odbierali błogosławieństwo. Przy śpiewie chóru majestatycznie wszedł Pasterz do kościoła i pomodliwszy się Bogu Najwyższemu, w języku ludowym rzekł: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus." Przemówiwszy krótko i rzewnie, udał się na plebanią, w towarzystwie duchowieństwa i obywateli, witany przez naród. Następne dwa dni bierzmował dorosłych i dziatwę. Na dwa obiady zaprosili państwo baronowie Helsztejnowie Pasterza z duchowieństwem całém i okolicznych znajomych, gdzie po staropolsku podejmowali gości ze szczerém sercem i otwartą dłonią, nie ubliżając najmniejszemu. Po kilku dniach udaliśmy się do innéj parafii, gdzie tak samo drogi nasz Pasterz był witany. Dało się widzieć i to, że przy zbliżaniu się Jego

Ekscelencyi ku oczekującym go wieśniakom, ci ostatni klęcząc śpiewali pieśni święte, a widok ten ich pokory ściskał serce przechodnia. W mieście Kryniczynie sam proboszcz miejscowy w przeciągu trzech dni starannie podejmował Pasterza, duchowieństwo i gości. Daléj ruszyliśmy do Poswola, tu było arcy-pięknie wszystko urządzone, przez trzy tryumfalne bramy od pola do kościoła, przy niezliczonym zgiełku narodu, nasz najzacniejszy Pasterz wstępował do świątyni, przy śpiewie psalmu, witany przez lud na klęczkach, który odbierał błogosławieństwo. Tu również miejscowy proboszcz podejmował otwartém sercem biskupa i duchowieństwo. Gdy przyszło rozstać się z ukochanym Pasterzem, naród, który czekał od rana na czczo, cisnął się do plebanii i całował szaty Pasterza ze łzami w oczach i sypiąc kwiaty przepuszczał daléj. Ten dzień pamiętnym będzie w sercach parafian i w dziejach roczników kościoła Poswolskiego. *Ks. K. G.*

— W czasopiśmie *Deutsches Montags Blatt*, wychodzącym w Berlinie, znajdujemy obszerniejszą ocenę obrazu w téj stolicy wystawionego, Jana Matejki, *Bitwa pod Grunwaldem*, przez p. Ernesta Teppera. Gazeta *Echo* podała ją w streszczeniu, z czego się pokazuje sąd umiarkowany, lubo zawsze mniéj przyjazny. Przyznaje wielkie zalety temu utworowi pędzla naszego mistrza i stawia w rodzaju batalijnych, pomiędzy pierwszemi z naszego stulecia.

— L. Liard. *Pozytywizm i metafizyka (La science positive et la metaphysique)*. Paris, 1879.

Autor, profesor filozofii w Bordo, w dziele swojém podaje ogólny a treściwy zarys nauki Augusta Comte'a, angielskiéj teoryi asocyacyi, ewolucyonizmu Herberta Spencera; księga druga zawiera *krytykę*. Szczególniéj udatnie podaną jest teorya poznania Kanta. Liard jednak przestawił punkt wyjścia; nie rozpoczyna od subjektu, lecz od świata przedmiotowego, chociaż w końcu otrzymuje kantowskie wyniki, a mianowicie: odgraniczenie przestrzeni, czasu, liczby, substancyi i przyczynowości, jako subjektywnych ram doświadczenia. Najważniejszy, już organiczny dział stanowi *metafizyka*. Z ogólnych pociągów pióra orzeknąć można, że dzieło p. Liard stanowi bardzo szczęśliwą próbę urządzenia, a raczéj usystemowania filozofii na sposób germański.

Pod wpływem jużto studyów o Heglu, Szelingu, jużto wskutek dokonywanego stale przekładu arcydzieł myśli niemieckiéj, we Francyi poczyna zapuszczać korzenie jakiś prąd pośredni pomiędzy angielskim *common sense*, a ciężkim porządkiem gotyckim.

P. Liard uznaje, że wiedzący się podmiot nie jestto jedynie szereg zjawisk, lecz raczéj działalność, wprawdzie nieustannie zmienna, zawsze jednak zachowująca tożsamość z sobą, trzymająca władzę nad swemi wyjawami i wiążąca je jednością samowiedzy. Rdzenią działalności podmiotu, jak sądzi nasz autor, jest wola. Ztąd bardzo naturalnie nasz mędrzec szerokie zakreśla granice potędze podmiotu i broni jego kompetencyi wobec materyalizmu, panteizmu i spirytualizmu. Wszystkie systemata grzeszą podług niego przesadzoném użyciem to subjektu,

to objektu za punkt wyjścia. Dla otworzenia sobie drogi do absolutu, p. Liard kładzie za podstawę pojęcie *doskonałości* i *swobody*. Wprawdzie swoboda w człowieku nie jest bezwzględną; człowiek jest wolnym nie absolutnie, boć i duch bewzględnym nie jest, wprawdzie człowiek oznamienia (determinuje siebie), ale pierwotnie uzyskuje on znamiona i zpoza siebie, swoboda jego nie jestto swoboda czysta, lecz i determinowana koniecznością. Wszakże (w granicach danych i uprawnionych już subjektywnością ludzką) mocą swobody człowiek ma tę zdolność, że sam *przepisuje sobie prawo rozwoju*. Niemielibyśmy nic przeciw takiemu pojmowaniu, gdyby autor niebył ograniczył się na sferze moralnéj. Coś podobnego mówi i Schopenhauer o woli twierdząc, że wola wytwarza dla siebie organizm, jako warsztat do przeprowadzenia swoich celów, ale celów metafizycznych. Swoboda zaś p. Liarda, ograniczona dziedziną *moralną*, prawodawczynią swego rozwoju być nie może. Otóż wypada nam z kolei odwrócić system szanownego profesora najpiękniejszą jego stroną: doskonałość i to doskonałość *moralną*, bierze on za podstawę metafizyki, opierając się na tém, że fakta etyczne również są danemi, jak i fakta intelektualne. Jak zmysłowe doświadczenie rozpoczyna naukę, tak i doświadczenie moralne stanowić powinno początek metafizyki: „Umienie poprzedzoném jest przez sumienie," mówi nasz autor. Idzie mu tedy nietyle o *ducha*, jak raczéj o *duszę*. Dla uznania metafizyki moralnéj, mówi on, potrzeba wierzyć „z najlepszą wolą, iż prawda moralna jest pierwszém i ostatniém słowem wszechrzeczy."

Z całém przekonaniem radzimy czytelnikom zapoznać się z dziełem p. Liarda.

† Dnia 29 czerwca r. b., umarł w Warszawie ***Apolinary Kątski,*** dyrektor Instytutu muzycznego w naszém mieście. Urodzony w Warszawie 1825 r., był czwartym synem Grzegorza b. inspektora Lyceum warszawskiego. Wszyscy czterej bracia zasłynęli szeroko po świecie, jako artyści muzyczni: dwaj jako fortepianiści, dwaj jako skrzypkowie, Karol i Apolinary. Ale zmarły prócz tego położył wielkie zasługi jako założyciel i twórca Instytutu muzycznego w Warszawie, krzewiąc zamiłowanie do jednéj ze sztuk pięknych. Dziś u grobu, gdzie wszystkie zawiście gasną, prawda sama odda należny hołd Apolinaremu, że za jego wyłącznem działaniem i energicznem staraniem, Instytut pomieniony powstał i rozwijał się.

— Dnia 28 czerwca r. b. umarł w Louvain w Belgii ***Tomasz Massalski***, autor głośnego w swoim czasie dzieła p. n.: *Pan Podstoli,* w 5 tomach (Wilno 1831—1833 r.), który miał stanowić dalszy ciąg *Pana Podstolego*, Krasickiego. Praca ta wyszła wkrótce po rossyjsku w Petersburgu. W dziale filologicznym ogłosił: *O skarbach słowiańskich, a szczególniéj o gramatyce języka polskiego* (Warszawa, w 8-ce 1853 r.). Był też współpracownikiem kilku pism czasowych, a między témi i *Tygodnika Petersburskiego*. Urodzony na Litwie 1800 r., początkowe nauki pobierał w akademii Jezuickiéj w Połocku, wyższe w uniwersytecie Wileńskim. Ostatnie lata spędził w Louvain w Belgii, gdzie syn jego Urban jest profesorem Uniwersytetu, tam też w 79 roku wieku zakończył życie i pochowany został.

Redakcya Biblioteki Warszawskiéj.

Redaktor odpowiedzialny **K. Wł. Wójcicki.**

Wydawca *Józef Berger.*

Druk J. Bergera,
w Warszawie, Elektoralna Nr. 14.

Дозволено Цензурою
Варшава, 24 Іюля 1879 года.

KAZIMIERZ WŁADYSŁAW WOYCICKI.

Dnia 5 sierpnia r. b., z kościoła Świętego Krzyża ruszył pochód żałobny: otwierały go trzy wieńce w hołdzie czci i pamięci złożone zmarłemu. Nieśli je przedstawiciele *Prasy Peryodycznéj*, redakcyi *Biblioteki Warszawskiéj* i redakcyi *Kłosów*. Na marach leżały zwłoki człowieka, który lat pięćdziesiąt grał wybitną rolę w pierwszéj, należał do założycieli drugiéj, trzecim dał początek.

Chowaliśmy w tym dniu ś. p. autora *Gawędi Klechd*, spółcześnika lub przyjaciela Rakowieckich, Brodzińskich, Osińskich, Czarnockich, Święckich, Lelewelów, Mochnackich, Bielowskich, Siemieńskich, Borkowskich, Dzierżkowskich, Magnuszewskich,... Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Warszawie, Lublinie i Płocku, Księztwa Warszawskiego i Królestwa kongresowego..., fundacyi Towarzystwa kredytowego ziemskiego, którego komitetu właścicieli Listów zastawnych był stale od 1862 roku obieranym prezesem.

Chowaliśmy w tym dniu człowieka, co pamięcią lat dziecinnych sięgał, z opowiadań ojca: czasów Stanisława Augusta Poniatowskiego; był świadkiem walki klasycyzmu z romantyzmem, skończył życie jako redaktor odpowiedzialny *Biblioteki Warszawskiéj* (od 1850 r.), która dziesięć lat wprzódy powstawszy, w dwanaście lat późniéj przekształciłaby się w Towarzystwo Naukowe, gdyby nie spółczesne wypadki.

Chowaliśmy człowieka, któremu, jak o sobie pisał, „Opatrzność dała wiele zaznać i widzieć, stawiając go w takich okolicznościach, że brał udział w wielu ważnych sprawach i nieraz się spotykał z ludźmi, wysokie stanowisko w społeczeństwie zajmującymi."

Chowaliśmy jubilata pięćdziesiątdwuletniéj zacnéj pracy literackiéj, typ ojca rodziny; niestrudzonego zbieracza ukochanych zabytków przeszłości, niezmordowanego opowiadacza rzeczy osobiście przeczutych i przeżytych, a coraz bardziéj nieznanych społeczeństwu, w którém się urodził, lat 72 żył i pracował, od którego za tę pracę dwakroć wziął nagrodę zasłużoną, od którego mu się téż należy pośmiertna oznaka pamięci.

Krocząc w tym żałobnym korowodzie, przypomniałem sobie, jak przed kilku laty wypadało mi kreślić wspomnienie o przyjacielu i rówieśniku zmarłego, o Auguście Bielowskim i jak wówczas ani przypuszczałem, że tak prędko wypadnie mi tych samych niemal użyć wyrazów co o tamtym, dla scharakteryzowania ostatnich chwil ś. p. Kazimierza Władysława Woycickiego. Nie przypuszczałem, a jednak by-

REDAKCYA BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ

łem w błędzie (piszę to z naciskiem i żalem), bo ludzie jednéj generacyi i jednych wierzeń, jednakowo kończą swój żywot, bardzo prędko jedni za drugim schodzą. Tém bardziéj, ten kto cały żywot późniejszy strawił z piórem w dłoni, skrzętnie żywą tradycyą lub rzadki druk z namiętnością zbieracza i miłością syna chroniąc od zagłady; gdy w latach młodszych na inném polu, choć nie w szumie piór husarskiego skrzydła, ale w myśli téj saméj, co wyrosła z pól Grunwaldu, z brzegów Buga i Bystrzycy—niestety daremne, ale niemniéj zaszczytne harce zwodził; kto osiwiał pod jednym i tym samym sztandarem: ten musiał pod nim, na swém stanowisku, z orężem w dłoni dokończyć ziemskiéj wędrówki tak, jak to Bielowski przed dwoma laty a Woycicki obecnie dowodzą. Tamtego śmierć zaskoczyła wśród druku uwieczniających go *Monumentów* do dziejów Polski przed Długoszem; ten martwiejącą ręką na ostatniéj sesyi redakcyjnéj porządkował ostatni zeszyt *Biblioteki Warszawskiéj*, umierającym głosem czytał swój do niéj artykuł, niedając się w tém nikomu zastąpić; gorącemi wyrazy zachęcał do wspólnéj pracy w obranym raz kierunku, i choć zgnębiony drugim atakiem ciężkiéj choroby, która w kilka dni potém miała go zabić, pisał charakterystykę czasów, niezabawem i jego działalności początek mającą ogarnąć [1]). Na te początki autobiografii już czasu niestarczyło.

Zamknęła się świeża mogiła nad jednym z wyznawców romantyzmu, których generacya w bieżących dziesiątkach lat z niejakim pośpiechem otrząsa pył tego świata z nóg swych uznojonych, których coraz rzadsze niedobitki odchodzą coraz częściéj do swych towarzyszy, by z nimi czekać sprawiedliwszych, bo chłodniejszych sądów o sobie. Niedawno co ukojony spór *starych* z *młodymi*, a jeszcze bliższy nam głośny poswark, którego ciąg dalszy, to w łagodniejszéj, to ostrzejszéj formie wciąż się rozwija, a dotąd bezimienny z tamtym da się ująć w ogólny jeden kierunek *reakcyi przeciw romantyzmowi i jego epigonom* są właśnie jawnym znakiem, że na morzu umysłowéj naszéj odrębności nowa fala wzbiera, kusi się dawne zalać wody, zatrzéć nowemi refleksami odbicia dawnych widoków.

Zaiste, brzegi téj krainy, któréj toń romantyzmu była odbiciem, usuwają się coraz daléj, targane nietylko siłą praw naturalnych; coraz téż słabszemi były jéj odbicia, coraz mniéj wyraźnemi. A może raczéj widz, którego łódka coraz to daléj od tych brzegów unosi, znając tylko z odbicia krainę, zkąd jeszcze ojcowie i dziadowie jego wypłynęli z rozpaczą niewłasnowolnie, mniéj te refleksy ceni, za miraże jeno poczytuje. Więc czego kto oko w oko nie widział, temu nie wierzy, wedle dawnéj już Tomasza teoryi; tych, co jak wygnańce, choć garść prochów z ziemi ojczystéj i bogi domowe unieśli, a nędzę spółczesną złocili zarówno wspomnienia szczyptą, jak wyobraźnią ku obliczom przeszłości

[1]) *Warszawa, jéj życie umysłowe i ruch literacki w ciągu lat trzydziestu* (od 1800—1830).

zwróconą—coraz niecierpliwiéj, nogą w końcu trąca, by mu miejsca ustąpili. Komużto zresztą zagadką od czasów rozmowy czyża młodego ze starym X. B. W.?

Taka reakcya wymownie świadczy, że na syntezę poprzedniego kierunku, jeszcze zawcześnie, bo dopiéro analiza zaczyna swą pracę. Tém zaś ta reakcya jest gwałtowniejszą, im widocznie wcześniejszy jéj początek. W takich warunkach apologia i denigracya schodzącego z pola objawu dochodzą do szczytu zazwyczaj: roznamiętniają się bezwiednie. Ciężko, może niepodobna utrzymać byłoby zresztą szalę sądu stanowczego przy świeżéj jeszcze mogile, na którą jeno podzięka za zasługi spłynąć powinna. Młodszym, czującym w sobie zapas nienapoczęty niemal życia, taka próba uśmiecha się. Ja już się o nią nie kuszę. Na widok ściskającego się karabatalionu, na wyłomie jego tak znacznym, umiemy czuć jeno straty, obliczać zasługi upadłych w ciężkiéj walce.

Zaznaczywszy zatém tylko, w jakim stosunku do bieżącéj literatury i ducha społeczeństwa zostawał zmarły romantyk; natrąciwszy jedynie, że musiał już umrzéć Woycicki, bo pokolenie któremu swe wspomnienia, swe *credo* powtarzał, już jego wiar i zapałów, przesądów i wstrętów, przekonań i zasad nie mogło czy niechciało pojmować i odczuwać, przechodzimy do charakterystyki ogólnych kierunków działalności literackiéj nieboszczyka.

By zaś ją jaśniejszą uczynić, wypadnie uwzględnić, w jakich warunkach przyszedł zgasły autor *Gawęd* i *Klechd* do wytworzenia swych literacko-społecznych wierszów i faktury piśmienniczéj. A na to składały się najprzód różne, teraz za czcze i podrzędne miane, fakta w tradycyi ojca i samego Woycickiego mające doniosłe znaczenie, z czém się łączą specyalny charakter doby saskiéj i dogmat Krasickiego o roli obywateli, odpowiadający wysoko rozwiniętemu w naturze ś. p. Kazimierza przymiotowi rodzinności, a więc charakter zacierający po części ponure sceny z zakresu życia państwowego. Na urobienie kierunku i formy w Woycickim wpływał powtóre okres legionów i Księztwa Warszawskiego, mający wyłączny charakter ogólnego ważenia się wszech stanów, wszech kierunków, w jednéj idei, w jedném dążeniu, to jest charakter wyjaśniania się: czy tez czy antytez teraźniejszości i przeszłości w imię dobra pospolitego.

Rozpatrzenie tych względów różnych tém okazuje się konieczniejszém, że na razie, dwa kierunki działalności literackiéj Woycickiego, wyrażone przez tytuły prac naczelnych *Gawędy* (*Obrazy*) i *Klechdy* (oraz *Pieśni*) jako odrębne sfery w teoryi, ale w praktyce zgasłego wciąż spajane i łączone, zdawałyby się (ale tylko z pozoru) płynąć jedynie po powierzchni bytu społeczeństwa. Dla oka niebadawczego tytuły dzieł ś. p. Kazimierza nieprzedstawiają nic gruntownego, nic zasadowego; odstają rzekomo jak *czczy strój zewnętrzny* od istoty przeszłości, któréj ostatnim pono w swym rodzaju był malarzem. Otóż właśnie należy zapytać, czy istotnie ten rzekomo czczy strój zewnętrznym był czczym w e-

pocе, w któréj młodość przeżył, z któréj pierwsze czerpał wrażenia autor *Gawędy?* I po najpowierzchowniejszym nawet rozbiorze, odpowiedamy stanowczo—nie.

Za czasów ostatniego Piasta, którego lekarzem przybocznym był ojciec Woycickiego; za czasów walki pod Zieleńcami, w któréj tenże ojciec uczestniczył, strój narodowy nie był czczą teatralną paradą, nie był *środkiem* agitacyi wyborczéj, ale był wspomnieniem: smutnéj, bo zamkniętéj katastrofą,—ale drogiéj przeszłości. W walce z frakiem i żabotem starodawnego kontusza i żupana uwidomiała się kolizya wyższych: obcych ze swojskim interesów. Jak tamte często—niemal zawsze służby—jeśli nie ciała to ducha; tak te swobody cechą się stawały. Nie darmo, nie bez wyższéj myśli wprowadził twórca *Ostatniego Zajazdu* do swego poematu rys porzucenia tego stroju przez rejenta dla... Telimeny wciąż o „biurku" mówiącéj. Nie czemu innemu gwoli może, stworzył Korzeniowski *Wąsy i Perukę.*

W epoce ojca Woycickiego, który przelał swe wiary i zasady w syna; *jeszcze ta tylko* zewnętrzność, dla nas błaha, po dawném stosunkowo przyzwyczajeniu się (zrazu rządu, potém ogółu) do apatyi a potém do bezwłasnowolności zewnętrznéj—była i być mogła, jakby skrajną granicą tego, czego naruszenie już budziło poczucie straty w świadomości narodowéj.

W takiém znaczeniu stroju swojskiego, jako symbolu pewnych wyższych faktów, łączyło się i takież sformułowanie w tradycyi (którą wyhodował się Woycicki) znaczenia epoki saskiéj.

Ta doba najprzód jeszcze silniéj w pamięci rodziców Woycickiego i jego rówieśników antytezowała się do epoki porozbiorowéj; w sercu zbolałych synów brała na się urocze barwy raju utraconego tém łacniéj, gdy takiemi się mieniła w oczach ojców. A daléj wyłączywszy z obrazu doby saskiéj tworzącego się w umyśle epigonów jéj, oraz generacyi Poniatowskiego i późniejszych: ową zasadę nieinterwencyi—téj zewnętrznéj apatyi państwowéj, już przez te generacye z musu w spadku praktykowanéj, nie tak więc bolesnéj; wyłączywszy powtarzamy z tego obrazu doby saskiéj tę abdykacyą ze stanowiska samodzielnego w Europie, jaką wprawdzie dopiero od *sejmu niemego* Rzeczpospolita przyznała oficyalnie, ale praktykowała wcześniéj [1]); wyłączywszy téż idący za tém brak powagi w Europie dla domorosłych ziemiańskich polityków mniéj ważny, mniej uczuć się dający: będzie miała epoka saska w stosunku do Stanisławowskiéj i następnéj pozory błogiego spokoju, niezmąconego szczęścia. Blask świetnych kampamentów Augustowych, przykład jego Lukullusowo-Bachusowych uciech biesiadni-

[1]) Za znamię téj nieinterwencyi uważamy rozwijanie się coraz donioślejsze wypraw na własną rękę podejmowanych przez magnateryą polską, w miarę jak inicyatywa rządowa coraz bardziéj słabła w sprawach międzynarodowych, i coraz częściéj za prywatną iść musiała Np. wyprawa Mniszków, treść manifestu Jana Kazimierza z Opola r. 1655, wyprawy mołdo-wołowskie.

czych, godową swą barwą stanowczo ćmić się zdawały w oczach zaściankowego statysty: złowrogie wróżby na okrywającym się ciężką nawałnicą horyzoncie. Lekkomyślny ten spokój naczelnika rządu Rzeczypospolitéj, który osobiście był sympatycznym ogółowi, jako siłacz i myśliwiec, udzielał się zaraźliwie niezbyt myślącym masom. Kulig i biesiada, gorące a serdeczne bez końca, prawdziwy kult bóstwa gościnności; sejmik jak biesiada hałaśliwy i krwawy: to stało się hasłem żywota codziennego szaraków, trud patrzenia i myślenia składających na swych jurgielto-dajnych magnatów. Coraz ciężéj niewykształconym umysłom dająca się kierować nawa polityki krajowéj, na falach stosunków międzynarodowych wymagająca czegoś więcéj jak okrzyku i czynu: „ławą panowie bracia,"—w świadomości dworów i zaścianków, coraz częściéj, coraz staléj znikała z pamięci i serca, a raczéj jéj klęski i powodzenia brały na się wymiary wypadków domowego gospodarstwa, jak pożar, gradobicie, nieurodzaj, chrzciny, wesele i pogrzeb... Rzeczpospolita widziana z okna szlacheckiego, zmalała do rozmiarów szlacheckiego siedliska, ogólném *remedium* stało się albo „jakoś to będzie" albo „chociaż biéda, ale hoc."

Więc, może często i głusząc obawy, bawiono się i weselono; *może* kuligowano i sejmikowano umyślnie, tém zacięciéj po zaułkach Rzeczypospolitéj, gdy na głównem jéj placu dwa wyrazy wcielały się codziennie (prze- i nie- moc), tylko już w złożeniu praktykowane.

To rozigranie się ucieszne za doby Sasów,—skoro wrażenie obaw jemu spółczesnych schodziło do zera, przy porównaniu z klęskami czasów rozbiorowych: w poczuciu potomnych, w świadomości generacyi rodziców lub samego Woycickiego,—snadnie ujść mogło za względnie słuszne, za użycie istotnego szczęścia publicznego, za prawdziwy wyraz uprawnionego przez ogólny spokój wesela prywatnego. Ztądto czy Pola czy Woycickiego (czy Kaczkowskiego) *kontuszowe gawędy*, szczególniéj lubujące się w dekoracyjnéj i domowéj stronie doby Sasów dałyby się wymotywować ową względną jasnością tła tamtych biesiad do dzisiejszéj rzeczywistości, i owym malarzom téj szkoły kuligowo-sejmikowéj mogłoby spaść przebaczenie, że biorą dekoracyą za historyozoficzną treść życia, że swoje poczucie wielkości tamtoczesnych klęsk wzięli za istotną ich miarę, i pobłażliwszym się okazali dla symboli przeszłości wewnętrznéj.

Niezapominajmy zresztą, co przy wpływie znacznym Krasickiego na społeczeństwo jego byłoby grubym błędem, że ten autor w *Przygodach Mikołaja Doświadczyńskiego* wykazawszy słabość wszystkich „plant," wszystkich prób leczniczych swego bohatera na choroby ogólne kraju; zaznaczywszy w powieściowym Doświadczyńskim niemożebność działania jako poseł i deputat z korzyścią dla dobra kraju, każe mu pracować w zaciszu wiejskiém jako panu, gospodarzowi, ojcu—tu widząc jedyny ratunek, jedyny plac boju korzystnego z twardą rzeczywistością (*Przygody Mik. Doś.* III, 11). Tę téż pracę jedynie owoco-

dajną przedstawił Krasicki w *Panu Podstolim* powtarzając w praktyce teorye *Przygód*.

To ziemiańskie stanowisko wskazane przez X. B. W. prawdziwym synom kraju, stało się nową dźwignią dla uprawnienia odpowiednich cech doby saskiéj, dla zjednania im czci ideału u potomków i w Woycickim w smutniejszych jeszcze czasach żyjących.

Niedość na tém. Utrzymywał się ten tok i ten ton tém snadniéj w duszy i w pismach zacnego piastuna słodkiéj dlań przeszłości, że wspomniane wyżéj obniżenie dyapazonu poglądów ogółu szlacheckiego na sprawy państwowe Rptéj, mierzenie ostatnich piędzią interesów zaścianka naganném się okazuje przed trybunałem wyższych interesów, zaważa jako straszny zarzut dobrowolnéj abdykacyi na szali dobra publicznego i stanowiska międzynarodowego. O ile jednak z téj strony rozważany peryod saski i jemu podobne, zasługuje bez pochyby i wahania na Jeremiaszowemi pioruny nabrzmiały sąd Jarochowskiego, to z drugiéj strony ta ziemiańskość (że tak powiem) przeważająca w owoczesnym obrazie kraju, niezawodną musi ponętę mieć w oczach tego, coby kreślił owéj ziemiańskości obraz abstrakcyjny.

To, co budzi grozę w polityku, przedewszystkiém jedna poklask wierzących w znaczenie życia rodzinnego. Jak w naturze, przed najgwałtowniejszą burzą zapanowywa najdoskonalsza cisza, tak u nas w epoce coraz większego obezwładniania się sprężyn i kółek maszyny w przedjutrzu jéj zatrzymania się, rozwinęła się najpiękniejsza idylla, na którą się złożyły obrazy rodzinnego kolorytu. Wybujały w zanadto bujny kwiat stan karmazynów i szaraków święcił wówczas wielką uroczystość rodziny i rodu. Może Sasom najwięcéj zawdzięczamy spospolitowanie się rozwodów najprzód gwoli Augustowi II; potém i panom. Tém jaskrawiéj starodawna świętość małżeństwa i rodziny cenionych narówni z klejnotem; występowała w rodach średnich i drobnych. Wszystko to, co ułatwiało zawiązanie i wzmocnienie tych węzłów, nawet i w oczach polityka musi być uznaném za prawowite i konieczne. Wszelkie tedy zjazdy temu zbrataniu torujące drogę, nawet poświęcenie na nich spraw ogólniejszych interesom rodzinnym, z tego stanowiska *wyłącznego* rozpatrzone, można poczytać za tryumf tego kamienia węgielnego społeczeństw wszelkich, nawet nad samém państwem i społeczeństwem odniesiony. Jestto posunięcie teoryi rodziny do ostatnich konsekwencyi, mające odpowiednik w innym punkcie naszych instytucyi (*liberum veto*), również ten stopień niemal absurdu posiadającym.

A jednak sama zasada, rodziny prawo, prawo jednostki, jakżeż jest prawdziwą, piękną, dobrą; jak wszędzie ona wbrew postępowcom *sui generis* ma uznanie i w XIX wieku! I ta zasada, rozwijając się w pewnéj dobie naszéj przeszłości, chociaż z pokrzywdzeniem równowagi innych zasad, równie prawdziwych, pięknych i dobrych, musi jednać przebaczenie a przynajmniéj wyrozumiałość nawet dla owych wybujałości.

Wyznajemy otwarcie i szczerze, że dopiéro po śmierci ś. p. Kazimierza Władysława, badając powody tego kierunku literackiéj jego działalności, który wydał *Gawędy* najściśléj ów partykularyzm rodzinno-szlachecki nawet w polityce, a cóż dopiero w życiu społecznem pewnéj doby odtwarzające, przyszły mi na myśl powyższe wywody, powyższa charakterystyka doby owéj, jako tych gawęd usprawiedliwienie i racya bytu dodatnia. Klucz zaś pierwszy do tego poglądu, punkt wyjścia dla dalszych spostrzeżeń i ogólników nastręczyło mi samo życie tego, który ziszczał owe obrazki życia rodzinnego w praktyce, który i mnie nietylko za marny frazes dał (9/3 1877 r.) w mym egzemplarzu *Klechd* te słowa „w serdecznéj pamiątce stary *towarzysz* pióra i przyjaciel K. Wł. Woycicki." Starzec, dziadkiem mi być mogący, zasłużony pisarz nie wahał się piąć po schodach, by nawiedzać chorego tak, jak kiedyś przyszedł, by ucznia gimnazyum realnego wpisać w listę stypendystów Konarskiego i ułatwić mu przez to dalszę naukę, Był obcemu istotnie towarzyszem w potrzebie, i przyjacielem na staropolską miarę.

A cóż dopiéro mówić o człowieku tym w rodzinie, któréj wizerunki tak cudnie malował? Zawdzięczając wiele matce, (Zofia z Zienkiewiczów, rodem Litwinka), która „choć sama nie odebrała ukształcenia wyższego, (przecież) z serca ożywionego duchem Bożym, mądrość czerpała i dziecię swoje ucząc wiary i cnoty, zachęcała je do nauki książkowéj i ułatwiała ją zdrową radą i opieką pomocną" [1]), niemniéj wysoko stawiał wpływ swéj żony, Anny Magnuszewskiéj, siostry poety Dominika. Poślubiwszy ją 10 listopada 1832 r., tak ś. p. Kazimierz jéj wpływ sam charakteryzował: „Wpływ tego anioła dobroci i łagodności, téj prawdziwie świętéj niewiasty, zmiękczył mój temperament szorstki i prędki; ona mi uczyniła *dom świątynią i rajem, gdzie żyje w całéj pełni szczęście rodzinne.*" Oddany cały pracy nad dobrobytem swéj rodziny, o który troska i wiek sędziwy i choroba do ostatniéj chwili pióra z ręki nie wytrącały [2]); borykający się ciągle z losem: tylko w gronie rodziny, w szczęściu domowém szukał nagrody i wytchnienia.

To téż w gawędach ś. p. Kazimierza nikt nie znajdzie lubowania się w charakterystyce typów wstrętnych, obrazów plastycznych rozkładu moralnego, jakie stały się ulubionym tematem młodych powieściopisarzy historycznych.

Nie skończyłbym, gdyby przyszło wyliczać z dzieł ś. p. Kazimierza te szczegóły, z których prześwieca wysoka cześć jego dla kobiéty, dążność wystawienia ze swéj kapłanki ogniska domowego, prawdziwéj arki przymierza między przyblakłą przeszłością a barwistszą z jéj łaski przyszłością. Kobiecie nawet polskiéj poświęcił w *Bluszczu* cały szereg artykułów, przebiegając cały jéj żywot w objektywnie skupionych

[1]) Słowa Pługa.

[2]) Już po pierwszym a na krótko przed drugim, śmierć o kilka tygodni uprzedzającym ataku apopleksyi nerwowéj pisał swą *Historyą literatury dla młodzieży.*

z licznego książkowego i tradycyjnego materyału mozajkach. We wszystkich zaś przebija myśl jedna: kobiety jeno w rodzinie. Jeśli istniała dla zmarłego *emancypacya kobiet*, to chyba *emancypacya od zepsucia*.

Obok typów kobiéty snują się po kartach dzieł ś. p. Kazimierza marsowe postacie Napoleończyków, umieszczone na niezmiernie żywém, prawdziwém tle ogólniejszych wypadków, ale niezacierającém wybitnego charakteru anegdotycznego opowieści, co i z życiorysów *Cmentarza Powązkowskiego* i *Warszawy*, wielekroć czyni gawędy prawdziwe. W nich odżywa zamarła przeszłość; nieznając jéj typów, możesz je sobie dokładnie z rysów danych uwidomić: zda się widzisz je, słyszysz, rozmawiasz i działasz z niemi, tak je żywo maluje pióro zmarłego. Gawędziarz ten nieporównany tak się zżył z owym światem kontuszowym, tak nieporównanie owładnął swą formą, że w dziełku dla dzieci przeznaczoném (*Pokój dziadunia*), stosował ją do celów pedagogicznych.

A wszędzie niemal atmosfera tych smutnych czasów oczyszcza się pod piórem nieodżałowanéj pamięci ich malarza. Wszędzie nastrój dodatni się utrzymuje, wedle powyżéj podanych zasad usprawiedliwiany.

Choć z groźnéj dla nas, znających *arcana* wyższéj polityki, doby Sasów, kreśli Woycicki i jego szkoła idyliczne obrazki, zwane *gawędami*, nie możemy go sądzić za winę małoduszności, lub lekceważenia prawdy dziejowéj na korzyść artyzmu, lecz jako artystę snycerza młodocianych i ojcowskich, więc dwoiście optymistycznych wspomnień, wewnętrznéj historyi kraju dotyczących. Dodalibyśmy, że niezależnie od znaczenia dla ducha epoki autora, tak jak Woycickiego, należy sądzić i autora poematu p. t.: *Ostatni zajazd na Litwie*. A ten dodatek robimy wyłącznie by przypomnieć, iż sferę i czas odtwarzania pisarza i poety należy odróżnić w krytyce od sfery i czasu odtwarzanych przezeń wątków, jeśli nie chcemy stronnością sądu zawinić, uwolnić jednych, potępić drugich z jednéj i téj saméj racyi.

Zasklepienie się na wsi, w rodzinie, nietylko dzieje się z błędu, z grzechu, ale dzieje się późniéj i z przekonania, że to będzie w przyszłości ratunkiem. Tak mniéj więcéj po bliższym rozglądzie wyjaśnia się po kwestyi symboli, kwestya życia rodzinnego rozwijana szczególniéj i wyłącznie w *gawędach*, postawiona jako teza, bez podjęcia drugiéj strony, ogólniejszéj i ponuréj, z któréj przeważnie, jeżeli niewyłącznie na te rzeczy się patrzymy, w skutek zupełnéj zmiany i naszego *monde ambiant* i nas samych.

Zajęcie w téj kwestyi bezstronnego, uwzględniającego wszystkie te okoliczności stanowiska, dla krytyki jest w ogóle teraz niezmiernie trudne. Niełatwo zgoła przenieść się w ten „świat poety" dzieciom ojców, którzy spożyli chléb, a oskomę samą w spuścinie zostawili. Pogodne takie wspomnienie kontuszowych czasów, z lat dziecinnych owiewające Woycickiego, może być niezrozumiałém dla krytyków, którzy w zapale denigracyi jego ideału szlachcica, dodali do niego istotnie dodatnie, a często brakujące mu cechy („garnący się gorliwie do publicznego życia, zgodny na sejmie, Kato w trybunale, szanujący majestat

królewski, walczący w obronie wolności i i wiary") i mimoto odrzucili taki ideał, na osnowie jedynego zarzutu: „Nic przytém nie mówiono, czy też ten ideał Polaka płaci regularnie podatki."

Rozwijał się duch i talent Woycickiego w tym kierunku i w odpowiedniéj formie, która przesadzała niejako wypadki światem wstrząsające w ciaśniejszy obręb losów członków jednéj rodziny, która jeno przez rozdarte serce jednostki, dozwalała patrzéć na bole społeczeństwa i li w szczęściu jednostki, kazała szukać miniaturowego obrazu i odbicia powszechnych uniesień; rozwijał się tém konieczniéj, że tę formę nadawało samorodnie opowiadanéj treści żywe słowo jéj bohatérów; że na wrażliwy umysł dziecka, padał podwójny czar równie poważnych typów kontuszowych, jak i niemal fantastycznych postaci z Napoleońskiéj epopei w jednéj osobie i aktorów i opowiadaczy. Jak niémiał całéj duszy opanować, jak niémiał mowie Woycickiego stałych kształtów nadać tok natchnionéj mowy starych towarzyszy Pułaskiego, owego Hektora szczęśliwéj, bo pod Sawannah w obronie zdobytéj wolności ginącego, lub osiwiałych w trzech częściach świata wojowników drugiego Prometeusza, który za to że nie rozżarzył w zupełności płomienia... legł na odległéj skale przykuty?

Obok tego ziemiańsko-szlacheckiego kierunku, uwidomionego w *gawędach*, jeszcze drugim nurtem płynie twórcza i zbierawcza działalność Woycickiego. A ta (choć to wygląda na paradoks w oczach znawcy tego głębokiego rozdziału, jakim coraz bezpowrotniéj zdały się tchnąć w ostatnich czasach Rzplitéj dwa jéj stany, niegdy tak braterskie), zupełnie będzie niezrozumiałą w swych objawach jak *Klechdy*, *Przysłowia*, *Pieśni* i t. p., bez uwzględnienia powyżéj usprawiedliwianego kolorytu jego szlacheckich obrazów. W nich tak ciągle rodzina nawodzi swemi barwami stosunki pana do podwładnych; tak serdecznie, dodatnio malowany jest karmazyn ziemiański: że nie widać z *gawęd* dysonansu społecznego z wieku ich treści, nieczuć tych bóli, które Czarnocki, inicyator *Klechd* wszelkich, a wróg typów z *gawęd*, tak jaskrawo uwydatnił zupełném odwróceniem się od źródeł szlacheckich przeszłości dziejowéj, by szukać ich w literaturze ludowéj.

Nie widać i nie czuć tego wszystkiego w dziełach ś. p. Kazimierza, nie żeby świadomie je zatajał; nie dlatego [1]) żeby postępował jak „ci co dawne lata pamiętają, dni wiosny swojéj i świat jaki je okalał, stawiają za wzór i przykład dla obecnéj doby, widzą w swéj przeszłości wszystko piękném, szlachetném, dobrém, a potyrani wiekiem, nie umieją dopatrzéć co przypływ lat i postęp zdziałał w młodéj generacyi." Inna tego jest przyczyna, a źródło leży w charakterze doby, na którą urodziny i rozwój młodzieńca przypada.

[1]) Jego słowa we wstępie do *Szkiców historycznych i z domowego życia niedawno ubiegłéj przeszłości*, 1869, albo *Z dawnych dziejów i wspomnień naszego stulecia*, 1875.

Pamiętajmy, że rok 1807 widział w zaczątku lub rozkwicie szkoły czerwono-ruską (Bielowski, Siemiński, Kazimierz Brodziński i inni) i rycerzy poetów (Godebski, Andrzej Brodziński i inni) legionistów oraz dawniejszych konfederatów, reprezentujących ten sam bezwiedny niemal w Woycickim sojusz ludowości i szlachetczyzny. Nie koniec jednak na tym jednym akordzie. Duch całéj téj epoki, różne odcienia tego zestawienia przejawia. Wielkopolanin Berwiński w prozie, emigracyjny Słowacki i szkoła ukraińska w swém odcieniu hajdamackiém (Goszczyński i inni), poetycznie uchwycili z pobudek politycznych jaskrawo ton antagonizmu i negacyi, wyszarpnięty najgłośniéj z skrwawionéj i potrzaskanéj piersi matki-ziemi przez Czarnockiego.

Szkoła litewska i emigracyjna wyraża stosunek patrymonialno-opiekuńczy, w całéj gamie stopni od zaściankowego Syrokomli, który ma już w sobie coś z schłopiałości niechętnéj ciarachowi, aż do wielkopańskiego choć dodatniego autora *Psalmów*. Do tych szkół wypadnie dodać nietrwałą szkołę mazowiecką czysto ludową, która zabrzmiawszy *Lirenką* i i., stopiła się z czerwono ruską przez swe rapsody ze *Starych zbroic*, *Bolesława* i t. p. (Lenartowicz), od specyficznego prowincyonalizmu przerzuciła się do ogółu słowiańskiego (Zmorski), lub odcień Goszczyńskiego zmodernizowała (Wolski).

Jak z tego widzimy, niewątpliwie był odrębny okres w naszéj literaturze i życiu porozbiorowém, za dzieciństwa i młodości Woycickiego, w którym to różnomierne (a cechujące ten okres) ważenie się elementu szlacheckiego i ludowego, dziejowego i świeżo powołanego do historyi, może wytłómaczyć specyalne ich ułożenie się w Woycickim, jako jedna choć nie jedyna z licznych kombinacyi tych samych pierwiastków.

Początek zaś tego okresu kładziemy w latach bliskich roku urodzenia Woycickiego; możebyśmy nawet położyli nacisk na ten rok 1807, a do tego skłania nas następna okoliczność. Wielka rewolucya francuzka 1789 r. znalazła w Napoleonie I, bądźcobądź rozsiewacza swych idei. Przewrot ten wprawdzie, jak wiemy dobrze, objawiający się przez zasilanie dawnych organizmów wyczerpanych nowemi siłami ludowemi, niezużytemi, i u nas przed Napoleonem się zaczął. W sąsiednim, niegdyś polskim Królewcu, Herder niemiecki, też same myśli rozwijał na polu literackiém, a kroku mu dotrzymywał Krasicki u nas już w epoce rozbiorowéj. Dążność sejmu czteroletniego, streszczająca się w § 4 konstytucyi 1791 r., a dająca jeno wyraz oficyalny samodzielnéj uprzedniéj inicyatywie kierowniczych warstw Rzeczypospolitéj, nie co innego okazuje, jak występowych szkół poetycznych i w ich łonie samego Woycickiego. Razem z rozerwaniem oków wewnętrznego rozdziału i zasklepienia, naród sam występował, choćby literacko w swych jednostkach z zasklepienia się w sobie wśród Europy.

Ale jak powiadamy, Napoleon w dziejach tych odrodzin niemoże być przemilczany, bo pod jego opieką rozwinęły się legiony, owa kolebka najpraktyczniejsza pojednania stanów dotąd rozdzielanych przez pochód prawodawstwa od XV wieku. Jak dewiza legionów Rzeczypo-

spolitéj cyzalpińskiéj opiewała *ogni homini liberi-fratelli*, tak i ich członkowie przychodni i dla siebie najprzód i dla innych uczuli się braćmi. Ręka od pługa ściskała dłoń od karabeli; pod obcym sztandarem, *Dekada* Godebskiego i ruchome niejako szkoły uczyły zbiegów być sobą; węzły karności legionowéj bratały karmazyna, szaraka i „pracowitego," może skuteczniéj niż zachęty i przykład naczelnika z 1794 r., znajdujące niejedną przeszkodę. W ich poezyi téż zbratały się przed wiek kiedyś na jedną lirę przez Kochanowskich, Klonowiczów, Szymonowiczów, Zimorowiczów nawiązane dźwięki sielskiéj i szlacheckiéj muzy. Dzieci chałupy, dworu i pałacu wymieniały swe wyłączniejsze uczucia, uzupełniały w tony, rozszerzały w objętość swe serca, ogarniały niém przedmioty miłości nietylko swéj ale i swych braci marsowych. Tak rósł ideał wspólny z różnych materyałów, z wspomnień dziejowych, i tradycyi sielsko-pogańskich; rósł w tém krzepciejsze, spójniejsze formy, że i dalekie kraje auzońskie swemi widokami natury czyniły wrażliwszém natchnienie, uszlachetniały je, wznosiły nad ciasne szranki światowe; że i ciągły znój wojenny, żywot biwakowy w obozach, bójki nieustanne z podstępnym nieprzyjacielem w podniecających wyobraźnią warunkach, więc względy znane dające materyał do tworzenia, z drugiéj strony, wyradzały tęsknotę za cichém napawaniem się wdziękami nieraz pierwszy raz poznanéj przyrody. Jawneć to cząstki składowe romantyzmu.

Tylu tedy bodźcami podżegani do twórczości legionowi nauczyciele owych młodszych braci w duchu, ci poeci rycerze, przykładem odległych czasów, czynem przez się stworzonym natchnieni; ci nowi Minnesengerzy ojczystą ziemię i swe ofiary dla niéj miłośnie nucący, za pomocą jeno Napoleona działać mogli i poczęli; za jego pomocą w r. 1807 po pokoju Tylżyckim w roku urodzin Woycickiego, siejbę na obczyźnie wypielęgnowanych ziarn przyszłości, rzucić mogli w odzyskanéj ówcześnie częściowo ziemi ojczystéj. Woycicki w pamiętnym tym roku utworzenia ze szmatka Rzeczypospolitéj Księztwa Warszawskiego, przyszedł na świat i w tę zasadę łączności wniesioną przez legionistów, dającą byt Księztwu z mlekiem i powietrzem wessaną, na całe życie uwierzył. Praktykę téj zasady najdobitniéj zbiory ludowe Woycickiego wykazują.

Od skreślenia rozprawy konkursowéj na temat zadany przez Towarzystwo Przyjaciół Nauk Warszawskie, z inicyatywy Kołłątaja: *o zwyczajach, obyczajach, podaniach, pieśniach i przysłowiach ludowych* rozpoczął się zawód Woycickiego, jako zbieracza tworów muzy ludowéj na wzór Chodakowskiego, ale nie z jego uczuciem. To téż gdy zbiory ostatniego poszły do druku jako praca Maksymowiczów, Kirejewskich, lub ugrzęzły w archiwach: *Przysłowia*, *Klechdy*, *Pieśni ludu Białochrobatów* i t. d., choć niosły w sobie mądrość, wiarę, obyczaje i zwyczaje ludu prostego, nie stawiały ich wrogo do literatury lub historyi szlacheckiéj. Woycicki odrzucił teoryę Zalewskiego, Zeysznera, Majorkiewicza, że lud zepsucie swe składa w swych utworach poetycznych;

że w swéj literaturze spowiada się ze swego upadku moralnego. Wyrzekł się tego poglądu, który zaprzeczał oczywiście możności dobycia (za Czarnockim) historyi, heraldyki, geografii z téj kałuży niecnoty i rozpusty, jak téż i teoryi tych, co uważając umysł ludu prostego, za *tabula rasa*, kazali się na niéj zapisywać przesądom świata klasycznego za sprawą kościoła (Berwiński), przez co znów odsądzono lud od samorodnéj literatury, od indywidualności umysłowéj, chcąc na niéj zrazu odrodzenie całego kraju polityczne oprzéć.

Ś. p. Kazimierz nieprzezwał się Chodakowskim, ani Wacławem z Oleska, w celach socyalnych, ale za to wypowiedział w swych dopiskach do różnych pieśni tęż samę myśl sojuszu dwu pomienionych stanów, co i autor *Psalmów*. Wszędzie gdzie się dało, szukał i podsłuchiwał zagasłych ech przeszłości historycznéj, rycerskiéj w przysłowiach i pieśniach pod strzechą wieśniaka wodzonych. Czuł on dobrze, że tak poniewierana przez jednych, wywyższana przez drugich, za kastę swojską, za najezdzców obcych nawet uważana szlachta nasza, wciąż nieustającym kołowrotem odnawiała się i zasilała u ludu, z którego zasługą i urzędem i pasowaniem wyrosła, z którego na rody urobiły się dziedziczne. Dla tego téż śmiało Woycicki szukał złomków szlacheckiéj tradycyi w uściech wieśniaków, bo czuł że w obu były niegdyś jedne uczucia; jedne obu wesele, jedna była obu żałość. Więc coraz pod pieśnią, którąby inny może poczytał za złomek waryantowy, za romans osnuty na obrzędzie jakimś pogańskim, Woycicki podpisywał to żale Ludgardy, to zabicie Ziemowita i porwanie Konrada w Ujazdowie 1262 i t. p. Słowem wszędzie dwa wątki społeczne motał w jedno pasmo, wiązać chciał w coraz grubsze powrósła i liny, by niemi z raf i haków ściągnąć uwięzły korab'.

I tak amalgamował w swych życzeniach istotnie odrębne stany, że utwory jednego, mylnie co do krytyki, ale jak wzniośle co do uczucia, przypisywał drugiemu [1]). I wszystkich tak chciał pobratać, wszystkich zestrzelić w jedno ognisko jedną miłością tego co swoje i dobre. W tém uczuciu miłości przyjmował milcząco najzjadliwsze krytyki: jeśli dobra (mówił), nauczę się; jeśli zła, sama upadnie. I kochał krytyka swojego po dawnemu, gdy odczuł pod grotem przeciwnika dłoń, po ten sam cel co on sięgający, gdy w tonie może ostréj nagany dosłyszał tych dźwięków, które na niego jak surma bojowa działały, nową młodością choć na chwilę starca krzepiąc.

I zrozumiał naród, że tu pisarz osiwiały, co oręż na pióro zamienił, tak pierwszym jak drugiém za swego bojował, jego przyszłości służył, czy to krew lejąc niegdy, czy téż do śmierci moszcząc swemi dziełami dostęp do przeszłości, odcinanéj coraz głębszą otchłanią niepamięci od współczesnych; więc w Warszawie odbył się dwa lata temu, 15 maja, jubileusz pięćdziesięcioletni skromnego człowieka; przy

[1]) Por. odniesienie pieśni wyraźnie dworskiéj: *pieśń sieroty*, do źródła ludowego *Bibl. Warsz.* 1879, III 131.

znaku zasługi pierwszéj, błysła oznaka zasługi drugiéj. A zbiegli się do grodu nadwiślańskiego ze wszech stron reprezentanci tak przez jubilata ukochanéj ziemi. I składali mu hołdy: akademia Krakowska, i wielkopolski Kościelecki, i podlaski Rzążewski, i nadniemeński Pietkiewicz i inni słuchając poloneza Kurpińskiego, którym witano jubilata; myślałeś że prawdą już stał się tekst jego, tak zrzeszyła się dla uczczenia miłośnika całéj przeszłości cała jéj cząstek obecnych reprezentacya.

Powtarzał się Woycicki!—rzeknie jednostronny krytyk.—Słusznie zgasły starzec w ciężkim znoju całego żywota *powtarzał się*, wracając z lubością do wspomnień młodości. Słusznie ciągle na różne tony powtarzał święte zasady miłości i czci i służby dla wiary, dla kraju, dla jego przeszłości; wciąż, bez znużenia, mówił o świętości rodziny, o pracy w niéj i dla niéj, o obowiązkach obywatela, pisarza; wciąż powtarzał czynem, słowa, wciąż z czynu brał pochop do słowa. Słusznie powtarzał się Woycicki, bo godłami po wieki prawdziwych ludzi są godła jego wiary i życia. To jest nasze *credo*, któremu gorące potwierdzenia nadają wyrazy kaznodziei, na nabożeństwie żałobném za duszę zmarłego wypowiedziane, oraz dwie mowy miane nad samą mogiłą.

I powtórzymy za innymi:

Niech ziemia, którą tak ukochał, będzie mu lekką.

6 sierpnia, 1879 r.

Ernest Swieżawski.

CNOTA I WYSTĘPEK.

RZECZ O ROZWOJU DZIEJOWYM WYOBRAŻEŃ O CNOCIE *).

PRZEZ

Wojciecha hr. Dzieduszyckiego.

KSIĘGA DRUGA.

Świat klasyczny.

ROZDZIAŁ I.

Grecya pobożna.

Nie wiem już gdzie powiedział Goethe, że Grecy starożytni nie czynili sobie bogów nakształt ludzi, że przeciwnie ludzi na podobieństwo bogów kształtowali i powiedział prawdę. W tém właśnie wielka różnica między Grecyą, między Europą może całą a tém, co nam się podobało Wschodem nazwać; w tém przełom i rozdział dwu dziejowych światów. Na Wschodzie człowiek tylko mdłym cieniem bóstwa, pozbawionym wszelkiéj samoistności; na Zachodzie—potęgą, co samoistnie światem włada, za czyny swe odpowiada, o losie swym stanowi i nawet śmiałym lotem myśli bogów zmierzy i przeniknie ich istotę: tam ludzkość śniła tylko o tworach niezmiernych, dziwacznych i cierpiała tylko biernie; tu na jawie myśli, bada i działa.

Jak zawsze i jak wszędzie tak i tu przyroda poczęści wytłómaczy duszę człowieka. Nie służy mu niewolniczo jak w równinie Eufratu, nie łamie go potęgą swoją niezmierną, jak wśród indyjskiéj puszczy. Stawia opór, lecz da się podbić. I nie jest ową przyrodą bez granic, wśród któréj człowiek tonie; ma wszędzie kresy i granice, każda ojczyzna w Grecyi nie większa nad to, co okiem obejrzysz, patrząc na dwie graniczne skał ściany; a morze jakby kraniec świata niedaleko; góry na których mieszkają nieśmiertelni zuchwałe i piękne, a przecie przystępne dla ludzi i trzód. Bez lęku zbytniego spocznie pasterz lub śpiewak na opoce, na któréj wiara kładzie duchowną niewidomą siedzibę Zeusową, a król na godach ujrzy wszystkich królów helleńskiego świa-

*) Dalszy ciąg—patrz zeszyt za lipiec r. b.

REDAKCYA BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ

ta, i zna ich lik i każdego nazwie po imieniu, a gdy na morze siądzie, wié że za dwa dni na przeciwnym stanie brzegu. Człowiek przejrzy świat.

W małéj przestrzeni jest wszystko. Są rzeki i morza, góry i doliny, a wszystko ma swoje granice, które Greczyn zna. I król narodu, w swoim powiecie bezpieczny, jest dumnym, bo wié że na ziemi niemasz nic, coby wzrosło ponad jego głowę. A każdy pasterz królowi poda rękę i jak równy mówi do równego. Niémasz wschodniéj zawieruchy, coby z szelestem przeleciała nad głową, wirując drzewami wyrwanemi z korzeniem i coby mówiła o wszechpotężnym niedostępnym Bogu; wicher człowieka sługą, niesie przez morze korabie z żeglarzem. I niémasz wschodniego despoty, co w niedostępnym pałacu mieszka jak bóstwo wszechmocne opodal od ludzi; król człowieka przywita, wejrzy do chaty niewolnika, pospołu z ludem jé i pije i pieśni słucha, a czasem zniesie, że go poddany skarci za czyn nieprzystojny. Niémasz kapłanów świętych co przechowują straszne bogów tajemnice; każdy Heleńczyk kapłanem, każdy sam bogom niesie przed dom ofiary, sam po znakach niebieskich bogów odgaduje wolę. Wszak chodzi po miejscach, gdzie się rodzili, gdzie kochali, a nieraz nawet i boga jakiego zdybie, gdy w ludzkiéj postawie chodzi po Peloponezie, chcąc pomódz człowieczemu przyjacielowi. Wszak przodkowie zasłużeni, umarli—to także prawie bogi, którym niosą ofiary; wszak człowiek po śmierci i sam się ofiar doczeka; wszak gdy zechce każdy się dowié świętéj bogów tajemnicy, którą objawiają w misteryach Demetry, a naddziadem każdemu bóg Olimpijski, a często sam Zeus pan świata piorunowładny.

Tam na niebie mieszkają narodu święci przodkowie, bogowie wiecznie młodzi, wiecznie szczęśni, wedle słów poetów nieśmiertelni i biesiadują. Jest tam wielka komnata, któréj ściany i któréj sufit cały obity złotemi połyskującemi blachami, a kolumny groźne doryckie dzielą komnatę na trzy nawy. Kolumny z białego przezroczystego marmuru, a brzegi żłobków i głównic złocone, połyskują w świetle słonecznem. W środkowéj nawie wielki stół rozłożony i białym obrusem nakryty, a dokoła stoją białemi runami wyścielone cedrowe ławy, i woń miła w komnacie, bo w głębi na złocistém ognisku, naprzeciw drzwi złoconych i misternie kowanych, płonie wieczne ognisko, piękne ognisko bogów, w którém trzeszczą wonne polana cedrowe. Na pierwszém miejscu na złotych krzesłach siedli Zeus i Here w szatach z purpury. On mąż brodaty o obnażonéj piersi i włosach podobnych do grzywy lwa, trzyma w prawicy berło. Na posadzkę z obłoków złożył jaśniejszą błyskawic wiązankę, a lewicą trzyma puhar złocisty pełny nektaru. Orzeł siadł na poręczy tronu i nagina głowę, skrzydła rozwarłszy napoły, by się napić nieśmiertelnych trunku. Przy Zeusie Here białoramienna bogini, o turzéj źrenicy, także z berłem siadła w ręku a przy niéj paw' pstropióry roztaczał ogon lśniący. Daléj inni siedzieli bogowie i śmieli się, nadzy a piękni, a w jednéj bocznéj nawie grały Muzy o złotych trzewiczkach, w drugiéj tańcowali swawolni faunowie. Wszak wszyscy znacie owe greckie bogi i nietrzeba ich wymie-

niać; wiécie jako żyli, jako wojowali, jak kochali, jak się kłócili i godzili i wciąż biesiadowali; i otóż wiecie że helleńscy mężowie na wzór bogów żyli pełni ufności w siebie i w nieśmiertelną chwałę.

Owych mężów pierwotnych, cnotliwych; owych bohatérów szybkonogich opiewał zawczasu u świtu dziejów Homer ślepy; i pieśń jego doszła do uszu naszych, jakby szum dalekiego morza, jakby granie niezrównanéj kapeli gdzieś hen! aż za górami. Z martwéj mowy słów nie występuje już dla nas na jaw cała tęcza barw, ale zawsze żyją w pieśni ludzie, i żyją lepiéj od tych o których spisał foliały dziejopis późniejszy. Nic to nas nie obchodzi czy Agamemnon żył i czy jegoto kości odnaleziono w Micenach w grobie, jako nas nieobchodziło to że baśnią wierutną rycerze Iranu. Dla nas naprawdę żywemi ideałami cnoty: Achilles i Odyssej, boskiemi niewiastami Helena Argiwska i Amikleońska Penelopa. A że znacie wszyscy ich dzieje, powtarzać ich niepotrzeba; dość będzie przypomnąć sobie i wam na czém zależała owa boska cnota przedwiecznych bohatérów, co naprawdę w niczém nie była podobna do tego co nasz wiek pochwali u fabrykanta-filantropa manczesterskiéj szkoły, u nabożnego wiejskiego proboszcza, albo nawet u szlachcica, co mówi o sobie z przechwałką że jest człowiekiem staréj daty.

A najpierw spójrzmy z kolei na Achilla, Pelejów syna. Przedewszystkiem cnotą jego że piękny, rosły, silny i chyży, i że jak bóg jaki powozi i włócznią ciska; choć woźnica i bohatér, Automedon podobno lepiéj jeszcze umié zażyć konie od Achilla; i w tém wszystkiém Achilles podobny do indyjskich królów Ardżuny i Nala; i jak Ardżuna jest odważny, lubo pewno wśród bitwy niestanąłby do metafizycznéj rozprawy. I on wprawdzie w lesie chowany na surowéj posłudze, przez mędrca Chyrona, co napoły koniem a starcem napoły; ale nauka ta nie kazała mu panować nad sobą. Wszystkie dary wziął po matce bogini i wziął odwagę, co po naszemu mówiąc, ani jego winą ani zasługą, a tém bardziéj po starogrecku, cnotą. Niesie go animusz między wrogie szeregi i póty walczy, póki go animusz niesie, póki mu bóg pomaga. A jak wroga zabije, zwłok nie uszanuje: kopnie je nogą, albo przywiązawszy ciało do rydwanu powlecze po piasku. Gdy czasem lęk doń przystąpi, ujdzie z bitwy krzycząc jak dziecko i niewstyd mu tego, bo wié, że częściéj będzie dzielnym jak lew, co mężny bez wszelkiéj zasługi. I niewstyd mu się przyznać, że się śmierci boi, i że wolałby być oraczem ostatnim i parobkiem na ziemi, jak królem w krainie umarłych; bo gdy przyjdzie wybór czynić między przyjacielem a życiem, da życie a przyjaciela pomści; bo gdy zechce, potrafi mimo obawy pójść śmiało, w uniesieniu, na śmierć. Patrokl niegdyś przybył do niego do Tessalii wygnańcem; zabił u siebie doma człowieka w kłótni i musiał przeto kraj opuścić i siadłszy u królewskiego ogniska w dalekiéj stronie, stać się cudzym sługą. I został sługą Achillów, a ze sługi druhem i przyjacielem, i wdziawszy raz Achillesów zbroję zaginął w boju. Wtedy Achilles postanowił mścić się, i choć go matka bogini srebrno-

noga Tetyda przestrzegła że mu zginąć przyjdzie, skoro pomści przyjaciela, poszedł w bój dla przyjaźni i chwały i wybrał dobrowolnie śmierć; i walcząc zwyciężał nawet promienne, jaśniejące bogi, co mu zachodziły drogę.

Gniéw w nim budził się szalony, ilekroć mu kto nieoddał czci którą mu był winien, ilekroć nieoddał działu przy łupach. Miał brankę którą zdobył w spaloném mieście i którą sobie ku zabawie chował w namiocie. Brankę mu odebrał król królów Agamemnon, a on wśród wojny odmówił królowi pomocy i cofnął się do namiotu, wiedząc że jego odwrót sprowadzi klęskę niechybną na wojska jego narodu; i klęska nastała, by wyraźniéj zajaśniała boska cnota jego ramienia—aż i jego przyjaciel zginął w boju.

Ale jako gniéw szalony jakby pożar jaki szybko zapalał jego duszę, tak i mijał rychło, gdy mu zadość uczynił ramieniem. Wtedy stawał się litościwym bohatér i czcił wroga cnotę, oddając ciało ojcu spłakanemu, albo paląc je sam na stosie.

Był to mąż gwałtowny i porywczy, co się bogacił łupem i mniemał, że cześném jest rzemiosło rozbójnika; lubiał wino i branki, dbał wiele o chwałę a mało o ojczyznę, dawał datki szczodre, nieznosił nikogo nad sobą, a bywał przyjacielem, co przyjaźń przekładał nad życie.

Innym jest Odyssej, ale także mężów wzorem. On już wié, że nawet bohatér, gdy sam, łatwiéj ulegnie, że bez ładu i posłuchu giną narody, wojska, domy. On już wié że podstęp często więcéj może od odwagi. To téż podstępu nie szczędzi, kłamie bezczelnie, zawsze gotów przysięgą poprzéć skłamanie; choć bogów się boi i bogów oszuka w potrzebie.

Zresztą kocha żonę, choć jéj niekoniecznie wierny; kocha dom ojca starego i rodzinę, i gdy mu bogini Kalisto ofiaruje wieczną młodość i nieśmiertelność na ostrowiu wonnym wśród morza, woli sam na łódce przez groźne bałwany, narażając życie, płynąć do Itaki i do żony. Za druhów stoi, myśli o ich ratunku, a gdy przybył do domu działa ostrożnie a statecznie, ale mściwie. Tam ludzie lekkoduszni przybyli objadać dobytek jego, jako gachy jego żony. Jako dziad przywlókł się do nich, ale niedługo a okazał boski rozum, boską cnotę; spiął łuk którego żaden z nich spiąć niemógł i wystrzelał co do nogi; potém złe sługi srodze ukarał, a dobre nagrodził, człowiek co doświadczył wiele, co ramię miał potężne i rozum przenikliwy.

Penelopa, co prawda, wierną żoną i jeśli już kto, to ona i u nasby się zwała cnotliwą. Jak Odyssej przez morza i lądy dąży tęskniąc do Itaki, tak ona doma czeka stale i cierpliwie. Już wszyscy co ciągnęli pod Troję wrócili, już niemasz kogo coby nie wierzył że Odyssej gdzieś skonał wśród toni, albo na nieprzyjaznym zabity brzegu; a ona czeka i spodziéwa się zawsze. Najechali dom jéj hałaśliwi gachowie, a ona statecznie odmawia nowych ślubów, choć widzi jak natrętne drużyny zniszczą dobytek upartéj a bezbronnéj wdowy. Niezewszystkiém bez trudności jest; choć z serca gachów nienawidzi, choć darmo męża

z płaczem czeka, choć syn matczynych rządów niecierpliwy, gdzieś się wymknął z Itaki pokryjomu; chce przecie Penelopa przypodobać się tym których niecierpi i gdy schodzi między gachy na biesiadę, schodzi okrasiwszy twarz wonnemi, barwnemi olejkami. Lecz o miłości i nowym ślubie słuchać nie chce. Obiecuje, że męża weźmie, gdy skończy kobierzec, a kobierzec w dzień wyhaftowany w nocy pruje; serce jéj nie zezwala brać gorszego męża, gdy miała wpierw Odysseja bohatéra. To téż wreszcie po latach dwudziestu samotności, wyniosła między gachów łuk męża i rzekła, że odda rękę temu, co łuk ten napnie, co jak mąż jéj boskie posiędzie siły. I nikt łuku nie napiął, jeno przebrany za żebraka Odyssej, co wymordował gachów natrętów i cieszyła się boska Penelopa wróconym małżonkiem wśród komnat cienistych. Ale niebierzcie jéj wierności za prawowitą cnotę nowożytnéj żony. Wspaniałego miała męża, bohatéra i kochała go, bo inaczéj czynić nie mogła i po dwudziestu leciech nawet nie mogła się pozbyć jego pamięci. Małymi, złymi się wydawali wszyscy inni mężowie, aż kiedyś już po męża powrocie zjawił się w Itace w komnatach sam syn Zeusów, bóg cały, Hermes lotny i młody. A wtedy ścmił się Odyssej śmiertelny i boga pokochała wielkiém sercem boska wśród niewiast Penelopa i uszła z domu mężowskiego nocą i pokryjomu z bogiem promiennym i wraz z nim zamieszkała wśród gór i ostępów lesistéj Arkadyi, kędy zrodziła najmłodszego z bogów Pana koźlorogiego.

U pięknych i dobrych, u boskich bohatérów stawała namiętność nieprzezwyciężona. Dawały ją bogi, dawało przeznaczenie: jako bogów było darem że nad inne niewiasty piękną była Helena, tak z bogów tylko sprawy miała serce niestałe córa Ledy pięknowłosa. Bogi to sprawiły, że uszła od męża miłością wiedziona córa Zeusowa z Parysem trojańskim; bogi to sprawiły, że przez nią bój stanął straszny, że konali męże, że miasto spłonęło, że niewiasty poszły płacząc w niewolą. I nie było w tém jéj winy. Gdy poźniejszemi laty poeta zuchwały Stezychoors śmiał w odzie boską przekląć, pokarała go ślepotą, i sprawiedliwie, bo bosko przecie działała, gdy wdziękiem i krasą paliła grody. Nie to cnotą bywało u bahatérów, co cnotą zwiemy; to cnotą—co podziwiać musimy.

Lecz nie długo stało na ziemi wśród śmiertelnych ludzi bohatérów pokolenia; nastali zwyczajni jak my ludzie, i bogowie odmówili im wspaniałości dawnéj. Dziesięciu niestarczyło na to, by dźwignąć głaz, którym w boju ciskał Ajaks Telamonów syn, a ośm najpiękniejszych niewiast w jednym greckim grodzie musiało się złożyć na to, by wybierając u każdéj co najlepsze, malarz mógł odtworzyć oblicze argiwskiéj Heleny. Więc na to by być świetnymi i możnymi jak bogowie ziemi śmiertelni, na to by posiąść grecką cnotę, musieli sobie sami radzić późniejsi Helleni; musieli teraz zarabiać na podziw, musieli wspólnie trudzić się tém, czego pojedyńczo zdziałać nie mogli. Musieli założyć grody i ustanowić nad sobą prawa święte.

Powstały tedy dwa rodzaje grodów w Helladzie: Joński stanął gród i gród Dorycki. Doryckiego wzorem od początku Sparta, Jońskiego zrazu Sibaris w południowéj Italii, a potém Ateny.

Doryjczycy byli garstką wśród podbitego ludu, i w Sparcie było siedem tysięcy panujących Spartyatów pośród trzech kroci Peryojków i Helotów, to jest poddanych i niewolników; a gdy dopowiemy że Spartyata był przyrodzonym wodzem i innych Hellady rzeczypospolitych, pojmiemy że był jakby bogiem pośród ludzi. Miecz dzierżył w ręku, gdy dokoła niego chylono się w pocie czoła nad pługiem; panował, rozkazywał, gardził jakby bóg jaki. Miał władzę i warto było by wszystko czynił by zachował tę władzę. Ustanowił tedy nad sobą prawo srogie, i był kornym i ubogim. Spartyaci wojskiem byli tylko, ich miasto obozem, i wyrzekli się wszelkiéj nieżołnierskiéj uciechy by zachować panowanie. Wszyscy żyli w ubóstwie, dzierżąc każdy równą schedę, siedzieli w drewnianych domach, odziewali się zawsze w czerwone siermięgi i latem i zimą niedogodne; jadali razem i ukradkiem tylko do żon się zakradali, a dzieci chowali w straszliwym rygorze, o poście i chłodzie, a młodzieńców zaprawiali do cierpienia, każąc im się biczować przed świątynią Artenudy do krwi, do kości, często do śmierci bez jęku, bez skargi. I zaprawiali wszystkich do walki i okrucieństwa; dzieciom kraść kazali; kazali im w zasadzce czekać na niewolnika i zabić go jak zwierzynę, kazali bić się zacięcie pazurami i rękami z towarzyszem co większą karnością na większe u starszych zasłużył pochwały; kazali chodzić po mieście milcząc z wzrokiem zwróconym wprost przed siebie, i starszych milcząc i ślepo słuchać kazali. I tém zaprawiali do tego co daje panowanie, do nieugiętości i karności, do panowania nad sobą, do wstrzemięźliwości i braku litości wszelkiéj. Nawet niewiasty w Sparcie były to harde mężynie co trzymały rząd i berło nad niewolnym tłumem; żony wierne, matki srogie, nieubłagane panie. Dziewice nagie ćwiczyły się wraz z młodzieńcami, i potém dawały się wykradać za chłopców przebrane. Matki i żony mówiły mężom ciągnącym w bój; „Wróć zwycięzcą, albo niewróć wcale!" Płakały wtedy, gdy syn uszedł z pobojowiska; cieszyły się, gdy poległ.

Hart żołnierski, pieśń bojowa nieobce były Sparcie; gardzono płaczliwą skargą Jońskiego poety; niedbano o potoczystą przekonywającą wymowę. Słowa Spartyaty winny być krótkie jak na żołnierza przystało, i starsi tylko radzili, lud słuchał świadcząc okrzykiem że się na starszych wolę zgadza. Milczący, głodny, posłuszny dzierżył Spartyata chwałę wojenną i nad obcymi panowanie i tém był podobny do bohaterów dawnych.

Jończyk przeciwnie obrał sobie za cnotę przepych i bogactwo, a wiele Doryckich grodów w Sycylii i nawet w Peloponezie poszło za Jonów przykładem. W przysłowie przeszli Sybaryci, i obok nich zawczasu Milezejczycy.

Tu orano ziemię, liczono trzody, puszczano się za zyskiem na nieznajome morza. Tu swobodnie a często burzliwie radzono społem

na rynku o zbójeckiéj albo handlowéj wyprawie; tu same prawa kazały myśléć o bogactwie. A zato z dwojga: z panowania i rozkoszy, rozkosz miano. Biesiadowali męże w komnatach jak owe Olimpijskie komnaty, pijali wino po którém pływały listki wonne pulchnéj róży; leżeli na łożach usłanych z listków kwietnych przykrytych babilońskim kobiercem, i słuchali płaczliwéj rozkosznéj Lidyjskiéj muzyki. Jako słońce najlepsze na niebie, a woda najczystszym napojem, tak cnotą najwyższą było bogactwo świetne i złociste. Nie wstydził się poeta u końca pieśni żebrać o złoto a tego chwalono co złota miał wiele. Mąż piękny i dobry wiózł wszędy z sobą niewolników całą trzodę, by dowieść, że jakby Bóg jaki bogaty i niewybrał się w swaty, by z sobą nie powiózł i psiarzy, i sokolników, i rybaków, i grajków i nawet konie do pląsów przyuczone. Boć koń co do boju służył dawnym bohaterom, koń Medycki, biały, długogrzywy, miał być już tylko świadkiem bogactwa to jest cnoty i szczęścia, i niebyłoci czynu bardziéj chwalonego nad to, gdy kto wychował konie co w wyścigach zwyciężały. Temu stawiano posągi, tego opiewali poeci, chwaląc go pod niebiosy. I ta cnota mogła być także udziałem niewiasty co żyła w roskoszném ustroniu wśród niewolnic tłumu [1]).

Zwyczajnie jednak niewiasty i pacholęcia cnotą piękność była, dar bogów, po bogactwie najlepszy, dar co daje takie panowanie nad ludźmi i także drugim roskosz sprawia. Jedne niewiasty chowano za własne żony w ukryciu dzieciom na matki. Drugie, cnotliwsze pono, chodziły na biesiady mężów cieszyć pięknością, pieśnią i dowcipem.

Powiadam! gdyby nie śmierć, choroba, byłoby to życie jak u bogów na Olimpie; gdyby nie śmierć i choroba, i jedna rzecz jeszcze: przemoc.

Przemoc — oto rozkosznych Jończyków nieszczęście. Nietylko przeciw zbrojnym Dorom niestało sił do obrony, ale obcy, ale barbarzyniec przyszedł nieraz, gród spalił, i lud wyciął lub zabrał w twardą niewolę. Trudném to niebyło. Wszak raz gdy Sybaryci w bój pociągnęli przeciw Krotoniatom, nietrzeba było innego fortelu by ich zwyciężyć nad ten, że Krotoniata zagrał na flecie pieśń taneczną [2]); wtedy to wszystkie konie Sybarytów stanęły uczonego dęba, i pląsać zaczęły, a stał Krotońska wnet pocięła na kawały zniewieściałych jeźdzców. Ale nietylko przed obcym trudno było się obronić, i swój stał się groźnym, stał się klęską gdy tylko śmiało i bezwzględnie szukał na ziemi bogów doli, gdy chciał silną wolą panować i żyć rozkosznie, i nie cofnął się przed żadnym środkiem by swego dopiąć celu. Wtedy najęci żołnierze lub podburzeni ubodzy napa-

[1]) Porównaj z epinicyami Pindara a głównie z 4-tą Pitejską, z opowiadaniami o Sminderydesie u Ateneusza i Dyodora Ateneusz XII 520 o.

[2]) Czytaj Dyogenesa L. Peryandra i Herodota I 20 i nast. III 48 i nast. V 92; Dyodor IX.

dali na domy bogatych i zmuszali ich wszystkich do dani i niewolniczéj służby. Wtedy wszystko co było w grodzie służyło jednemu, a ten wyglądał jak bóg jaki naprawdę, gdy jako pan życia, czci i mienia, ze złotą wstęgą we włosach szedł przez ulice i rynki otoczony strażą o połyskujących tarczach; wtedy nastawała tyranida nieznana w Sparcie.

Taka tyranida powstała i w Doryckim Koryncie, co siadłszy na przesmyku w samém sercu Hellady zewszystkiém z Jońska wiódł żywot bogaty. A wzorem i zazdrością tyranów był Peryander pan na Koryncie, co już po ojcu wziął pierwsze miejsce w Rzeczypospolitéj. Przepyszną była jego stolica co na dwa morza patrzała, pełna przemysłu i rozkoszy, i kto tylko chciał użyć rozkosznego życia, a miał za co, ten zajrzał do Koryntu. Najpiękniejsze posłuszne panu niewolnice mieszkały w świątyni Afrodyty bogini piękności, a najprzedniejsi śpiewacy i grajkowie cieszyli pieśnią misterną pańskie ucho. I nietylko te rozkoszy co wszystkich cieszą służyły Peryandrowi; na jego dworze szukano i innéj bogów cnoty, głębszéj myśli i badawczéj mądrości, i ludzie poważni z całéj Hellady, których słowa wszędzie chętnie słuchano, przybywali do Koryntu, aby z królem toczyć rozmowy o światów budowie, i rozum królewski tak zasłynął, że niebrakło tych coby go policzyli do siedmiu mędrców Hellady. Więc wszelaką posiadł cnotę Peryander i winien być jak bogi szczęśliwy.

A jednak tak niebyło. Mędrcy co u niego gościli widzieli po jego twarzy że nie rad ze swéj doli; wiedział pan że mu zazdroszczono i czuł że każdy radby zajął jego miejsce, czuł że wszystkim był w Koryncie zaporą i zdawało mu się że każdy nań ze sztyletem czyha. Z dniem każdym przeto żył ostrożniejszy, samotniejszy i bardziéj ponury, raczéj do piekielnego jak do niebieskiego bóstwa podobny.

Niegdyś w Epidaurze bawiąc u króla tamtejszego i pana Proklesa, ujrzał był jego córę, jak w powiewnéj szacie robotnikom w ogrodzie nalewała wina, i wydała mu się piękną, jak na jego żonę przystało i poślubił ją. Ale zły los chciał, że z nią niewiele miał pociechy. Kochał ją, a jednak znienawidził, bo ujrzał że ona nad niego kogo innego przekładała. Niemógł na to patrzéć, niemógł tego ścierpiéć, i wreszcie zadał ukochanéj a niewiernéj powolną truciznę, i lud cały widział litując się jako bladła i więdła młoda królowa, piękna Melissa żona Peryandrowa i jako wreszcie umarła przedwcześnie. I lud cały przebaczając panowanie, stanął przy stosie na młodéj pani greckim pogrzebie.

Ciało spłonęło ale zostało wspomnienie; i odtąd Peryander nie usypiał po nocy. Po wszystkich komnatach zamku królewskiego błądził cień biały Melissy, stawał przy królewskiéj łożnicy i budził zabójcę; a szedł za nim cicho, skoro się zerwał z łożnicy i biegł po zamku by niewidzieć i by zapominać.

Wtedy zwołał pan, napół oszalały, lud cały i wszystkie Koryntu niewiasty do świątyni Afrodyty, nakazawszy by żona każda przy-

oblokła co najprzedniejsze szaty; a gdy zeszły się do świątyni pstre tłumy, kazał straży napaść na niewiasty i zedrzéć z nich szaty kosztowne i świecidła ze złota i elektronu. Nagie wreszcie, na ulicę wypędziły straże, a mężowie ściskali pięście w niemocnym gniewie. Wydało się oszalałemu mędrcowi że pozbędzie się mary mściwéj, gdy spali dla niéj strojów tyle, aby Melissa na błoniach Elizejskich wszystkie przewyższyła strojnością heroiny dawne, i król obraził naród śmiertelnie a nie pozbył się mary.

Więc teraz coraz samotniejszy wśród grodu cieszył się król winem tylko i synami Psametychem i Likofronem; a z tych dwu, młodszy Likofron był mu milszym. Nierad ich puszczał od boku swego ale trudno było odmówić dziadowi ich, panu Epidauru, Proklesowi, gdy zażądał by mu wnuków przysłano. Wyprawił tedy synów w drogę Peryander i czekał ich powrotu niecierpliwie ponury i pijany. I wrócili wkrótce, ale jeden z nich był ojca wrogiem. Dziad Prokles żegnając się z nimi spytał się był o to, czy wiedzą kto zabił ich matkę, a spytał się tak znacząco, że Likofron wspominając nocne ojca strachy, zrozumiał straszną tajemnicę. To téż skoro pacholę do Koryntu wróciło, oddaliło się od zamku ojcowskiego i chodząc po mieście wzywało wszystkich do nienawiści przeciw zabójcy Melissy.

Deklamator starożytny z czasów cesarstwa rzymskiego byłby się czuł w prawie opisywać tu, jakby powieściopisarz jaki całą boleść nową Peryandrową, i bodaj czy może zręczny opis, choć zewszystkiém wymarzony, nie dodałby uroku powieści. Nowożytny pisarski obyczaj opisów takich nam broni, skoro tu o dziejową prawdę a nie o baśń jaką chodzi. Spisać tedy musimy to tylko, że Peryander zrazu usiłował Likofrona zwrócić z obranéj drogi przez poselstwa i namowy a potém gdy te nie poskutkowały przez ukaz srogi. Kazał po mieście roztrąbić, że ktoby pod dach swój przyjął królewicza Likofrona, któryby go nakarmił albo napoił, ktoby doń choć jedno słowo przemówił będzie śmiercią karany. A że się w Koryncie bano i króla i jego straży, zrobiły się wnet pustki dokoła królewicza, i musiał sam milcząc siedzieć pod portykiem łaknąc i pragnąc i czekając śmierci, aż widać było, że chłopiec umrze z pragnienia a karku przed ojcem nie ugnie. Do zgłodniałego już, do ledwo żywego przystąpił Peryander sam, bo nie chciał syna tracić, bo chciał go ubłagać, ugłaskać, pokochać, bo chciał się nim nacieszyć. Przystąpił tedy do syna tyran dumny i zaczął go prosić by wrócił pod dach ojcowski; a królewicz spojrzał na ojca gasnącém okiem, spalony już głodową gorączką i rzekł niezłamany niczem: „A nie wiész, człowiecze, że karzą tu w Koryncie śmiercią tych co rozmawiają zemną."

Wtedyto ojciec uczuł, że syn jego przełamał wolę. Dał mu statek i wysłał z drużyną na wyspę Korcyrę, któréj rządy jemu powierzył. I tak okupił pokój. Ale bez syna coraz smutniéj było w Koryncie znienawidzonemu tyranowi, i niebyło komu berła przekazać, bo syn starszy Psametych był głupcem, a ojciec to widział

i wstydził się tego; a wedle innych podania, Psametych nie synem był nawet, tylko synowcem. Postanowił tedy Peryander oddać Korynt Likofronowi o silnéj woli, a samemu zamienić się z synem za wyspę Korcyrę. Gdy statek z Likofronem wjedzie do zatoki, wyjedzie statek drugi z Peryandrem, bo Likofron statecznie ojcu odmawiał spotkania, ale statek z Likofronem nie zawitał nigdy do Koryntu. Mieszkańcy Korcyry przelękli się zamiany i niechcąc rządów Peryandrowych, zabili niewinnego Likofrona, wiedząc że Peryander nieopuści Koryntu niezostawiwszy tam następcy. I nie omylili się Korcyrejczycy i omylili zarazem, bo Peryander nie przybył do ich wyspy dowiedziawszy się o śmierci syna i nie mieli tyrana pośród siebie; ale tém sroższy spadł na nich gniéw królewski. Wszystkim Korcyrejczykom kazał synów porwać król i wyprzedać do Azyi na rzezańców, a potém pił już bez pamięci. Nie przychodzili już więcéj na dwór nieszczęsnego poeci i mędrcy, a chyba Scyta kpiarz Anacharsys, co podówczas dziwactwem Greków bawił, przychodził pić o zakład z królem Koryntu. Anacharsys pierwszy pod stół się powalił a nazajutrz twierdził że wygrał zakład, skoro się pierwszy spoił.

Tak wśród płaskich żartów, wśród mar co mu wypominały minione zbrodnie, i wśród brudnéj pijatyki kończył Peryander dni swoje. A gdy mu już życie nadto zmierzło wybrał sobie w dziwacznéj rozpaczy śmierć fantastyczną, w któréj poraz ostatni dumie k'woli stwierdził moc w grodzie nieograniczoną. Zawołał do siebie młodzieńca i kazał mu wyjść o północy i zabić człowieka którego zdybie przy grobowcu za miastem, którego imię wymówił. Potém osobno drugiemu, kazał wyjść nieco późniéj i zabić człowieka którego zdybie wracającego od grobowca tego drogą. Trzeciemu wreszcie znowu osobno kazał wyjść późniéj jeszcze i zabić człowieka którego zdybie przy bramie wiodącéj do grobowca. Dawszy te rozkazy, czekał wieczoru, i wieczór wykradł się cichaczem z miasta i siadł na grobowcu oznaczonym. Jego zabił pierwszy młodzieniec, zabójcę drugi, drugiego trzeci, i tak jeszcze po śmierci Peryandra spełniono jego wolę.

I takich ludzi bogatych i potężnych a znienawidzonych i nieszczęśliwych było w Helladzie więcéj; i patrząc na nich przekonali się mądrzejsi wśród Greków, że nie panowanie, i nie bogactwo stanowią o szczęściu. A że szczęście u nich cnotą było, więc teraz zaczęli szukać innéj cnoty. Poznali że ludziom śmiertelnym niewolno mierzyć się z bogami, uwierzyli że bogowie zazdroszczą zbytniéj pomyślności i karzą za nią, i postanowili wstydliwszéj cnoty szukać dla śmiertelnych.

Wtedyto nastał okres tak zwanych siedmiu mędrców, których różnie wyliczają. Ale podobno pierwotnie byli to Chylon Spartyata, Solon Ateńczyk, Tales z Miletu, Kleobul z Rodu, Bion ze Smirny, Pitak z Lesbu i samże Peryander z Koryntu. Ale gdy Peryander popadł w nałogi, zbrodnie i nieszczęścia takie, jakie mędrca spotkać niepowinny; gdy się przekonano że sama potęga i bogactwo przemocą na-

byte nie dają ani szczęścia ani boskiéj cnoty, postanowiono szukać zastępcy Peryandrowego, by i nadal jako jest siedm gwiazd na niebieskim wozie, było siedmiu mędrców w Grecyi. Wtedyto zgłosił się ów wspomniany już Scyta Anacharsys do Solona, mówiąc że jego trzeba przyjąć do pocztu mędrców, bo choć obcym wśród Grecyi, lepiéj od Greków pojął cnotę, lepiéj od nich potrafi cnoty nauczać. On sam jeden żyje bez troski, gdy oni wszyscy to o jedno to o drugie dbają. Oni szukają krągłych pieniędzy, a on je ma tylko za liczmany; oni suszą sobie głowy nad prawami, a on wié że prawa chyba na to ustanowione aby było komu je gwałcić; pajęczyny to bezsilne, w których mucha ugrzęźnie a które bąk przedrze. Takie mowy i wieczna swoboda niedbałego barbarzyńca co nic niemiał do stracenia, niczego się nie wstydził i niczem się nie martwił: wzbudziły naprawdę podziw Solona, któremu były w pamięci nieszczęścia możnych téj ziemi, nieraz w mnogich podróżach widziane; nieszczęścia co spotkały jego przyjaciela Peryandra. Gotów był się tedy zgodzić by cudzoziemca przyjęto w poczet mędrców, ale żądał potwierdzenia wyroczni w Delfach; bo przekonał się także w długiém życiu, że ludzie niedorośli bogów nieśmiertelnych, i że bez ich rady i najmędrszy nic bezpiecznie począć niemoże. Zażądał tedy, by Anacharsys poszedł do Delfów i spytał się tam Apolina o to, czy niemasz w Grecyi mędrszego człowieka? Anacharsys usłuchał rady, i usłyszał odpowiedź boga przez usta kapłanki, jako mędrzec większy mieszka w wiosce Chenach u stóp Parnassu i zwie się Mizosem.

I oto zabolało przecie coś Anacharsysa włóczęgę i wrócił do Aten niecierpliwy. Solon wierzący, ze zdziwieniem usłyszał odpowiedź wyroczni. Ich siedmiu znała przecie Grecya cała i czciła i podziwiała, a tu mówiono o mędrcu większym od Anacharsysa, co zamieszkał gdzieś w górskiéj wiosce i o którym on Solon nie słyszał jako żyw. Niemniéj przeto uwierzył Ateńczyk, opasał biodra i greckim obyczajem udał się pieszo do Chen, każąc niewolnikowi nieść wszystko co potrzebował za nim. I prawodawca Aten stanął niebawem w chacie górala, co go uczcił jako gościa, odwiedzinami pewno zdziwiony, ale nie przerwał rozpoczętéj roboty około naprawy pługa: „Mizosie," zawołał Solon, może zniecierpliwiony tém, że górala tak mało wzruszyły odwiedziny tak sławnego męża, „dlaczegoż tak pilnie pług naprawiasz, przecież nieczas do orki." Mizos odrzekł spokojnie: „gdy do orki czas będzie, zapóźno będzie pług naprawiać." Gdy Solon usłyszał tę odpowiedź, zrozumiał słowa wyroczni i odtąd Mizosa policzono między siedmiu mędrców Grecyi w miejsce króla Peryandra i włóczęgi Anacharsysa.

I w téj tak naiwnéj opowieści była cała prawda dla Greków, cała prawda, którą im powtarzali wciąż owi mędrce i która się u nich wrychle przyjęła. Przemoc i pycha nie dawały szczęścia i owszem sprowadzały gniew Zeusa niezawodny; ale i życie włóczęgi obżartego i bezwstydnego, a próżnego nie było cnotą; cnotą były: cicha praca, sprawiedliwość i skromność obywatelska, rzeczy co dają przyjaciół, bezpieczeństwo, spo-

kój i szczęście dla wszystkich prawie dostępne, co różnią Helena od barbarzyńca i zbliżają go do bogów nieśmiertelnych. Taką cnotę, gdy o niéj raz usłyszał, chwalił każdy, bo nienawidzi się potężnego mocarza i miło tym co go zazdroszcząc występnym przezwać mogą; a każdy sprzyja cichemu i spokojnemu, a usłużnemu sąsiadowi. Więc nauką mędrców było niegonić za czém inném jak za mierném mieniem i dobrą sławą, skrzętną pracą odwracać od siebie ubóstwo co czyni człowieka złym i nieszczęśliwym, a ścisłém przestrzeganiem bronić wolności i równości obywatelskiéj z bogów pomocą. Człowiek cnotliwy winien się starać o przyjaźń ludzką i przeto być usłużnym dla usłużnych, słownym i skromnym; winien wiernie przechować powierzone pieniądze, winien być gościnnym i gościa głowy strzedz jakby głowy własnéj; winien pilnie radzić o Rzeczypospolitéj, by każdy czuł, że gorzéjby było gdyby jego ubyło; winien dla dobrych niewolników być dobrym panem i winien ich za zasługi wynagradzać wolnością, przez co miał przyjaciół wolnych i przez co zachęcał pozostałych w niewoli do pilniejszéj służby. Podobnież winien wszystkich przekonać o tém, że źle wyjdzie na tém kto go krzywdzić zechce; winien przeto być nieubłaganym wrogiem, w potrzebie i podstępnym i kłamliwy, a zawsze nieulęknionym; winien posiąść wymowę by mógł wrogom szkodzić w radzie, a karną odwagą by ich mógł gubić w boju. Niedość było teraz słuchać popędów które dały bogi, trzeba było pracą taką oto cnotę wyrobić w sobie.

A ażeby nie ściągnąć na siebie bogów gniewu nieprzełamanego, należało się składać im przepisane ofiary, chylić się przed nimi w pokorze, niepożądać tego co nad ludzi wynosi i zazdrość bogów budzi, dziękować za to co nieśmiertelni już dali, choćby mało dali, a dziękować z całego serca, uprawiać święte oliwki i matkę rolę, a nadewszystko inne strzedz sprawiedliwości, strzedz praw które bogowie zatwierdzili na to by stały, na to by istniały grody. Nie człowieka żadnego lękał się Greczyn, lękał się tylko bezprawia, bo wiedział że kala i gubi. Zabicie człowieka w pokoju zakałą, kradzież zakałą, krzywoprzysięztwo i fałszywe świadectwo zakałą, niedotrzymanie przymierza i tchórzostwo w wojnie zakałą; najgorszą zakałą to, gdy kto wroga zabije w miejscu poświęconém bogom. Takie czyny gubią miasta i ludzi; kto ich unika i cnotliwie żyje, temu dadzą szczęście bogowie.

Wedle téj tu nauki, przeistoczyły się niebawem Ateny pod wodzą Solona i stały się nowym wzorem miasta jońskiego, co już nie jak Sybarys żyło dla rozkoszy tylko, co nie poświęcało szczęścia dla władzy, jak to czyniono w Sparcie; miasta, w którém w pokoju mógł człowiek badać bogów naturę i tworzyć piękno nieśmiertelne. Niemniéj przeto długo jeszcze została władza przy Sparcie, cnota spartańska doznawała czci za to, że była najtrudniejszą; podziwiano Spartyatów bo byli potężni, a niezazdroszczono im bo żyli w ubóstwie; Chilona przeto Spartatę stawiano na czele siedmiu mędrców i wiedziano dobrze, że Spartyaci pierwsi słuchali w Helladzie prawa i że byli bogom najposłuszniejsi. Królowie Sparty tedy byli dla cnoty przyrodzonymi wodzami Grecyi, przy-

rodzonymi opiekunami i przed tyranami i przed obcym najeźdzcą; oni wszędzie mieli pocześne miejsce i ufano, że gdy między grodami spór powstanie, spór rozsądzą sprawiedliwie; za ich przykładem czczono nadewszystko Zeusa w Olimpii i Apolina Delfickiego i do zdań przyjaciół nauki dodał Chilon Spartyata jeszcze trzy przepisy, które kazał wykuć na przyczołku świątyni w Delfach: „Znaj siebie samego! Nie czyń nic nad miarę. Za nic nie zaręczaj!" Temi trzema przepisami nakazał zupełne panowanie nad sobą i wierzył, że kto je zrozumié, kto się wedle nich wiecznie miarkować będzie, ten będzie szczęśliwym i pięknym i dobrym, ten będzie mógł żyć w pokoju i w weselu i będzie mógł używać darów boskich, patrzéć na piękno świata nieśmiertelne i jeśli boską posiędzie iskrę, piękno to odtwarzać, albo pieśnią, albo dłutem, albo malowidłem, albo wreszcie tańcem lub siłą ciała. Cnotyto przez bogów nie każdemu dane, ale które ten marnuje co je pracą nie ulepsza.

A jednak człowiek cnotliwy, wedle mędrców nauki, bogobojny, ostrożny i dobrowolnie prawu posłuszny, niemógł uniknąć śmierci i własnéj i swoich, nie mogli go od niéj ochronić przyjaciele. Niejeden ojciec co był wzorem cnót, płakał nad dzieci grobem, niejedna matka co bogobojnie doma siedziała, wełnę przędła, pieśni słuchała i bogom składała ofiary doczekała się tego, że najlepsze dzieci, skromne córki i synów dzielnych a prawych, chlubę jéj, przed czasem poniesiono do grobu. I było to zagadką na którą nie łatwo było znaleźć odpowiedź. To jeszcze dało się pojąć, że starzec umierał, gdy mu już niestało zdrowia i wesela i zapału. Ale czemuż umierali młodzi? Pieśń ludowa i poetów podanie prawiły coś o tém, że bogowie nietylko o potęgę zdobytą przemocą zazdrośni, że zazdrośni i o piękne dzieci. Ale jakżeż to być mogło, skoro sami te dzieci dają? Nie mogli już w to wierzyć ludzie co dobrém zwali to co sprawiedliwe, a od przodków słyszeli że dobrymi są bogi.

Więc niedługo a inna odpowiedź stanęła na uściech Hellady. Mówiono odtąd, że śmierć nie nieszczęściem: że dobrodziejstwem. W Olimpii zwyciężyło dwu synów jednego ojca, a wtedy widz, boskiéj świadom woli, przystąpił do ojca tego, co się cieszył synów chwałą i życzył mu śmierci, bo już nic więcéj życzyć nie zostawało. Gdy Krezus król Lidyi pytał Solona o ludzi najszczęśliwszych, wspomniał Solon o takich tylko co wcześnie pomarli, o żołnierzu co zginął walcząc w obronie ojczyzny i o owych dwu synach argiwskiéj kapłanki Kleobisie i Bitonie, których los wam w kilku słowach przypomnę. Oto matka ich miała wyjechać w dzień świąteczny na wysoką górę, na któréj stała świątynia Hery, a koni niémiała. Obaj synowie Kleobis i Biton, chcąc matce radość sprawić, wprzęgli się do jéj rydwanu i wciągnęli ją na szczyt góry pośród podziwiającego ludu. Matka tedy do łez wzruszona, błagała bogów przy ofierze, by dali synom to co najlepszego ludzi spotkać może. A gdy wracała z ofiary, zastała synów w przedsieni świątecznéj umarłych.

Wszystko dobro, którego człowiek śmiertelny mógł doznać za życia było przyprawione goryczą; każdego spotkały troski, bole, zawody, choroby; a gdy kto żył długo, czekała każdego starość naprzykrzona. Jedno tylko było naprawdę przed cierpieniem schronienie, a tém schronieniem była śmierć. To też późniejsza Grecya nie lękała się już krainy cieniów; naród wesoły, naród co żyć umiał, jak żaden inny ani przedtém, ani potém ukochał śmierć całą piersią, tęsknił za nią jak za kochanką i przedstawiał ją w postaci pięknego, a często sennego młodzieńca. Wszak sen najlepszą rzeczą; wszak dnia najszczęśliwszego nie przyrównasz do cicho przespanéj nocy. Więc dlaczegóżby się miano lękać śmierci, co tylko snem głębszym i długim?

Powiadano, że niegdyś Midas spytał się mądrego satyra Sylena, co dla ludzi rzeczą najlepszą? a Sylen odrzekł: „Najszczęśliwszym o wiele ten, co się nie narodził; a kto już raz zrodzony, temu umierać o wiele najlepiéj."

A jeśli jednak kogo straszyła w śmierci nicość, jeśli kto się niepokoił nieznając krainy za grobem, jeśli był ciekaw i chciał uchylić zasłonę i na to była rada. Oddawna były w Helladzie miejsca poświęcone boginiom dobrym: Demetrze i córze jéj Persefonie; boginiom dobrym, lubo były boginiami śmierci; oddawna śpiewano tam święte pieśni, tajne odbywano obrzędy; ale teraz w czasie siedmiu mędrców, nabyły te miejsca raptem większego znaczenia i zawitały do nich nowe obrzędy, nowe tajemnice: tam teraz tłómaczono i naturę bogów i życie pośmiertne. Tam powiadano, że dusza ludzka początku niéma i końca, że z bogów duszą współistotna i że śmierci nie ulegnie; że człowiek po śmierci schodzi najpierw do krainy cieniów, gdzie żyje czas jakiś bez ciała, karany albo szczęśliwy, a potém znów się odradza człowiekiem albo zwierzęciem i że póty będzie się odradzał, aż trzy razy żyć nie będzie na ziemi sprawiedliwie jako człowiek; albo, aż nie stanie się mędrcem, albo aż w boju nie zginie. Tu uczono się modlitw, co od grzechu oczyszczały i słyszano naukę podobną do indyjskiéj, prawiącą o bogów i ludzi hierarchii, a tém tylko różną, że tamta nie dawała pociechy i nigdy nie obiecywała pokoju i żądała straszliwéj ofiary, a ta ludziom cnotliwym i odważnym obiecywała wieczne szczęście na Olimpie, gdzie promienić będą w mocy: wszak przy tajemnicach świętych mówiono, że i bogowie niegdyś ludźmi byli, że na początku władała tylko ślepa konieczność i że nawet Zeus piorunowładny i szczęścia i berła dorobił się tylko ludzką zasługą.

Takie to nauki wyrabiały naród mężny; niewiasty mężom poddane, przełożone nad niewolniki, uczyły synów cnoty i przechowywały bogów sprawy, a czasem z mężami puszczały się pieśnią w zawody, biorąc lutnię w ręce. Mężowie dla ojczyzny żyli i świętéj przyjaźni i piękno tworzyli i praw słuchali i pierwszy raz zjawił się na świecie naród mężów wolnych a karnych, bogobojnych a myślących, co żyć chcieli na ziemi, lecz żyć na wzór bogów nieprzemijających.

Takim był naród cały, a wśród narodu byli wybrani najcnotliwsi, prawdziwi bogów oblubieńce, co przeniknęli rzeczy istotę, a wzgardzili tém, co przemija: to tylko ukochali co trwałe. Wielu ich było, ale tu kilku tylko wymienić mogę.

A najpierw o ludziach dwojgu, o rodzeństwie z Samos, o Temistoklei i Pitagorze. Pierwszy razto spotkamy u progu najtajniejszych misteryów wiary wiedzy niewiastę, boto téż na Wschodzie kobiéta wiary objawić nie mogła: mogła w Helladzie.

Jest zwyczaj powszechny prawie u dzisiejszych pisarzy prawienia o tém, że kobiéty greckie służebnicami były prawie i niewolnicami prawie: dlaczego? Nigdy się dopatrzyć nie mogłem. Chyba dlatego, że niezewszystkiem z mężami się równały, że nie bywały obecnemi na pijanych biesiadach i że przyjaźń często zajęła miejsce miłości u mężczyzn; prawda, że ideał emancypantek nie ziścił się nigdy w Atenach, ale może nigdzie potém niémiały kobiéty tyle znaczenia, co w Doryckiéj Sparcie, a pełno kobiét na każdéj kartce dziejów greckich i kobiéty te bynajmniéj nie są niewolnicami. I któż nie zna imienia Safony pieśniarki namiętnéj, któréj zwrotki dreszczem przenikają serce, co kochała i kochaną nie była i w szalonym grzesznym obłędzie porzuciła Lezbos ojczysty i poszła na Akarnańskie skały i stanęła nad szumném morzem na ostrym, stromym przylądku Akroceaunu i skoczyła ztamtąd do fali z wysokiego szczytu, by zginąć jak poetka i kochanka wzgardzona. Wiele wieków minęło, nim znowu taka poetka stanęła wśród ludzi. I nie chrześciańskie tylko dzieje mają Johanny de Montfort i panie Chrzanowskie. Niebawem spotkamy heroiny, co z koroną na głowie rządziły narodami Grecyi, jakby Elżbieta jaka albo Katarzyna; teraz wspomnimy tylko Tegezyllę. Król Sparty Kleomenes, co gardził boskiemi zakony, najechawszy Argos, zastał pod miastem wojsko w świętym Here borze i wbrew prawu narodów, ręką bezbożną bór podpalił, tak, że wśród pożaru haniebnie wyginęli męże. I Argos stare byłoby napewno popadło w ręce Spartyatów tego wieczoru, gdyby widmo Hery trzęsąc berłem niby włócznią, nie było uczyniło trwogi w sercu króla świętokradzcy i nie wstrzymało go tego dnia w pochodzie. A nazajutrz było już zapóźno. Spartyaci zastali zbrojnych na murach grodu, a zbrojnymi były mężne niewiasty, wdowy po zabitych bezbożnie, powołane do boju przez jednę zpośród siebie, któréj imię Tegezylla. I wrócił Kleomenes z hańbą do Sparty jako świętokradzca, pokonany przez niewiasty.

Niedziw tedy, że obok śpiewaczki i bohatérki, spotkamy myślicielkę i prorokinią.

Otóż przebywał w Samos człowiek niejaki, rodem z Lemnos, imienia Mnezarch. Nie był obywatelem Rzeczypospolitéj i zajmował stanowisko podobne do tego, jakie mieli w przeszłym wieku u nas mieszczanie; zresztą miał się dobrze i trudnił się rytowaniem drogich kamieni. Otóż ten Mnezarch miał czworo dzieci: trzech synów i jednę córkę. Z synów Eubul i Tyren byli pociechą ojca i ludźmi praktycznymi i po

ojcu wzięli rzemiosło. Najmłodszy natomiast syn Pitagoras i córka Temistoklea, musieli nieraz zaniepokoić skrzętnego rodzica. Nie na życie powszednie, nie na to co chléb daje, zwróconą była ich uwaga. Temistoklea myślała wciąż o śmierci i o tém, co będzie po zgonie; Pitagoras był ciekaw wszystkiego co go otaczało, prócz jednego rzemiosła.

Gdy młodzieniec dorósł, wybrał się do szkół, w których uczono o naturze rzeczy wszystkich i to najpierw do Syry słuchać Ferecydesa, a potém nazad do Samos, gdzie w ojczystym grodzie słuchał mniéj głośnego nauczyciela Hermodamanta. W szkołach tych uczono przeważnie tylko fantastycznéj fizyki i Pitagoras celował w nich zawczasu. Ale siostra Temistoklea, która trwała uporczywie w panieńskim stanie, zwracała ciągle jego uwagę na rzeczy ważniejsze wedle niéj: na naturę bogów nieśmiertelnych, na życie pośmiertne i na grozę zgonu. Pitagoras tedy nietylko celował w nauce szkolnéj, ale prócz tego często mówił o rzeczach górnych i tajemnych, tak, że wreszcie syn rytownika zwrócił na siebie uwagę pana wyspy Samos Polikrata i został przyjęty do łaski pańskiéj; na własne żądanie został młodzieniec wyprawiony do Egiptu, gdzie był ciekaw nauk kapłańskich; a dla Temistoklei wyrobił Polikrates większą jeszcze rzecz o wiele, bo sprawił to, że ją przyjęto do Delfów na kapłankę, by siedząc na trójnogu wśród wyziewów buchających ze świętéj pieczary, wymawiała słowa Apolinowe. Tam mogła dziewica nacieszyć się dosyta obcowaniem z rzeczami świętemi.

Po latach kilku pobytu w Saïs, powrócił Pitagoras do ojczyzny bywały i uczony, ale wcale niezadowolony z nauk egipskich. Ani o fizyce, ani o tém co mądrością prawdziwą być mienił, t. j. o nauce życia i śmierci nie wyrobił sobie na obczyznie stanowczego przekonania i gdy się jego pytano czém jest? nie śmiał mówić by był mędrcem: *Sofos*, jeno mówił, że jest przyjacielem mądrości: *Filosofos*. I dodawał do tego te słowa: „Ogół ludzi, szuka tylko jadła i cielesnéj rozkoszy na wzór zwierząt, ja zaś mądrości i pragnę i łaknę."

Najpilniéj mu było do siostry. Znał jéj umysł i wierzył, że ona w obcowaniu z helleńskimi bogami doszła do tego, czego on darmo szukał w obczyźnie. I nie zmyliło go oczekiwanie. Temistoklea nietylko na trójnogu prorokowała; prorokowała odtąd bratu i wtedy, gdy z nim chodziła po ogrodach lub pośród skarbów delfickich.

Na każdym kroku widać tu było pamiątki po wiekach minionych, ofiary bohatérów starodawnych, tarcze ich i zbroje, co nie przeminęły, choć ich ciała spoczęły w grobie. A nad gajem świętym, jak ongi tak i dziś, żeglowało nieprzemijające słońce, krocząc tą samą co niegdyś drogą po błękicie; nie zmieniły swych kolei planety nieśmiertelne; na dawném miejscu jaśniały gwiazdy stałe, te same kwiaty wyglądały zpod murawy, te same drzewa rosły dokoła w majestacie konarów i liści, to samo życie drgało w przyrodzie, to samo ciepło krążyło po żyłach ludzi. I pytała się Temistoklea, czy ludzie są naprawdę inni? A na pytanie odrzekła, że nie! Z jéjto ust usłyszał brat, że naprawd-

dę niéma śmierci; ani dobrodziejstwem nie jest, ani karą, zmianą tylko, w któréj ludzie pamięć tracą i to nie nazawsze, bo mędrzec pamięć odzyska. A jéj słowa popierały nauki, głoszone po świętych tajemnicach Demetry i Persefony.

Jeśli śmierć jest straszną dla ludzi, mówiła Temistoklea, to dlatego tylko, że sami straszną ją czynią. Ciała różne, stany, płci, narody, które duch przybiera w żywotach swoich kolei, to pozory, to nie naprawdę, to rzeczy, co tyle tylko ducha i prawdziwą istotę obchodzą, o ile ją zbliżają lub oddalają od celu, od szczęścia bogów. Mędrzec, co istotę swoją pojął, co zmienność żywotów przejrzał i znając wszystkiego nieistotność, przypomniał sobie wszystko co pamiętać warto, już blizki bogów i szczęścia, a sam nieśmiertelność dzierży już.

Duch, to ciepło żywota, to ogień święty, zamknięty w ciężkiéj klatce z wody i ziemi, z któréj środka to tylko widzi, co pod zmysły podpada. Od ciała duch uwolniony widzi świat wcale inny. Ujrzała go na trójnogu najpierw, gdy święte z pieczary powietrze przyćmiło przed nią zmysłowy świat, gdy nie słyszała uchem, okiem nie widziała, nie czuła ciałem; wtedy to, bezpośrednio duszą ujrzała ów świat tajemniczy z za grobu; ujrzała umarłych, co bujają po powietrzu rojnie, czekając aż im Zeus nie każe wejść do wilgoci i zimna, co ciałem się zowie, a co przyjmą potém ciało wedle zasługi; widziała jaśniejące bogów postacie, co już po długiéj żywotów kolei, pozbyły się urodzin i śmierci i po raz ostatni z boskich rodziców zrodzeni, żyją wiekuiście w ognistych, lotnych, przejrzystych postaciach, co całe ogniem tylko i duchem i szczęściem i wiedzą. Wtedyto Apollo jaśniejący wstąpił do niéj ogniem swoim, ogień jéj duszy rozpłomienił, światu okazał piękność niezrównaną i przez jéj usta mówił wróżby nieomylne.

I teraz wiedziała już, że tylko owe słowo urocze a zgubne, to ja, to moje, broni od duchów obcowania i od żywota wiecznego i śmierć na ludzi sprowadza i cierpienie. Ludzie w ciało się swoje zagłębiają, pasą je i cieszą i głaszczą. Łakną dobra, co ciało rozraduje, zazdroszczą bogactw, o bogactwa, o jadło nienawidzą się wzajemnie. Troska ich i myśl o ciele tylko, prawo nawet ciała sługą; żywot człowieka w materyi, myśl zmysłowa, a kłamstwo ciągle i pochlebstwo i podstęp na uściech. Każdy każdemu rękę jak bratu podaje, a myśli tylko jakby go zgubić i oszukać. I jakżeż chcecie, by lud chełpliwy i próżny, kłamliwy i cielesny widział świat ducha nieznikomy, nieśmiertelny, święty i prawdomówny? Prędzéj ślepy ujrzy barwę, niźli samolub prawdę?

Dwie tylko bywają chwile w zwyczajnych ludzi żywocie, w których się wydobywają z ciała, w których słyszą duchów głosy. Chwilami temi sen i blizkość śmierci. Wtedyto węzły, co łączą ciało i duszę zwątlone, samolubstwo mdleje i prawda się jawi. Ale ludzie stoją o to, by się i te widzenia mąciły i zamieniły w widziadła niejasne; obżarci kładą się do łoża i we śnie nawet ciało syte bierze górę. Zabijają ciągle jak nie ludzi w wojnie, to zwierzęta, to rośliny, dla jadła, dla zaba-

wy, z nieuwagi, zapominając, że duch siedzi we wszystkiem co żyje, że wszystko ma prawo żyć i że w zwierzęciu i w roślinie pokutuje może dusza człowieka samoluba. I jakież mają być promienne i prawdomówne widma przy łożu śmiertelném zabójcy?

Gdyby ludzie tak jako ona robili, gdyby się wyparli tego co moje i nie moje, gdyby nie pili wina, a jedli mało i to tylko jarzyny niesyte i to tylko to czego brak rośliny nawet nie zabije, wstrzymując się zewszystkiém od mięsa; gdyby dbali o to, by i nikogo i nic nie skrzywdzić, chodzili bezbronnie, mówili mało i prawdę tylko, modlili się wiele i unikali ludzi i zabawy, słyszeliby wszyscy, jak ona słyszy muzykę co światy przenika; widzieliby i duchów umarłych i bogów jaśniejących, nie znaliby śmierci i nie znaliby cierpienia [1]).

Pitagoras słuchał nauk siostry i uwierzył jéj i zaczął żyć poszcząc i modląc się jak ona żyła i niedługo a widział duchy wiekuiste i usłyszał pieśń niezrównaną światów, co kołują przez otchłanie.

A że brat był mędrcem i biegłym w piśmie i mowie, tak oto złączył i związał duchów i bogów naukę.

Jako śmierć i życie i ciało każde ułudą tylko i wszystkiego istota prawdziwa jest jedna, a wszystko co jest, to téj jednéj istoty odmiana. Jedno tedy rzeczy początkiem; ale gdy to jedno zmieniać się poczęło, powstała obok niego odmiana i z jednego stało się dwa: to co się zmienia i to co zmienione; a gdy do tych dwu dobieżysz, to jedno co się nie zmieniało jeszcze, masz trzy; i tak możesz przyjść do całéj liczb kolei. A że liczb jest nieskończenie wiele, więc nieskończona świata rozmaitość powstała z różnego liczb bratania. I zaiste, czémże się różni istota jedna od drugiéj jak nie liczbą? Różnica każda jest stosunkiem. Zawieś i wypręż struny przy sobie tak, aby jedna dłuższą a druga krótszą była i każ im drgać, a w miarę długości ich wydadzą różne tony. Otóż różnica długości jest różnicą w liczbach, a czém różnica tonów, tém różnica barw. Stosunek postaci różnych i sił różnych i jakość różna rzeczy, to tylko liczb pewnych układ.

Ale oto jako są tony wdzięczne i fałszywe, tak są też i figury i myśli i siły, które wyszły z harmonijnego liczb układu, z układu, w którym liczby jedne w drugich podzielne—oto źródło dobra; źródłem zła—dysharmonia. Świat ogromną harfą, w któréj najwyższym i najczystszym tonem, w którym jednością i początkiem rachuby duch, który ogniem jest. Duchowym środkiem świata Bóg, a cielesnym słońce, które także ogniem i duchem jest. Dokoła słońca krążą planety, ułożone w odległościach równych długości strun harfy i pieją nieśmiertelną pieśń, tworząc wraz z ziemią i słońcem siedm nut oktawy [2]); ludzie zaś i duchy i zwierzęta i rośliny i ciała martwe, to znowu harmonia druga i drugi układ siedmiu strun: bogowie, nymfy, demony, ludzie, zwierzę-

[1]) *Życie Pitagorasa* czytaj w Dyogenesie Laercyuszu. O jego nauce u Seneki i Cycerona.

[2]) Porównaj Tymeusza, gdzie Platon wykłada naukę Pitagorejczyków.

ta, rośliny i materya martwa, oto siedm strun duchowéj lutni. Każdy duch to nuta pieśni co po tych strunach drga, to iskra ognia co jest od początku i do końca będzie i co winno się zestroić w wieczną harmonią, wedle nauk Temistoklei.

Brat i siostra poznali tak prawdę i zaznali szczęścia wiekuistego, pozbyli się obawy śmierci, i postanowili że prawdę tę trzeba głosić wszystkim i uczynić uczestnikami szczęścia wszystkich coby prawdę słyszeć chcieli, że trzeba świat zestroić w harmonią o tyle, ile się zestroić da, tępiąc krzywą ludzi samowolę. Ale że synowi rytownika trudno być prorokiem tam gdzie go znano, wyjechał Pitagoras do Włoch, a Temistoklea tylko została w Delfach szczęśliwa wśród bogów i duchów, gdzie umarła wkrótce czczona nad inne niewiasty.

We Włoszech wylądował najpierw Pitagoras w Metaponcie milczący, w białe szaty przyobleczony, i zaczął zawód kaznodziei i cudotwórcy. Ale że tu nie znalazł rozgłosu na który liczył, przeszedł do największego miasta we Włoszech ówczesnych, do Krotony i tu wkrótce doczekał się wielu uczniów i uczennic. Zamieszkiwał najczęściéj za miastem w pieczarze, gdzie przebywał z umarłymi i bogami, ale od czasu do czasu przychodził na rynek i tam rozpowiadał ludowi o rozkoszach czystego żywota, i o tém jako przed wiekami zrodził się Etalionem synem Hermesów, i że Hermesa ojca swego, bogów posła, prosił o nieśmiertelność, że Hermes daru tego odmówił, ale dał za to pamięć nieprzemijającą i że przeto Pitagoras pamiętał wszystkie swe przeszłe żywoty, i to wszystko co bywa po śmierci, i że o tém pouczy tych co zechcą naśladować jego życie i słuchać jego rozkazów. A gdy zwabił do siebie ciekawych, kazał im zrzec się własnéj woli, małżeństwa i ziemskiéj miłości i majątku, oddając mienie swe na wspólną własność zakonu. A że wielu na to się godziło by posiąść tylko jego mądrość, powstały i w Krotonie i niebawem wszędzie w południowych Włoszech i męzkie i żeńskie klasztory Pitagorejczyków co niejadali mięsa, chodzili w białych szatach, żyli w czystości zupełnéj, ćwiczyli się w milczeniu, które w czasie nowicyatu musiało trwać nieprzerwanie lat pięć, grali na lutni i uczyli się matematyki i geometryi, by znając prawa liczb nie grzeszyć już przeciw światom harmonii.

Społeczeństwa te klasztorne budziły długo podziw powszechny; ale niebawem ogół Helenów ujrzał że przez owe niewojenne zakony, których członkowie niedbali o prawa Rzeczypospolitych i niebrali udziału w wiecach i naradach, i dzieci nie mieli i majątku nie przysparzali, i krwawych ofiar bogom nie nieśli, siła Rzeczypospolitych upada; że jeśli się rozmnożą jeszcze, wymrze rodzaj ludzki; strach było patrzéć na to jak w wojowniczéj do niedawno Krotonie ubywało żołnierzy, a jak klasztory rosły z dniem każdym zpopod ziemi. Postanowiono tedy uczynić koniec téj powszechnéj szkodzie i dnia jednego napadnięto na klasztory i wycięto Pitagorejczyków. Wtedyto pono zginął i Pitagoras sędziwy, a zakon z Krotony wygnany, nie zakwitł już nigdy tak

jak za życia proroka. Istniały jednak odtąd, lubo nielicznie, po różnych miastach rozrzucone klasztory.

Tyle o Pitagorasie najsławniejszym z pierwotnych mistyków greckich; wypada nam jeszcze wspomnieć o Heraklicie i Zenonie z Elei, a potém wrócimy się do narodu całego i świeckiéj myśli w Helladzie.

Jeśli Pitagoras należał do średniego stanu, Heraklit, pod wielu względami jego współzawodnik, lubo znacznie młodszy, był królewiczem i następcą tronu w Abderze na południowém wybrzeżu Tracyi. Umysł jego raczéj wróżbowy jak badawczy, a karmiony nauką podaną w misteryach, i niejedném pitagorejskiém zdaniem, zbrzydził sobie zewszystkiem ludzi i panowanie. Wydało mu się, że ludzie mówią jeszcze do pewnéj miary rozsądnie, a czynią zawsze źle i szalenie; wszystko co oni cenią i za czém się ubiegają, wydało mu się marnością nad marności. Królewskość, podług nauki moralistów była nieledwo grzechem; sam wiedział że ciężarem, a wszyscy jéj zazdrościli. Życie było snem, śmierć niczem, a ludziom życie wydawało się wszystkiem, śmierć końcem. W szaleństwie swém niepoprawni dręczyli się samowolnie i nieustannie i źli i głupi. Ledwo kilku wybranych zajmowało się prawdą wiekuistą i pięknem i Heraklit wolał ich los i zaniechał świetnego trudu panujących. Oddał dobrowolnie berło bratu i ożeniwszy się, postanowił wieść życie ciche, poświęcone jedynie nauce.

Ale teraz dopiéro, gdy się stał ludziom równym, poznał ich złość całą; gdy zgłębił nauki myślicieli, poznał marność wszechrzeczy. Mędrcy stawiali piękne i niezmierne bóstwo ogniste na czele i u gruntu wszechrzeczy, i w niém szukali pociechy, a Heraklit tego bóstwa znaleźć nie mógł: wszak ogień to rzecz znikoma i przemienna; dusza jednego człowieka z dnia na dzień się mieni; młodość uchodzi, starość nadchodzi, wspomnienia mijają, ciało odumiera, dusza gaśnie, nowe życie na grobach ustaje, wszystko przemija, mienia się, niknie bezustanku, bez prawdy i nadziei. Wszystko kłamstwem tylko i złudzeniem. Heraklit to widział jak na dłoni, a nikt tego nie chciał zrozumieć: ani żona, ani dzieci, ani nikt! Wszystkich ciągnęło do siebie to co wiecznie przemija

Czasem Heraklit brał do ręki pióro, by spisać myśli swoje, ale skoro słów kilka skreślił, rzucał kartkę niecierpliwie; bo i pocóż było prawdę pisać, dla tych co jéj nie zrozumieją, i co szczęśliwsi może przeto że jéj nie zrozumieją? Więc Heraklit rzucał kartki w kąt, i tylko żona wzgardzona zbierała je skrzętnie, chcąc przechować myśli mądrego nadto męża. Nareszcie dnia jednego rzucił zgoryczony dziwak i dom i miasto i uciekłszy w góry zamknął się w pustyni, w jaskini jakiéjś. Myślał że lepiéj mu będzie samemu z naturą, i jadł korzenie dzikie, byle nie zdybywać ludzi. Ale i natura głupstwem mu się wydała, i zwierzęta i rośliny samolubami co się trudzą dla nicości i kłamstwa. Już dłużéj wytrzymać nie mógł i postanowił umrzéć; wierzył że to co po jego śmierci powstanie z cząstek jego ciała, głupszém będzie od niego, a przeto i szczęśliwszém. Jak najprędzéj chciał się rozpłynąć; chciał by

odrazu znikł wszelki ślad jego istoty. Wrócił tedy do miasta, zawołał synów, i wyszedłszy z nimi o zmroku na rynek, kazał się zakopać żywcem w krowim nawozie, i tak zmarł najbrzydszą a dobrowolną śmiercią. Po śmierci jego wydała żona owe kartki niedokończone, które niegdyś zbierała, i z nich powstała dziwna książeczka, niejasna, przerywana ale pełna dziwacznych paradoksów, w których się niektórzy tak lubowali, że czytając je mienili się być uczniami wielkiego filozofa Heraklita, i za jego przykładem obierali sobie pustelnicze życie [1]).

Ale mimo Pitagorów i Heraklitów, Grecyi nie czekał los Indyi. Tylko Krotona osłabiona przez Pitagorejską ascezę padła niezadługo pod ciosami Lukanów; reszta Hellady nie poszła ani do pustelni, ani do klasztoru, zostawiając te schronienia dla tych, co żyć w świecie nieumieli. Obywatelami i żołnierzami byli Helleni i mieli doma żony, i nawet mistycyzm u nich nie stronił koniecznie od życia i obowiązków. Obok Pitagorejczyków i Abderytów stanął że tak powiem trzeci zakon filozofów, czynny i obywatelski. Byli nim Eleaci których zakonodawcą Ksenofanes, a pośród których zasłynął Zenon jako Hellen prawy. Przyjęli wiele od Pitagorejczyków; jak oni wierzyli w jedność wszechrzeczy, głośniéj od nich stwierdzali marność zjawisk. Bogiem najwyższym był im świat okrągły, którego duchowne i ogniste części tworzyły promieniającą zewnętrzną łuskę jasnego eteru; poniżéj był eter gęstszy i powietrze; poniżéj obłoki i wody, a u spodu ziemia co wydała zwierzęta i ludzi. Owe cztery żywioły wszystko składały, a ogień był duszą. Nietrwało jednak nic ani w skrzepłym, ani w ciepłym, ani w powietrznym, ani w ognistym stanie: wszystko się zmieniało, płynęło, przemijało, a świat tylko jeden zostawał, i człowiek winien był zgodzić się z tą jednością. Czém mniéj myślał o sobie, a więcéj o wszechświecie, tém był szczęśliwszym, tém mniéj cierpiał, tém prędzéj mógł mieć nadzieję, że porzuci ciała ziemne i zamieszka w eterze górnym, przejrzystym, duchowym, po którym płyną wszechwiedne nieśmiertelne gwiazdy, w którym żyją wieczni, szczęśliwi bogowie, co chorób nie znają i śmierci. Bogowie owi własny los wzięli od Przeznaczenia; i oni nawet znikną po długiéj wieków kolei, gdy świat na chwilę być przestanie; lecz i świadomość zgonu owego nie zamąci ich szczęścia, bo po światów śmierci nastąpi odrodzenie, i wszystko co było, znów się powtórzy, i jaśni bogowie znów będą szczęśliwi. Każda zmiana ułudą; czas sam ułudą. Co było, to jest i będzie, i przez wiek wieków się powtórzy. Czas stoi na bogów zegarze, a ludzi tylko łudzi myślą, że chwile mijają niepowrotnie; a one nie miną, a one stoją, i z ludzi stają się wciąż to zwierzęta, to bogowie. To co było, to jest i będzie.

A każdy ma i miał przeznaczenie, i spełniać je musiał, i odstąpić od niego nie może; ale gdy je rad znosi, szczęśliwy; a rad je znosi mędrzec tylko; a mędrcem ten komu przeznaczono. Los nie jest w ręku

---

[1]) Żywot Heraklita u Dyogenesa Laercyusza.

ludzkim, a o los ten, niewiele mędrzec stoi. On chwilą w wieczności, on cząstką tkanki bytu niezmiennéj: on niczém [1]).

Mistycyzm to i mistycyzm niezawodnie. Ale Eleatów nie pędził do klasztoru, i to tylko spełnił, że weseléj obowiązek pełnili, że radzi poprzestawali na tém że praw byli sługami, sprawiedliwości stróżami, dzielnymi żołnierzami i wrogami zbrodni. Ówto mistycyzm uczynił z Zenona bohatéra, co sprawił podziw Helladzie. W jego ojczyznie, w Elei, panował tyran srogi, któremu na imię było: Nearch. Zabijał, kradł, czynił złość wszelką, i Zenon wraz z przyjaciołmi uczynił spisek przeciw nieprawemu, wierząc wraz ze wszystkimi Hellenami, że zabicie tyrana, cnotą. Zenona wybrano aby czyn spełnił, i Zenon został pochwycony. Wtedyto tyran kazał filozofa przyprowadzić do sali radnéj, i obiecał mu i przebaczenie i mnogie skarby, jeśli wspólników spisku zdradzi. Zenon obiecał, że wszystko powié, ale tylko na ucho tyranowi, a gdy się Nearch pochylił by posłuchać tajemnicy, odkąsił mu ucho Eleata zawzięty. Wściekły od bolu i skrwawiony tyran zagroził męką zuchwałemu, ręcząc że tortury wyrwą mu tajemnicę; ale wtedy Zenon chcąc być pewnym że milczéć potrafi, sam sobie język odkąsił. Niczego niemógł się przeto tyran od niego dowiedzieć, i wskórał tylko tyle, że kazał Eleatę żywcem utłuc w moździerzu [2]), co mędrzec zniósł napozór obojętnie.

I lubo mało kto w Helladzie zbadał i pojął naukę Ksenofana, i lubo Grecy byli narodem rolników, kupców, żołnierzy, poetów i rzeźbiarzy, i dzień na pieśni spędzali, hart podobny jak u Zenona był w niejednéj greckiéj piersi, i niejeden umysł grecki ujął ład świata, i ułożył rzeczy w lik, i gdy działał greczyn każdy, chciał działać tak jak tego wymagało przyrody prawo, a nie tak jak tego pożądała ślepa namiętność, córa niesforna jednéj człowieczéj piersi. I państwo w Helladzie w ład się zwarło, w ład się zwarł bojowy szyk mężów, i mawiano że nie ten Hellenem co helleńskiéj używa mowy, jeno ten, co jak człowiek rozumny a nie jak zwierz dziki działa.

A jak zwierz jaki wszechpotężny, mową ludzką obdarzony, działał wielki król, rozkapryszony pan Azyi, czyto Daryuszem się zwał czy Kserksesem. Zwierza miał chucie, zwierza gniew, i przebiegłość zwierzęcą, i nie Hellenem był: był barbarzyńcem. Aż strach pomyśleć o jego potędze; grody jego to kraje były całe, i w grodzie jednym bywało ludzi tyle co w całym Peloponezie; i znużyłbyś się gdybym zaczął wyliczać wszystkie ludy jemu poddane, wszystkie skarby co coroku z królewstw wielu do jego płynęły skarbnicy. Zwierz to był i niewolnik z rodu, godzien niewoli, a miał władzę i moc taką, jak chyba który z bogów nieśmiertelnych. Więc gdy oręż jego doszedł aż po morze błękitne, po szumne Egejskie morze, po którém płyną bałwany o kitach z białéj piany, i statki Helleńskie o żaglach białych jak owe kity,

[1]) Porównaj jeszcze wykład pierwotnych filozofii greckich u Zellera.
[2]) Raz jeszcze odsyłam do Diogenesa Laercyusza.

i gdy usłyszał o nadbrzeżnym narodzie, co chodzi na targ i sprzedaje i kupuje, wzgardził nim, ale chciał by ludek ten drżał przed obliczem jego, i bijąc mu czołem, tarzał się w prochu. I wydawał rozkazy, i pienił się z gniewu, gdy grody nadmorskie spełniały bogów a nie jego wolę, i prawa i sumienia słuchały, a nie królewskiéj groźby.

Jeśli była rzecz święta, świętym był człowiek, choćby wróg, co szukał schronienia u bogów. Gdy kto w świątyni padł na kolana przed ołtarz okrągły, bogów był gościem, boga prawica zasłaniała go przed wrogim pociskiem, choćby tyranem nawet był, najgorszym z ludzi. I jeśli kto go zabił, choćby nawet na to by pomścić krzywdę ojczystego grodu, prześladowali zabójcę odtąd wieczni bogowie; we dnie i w nocy nie było dlań spoczynku; z sykiem budziły go ze snu sumienia gadziny, i klątwa bogów spadała na miasto w którém bawił. Być może czynem cnotliwym zabić wroga w niepoświęconém miejscu, i krótka pielgrzymka i kilka obrzędów zabójcy wraca prawo składania ofiar nieskalanych, ale gdy kto wroga zabił w świątyni, trzeba go było odpędzić precz z miasta, trzeba było miasto poświęcić, by po nim znikła zakała; i niewiedzieć jak za rzecz taką bogów przebłagać nieśmiertelnych.

A w każdym domu greckim mieszkała święta bogini, Hestya córa Zeusowa, widna w płomieniu na ognisku domowém. I każdy gród miał Hestyą wspólną, miał ogień święty co tlił gdzieś na rynku przywieziony z metropoli, albo cudem zapalony przez dawne bóstwo. I gdy kto uchodząc przed przemocą, przybył do grodu, i Hestyą ujął ramionami, był odtąd gościem bogini, i biada ludziom, biada miastu, coby gościa takiego w ręce wroga oddali.

Uszedł przed gniewem króla zbieg do Helleńskiego miasta, a król zażądał głowy zbiega. Więc przestrach był w grodzie, więc była narada. Małoduszni radzili oddać gościa, bo król był możny, a rozgniewany mógł gród w perzynę obrócić. Mędrsi w mieście radzili by się najpierw spytano boga. Posłano tedy jednego z nich do wyroczni; zbliżył się poseł do świątyni, weszedł pod cień portyku, pochylił się przed drzwiami celi, przez które widać było w pomroku boga bałwan niesforny, i spytał się o to, czy ma miasto słabe oddać gościa w ręce króla potężnego, czy nie? i usłyszał głos co wyszedł z półcienia, głos wyraźny, głos boski, i usłyszał jako głos ten wołał: „Wydajcie gościa!“ Więc zdziwił się mędrzec i zgorszył gdy usłyszał z ust boga, tak bezbożną odpowiedź. Z tym poseł nie chciał wrócić do miasta; pewien był że bóg nie mówił szczerze; więc obszedł w zadumie, idąc popod kolumnady dom Apolinowy, i wrócił poprzed drzwi i pochylił się znowu, i spytał się znowu co czynić miastu? I znów głos wyszedł z boskiego przybytku i dał rozkaz wyraźny: „Wydajcie gościa.“ Mędrzec usłyszał ale potrząsał głową i nie wierzył, i poraz trzeci sparty o kij podróżny, obszedł świątynię. Gdy zaszedł w tylną część kolumnady, podniósł głowę wypadkiem i ujrzał wśród architrawów mnogie jaskółek gniazda. Spojrzał na nie czas jakiś, potém podniósł kij i zaczął gniazda jedno po drugiem burzyć. Nagie pisklęta padały na kamienną posadzkę,

i zabijały się niebożęta na miejscu, a czarne, długoskrzydłe rodzice oblatywały głowę zabójcy, kwiląc, bezradne. Aż się bóg Apollo obruszył w świątyni, aż zapłonął wielkim gniewem słysząc skargi ptastwa mordowanego co gościło pod jego dachem. I poseł znów usłyszał wielki bóstwa głos wychodzący z celi świątynnéj: „Jak śmiesz, zbrodniarzu, zabijać gości moich? Zawołało bóstwo: czy myślisz że gości nieobronię?" Usłyszał mędrzec groźbę i sparłszy się o kij, spytał znowu spokojnie: „A jakżeż ty śmiesz, boże, upominać się o gości swe, gdy sam każesz nam gościa, wbrew świętemu prawu, wydawać w ręce barbarzyńców?" Tak spytał się człowiek, a w świątyni znowu zahuczało od boga w odpowiedzi: „Głupcze! Gdyście się przelękli wojsk królewskich, gdyście w małodusznéj trwodze śmieli do świątyni słać posły z zapytaniem, czy wolno gwałcić prawo, ja Apollo wam odrzekłem: gwałćcie prawo! Słuchajcie króla! a odrzekłem tak, by bezbożnicy co się lękają, rychléj spełnili zbrodnię, i rychléj na zgon, na zgubę i zagładę zasłużyli!" Tak zawołał bóg, a poseł teraz dopiero boga zrozumiał, i wrócił do domu z odpowiedzią wyroczni.

Niebyło-bo jak z bogami żartować, gdy chodziło o prawo. Jeden Spartyata pytał się w Delfach o to Apolina, czy ujdzie mu bezkarnie, gdy sobie przywłaszczy pieniądze powierzone mu przez laty, przez człowieka co znikł bez śladu; i za te pytanie zmarł Spartyata bezdzietnie. Apolo na to by się mścić nie czekał, aż kto zgwałci prawa; dość mu było gdy kto pomyślał o tém, że można ominąć prawo święte. A pierwszym Hellenów prawem był rozkaz, by żyli wolno w wolnym grodzie, i by pomarli raczéj, a czoła przed panem nie pochylili. Więc jakżeż miał ich król królów poddać pod swoje jarzmo?

A bez Greków nie mógł się król obejść. Bez Greków był pan Azyi napoły tylko królem i czuł to. Na Behistuńskiéj opoce wykuł Daryusz, Histaspów syn, tytuły bez końca i wizerunki królów, na których kark stopę położył. A jednak był igrzyskiem choroby, gdy niémiał przy sobie Greków lekarzy. A gdy chciał most postawić przez Bosfor lub Hellespont, znów Greków potrzebował i bez Mondroklesa Samijczyka i na krok niemógł postąpić po bladolicéj Europie. Niedziw tedy, że Daryusz, Histaspów syn, codzień kazał niewolnikowi przypominać sobie wojnę ze Spartą i Atenami; niedziw, że się wypytywał wciąż o to, kto w Helladzie króluje? komu na kark ma postawić stopę, by mógł powiedzieć, że jego włością boska Hellada? A jednak niedziw, że ludzie co czcili prawo i ład, co chcieli zrozumieć świat i własne czyny, co widzieli w śmierci dawczynię szczęścia i spoczynku, nie ulegli królowi królów o barbarzyńskiéj mocy.

Jeszcze zrazu gdy nadgraniczne, azyatyckie Greków osady napadali, szło Persom po myśli. Lud tu był z Jońska po staremu rozkoszny, lud tu usypiał na fiołkach z biesiadnym puharem w ręku, z siedmiostrunną lirą przy boku. A z Aten i Sparty straszno było iść Jończykom na odsiecz. Przez cnotę Spartyaci zostawali doma.

Był tedy królem w Sparcie mąż co się narodził nawet z posłuszeństwa dla Eforów władzy, mąż gwałtowny zresztą i często bezbożny, ale mąż co się narodził jak na Spartyatę przystało i co się znalazł ostrożnie i roztropnie jak na Spartyatę przystało, gdy do niego posłali Jończycy wymownego Anaksagorasa z prośbą o przymierze. Warto tedy opowiedzieć jak się mąż ten narodził i jak mąż ten się znalazł, gdy Anaksagoras Jończyk do niego przyszedł z namową. A najpierw o urodzinach, potém o odprawie danéj posłowi.

Kto chce wiedzieć jak mąż i niewiasta, jak miłość i dom były posłusznemi prawu w Sparcie, gdzie prawo czyniło ludzi podobnymi bogom nieśmiertelnym, niechaj zważy jako Anaksandrydas Leonów syn, król Sparty zrodził syna. Miał żonę i kochał żonę, a żonę w Sparcie kochano naprawdę. Nie często widywał ją mąż i niémiał czasu przywyknąć do żony, a odwyknąć od miłości. Gdy się ożenił, niewolno mu było przez lat kilka przychodzić do żony przy świadkach. Choć królem był, musiał się do niéj zakradać pocichu, niespostrzeżony i musiał czynić tak, by nikt nie wiedział o tém, że do własnego zachodzi domu, jeśli chciał uniknąć ludzkiego śmiechu. Więc przez lat kilka żona była owocem zakazanym, a wiécie jak wszelki owoc zakazany smakuje. I późniéj, gdy już dzieciom ojcem był, nie jadał z żoną i rzadko widywał się z żoną. Choć królem był obiadował w przyjaciół kole, z przyjaciołmi chodził na łowy, z przyjaciołmi ciągnął w bój. Do żony wracał tylko na rzadkie chwile; więc tęsknił za nią, więc kochał ją, więc oddawał jéj rząd w domu, więc słuchał jéj we wszystkiém, w czém nie spotkał przeciwnego Rzeczypospolitéj rozkazu. Mawiano gdzieindziéj w Grecyi, że w saméj jednéj Sparcie niewiasty rządzą mężami, a Spartyatki odpowiadały na to, że to prawda.i że przyczyną tego to, że w Sparcie tylko niewiasty mężów rodzą. Więc mężem chyba był naprawdę i kochał żonę i służył jéj Anaksandrydas Leonów syn, ale z żony owéj niémiał dzieci [1]).

A oto prawo chciało, by Spartyaci na to tylko brali żony, by im rodziły mężów i przyszłych ojczyzny obywateli; stróżami prawa byli obrani urzędnicy zwani eforami i oni się gorszyli tém, że król Anaksandrydas bezdzietnością swoją dawał zły przykład Spartyatom, wydali tedy rozkaz, by król obok ukochanéj pojął drugą jeszcze żonę. Król się wahał, król się prosił, ale wreszcie usłuchał rozkazu i Kleomenes królewicz narodził się tak z Eforów woli. Gdyby prawo było kazało królowi żonę odstąpić na tydzień lub miesiąc starszemu mężowi, zasłużonemu a bezdzietnemu, byłby król także usłuchał, bo rodziny niczém, niczém serce wobec prawa i woli ojczyzny.

Więc król Kleomenes Anaksandrydasów syn, po prawie narodzony, siedział w dobrowolném Spartyatów ubóstwie, na toku w drewnianéj sieni domu swego, w koszuli z sieraczyny, bosy, gdy poseł z Miletu jońskiego Anaksagoras przybył doń namawiając go by stanął na czele

[1]) Herodot, V, 39 i nast.

Spartyatów swych i popłynął za morze i zdobył sobie chwałę nieśmiertelną i mężów Helleńskich godne panowanie, walcząc przeciw królowi Azyi i zniewieściałym jego zastępom. „Niegodni Azyaci, wam zajrzéć w oczy," mówił Anaksagoras, „a gdy zdobędziecie kraj ich, posiądziecie kraj nad miarę wielki."

Kleomenes słuchał mowy posła z uwagą i głaskał główkę córeczki ulubionéj co przy nim stała. „I jakiż to wielki ten kraj króla królów?" spytał Spartyata. Anaksagoras odrzekł: „Od granicy naszéj i morza, trzy miesięcy chodu jest do Suzy, do miasta tak wspaniałego, że gdy miasto to posiędziesz, zrównasz się z Zeusem." A wtedy król Sparty, podniósł głowę i spojrzawszy gościowi w oczy zawołał: „Przed wieczorem, cudzoziemcze, opuścisz Spartę, bo wymownym jesteś i gotoweś Spartyatów namówić na własną ich zgubę, wiodąc ich namową swą w kraj obcy aż na trzy miesiące drógi od morza i ojczyzny!"

Zmieszał się Milezejczyk. Ale po chwili pochyliwszy się do ucha królewskiego szepnął ciszéj: „Niech córeczka twa odejdzie ztąd, a ja ci coś powiem takiego, co cię do wyprawy skłoni." „Mów przy córce," odparł król. A na to Anaksagoras ofiarował Spartyacie dziesięć centnarów srebra, jeśli tylko naród swój do wojny z Persyą namówi. Ale Kleomenes nie chciał złota i odmówił. Milezyjczyk nie uwierzył w odmowę, a wierzył w targ i zaczął coraz większe pieniądze ofiarować, aż doszedł do pięćdziesięciu centnarów srebra; a wtedy córeczka Kleomenesowa zawołała: „Chodźmy ztąd tatko, bo gość gotów cię przekupić" i król przerwał rozmowę ze zmieszanym kusicielem.

Więc jak długo Persowie podbijali zamorskie osady, nie dawała rozwaga pędzić na odsiecz Grekom ze stałego lądu. Wzrósł tedy król Kserkses w dumę i z ludem niezliczonym i ze statkami wieloma ruszył na Grecyą, pewny że ją pokona samym przestrachem. I gdy most na łodziach rzucił przez Hellespont, szło przez Hellespont wojsko trzy doby bez ustanku, a król na tronie siedział na wywyższeniu nad wojskiem i z uśmiechem patrzał na lud niezliczony. Szli Scyci w futra ubrani i zbrojni w łuki, szli w korę przyodziani Indusi, szły ludy aż gdzieś zpod Sybiru i rogate ludy z Etyopii, czarne jak smoła i do czartów podobne; szli Egipcyanie w zbrojach misternych i podbici już Grecy w karnym szyku i szli dzicy o pomalowanéj pstro twarzy i tłumy te wszystkie pędzili wodzowie w bicze zbrojni. I rydwan Ormudza ciągniony przez białe konie, jechał przez morze i przez morze ciągnęło dziesięć tysięcy sług Ormudzowych, nieustraszonych, nieśmiertelnych; a Grecy znad Hellespontu w trwodze padali do stóp króla w złocistéj tyarze i wołali z lękiem: „Czemużto Zeusie, panie piorunów, pędzisz przez morze nam na zgubę wszystkie świata narody, gdy wystarczy ci rzec słowo, a Hellada runie?" I słuchając uśmiechał się Kserkses król królów, najpiękniejszy i najsłuszniejszy mąż w Azyi.

A miał przy sobie w obozie króla co mu służył, byłego króla Sparty Demarata, co za sprawą Kleomenesa poszedł na wygnanie dlatego właśnie, że nie tak jak Kleomenes po prawie się narodził. A jak

się narodził opowiem, bo nic lepiéj nad tę opowieść nie wytłómaczy co było cnotą rodzinną w doryckiéj, dawniejszéj i bogobojnéj jeszcze Helladzie.

Otóż narodziło się przed laty w Sparcie z rodziców Spartyatów dziecko, nad wszelką miarę szpetne, a było to tém boleśniejszém, że dziecko to było dziewczyną, a więc potrzebowało kiedyś témbardziéj wdzięku i piękności co kobiéty z bóstwem równa. I rodzice z zacnego rodu mieli to sobie za dowód gniewu bogów, że im się tak niepiękna córka narodziła i tak głośno się żalili, że bogobojna mamka postanowiła wymodlić się odmiany ich smutku. Chodziła tedy codzień z dzieckiem do świątyni Helleny Argiwskiéj, owéj niewiasty co boginią dla piękności się stała naprawdę i błagała Sparty świętą opiekunkę, by dziecinie pokrzywdzonéj udzieliła choć cząstkę owéj piękności, którą niegdyś jaśniała uwodząc wszystkich Azyi i Europy bohatérów po kolei przez lat sto bohatérskiego wieku. I prośby nie zostały bez skutku i zmiłowała się bogini. Wychodziła raz mamka ze świątyni, zakrywając starannie twarz niepięknéj dzieciny, by nikt nie zajrzał jéj sromu, gdy spotkała wyniosłą a nieznajomą niewiastę. Niewiasta zatrzymała mamkę i spytała się jéj o to, co przy łonie niesie?

— Nic szczególnego! rzecz nieciekawą!—odparła mamka niechcąca odkryć twarzy dziecka.

— Ale przecie co?

— Pańską dziecinę.

— Pokaż mi ją, bo lubię dzieci.

— Nie pokażę! nie mogę pokazać, bo dziecko chore.

— Ale proszę przecie pokazać na chwilę; i napierała się póty obca pani, póki mamka brzydkiéj twarzy rada nierada nie odsłoniła.

Wtedy to niewiasta owa wyniosła, złożyła ręce swe białe na twarz dziecinną i rzekła uroczyście:

— Bądź dziecko najpiękniejszą niewiastą w Sparcie!

Rzekła te słowa i odeszła i dziewczątko odmieniło się odtąd i z najbrzydszego stało się najpiękniejszém i z laty coraz więcéj wzrastało w cudownych, w nadludzkich wdziękach [1]).

Gdy chłopcy spartańscy do krwi się biczowali [2]) i jęki tłumili przed świątynią Artemidy, gdy niejeden z nich tłumiąc ból i milcząc, zadrżał raptem i zachwiał się i padł na plecy i skonał na piasku przed świątynią, stały dokoła matki Spartyatki w długich szatach, stały dziewoje, których całym strojem były dwa fartuchy: jeden z przodu, drugi z tyłu, nad ramionami spięte a zresztą powiewne; a między niemi jaśniała pięknością, pobłogosławiona niegdyś przez Hellenę dziewczyna. Do posągu była podobna, była podobna do Artemidy.

Dwu chłopców spartańskich, co przywykli spać na rogoży, dwu chłopców o podrapanéj twarzy i spuszczonéj głowie, spotykało się na

---

[1]) Herodot t. VI, str. 60 i nast.

[2]) Ksenofont: *Respublica Lacaedemoniorum.*

ścieżce w Sparcie wśród sadów i chat, a przeszła obok dziewica jak zjawienie; więc by się przed nią męztwem popisać, rzucali się na siebie jak wściekli i kąsali się i dusili i drapali i aż na ziem padli obaj, tarząc się krwawo w prochu i póty się bili, póki nie przeszedł tamtędy jaki starszy Spartyata i nie uderzył ich laską przechodząc i nie rozdzielił. A gdy nagie dziewczęta między nagich chłopców przychodziły ćwiczyć ciało, każdy na nią patrzał, jéj szukał rad każdy.

Wreszcie raz Agetos Spartyata, wykradł ją z domu cichaczem, po nocy, jako było Spartyatów obyczajem i zostawił u siebie w ciemnéj izbie, gdzie na nią czekała starka. Starka włos jéj po męzku ostrzygła i przyoblokła ją w męzką koszulkę, ścisnęła jéj kibić rzemieniem i odeszła i zostawiła przebraną samą w ciemnościach, gdzie na Agetosa czekała godzin kilka, marząc pewno dziwnie. Aż rozwarły się drzwi, promyk księżyca na chwilę wszedł do ciemnicy, Agetos milcząc stanął koło oblubienicy; uczuła jego dech ciepły na twarzy; ręką poszukał kibici i sprzączki u pasa, odpiął pas, odłożył na bok i piękną, niewidzianą, wśród ciemności złożył na łoże i było już po ślubie i Agetos jak źrenicy w oku strzegł żony swéj, najpiękniejszéj w Sparcie niewiasty; a patrzał za nią pożądliwém okiem król Sparty, przyjaciel Agetosowy, Aryston.

Zawiązała się raz między przyjaciołmi poufalsza rozmowa. Aristón wniósł, by sobie nawzajem dali dowód przyjaźni szczery: niech Agetos zażąda czegokolwiek ze skarbca królewskiego, a będzie mu daném i niech Agetos nawzajem da królowi to, czego król zażąda. Podchlebił wniosek Agetosowi, przystał na niego i zażądał tarczy, czy włóczni, czy trójnoga. A gdy Aryston dał już rzecz zażądaną, zażądał nawzajem nowopoślubionéj, ukochanéj, niezrównanéj żony Agetosowéj.

Spartyata winien był dochować słowa, choćby słowo było płocho dane; i dotrzymał słowa Agetos i żonę ukochaną oddał na żonę królowi.

Oto w dni kilka potém, wydało się królowéj, że Aryston przyszedł do niéj, że użył z nią małżeńskiéj pieszczoty i że odchodząc złożył na jéj skroń wiano kwiatów; i gdy tak śniła z kwiatami na skroni, wrócił do niéj król Aryston i zbudził ją pocałunkiem; lecz gdy zaświecił lampę w sypialni, spytał się z zadziwieniem: zkąd się wzięły kwiaty na skroni żony?

— Wszak sam je przyniosłeś przed chwilą.

— Anim był dziś u ciebie. Nie żartuj! a powiedz, żono, przecie prawdę!

— To ty żartujesz i źle czynisz, że takie stroisz żarty; wszak przed chwilą widziałam ciebie.'

I w dalszym ciągu rozmowy przyszło do wyrzutów i do płaczu królowéj.

Dopiéro spytani wróżbici i znachory, wytłómaczyli rzecz i powiedzieli, że to bóstwo, przybrawszy postać Arystonową, nawiedziło Arys-

tonowe łoże; a gdy w siedm miesięcy narodził się Arystonowi syn i doniesiono o tém królowi, gdy siedział wśród eforów na radzie przy drugim królu Sparty, zmarszczył Aryston brwi i porachował coś na palcach i w prędkości zawołał:

— To dziecko, to nie moje dziecko!

I choć potém chował przy sobie Demarata i choć Demarat po nim wziął chwilowo berło, nie zapomnieli lotnych słów ojcowskich Demarata wrogowie i gdy przyszło w Sparcie do wewnętrznego sporu, oskarżył Kleomenes Demarata o to, że nie Arystonowym, że Agetosowym synem, a gdy rzecz nie była jasną, przekupił Kleomenes delficką wyrocznię, tak, że wyrocznia jego podejrzenie potwierdziła i Demarat do króla królów poszedł na wygnanie. Ugościł go był Daryusz, przywołał do siebie Kserkses Daryuszów syn, gdy lud przepędził przez Bosfor i spytał w te słowa [1]):

— Demaracie, chce mi się ciebie wypytać, bo tyś Grek i podobno nie z najlichszego Greków miasta, jeśli prawdą co mi inni Grecy mówili. Powiedzże mi, czy zechcą Grecy zajrzéć mi w oczy? Jak mi się zdaje, na nicby się nie zdało, gdyby Grekom na pomoc przyszły wszystkie ludy, co daléj na zachód mieszkają, zawsze małoby ich było i moimby nie wydołali. Alem zawsze ciekaw, co ty o tém myślisz i o to się pytam.

Spytany rzekł, pytając się nawzajem:

— Królu! czy chcesz bym ci prawdę mówił? czy wolisz bym ci podchlebił?

— Mów prawdę!—rzekł król—za prawdę nie myślę się gniewać.

Usłyszawszy łaskawe słowa, tak oto począł Demarat:

— Królu, gdy każesz prawdę mówić, będę mówił tak, byś mnie potém nigdy nie złapał na kłamstwie. Ubóstwo z dziada pradziada w Grecyi jest doma, a cnotę do Grecyi sprowadziły i mądrość i nieugięte prawo. Cnota Grekom pomaga, ubóstwo poskramia i broni od niewoli. I tędzy i dzielni są wszyscy Grecy, tu w Grecyi sprawiedliwéj i wszystkich zarówno chwalę; ale ręczę tylko za Spartyatów i o nich tylko prawić ci będę. To pewna, że nie zechcą słuchać posłów twoich, gdy będą prawić o twojém panowaniu nad Grecyą i to także pewna, że wyjdą naprzeciw ciebie i wydadzą ci bitwę, choćby nawet wszyscy inni Grecy z tobą trzymali. A nie pytaj się o to, czy ich nie będzie nadto mało. Gdy ich tysiąc będzie, wyjdą w bój; wyjdą, gdy ich będzie mniéj; wyjdą, gdy będzie ich więcéj.

Słysząc, zaśmiał się Kserkses i rzekł:

— Demaracie! co ty mówisz? Jakże chcesz, by tysiąc ludzi z takiém walczyło wojskiem? No słuchajcie! Powiadasz, żeś był królem tych ludzi? A zechcesz się bić sam z dziesięcioma z moich żołnierzy? Jeśli twój cały naród taki jak mówisz, wypada tobie być dwakroć tak dzielnym, jak twoi poddani, a jeśli każdy z nich może zbić dziesięciu

[1]) Herodot t. VII, str. 101 i nast.

moich, tyś chyba winien pokonać dwudziestu. No! weź się do nich! a ja tobie uwierzę. To, co mówisz, to przechwałki; niespełna rozumny, kto im wierzy. Wszak sam zważ! Jakże chcesz, by tysiąc albo dziesięć tysięcy, albo zresztą pięćdziesiąt tysięcy ludzi i to ludzi wolnych, walczyło z takiém wojskiem jak moje? Niech ich będzie pięćdziesiąt tysięcy, a nas będzie na każdego tysiąc bez mała. Jeszcze gdyby u was się działo po naszemu i gdyby kto jeden wami rządził, mogłoby tak być jak mówisz, boby batogami garstkę przemocą na tłum popędzono. Ale śmiech, aby wolni ludzie mieli takie popełnić szaleństwo. Ot! pleciesz co ci ślina do ust naniesie.

Na to Demarat powiedział:

— Zgóry, królu, wiedziałem, że gdy ci prawdę powiem, prawda miłą ci nie będzie. Ale kazałeś mówić czystą prawdę i mówiłem przeto jak na Spartyatę przystało. A nie myśl, bym swoich na wiatr chwalił; niémam powodu ich kochać, bo zabrali mi ojcowiznę i wygnali na świat szeroki i gdyby mnie ojciec twój nie był ugościł, niemiałbym gdzie złożyć głowy. Ale, że tobie sprzyjam, prawdę mówiłem. Bynajmniéj się nie podejmę walki z dziesięcioma. Spartyaci pojedyńczo niestraszni, ale gdy idą kupą, nikt im nie sprosta; bo choć są wolni, niezewszystkiém wolni. Mają pana: tym panem prawo i prawa więcéj się boją, jak twoi ludzie ciebie. I z pewnością zrobią co im prawo każe, a ono każe zawsze jedno i to samo i nieda uchodzić w boju, choćby przed największą przemocą. Każe na miejscu stać i zwyciężyć albo zginąć. A jeśli myślisz, że plotę co mi ślina do ust naniesie, wolę odtąd milczéć zawsze przy tobie. Sam mnie przymusiłeś teraz mówić i stało ci się po woli.

Rzecz całą obrócił Kserkses w śmiech i pociągnął daléj pewny swego. A jako Demarat przepowiedział, spotkał Spartyatów, choć tylko trzystu, co czoło stawili wojsku. Nie Kleomenes wiódł ich w bój, bo Kleomenesa spotkała była już kara za świętokradztwo, za spalenie świętego gaju w Argos i za przekupienie delfickiéj wyroczni, ale brat Kleomenesa przyrodni, Leonidas poprowadził mężów na radosną śmierć i trzystu stawiło opór milionom. Nie świętokradzcy daném było zginąć z chwałą Leonidasową.

Szaleństwo napadło było Kleomenesa za karę za grzechy, tak, że gdy spotkał jakiego Spartyatę, bił go berłem w twarz; przykro było na to patrzéć i wreszcie nie było rady i musiano króla szaleńca zakuć w dyby i oddać pod straż Helocie. Helota zwykł był słuchać tylko; Helotę biczem smagano, Helota nie śmiał bronić ogrodu, gdy dla ćwiczenia w wojenném rzemiośle, młodzi Spartyaci kradli w jego ogrodzie; Helota bywał zwierzyną, na którą wypadał młody Spartyata, zabijał dla krotochwili po nocy i dla postrachu; i niewolnik taki, zwierzyna taka, strzegł teraz z bogów wyroku króla Sparty, zakutego w dyby. I naprawdę dobrym stróżem nie mógł być stróż taki. Gdzież jemu sprzeciwić się było rozkazom, gdy Kleomenes zawołał głosem, którym był zwykł przewodzić w zwycięzkich bitwach:

— Puść mnie, podły niewolniku! złam dyby i daj nóż! bo gdy nie usłuchasz, źle z tobą będzie!

Drżąc, złamał Helota dyby i dał szaleńcowi nóż i król nożem pokrajał się żywcem na kawały, zaczynając od stopy; a gdy doszedł do brzucha, skonał w męce. W chwale miał skonać brat jego i następca Leonidas.

Miał w nieprzebytym górskim wąwozie, w Termopilach, przy sobie trzysta Spartyatów, a innego ludu kilka tysięcy. Zdziwiony tém, że tak małą spotkał garstkę, spytał się Kserkses Demarata:

— A gdzież reszta Hellenów?

— Na igrzyskach w Olimpii—odparł Demarat.

— I cóż tam robią tak ważnego, że dla igrzysk lekceważą wojnę?

— Konie królów i panów odbywają gonitwy. I ja tam niegdyś czwórką wyścig wygrałem. Biegną także nadzy ludzie do mety, a kto w wyścigu pieszym zwycięży, tego imię będzie wyryte na spiżowéj tablicy. Rzucają tarczami do celu i mocują się w sposób wszelaki.

— I jakażto nagroda ich tam czeka? Wieleż złota, wieleż srebra weźmie zwycięzca, że to u nich rzecz tak ważna?—spytał król barbarzyński.

A Spartyata odparł:

— Od Elejczyków weźmie zwycięzca wieniec wawrzynowy. Chwalić go będą po pieśniach, czcić go będą do śmierci i jeszcze po śmierci.

Ruszył Kserkses ramionami i tłumy swe nieprzejrzane, różnorodne, puścił do szturmu przeciw Grekom. Ale w wieczór nie ruszał już ramionami wcale. Grecy byli na górze i strzały niemocne dolatywały do nich; Grecy mieli na sobie pancerz i w ręku długą włócznię, a Azyatów broniła tylko tarcza lekka ze trzciny. Azyatom służyła tylko broń krótka, więc jak muchy padali zakłóci przez włócznie helleńskie, a najmniejszéj szkody Grekom zrobić nie mogli. I tygodnie całe musiał król czekać u stóp wąwozu; a gdy wąwóz obszedł, wrócili się do domów inni Grecy, Leonidas i Spartyaci nie chcieli się na krok cofnąć i woleli zginąć. Włosy sobie namaścili, kwieciem uwieńczyli skroń i zanucili pieśń. Król zginął z chwałą w pierwszym szeregu, przyjaciel zginął przy nierozłącznym przyjacielu, tak, jakby dziś kochanek ginął przy kochance, bo w Helladzie kochankami bywali przyjaciele, często tak, że tego nie mogli chwalić filozofowie: i król królów poraz pierwszy zaznał greckiéj cnoty.

Ale goście z Azyi przeszli Termopile i w pochodzie swym wypili rzekę na sucho, gdy rzekę spotkali i strach był w Grecyi i Beotowie i Focejczycy poddali się królowi, a Spartyaci ruszali się powoli; na naradę zebrali się mężowie Ateńscy. Nie wiedzieli co począć i posłali po radę do Delfów, a z Delfów przyszła odpowiedź, że bój będzie daremnym, że klęska będzie niezawodna, że Akropolis czarną krwią spłynie i że nie zostanie z Aten śladu. W drewnianych statkach jedyny ratunek, jedyny ratunek w ucieczce. A na to rzekł Temistokles:

— Będziemy się bili, wbrew groźbie bogów.

I odwieziono matki, żony i córki na zieloną Salaminę i do Trezeny w Peloponezie i na to by Grecy uciec nie mogli, dał się Temistokles ze statkami otoczyć w Salamińskiéj cieśninie przez tłum niezliczony statków perskich. Król królów spalił był już bezludne Ateny i ze szczytu góry patrzał na wojsko niezliczone i statki o czerwonym dziobie i cieszył się już, że Greków wszystkich ma w ręku. Zawiał wiatr poranku, wstały białe zorze, w słońcu zabłysł tron, zabłysła króla korona, ale Grecy w szyku i ładzie popłynęli naprzód; w takt biły wiosła, a pieśń unosiła się ku niebu; sternicy wołali:

— Naprzód dzieci Greków! Oswobódźcie ojczyznę waszą i dzieci i żony [1])!

I z ładem i bez trwogi łamały statki Greków tłum nieparadny perski i w cieśninie tonęły okręta króla królów, a wieczór Kserkses zeskoczył z tronu i zapłakał, bo gdy flota jego zginęła, musiało wojsko niezliczone, z głodu chyba mrzéć w Helladzie.

I w zwycięztwie i z pieśnią na uściech, lądowali Ateńczycy na święte ojczyste wybrzeże i ujrzeli jako młodzieniec wbiwszy włócznię w ląd, tańczył nagi dokoła włóczni piejąc o zwycięztwie, w purpurowém świetle zachodzącego słońca. Młodzieńcem był poeta Sofokles i wielka pieśń zwycięztwa w Helladzie powstała, bo garstka mężów wolnych a cnotliwych pokonała świat cały, królewskich niewolników. I w Plateach pobito raz jeszcze Persów na lądzie, a pod Mikale w Azyi na morzu i Hieron Syrakuzański pobił w tymże czasie Kartagińczyków pod Himerą, a Etrusków pod Italskiémi Kumami. Zwycięztwo było, cześć i chwała! Eschyl, ponury piewca hartu i ładu, wywiódł Persów na scenę i kazał im opłakiwać klęskę niesłychaną, a tłumy greckie okrzykami radości wtórowały płaczom wroga; i siadł wśród Hellenów przy biesiadzie piewca Pindar i porównał ojczyznę swoję do harmonii wszechświatów, do świętéj bogów jasności i do niebios ładu, co bez trudu uśmierza siły podziemne, ślepe, ukryte pod wielkiém brzemieniem Etny i jasno było w Helladzie, a Fidyasz kował posągi, rzeczy tak piękne, jak jasne słońce na niebie. I dziś jeszcze słyszymy pieśń wielką, pieśń świętą, którą po wiekach zaśpiewała wiekom, słowem i marmurem owa lutnia narodów, lutnia owa ze stali: Hellada praw i mężów wolnych ojczyzna!

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

---

[1]) *Persowie*, Eschyla.

Antoni Oleszczyński.

PRZEZ

Seweryną z Żochowskich Duchińską.

V.

Nadeszły krwawe dni czerwcowe. Tu już nie idzie o wywalczenie tych lub owych politycznych swobód: rewolucya przybiera ów charakter komunistyczny, właściwy stepowym koczownikom, ale tak sprzeczny z dążnością i tradycyą ludów cywilizacyi europejskiéj. Paryż dzieli się na dwa obozy. Nad jednym powiewa czerwony sztandar; z tysiąca ust wybiega hasło szalonych doktrynerów: *Własność kradzieżą!* Do drugiego obozu biegną ludzie serca, gotowi kosztem krwi ocalić społeczeństwo tak silnie zagrożone. Artysta nasz pojął znaczenie walki. Pięknato chwila w jego życiu. Mógł on nie przyjąć udziału w zapasach, łatwo mu było wytłómaczyć się, jużto wiekiem, już nieznajomością sztuki wojskowéj; on tymczasem bez chwili wahania, porzuca swoje rylce i blachy, staje w szeregach gwardyi narodowéj.

Opowiada to z całą prostotą, godną wielkiéj ofiary jaką czyni. Zobaczmy go w tym nowym charakterze. Oto krótki ustęp z *Pamiętnika.*

„Przyszedł dzień 24 czerwca 1848 roku, socyalizm rzucił ludzkości rękawicę. Przy Panteonie, o kilka kroków od mego domu, okrążył się barykadami, wywiesił czerwoną chorągiew. Tłumy niepoczciwe otoczyły ją, gotowe umrzéć lub przeistoczyć społeczeństwo.

„Rano o piątéj słyszę bęben, widzę przez okno ciągnącą chmarę, zjeżoną bagnetami. Pewien że to mój batalion, chwytam czemprędzéj za broń, lecz żona moja, tknięta przeczuciem, radzi, bym się nazbyt nie kwapił. W rzeczy saméj byłto oddział powstańczy, ciągnący z przedmieścia. Gdybym był z bronią w ręku stanął wpośród złoczyńców, zagarniony przez nich, byłbym musiał strzelać na ludzi poczciwych, lub téż opór przypłacić życiem.

„Kiedy czekam co daléj nastąpi, słyszę strzały zrazu pojedyńcze, późniéj plutonami, wreszcie zagrzmiały działa. Opanowała mnie gorączka: dotąd, myślę sobie w duchu, pełniłem pilnie służbę w gwardyi narodowéj, nie opuszczałem żadnéj warty, mustry, ani parady; ztąd powołano mnie do zasiadania w radzie naszéj kompanii; ależ gwardya istnieje nie dla narad, mustry ani parad, lecz dla bronienia własności i porządku! Dziś, kiedy jedno i drugie zagrożone, wypadaż mi zostać

*) Dokończenie, patrz zeszyt za m. czerwiec r. b.

za piecem? Jam jeden Polak w kompanii, nieobecność moja wnet będzie spostrzeżoną... Nazwą mnie tchórzem... Na to Polakowi przystać nie wypada! Kładę więc bluzę pożyczoną, bo inaczéj trudno ukazać się na ulicy, chwytam za karabin i chyłkiem, wpośród kul świszczących w powietrzu, dobiegam do cyrkułu (*Mairie*), gdzie był plac zborny kompanii naszéj.

„Przybywam szczęśliwie, znajduję drobny ledwie ułomek téj kompanii: wczoraj liczyła trzystu ludzi, w téj chwili stanowczéj liczy ich ledwie ośmdziesiąt!

„Nasz kapitan Wensen, wytrawny marynarz, otrzaskany z niebezpieczeństwem, zwykle wesół, gaduła, dziś jakoś ponury i milczący, rozkazuje nam stanąć w szyku; wreszcie przemówił do nas: „Wszystkie dzielnice z całém poświęceniem pochwyciły za oręż, nasz oddział jeśli szczególniéj pomnożył liczbę powstańców, ma przecież ludzi poczciwych, rozumiejących dobro kraju. Czas nam pokazać tym szaleńcom, że niedarmo broń nosim! Kto gotów iść za mną, niech odpowié! Daléj na barykady!"

„*Allons!*" wołają liczne głosy.

— Marsz! *en avant!*—krzyknie kapitan.

„Ruszamy z determinacyą, koło Panteonu stajemy chwilę, nabijamy broń. Wtém zpoza bocznéj barykady sypnął się na nas gęsty ogień. Kapitan zwraca się ku nam i wyrzecze z uśmiechem: „Na głupie pytanie, odpowiedzieć nie warto! Wreszcie, nie przebić kulą kamiennéj ściany: szkoda prochu!"

„Aż tu dwu naszych odbiera postrzał, trzeci upada trupem.

— Co tu czekać—zawoła kapitan—czas iść na barykadę! Na ramię broń!

„Czekamy na rozkaz, nagle z ulicy Soufflot występuje wojsko liniowe, staje nam wpoprzecz drogi. Dowódzca przystąpił do kapitana.

— Z barykadami—rzecze—my tu się wkrótce załatwimy. Gwardya niech strzeże domów narażonych na niebezpieczeństwo.

„A zatém, prawa noga w tył... wracamy do cyrkułu; tu smutny uderza mnie widok. Patrzę, niosą z pobojowiska powstańca ciężko ranionego. Oblany krwią, powtarza ochrzypłym głosem: „Pomścijcie mnie! rabujcie dobrze!" Ta apostrofa jawnie wskazywała cel walki.

„W cyrkule rozdzielono nas na kilka części: mój oddział zajął klasztor Ś. Michała; kilkaset lękliwych kobiét szukało tam przytułku. Przez ciąg trzydniowéj walki, odbywałem czaty w téj zaimprowizowanéj kordegardzie, wykrzykując co chwila: *Qui vive? Sentinelle prenez garde!*

„Pokonano wreszcie powstanie; rozwiązano legią, a ja złożyłem broń i wróciłem do domu. Tak ukończyła się służba moja, do któréj nie ciągnęło mnie powołanie, ale uczucie honoru i obywatelskiéj powinności.

„Widziałem zblizka śmierć i niebezpieczeństwo: nie tak one straszne jak je malują. Wrzawa, szczęk broni, huk armat, głuszą

w nas instynktową obawę zgonu lub kalectwa. Dość mi było na téj nauce. Ofiara moja zjednała mi naturalizacyą, przypuściła do krajowych swobód i pozwoliła mi głosować na obiór cesarza Napoleona III."

Kilka miesięcy służby w gwardyi narodowéj, wielką przyniosło korzyść tak artyście naszemu jak i tym wszystkim, którzy z zajęciem śledzą piękny a dziś stargany wątek jego żywota. Mustry codzienne w ogrodzie Luksemburskim ukrzepiły mu zdrowie; kolejne zaś warty, odbywane co tydzień przez dobę, obdarzyły nas szacowną autobiografią. Czynna służba zabierała mu ledwie kilka godzin, miał téż dosyć wolnego czasu; aby go skrócić, kreślił dawne wspomnienia, w miarę jak mu na myśl przychodziły. Gdyby nie ta okoliczność, przyciśnięty nawałem prac, nie byłby nigdy przystąpił do *Pamiętnika*; dowód na to, iż go nie posunął daléj nad rok 1848. Z czasów późniejszych pozostały tylko luźne zapiski; zbrakło czasu do spojenia ich w jednę całość.

Artysta nasz wrócił do swoich rylców. Wkrótce potém dotknęła go boleśnie wiadomość o pogorzeli Krakowa. Miłośnik pamiątek ojczystych, ubolewał nad starożytnym kościołem Dominikanów, obróconym w perzynę z pomnikami i bogatą biblioteką. Cała Polska uczuła stratę, kto mógł składał swój datek na podźwignięcie pięknéj gotyckiéj bazyliki. Oleszczyński dzielnie przyczynił się do tego. Wykonał on wielką rycinę *in folio;* w górze unosi się N. Panna z Dzieciątkiem, u stóp Bogarodzicy patronowie narodu: Ś-ty Jacek i Ś-ta Salomea, ukazują stary Wawel i gruzy zgorzałych kościołów; u dołu artysta wyrył piękną modlitewkę biskupa krakowskiego Woronicza.

Kraj z wdzięcznością przyjął tę pracę; rycina przebiegała w tysiącznych egzemplarzach i stała się już nie prostą cegiełką, lecz potężnym filarem odnowionéj budowy.

Podróż do Szwajcaryi i Niemiec Nadreńskich, odbyta z przyjacielem, oderwała artystę od zwykłych prac; zwiedził kolejno Bazyleą, Friburg, Baden, Hejdelberg, Moguncyą, Frankfurt; w ciekawym dyaryuszu zostawił pamiątkę téj kilkotygodniowéj wycieczki. Z młodzieńczym zapałem wdziera się na góry: tu ogarnia wzrokiem śnieżne wierzchołki Alp, tam malownicze brzegi Renu. Pilnie ogląda starożytne pomniki po kościołach, wyczytuje gotyckie napół zatarte zgłoski; w bibliotekach przegląda odwieczne księgi i rękopisma, szuka przedewszystkiem starych zabytków, świadczących, że Polska w XVI wieku nie ustępowała w cywilizacyi innym europejskim ludom. Z jakążto dumą odkrywa w Bazylei dzieło Strusia! jak szczęśliwy, gdy niezbitemi dowodami przekonywa bibliotekarza, iż ów Stratovius, mistrz akademii Padewskiéj, którego dzieło drukowane w Bazylei a przysłane do Padwy, rozbiegło się w dniu jednym w ośmset egzemplarzach, był Wielkopolaninem, urodzonym w Poznaniu; jakim znów wybucha gniewem, gdy bibliotekarz, zagadniony o księgę Jana Zamoyskiego, drukowaną również w Bazylei, utrzymuje, że ani słyszał o niéj; z jakim tryumfem nasz erudyta odkrywa wśród starych druków ową rozprawę:

De Senatu Romano; jak usilnie nalega, aby napis: *autor incognitus*, zamienić na *Johannes Zamoyski!*

Liczne grono ziomków, przebywających u wód w Homburgu i Badenie, uczciło w godny sposób naszego mistrza. Rozerwano w oka mgnieniu wszystkie ryciny, jakie zabrał z sobą na wypadek. „Wyjechałem, mówi on, z dwunastu frankami w portmonetce, powróciłem do domu więcéj niźli z tysiącem. Byłoby więcéj jeszcze, lecz mi zabrakło egzemplarzy!"

Zachęcony takiém powodzeniem artysta, począł znów marzyć o pomnikowém dziele: przedmiotem jego miał być sławny hetman Potocki, Revera, pogromca Szwedów i Rakoczego. Bohaterska ta postać zająć miała główne miejsce na obrazie, wśród licznego grona zasłużonych krajowi Pilawitów. Szereg ich rozpoczyna Żyrosław, rycerz XII wieku, daléj błyszczy ów młody Stefan, uczczony najpiękniejszą z pieśni Niemcewicza. Jeszcze daléj przyświeca wspaniała postać prymasa Teodora, oddanego sercem Leszczyńskiemu, chlubnie przezwanego *ojcem ubogich.* Piękny ten szereg zakończają trzej mężowie, których imiona świecą jak gwiazdy u zmierzchu dziejów naszych. Ignacy główny promotor ustawy majowéj, Jan słynny podróżnik po Słowiańszczyznie, Włodzimierz bohatér Sandomierza!

Artysta już naszkicował plan pomnikowéj ryciny, wydobył z dziejów postacie trzydziestu sześciu Pilawitów, powiązał ich w okazałe grupy, przybrał w stroje odpowiednie do wieku, z całą ścisłością archeologiczną, nadał każdemu układ i ruch właściwy. „Tak utworzony pomysł, mówi on, poddałem pod sąd Instytutu, prosząc, aby spojrzawszy baczném okiem na przedmiot, wskazali czego mu niedostaje. Nie powtórzę ich sądu, powiem tylko, że tém śmieléj zamierzyłem przystąpić do dzieła!" Niestety! zamiar ten rozbił się o niepodobieństwo; praca wymagała trzech lat czasu; ręka, która miała wykonać arcydzieło, zmuszoną była pracować na chléb dla rodziny. Późniéj ta ręka omdlała, oczy osłabły; Pilawici zostali w tece!

Dzieło wydawane przez księdza Martin: *O sztukach średniowiecznych*, otworzyło artyście pole do korzystniejszéj pracy. Wykonał dwadzieścia rycin, przedstawiających misterne rzeźby z drzewa i kości słoniowéj. Powołany potém przez wydawców dzieła Plutarcha, narytował kilkanaście popiersi starożytnych; wypracował przytém całą seryą obrazków świętych dla seminaryum ś. Sulpicyusza.

Śmierć Mickiewicza głęboko poruszyła Oleszczyńskiego; porzucił więc inne prace, aby uczcić pamięć narodowego wieszcza. Odtworzył drogą tę postać z posągu, wykonanego w Poznaniu dłutem brata swego Władysława. Wkrótce potém Sadyk Pasza (Czajkowski), przysłał mu z Konstantynopola fotografią, zdjętą z oblicza zmarłego, w chwili gdy ciało złożoném być miało do trumny.

„Dawne stosunki przyiaźni, mówi artysta, łączyły mnie z Mickiewiczem. Onto niegdyś moje napisy na Koperniku sprawdzał i poprawiał, onto nie szczędził swéj zachęty w pracach moich artystycznych i literackich, a nawet miał cierpliwość, moję powieść historyczną: *Rodowód przybyłców*, przeczytać od deski do deski i tam dorzucić niektóre myśli swoje. Ja téż niegdyś rytowałem jego młodzieńcze popiersie, późniéj posąg; należało poświęcić mu i tę ostatnią pracę. Że zaś widok trupa, jakkolwiek ubranego w czamarę i czapkę krakowską nie jest przyjemnym, więc narytowawszy go w tychże samych ramkach, w jakich fotografia przysłaną mi była, otoczyłem go napisami i godłami, przypominającémi jego chwałę. W górze położyłem napis: *Ile cię cenić trzeba, ten się tylko dowié, kto cię stracił!* Z jednéj strony postawiłem ów puhar, ofiarowany mu przez Rossyan w Moskwie r. 1829, z drugiéj puhar dany przez ziomków w r. 1840. Pod nim umieściłem medal, bity w r. 1845 na cześć Quineta, Micheleta i Mickiewicza, profesorów w kolegium francuzkiém, a widząc młodzież naszą w Paryżu, oddającą się gorliwie nauce, poświęciłem jéj całe dzieło pamiętną strofą poety:

Młodości! Ty nad poziomy
Wylatuj, a lotem słońca,
Ludzkości całe ogromy,
Przenikaj z końca do końca!"

W tych właśnie czasach, cesarz Napoleon rozszerzył dawne przywileje dla młodzieży polskiéj, uwalniając ją od wszelkich szkolnych opłat, a tém samém otwierając jéj drogę do naukowego wykształcenia. Oleszczyński przejęty wdzięcznością, ofiarował kolekcyą prac swoich do biblioteki cesarskiéj. Zbiór ten złożony z dwuset rycin, oprawny w wielką księgę, rozpoczyna w katalogu osobny dział, poświęcony wyłącznie rzeczom polskim.

Przybył wtedy z kraju do Paryża, brat artysty Władysław, niegdyś uczeń jego i wychowanek. Trzy miesiące przebyli razem. Obok radości, jaką sprawiało spotkanie z ukochanym bratem, czuł on niemniéj dręczący niepokój, patrząc na zwątlone jego siły. Władysław wyjechał do Rzymu; wkrótce wieść o jego skonie, napełniła serce brata nieutulonym żalem.

Książę Stanisław Jabłonowski, aby złagodzić nieco tę boleść, zabrał go wiosną do Krakowa. Kłkotygodniowy pobyt w odwiecznym grodzie, widok ojczystych pamiątek, a obok tego dowody powszechnego uznania, jakie co chwila napotykał, wszystko to ożywiło artystę. Podróż ta była oddawna celem najgorętszych jego pragnień. Żałujemy szczerze, iż w pozostałych listach i zapiskach niéma najdrobniejszego śladu tych chwil, spędzonych między swymi.

Za powrotem do Paryża, Oleszczyński z nową energią zasiadł przy ulubionym stole. Krzepki starzec żadną niedotknięty niemocą,

lekko znosił brzemię lat z górą siedmdziesięciu. Wzrok nieco osłabiony nakazywał mu wstrzymywać się od rylca, pozwalał jednak zajmować się łatwiejszą pracą, do któréj nigdy nie brakło mu pobudek. W życiu jego przyszła chwila spokojnego wytchnienia: wówczasto błogosławieństwo dobréj matki spełniło się nad starcem w całém znaczeniu słowa. Dwoje dorosłych dzieci: córka wysoko ukształcona, zajmująca się wychowaniem panienek w zamożnym domu i syn biegły architekt, hojnie wypłaciły ojcu, to co on niegdyś czynił dla własnéj matki. Otoczony troskliwą opieką żony, mógł więc odpocząć po długoletnich trudach, bez obawy o jutro. Pragnąc zostawić ukochanéj córce godną siebie pamiątkę, począł wtedy gromadzić dla niéj zbiory, nazwał je archiwami wspomnień artystycznych, literackich i historycznych. Zbiory te, objęte w siedmiu woluminach, doszły wkrótce do tysiąca przedmiotów. Były tam i oryginały i kopie transponowane z rzadkich dzieł i przerysy i *facsimila*; wszystko to ułożone z artystycznym smakiem, opatrzone objaśniającemi napisami. Widzieliśmy nieraz uciechę artysty, gdy mu wpadł w rękę jakiś ważniejszy pomnik, szczególniéj tyczący się literatury lub dziejów narodowych. „Ucieszy się moja Jadwiga!" powtarzał nalepiając do księgi nową kartę, a oko jego żywą promieniało radością.

W tymże czasie Oleszczyński wzbogacił nowemi materyałami dwie literackie prace oddawna rozpoczęte. Jedną z nich powieść historyczna: *Rodowód Przybyłców*, drugą: *Zarys historyczny sztuk pięknych pomników w dawnéj Polsce*. W przedmowie do téj ostatniéj pracy, autor określa jéj cel i znaczenie.

„Od chwili jak się poświęciłem sztukom pięknym, mówi on, uczułem potrzebę gromadzenia wspomnień do nich się odnoszących. Nie było wtedy jeszcze żadnego specyalnego dzieła w tym przedmiocie. W takim niedostatku, moje notaty zwolna przybywające, poczęły mnie utwierdzać w przekonaniu, że i my także mieliśmy chwile, w których niejedna gałąź sztuk pięknych zbliżyła się do niepośledniéj doskonałości, a niejedno krajowe dzieło postawione obok obcych, słynących w świecie, nie traciło na porównaniu.

„Aliści pojawiły się prace Ambrożego Grabowskiego, Kraszewskiego, Woycickiego, Sobieszczańskiego, Rastawieckiego i wielu innych. Te nietylko utwierdziły mnie w dawném przekonaniu, lecz i posłużyły do pomnożenia notatek moich, którym daję dziś porządek chronologiczny.

„Jeżeli ograniczam się celniejszemi tylko wspomnieniami, to z powodu że niezamierzałem pisać historyi sztuk pięknych, ani dykcyonarza, którego właściwą atrybucyą wyczerpać rzecz do gruntu. Mój cel nierównie skromniejszy: dosyć dla mnie, jeżeli te notatki pobudzą udolniejsze pióro do skreślenia historyi sztuki w kraju naszym."

Rękopism ten złożony z trzystu stronnic *in folio*, obejmuje wiadomości o stanie sztuki w Polsce od czasów przedhistorycznych do koń-

ca panowania Stanisława Augusta. Autor rozpoczął rzecz wyliczeniem archeologicznych zabytków; przechodzi następnie do pomników architektury, do dzieł pędzla, dłuta i rylca; opisuje medale; daje poznać teatra, muzyki i t. d.

Powieść historyczna: *Rodowód przybyłców*, fantastyczna w pomyśle, ciągnie się przez pasmo dwu wieków. Sam już wstęp zasługuje na uwagę: oto jego początek:

„Potrzeba mało mieć rozsądku a wiele miłości własnéj, aby śmiało wystąpić ze swoim rodowodem, o którym żaden herbarz nie wspomina," tak może pomyśli czytelnik.

„Wprawdzie, nie jeden spocząwszy na zbutwiałych wawrzynach swego rodu, szczyci się kartą pargaminową, gromadzi rozpierzchłe wieści o przodkach, ogłasza je chełpliwie, a nawet maluje herby na domach i powozach, sądząc że tém samém dopełnił święcie obowiązków, względem kraju i rodu swego.

„Bóg zachował mnie od takiéj próżności, nie dał mi nawet środków do chlubnego wystąpienia z antenatami, bo gdyby mi przyszło historycznie spojrzéć na własną przeszłość, naówczas w mojém sercu polskiém, mógłbym napotkać bijącą krew tatarską."

Opowiada następnie autor, jak praszczur jego Mirza Tarak, w początkach XVI wieku, przybył z rodziną do Polski, gdzie jęczał w niewoli starszy jego brat Achmet Han Tatarów. Młody Mirza tak sobie upodobał w kraju polskim, że po śmierci brata nie wrócił już do Złotéj Ordy. Onto w języku arabskim począł pierwszy spisywać swe przygody. Syn jego Jan, używany do poselstw, otrzymał od króla kęs ziemi: nazwano go Przybylcem. Odtąd przez cztery pokolenia, potomkowie Mirzy Taraka zapisywali w rodowéj księdze, sprawy tak domowe jak i publiczne, w których byli uczestnikami: każdy z nich umierając przekazywał ją starszemu synowi. Po latach stu pięćdziesięciu, owa księga spłonęła w Oleszczycach podczas najazdów szwedzkich. Ale Jerzy Przybylec, ostatni jéj właściciel, tylokrotnie ją był odczytał, że mógł całą powtórzyć z pamięci. Spisał ją téż na nowo, arabski zaś początek Taraka przetłómaczył na polski język. Na czele tak przemawia do współplemiennych sobie rodzin.

„Wy Kopcie, Perekopy, Hurdy, Kopczaki, Ordy, Przybylce, Bulharyny, Ordyńce i Ordęgi, bez względu że herby i nazwiska dzisiaj nas odróżniają, wam przypominam, szanujcie tę księgę, bo zacny Mirza Tarak wspólnym był naszym naddziadem. Uczcie się na pamięć co tu napisano i piszcie daléj, polecam pod błogosławieństwem."

I znów księga przechodziła z ojca na syna: autor opowiada jak ją odziedziczył po ojcu, jak ją wielokrotnie odczytywał. Puszczając się w podróż, zostawił drogą pamiątkę, dla bezpieczeństwa, w Kazimierzu u matki, gdzie miał ją spotkać podobny los, jaki spotkał pierwszą księ-

gę za szwedzkiego najazdu. Równie jak prapradziad Jerzy, Antoni powtórzył ją z pamięci.

W takie to fantastyczne ramy ujął autor mnóstwo historycznych szczegółów. Jeden z Przybylców, rówieśnik Jana Zamoyskiego, wychowany przy jego boku, towarzyszy mu w wędrówce do Paryża i Padwy. Syn jego walczy z Rakuszanami pod Byczyną, w Inflantach ściera się z wojskami Sudermana, z jarów Podola przepędza Tatarów na Perekop, nie pomny rodowych z nimi związków. Wnuka widzimy w obozie hetmana Żółkiewskiego, prawnuka w Tyszowcach przy Stefanie Czarneckim. Wątek to zaprawdę bogaty! Autor przeplata historyczne wypadki obrazami z życia domowego. W jego stylu brzmi tętno Zygmuntowskiéj epoki. Nie wiemy ile razy Antoni Oleszczyński przeczytał księgę Jerzego Przybylca, ale za to śmiało możemy ręczyć, że wielokrotnie odczytał Reja, Bielskiego, Górnickiego, a nadewszystko Skargę.

VI.

Spokojne to i pracowite życie przerwała nagle burza, gwałtowniejsza niż wszystkie jakie artysta przetrwał w długiém pasmie dni swoich. Mówimy tu o wojnie 1870 roku. Tu już późny wiek nie pozwolił mu przyjąć udziału w służbie wojskowej, jak przed dwudziestu laty, choć więcéj niż wówczas bolał nad stanem Francyi, widząc ją upokorzoną przez Prusaka! a co więcéj karmiącą już w łonie swojém hydrę bezrządu, rewolucyą komunistyczną, straszliwszą od téj, przed którą Paryż drżał w roku 1848. Gorąco przywiązany do Francyi, nie chciał opuścić stolicy przed oblężeniem, rad był jednak że ukochana córka wyjechała do Brukseli. „My tém przynajmniéj pocieszeni, pisze do niéj, że ty zagranicą słyszeć nie będziesz grzmotu armat i jęku rannych.“

Mamy przed sobą kilkanaście listów pisanych do córki, najprzód pocztą, potém balonem. Opisuje w nich swoje wycieczki na fortyfikacye, przechadzki po Luksemburskim ogrodzie, zamienionym w wielki pastewnik, pełen bydła i owiec; opowiadał jak wyrzucił kwiatki z doniczek a posiał w nich sałatę. O ile może, uspakaja oddaloną, zaleca ufność w Bogu; chwali wyborny smak koniny, upewnia o doskonałym stanie zdrowia, dzięki wygnanym zbytkom.

„Ufaj taktyce naszéj, i położeniu naszego mieszkania, dodaje w jednym liście: nas kule nie dosięgną!“

Niestety! kule dosięgły cichego zakątku, gdzie starzec aby rozerwać umysł w bolesnych chwilach, zajął się pilnie malowaniem talerzy na porcelanie. Przeznaczał je dla ukochanéj córki. Oto list pisany w dzień Nowego roku, posłany do Brukseli balonem.

„Kochana moja Jadwigo! Smutnyż dla nas ten Nowy rok, raz że ciebie nie możemy przycisnąć do serc naszych, a potém że jesteśmy w ciągłéj obawie. Dziś bomby przybiegły w nasze sąsiedztwo; świszczą

nad Panteonem. Mamy przecież nadzieję, że nam się nic złego nie przytrafi. Wśród tylu smutnych wypadków, pozostała nam jedyna rozrywka: mały i śliczny piesek, którego chciano upiec na różnie jako przysmak. Brat twój wyprosił go dla siebie, i my wszyscy trudnimy się jego edukacyą."

„Tryb życia jakie prowadzimy służy nam widocznie, bośmy wszyscy utyli; druga korzyść, że się przyuczymy do wielkiéj oszczędności. Psów, szczurów i kotów nie jedliśmy dotąd, bo to przysmak dla wielkich panów: my poprzestajemy na końskiém mięsie i to w dozie homeopatycznéj.

„Malowanie talerzy nie idzie tak prędko, jakby szło w czasie spokojniejszym. Wykończyłem jednak sześć; będę bardzo szczęśliwy jeźli się tobie spodobają. Nie są to cacka dla dzieci, ale raczéj poważne pamiątki historyczne."

Kilkanaście dni ubiegło zaledwie od nakreślenia tego listu, a postać rzeczy stała się nierównie groźniejszą: smutne przewidywania zamieniły się w smutniejszą jeszcze prawdę.

„Wiadomo ci zapewne z dzienników, pisze ojciec w następnym liście, że bombardowanie trwało przez piętnaście dni bezustanku. Nasza ulica i w ogólności okolice Panteonu szczególnie ucierpiały. Naprzeciw okien naszych jest, jak pamiętasz hotel; tam wpadła bomba, przeleciała przez dach i przedziurawiła dwa piętra, pokruszywszy to wszystko, co się w pokojach znajdowało. Zakonnice, nasze sąsiadki, dostały także kilkanaście pocisków; ichto klasztor zasłaniał nasz dom; my przecież nie ufając bombom, z góry jak pioruny spadającym, skupiliśmy się w mojéj pracowni i tam ze strachem czekaliśmy, rychło i nas jakaś bomba nawiedzi, gotowi na śmierć każdéj chwili, wkoło nas bowiem słyszeliśmy w powietrzu najstraszliwszy poświst, tak we dnie jak i nocą. Wśród ciągłego niepokoju musiałem na chwilę porzucić twoję porcelanę!"

Dobry ojciec przemilczał nie jedno, aby nie trwożyć biednéj córki. W czarniejszych on barwach przedstawiał rzecz w kreślonym wówczas *Pamiętniku*. „Przeklęte bomby, pisze on, jak złowrogie ptaki przebiegały wciąż nad Paryżem. Raz, gdy zajmowałem się układaniem ksiąg w bibliotece, wpada ogromna bomba w dom stojący naprzeciw mojego; przebija dach i rozpryskiem swoim wybija szybę w mojém oknie, tłucze porcelanę na półkach rozstawioną. Mnie przecież te żużle ominęły. Aby jednak uniknąć podobnego wypadku, przeniosłem się do pokoju od dziedzińca, a żona moja zeszła wraz z sąsiadkami do piwnicy. Wtém pada bomba na dziedziniec, zapala stajnią, tuż pod oknem mojém. Dym począł w nie zaglądać i zbiegam na dół, wywołuję sąsiadów z piwnic: wspólnemi siłami przygaszamy nareszcie ogień."

Głód dokuczał coraz dotkliwiéj; chleb czarny ościsty, mięszanina plew, otrąb i suchego ziela, nie dawał żadnego posiłku; racye mięsa zredukowane do maleńkich kęsów, zwodziły tylko żołądek. Dobry ojciec nie żali się na to w liście do córki, swobodny humor nie opuszcza

go wcale. „Tak skromny sposób życia, mówi on, dał się głównie uczuć sukniom naszym, stały się bowiem tak obszerne, że trzeba było poprzybliżać guziki.“

Troskliwa córka tymczasem, jak anioł opiekuńczy, zdala czuwała nad rodzicami. Jéjto staraniom zawdzięczali oni niespodziewany zasiłek otrzymany z Londynu, za pośrednictwem ambasady angielskiéj. Szczegóły o tém starzec zapisał w *Pamiętniku*.

„W woreczku naszym, mówi on, bardzo już było chudo, aż tu przywlokło się do nas dwu ziomków, niegdyś dumnych i szumnych; zgłodniali biedacy od półtory doby, nie mieli w ustach żadnego pożywienia. Zatrzymaliśmy ich na obiad: składał się z rosołu, z kawałeczka koniny i z połowy kota przezwanego królikiem. Te przysmaki chociaż bez soli, bo nam jéj zabrakło, okraszone winem i kawą, dziwnie nam smakowały: od dwu miesięcy nie śniło nam się o podobnych. Ale niestety, po tym bankiecie kasa nasza zeszła na siedm franków. Co będzie jutro? pytamy oboje z żoną. Gdy pocieszamy się myślą o miłosierdziu Bożém, odźwierny domu wchodzi, oznajmia że przyniesiono dwa pakiety, adresowane do nas. W pierwszym było pięćset franków, przysłanych z Brukseli od naszéj Jadwigi; druga większa paka zawierała najdoskonalsze przysmaki: mięsa wędzone, salcesony, ryż, cukier, nawet ciasta, przysłane z Londynu. Ta niespodzianka przypomniała nam ów Psalm: „Kto się w opiekę odda Panu swemu!“ Uznaliśmy że śpiew Dawida nie był wcale czczém słowem.“

Starczyło tych zapasów do końca oblężenia. Bomby wreszcie przestały świszczéć nad Paryżem: nastąpiła kapitulacya. Starzec pokrzepiony na siłach, zasiadł znów w pracowni i malował pilnie talerze, aby znaczny ich zasób przygotować na przyjazd swéj Jadwigi. Z radością donosi jéj o tém.

„Dla ciebie, pisze w liście, jako dla panienki poświęcającéj się wychowaniu, wypadało mi tę pracę rozpocząć od rzeczy poważnych, historycznych; daléj będę dotykał kwiatów, pejzaży, arabesków i t. p. Będziesz miała kolekcyą, jakiéj nikt nie ma, gdyż to co dotąd ukończyłem, wszyscy tu podziwiają. Ściskam cię serdecznie, moja ty pociecho, mój zaszczycie, moja opiekunko, moja ty miłości; czekam cię z upragnieniem. Wszystko tu uporządkowane na twój przyjazd. Czekają wszyscy a szczególniéj twój kochany tatko—Antoni.“

Rzućmy okiem na tę kolekcyą talerzy, która tak żywo zajmowała artystę naszego. Zbiór to w rzeczy saméj drogocenny. Jak we wszystkich jego utworach, tak i tu, trzy warunki dopełniając się wzajem, nadają téj pracy osobną cechę. Poznajemy tu zarazem rękę biegłego artysty, naukę wytrawnego archeologa i serce rozmiłowane w historycznych pamiątkach. Z dwudziestu dwu talerzy, dwanaście poświęcił artysta wspomnieniom narodowym.

Na jednym pomieszczony w środku wizerunek Jana Pawła Sapiehy, z wielką szramą na czole i długim siwym wąsem. Brzegiem

talerza, wśród symbolicznych ozdób, skreślony gotyckiemi zgłoskami napis, wyliczający rycerskie sprawy hetmana.

Na drugim talerzu panuje znana postać hetmana Żółkiewskiego, w misiurce i stalowéj zbroicy. Wkoło zielone wieńce z napisami: Byczyna, Kluzyn, Cecora; poniżéj *facsimile*, oraz data urodzenia i skonu. W górze napis, położony na grobie ręką wnuka—Jana III: *„Oby powstał mściciel z kości naszych."*

Inny przenosi nas w dzieje Litwy: wyobraża dwu kunigasów w żelaznych zbrojach: Kiejstuta i Witolda; w pośrodku nich Birutę w stroju średniowiecznym.

Na dwu innych przedstawione typy, już nie rycerstwa, ale zasłużonych mieszczan krakowskich, z czasów Kazimierza Wielkiego. Jeden z nich sławny Wierzynek, stoi w gotyckiéj bramie: napis przypomina gody wyprawione przezeń na cześć królów; drugi Mikołaj Gerlak, słynny tém, że sprowadził strumień Rudawy do Krakowa.

Do najpiękniejszych należy talerz z wizerunkiem N. Panny Częstochowskiéj. Otacza go wieniec kwiatów, *en relief*; poniżéj w dwu medalionach dwaj patronowie polscy: święty Wojciech i święty Kazimierz.

Inny, niemniéj piękny wyobraża dziewięciu królów, w osobnych medalionach. W pośrodku Bolesław Chrobry, okuty żelaznym pancerzem; wkoło niego Krzywousty, Łokietek, Kazimierz Wielki, Jagiełło, Zygmunt-August, Batory i Sobieski; brzegiem idą herby ziem i województw, wykonane według starożytnego oryginału.

Odpowiada mu drugi talérz z medalionami królowych polskich: Dąbrówki, Ludgardy, Kunegundy, Jadwigi, Zofii, Bony, Barbary, Anny Jagiellonki, Elżbiety, Maryi-Ludwiki. Ten, nieszczęściem, rozbity odłamem bomby pruskiéj; artysta zlepił go jednak zręcznie: zostały ledwie słabe rysy, które nadają mu tém większą wartość.

Inne przedstawiają znów symboliczne przedmioty: w każdym równie bogaty pomysł, jak piękne wykonanie.

W dziesięciu talérzach wyobrażających obce przedmioty, artysta nasz dał dowód głębokiéj erudycyi. Widzimy tu różne typy: japoński, chiński, perski, indyjski, staro-galski, staro-słowiański. Na jednym uderza w oczy reprodukcya meksykańskiego kalendarza, sprowadzonego przez Korteza w XVI wieku. Ten również strzaskany pruską bombą.

Ciekawy szczególniéj, typ arabski: brzegiem talerza ciągnie się napis, zdjęty z chorągwi posłanéj do Rzymu przez króla Jana, po Wiedeńskiém zwycięztwie.

Kolekcya to jedyna w swoim rodzaju, będzie kiedyś prawdziwym klejnotem zbiorów archeologicznych. Wielu artystów maluje dziś na porcelanie; może nie jeden prześcignie Oleszczyńskiego pod względem kolorytu i biegłości technicznéj, ale wykonać dzieło takiéj doniosłości jak dwanaście wspomnionych talerzy historycznych, może ten tylko, kto jak nasz czcigodny mistrz, przygotowywał się do tego pięćdziesię-

cioletnią pracą, prowadzoną w jednymże kierunku, kto jak on umiłował stare nasze pomniki i jak on przesiąknął na wskroś tradycyą narodową.

Niezaraz jednak dobra córka miała ucieszyć się widokiem tych skarbów, a bardziéj jeszcze widokiem i pieszczotą drogiego ojca. Nad Paryżem, ledwie oswodzonym z żelaznéj obręczy pruskich dział i bagnetów, wisiała czarna chmura, która miała niebawem lunąć krwawą powodzią i sypnąć piorunami. Z boleścią patrzył Oleszczyński na gwałty codziennie popełniane; włos powstawał mu od grozy, gdy przed oczyma jego, świętokradzcy, wdarłszy się na szczyt Panteonu, odrębywali ramiona krzyża i na pozostałym pniu, czerwoną zawieszali chorągiew. Panteon podsadzony prochem, groził ruiną całéj dzielnicy miasta! Mimo groźnego niebezpieczeństwa, starzec nie oddalił się z domu: czekał cierpliwie spełnienia woli Bożéj!

Pomnik Napoleona runąć miał skazany wyrokiem komuny. Szalony ten wyrok dotknął do żywego artystę. Wzrósł on pod czarem wielkiéj epopei dziejowéj, zachował téż gorącą pamięć bohatéra, którego zwycięzkie orły witał niegdyś nad Wisłą. Pchany tym prądem, co sprawia, że radzi szukamy rozdzierających serce widowisk, pośpieszył w tym dniu na plac Vendôme. Nieraz opowiadał nam wrażenia owéj okropnéj chwili; „Jak tam było, powtarzał, na to niéma słów w ludzkiéj mowie!" Kiedy runął kolos, ulany z dział wydartych wrogom Francyi, ziemia jękła przekleństwem, słońce zgasło w tumanach pyłu, niechcąc być świadkiem takiéj hańby! gmachy zatrzęsły się w posadach, tłuszcza przyklasnęła świętokradztwu. „Niech żyje komuna!" wykrzyknęło tysiące głosów. „Niech przepadnie! niech jak ten spiż rozbije się na kęsy," szepnął do starca weteran, co stał przy nim drżący jak liść, blady jak widmo.

— Niech przepadnie!—odszepnął starzec: podali sobie ręce i z klątwą na ustach rozeszli się wśród tłumu.

Klątwa rychło spełnić się miała. Piekielny dramat miał niebawem rozwiązać się na ulicach paryzkich. Artysta nasz mieszkał w dzielnicy na największe narażonéj niebezpieczeństwo. Z listu pisanego do nas pod wpływem świeżych wrażeń, przytaczamy wiernie cały ustęp.

„Ulica St. Jacques obsadzoną była silnemi barykadami. Przyszło do uporczywéj bójki: trwała bitwa od rana do piątéj wieczorem. Ziemia trzęsła się od huku dział i karabinów. Na każdy strzał, fortepian nasz odpowiadał żałosnym jękiem. Bomby nie pobłażały domom. Sześciopiętrowa kamienica naprzeciw okien naszych, utraciła już trzy podstawy; zostało ich dwie jeszcze: gdyby jedna zniszczoną została, wówczas runąłby wielki gmach i przywalił nas swym ogromem. Wyprawiłem płaczącą żonę do piwnicy, sam zaś w pracowni mojéj od dziedzińca, zabrałem się do pisania testamentu, bez nadziei abym go mógł dokończyć."

Bój wreszcie posunął się daléj; w samą porę przecięto knot prowadzący do składów prochu pod Panteonem. Część miasta ocalała,

lecz widok płomieni roztoczonych nocą nad Paryżem, przenikał artystę naszego uczuciem boleści i grozy.

„Nazajutrz wyszliśmy na ulicę, pisze daléj w liście swym do nas: okropnyż to był widok! Wszystkie domy jakby w łachmanach; wyszczerbione, bez okien! niejeden zbryzgany krwią lub mózgiem. Ledwie uszliśmy kilka kroków, aż tu kupa gruzów i straszliwsza jeszcze kupa ciał ludzkich tak zasłała ulicę, że trudno się przecisnąć bez nastąpienia na głowę, rękę, nogę, lub wlokące się trzewia. Bruk czerwony jakby po krwawym deszczu. Nagle pojawia się ogromny wóz, tłoczą nań poległych jak śledzi; wśród trupów są jeszcze drgające ciała! Naładowany sunie wolno ku cmentarzowi, strumień krwi pocieka jego śladem. Straszne pobojowisko!"

Siedmdziesięcioletni starzec przetrwał te szalone czasy z godnym podziwienia spokojem. Nie była to owa bezmyślna obojętność, znamionująca upadek sił tak fizycznych jak umysłowych. Czerstwy na ciele, zachował on krzepką zarówno duszę: *mens sana in corpore sano.* Przywiązany do Francyi, gorzko on cierpiał nad jéj upokorzeniem; jako Polak ubolewał bardziéj jeszcze nad ślepotą ziomków, którzy pochwycili czerwony a tak wstrętny mu sztandar. Cierpiał, powtarzamy, lecz cierpiał jako chrześcianin przekonany głęboko, że złe rozbić się musi o krzyż Pański. Z pociechą téż patrzył, jak owe ramiona krzyża, odrąbane niedawno toporem komunardów, ogarnęły znów Paryż ze szczytów Panteonu!

Powrót córki stał się dla niego najsłodszą pociechą i uleczył go do reszty z tylu bolesnych wstrząśnień. Kiedy po dwuletniém blizko rozłączeniu, ujrzeliśmy go znów w pracowni, przy oknie zastawioném doniczkami ulubionych kwiatów, troskliwe oko nasze nie mogło dopatrzéć w nim najmniejszéj nawet zmiany. Słodki uśmiech ożywiał jak zwykle usta zacnego starca, gdy nam z uczuciem zadowolenia pokazywał prześliczne talerze, malowane ręką drżącą od zimna i głodu, te zwłaszcza, na których pruskie bomby wycisnęły swe piętno. Z niemniejszą radością pokazywał nam owego czarnego pieska, w czasach głodu skazanego na rożen, którego ocalił od śmierci i uczynił nieodstępnym swym towarzyszem.

VII.

Miała to być ostatnia burza w życiu artysty. Ośm lat jakie zostawało mu jeszcze do kresu ziemskiéj pielgrzymki, biegły w ciszy, niezakłócone niczém, jak owa rzeka co przekroczywszy z trudem wiry i kamienne zapory, wstrzymuje prąd swój, a powolném i cichém łożyskiem, dobiega oceanu.

Wzrok coraz bardziéj słabnący nie pozwalał artyście przedsiębraé pomnikowych utworów. Z rylcem, jak mówiliśmy wyżéj, rozstał się już przed wojną; malowanie talerzy zbytecznie go téż utrudzało; musiał poprzestać na tych dwudziestu dwu, które wykonał podczas oblężenia.

Umiał on jednak wymyślać sobie coraz nowe zajęcia. Gromadził skrzętnie przedmioty sztuki, układał z nich księgi pamiątkowe; kolorował ryciny z całą sumiennością archeologiczną, przez co nową nadawał im wartość. Między innémi widzieliśmy tak ukolorowany zbiór starożytnych ubiorów polskich Matejki; wielkie tablice rozdzielone na części i oprawne razem, utworzyły piękny wolumin.

Z wielkiém upodobaniem hodował kwiaty w doniczkach. Szerokie okno w jego pracowni, wyglądało wiosną jak grzędka. Małoważył egzotyczne, choćby najpiękniejsze kwiaty; wybierał te jedynie, które mu przywodziły na myśl, ogródek w Kurowie lub Kazimierzu, pielęgnowany ręką drogiéj matki. Była tu lewkonia i rezeda, były nasturcye i błękitne powoje, i astry i gwoździki; wśród nich świecił nawet żółty słonecznik! on sam posiewał ziarna w doniczkach, a roślinki otoczone miłością, rosły szybko, i bujnym kwiatem odpłacały mu trudy.

Muzyka słodziła mu też nie jednę chwilę. Miał w pracowni gitarę hiszpańską, skrzypki i flotrowers. Ilekroć czuł że strudzone oczy, zabiegają mu łzami, porzucał ołówek lub pędzel, brał gitarę, potrącał struny wprawną ręką i śpiewał stare zapomniane dziś pieśni. Tenorowy głos jego, musiał mieć za młodych lat niepospolity urok; gdyśmy go znali, brakło mu nieraz wyższych tonów, lecz pozostała wyborna metoda i wysokie poczucie artystyczne. Z prawdziwém też upodobaniem, słuchaliśmy go nieraz śpiewającego piosenkę tak niegdyś popularną:

Te brzóz kilka, ten bieg wody,
Jak mi wiele przypomina!

Ale najulubieńszą z jego melodyi, była arya kompozycyi Alberta Sowińskiego, do znanych słów: „*Święta miłości.*" Śpiewał ją wobec nas, na kilka tygodni przed skonem.

Gdy córka grała na fortepianie, chętnie akompaniował jéj na skrzypcach. Każde zacięcie jego smyczka, śmiałe było i pełne wdzięku. Muzyka wojskowa w Luksemburskim ogrodzie, należała do najmilszych jego rozrywek. Trzy razy w tygodniu przed wieczorem, wybiegał z radością na te gody, siadał na ławeczce w cieniu klonów, i poił ucho tematami włoskich oper: im dawniejsze, tem bardziéj go zachwycały.

Kilkodziesięcioletnia przyjaźń łączyła go z Sowińskim. Na porankach muzycznych w jego domu, Oleszczyński zwyczajnym bywał gościem. Tu miał sposobność słyszeć nieraz młodych, przybyłych z kraju muzyków. Każdy talent, w jakiéjkolwiek gałęzi sztuki, zjawiający się między ziomkami, budził w nim radość niewymowną, świadczył bowiem o żywotności drzewa, wydającego z siebie coraz nowe listki i odrośle. On zazwyczaj, tak cichy i spokojny, unosił się jednakże gniewem, gdy czytał lub słyszał paradoksalne dowodzenia, jakby zbyt wybujały rozkwit sztuki, miał być niebezpiecznym dla przyszłości pnia narodowego, wyprowadzając na zewnątrz wszyst-

kie żywotne soki, a zatrzymując jego normalny rozwój. Przypominał wtedy epokę Peryklesa, która była zarazem epoką Fidyaszów i Praksytelesów, przypominał też bliższe nam czasy, kiedy geniusz Klonowiczów i Kochanowskich, zlany harmonijnie z geniuszem Batorych, Zamoyskich i Rewerów, roztoczył nad krajem świetną zorzę Zygmuntowskiéj epoki!

Inny zarzut, dotykający wprost jego pojęć filozoficznych i politycznych, doprowadzał go niemniéj do gniewu. Byliśmy raz świadkiem, jak stary przyjaciel, pesymista z natury, zarzucał mu optymistyczne dążenia, utrzymując że patrzy na wszystko przez różową zasłonę. Dobodło to starca do żywego; umilkł, ale nazajutrz potém otrzymaliśmy od niego list, w którym sformułował jasno poglądy i cele, jakie nim kierowały.

„Ja poświęciwszy się sztukom pięknym, pisze w liście, nie miałem zamiaru uczyć kogobądź historyi, lecz jedynie postanowiłem wznawiać chlubne wspomnienia, a widząc że w opiewaniu klęsk, obwinień i zdrad, licznych mam wyręczycieli, zwróciłem myśl i rylec mój do tych szczególniéj przedmiotów, któreby nam czyniły zaszczyt i nastręczały wzór godny naśladowania."

Optymizm Oleszczyńskiego, nie był wcale skutkiem téj samolubnéj obojętności, odtrącającéj z drogi życia wszelkie dotkliwe kolce; był to raczéj wypływ badań głębokiego myśliciela, który zrozumiał potrzeby czasu swego. Byłby on śmiałą ręką porwał za bicz satyry, i wystąpił jako publiczny oskarżyciel, gdyby jak mówi sam, inni go w tym względzie nie wyręczyli!

Niezmordowany pracownik do końca dni swoich nie odpoczął na chwilę. Kiedy siły nie sprostały już chęciom, gdy czuł że nie zdoła już dźwignąć płyt granitowych, zbierał jeszcze drobne cegiełki, nie gardził najmniejszą okruchą, na któréj czas wycisnął swoję pieczęć, z pogodą ducha gromadził zasoby dla przyszłych budowników. „Wiem ja dobrze, pisze do córki, przekazując jéj zbiory swoje, wiem że nie jeden spojrzy na nie z politowaniem, gotów nawet przypisać mi dzieciństwo; lecz znajdą się i tacy, którzy zrozumieją, żem gromadził te zbiory, nie dla samych tylko współczesnych. Księgi te mogą kiedyś po naszym skonie, zabłąkać się do jakiéjś biblioteki, a po upływie lat wielu, kto wié, ujmie je może w rękę jakiś sumienny badacz. O! naówczas, nie jedna drobnostka może się stać dla niego, ważną skazówką historyczną, wymownėm świadectwem dawno minionych zdarzeń."

Ta myśl ożywiała starca, gdy dolepiał codzień nowe karty do swych pamiątkowych woluminów, gdy każdą z nich objaśniał historycznym napisem, czém podnosił jéj wartość. Jednę z takich ksiąg, o ile wiemy, ofiarował kilka lat temu, Krakowskiéj akademii, któréj był członkiem. Inną obdarzył nieznanego osobiście ale gorąco sercem ukochanego przyjaciela, Kazimierza Władysława Woycickiego, z powodu jego pięćdziesięcioletniego jubileuszu. Tam charakter prac

czcigodnego nestora naszych etnografów, odpowiadał usposobieniom Oleszczyńskiego: równa miłość tradycyi, równa wytrwałość, cechowała oba te bratnie duchy; ztąd łatwo odgadnąć, o ile nasz rytownik czcił i kochał Woycickiego, jak umiał ocenić jego wielkie zasługi.

Doroczne wystawy rzeźb i obrazów, żywą budziły w nim ciekawość. Z jakążto dumą narodową ukazywał cudzoziemcom wspaniałe sceny historyczne Matejki, jak był rad spotykając w katalogu nowe imie artysty polskiego. Wolny od zawiści, tak zwykłéj niestety schodzącym z pola artystom, tym zwłaszcza, którzy w pasmie mozolnego zawodu, częściéj stąpali po cierniach niźli po wieńcach wawrzynowych, wolny, powtarzamy, od wszelkiéj zawiści i goryczy, cieszył się bratniém powodzeniem jakby własném, pobłażał drobnym usterkom z dobrą wolą, podnosił znaczenie cudzéj pracy.

Pełen estetycznego smaku, równie biegłym był krytykiem literackich utworów. Wezwany o radę, udzielał jéj chętnie, wypowiadał zdanie swoje szczerze i bez ogródki. Mamy przed sobą kilkanaście jego listów pisanych do p. Hipolita Swiejkowskiego, autora pięknéj powieści poetycznéj p. t. *Marek Jakimowski.* Starzec kochał całą duszą poetę; w bohaterze powieści widział też dziecię swego ducha; onto bowiem wydobył z dziejów i ożywił rylcem tę zapomnianą postać. Przed laty trzydziestu ukazał w stalorycie owego Marka, przedstawiającego Ojcu Świętemu. piękną Katarzynę wyrwaną przez siebie z rąk algierskich korsarzy. Każda uwaga Oleszczyńskiego świadczy o wytrawnym poglądzie; rady udzielane w żywy i oryginalny sposób. „Posłuchaj mnie, ja byłem na téj uczcie, wiem jak się zakończyła, pisze w liście. o jednym z ustępów. Wasz mazur wyborny, ale zbyt nowoczesny. Mazur dzisiejszy powstał na zrębach francuzkiego kontredansa, przywiezionego nam przez Legionistów; bądź więc oszczędnym w figurach lub przenieś je do poloneza. Na stole postawiłeś cukrowe piramidy jakby na dzisiejszém święconém. Łukasz Opaliński współczesny Markowi. podaje za wyborny przysmak, groch tłusty, w którym wędzonka pływa jakby wieloryb w morzu. Przytaczam to nie dla powtórzenia, lecz aby złagodzić wytworność stołu twego." Gdzieindziéj znów, pierścionek ofiarowany rycerzowi, przez starą matronę, nie podoba się naszemu artyście. „Mam odrazę do pierścionka, mówi on, bo ten zbyt często uwija się w romansach. U nas odjeżdżających do boju rycerzy, obdarzano medalionem N. Panny Częstochowskiéj." Te i tym podobne uwagi, przypadły do mysli poecie, poszedł za radą wytrawnego mentora, i utwór jego zyskał o wiele na wartości.

Surowszym był Oleszczyński w sądzeniu swych własnych utworów. Dopóki mu słuch nie przytępiał, co nastąpiło w końcu, nie opuszczał nigdy miesięcznego zebrania Towarzystwa historyczno literackiego. Odczytywał ustępy z licznych swych rękopismów: mamy przed oczyma pełną erudycyi rozprawę o Koperniku, z powodu czterechsetletniéj rocznicy urodzin wielkiego astronoma.

W małem kółku przyjaciół, chętnie też odczytywał swoje prace, rad pokazywał i objaśniał swoje historyczne albumy. Niekiedy powtarzał z pamięci utwory ulubionych sobie poetów, dopełniał je własnemi uwagami. Na kilka tygodni przed śmiercią, żywo zajął grono przyjaciół Krakowiakami Edmunda Wasilewskiego. Te śliczne kwiaty wyrosłe na miedzy ojczystéj. szczególnie go zachwycały, umiał je na pamięć, pragnął miłość ku nim przelać we wszystkie serca.

Ostatni rok życia naszego artysty, ubiegł mu nadzwyczaj przyjemnie i swobodnie. Małe dolegliwości, nieodłączne od tak późnego wieku, zupełnie ustąpiły. Wystawa międzynarodowa ożywiła go w dziwny sposób. Patrząc na rozpromienione oblicze starca, na słodki jego uśmiech, na siły rosnące w miarę trudów, niktby z nas nie przypuścił że dni jego już policzone. Widok dzieł geniuszu i pracy ludzkiéj, zgromadzonych na Polu Marsowém, głęboko poruszał jego badawczy umysł. Cieszyły go szczególniéj dzieła malarzy polskich. Honorowe medale przyznane Matejce i Siemiradzkiemu, budziły w nim dumę narodową, tryumf ich był własnym jego tryumfem.

W urządzeniu polskiego działu antropologiczno-etnograficznego, Oleszczyński położył niemałe zasługi, wzbogacając go wielką częścią swych drogocennych zbiorów. Odwiedzał wystawę, jak mógł najczęściéj, przyglądał się dziełom sztuki i przemysłu, porównywał bacznie okazy różnych plemion. Charakter przeważnie etnograficzny całéj wystawy, rozbudził w nim myśl nową. Zapragnął zebrać w wielką księgę typy i kostyumy wszystkich ludów. Jakoż wziął się skwapliwie do téj pracy, nagromadził mnóstwo rycin, kolorował je według wzorów, widzianych świéżo na wystawie. Niestety! zbrakło mu czasu do wykonania tak olbrzymiego dzieła.

Rok ten tak pomyślny w życiu Oleszczyńskiego, zakończył się w sposób najmilszy dla jego ojcowskiego serca. Ukochana córka Jadwiga przebywająca w południowéj Francyi, przybyła na miesiąc do rodzinnego gniazda. Dobra córka jakby ostrzeżona przeczuciem rychłego sieroctwa, całe dnie spędzała w ojcowskiéj pracowni. Przy boku ojca, pod pilném jego okiem malowała na porcelanie. Artysta nasz tymczasem czując poprawę wzroku, pochwycił znów za rylec, jął wykończać i poprawiać swoje blachy, oddawna już na bok odłożone. Przy wspólnéj pracy czas leciał obojgu jak na skrzydłach; rozmowa nie ustawała, nigdy nie zbrakło do niéj wątku.

— Dobrze nam tak razem, drogie dziecię—rzekł raz ojciec do córki—ale przygotuj się, to szczęście niedługo już potrwa.

— Nie mów tego, ojcze!—zawołała córka i rzewnemi zalała się łzami.

— Jadwigo moja!—dodał starzec—wszakże my chrześcianie. Wiara w nieśmiertelność duszy niech nam osłodzi gorycz chwilowego rozstania. Wkrótce pożegnam cię, biédne dziecko, ale myśl ta nie mąci mi spokoju; wiem, że kiedyś spotkamy się w lepszym, szczęśliwszym świecie.

Myśl o śmierci nie odstępowała starca od lat kilku. Mamy pod ręką ostatnie jego rozporządzenia, wprawdzie nieopatrzone datą; lecz jak widać z drobnych szczegółów, nakreślone przed dwoma lub trzema laty. Ojciec rozdziela między córkę i syna zbiory swoje, blachy, księgi i rękopisma, plon sześćdziesięcioletnich mozołów. Przytaczamy ustęp, cechujący tę duszę tak wielką w swéj prostocie.

„Nie potrzebuję zalecać wam, drogie dzieci, abyście troskliwie pielęgnowały ukochaną matkę waszą. Matka dla poczciwych dzieci to istota święta! a wy dałyście już dowody, że ją za taką uważacie, zaco daję wam moje uroczyste błogosławieństwo.

„Zachowajcie, moje dzieci, dozgonną między wami zgodę i powolność. Nie obrażajcie się, jeśli jedno drugiemu czynić będzie uwagi lub dawać rady. Pielęgnuj, synu mój, miłość dla twéj siostry Jadwigi, a będąc pewnym jéj dozgonnego przywiązania, nagradzaj ją niezmienną wzajemnością.

„Zalecam wam kochać Polskę, rodzinne gniazdo ojca waszego; nosząc polskie imię, każcie je w sobie uszanować."

Tę ostatnią wolę znaleziono w biórku; ojciec nie pokazywał jéj córce, aby nie rozraniać jéj serca.

W połowie stycznia nastąpiło smutne rozstanie. Córka odjechała ku Pireneom, ojciec pozostał w Paryżu, pełen nadziei, że ją powita wiosną. Szybko dni ubiegały mu w pracy, etnograficzny zbiór typów pomnażał się z dniem każdym, wieczorami starzec odwiedzał chętnie przyjaciół. We wtorek 25 lutego, spędził kilka godzin w domu naszym, zdrów był i swobodny jak zwykle. Prowadząc zajmującą rozmowę z jedną z obecnych osób, przybliżył się zbytecznie do szklannych drzwi biblioteki; naciśnięta szyba pękła z łoskotem: starzec zmieszał się widocznie, jakby złowrogiém uderzony przeczuciem... odszedł śpiesznie do domu.

W cztery dni potém ujrzeliśmy znów to łagodne oblicze, ale zżółkłe jak wosk, oświecone blaskiem dwu gromnic, ujrzeliśmy te ręce poraz pierwszy założone bezczynnie, przyciskające krzyż do wystygłéj już piersi!

Skonał uderzony apopleksyą, umarł w ulubionéj pracowni wpośród ksiąg, obrazów i pamiątek, przy tym stole, przy którym przez lat pięćdziesiąt oblekł w formę tyle twórczych pomysłów, rozniecił w płomień tyle czystych iskierek ducha swego.

Pozostał sam w pracowni, miał wyjść na przechadzkę z ulubionym swym pieskiem; żona oddaliła się na chwilę. Wraca, spotyka u drzwi kołaczącego przyjaciela, tego właśnie, którego zasilał doświadczoną radą, a kochał ojcowskiém uczuciem.

Piesek szczeka... pan więc nie wyszedł z domu. I czemuż nie otwiera? Drżąca żona dobywa klucz, rozmyka drzwi... przyjaciel wbiega z nią do pokoju... tu okropny uderza ich widok. Starzec leży na ziemi... puls jego słabo drga jeszcze, ale osłupiałe oczy nikogo już nie widzą. Wszelki ratunek był daremnym... serce niebawem bić przestało.

We dwa dni potém odprowadziliśmy na cmentarz drogie nam zwłoki. Jeden z przyjaciół i czcicieli zmarłego, profesor Duchiński, przemówił słów kilka po francuzku wobec licznego grona tak ziomków jak cudzoziemców. Pokazał on w Oleszczyńskim pracownika żelaznéj wytrwałości, artystę wielkiego talentu, męża głębokiéj nauki, a przedewszystkiém człowieka wielkiego serca, który zapędzony burzą na cudze skały, umiał w głębi duszy stworzyć sobie własny świat i czerpiąc siłę w tém ognisku, roztaczać wkoło siebie miłość i spokój Boży.

Z tego tymczasowego grobu, zwłoki przeniesione zostaną wkrótce do Montmorency i tam pochowane obok grobów Ursyna i Mickiewicza. Ten hołd słusznie należny człowiekowi tak znakomitych zasług, zawdzięczamy szczególniéj troskliwym staraniom autora Marka Jakimowskiego, wiernego przyjaciela, na którego ręku skonał Antoni Oleszczyński.

PRZEMYSŁ CUKROWNICZY

W KRÓLESTWIE POLSKIÉM *).

PRZEZ

Antoniego Wrotnowskiego.

V

Nie zwróciwszy uwagi na możliwość przyjęcia stystematu podatkowego, niezapożyczonego od zagranicy, a w poprzednim opisanego rozdziale, musieli statyści szukać po Europie wzorów, i czynić wybór między prawodawstwami, jakie istnieją w tym przedmiocie gdzieindziéj, mianowicie zaś w Austryi i w Niemczech. Rzeczywiście bowiem, nie dałyby się zastosować w Rossyi zasady podatkowe przyjęte we Francyi, w Holandyi i w Belgii, skoro przemysł cukrowniczy tych krajów, rozwijając się wśród innych, niż w Rossyi warunków ogólnych, oddziaływa na ekonomią tychże krajów w sposób zupełnie odmienny; podatkowość przeto musi być przez prawodawstwo urządzaną inaczéj.

---

*) Dalszy ciąg—patrz zeszyt za sierpień r. b.

Ta różnica położenia wyniknęła z saméj przeszłości i wytworzyła się samą tradycyą. Rzeczone kraje posiadały kolonie na drugiéj półkuli świata, najgłówniejszém zaś bogactwem tych osad była właśnie trzcina cukrowa. Między niemi z jednéj, a ich metropoliami z drugiéj strony wytworzył się był długoletni stosunek. noszący w historyi nazwę *systematu kolonialnego.* I kiedy Rossya, nie mając jeszcze u siebie fabryk, a więc sprowadzając cukier z zagranicy, mogła była ustanawiać cła wyłącznie fiskalne, rzeczone kraje, owemu systematowi kolonialnemu wierne, zmuszone były trzymać się ceł prohibicyjnych, a przynajmniéj wysoce protekcyjnych.

Ta podatkowość, będąca istotną treścią rzeczonego systematu, wynikała z ówczesnych pojęć o naturze związku łączącego kraje na stałym lądzie Europy z ich koloniami zamorskiemi. Powszechnie mniemano, iż kolonie są przeznaczone wyłącznie na to, by zaopatrywały metropolią we wszystkie płody stref gorących, jakich ona u siebie nie miała, i pokrywały, ile się da, jéj potrzeby budżetowe, za pośrednictwem nakładanych na też płody podatków. Nawzajem znowu poczytywano,iż ona ma obowiązek zaopatrywać się w też płody nie gdzieindziéj, jak we własnych koloniach, a więc za pomocą podatkowości zapobiegać konkurencyi zagranicznéj. Innego znaczenia system kolonialny niemiał. Usiłowano więc cukrowi, pochodzącemu z własnych kolonii, zapewniać premium przez obciążanie wyższemi cłami cukru pochodzenia obcego.

Opłata pobierana od cukru pochodzącego z kolonii francuzkich, przy jego wwozie do Francyi (*la taxe*), była więc zawsze niższą od opłaty pobieranéj od cukru pochodzącego z kolonii obcych, zwanéj *la surtaxe de provenance.* Pierwsza była podatkiem wyłącznie fiskalnym, druga cłem dla przemysłu kolonii widocznie protekcyjném, przybierającém znaczenie zakazowego, ilekroć różnica między ową taksą i surtaksą czyniła niemożebném przywożenie cukru pochodzenia obcego [1]).

Systemat kolonialny wytworzył był potężną marynarkę handlową, zajętą głównie przewozem do Francyi płodów z jéj osad zamorskich; cukier surowy był znowu jednym z pierwszorzędnych przedmiotów przewozu. Chcąc sobie zachować ładunek wszystkich płodów przychodzących do Francyi z rzeczonych osad (*frêt de long cours*), marynarka handlowa domagała się także odpowiedniéj protekcyi, Zaprowadzono więc różnicę pomiędzy flagą narodową (francuzką) a flagami innych krajów, i pobierano znowu wyższą opłatę od cukru przywożonego do Francyi na okrętach zagranicznych. Tę wyższą opłatę zwano: *la surtaxe de pavillon.*

Do względu na przemysł cukrowniczy w koloniach i na interesa własnéj marynarki handlowéj, dołączył się wkrótce wzgląd trzeci:

[1]) Jeszcze w r. 1816, różnica między taksą i surtaksą czyniła przeszło 33% premium na korzyść kolonii. (M. Amé *loc. cit.* tom I. str. 131).

na interes olbrzymich rafineryi, powstałych we Francyi kosztem bardzo wielkich kapitałów, w celu przerabiania cukru surowego, przychodzącego z kolonii, na przedmiot zdatny do miejscowego spożycia [1]). Ten znowu wzgląd powodował był rząd, do przyznawania ulg rzeczonym rafineryom, czyli do zapewniania im premium *la detaxe* zwanego, znowu w celu ich osłonienia przed konkurencyą rafineryi zagranicznych. Pod takąż nazwą przyznawano później premia cukrowi kolonialnemu, ze względu na konkurencyą, spotykającą go ze strony cukru wyrabianego w saméj Francyi. Trudność, wynikającą z potrzeby pogodzenia tych trzech względów, zwiększyły jeszcze miasta portowe, które pod osłoną systematu kolonialnego doszły były do świetnego stanu. Żądały one otworzenia nowych miejsc zbytu i ułatwień w handlu z zagranicą a zwłaszcza zmian w zasadach zwrotu podatku pobranego od cukru surowego wwożonego do Francyi, przy jego wywozie za granicę już w postaci rafinady. Zwrot ten pod nazwą *drawbaku*, czynionym był od czasów bardzo dawnych, (już w wieku XVII i XVIII). W interesie więc plantatorów trzciny cukrowéj w koloniach, czyniono znowu różnicę między przerabianym w rafineryach cukrem surowym, pochodzącym z kolonii, i takimże cukrem zagranicznym, przyznając drawbak wyższy od pierwszego z nich, a niższy od drugiego.

Że tak różnorodne interesa musiały się z sobą ciągle ścierać, tego wykazywać niéma potrzeby; podatkowość bowiem protegująca jeden z nich, na inne musiała oddziaływać szkodliwie. Badania rozporządzane przez rząd (*enquêtes*), uwydatniając radykalną między temi interesami sprzeczność, ani jéj przecież usunąć, ani wszystkich zadowolnić nie były w stanie. Z téj więc przyczyny wyrodził się był we Francyi prawdziwy chaos i podatkowy i ekonomiczny zarazem, a który nabrał był szczególnéj doniosłości z chwilą, gdy wzmiankowana wyżéj inicyatywa Napoleona I, wydała owoc, mianowicie zaś, gdy fabryki cukru z buraków doprowadziwszy swą produkcyą do cyfry poważniejszej, zajęły stanowisko oddzielnéj gałęzi przemysłu krajowego [2]). Ta produkcya uderzyła była przedewszystkiém w same podstawy sy-

---

[1]) Istnieje we Francyi 32 rafineryi (de Saint-Rémy, *loc. cit.* str. 15.). Francya spożywa cukru rocznie 250 milionów kilogramów (*tamże* str. 207), wywozi zaś rocznie cukru rafinowanego 180 milionów (187,816,000 wr. 1874. M. Amé *loc. cit.* tom II. str. 378). Razem 430 milionów kilogramów. Część cukru idącego na miejscowe spożycie, dostarczają wprost same fabryki, zawsze jednak każda z rafineryi, wyrabia rocznie przynajmniéj kilkadziesiąt milionów kilogramów. Jedna w samym Paryżu, 80 milionów (M. Amé *loc. cit.* tom. II. str. 355). Te cyfry dają miarę doniosłości przemysłu rafinaryjnego we Francyi. Dawniéj zaś było rafineryi daleko więcéj: w r. 1828 w jednym Orleanie 167 (*de Saint Rémy loc. cit.* str. 17).

[2]) W kampanii 1838/9 r. fabryki cukru z buraków we Francyi wyprokukowały 35 milionów kilogramów (M. Amé, *loc. cit.* str. 109).

stematu kolonialnego, wyszło bowiem na jaw, że pod osłoną ceł, mających na celu niedopuszczenie do Francyi cukru zagranicznego i zapewnienie koloniom wyłączności zbytu tego produktu, ustaliły się były wysokie jego ceny, które najwięcéj zachęciły do zakładania fabryk cukru z buraków, i że właśnie tenże cukier, cukrowi kolonialnemu czyni konkurencyą najgroźniejszą.

Nie pozostały zresztą bez doniosłego na przedmiot wpływu, zawierane następnie traktaty handlowe, nadające cechę polityczną, międzynarodową, nawet podatkowi od cukru, ustanawianemu we Francyi.

Opodatkowanie rzeczonych fabryk w r. 1837 nie usunęło kolizyi między tylu różnorodnemi interesami, w obec któréj stanowisko rządu stało się rzeczywiście bardzo trudném. Nie ustawały badania rozporządzane przez rząd i przez Izby prawodawcze; zmieniano prawie co rok zasady podatkowości, lub stanowiono przepisy nowe, niemogąc przecież znaleźć takiego systematu, któryby wszystkim względom czynił zadosyć. Historya podatkowości francuzkiéj w przedmiocie cukru przedstawia téż mozajkę wszelkiego rodzaju pomysłów [1]), czasami nawet najdziwaczniejszych, samą przecież swą różnorodnością świadczących, iż we Francyi każda gałąź przemysłu troskliwéj używa opieki i nawet przy stanowieniu na nią podatków, obawiać się o swój byt niéma potrzeby.

Rząd, jak wzmiankowano, był ciągle w położeniu bardzo trudnem, tak dalece, iż w r. 1843, ulegając naciskowi ze strony przedstawicieli kolonii i miast portowych, wnosił był nawet w Izbie deputowanych projekt bezwarunkowego zakazu zakładania nowych fabryk cukru z buraków i zniesienia tych, jakie wówczas już we Francyi istniały z wypłaceniem wynagrodzenia dla tychże fabryk w sumie 40 milionów franków. Ówczesna ich produkcya dochodziła do 50 milionów kilogramów na rok i już pokrywała prawie połowę ówczesnéj konsomacyi kraju [2]). Rzeczony więc projekt rządowy w Izbach prawodawczych utrzymać się nie mógł, w obec zwłaszcza obawy szkodliwych jego następstw dla interesów ogólnych niewątpliwéj doniosłości, a mianowicie dla rolnictwa krajowego. Przy rozbiorze tego projektu czyniono także nacisk na to, iż dla zapewnienia zbytu cukrowi kolonialnemu i frachtu marynarce handlowéj, nie można znosić gałęzi przemysłu, któréj sam rząd dawał początkowo subwencye pieniężne, na korzyść któréj czynił był zwolnienia podatkowe i w któréj już były umieszczone znaczne kapitały krajowe, pociągnięte w ten kierunek, właśnie tak wyraźną opieką rządową.

Dla uwydatnienia trudności przy ustanawianiu podatku od cukru, wynikających z tradycyi systematu kolonialnego, w krajach posiadających osady zamorskie, trzcinę cukrową uprawiające, zaznaczyć jesz-

[1]) M. Amé (*loc. cit.*) t. II. rozdz. XVIII str. 103-156 i rozdz. XXII str. 261-384.

[2]) M. Amé (*loco citato*), str. 113.

cze należy, że w roku 1850 był stawiany w Izbie deputowanych nawet taki wniosek, iżby cukier uczynić przedmiotem monopolu rządowego, przy włożeniu na rząd obowiązku zaopatrywania się w tenże produkt w 35% z fabryk miejscowych, w 35% z kolonii, a w 30% za granicą [1]). W obec przeto tak wielkich trudności, zmieniające się ciągle systemata podatkowe we Francyi, były i dotąd są kompromisami; mającemi na celu godzenie tylu różnorodnych względów i tylu sprzecznych z sobą interesów. Nie można więc szukać we Francyi wzorów dla akcyzy od cukru wyrabianego w Imperyum rossyjskiém, skoro ono nie miało i niéma ani kolonii, uprawiających trzcinę cukrową, ani marynarki handlowéj tak silnie rozwiniętéj, ani miast portowych, ani wreszcie traktatów handlowych ścieśniających swobodę postępowania nawet w przedmiocie podatkowości miejscowéj.

Systemat podatku od cukru, istniejący we Francyi, jest zresztą bardzo skomplikowanym i mającym tyle stron ujemnych, iż nie mógłby być przyswojonym z korzyścią dla Imperyum rossyjskiego, chociażby następstwa systematu kolonialnego nie oddziaływały nawet dziś na podatkowość francuzką i nie czyniły z niéj sztucznego gmachu, dla Rossyi nieprzydatnego pod żadnym względem. Podatek pobieranym jest we Francyi od wagi cukru, dopełnianéj w chwili, w któréj tenże produkt z magazynów fabrycznych wchodzi w cyrkulacyą handlową. Waga cukru nie jest przecież jedyną i wyłączną podstawą do obliczeń podatku, skoro wysokość opłaty zależy od typu, do którego zważony cukier ma być zaliczonym. Tabela tych typów dzieli cukier na numera, mające wskazywać stopień jego bogactwa, czyli ilość zawartéj w nim słodyczy. Ten znowu stopień ustanawianym jest za pomocą cukromierza (*saccharimètre*), czyli narzędzia poświadczającego owe absolutne bogactwo każdego rodzaju produktów fabrykacyi cukrowéj [2]).

Pod względem podatku, prawo dzieli cukier na cztery kategorye: *a*) surowy, bez różnicy pochodzenia niżéj nr. 13; *b*) surowy bez różnicy pochodzenia od nr. 13 do nr. 20 włącznie; *c*) mączka biała, wyżéj nr. 20 porównana z cukrem rafinowanym i *d*) rafinowany, tak we Francyi z cukru krajowego, jak i w koloniach francuzkich. Każda z tych czterech kategoryi opłaca w innéj wysokości podatek od stu kilogramów, przyjętych za jednostkę. Od czasu wojny niemiecko-francuzkiéj, wysokość tych opłat była kilkakrotnie zmienianą [3]). Kolonie fran-

---

[1]) M. Amé (*loco citato*), str. 125.

[2]) Sacharimetr jest narzędziem optycznem, opartém na właściwości materyi cukrowych, skutkiem któréj stopień polaryzacyi uwidocznia się w świetle przez te materye przechodzącém i zmienia się odpowiednio do mniejszéj, lub większéj słodyczy, czyli do bogactwa tychże materyi.

[3]) Prawo z dnia 7 maja 1864 r., *de Saint Rémy*, *loco citato*, annex, str. 235, późniejsze prawa, tamże, str. 20 i annexa.

cuzkie korzystają z premii (*détaxe*) 5 franków od sta kilogramów [1]). Cukry przywożone z poza Europy na okrętach zagranicznych i cukry wprowadzane z krajów i składów europejskich (*entrepôts*), bądź lądem, bądź morzem, bez różnicy flagi, płacą cła (*surtaxe*) dwa franki od sta kilogramów. *Drawbak* został zniesiony, a raczéj zastąpiony dozwoleniem wprowadzania do Francyi cukru surowego, bez różnicy jego pochodzenia, bez cła, pod obowiązkiem wyprowadzenia w oznaczonym terminie zagranicę odpowiedniéj ilości cukru rafinowanego. Dozwolenie to ma więc na celu tylko rafinerye krajowe, nie zaś fabryki cukru z buraków. Wydajność rafinady z cukru surowego obliczaną jest na podstawie norm oznaczonych w samém prawie, a z konieczności niższych od wydajności rzeczywistéj.

I dziś więc systemat podatkowy we Francyi nosi jeszcze cechy kompromisu między wzmiankowanemi wyżéj interesami i względami, co zresztą wyraźnie i niejednokrotnie uwydatnianém było z trybuny, przy rozbiorze nieustannie projektowanych zmian prawodawczych, poczytywanych i przez rząd i przez izby za przepisy przejściowe, tymczasowe [2]).

Że ten systemat nie przestaje wywoływać skarg i zarzutów, temu się dziwić nie należy, skoro w zastosowaniu powstrzymuje postęp fabrykacyi cukru nierafinowanego, wytwarza premie dla rafineryi ze szkodą fabryk cukru, staje się źródłem nadużyć lub niesprawiedliwości przy determinowaniu, do którego z typów cukier ma być zaliczanym, i podkopuje zasadę równości w obec prawa, co właśnie jest najprzykrzejszém dla francuzów, nadających téj zasadzie znaczenie dogmatu politycznego.

Jakoż, podnoszone są przedewszystkiem, dobrze usprawiedliwiane zarzuty przeciwko klasyfikacyi typów, a nawet przeciwko używaniu sacharimetru przy zaliczaniu cukru do właściwego typu. Okazuje się bowiem, że obliczania i sprawdzania dopełniane przez władze fiskalne, w praktyce są zależnemi od dokładności tych narzędzi i dają rezultaty niejednakowe, różniące się między sobą aż o kilka stopni; że jednakowość tych rezultatów byłaby możliwą tylko wtedy, gdyby wszystkie sacharimetry z jednéj pochodziły fabryki, a przynajmniéj jednakową miały cenę [3]). Istniejące we Francyi laboratorya rządowe, stopień

---

[1]) *Antylle* i wyspa *de la Réunion*, art. drugi powyższego prawa.

[2]) M. Amé, *loco citato*, str. 142 i nast. W tych dyskusyach wyrażano, iż projekta przyjmowane są *comme une epreuve a faire, non comme une solution.*

[3]) „Ces différences sont dans la nature des choses, comme les variations que l'officier de vaisseau relève journellement entre sa montre de cent écus et le chronomètre du bord que le ministre de la marine a payé 5000 francs chez Breguet," mówi de Saint Rémy *loc. cit.*, str. 86, w oddzielnym rozdziale (*troisiéme quéstion*) zawierającym rozbiór pytania: „Quelle peût être la valeur pratique de la Saccharimétrie envisagée comme assiette de l'impôt sur le sucre?'

słodyczy produktów cukrowych obliczające, przestrzegają, iżby opakowanie przesłanéj im próby (*échantillon*) było zawsze zupełnie czystém, nie zawierającém w swych zagięciach, ani materyi ziemnych, ani jakichbądź resztek; najmniejsza bowiem ilość tych części obcych staje się powodem bardzo ważnych w obliczeniu pomyłek [1]; co znowu wykazuje wadliwość podstawy podatkowéj, skoro byle jaka przyczyna zewnętrzna udeterminowanie typu czyni mylném.

Korzysta z téj wadliwości zła wola; produkta cukrowe przeznaczane do rafinowania, niejednokrotnie są wynaturzane za pomocą operacyi *la sophistication des nuances* zwanéj, a polegającéj na przeistaczaniu powierzchowności tych produktów, w celu, iżby władza fiskalna, stopień ich cukrowości oceniająca okiem, zaliczała je do typów niższéj wydajności, niż tę, jaką rzeczywiście zawierają. Przeistaczanie to odbywa się bądź przez dodanie pewnych wytworów chemicznych, z produktem cakrowym łatwo się łączących, bądź przez odpowiednie działanie mechaniczne podczas gotowania tegoż produktu [2].

Różnice między normami oznaczającemi wydajność rafinady ze stu kilogramów cukru surowego z buraków, a wydajnością rzeczywistą, wytwarzają, jak już powiedziano, widoczne premium dla rafineryi [3]. Gdy zaś te normy są niestosunkowo niższemi przy przerobie niższych gatunków, wynika ztąd najprzód większe poszukiwanie gorszych gatunków cukru, dających premium stosunkowo większe, a następnie przewaga rafineryi nad fabrykami cukru. Koszta produkcyi cukru rafinowanego, obniżone sumą oszczędności na podatku temi premiami zapewnionéj, są bowiem stosunkowo niższemi od kosztów produkcyi cukru białego (w mączce, lub w głowach), wyrabianego wprost w fabrykach cukru i zdatnego na pokarm bez potrzeby rafinowania. Fabryki niemogąc przeto wytrzymać konkurencyi z rafineryami, upatrują większą korzyść w przerabianiu niższych gatunków cukru surowego, skutkiem czego niéma bodźca do ciągłego udoskonalania fabrykacyi mączek białych i cukru w głowach, idącego wprost do detalicznego handlu, z czego wynika znowu szkoda dla ogólnéj konsomacyi kraju [4].

Wobec tylu stron ujemnych systematu podatkowego, streszczonych tu w najogólniejszych zarysach, przemysł cukrowniczy we Francyi domaga się zniesienia typów, ustanowienia jednakowego podatku od wagi na wszelkie gatunki cukru, bez względu na jego słodycz, kolor i powierzchowność, wreszcie zwracania podatku od cukru wywożonego

---

[1]) List dyrektora laboratoryum przy ministeryum rolnictwa i handlu, A. Riche, z dnia 16 września 1876 r., do sekretarza generalnego departamentu w Arras, w odparciu zarzutów ogłoszonych drukiem przez margrabiego d'Havrincourt, prezesa komitetu fabrykantów cukru w tymże okręgu, dosłownie zamieszczony w cytowaném dziele: *le questionnaire*, p. de Saint Rémy, str. 74.

[2]) De Saint-Remy, (*loco citato*), str. 111.

[3]) Art. 6, prawa z dnia 7 maja 1864 r. (tamże str. 236.)

[4]) De Saint-Rémy *loc. cit*, str. 189.

za granicę, licząc sto kilogramów rafinady za tyleż kilogramów cukru surowego, czyli waga za wagę, a więc uchylenia norm wydajności, wytwarzających premia dla rafineryi i pobierania cła od cukru zagranicznego na podstawie ogólnéj taryfy celnéj [1]).

Łatwo więc pojąć, że projektujący nowe przepisy o akcyzie w Rossyi, żadnego z podatkowości francuzkiéj nie mogli wziąć wzoru [2]).

VI.

W stosunku do przestrzeni kraju, fabrykacya cukru z buraków doszła w Belgii do bardzo wielkiego rozwoju. Produkcya cukru wyniosła w r. 1877/8 1,200,000 centnarów [3]). Wedle innych obliczeń, przeciętna z lat pięciu (1871—1875), czyni przeszło cztery miliony pudów rocznie [4]). Liczba fabryk cukru z 31 w r. 1843, wzrosła do 164 w r. 1875 [5]). Cukrownictwo tworzy więc w Belgii jednę z ważnych gałęzi przemysłu krajowego.

Zwraca ono na siebie uwagę jeszcze z tego względu, iż handel wywozowy cukru przybiera w Belgii znaczne rozmiary. Z przecięcia lat dziesięciu (1860—1870), wywóz cukru nierafinowanego wynosił był około 1,200,000 pudów rocznie; obliczenie następnych lat pięciu daje przeciętną 4 milionów pudów, niezależnie od wywozu rafinady w cyfrze około 700,000 pudów. Obecnie przeto Belgia wywozi cztery razy więcéj cukru, niż przed ośmiu laty [6]). Traktaty handlowe, istniejące między rządami Anglii, Francyi, Hollandyi i Belgii, mają właśnie na widoku zapewnić handlowi cukru możliwe ułatwienia. W celu zbadania, jakiemi środkami dałoby się uwolnić te kraje od wydatków i ofiar pieniężnych, przez rząd każdego z nich czynionych w stopniu większym, lub mniejszym dla zachowania lub pomnożenia zagranicznych miejsc zbytu cukrowi wywożonemu, odbywają się prawie co rok konferencye między delegowanymi rzeczonych krajów. Ściśle określonym przedmiotem tych międzynarodowych porozumień jest więc równanie, o ile się da położenia handlowego, czyli inaczéj, usuwanie różnic w warun-

[1]) Tamże, str. 58 i 184. Produkta zawierające słodyczy mniéj niż 50%, musiałyby, wedle tych wniosków tworzyć specyalną kategoryą i płacić podatek niższy, ale znowu jednakowy.

[2]) *Żurnał komisyi*, str. 3.

[3]) Wedle I. O. Lichta, autora używającego wielkiej w tych rzeczach powagi. Patrz przypisek, str. 38 cytowanego dzieła D-ra R. v. Kaufmann.

[4]) Tablica IV, wykazująca produkcyą, przywóz i wywóz z Belgii za granicę cukru i rafinady od 1831 do 1875 r., ułożona na podstawie źródeł urzędowych, a dołączona do pisma: *Obzor razlicznych sistem...* już kilkakrotnie cytowanego; patrz czwartą rubrykę téjże tablicy. Przeciętna z lat pięciu wypada 4,370,329 pudów rocznie.

[5]) Tamże, w rubryce drugiéj.

[6]) Tamże, rubryka ósma i szesnasta.

kach i kosztach produkcyi, jakie właśnie wytwarza różnica podatkowości, istniejąca między temi krajami [1]). Zadanie niewątpliwie bardzo trudne, dziwić się przeto niemożna, iż nie podołali mu dotąd rzeczeni delegowani, pomimo kilkunastoletniéj w tym kierunku pracy i że owe traktaty handlowe mają ciągle cechę tymczasowości.

Jakoż istnieje dotąd w każdym z tych krajów nietylko inna wysokość podatku, ale i odmienny systemat obliczania, rozkładu i poboru, czyli odmienne podstawy podatkowe, oddziaływające na owe koszta produkcyi silniéj, niż sama różnica opłaty stosowana do jednostki opodatkowaniu ulegającéj. W każdym bowiem z tych krajów wypada odmienny stosunek między ilością cukru rzeczywiście wyrobionego, a tą jaka ponosi podatek odpowiednio do norm i metody obliczania, każdemu z nich właściwéj.

W Belgii podatek nie pada bezpośrednio na sam cukier wychodzący z fabryk, chociaż tak samo jak we Francyi jednostką podatkową jest sto kilogramów cukru, podzielonego na klasy. Ilość bowiem tegoż cukru nie jest ustanawianą za pomocą rzeczywistego ważenia, ale ją determinuje rachunek na podstawie norm prawnych, wskazujących wydajność surowego soku (*rendement*), dobywanego z buraków, sprawdzana przed defekacyą i saturacyą, czyli przed oczyszczeniem tegoż soku z części obcych za pomocą wapna i kwasu węglowego [2]). Łatwo więc pojąć, że rezultat tych obliczeń jest zawsze fikcyjnym, z rzeczywistością niezgodnym, sama bowiem natura rzeczy nie pozwala nawet przypuszczać, iżby sprawdzanie przymiotów i bogactwa soku surowego (zawartéj w nim słodyczy), czynione za pomocą narzędzi, chociażby najdokładniejszych i wskazywanie która z norm prawnych jest w danym przypadku właściwą, mogło prowadzić do cyfr ścisłych i dokładnych.

Już więc w saméj teoryi systemat belgijski niższym jest od francuzkiego, który przynajmniéj nie odbiega od prawdy, mówiąc iż podciąga pod opłatę produkta cukrowe, skoro je poddaje rzeczywistemu ważeniu, chociaż, jak to wyjaśniono w rozdziale poprzedzającym, jest także w niemożności temu zapobiedz, iżby żadna część produkcyi fabryk nie potrafiła opłaty podatkowéj uniknąć.

Że systemat belgijski w samém zastosowaniu i wykonaniu wyradza liczne trudności, nie dając w zamian rękojmi ani skarbowi przeciwko nadużyciom, ani przemysłowi pod względem uszanowania zasady równości wobec podatku, tego wykazywać niéma potrzeby. Urzędowe zaś źródło poświadcza, że te wszystkie trudności i następstwa, potęgowałyby się w Imperyum rossyjskiém; rzecz więc bardzo naturalna, iż rzeczony systemat nie stał się wzorem dla podatkowości w témże Imperyum [3]).

---

[1]) M. Amé, *loc. cit.* t. II, str. 147.

[2]) Dr. R. v. Kaufmann, *loc. cit.*, str. 79 i 143, s. *Obzor razlicznych sistem...* str. 128.

[3]) *Żurnał komisyi...* str. 4.

Nie mógł również służyć za wzór systemat podatkowy, istniejący w Hollandyi, jako łączący w sobie wady systematów francuzkiego i belgijskiego [1]) i z tego zapewne powodu nie znalazł nawet miejsca przy rozbiorze tego przedmiotu [2]). I jak to już wzmiankowano, pozostawało uczynić wybór jedynie między dwoma prawodawstwami, podatkowość od cukru urządzającemi: niemieckiém, a właściwie pruskiém i austryackiém.

VII

Systemat *pruski*, przyjęty w całych Niemczech, poddaje opodatkowaniu same buraki, bez względu na ilość i przymioty produktu wytwarzanego z nich przez fabryki [3]). Obciąża więc opłatą sam materyał surowy (*matière première*), będący przedmiotem fabrykacyi, i w tym celu oblicza wagę buraków w chwili, gdy one po oczyszczeniu wychodzą z płuczki pod tarkę w fabrykach prassowych, a pod przyrząd nożowy, zwany krajanką w fabrykach dyffuzyjnych. Obliczania dopełniają agenci skarbowi przy czynności warzenia buraków codziennie i nieodstępnie obecni, a na cały czas kampanii do każdéj fabryki wyznaczani. Jednostką podatkową jest więc centnar rzeczonego materyału surowego; podstawą zaś podatkowości, rzeczywista tegoż materyału waga [4]).

Systemat pruski tém się przeto wyróżnia, iż w granicach możliwości uwzględnia poglądy nauki i nie stawia się w sprzeczności z zasadami poczytywanemi przez nią za pewniki ekonomiczne. I już z tego powodu jest wyższym od systematów istniejących we Francyi i w Belgii.

Należy mu przed niemi pierwszeństwo, skoro jest jedynie racyonalnym w teoryi, a w zastosowaniu nie oddziaływa szkodliwie na byt i rozwój przemysłu cukrowniczego; zasługuje więc na to, by przy wyborze systematów podatkowych stawał się dla statystów wzorem, ilekroć oni dla tych lub innych względów nie są skłonnemi podatku

[1]) Dr. R. v. Kaufmann, *loc. cit.* str. 79 i 155. *Obzor razlicznych sistem*, str. 133.

[2]) *Żurnał komisii* nie czyni o Hollandyi żadnéj wzmianki. Cukrownictwo w Hollandyi jest także bardzo rozwiniętém; dr. v. Kaufmann poświadcza (str. 65), iż produkcya z 32 fabryk wynosiła w r. 1874/5, 25,565 ton. Hollandya według tegoż źródła i wedle tablicy III, dołączonéj do pisma: *Obzor razlicznych sistem*... czyni znaczną konkurencyą Anglii, wywozi bowiem za granicę, a głównie na targi angielskie po sto kilka tysięcy ton rocznie. W tym handlu wywozowym rafinada wynosi 80%.

[3]) Dr. R. v. Kaufmann *loc. cit.* str 79, daje taką definicyą systematu pruskiego: „Die Besteuerung nach dem durch wirkliches Abwägen ermittelten Gewichte der zur Zuckererzeugung bestimmten Rüben."

[4]) *tamże*, str. 90.

od cukru oprzeć na czystym dochodzie fabryk. Systemat pruski nie wytrzymuje porównania tylko z podatkowością, poprzestającą na poborze procentu od tegoż dochodu wedle stopy stałéj, oznaczonéj w prawie, góruje zaś nad prawodawstwami szukającemi oparcia gdzieindziéj. Cechą systematowi pruskiemu właściwą jest zgodność jego celów z następstwami jakie zeń wynikają, a więc oparcie prawodawstwa na rzeczywistości, na prawdzie. Zamierzyło ono opodatkować przemysł, nie zaś konsomacyą cukru i dzieje się temu zamierzeniu zadosyć, skoro opłata dotyka bezpośrednio tenże przemysł, nie przeistaczając się w podatek konsumcyjny, skoro nie zespala się z ceną handlową cukru, ale pozostaje zawsze jednym z czynników jego produkcyi. Ceny handlowe cukru układają się w Niemczech wedle stosunku między ilością tego towaru wystawioną na przedaż, a jego zapotrzebowaniem, zupełnie tak samo jak ceny zboża i wszystkich innych artykułów żywności, na któreto ceny wpływ kosztów produkcyi jest niewątpliwie słabym i jak najbardziéj pośrednim. Podatek pobierany w Niemczech od wagi buraków, ciąży na tych cenach tylko wtedy, gdy zamierzenia fiskalne przechodzą miarę; nieumiarkowanie zaś tych zamierzeń oddziaływa nieinaczéj, jak wszystkie inne postronne wpływy, jak pogorszenie się ogólnego dobrobytu, zastój handlu i t. p.

Systemat pruski nie uwzględnia wprawdzie różnicy położenia pomiędzy fabrykami przynoszącemi zysk większy i mniejszy, ani między zamkniętemi w skromnym zakresie, a rozwiniętemi na wielką skalę, i z konieczności potęguje dla tych ostatnich pewny przywiléj i pewną przewagę, jaką z saméj natury rzeczy już im daje wielki kapitał; ale nie narusza przynajniéj doniosłéj zasady równości w obec podatku, zasady mającéj, jak już powiedziano, stanowić konieczny jego przymiot. Wszystkie fabryki uiszczają opłatę w jednakowy sposób i w jednakowym stosunku, mianowicie zaś w proporcyi do ilości materyału surowego fabrykacyi poddanego. A chociaż powiedzieć się nieda, iżby ta zasada czyniła zadosyć sprawiedliwości absolutnéj, niedościgłéj zresztą dla większéj części stosunków między ludźmi, a w téj materyi, jedynie możliwéj przy uwzględnianiu czystych zysków każdéj fabryki; nie narusza przecież sprawiedliwości względnéj [1]) i przynajmniéj staje się silnym bodźcem udoskonalania przyrządów fabrycznych, zmusza do umiejętnéj pracy i do wytężania wszystkich ku temu usiłowań, iżby z owego materyału surowego, opodatkowanego jednakowo, wydobywać ilość cukru możliwie największą. Rozbudzając zaś współ-

[1]) Różnica korzyści otrzymywanych przez fabryki z jednakowéj ilości buraków opodatkowanych jednakowo, ma taką samą naturę i podstawę i w każdéj innéj produkcyi. Zarobki np. krawców nie są równe, chociażby wszyscy kupowali takież same sztuki sukna i płacili je jednakowo. Większa korzyść jednego jest nagrodą umiejętniejszéj pracy i zależy od innych warunków wpływowi prawodawcy nie ulegających.

zawodnictwo i uderzając w interes osobisty, staje się dźwignią postępu cukrownictwa.

Téj właśnie dźwigni zawdzięczać przychodzi udoskonalenia i wynalazki snujące się bez przerwy przed naszemi oczami; co ze stanowiska ogólnéj ekonomii kraju musi być poczytaném za największą zaletę systematu pruskiego. Nie mają jéj inne metody obliczania podatku na podstawie norm prawnych, nigdy nie mogących podciągać pod opłatę całéj produkcyi. Oznaczając bowiem ilość przerobu na podstawie wymiaru i siły przyrządów fabrycznych i *czasu prowadzenia roboty*, zmuszają one do *pośpiechu fabrykacyi*, skoro ilość buraków opodatkowaniu nieulegająca, zwiększa się w miarę tego, im więcéj materyału surowego da się przerobić w ciągu doby. Metody, czyniące z tego pośpiechu dla każdéj fabryki kwestyę życia lub śmierci, mają więc ten skutek, iż dokładność fabrykacyi koniecznie musi schodzić na plan drugi, iż nie jest otrzymywaną cała do otrzymania możliwa ilość cukru, stanowiąca składową część buraka, i jak się to dzieje zwłaszcza w fabrykach na Podolu i Ukrainie, znaczny procent tegoż cukru pozostaje w wytłokach bez żadnego pożytku, a więc ze szkodą dla ogólnéj produkcyi krajowéj [1]).

Systemat pruski najskuteczniéj także temu zapobiega, iżby równość podatkowa przez jedne fabryki na niekorzyść innych naruszaną nie była i najmniéj ogranicza swobodę pracy, najmniéj krępuje fabrykacyą formalnościami kontrolli. Ma przeto obok innych zalet, zaletę jasności i prostoty.

Statyści, czyniący wybór między metodami podatkowości zagranicznych, zwracali wprawdzie uwagę na zalety systematu pruskiego, poświadczając, iż on oddziaływa pożytecznie na stronę techniczną cukrownictwa, a nawet na uprawę buraków [2]), i zmusza fabryki do usiłowań, by z buraków otrzymywaną była największa, o ile się da, ilość cukru. Wybór nie wypadł przecież na korzyść rzeczonego systematu, przeważyły bowiem dwa poglądy:

1. Uznano, iż systemat pruski, acz tańszy od francuzkiego i belgijskiego, jest jeszcze zakosztownym, wymagającym wielkiéj liczby nadzorców (600 przynajmniéj), i inspektorów dla dozoru nad temiż nadzorcami; obok tego zauważono, iż inspektorowie nie mieliby żadnych środków do skutecznéj kontroli i poświadczono, że nadzorcom nie zawsze możnaby zaufać [3]). Tą zaś nieufnością ogarnięto

---

[1]) Nie owe resztki cukru pozostawiane w wytłokach, ale inne części składowe, a mianowicie solne, czynią z tychże wytłoków cenny pokarm dla bydła poszukiwny przez rolników; nie ma więc równoważnika, chociażby częściowo wynagradzającego szkodę, jaka wynika z pośpiechu fabrykacyi.

[2]) „Kak na techniku proizwodstwa, tak i na kulturu swiekłowicy" *Żurnał komissyi* str. 4.

[3]) „A na diejstwija nadsmotrczykow nie wsiegda można połagatsia" *tamże*, str. 5.

zarazem wszystkich właścicieli, administratorów i dyrektorów fabryk, skoro w piśmie urzędowém stawiano rachunkowy przykład, wykazujący, iż przy zmowie fabryki z nadzorcą, i przy zatajeniu 60 berkowców z dziennego przerobu na każdéj prassie, fabryka wciągu kampanii oszczędziłaby na podatku po 2500 rubli na każdéj prassie; nadzorca zaś brałby z téj oszczędności po 360 rubli, a więc już przy trzech prassach dostawałby od fabryki więcéj niż od skarbu [1]). Z powyższego poglądu okazuje się, iż statyści nie poczytywali za rzecz możliwą znaleźć w całém Imperyum 600 nadzorców uczciwych, przekupstwu niedostępnych, ani zapobiedz zmowie fabryk z temiż nadzorcami, opartéj na przekupstwie.

2. Osądzono: „że systemat pruski nie da się zastosować w Rossyi i dla tego jeszcze powodu, iż wyłącza od fabrykacyi buraki zawierające mniéj cukru; ma zaś ta roślina przymioty bardzo rozmaite nietylko w różnych miejscowościach, ale i w jednéj i téjże saméj miejscowości w różne lata," że nadto „przy większych urodzajach buraków, jest rzeczą dla fabryk dogodną, znacznie przyśpieszać przerób, poświęcając pewną ilość soku, byleby uniknąć możliwego psucia się buraków [2]).

Obadwa poglądy czynią regułą ogólną to, co wszędzie poczytywaném jest za wyjątek i *vice versâ*. Jakoż przekupstwo i zmowę podnosi pierwszy z nich do aksyomatu, uznając, iż one leżą w naturze całego społeczeństwa i tworzą jakoby podstawę życia; drugi znowu pogląd wychodzi z uwagi nie na urodzaj normalny, ale na lata bardzo wyjątkowe nadzwyczajnego urodzaju buraków. Poglądy te należą zresztą do oddzielnych dziedzin; 1-szy wyniknął z zapatrywania się statystów na charakter społeczeństwa i stopień jego moralności, kwestya bowiem kosztów systematu, niemających przenosić 3% sumy postawionéj w zamierzeniach fiskalnych, niéma téj doniosłości, iżby mogła była stanowczego na zdanie nabrać wpływu [3]). Drugi zaś pogląd jest natury ekonomicznéj. Obadwa są doniosłego wpływu, skoro doprowadziły do decyzyi, iż podatkowość, z istniejących na kontynencie najlepsza, nie będzie przyjętą za wzór; nie można przeto poprzestać na pobieżnéj jak dotąd o tych poglądach wzmiance.

1. Znajdując w urzędowém źródle sąd o społeczeństwie i wnioski, wyprowadzane ze stopnia jego moralności, musimy ten sąd i te wnioski przyjąć za punkt wyjścia, wyraźnie zaznaczając, że w tych za-

---

[1]) „A nadsmotrszczyki poluczat 360 r., t. j. uże pri 3-ch presach boleje, czem im dajet kazna;" tamże, taż stronnica.

[2]) Tamże, str. 6.

[3]) Komisya obliczała koszta poboru akcyzy od cukru wodle systematu pruskiego na 300,000 rub. (tamże, str. 5), idąc za zdaniem E. Andrejewa *Iz sliedowanija nad rabotoj*, (str. 104.), który poświadcza, że te koszta przy systemacie dotychczasowym czynią 40,000 rubli rocznie.

patrywaniach osobistego nie bierzemy udziału, do czego brak nam zresztą dostatecznéj kompetencyi. Nie podając przeto w wątpliwość zdania tylu statystów, uznajemy, że rzeczywiście systemat pruski wykonywany za pośrednictwem nadzorców, wyznaczanych do codziennego kontrolowania wagi buraków w każdéj fabryce, przez cały czas każdéj kampanii, nie mógłby w Rossyi znaleźć zastosowania. Udział wszakże tych nadzorców poczytujemy za zbyteczny i niepotrzebny, skoro bez żadnego niebezpieczeństwa dla skarbu, *akcyzę od cukru można oprzeć na wadze buraków, przyjmując księgi i sprawozdania fabryczne za podstawę do obliczania podatku.*

Wiarogodność rzeczonych ksiąg i sprawozdań uwydatniliśmy już w rozdziale IV, nie widzimy przeto potrzeby nic pod tym względem dodawać do tego, co tam zostało wypowiedzianém. Księgi fabryczne są w każdéj chwili prawdziwym wyrazem ilości buraków, zakupionych i zapłaconych przez fabrykę, tudzież ilości tychże buraków wychodzących z płóczki, a coroczne sprawozdanie wykazuje co do centnara, jaka liczba korcy lub berkowców, centnarów lub pudów została przerobioną w ubiegłéj kampanii. Podatek daje się na tych sprawozdaniach oprzéć z większą nawet łatwością przy systemacie ważenia buraków, niż przy oznaczaniu czystego dochodu fabryk, skoro na cyfrę tegoż dochodu mają wpływ potrącenia sum na rezerwy, amortyzacye, udoskonalenia przyrządów i t. d.: potrącenia zależne od decyzyi samychże fabryk. Waga zaś buraków jest zawsze poświadczeniem faktu widocznego, niezmiennego, od decyzyi zarządu fabryki niezależnego.

Kontrola agentów skarbowych byłaby bardzo łatwą, skoro jak już wzmiankowano, ograniczałaby się na sprawdzeniu zgodności cyfr przez fabryki wykazywanych z księgami fabrycznemi. Ta zaś uwaga załatwia zarazem kwestyą drogości systematu, wedle nas w tym specyalnym przypadku drugorzędną i niemogącą stanowczego miéć na rzecz wpływu.

Kontrolę agentów skarbowych można i należałoby wzmocnić dwoma jeszcze środkami:

a) zaprowadzić w każdéj fabryce przyrząd mechaniczny, kontrolujący wagę buraków. Przyrządy tego rodzaju już są wynalezione; aparat Fuka był już przez rok w użyciu w jednéj z fabryk niemieckich i dość dobrze funkcyonował [1]). Patrząc zaś na rozwój wynalazków, godzi się przypuszczać, iż przy obowiązkowém używaniu takich aparatów, byłyby one ciągle udoskonalanemi.

b) Co zaś najważniejsza, możnaby wytworzyć miejscowe komitety, złożone z agentów skarbowych i jednocześnie z przedstawicieli fabryk w okolicy istniejących; każda bowiem fabryka wié dokładnie, ile w jéj okolicy każda z fabryk przerobiła buraków i każda jest zarazem zainteresowaną przestrzegać, iżby inne przez zatajenie cyfr prawdzi-

[1]) Jermołów w piśmie: *Obzor razlicznych sistem*, str. 9, czyni o tém wzmiankę, zaznaczając, że aparat Fuka kosztuje 200 talarów.

wych, na jéj niekorzyść nie wytwarzały dla siebie premii, obniżającéj ich koszta produkcyi i by tym sposobem nie obalały owéj równości podatkowéj, w braku któréj sama konkurencya stawałaby się częstokroć zupełnie niemożliwą.

Tę co do centnara wzajemną wiadomość fabryk o ilości buraków corocznie przez każdą znich przerobionych i ten interes osobisty możnaby więc spożytkować w widokach nadkontroli podatkowéj, dając zarazem pożądaną dla samych fabryk rękojmią sprawiedliwego rozkładu i poboru akcyzy. Komitety miejscowe byłyby zaś krokiem na drodze do samorządu, o którym tyle się czyta od pewnego czasu, a któ ry rozpoczynać najwłaściwiéj i najpożyteczniéj właśnie od zapewnienia opodatkowanym udziału w rzeczach rozkładu ciężarów publicznych i kontroli podatkowéj.

2. Niejednakowa słodycz buraków, czyli stosunek procentowy między cukrem a innemi częściami składowemi téj rośliny, w jednych miejscowościach wypadający wyżéj, a w innych niżéj, zależny nietylko od natury gleby, stopnia jéj kultury, umiejętności plantatora i klimatu, ale nawet od gatunku nasienia [1]), oceniany z ekonomicznego stanowiska, bynajmniéj nie usprawiedliwia poglądu drugiego, zamieszczonego w dzienniku komisyi. O téj różnicy wydajności cukru nie powinno być już mowy, wobec dotychczasowego prawodawstwa, dzielącego Imperyum na *rejony*, mające właśnie na celu wyrównać pod tym względem położenie fabryk za pomocą obliczania rzeczonéj wydajności cukru wedle norm niższych, w miejscowościach produkujących buraki mniéj bogate [2]).

---

[1]) Dr. v. Kaufmann *loco cicato*, str. 12.

[2]) Imperyum rossyjskie podzielone jest na trzy rejony: do 1-go należy Królestwo Polskie, tudzież gubernie: Kijowska, Podolska, Wołyńska i Besarabska (*Dokład predstawlennyj gospodinu ministru finansow komisiej dlia razsmotrienija woprosow ob akcyzie z tuziemnaho i poszliny z priwoznaho sachara.* Petersburg 1871 r., druk Majkowa, str. 32 i 129; *Razwitije swiekł. sach. proizw.* E. Andrejewa, str. 229 i 230). Wydajność cukru z berkowca buraków oznaczoną jest w prawie jak następuje:

Dla rejonu 1-go w fabrykach mających udoskonalone przyrządy wydobywania soku i jego odparowania po 30 funtów, czyli $7\frac{1}{2}\%$;

w fabrykach, mających udoskonalone przyrządy odparowania soku bez udoskonalonych przyrządów jego wydobywania, tudzież w fabrykach rolniczo-gospodarczych, mających udoskonalone te obadwa przyrządy po 28 funtów, czyli 7%;

w fabrykach półparowych i ogniowych, tudzież w rolniczo gospodarczych, odparowujących sok sposobami udoskonalonemi, a wydobywających sok sposobami nieudoskonalonemi i półparowych i ogniowych po 26 funtów, czyli $6\frac{1}{2}\%$.

Dla rejonu 2-go w fabrykach z udoskonaloném wydobywaniem i odparowaniem soku po 28 funtów, czyli po 7%;

Rejony ze swemi różnicami norm wydajności cukru, są więc zastosowaniem systematu protekcyjnego na wewnątrz, w granicach Imperyum; ta zaś opieka rządu ma właśnie na celu zrównoważyć warunki produkcyi cukru i koszta jego fabrykacyi, czyli, za pomocą premiów dla rejonu 2 i 3 umożebnić konkurencyą fabryk, przerabiających buraki uboższe z fabrykami otrzymującemi buraki bogatsze. Rejony czynią tym względom zadosyć, ze stanowiska przeto ogólnéj ekonomii należałoby ułatwiać fabrykom, iżby każda z nich wydobywała ilość cukru możliwie największą z takich buraków, jakie ma do przerobu, zarówno z bogatszych w słodycz i z uboższych, a więc nie przyjmować takiéj metody obliczania podatku, która zmusza do pośpiechu roboty i wobec któréj oszczędność na podatku przy mniéj dokładném dobywaniu soku z buraków, okazuje się być wyższą od straty pewnego procentu cukru z owego pośpiechu wynikającéj. Ta metoda widocznie grzeszy przeciwko pojęciom ekonomicznym, skoro właśnie dlatego, iż masa buraczana nie mogła być poddaną dłuższemu działaniu pras lub dyffuzorów bez narażenia fabryki na dotkliwą dopłatę podatku, cukier pozostający w wytłokach, zmniejsza ogólną produkcyą krajową i jak już wzmiankowano, nie przynosi jéj w zamian żadnego równoważnika.

Troskliwie badając techniczną stronę fabrykacyi cukru, a nawet koszta produkcyi buraków, nie zwrócili statyści uwagi na stronę finansową przemysłu cukrowniczego, być może jeszcze dlań ważniejszą; nie dostrzegli przeto, że zadanie, iżby żadna część słodyczy zawartéj w buraku, która się wydobyć daje przy robocie mniéj pośpiesznéj, a więc dokładniejszéj, nie była pozostawioną w wytłokach, *jest dla każdéj fabryki kwestyą żywotną.* Wykazuje to rachunek: koszta produkcyi cukru w Królestwie Polskiém, odniesione do 300 funtowego korca buraków, w fabrykach urządzonych najlepiéj i prowadzonych najoszczędniéj,

---

w fabrykach z udoskonaloném odparowaniem soku, bez udoskonalonego sposobu jego dobywania, tudzież w rolniczo-gospodarczych z udoskonaloném wydobywaniem i odparowaniem soku po 26 funtów, czyli po $6\frac{1}{2}\%$;

w fabrykach półparowych i ogniowych, tudzież gospodarczo-rolniczych z udoskonaloném odparowaniem soku, bez udoskonalonego jego dobywania i półparowych i ogniowych po 24 funty, czyli po 6%.

Dla rejonu 3-go w fabrykach z udoskonaloném dobywaniem i odparowaniem soku po 26 funtów, czyli po $6\frac{1}{2}\%$;

w fabrykach z udoskonaloném odparowaniem bez ulepszonego dobywania soku, tudzież w rolniczo-gospodarczych z udoskonaloném dobywaniem i odparowaniem soku po 24 funty, czyli 6%;

w fabrykach półparowych i ogniowych, tudzież w gospodarczo-rolniczych z udoskonaloném odparowaniem soku, a bez udoskonalonego wydobywania tegoż soku i w półparowych i w ogniowych po 22 funty, czyli po $5\frac{1}{2}\%$.

Różnica wydajności wynosi między rejonami $\frac{1}{2}\%$ przy równych warunkach (E. Andrejew, tamże, str. 117).

wynoszą po rub. 2 kop. 60 [1]). Z ceny handlowéj cukru (mączki), od kilku już lat prawie jednostajnéj i znaczniejszym fluktuacyom nieulegającéj, rubli 3 *brutto* za kamień 24 funtowy, pozostaje dla fabryk rubli 2 kop. 85 *netto*, po obliczeniu różnego rodzaju kosztów przedaży, czyli za funt po niecałe 12 kopiejek. Z zestawienia tych cyfr wynika, iż pierwsze 24 funty cukru, otrzymane z 300 funtowego korca buraków, zaledwie pokrywają koszta produkcyi; że więc rzeczywistą korzyścią fabryk staje się dopiéro *plus* wydajności cukru nad 8%, czyli przewyżka ponad 24 funty z korca buraków.

Samo przeto poczucie sprawiedliwości powinnoby skłaniać raczéj do czynienia fabrykom ułatwień, w celu, iżby one zawsze prowadzić mogły robotę mniéj pośpiesznie a dokładniéj, nie zaś do stawiania im w tym kierunku przeszkody. Wobec bowiem teraźniejszych cen cukru, *maximum* korzyści fabryk *na owym plusie wydajności wyłącznie oparte*, nie przechodzi 15 kopiejek na każdym centnarze przerobionych baraków w kampanii pod wszelkiemi względami pomyślnéj, w latach zaś mniéj pomyślnych, bardzo łatwo schodzi do kilku zaledwie kopiejek a nawet do zera, już bowiem i rezultaty gorsze od zera widzieć mieliśmy sposobność.

Cyfra możliwych korzyści na przerobie centnara, lub korca buraków jest przeto istotą i treścią finansowéj strony przemysłu cukrowniczego; powinnaby więc nie być pozbawianą odpowiedniego wpływu na metodę poboru podatku. Ani w materyałach urzędowych, ani w dzienniku komisyi powołanej do projektowania nowych przepisów o akcyzie, niéma przecież śladu, iżby wysokość kosztów produkcyi cukru była badaną i zestawianą z jego cenami i by statyści zwracali uwagę na konieczność pozostawienia dla przemysłu jakiejkolwiek korzyści, chociażby bardzo umiarkowanéj; można nawet przypuścić, iż nie dostrzegli, gdzie i w czém leży ta korzyść. Niedoszedłszy więc do żadnego pod tym względem sądu, postawili jako pewnik ekonomiczny to, co żadnym pewnikiem nie jest, co przeciwnie obala całą ekonomią przemysłu cukrowniczego; wyrzekli bowiem, iż w latach wielkiego urodzaju buraków, fabryki mają interes prowadzić robotę gorzéj, byle prędko, a tak przecież nie jest.

A chociaż rzeczone prace przygotowawcze są niezaprzeczenie materyałami bardzo cennemi, rzucającemi na przedmiot wiele światła; niéma w nich przecież i drugiego pożądanego wyjaśnienia, a mianowicie żadnych danych o owym nadzwyczajnym urodzaju buraków, który miałby skłaniać fabryki do roboty pośpieszniejszéj, chociażby gorszéj. Taki nadzwyczajny urodzaj buraków nie przypadł ani razu za naszéj pamięci; nic wszakże nie stoi temu na przeszkodzie, iżby rok tak dla rolnictwa szczęśliwy zaliczyć do przewidywań. Chcąc wszakże tego rodzaju przewidywaniom nadać moc dowodu do tego stopnia doniosłą,

[1]) Z obliczeń kosztów produkcyi kilku fabryk w gubernii Warszawskiéj i za potrąceniem kosztów rafinowania. Jestto cyfra przeciętna, koszta produkcyi stawiają się wyżéj w niektórych fabrykach, nawet w téjże gubernii.

iżby dla nich usuwać metodę podatkową z innych względów dobrą, należałoby, opierając się na statystyce, chociażby urzędowéj, wykazać, co ile lat przypada raz w Imperyum rok urodzaju, dostarczającego fabrykom tak wielką ilość buraków, iż na jéj przerób nie starczy czas kampanii zwyczajnéj, normalnéj.

Doświadczenie poucza, iż urodzaje nadzwyczajne, będące zawsze największém dla kraju dobrodziéjstwem, są fenomenami bardzo rzadkiemi, z urzędowych zaś danych [1]) możnaby znowu produkcyą buraków w Imperyum poczytywać za niedość rozwiniętą, skoro większa liczba fabryk prowadzi przerób tego materyału surowego przez czas za krótki w stosunku do sił, jakiemi rozporządzają. W razie przeto wyjątkowego urodzaju potrafiłyby one spożytkować nadprodukcyą buraków, skoro czynią zadosyć tylu innego rodzaju wymaganiom i warunkom na losy przemysłu cukrowniczego wpływającym. I jest w istocie rzeczą zasługującą na zaznaczenie, iż to wszystko affirmować potrzeba.

Przyjęciu systematu pruskiego z zastąpieniem udziału nadzorców przy ważeniu buraków, dowodem z ksiąg fabrycznych, aparatami mechanicznemi i nad kontrolą komitetów okręgowych, w sposób wyżéj przedstawiony, nie sprzeciwiają się przeto ani ekonomiczne, ani fiskalne względy. Zastosowanie zaś głównéj zasady, na któréj się opiera podatkowość pruska, utrwalając przemysł cukrowniczy i dozwalając na dalszy jego rozwój, nadałoby zarazem więcéj pewności owym zamierzeniom budżetowym, o których już poprzednio była mowa. Jakoż urzędowe źródło podaje roczną produkcyą buraków w całém Imperyum na szesnaście milionów berkowców [2]); ustanawiając przeto podatek po 40 kopiejek od berkowca (10 pudowego), czyli podnosząc dotychczasową, *rzeczywistą* skalę podatkową o 25% do 30% [3]), zapewnionoby docho-

[1]) *Razwitije...* tablica IV, str. 248, zatytułowana: *Wiedomost o czisle dniej proizwodstwa*, wykazująca rejonami i guberniami, jak długo trwała każda z kampanii w latach od włącznie 1870/1 do włącznie 1877/8. Wedle téj tablicy, najdłuższa kampania fabryk w Królestwie trwała dni 117, najkrótsza zaś dni 73.

[2]) *Razwitije...* str. 231.

[3]) Wedle ustawy podatkowéj, akcyza wynosi 15 kop. od centnara, czyli 60 kopiejek od berkowca wagi rządowéj; rozłożona wszakże na wszystkie buraki przerabiane na cukier, nie zaś tylko na te, które wedle norm podchodzą pod opodatkowanie, opłacaną jest rzeczywiście w wysokości niższéj: po 25 do 30 kopiejek od berkowca. Wykazują to drukowane sprawozdania fabryk na Ukrainie, Podolu i Wołyniu, znajdujące się w archiwum Departamentu dochodów niestałych; każde bowiem sprawozdanie musi być w jednym egzemplarzu przesłaném do Ministeryum Finansów. I tak np. w kampanii 1877/8 r. fabryka Dziedowczyzna zapłaciła rzeczywiście po kop. 30, 24 od każdego przerobionego berkowca buraków wagi fabrycznéj (12 pudowéj). Przemysł cukrowniczy w obec dzisiejszych cen cukru, nie mógłby znieść opłaty 60 kop. od berkowca wagi rządowéj, jaka jest w prawie, ale nie w wykonaniu; przeciwnie

du rub. 6,400,000 rocznie (o 1,400,000 rub. więcéj, niż w r. 1878) [1]). Cyfrę szesnaście milionów berkowców podnieśliśmy do 18,820,000 berkowców fabrycznych, czyli do 19,760,000 berkowców wagi rządowéj na podstawie przeciętnéj, obliczonéj ze sprawozdań dwunastu fabryk [2]). Odnośnie do téj ostatniéj cyfry, dochód z podatku pobieranego w powyższéj wysokości czyniłby rocznie 7,900,000 rubli; w każdym więc razie więcéj, niż skarb mieć może przy systemacie opartym na normach; co postaramy się wykazać w rozdziale następującym.

Ten zaś rozdział zamykamy uwagą ogólną, iż jak poucza doświadczenie wszystkich krajów i wszystkich systematów podatkowych, wzrost dochodu budżetowego nie jest bynajmniéj następstwem wysokiéj skali podatku. Statyści, pragnący ten dochód zwiększyć, dochodzą do celu w tych jedynie razach, gdy wysokość opłaty nie pociąga za sobą ani dotkliwego podrożenia produktu ostatecznie ponoszącego podatek, ani zmniejszenia konsomacyi tegoż produktu i gdy rzeczona wysokość nie powstrzymuje rozwoju przemysłu, ani zmusza do zamknięcia znacznéj liczby fabryk.

Te doniosłe pewniki, mając na pamięci, należałoby umiarkowanie zamierzeń fiskalnych czynić zawsze punktem wyjścia, wzrost zaś cyfry dochodu budżetowego pozostawiać rozwojowi kultury rolniczéj i przemysłu, tudzież zwiększaniu się ogólnéj konsomacyi krajowéj.

---

zaś skala 40 kopiejek, stosowana do wszystkich buraków, nie będąc dla fabryk uciążliwą i nie wpływając na podrożenie cukru, miałaby zarazem skutek dodatni dla zamierzeń budżetowych.

[1]) *Razwitije...* str. 250 i 251. Tablica zatytułowana: *Wiedomost o postuplenii naloga w Rossyi* wykazuje następujące dochody skarbowe z akcyzy, łącznie opłatą patentową:

rok 1849	rub.	46,208	rok 1864	rub.	459,593
„ 1850	„	138,747	„ 1865	„	628,297
„ 1851	„	138,201	„ 1866	„	496,347
„ 1852	„	234,623	„ 1867	„	1,334,029
„ 1853	„	322,703	„ 1868	„	2,778,313
„ 1854	„	351,454	„ 1869	„	1,885,569
„ 1855	„	434,702	„ 1870	„	2,435,716
„ 1856	„	359,687	„ 1871	„	3,438,471
„ 1857	„	450,112	„ 1872	„	2,194,976
„ 1858	„	450,008	„ 1873	„	3,829,355
„ 1859	„	560,390	„ 1874	„	3,814,466
„ 1860	„	382,629	„ 1875	„	3,151,406
„ 1861	„	630,357	„ 1876	„	4,926,844
„ 1862	„	542,582	„ 1877	„	6,684,580
„ 1863	„	443,320	„ 1878	„	5,028,580

[2]) Patrz rachunek zamieszczony wyżéj przy końcu rozdziału IV.

Miasto wzrostu raptownego, najczęściéj tylko spodziewanego, dochód szedłby w górę krokami wprawdzie powolniejszemi, ale niewątpliwie pewniejszemi.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

Z PODRÓŻY I PRZECHADZEK

PO POŁUDNIOWO-ZACHODNIÉJ NORWEGII *).

Z LUŹNYCH NOTATEK SPISAŁ

Stanisław Bełza.

VIII.

List drugi do przyjaciela, albo góra olbrzym i olbrzym wodospad; różne przygody, czyli przyjemności podróżowania w kompanii, noone niebezpieczeństwo na jeziorze Tynn i powrót do Kongsbergu na Bolkesiö.

Z Tinnoset do Oernäs, wypadło mi jechać statkiem parowym, dwie te bowiem miejscowości przedziela romantyczne jezioro. Wśród stromych gór wije się ono raz wązkim wężykiem, to znowu rozlewa się szerzéj, aby nakoniec w coś nakształt rzeki się zamienić.

W Oernäs, trzeba było się posilić. Dano nam więc (było nas bowiem trzech: ja i dwaj norwegczycy) obiad prawdziwie pański. Po przekąskach złożonych z ryb, sera i homarów, zastawiono przed nami kilka takich dań, żeby ich się nawet nasz Stępkowski nie powstydził. Co zwróciło uwagę moję w tym obiedzie, to dziwny sposób, w jaki przyprawiane było mięso; zamiast pieczystego, dano nam smażoną wołowinę pokrajaną w talarki z długim ostrym sosem. Wyglądało to coś na nasz ozór, tylko że smaczniejsze od ozoru było.

Po zjedzeniu obiadu, który nam przeszedł bardzo przyjemnie, miałem bowiem w mojém towarzystwie nader miłego norwegczyka (p. Dideryka Bruna), należało pomyśleć o ruszeniu w drogę, by na wieczór stanąć w Krokanie.

---

*) Dokończenie — patrz zeszyt za sierpień r. b.

Dotąd podróżowałem albo piechotą, albo statkiem, albo na karyoli; obecnie powiedziano mi, że jechać będziemy porządną i wygodną bryczką zaprzężoną we dwa konie. Cieszyłem się na samą myśl téj podróży, raz że miałem jechać do miejscowości jednéj z najpiękniejszych w Europie, a powtóre że podróż bryczką nie obiecywała mi tyle znużenia, co podróż karyolą.

Oernäs, niewielka osada, dziwny doprawdy ma charakter. Patrząc na nią zdala, zdaje się że jest spychaną przez okoliczne góry do jeziora, i że lada chwila zagładę w niém znaleźć musi. Domki bowiem, jakie ją składają, przylepione są do skał, a że tuż tuż stoją nad wodą, przeto złudzenie takie a nie inne sprawiać muszą. Widok z niego bardzo piękny.

Stanąwszy we wrotach gościnnego domu, masz całe jezioro jak na dłoni, a że nie płynie ono prosto, ale wężykiem wije się wśród gór, przeto przy blasku słonecznym przedstawia ci się jak srebrna drożyna wykuta ręką jakiego Cyklopa pomiędzy granitem.

Ledwiem miał czas rozejrzeć się po okolicy, gdy nagle po kamienistym gruncie coś zaturkotało i bryczka zajechała przed dom. Wsiedliśmy więc a za chwilę straciliśmy i Oernäs i jezioro z oczów.

Droga do Riukanfossu prowadzi na małą wioszczynę Dale, oddaloną ztąd o jednę norwezką milę (mila norwezka jest znacznie większa od naszéj). Jedziemy jednak długo, nierówność bowiem gruntu zapał koni oziębia na każdym kroku. Po jednéj stronie mamy rzeczkę Maanelw, po drugiéj góry większe i mniejsze. Niedaleko Dale ukazuje nam się olbrzymia Gausta, największa góra w południowéj Norwegii.

Kiedy jechaliśmy, wszystko co żyło po wsiach zajęte było sprzętem. Kilkakrotnie przystawałem więc, by przyjrzeć się pracom na polu w Norwegii, tak różnym od tych, jakie widziałem u siebie w domu. Przedewszystkiem zwróciło uwagę moję uderzające ubóstwo tutejszéj gleby. Zboże stojące jeszcze na pniu i ścięte przedstawiało się ubogo i nędznie. Robotą żniwiarską zajęte były przeważnie kobiéty. Ubrane krótko z zawojami na głowach, przypominały nasze Kachny i Marysie. Jedne ścinały sierpem żyto czy téż jęczmień, a drugie wiązały je w maleńkie snopki, które przyczepiały do trzech skrzyżowanych tyczek wbitych w ziemię. Jak mnie moi towarzysze podróży informowali, zwyczaj takiego układania snopków przyjęty jest prawie w całéj Norwegii, z powodu bowiem górzystości gruntu, należy spływającéj z góry wodzie pozostawić pod snopkami wolny przepływ. Inaczéj z tego biédnego Norwegczyków dobytku nicby nie pozostało... Kobiéty pracując nuciły swoje melodye tęskliwe a śpiewne. Przywołałem jednę z nich, dałem jéj szylinga i kazałem głośno śpiewać. Kiedy skończyła, prosiłem Bruna, by mi znaczenie słów śpiewu jéj opowiedział.

Posłuchaj więc.

Biédna dziewczyna kochała panicza... Jego wzięto na flotę na marynarza, a ona została w domu. Została nie sama...

Przyszło dzieciątko... Ale za dzieciątkiem przyszły i łzy... Panicz powrócił, lecz także nie sam, bo z młodą i piękną kreolką. Dziewczyna tego ciosu przeżyć nie mogła i zmarła sobie cicho z bolu serca w rodzicielskiéj chatce. Ale nad dzieckiem miał litość ten, kto jéj nie miał nad matką. Przytulił je jak swoje i wychowuje pod dachem własnego domu.

Pieśń kończyła się słowami:

„Miłość gorsza od śmierci. Śmierć daje spokój, a miłość niepokój rodzi."

— Prawdę śpiewa dziewczyna—rzekłem, ruszając z miejsca— i przyszły mi zaraz na myśl cudne słowa twórcy Wallenroda:

„Kto nie zna miłości, ten żyje szczęśliwy,
I noc ma spokojną i dzień nietęskliwy."

Niedaleko za Dale, woźnica staje i powiada, że już daléj jechać nie może. Istotnie droga około niewielkiéj wiejskiéj chaty jakoś się urywa. Wciska się ona wężykiem w las porastający stromą górę i znika zupełnie z oczów. Niéma więc co robić, trzeba wysiadać, rozprostować nogi i ruszać daléj piechotą. Tak téż czynimy i niedługo po opuszczeniu bryczki, znikamy wszyscy trzej w gęstwinie leśnéj.

Z miejsca tego, które na żadnéj mapie Norwegii nazwy nie nosi, już tylko do Riukanu pół mili. Brun podejmuje się nas tam doprowadzić, choć ja nie bardzo ufam jego znajomości drogi. Jakoż się nie mylę, ledwie uszliśmy bowiem z pół wiorsty lasem, drożyna wiodąca nas dotąd rozszczepiła się na trzy gałęzie i Brun stanął jak wryty. Nie wiedział gdzie iść. Na usprawiedliwienie swoje zaczął nam dowodzić, że przed rokiem gdy był w tych stronach, dwie tylko tu drogi były, że trzecia nie pozwala mu się zoryentować, wreszcie oświadczył, że i najznakomitsi na świecie przewodnicy, czasami w górach błądzą.

Oświadczeniem tém tak nas zabawił, żeśmy się na niego gniéwać nawet nie mogli, postanowiliśmy jednak, nie słuchać już rad i uwag jego. a kierować się w dalszéj wędrówce naszym wyłącznie instynktem. I instynkt ten rzeczywiście do Riukanu nas wkrótce doprowadził. Dostrzegłszy bowiem że w końcu jednéj drożyny las cokolwiek rzednieje, podczas gdy około dwu drugich przedstawia się jak zbita masa, puściliśmy się tą drogą, a gdy uszedłszy z wiorstę usłyszeliśmy huk i szum, byliśmy pewni, że wodospad blisko. Szliśmy więc tak jeszcze z pół godziny po stroméj górze, a łoskot spadającéj wody ciągle się powiększał. Około godziny szóstéj wieczorem, nareszcie drożyna wyprowadziła nas z ciemnego lasu. Znaleźliśmy się na płaszczyźnie wielkiéj jak pół Saskiego placu, w pośrodku któréj wznosił się maleńki domek.

Na progu stała młoda i powabna kobiéta.

— Proszę panów—rzekła z uśmiechem po angielsku—kolacya już gotowa.

Weszliśmy do domku.

. . . . . .

Przed oczami memi ukazał się straszny Riukan!

Widziałem wiele, przecież nic podobnego nigdy jeszcze nie ukazało mi się nawet w marzeniu. Pierwsze przed kaskadą wrażenie, było doprawdy przygniatające. Stałem osłupiały, nie mogąc zdać sobie dobrze sprawy gdzie jestem i na co patrzę: dopiéro po długiéj chwili przyszedłem do siebie.

Miejsce gdzie stałem, a raczéj gdzie staliśmy (oprócz nas trzech bowiem, było tam kilku Anglików i Angielek) znajdowało się naprzeciwko wodospadu; mogliśmy więc dobrze go obserwować. Przed nami piętrzyły się dwie strome góry a pod nami widniała przepaść... Szczytem dwu gór płynął z szumem potok, bałwaniąc się i pieniąc. Widziałeś go zdala jak pędzi, unosząc z sobą kłody drzew i kamienie, burząc wszystko i niszcząc po drodze. Niebaczny, nie widział on, że tuż tuż straszna śmierć go czeka. W jednem miejscu bowiem góry się rozszczepiły i odmówiły mu łoża. To przyśpieszyło jego zgubę. Zwalił się więc z łoskotem i zgon znalazł w przepaści.

Wysokość z jakiéj Riukan spada, wynosi nie mniéj, nie więcéj, tylko 540 stóp. Można więc miéć wyobrażenie co się z potokiem tym po spadku staje. Wody jego rozbite na atomy, spadają na dół parą— i tumanami pary powracają napowrót do góry.

Widok przecudowny. Kiedyśmy tak wszyscy w religijném milczeniu stali przed olbrzymim wodospadem, księżyc tymczasem wychylił się zpoza gór. Wyszedł cicho i poważnie i osrebrzył całą panoramę. Opisać jak wtedy kaskada wyglądała niepodobna; powiem tylko, że wszystkie kobiety ze zdumienia popadały na kolana i głośno modlić się zaczęły, a my mężczyźni modliliśmy się w duchu.

Chcąc jeszcze lepiéj przyjrzéć się samemu potokowi, który takie cuda tworzył, wdrapałem się na jednę stromą górę okalającą wodospad. Omało co jednak nie przypłaciłem téj śmiałości straszną katastrofą. Gdy bowiem schodziłem, noga mi się pośliznęła, i zacząłem spadać na dół i gdyby nie baryera żelazna, o którą się zawadziłem, byłbym spadł w przepaść.

Nazajutrz rano, jak to mówią *jeno świt*, poszedłem znowu nad Riukan. Chciałem go bowiem zobaczyć przy blasku wschodzącego słońca. Jak na złość jednak po wczorajszym dniu upalnym, niebo dziś było zasnute chmurami i ani jeden promień słońca z poza nich przedrzéć się do ziemi i do tych wód nie mógł. To mnie w zły humor wprowadziło, mówiono mi bowiem, że przy blasku wschodzącego słońca Riukan jeszcze piękniéj niż przy księżycu wygląda. Gdyby więc nie wesołość Bruna, byłbym bardzo kwaśny odbył całą powrotną podróż na Gaustę, zwłaszcza też, że pogoda nam niesprzyjała; że jednak on melancholijne myśli od nas obu odpędzał, przeto mimo lejący jak z cebra deszcz, śmiać się do rozpuku musieliśmy.

Mówiłem nieraz że o ile góry przyjemne są w pogodę, o tyle nieznośne robią wrażenie gdy chmury zawisną nad ich szczytami i deszcz na ziemię padać zacznie. Pominąwszy już to bowiem, że deszcz w górach

jak zacznie nieraz padać, to pada do znużenia; a choćby i krótko padał, to wrażenie niekorzystne zawsze sprawiaćby musiał. Znajdujesz się bowiem wtedy jak w klatce i nic literalnie dookoła nie widzisz, prócz chmur nad głową i pod nogami.

To cię niepomiernie drażni a rady na to nigdzie znaleźć nie możesz.

Przyjechawszy około południa do Dale, chcieliśmy zaraz wdrapać się na szczyt Gausty, że jednak deszcz nie ustawał, musieliśmy odłożyć tę przyjemność do jutra. Jakoż nazajutrz nająwszy przewodnika, bo już Brunowi dowierzać nie chcieliśmy, około godziny szóstéj rano ruszyliśmy w drogę i w kilka godzin stanęliśmy na najwyższéj górze południowéj Norwegii.

Gausta wzniesiona na 6000 stóp nad poziom morza, nie jest wcale stromą górą. Przeciwnie, zdaleka już przedstawia się jak półkolista mycka żydowska, a kto na jéj wierzch wejść zapragnie, o jéj przystępności nabierze dokładnego przekonania. Roślinność pokrywa ją w znacznéj części, miejscami wije się kosodrzewina, a miejscami wreszcie świecą gołe skały. Śniegu nigdzie nie widziałem.

Wszedłszy na szczyt, masz prawdziwie majestatyczny widok. Cała bowiem okoliczna Thelemarken ukazuje ci się jak na dłoni, a że Gausta panuje nad wszystkiemi wzgórzami południowéj Norwegii, przeto wzrok twój bujać swobodnie może na kilka mil dokoła. Masz więc przed sobą i Kongsberg i daleką nawet Chrystyanią i jeziora białe jak kryształ i sine wody morskie. Napoiwszy wzrok do syta, zstępujemy z góry na dół i około godziny szóstéj wieczorem jesteśmy z powrotem w Dale.

Tu następuje rozstanie z moimi towarzyszami podróży. Oni bowiem jadą na Hardanger, a ja wracam do Oernäs. Rozstanie było dość przykre dla mnie. Przez te kilka dni wspólnych podróży zżyłem się jakoś dziwnie z tymi dwoma norwegczykami i tęskniłem za nimi, kiedy mnie karyola do Oernäs unosiła.

Przybywszy do Oernäs dowiedziałem się, że statek przed chwilą odszedł do Tinnoset. Jeszcze widziałem kłęby dymu z jego komina. Wypadało mi więc albo nająć łódkę i puszczać się nocą za statkiem, albo nocować w Oernäs. Wybrałem pierwsze.

Podróż moja nocna po Tynnie należy do najromantyczniejszych, ale bodaj czy nie do najstraszniejszych zarazem w mojém życiu. Trwała ona niedługo, bo tylko sześć godzin, a przecież pozostawiła po sobie niezatarty ślad w mojéj duszy.

Już w Oernäs ostrzegali mnie, bym się łódką w drogę nie puszczał. Po ulewnym bowiem deszczu nastały wiatry: jezioro całe bałwaniło się jak małe morze. Byłbym może tych ostrzeżeń usłuchał, gdyby nie gorąca chęć dostania się jak najprędzéj do Tinnoset. Pragnąłem bowiem jeszcze, powróciwszy do Chrystyanii, zwiedzić sławną Ringerike; strata więc całego dnia bolałaby mnie bardzo. Nie bacząc więc na nic, wsiadłem do łódki i niedługo utraciłem Oernäs z oczów.

Była godzina 10 wieczorem. W łódce siedziało dwu sterników i ja. Płynęliśmy. Z początku wszystko nam sprzyjało, wiatr zaczął dąć z tyłu, tak że wioślarze założyli żagiel, który im oszczędzał trudu wiosłowania. Ale niedługo ta pomyślność trwała. Zaledwiem usiadł na ławeczce i zaczął przywoływać wrażenia ubiegłych dni, gdy nagle usłyszałem trzask i świst przeraźliwy za sobą. Oglądam się, a tu ster z podartém płótnem już wyrzucony z łódki. Wiatr zawył i zakołował maleńką łupinką, w któréj siedzieliśmy, a nadomiar złego, dészcz zaczął lać jak z cebra.

Sternicy powstali z łódki i spojrzeli groźno jeden na drugiego; ręce im opadły z wiosłami. Nie sposób było jechać, bałwany bowiem i wiatr miotały nami na wszystkie strony.

Jeden ze sterników zbliża się do mnie i zaczyna coś mówić. Nic go nie rozumiałem, ale jestem pewny, że mówił, iż niebezpieczeństwo naszemu życiu grozi. Czyż bo w podobnéj chwili o czém inném mógł do mnie przemawiać? Udałem że go rozumiem i kiwnąłem kilka razy głową.

Jak długo trwało niebezpieczeństwo, sam nie wiem, nie liczyłem bowiem godzin. Wszyscy byliśmy zrezygnowani. Co się mnie tyczy, to wcisnąłem się w kąt łódki i czekałem rychło jaki silniejszy bałwan wyrzuci mnie do jeziora. Było zimno i ciemno: naokoło mnie góry przyglądały się z lodową obojętnością katastrofie, jaka zgon nasz przyśpieszyć miała; podemną szkliła się wodna przepaść, a nademną wisiały gęste i czarne chmury, bezlitosne, wilgotne. Śmierć czuliśmy w powietrzu.

Żeśmy w nurtach jeziora śmierci nie znaleźli uważam to za prawdziwy cud. Mieliśmy bowiem w łódce wodę po kostki a bywały chwile żeśmy znikali zupełnie w bałwanach. Ale przeznaczoném nam było widocznie żyć. Około godziny bowiem czwartéj rano dostrzegliśmy jak przez mgłę statek, który z powodu burzy, przy brzegu na kilka godzin przystanął. Promień ocalenia nam zaświtał. Zaczęliśmy głośno wołać ratunku (ja wołałem po polsku) i ratunek nam nadszedł. Podpłynął ku nam statek i w chwili, kiedy przenosiliśmy się na jego pokład, nasza łódka poszła na dno jeziora. Pół godziny późniéj, a byłoby już po nas.

Około godziny 5 rano przybyliśmy do Tinnoset, gdziem cały dzień przepędził, byłem bowiem niewywczasowany i słaby. Trzeciego więc dnia dopiero mogłem się puścić z powrotem. Do Kongsberg wracałem na Bolkesiö. Droga ładna i wygodniejsza od téj jaka prowadzi na Lysthus. Co krok słyszysz szmer strumienia, a pod Bolkesiö masz piękne jezioro.

IX.

Na Ringerike.—Droga.—Humledal.—Sundwolden.—Czy jestem w Anglii?—Klewstuen.

Powiedziałem był już wyżéj, że okolice Chrystyanii odznaczają się wielką malowniczością. Istotnie, rzadko która stolica europejska posiada u swoich progów taką rozmaitość widoków, jak stolica Norwegii, na którą natura zlała tyle wdzięków i powabów, iż obdzielić niemi możnaby wiele miast i wiele okolic.

Bo jeśli, podróżniku, nie przywykłeś do uciążliwych wycieczek i nie chcesz zapuszczać się w głąb kraju, to dosyć ci wdrapać się na najbliższe wzgórze poza miastem i spojrzéć przed siebie. Będziesz miał wtenczas jak na dłoni najprzód miasto z jego białemi i świéżemi domami przeglądające się w zwierciadle wód, a daléj nieco fiord przepyszny, długi i wązki, ozdobiony mnóstwem mniejszych i większych wysepek, jak Wenus wyłaniających się z piany morskiéj. Fiord ten pokrywają o każdéj porze dnia i nocy tysiącami parowe statki, wywożące z Norwegii drzewo, ryby, piwo i przywożące do niéj węgiel i podróżnych.

Jeżeli cię podróż po morzu łódką nie lęka, to możesz znowu puścić się na Hovedö. Będziesz miał ztamtąd uroczą panoramę Chrystyanii, stare ruiny na wysepce, a może jeszcze w dodatku będziesz tak szczęśliwy jak ja i spotkasz w jakiéj tam chatce jaką uroczą jasnowłosą nimfę, któréj oczy będą piękniejsze i od ruin i od panoramy. A kiedy wreszcie odbywszy te dwie podróże, zechcesz jeszcze widzieć coś więcéj, a przecież nie znużyć się tak jak ja, dajmy nato po Thelemarken, natenczas weźmiesz mały pakunek w rękę i wyruszysz na Ringerike.

Podróż na Ringerike chociaż tak bliska i nienużąca, przecież tania nie jest. Mówiono mi już o tém w Chrystyanii, po powrocie z Miöseńskiego jeziora; temu też to przypisać należy, że nie wiedząc czy mi pieniędzy starczy, wprzód puściłem się do Thelemarken, któréj żaden podróżny po Norwegii nigdy nie pomija, a dopiéro myślałem potém gdy mi środki dozwolą, Ringerike odwiedzić. Że jednak Thelemarken bardzo stosunkowo niewiele speciesów mi zabrała, przeto powróciwszy do stolicy Norwegii, po kilkodniowym wypoczynku puściłem się na Ringerike. I chociaż pieniędzy wydałem bardzo wiele, nie żałuję przecież wydatku, bo w zamian dostałem tak piękne widoki, jakich dotąd jeszcze w Norwegii nie widziałem.

Dziwna rzecz, podróżując po Norwegii, w różnych które zwiedzałem stronach, dostrzegłem taką rozmaitość krajobrazów, jakiéj na podobnéj przestrzeni w żadnym kraju niémasz. Wszędzie są tam co prawda góry, Norwegia jest bowiem krajem wyłącznie górzystym, ale te góry tak niepodobne do siebie, jak niepodobne są np. Tatry do pagórków w okolicach Prądnika. Niedość że góry są niepodobne, ale różnią się także od siebie i doliny, jakie w łonie ich są uwięzione. Gdy bowiem doliny pod-

mywane Miösenem wabią cię ku sobie miłośnie, doliny Thelemarken przerażają dzikością i nieledwie straszą. Na Ringerike znowu i góry i doliny i wody nawet, z tamtemi niémają nic wspólnego.

Do Rzymu wszystkie drogi prowadzą; na Ringerike tylko jedna, przez Humledal i Sundwolden. Do Humledal (1⅛ mili) dojeżdża się z Chrystyanii koleją żelazną, ztąd do Sundwolden karyolą lub dwukonną bryczką. Ja szedłem piechotą i bardzo zrobiłem dobrze.

Wysiadłszy bowiem z wagonu kolei żelaznéj, około prześlicznego mostu w Sandwiken, szedłem drogą prowadzącą do Sundwolden, która mnie ciągle podnosiła do góry. Droga bo téż to droga. Naprzód prowadzi cię ponad wodą, potém gubi się w lesie, a nareszcie wyprowadza między dwa szeregi skał, stromych jak Giewont, a dzikich jak Zawrat w Tatrach. A kiedy nasyci twój wzrok widokami, jakich nie przywykłeś widzieć na tak małéj przestrzeni kraju, skończy się nareszcie przepysznym wodospadem, który lubo bez porównania od Riukanu mniejszy, przecież cech dzikości pozbawiony nie jest.

Istotnie, co wyróżnia tę drogę i te strony od dróg i stron reszty Norwegii, to to właśnie, że na małym kawałku zgromadziła ona dużo piękności. Żeby się dostać do Listad, trzeba naprzód jechać koleją, potém płynąć długiém jeziorem i następnie nogi tłuc po kamieniach Gundbransdalu; żeby widzieć Riukan i Gaustę, trzeba również jechać koleją, mordować się na drodze Lysthusowskiéj i narażać na niebezpieczeństwo na Tynie; żeby zwiedzić Hönefos i Ringerike, trzeba wprawdzie także powierzyć się zrazu parze, ale już na południe można jeść obiad wśród szumu uroczéj kaskady, lub na szczycie stroméj góry. To dogodne położenie tych okolic sprawia, że drogi te latem napełnione są podróżnymi. Otóż jak wszystko na świecie ma to swoję dobrą i złą stronę. Dobrą, bo miléj spotykać w podróży ludzkie twarze, niż kruki i orły; złą, bo ponieważ podróżni ci rekrutują się wyłącznie z Anglików, którzy mają dużo pieniędzy i lubią niemi rozrzucać na wszystkie strony, przeto gdzie się tylko oni pokażą, podnoszą wartość wszelkich potrzebnych do życia produktów i tém samém mniéj zasobnemu od nich, środki podróżowania umniejszają.

Doświadczyłem tego na sobie i to mnie nauczyło stronić w podróży od dróg, któremi Anglicy przeszli, nieledwie jak od zarazy.

Zaledwie uszedłem z małą milkę na drodze do Sundwolden, zmuszony zostałem postawić sobie zapytanie, czy ja przypadkiem, cudem jakim nie dostałem się do Anglii. Znikły bowiem wioski i chatki, znikli poczciwi moi Norwegczycy, a z téj i z tamtéj strony zaczęły mi się przesuwać bezustannie chude sylwetki Anglików i śmiejące twarzyczki ich ryżych towarzyszek życia. Język angielski dolatywał mnie ze wszystkich stron, a głośne krzyki angielskich woźnic napełniały powietrze.

Przypomniały mi się słowa Böhna, że po Norwegii podróżują prawie wyłącznie Anglicy. Tak jest, powiem nawet wyłącznie, bo tych kilku Niemców i Francuzów, którzy tu rok rocznie przychodzą, w rachubę

brać nie należy. Jedni Anglicy są niestrudzeni w odwiedzaniu Norwegii, a jeżeli podróżując po Miösenu okolicach lub Thelemarkenu skałach, nie spotykałem ich tak wielu jak na drodze do Ringerike, to dlatego tylko, że jak mi mówiono, po tamtych stronach, przywykli oni o wcześniejszych porach roku wędrować. Teraz np. byli masami pod Bergen lub Trontheim, albo też ciągnąc z powrotem do domu, Ringerike w kompanii zwiedzali.

Oryginalni są ci Anglicy w podróży! Tyle już napisano o téj ich oryginalności, a jeszcze nie wyczerpano wszystkiego. W Norwegii są oni może oryginalniejsi, niż gdzieindziéj, bo tu czują się jak u siebie w domu, a choć w ogóle te splenowate dzieci Brytanii niewiele przywykły robić sobie ze świata, to jednak po drogach szwajcarskich, gdzie ich spotykają tłumy cudzoziemców, więcéj może rachują się z utartemi w Europie formami. Tu nic ich nie obchodzi, nikt spokoju im nie zamąci, a mimo dziwactw i rubasznych manier w dodatku, miejscowa ludność przyjmie ich zawsze z otwartemi rękami, bo przyniosą jéj oni to, czego najwięcéj potrzebuje—pieniądz.

Anglicy po Norwegii podróżują towarzystwami. Na drodze do Ringerike spotkałem takich towarzystw kilka, a każde z nich liczyło po kilkanaście osób. Ze względu na dogodniejsze warunki gruntu, podróżowali tu oni własnemi powozami, najmując tylko konie od miejscowych wieśniaków. Byli więc istotnie jak u siebie w domu; we własnym koczu, z własnymi ludźmi zwiedzali te cudne miejscowości, sypiąc pieniędzmi na wszystkie strony.

O ile Anglik jest oszczędny i chciwy w ojczyznie swojéj, o tyle rozrzutny i wspaniałomyślny bywa między obcymi. Pochodzi to z dwu przyczyn:

Po pierwsze: każdy prawy syn Albionu wié w czém spoczywa potęga jego kraju, będąc więc za jego granicami, na każdym kroku usiłuje dawać dowody, że potęga ta ani na cal się nie zmniejszyła.

Powtóre: nie znając, a nawet pomiatając językiem kraju, po którym podróżuje, tą tylko drogą dojść on może do zaspokojenia najpierwszych potrzeb życia.

Względy te bardzo zasadne w stosunku do niego, w odniesieniu do mnie przykre bardzo wywołały owoce, gdy bowiem przyjechałem do Sundwolden, tak wszyscy na stacyi zajęci byli *panami Anglikami*, iż na kawałek chleba z masłem i kilka jajek czekać musiałem ze dwie godziny, a rozśmiano mi się w nos, gdym łamaną norwegczyzną posługującéj mi *pige* (dziewczynie) oświadczył, że pół speciesa to nieco za to wszystko zawiele.

Sundwolden leży w uroczém miejscu. Z progu stacyjnego domku widok roztacza ono bardzo romantyczny. Góry i góry, a poza niemi błyszcząca jakaś niezmierna i nieograniczona łysina. To lodniki, których ląd stały Europy (z wyjątkiem jednéj Szwajcaryi) nazazdrościć się Norwegii nie może. Jakżeż żałuję, pomyślałem, że do lodników tych tak daleko, ale istotnie daleko; leżą one o kilkanaście

mil ztąd, więc oczywiście marzyć o zwiedzeniu ich niepodobna. Trzeba się rozkoszować tém co jest, a rzecz to niebardzo dotkliwa, to bowiem co jest, niewiem czy może być mniéj piękném od tego co byćby mogło.

Nie ja jeden napawam oczy moje rajskiemi widokami. Obok mnie stoi prześliczna angielka i śmiejąc się głośno jak dziecko, jak dziecko z tego co widzi, cieszy się. Przy boku jéj poważny siwawy już mężczyzna, nuci obojętnie jakąś niezrozumiałą piosenkę. Zapewne jéj ojciec pomyślałem.

— Ach! ach!—zawołała po francuzku jasnowłosa—widzisz pan tę czarną chmurę i pokazała coś w górze.

— To nie chmura—zauważyłem—to stada dzikich ptaków!

Zawiązała się między nami rozmowa:

— Czy pan francuz?—zapytała patrząc mi bystro w oczy.

— Nie, pani: jam polak.

— Ach! jakie to szczęście. Pan polak, a ja tak polaków lubię. W domu mojéj matki (biédna, ona już nie żyje) dawno, dawno... kiedym jeszcze maleńką była...

— Czy nie w końcu czasami zeszłego wieku – zauważyłem.

— Rozśmiała się głośno.

— Bywał u nas pewien pan z Polski. Przychodził do nas często, widywał się z ojcem, z mamą, czytał im jakieś gazety, a nieraz gorzko płakał. O! pamiętam go dobrze. Był młody i piękny, włos jasny okalał mu wysokie czoło, a niebieskie oko błyszczało rozumem.

— Czy u was wszyscy tacy piękni?

— Jak pani widzi—dodałem skłoniwszy się.

Znowu się rozśmiała. Nastała chwila milczenia.

— Wie pan co, ten pański rodak miał do mnie dziwną jakąś słabość. Często brał mnie na kolana i mówił że się zemną ożeni, jak urosnę. Nie dotrzymał słowa niewdzięczny, a ja tak pragnęłabym być w Polsce.

Dziewczyna ta zajęła mnie bardzo. Nie bacząc więc na obojętność anglika, który pozostał na stronie, poprosiłem ją by usiadła i zacząłem jéj opowiadać długo, o ojczystym kraju moim. Słuchała z uwagą, z taką uwagą, iż zdało mi się żem znalazł w niéj siostrę. Byłbym się z nią nigdy nie rozstał, gdyby nie zbliżenie anglika.

Zrobił ruch niecierpliwości.

Powstała nagle z miejsca i podała mi rękę.

— Do widzenia w Warszawie.

I zwracając się do swego towarzysza, rzekła po angielsku:

— Ten pan polak,—a ten—powróciła do francuszczyzny—mój narzeczony.

Skłoniliśmy się sobie. Odeszli. Długo jeszcze w noc pozostałem na miejscu i myśl moja niechciała odbiedz od téj dziewczyny, która miała tak starego konkurenta.

Wyglądał na jéj ojca—jeżeli nie na coś więcéj jeszcze.

Nazajutrz, kiedym się obudził, stacya była opuszczona. Całe towarzystwo angielskie równo z rankiem wyjechało do Chrystyanii.

Opisywać szczegółowo téj drogi nie będę. Powiem więc tylko, iż po opuszczeniu Sundwolden, idzie się już w towarzystwie stromych skał do samego Kroklewen, na szczycie którego znajduje się gospoda Klewstue, gdzie dostać można przewodników, dla zwiedzenia piękniejszych górskich widoków.

Mamy tu widoków tych dwie kategorye: *króla* i *królowéj*. Zwiedziłem i jedne i drugie i mimo uszanowanie moje dla płci nadobnéj, powiedzieć muszę, że powaby jakie mi *król* roztoczył były o wiele piękniejsze, od tych jakie mi *królowa* przedstawiła. I tu i tam ta sama dzikość, ale gdy *królowa* nuży twe oko dziwną jakąś jednostajnością, *król* natomiast wprowadza cię w świat groźby i fantazyi, który cię porywa, unosi i usypia. Z obu szczytów widać w dali jeziora i morza, a z *króla* przez lunetę dostrzegłem nawet kilka okrętów na fiordzie.

W Hönofass przepyszna ta droga kończy się, a kończy kaskadą wód.

Dochodząc do miasteczka (1000 mieszkańców), choć jeszcze nie widziałem wody, usłyszałem przecież szum straszny, który mi Riukana przypominał. Wszedłszy w mury miejskie, ujrzałem, wodospad. O wiele mniejszy od Riukana, jest przecież nie o wiele mniéj wspaniały. Spadek tu nie tak wprawdzie wielki, ale za to woda rozlewa się szerszém korytem. Co się traci więc na grozie, zyskuje się na rozciągłości widoku.

Z Hönefoss do Dramen idzie linia kolei żelaznéj. Nie chcąc więc już powtórnie odbywać piechotą powrotnéj do Chrystyanii drogi, powierzyłem jéj moje losy i nic nie straciłem na tém: po trzygodzinnéj bowiem niespełna podróży, znalazłem się znowu w stolicy Norwegii i na trzeciém piętrze hotelu Stockholm spisywałem skrzętnie do katalożka to, com widział i słyszał.

X.

Zakończenie.—Nieco luźnych uwag i spostrzeżeń.—Słówko o dzisiejszym stanie Norwegii.—Do zobaczenia...

Dnia... oglądałem Chrystyanią poraz ostatni. Ta sama *Westa*, która mnie tu przywiozła z Kopenhagi, około godziny piątéj po południu, zabrała mnie z powrotem. Zabrała nie samego, bo z głębokim żalem w duszy. Tak jest, z żalem.

Jeżeli bowiem jechałem do Norwegii, żądny wrażeń i oryginalności, to nie przypuszczałem nigdy, ażebym do tego kraju tak przylgnął, tak go prawie pokochał. Bo i cóż mogłem przewidywać, że znajdę tam het, het na północy, gdzie noga polska tak nieliczne dotąd

pozostawiła ślady? O górach, dolinach, lodnikach wiedziałem ja co prawda, nie wiedziałem przecież że jest tam tyle tego, co te góry i doliny ożywia, co ogrzewa te lodniki, tyle serca. Znalazłem serce i z żalem się z tém sercem rozstałem. Znalazłem tam coś więcéj jeszcze: znalazłem głęboką naukę.

Uważny czytelnik tych luźnych wspomnień moich, wyciągnął z nich niezawodnie ten wniosek, iż Norwegia jest krajem bardzo biédnym. Istotnie. Od północy na południe pokryta górami, jest ona prawdziwym Gebirgsland, jak ją Niemcy słusznie nazywają. Na tych górach i pomiędzy górami témi rozsiedli się gęsto ludzie i znaleźli się wkrótce w położeniu opuszczonych, znikąd nie widzących pomocy. Zdobycie najmniejszéj rzeczy przychodziło im z wielką trudnością, walka o byt widniała przed niemi w całéj grozie. Mieli oni do wyboru dwie drogi: albo jak nasi górale w Karpatach opuścić ręce z rozpaczy i żyć z dnia na dzień w nędzy i ciemnocie, albo téż nie dawać za wygraną, jąć się z zapałem pracy i wywalczyć sobie znośną egzystencyą. Wybrali na szczęście to drugie i dziś dają światu zdumiewający obraz tego, do czego to może dojść kraj biédny i niepłodny, jeżeli zaludniony jest ludźmi przedsiębiorczymi, pracowitymi i nieupadającymi nigdy pod brzemieniem przeciwności i nieszczęść.

Wszyscy podróżnicy po Norwegii zgadzają się na to, iż przy równie niekorzystnych warunkach, więcéj doprawdy dokonać niepodobna. Istotnie. Zważmy że kraj ten przez kilka miesięcy w roku, jest lodami odgradzany od reszty świata, że przez ośm blisko miesięcy panują w nim jesienne zawieje i mrozy, że niéma on ani rzek spławnych, ani pól zdolnych do uprawy. A jednak mimo to wszystko, posiada on wysoką oświatę, wyborne społeczne urządzenia i względną zamożność, która chociaż nie może iść w porównaniu z zamożnością Anglii i Francyi np., przecież przy oszczędności ludu, dozwala wieść byt wygodny i wcale znośny. A wszystko to dzięki dziwnemu jakiemuś hartowi ducha mieszkańców i pracy, ale to takiéj pracy, o jakiéj my doprawdy wyobrażenia niémamy.

O potrzebie téż téj pracy przekonany jest w Norwegii każdy, zarówno bogaty jak biédny; to téż nie zdarzyło mi się tam widzieć żebraka. O nędzarzach i kalekach swoich gmina obowiązana jest pamiętać, kto tylko ma ręce zdrowe musi pracować, bo próżniactwo jest tam przedmiotem ogólnéj pogardy.

— Próżniak nie wart jest żyć na świecie—powtarzał mi kilkakrotnie jeden z norwezkich profesorów uniwersytetu, kiedym mu zadziwienie moje nad takim błogim stanem jego ojczyzny wyrażał.

Powiedziałem był wyżéj, iż znalazłem w Norwegii wiele serca i nie cofam mego zdania. Istotnie, w ciągu paru miesięcy przebytych w tym kraju, obserwacyą tę łatwo mi było uczynić. Wędrując tu i owdzie, ocierałem się o różnych ludzi, miałem styczność z dziećmi ludu i wyższą inteligencyą kraju. I tu i tam dostrzegłem niekłamaną życz-

liwość, która dochodziła do najwyższéj potęgi, kiedy powiedziałem że jestem Polakiem.

Jadąc razu jednego koleją wschodnią dla zapoznania się z krajobrazami południowo-wschodniéj Norwegii, wypadło mi kilka godzin przepędzić w jakiémś małém miasteczku, położoném na granicy Szwecyi. Niémając co lepszego do roboty, po zwiedzeniu nieciekawéj zresztą mieściny, usiadłem na ławeczce przed stacyą i rozłożyłem na kolanach wielką mapę Norwegii.

Kilka panów przechadzało się po peronie. Nagle jeden z nich zbliża się do mnie i najczystszym dyalektem niemieckim odzywa się w ten sposób:

— Pan widzę podróżny w tym kraju, może mu czém służyć możemy?

Inną razą jechałem wagonem kolei wtulony w kącik powozu, przysłuchiwałem się nieznanym dźwiękom, nie mieszając się naturalnie do rozmowy.

Współtowarzysze podróży widocznie domyślili się, że mi to milczenie przykrość sprawia; sądząc jednak, że niémam wprawy w zawiązywanie znajomości, pragnęli mi ją ułatwić: rozpoczęli więc pierwsi ze mną rozmowę, naturalnie po norwezku.

Odpowiedziałem że nie rozumiem i że jestem Polakiem.

Nigdy nie zapomnę jakie to słowo Polak na tych poczciwcach sprawiło.

„*Pollack*, *Pollack*" — zaczęto powtarzać na wszystkie strony i wpatrywać się we mnie, tak że mnie to w ambaras wprawiło.

Niestety, nie rozumieli oni po niemiecku, ja po norwezku rozmówić się nie mogłem. Zaczęła się więc rozmowa na migi i na migi przykładając ręce do serca powiedzieli mi oni, jak bardzo Polakom sprzyjają. Po téj rozmowie zaczął się poczęstunek. Mężczyźni otworzyli swe flaszki z wódką, kobiéty koszyki z chlebem i sérem i wszystko to zwróciło się w moję stronę, który zdumiony jeść musiałem, bolejąc nad tém najbardziéj, że im nawet za te oznaki sympatyi i gościnności w ich ojczystym języku podziękować nie mogłem.

Ludzie jadący wtedy ze mną, należeli do klasy niższéj, tamci którzy mi na pogranicznéj stacyi swą pomoc ofiarowali byli ludźmi inteligencyi; czyż weźmiecie mi więc za złe, że z zestawienia tych dwu zdarzeń, które się zresztą w innéj nieco formie nieraz powtarzały, wyprowadzę ten wniosek, że ludzie tam, daleko na Północy mają wiele serca?...

Wzmiankowałem nieraz o tém, że Norwegia jest wyłącznie górskim krajem. Charakter jéj ogólny przecież (przynajmniéj w tych stronach które ja poznałem, a poznałem nieco więcéj, niż tu w tych luźnych notatkach spisuję), różni ją wielce od Szwajcaryi. Anglicy słusznie utrzymują, iż gdy Szwajcarya odznacza się swojemi *mountain scenery*, Norwegią przeważnie charakteryzują *valley scenery*. Zdaje mi się, że anglicy dając podobne określenie tym dwom krajom, nie bardzo się z pra-

wdą mijają. Wprawdzie cała prawie Thelemarken to *mountain scenery*, ale za to okolice przyległe Chrystyanii, całe pojeziorze Miösenu, cała droga górska do Listad, cała wschodnia połać kraju aż do granicy szwedzkiéj, to *valley scenery*. Góry tu wprawdzie wszędzie są, ale nie o góry w tém określeniu idzie, idzie o to, że góry te są pospolite i jednostajne, strzelają jednakowo ku niebu spokojnie i dziwnie monotonnie, i że widoki, prawdziwie piękne widoki masz dopiero w dolinach. Takich istotnie dolin jak za Lillahamer, takich jak na drodze do Sundwalden, takich wreszcie jak koło Henefoss, nie zdarzyło mi się widzieć nigdy, mimo że widziałem tak cudowną dolinę, jak nasza Kościeliska w Tatrach, któréj równie pięknych nie wiele jest na świecie.

Naturalnie, nie znając całéj Norwegii, nie mogę utrzymywać, że nigdzie w niéj nie masz widoków górskich, podobnych szwajcarskim lub tatrzańskim. Przypuszczam nawet że rzeczy się mają przeciwnie, bo kraj górzysty, mający więcéj niż trzynaście stopni szerokości geograficznéj, musi posiadać nieobliczoną rozmaitość krajobrazowych typów. Każda definicya, jako definicya, prawdy dokładnie nie określa, i angielska więc mylić się może; ale bezstronność nakazuje mi przyznać, że w południowo-zachodniéj, a nawet i wschodniéj Norwegii, widoki jakie doliny dają, przewyższają pod względem piękna te, jakie ukazują góry, bo gdy te ostatnie pewną jednostajnością nużą, tamte tymczasem roztaczają ci przed oczami taką rozmaitość powabów, jaką cię darzy grono pięknych naszych warszawianek, ujęte w bukiet balowego zebrania.

Pod pewnym względem, wschodnia część kraju jest więcéj rozmaitą niż zachodnia. Pokrywają ją bowiem w znaczniejszéj części lasy, na których zachodniéj prawie zupełnie zbywa. Ta to okoliczność sprawia, iż mieszkańcy sąsiadujących powiatów ze Szwecyą, żyją wyłącznie z drzewa, podczas gdy ich zachodni bracia rybom egzystencyą swą zawdzięczają. Ta rozmaitość wyradza także różną w obu tych stronach zamożność mieszkańców. Pierwsi mając produkt stały i kosztowny pędzą byt stosunkowo daleko lepszy od drugich, którzy z niepewnego rybołówstwa żyć muszą.

W ogóle jednak chodząc po południowo-zachodniéj Norwegii i wstępując do niejednéj włościańskiéj chaty, dostrzegałem wszędzie ślady względnéj zamożności. Gotów byłbym nawet, nie wyciągać z tego ogólniejszych wniosków, i kłaść tę zamożność na karb przypadkowego wzbogacania się włościan na podróżnych Anglikach, którzy tu rok rocznie bardzo licznie przejeżdżają, gdyby mnie pewien wykształcony norwegczyk, nie oświecił w tym względzie.

Zdaniem jego, zamożność ta przypadkową nie jest, napotyka się ona prawie wszędzie; lud norwezki bowiem odznacza się niepraktykowaną oszczędnością, pracowitością i trzeźwością.

Podróżując po Norwegii z zadziwieniem zauważyłem, że nie napotykałem nigdzie tam po drogach karczem, owych brudnych karczm pełnych dymu i gorzałczanego zaduchu, które są zakałą naszego kraju.

Wniknąwszy bliżéj w tę rzecz, doszedłem wkrótce, że karczem naszych istotnie tam niéma i że wódka wyrugowaną jest z codziennego użytku włościan.

Przedewszystkiem powiedzieć tu muszę, że wsie norwezkie podobne do naszych nie są. Nie wyglądają one nawet na wsie takie, do jakich oko nasze przywykło. Tu i owdzie widzisz kilkanaście dworków, w prostéj linii nad drogą pobudowanych i to jest właściwą wsią. Otóż w tych wsiach karczmy są najzupełniéj zbyteczne, każdy bowiem włościanin zaopatruje się w to wszystko co mu jest potrzebne, wódki on używa mało, ale za to stałym jego napojem jest wyborne narodowe piwo, w które zaopatruje się na kilka miesięcy. Nie potrzebuje więc uczęszczać do karczmy, ale za to gdy niedziela nadejdzie, zgromadza w gościnnéj izbie całą swoję rodzinę, wlewa w szklanki norwezkie piwo, zasiada sobie w wygodnym fotelu i czyta na głos zebranym poważnego *Aftenposten*, lub téż śmieje się ochoczo z konceptów takiego *Wikingenu*.

Zeszedłem ich raz na takiém zebraniu i westchnąwszy pomyślałem sobie:

Kiedyżto w mojéj ojczyźnie, coś podobnego Opatrzność widzieć mi pozwoli?

Lud norwezki odznacza się wcale przyzwoitą powierzchownością i z pierwszego rzutu oka północnego niemca przypomina. Wokolicach Chrystyanii ubiór jego nawet nie przedstawia nic oryginalnego; za to im daléj w głąb kraju się posuwamy, tém oryginalniejsze spotykamy kostiumy. Nadewszystko zwrócą one na siebie uwagę w Thelemarken.

Pamiętam, jadąc do Riukanu, przystanęliśmy przed jakimś zajazdem na drodze. Chciało nam się pić, więc wstąpiliśmy do wnętrza chaty, gdzie zebrani włościanie spędzali czas na gawędce. Mogliśmy się wtedy napatrzéć ich kostiumom. Jedna dziewczyna, ubrana, jak mnie moi towarzysze podróży zapewniali, podług najświeższéj mody, zwróciła moję szczególniejszą uwagę; wyglądała bowiem jak papuga: taka pstrokatość jednak jéj ubioru, widocznie podobała się wszystkim, bo otoczyli ją kołem i oczów od niéj oderwać nie mogli, choć wcale piękną nie była.

Mimo zamiłowania w zbytkowym stroju, lud ten zresztą odznacza się skromnością. Spokojny i milczący, jeżeli usta do śpiewu otworzy, to po to, by Boga chwalić; nawet dziewki, choć i miłośnie czasami zanucą, przecież chętniéj psalmy do Chrystusa pieją. Wzmiankowałem już o tém wyżéj, tu więc tylko powtórzę, iż nastrój wysoko religijny spotykałem wszędzie w Norwegii: w czynie, na ustach, a więc chyba i w sercu.

Jakaś dziwna tęsknota i zaduma odznaczają ten lud Północy. Poważny i skupiony w sobie, choć się bawi i weseli, to jakoś od naszego ludu inaczéj. Wynik to temperamentu? nie wiem; ale ile razy

przyglądałem się wieśniakom norwezkim, zawsze jak mara prześladowała mnie ta myśl, że musieli oni być kiedyś bardzo nieszczęśliwi!

Bądź jak bądź, dziś szczęśliwi są. Wszystko, czego człowiek w tém doczesném życiu żądać tylko może, jest ich udziałem; a więc najpierw rząd republikański i konstytucyjny, szkoły wyborne i tanie, wreszcie dobrobyt oparty na bezustannéj pracy. O warunkach swojego otoczenia, wiedzą téż oni dobrze; to téż odbijają się one na każdym, podnoszą go i uszlachetniają. Chłop norwezki wié, że jest obywatelem kraju, że jego udział w rozstrzyganiu o jego losach jest znaczny i potężny; szczyci się więc tą swoją godnością jak żaden inny i na każdym kroku usiłuje przekonać przybysza, że on jest ważną cząstką składową tego organizmu państwowego, który za podstawę swego rozwoju położył wolność, który na swoich gmachach publicznych wypisał te znaczące słowa:

Med lav skal man land bygge (państwo winno być rządzone przez prawo).

Szczęśliwy kraj, który szczyci się takim ludem: szczęśliwy lud, który żyje i rozwija się w takim kraju...

. . . . . .

Na tém poprzestaję. Słówko więc tylko jeszcze na zakończenie.

Kiedym przed laty, podczas moich uniwersyteckich studyów, zastanawiał się nad tak nazwanemi w nauce „utopistami państwowemi;" kiedym myślał nad dziełem Morusa i nad jego obrazem państwa idealnego, w którém „wszyscy" byliby zupełnie równi i zobowiązani do pracy, przychodziło mi do głowy zapytanie, czy téż nigdy żadne państwo europejskie nie osiągnie tego ideału, jaki myśliciel angielski tak sympatycznie nakreślił, a który młodzieńcza moja wyobraźnia za ostatnie słowo rozwoju państwowego uważała.

Kiedym po latach kilku znalazł się w Norwegii i rozejrzał się nieco dookoła, rzecz dziwna, przypomniał mi się znowu Morus i moje pytania na uniwersyteckiéj ławie. Widząc, jacy tu wszyscy szczęśliwi, przynajmniéj jak szczęśliwie wyglądają; jaki tu panuje porządek, równość (tytuły w Norwegii dobrowolnie w tym wieku zostały zniesione) i praca; zdało mi się, żem został przeniesiony na tę wyspę *Utopią (insula utopia)*, która w fantazyi Morusa miała być tém najlepszém państwem. Przewidywałem naturalnie, że ten organizm musi także chromać, wiedziałem, że i w nim dostrzegają się poważne braki: mimo to jednak wydał mi się on i wydaje najbardziéj zbliżonym do tego ideału państwa, które na równości będąc oparte, wszystkim bez wyjątku wolność daje.

To téż opuszczałem Norwegią z prawdziwym żalem, a gdy okręt uniósł mnie od niéj tak daleko, iż skaliste jéj brzegi znikły mi z przed oczu zupełnie, myśl moja bujała jeszcze po tych śmiejących się dolinach Miösenu i Thelemarken, gdziem jak nasz nieśmiertelny poeta przy kochance—„cząstkę duszy méj zostawił."

ROMANTYZM ANGIELSKI XIX WIEKU *).

PRZEZ

Feliksa Jezierskiego.

II.

Ogniwa pośrednie pomiędzy Shelley'em a Bajronem.—Ryszard Henry Dana (jego *korsarz Lee*).—Samuel Taylor Coleridge.—Wzmianka o Edgarze Allan Poe.—Tennyson Alfred *(Idylle królewskie)*.—John Keats.—George Gordon Noel Bajron.

Dwa żywioły składały się na rzucenie podstaw romantyzmu angielskiego: przeszłość średniowieczna i poetyczne studya nad naturą. Pierwszy żywioł czysto historyczny, i z powodu właśnie historyczności swojéj nieco chwiejny, wystarcza jednak na pewne ugrupowanie postaci pierwszorzędowych. Za rycerstwem, albo za heroizmem: oto dylemmat, na mocy którego możnaby, przynajmniéj w dziedzinie poematu i oceny, jak powiada Mickiewicz „na strasznym sądzie" téj lub owéj znakomitości miejsce przeznaczyć. Nierównie podstawniejszą, niezawodniejszą jest zasada oparta na podstawie ducha autora w obec natury. Tu bowiem, z końcem zeszłego lub początkiem obecnego stulecia wchodzi nowy porządek wyobrażeń, otwiera się nowy zmysł na zjawiska świata: będzie to w prawdzie znamieniem nie tylko angielskiego ale przedewszystkiém: angielskiego romantyzmu.

Nad usprawiedliwieniem takiego poglądu rozszerzać się nie będziemy; jak zaś rozumiemy to nowożytne stanowisko, czytelnik zauważyć już mógł w pierwszém sprawozdaniu naszém. Wszelkie inne znamiona, niezaprzeczenie istniejące w utworach téj grupy, jakoto np. sposób prowadzenia uczuć, pojmowania psychicznéj istoty ludzkiéj, sąd nad krokami dziejów i ludzi, jakkolwiek ważne, uważać się jednak dadzą, jako tylko gatunkowe znamiona poprzednich.

Ani Malthew Arnold ze swoim *Micerynem*, ani W. Morris *z Życiem i śmiercią Jazona*, lub *Rajem Ziemskim*, ani nawet—śmiało powiemy: Sydney ze swoim *Balderem*, wejść tu nie może. Na te utwory czeka nie Walhalla, lecz królestwo Olimpu, jeżeli potomność wyrzec nad niemi raczy słówko nieśmiertelności.

Zapoznawszy czytelnika z faktami literacko-dziejowemi, które podług nas zdały się być przygotowaniem gruntu do poezyi romanty-

*) Dalszy ciąg—patrz zeszyty za m. listopad i grudzień 1878 r.

cznéj w Anglii, podaliśmy w obszernem sprawozdaniu obraz utworów Shelley'a, zastrzegając sobie prawo postawienia, na drugim froncie epoki, drugiéj, równoważnéj, ale odmiennéj postaci Bajrona, szczególniéj w mniéj u nas znanych jego utworach.

Jako dwie współ-potęgi, każda na własnym promieniu, ze wspólném wprawdzie ogniskiem, lecz domyślném gdzieś poza niemi, w nieujętym jakimś punkcie przyszłych przeznaczeń poezyi, dwaj mistrze ci, mogli stać obok siebie, bez zawiści; owszem, jak było rzeczywiście, z braterskiém oko w oko, bezwiednie może dopełniając siebie nawzajem. Bajron był mocarzem myśli, poetą rozumu i namiętności; Sheley znowu był wieszczem uczucia—„sercem serc."

Pośrednie ogniwa, a było ich wiele, mniéj lub więcéj, stały pod promienieniem jednego lub drugiego. Dodamy jeszcze ten fakt, że tak Bajron jak i Shelley przesięgli ponad pierwotną charakterystykę romantyzmu ze względu na faktyczną jego treść (rycerstwo), wyeliminowali, powiedzieć możem, historyczny żywioł jego istoty, a natomiast ujęli w ręce, jego ducha: nowożytność.

W szeregu téż owych pośrednich pomiędzy nimi ogniw spotkamy się z poetami takiéjże, pośredniéj natury. Jedni treścią, drudzy metodą, należeć będą do chorągwi ogólnéj.

Jeżeli w sprawozdaniu o nich, wypadnie nam niekiedy odezwać się z imieniem, już kiedykolwiek przez nas wspomnianém, tedy postaramy się przynajmniéj o to, aby powtarzając osoby, niepowtarzać wspomnianych już ich utworów.

Poczet poetów, zachodzących w sferę romantyzmu, szczególniéj ze względu na metodę artystyczną rozpoczniemy pobieżną wzmianką o nader pociągającym, energicznym talencie, niestety już zamilkłym od pół roku. Był to Ryszard Henry Dana, o piętnaście tylko lat późniejszy od Coleridge'a, ale wcześniejszy od Bajrona, Shelley'a Keats'a. Umysł to niesłychanie czynny, założyciel albo współ-uczesnik pism peryodycznych, poeta i nowelista, który wprowadził do powieści silny, może nazbyt silny czynnik okropności i zgrozy, podjęty następnie przez Edgara Poe, autor mnóstwa studyów i broszur: zgoła umysł wszechczynny, na stopę amerykańską. Urodził się w Massachusetchs w r. 1787, zmarł w lutym bieżącego roku, mając lat 91, a więc podobno najstarszy z angielskich poetów współczesnych. On to pierwszy wprowadził do nowego świata protoromantyków Matki ojczyzny. Jego poemat *Korsarz* (The Buccanier) jest utworem na nowoczesną stopę romantycznym, ze sprężyną cudowności.

W spokojnych odmierzonych rysach maluje tu poeta wysepkę, ciągnącą się wzdłuż pobrzeża. „Fale morskie z szumem rozbijają się o widły nadbrzeżnéj skały; w chwilach ciszy morskiéj, kiedy ukołysana nią fala cofa się na głębię, jakby drzemką rozmarzona, wtedy czarny ptak, z czerwonemi pręgi zasiada nad skrajem wodnéj otchłani. Jakiż to urok rozsłania się w przestworzu.

Jakiżto spokój! ugłaskaną zgrają,
Przed chwilą wzdęte fale odbiegają.
Tam gdzie po smugu zielonym ostrowiu,
Rzeźwy strumyczek szumi wskróś sitowiu.
Pod baldachimem drzewin, marzytelne,
Zacisze dzwony wzruszają kościelne.
Na granitowe pogranicza wody
Pnąc się ochocze odzywają trzody.

„Niegdyś, a dawno już dni owe minęły, inne odzywały się dźwięki na ryfie pomorza. Niebyło tam ani jęku dzwonów, ani nawoływań stada; lecz przeraźliwy szum zbójeckiego okrętu i gwar dzikiego tryumfu, na brzegu gęstym pokotem walały się trupy tych, których haniebnie zamordowano."

Następuje jaskrawy obraz życia i przygód korsarza Lee. Zbójca ten podczas morderczéj wojny domowéj, pustoszącéj Hiszpanią, w ciągu swoich krwawych wycieczek, nawiedził jéj wybrzeże. Piękna, bogata hiszpanka, któréj oblubieniec legł na polu bitwy bratobójczéj, zrospaczona po téj stracie, zamyślała opuścić ojczyznę i popłynąć do Nowego Lądu ze wszystkiemi skarbami: nawet ulubiony jéj rumak nie zostaje zapomnianym. Poznawszy się wypadkiem z Leem, który pochlebnym układem i mową umiał wzbudzić jéj zaufanie, dziewica przyjmuje jego opiekę nad sobą i puszcza się w drogę z orszakiem służby. Skoro okręt wpłynął na pełne morze, wiarołomny opiekun uknuwa zamiar zamordowania dziewicy wraz z jéj służbą. Złowrogie dla dziewicy losy zsyłają Leemu sprzymierzeńca; zrywa się burza morska, straszliwe, ulubione przez poetów tło zbrodniczych sytuacyi, okręt z szalonym pędem rzuca się po piętrach bałwanów. Już orszak dziewicy uległ pod sztyletem, nieszczęśliwa oblubienica umarłego bohatéra z pogromu wybiega na pokład okrętowy i nie widząc innéj drogi ocalenia, rzuca się w morze. Tylko czeluść otchłani rozwarła się na mgnienie oka i zawarła się znowu i po dawnemu głucho szumią bałwany. Lee więc zwyciężył. Ale w serce jego nagle wpija się polip—sumienie. Obłąkanego okiem ogląda się on ku miejscu świeżéj, podwodnéj mogiły. Niewidomy a widomy obraz topielicy ściga jego wyobraźnią nieodstępnie. „Zaledwie słyszałem, mówił zbójca, zaledwie słyszałem plusk fal zamykających się nad nią, a oto teraz słyszę jéj głos zpod przepaści: ona mnie woła." I w rozpaczy wśród katuszy sumienia Lee wszystkie skarby, wszystkie sprzęty, przypominające mu zbrodnią, nawet ulubionego rumaka swojéj ofiary wyrzuca w morze. Nierychło jednak zatonął rumak, długo trzyma się on na grzbiecie bałwanów: piekielnym błyskiem świecą jego oczy i wreszcie z przeraźliwém rżeniem zapada się do odmętu." Taki jest koniec dramatu w rzeczywistości; teraz następuje działanie sprężyn nadrzeczywistych, machiny romantycznéj:

„Lee z orszakiem korsarskim przypływa do wyspy, którą poeta opisał był na wstępie. Tam rozpoczyna się na nowo życie jego dawne,

życie rozkoszy, zgiełku, rozpusty. Ale zgiełk orgii nie zdoła zagłuszyć jęku, wykradającego się z dalekiéj kędyś przepaści morskiéj, ani zamącić obrazu widma z jéj głębi wystawającego. O każdéj północy jakiś gwałt czaru, niby ślépie bazyliszka, pociąga go na wybrzeża. Tam o północy oblany falami ognia, wynurza się z przepaści rumak widmo. Kiedy Lee poraz trzeci wybiegł na wybrzeże, to oprzéć już się nie może téj szalonéj żądzy, aby dosiąść rumaka. Dosiada—i rumak unosi go po falowym gościńcu na bezmierze oceanu. Mrok do okoła, szumią bałwany: któż ocali zbrodniarza? „Mężu przeklęty, niech Bóg, ojciec miłosierdzia nad tobą zażyje!"

Zakończenie poematu jest wspaniałe.

Ryszard Dana szczególniéj zamiłowanym jest w opisach natury. Jak powieści tak i malowidła jego otchnione są jakowąś tęsknotą; ale łagodną, przeczenie nie zdążyło jeszcze zapuścić iskry w tę stuletnią duszę. Dan urodził się jeszcze przed nastaniem podobnéj atmosfery, a zresztą był Amerykaninem. Nie jeden z jego utworów tak lirycznych jak i opowiadających, a przedewszystkiém *Korsarz*, zasługują na to, aby je przełożyć.

Za Ryszardem Dana występuje, jako już krańcowy stronnik romantyzmu: Edgar Allan Poe, którego utwory po raz pierwszy ukazały się w r. 1853 a następnie 1856 p. t. *Dzieła poetyczne E. A. Poe*, Amerykanina. Poe wyszedł na świat piśmienniczy pod egidą R. Dana, a nawet w r. 1857 utwory poetyczne obydwu wydanemi zostały w jednym ogólnym tomie. Mistycyzmu i wyidealizowania daléj już posunąć nie można nad ten stopień natężenia, jaki widzimy u Poéa. Posępny, jak Bajron, jak samo pasmo życia na które po części sam nagromadzał chmury, ale posępność tę łagodzący uśmiechem miłości Shelley'a, Poe odczuł na sobie najgłębiéj dotknięcie owego prądu, który w Anglii i na stałym lądzie odwrócił w swoim czasie poezyą na nowe kierunki. Życie jego przypadło na owe czasy, kiedy romantyzm angielski był już faktem sformowanym (ur. 1811, † 1849). Główne dźwignie przewrotu, tak w Niemczech jak i Anglii już zeszły ze sceny, ale ciągłość kierunku trwała objektywnie, ułożywszy się poniekąd do temperatury ogólnéj. Poe jednak nie zrobił najmniejszego ustępstwa. Od utworów pierwszéj jego młodości (Al Aarafa, Tamerlan), aż do ostatniego wiersza lirycznego, wszystkie trzymają jeden i ten sam ton elegijny. Najpiękniejszym bez wątpienia jest tajemniczy jego *Kruk*, widocznie napisany pod wpływem pieśni pod takąż nazwą, utworzonéj przez Dana. Drugie miejsce przeznaczylibyśmy jego *Lenorze*, gdyby nie nadzwyczajne jéj podobieństwo do znanéj ballady niemieckiéj; czem podbija Poe słuchacza, to nie podobną prawie do oddania harmonią rymu i rytmu. W wierszu p. t. *Śpiąca* (*the Sleeper*) poeta złożył wszystkie rysy, figury i ornamenta porządku romantycznego. Jestto łza nad oblubienicą śpiącą, snem wiecznym. Poe przedziwnie poustawiał tu fizyczne obrazy śmiertelności, obok najidealniejszych sprężyn, podtrzymujących dogmat o wiekuistém trwaniu ducha poza śmiercią.

Nic piękniejszego i rzewniejszego jak zespolenie „tego okienka w komnacie dziewicy, otwartego wśród nocy; z mistycznym księżycem letnim, który ze swojéj złotéj czary wydycha kroplą po kropli senne, niemo-melodyjne światełka na padół wszechświata. O! jasna dziewico, mówi nasz żałośnik, nie lękasz się więc już duchów ponocnych i cieni widmowych?... Śpi moja ukochana, o! bodajby jéj sen, jak jest wieczny, tak był głębokim."

Mniéj powiodła się poecie, próbka dramatyczna: *Scena z poliszyana*. Prawda, że jestto utwór pierwszéj młodości.

Wzmiankę naszą o E. Poe zamykany podaniem dwu jego obrazów lirycznych, zupełnie różnych od siebie nastrojem.

Robak - Zwycięzca.

„Patrz, oto noc godowa w pośrodku lat samotnych! Uskrzydlone aniołów zastępy, udrapowane w osłony, tonąc we łzach, zasiadły widownią i przyglądają się wśród teatru dramatowi walk nadziei i trwogi, a tu w chwilach paroksyzmu orkiestra jękami zagrywa muzykę sfer. W postaci bogów, tam na wysokości, szemrzą i gwarzą mimicy, przefruwając tu i owdzie—jasełka te marne! bezkształtowe, co chwila przetwarzają scenę, z pod gryfich piór swoich wytrząsając niewidzialne cierpienia. Dramat chaosu! o wierzaj, że on zapomnianym nie będzie; nie będzie zapomnianym wraz z widmem swojém odpędzoném na zawsze przez tłuszczę, która go ująć nie może...

Ale spójrz na ten mimiczny gościniec: pełznący jakiś kształcik się wcisnął, krwawo-czerwony, i pełza z pod samotności. Pełza, pełza, a scena mimiczna z mąk śmiertelników pokarm dla siebie wysysa, szpony robacze krwią się ubroczyły, nad którą płaczą aniołowie.

Precz światła! usunięto światła i wszystko usunięto; na każdy z drgających kształtów z hukiem grzmotów opada zasłona, całun pogrzebowy.

Pobladli aniołowie, powstają z miejsc swoich; osunęli z siebie opony i rzekli: „widowisko to jest tragedyą: Człowiek, a jéj bohaterem: *Robak Zwycięzca*."

Eldorado.

Świetnie przystrojony, powabny rycerz już był długo podróżował, przyśpiewując sobie piosenkę, w wędrówce na odszukanie Eldorado.

Ot! i zestarzał się dumny rycerz, a cień padł na jego serce ze smutku, że znaleźć nie może na ziemi miejsca podobnego na kraj Eldorado.

I kiedy go wreszcie już siły opuszczają, spotyka cień pielgrzymi.

— Cieniu, zawołał, kędy być może kraj Eldorado?

— Idź na góry księżyca, cień mu odrzeknie; idź na dolinę mroku, jeśli szukasz Eldorado."

Prawdziwym mężem przejścia, jest Samuel Taylor Coleridge (1772—1834), na nimto bowiem rozpoczął się ów ferment, do które-

go, jak mówiliśmy już niegdyś, (w części I) Biskup Percy podał był pierwiastek historyczny, a Thomson nowe tory poglądu na naturę.

Literacki charakter Coleridge'a, mówi Thomas Shaw, podobnym jest do jakiegoś obszernego, ale niedobudowanego pałacu; wszystko tam jest gigantyczne, piękne i bogate, ale nic nie jest tam spójném, nic jednolitém. Prawda—przestawiamy jednak porządek epitetów: nie ma tam spójni, jednolitości, dokończenia,—ale jest piękność, bogactwo i ramy gigantyczne. Coleridge przytém nie tylko był poetą-ale i etykiem, psychologiem, estetykiem, dysputatorem. Mniéj szczęśliwy na polu dramatyczném, Coleridge był myślicielem wielkiego rozgłosu i wpływu w dziedzinie teoryi scenicznéj.

Jeżeli Anglia niezasypiała nigdy w hołdzie swym ku Szekspirowi, tedy Coleridge pierwszy uprawidłował ten kult i osadził go na podstawach filozoficznych. Co się tyczy jego poezyi powieściowych *Christabel*, *Stary żeglarz*, *Kubla Kan* i lirycznych: *Liście sybilińskie Przeznaczenia narodów*, *Trwoga w samotności*, *Oda do Francyi*, *Sonety*, *Hymny*, stoją one bezwarunkowo na wysokości pierwszorzędnych. Pomimo żywo jeszcze bijącego w nich tętna „starych dobrych czasów" po lekkiém otrząśnięciu rdzy wyglądają zupełnie na obrazy dzisiejszego ducha, choć krojem odmienne, tak samo jak pieśni i poemata Woronicza, z którym ma równe zasługi w poetyczném wyrobieniu języka. Wprawdzie w tym ostatnim względzie polegać nam przychodzi na zdaniu krytyków angielskich; ale to, co nazywamy pierwszém wcieleniem myśli, pierwsza poetyczna tkanka osłaniająca ideał, to jest przystępnem i dla nas. W przekonaniach swoich, jako myśliciel i poeta, Coleridge ulegał pewnym fluktuacyom, rozpocząwszy ten podwójny zawód od gorączkowego nastroju, zmienił się następnie, ale nigdy do tego stopnia niezasłużył na docinki Bajrona, jak Sonthey lu b Wordsworth, którego wiersze przytaczając, Bajron wołał w niebogłosy „to jego! na Boga, czytelniku, nie posądzaj mię, aby to moje były wiersze."

Dla nas, utwory Coleridge'a, a szczególniéj jego pieśni, mają ten narodowo-osobisty urok, że tchną gorącą życzliwością ku naszemu społeczeństwu. Żałujemy, że czas niepozwala nam usprawiedliwić tego zdania faktami obszerniejszemi.

Coleridge, Keats i Bajron są to trzy najdroższe pod tym względem imiona.

Z obszerniejszych utworów powieściowych Coleridge'a wspomnieć wypada o poemacie p. n.: *Wiersz o starym żeglarzu* (the Rime of the ancient Mariner). Jakkolwiek nie ten utwór powinien był zjednać rozgłos dojrzewającemu talentowi wieszcza (a przecież tak się stało), jednakże jako w szczególny sposób charakteryzująca mistycznego ducha szkoły, powieść o żeglarzu pominiętą być nie może. Coleridge Southey, a jak poprzednio widzieliśmy, i Shelley prześcigają się na uidealizowanie widnokręgu, i roznoszą po świecie piśmiennictwa,

ów zwrot, który kiedyś doprowadzić miał do odwetu, w szkole naturalizmu.

„Stary żeglarz po tysiącznych przygodach podróży swojéj, spotyka trzech młodzieńców zaproszonych na ucztę weselną i jednego z nich zatrzymuje. Urok jaki oczy starca wywierają na godownika, tak był czarodziejski, że zmusił go do zapomnienia o zaprosinach. Starzec opowiada swoję żeglugę, któréj szczegóły widocznie graniczą z cudownością. Opowiadanie zachwyca młodzieńca, więzi jego wyobraźnią, przykuwa niemal do głazu na którym usiadł dla słuchania powieści, chociaż drzwi narzeczonéj już stoją otworem i muzyka weselna słyszeć się daje. Drużba bije się w pierwsi z niecierpliwości, a przecież od słuchania oderwać się nie może. Starzec opisuje burzę, która zapędziła jego okręt ku biegunowi południowemu, w krainę śniegu i dźwięków straszliwych.

„Wśród bezludnego przestworza panowała tam martwość. Wreszcie przez mgłę nadlatuje albatros, ptak szczęśliwéj wróżby, siada na sterze, a potém wciąż nadlatując, prowadzi okręt w kierunku powrotnym, ku północy.

— „Stary żeglarzu—zapytuje drużba zdziwiony nagłém sposępnięciem powieściarza—dlaczego tak dziko spozierasz?" „Ach!—odpowié starzec—ja swoją kuszą zastrzeliłem albatrosa!" W odwecie za zbrodnią następują tysiączne klęski, w których obraz poeta wplótł cały przyrząd romantyczny o duchach, o widmach morskich, ukazanie się kobiety, widma i jej towarzysza, zgonu, grających z sobą w kości. Tymczasem brak wśród żeglugi wody słodkiéj dręczy a następnie zabija całą osadę wyjąwszy opowiadacza, który zostaje zaczarowanym: ale, duchy polarne, demony i niewidzialni mieszkańcy żywiołów ulitowały się nad nimi za cenę ciężkiéj pokuty i t. d.

Powieść ta, jak widzimy na wskroś fantastyczna, świeci mnóstwem piękności tak obrazowych jak i uczuciowych, które wprawdzie nie dosięgają tonu Shelley'a lub Bajrona, jednak mile, spokojnie wpadają w duszę czytelnika. Tak np. opisując pustkowie lasu nadmorskiego z którego wyszedł ku niemu pustelnik i tajemniczą siłą przyciągnął okręt, poeta mówi do słuchacza:

— „O! ślubny gościu, była to dusza samotna na rozległym przestworze oceanu; ale tak samotna, że zdawało się iż tam zaledwie sam Bóg tam być może [1])."

Jeżeli uwzględnimy tę okoliczność, że Coleridge o 27 lat życia wyprzedził Bajrona, a o 20 Shelleja, że w czasie opowiadań starego żeglarza (r. 1791) obaj przyszli koryfeusze romantyzmu byli dziećmi jeszcze, niepodobna nie przyznać Coleridge'owi, że był dla nich prawdziwym „szczeblem do grodu sławy."

Ale pełném morzem, na którém Coleridge jaśnieje bezwarunkowo, tak pod względem myśli jak i formy, jest poezya liryczna. Tu

[1]) Pięknie, acz w zmienionym kroju przełożył *Żeglarza* L. Syrokomla.

przedewszystkiem widzimy w nim owego przywódcę chóru, który inaugurował idealizm pieśni angielskiéj i wypowiedział służbę ciężko-klasycznym ruchom Popego i szkoły. Jeszcze tu wprawdzie niéma koronkowych subtelności utworcy *Rokoszu Islamu*, nie ma demonicznych sprężyn *Don Juana*, albo anielskich, tęczowych rysów *Keats'a*, ale czujemy tu poważne kroczenie wielkiego poprzedziciela. Godnemi są uwagi wyrazy Burneta, które Coleridge wziął za godło do „powieści marynarza:

„Widzę, i głęboko, że więcéj jest natur niewidzialnych aniżeli widzialnych we wszechświecie rzeczy, ale któż nam ich wszystkich rodzinę wypowiedział? kto wypowie szczczegółowe ich stopnie, pokrewieństwa, różnice i łaski i dary? Co one działają? w jakich miejscach zamieszkują?

O dosięgnięcie tych tajemnic zawsze się kusił umysł ludzki, ale nigdy ich nie dosiągł. Tymczasem, miło jest (nie wypieram się tego nigdy), w duszy swojéj, jakoby w malowidle, rozważać obraz większego i lepszego świata; a to dlatego, aby umysł wzwyczajony w drobiazgi żywota codziennego, nie kurczył się zbytecznie, i nie osiadł cały w nędznych pomysłach. Jednakże czuwać należy nad prawdą i zachować miarę, abyśmy pewne od niepewnego, dzień od nocy odróżniać mogli."

Oto mamy najściślejsze określenie się samego poety: uznaje on tylko główne działy skali dyalektyki poetyckiéj; poważnie przebiega on gammę *dyatoniczną*, pół-tonów i dyssonansów jeszcze nie uznaje; po nad przepaścią zwątpienia negacyi przechodzi on z wiarą, w świętym kwietyzmie słowa Bożego, z którém nie rozstaje się ani na chwilę. Najobszerniejszy z jego utworów lirycznych: *Przeznaczenie narodów*, *Widzenie* (The destiny of nations a Vision)" zaczyna się od gorącéj odezwy: „Hołd wróżebny! milczenie wszelkim pieśniom, pierwéj niż głębokim przedśpiewem ozwie się struna, do Wielkiego Ojca, jedynie prawowitego Króla, Wiekuistego Rodzica, woli bezwzględnéj, Boga, owéj wszechjedni, owego *„Jam jest"* i t. d.

W pieśniach swoich Coleridge jest prawdziwie mężem przejścia od Biblii do owéj doby jutrzennéj, którą tak cudownie wypowiedział w mowie filozoficznéj nasz Libelt.

Pod względem pojęć społecznych w Coleridge'u, również jak i w Wordsworthie (założycielu szkoły Jezior), odróżnić należy dwa okresy. Zagorzały wielbiciel ówczesnych wyobrażeń francuzkich, marzący o założeniu Rzeczypospolitéj w północno-amerykańskiéj Susquehanna, wyznawca tak zwanéj pantizokracyi, nasz poeta w późniejszym wieku, pojednał się z myślą o kościele anglikańskim i monarchią konstytucyjną.

Stosunki Francyi do reszty stałego lądu i Anglii, a przedewszystkiém „mąż ciążący nad wiekiem," wywołały z jego duszy cały szereg natchnień lirycznych téj saméj barwy, choć nie tak jaskrawych, jak ody i tysiączne apostrofy Bajrona. I w tym względzie powiedzieć można, iż duch jego przełamywał się współcześnie z przełamaniem społeczeń-

stwa francuzkiego. I tak: w dziale jego utworów lirycznych pod ogólną nazwą: *Liście sybillińskie* (*Sibylline Leaves*), mamy obszerne pienie p. t.: *Trwoga w samotności* (*Fears in solitude*), pisane w kwietniu 1798 r., podczas *alarmu* najścia nieprzyjaciół, nad które nic rzewniejszego, patryotyczniejszego pomyśleć nie można:

„Ach! mówi poeta, oszczędź nas jeszcze na chwilę, Ojcze i Boże! oszczędź nas jeszcze na chwilę; niech niewiasta angielska nie ucieka, mdlejąc pod brzemieniem niemowlątek swoich—tych słodkich dzieteczek, coto wczoraj jeszcze uśmiechały się u jéj piersi. O! Brytowie, o! bracia moi, gorzką wyrzekłem prawdę, ale bez goryczy [1])."

Szczególniéj przemawiającemi są jego sonety: w jednym z nich do autora *Zbójców* upojenie liryczne dochodzi do szczytu natężenia. „O! Szyllerze, mówi wieszcz, umrzećbym chciał w owéj chwili, kiedy o strasznéj północy, z mroku wieży odwiecznéj, wybiegł głos przerażający... głos zgłodniałego ojca. Umrzećbym chciał, aby kiedykolwiek w chwilach przyszłości nie spadła na mnie jaka myśl drobniejsza, pozioma i nie napiętnowała mię śmiertelnością. O! bardzie straszliwego majestatu! o! gdybym cię widział w tym górnym nastroju, z okiem nawpół obłędném, kroczącego po głębi lasu wśród wycia nawałnicy!"

Niegodzi się nam, mówiąc o lirycznych utworach Coleridge'a, ominąć serdecznéj piosenki *Do kwiatka w 1 dniu lutego* (1796 r.), przypominającéj pierwiosnek Mickiewicza: „słodziuchny kwiateczku! co się wylągłeś na brunatnym korzonku, drżący z trwogi!—bo dziwném zrządzeniem ten ponury śnieżno-szaty miesiąc mroku i szczękania zębów, pożyczył sobie głosu zefirów, a rozkoszném okiem błękitu spojrzał na ciebie. Biédny kwiateczku! niestety! są to tylko pochlebcze umizgi wiarołomnego roku. Może oto, wyrwawszy się z tajników jaskini polarnéj, w téj chwili jest w drodze zawieja północno-wschodnia. Kwiateczku na śmierć przeznaczony! z kimże mam cię porównać? czy z powabną dziewicą nazbyt szybko dorosłą, któréj wdzięki przedwczesne toczy robak zniszczenia? czy z bardem Brystolu [2]) dziecięciem cudu! z amarantem, do którego zaledwie ziemia przyznawać się zdała, aż przyszło odczarowanie i jednym zamachem wbiło go w ziemię? czy wśród gniewnéj żałości mam cię porównać z nadziejami narodu... tego jasnego kwiatka nadziei, zabitego w chwilach saméj rozsłony pączka? Żegnaj mi luby kwiateczku!"

Podobny duch wieje z niejednéj pieśni Coleridge'a, jak czytelnik przeświadczy się np., z następującego wiersza (oznaczonego liczbą VII, bez napisu) [3]) o zgonie jednego z naszych bohatérów:

Słyszysz krzyki do nieba o krew wołające?
Słyszysz, jak jękiem śmierci jękły dusz tysiące?

---

[1]) Coleridge napisał pierwszy akt dramatu p. t.: *Upadek Robespiera*, Southej zaś dodał 2 i 3.

[2]) Chatterton poeta zmarły w ośmnastym roku życia.

[3]) Pierwotny tytuł sonetów w r. 1797 był *Effussion* (*wynurzenia*).

Niestety! z rąk najemczych błysnął nóż dwusieczny,
Błysnął... i trupem pada hetman wszechwaleczny.
A teraz... to okrzyki zwycięzców; wybuchły,
Wrą do przesiłku—cisza, tylko dźwięk przygłuchły
Pod śniadym zmierzchu płaszczem płynie, po zawici
Bije dzwon pogrzebowy zabitéj nadziei.
A swoboda? wybladła, z rozpaczą w źrenicy,
Pochyla się na mary umarłéj siostrzycy!
Jak ów duch opiekuńczy, co zbierał przed wieki,
Do mistycznéj łzawnicy każdą łzę z powieki;
Bo łza miała gotowe łożysko dla siebie
W każdém licu, co tęskni po ojczystéj glebie.
Patrz... siostra chwyta czarę, wychyliła całą,
Ale w duszy, ach! w duszy jéj co się tam działo!

W zakończeniu poglądów naszych na Coleridge'a, podajemy jeden z jego utworów wysokiéj charakterystyczności; czytelnik znajdzie tu sposobność do porównania naszego poety z Bajronem, który podobną a raczéj pokrewną treść wybrał w swojéj tragedyi *Kaim*.

Tułactwo Kaima.

„Jeszcze daléj, o! mój ojcze, maluczko daléj jeszcze, a wyjdziemy na pełnią światłości miesiąca." Droga ich szła przez las jodłowy; na pobrzeżach lasu drzewa od drzewa stały opodal, przestroną była ścieżka, na ścieżce spoczywał blask księżyca i cień księżyca i zaciszną się zdała owa puszcza do mieszkania; ale wkrótce ścieżka skręciła się w ciasnotę. Niekiedy z wyżyn południa przeglądało tam słońce, zasnute centkami, ale nigdy nie doświeciło do jasności. Teraz pomrok tam ciemny, jak w jaskini.

— Ciemno, mój ojcze!—mówi Enoch—ale drożyna pod stopami naszemi jest miękka i łagodna i wnet wyjdziemy na pełnią światłości miesiąca.

— Prowadź daléj, dziecię moje—mówi Kaim—prowadź mój maluczki!

I maluczkie, niepokalane dziecię ujęło palec téj ręki, która zabiła prawego Abla i prowadzi ojca.

— Gałęzie jodły targają cię, mój synu.

— Tak, ale łagodnie, bo rączo biegnę i chciwie, abym ci przyniósł dzban i ciasto, a jeszcze ciało moje nie ochłodło. Jakie szczęśliwe te wiewiórki, co się karmią na jodłach, skaczą z gałązki na gałązkę, a matka-wiewiórka igra w gnieździe naokoło młodych. Wczoraj, wspiąłem się na drzewo w południe, chciałem poigrać z niemi, ale uskoczyły z gałęzi na gałązki i wkrótce ujrzałem je na innem drzewie. Ojcze mój, czemużby ze mną zabawić się nie chciały? Czyliż nie byłbym dla nich tak dobrym, jak ty jesteś dla mnie? I jęknąłem do nich

tak właśnie, jak ty jęczysz do mnie, gdy podawałeś mi jadło i nakrywałeś mię wieczorem i przysiadłem na twoich kolanach, a oczy twoje spoglądały na mnie!

Przystanął Kaim, a tłumiąc jęki, upadł na ziemię: dziecię Enoch stało przy boku jego w pomroku.

Kaim wzniósł oczy i wykrzyknął z goryczą:

„Oto On, Mocarz, który mię ściga, jest tu po téj stronie i po. tamtéj stronie; jest wokół mnie całego, właśnie jako fala powietrza O! bogdajbym już być przestał naostatek. Łaknę umrzéć; tak jest: patrz, oto twory, które nigdy życia nie miały, ani kroczyły po ziemi, drogiemi zdają się oku mojemu. Czemużto człowiek żyć nie może bez oddychania nozdrzyma? Wtedy mieszkałbym w ciemnościach i czarnocie i w próżniach przestrzeni. Tak! dziecię, ułożyłbym się i nie powstał, anibym drgnął członkami memi, ażbym się stał jako skała w legowisku lwa, na któréj lwie pacholątko, śpiąc opiera głowę. Bowiem potok, szumiący woddali, wydaje głosy, a obłoki niebieskie patrzą mi w oczy straszliwie; On, Mocarz, który jest przeciwko mnie, odzywa się w wietrze gaju cedrowego, bo wpośród milczenia usycham."

Wtedy Enoch rzeknął do ojca:

— Powstań, mój ojcze, powstań; bo nieopodal jesteśmy od miejsca, gdziem znalazł dzban i ciasto.

A Kaim odpowiada:

— Zkąd to wiész?

— Spójrz, ojcze, ku owéj nagiéj skale, na kilka kroków odległéj od lasu; w chwili, kiedy podniosłeś głos, słyszałem echo.

Wtedy syn dotknął się ręki ojca, jak gdyby chciał go podnieść; lecz Kaim zwątłały i mdły ukląkł na kolana i oparł się o pień jodły i wyprostowawszy się szedł za synem.

Ciemną była ścieżka i o trzy kroki przed końcem skręciła się nagle; gęste, czarne drzewa sklepiły się pod łukiem; światło miesiąca zdało się na chwilę, jakoby bramą blaskiem olśniewającą.

Enoch wybiegł wprzódy i stanął na otwartém powietrzu, a kiedy ojciec wybrnął z gęstwiny, dziecię struchlało. Bowiem silne członki Kaima były, jakoby ogniem strawione, włosy jego zlepły jako kudły na czole żubra, pod niémi lśniło się dzikie, ponure oko; po obu stronach sute czarne kędziory spadały, niby zlepki ciasta, wygorzałe, zbroczone, iż się zdało, jakoby przygarść gorącéj, żelaznéj ręki wgniotła je przebiegiem i stargała; z obliczów męża przemawiała dziwna, przeraźliwa mowa męczarni, byłych, obecnych i przyjść mających—bez końca.

A wokół przestworza było pustkowie; jak oko zasięgnąć zdoła, było pustkowie; nagie skały czołami patrzyły ku sobie wzajem, zostawiając w pośrodku długie i szerokie smugi białego piasku. Ze skalnych rozpadlin nie wyglądały pory roku. Ani wiosny tam niéma, ani lata, ani jesieni; śnieg zimowy, co pocieszyłby oko, nie pruszył na te rozpalone skały i pozlepiane piaski; ranny skowronek nie ważył się nad pustkowiem, tylko wąż ogromny syknął nieraz pod szponami sępa,

a sęp wrzasnął, skrzydłami wszczepiony w kręgi gadziny. Ostre lub poszarpane szczyty skał przedrzeźniały migami dzieje ludzkie, niemo prorokując o rzeczach, które wówczas jeszcze nie były: o stepach, wieżach i okrętach z nagiemi masztami. Nieopodal od lasu była samotna skała w małym odstępie od głównego szczytu. Strąciło ją może ongi jęknięcie, jakie wydała ziemia, w chwili upadku praojca naszego. Tu Enoch znalazł był dzban i ciasto, tu prowadził ojca. Lecz zanim doszli do skały, ujrzeli tam postać człowieka; odwrócony był do nich grzbietem; zbliżyli się więc dostrzeżeni; a oto słyszą, jak bije się w piersi i krzyczy: „Biada mi, biada mi! już nigdy nie przyjdzie mi umrzéć powtórnie, a wszakże ginę z głodu i pragnienia."

Pobladły oblicza Kaima, jak odbicie błyskawicy, rozścielonéj na ciężko żeglującéj chmurze północy; lecz dziecię Enoch dotknęło się kudłatéj skóry sukni ojca i patrząc mu w oczy, szepcze:

— Ojcze, pierw nim przemówić umiały usta moje, pewny jestem, że ów głos ja słyszałem! Czym nie mówił nieraz, że głos ten słodziuchny ja przypominam sobie. O! mój ojcze, jestto głos ten sam!

I zadrżał Kaim rozpaczliwie.

Wistocie głos to był wdzięczny, słodki, ale nikły, skarżący, jako głos niewolnika nędzą i chorobą złożonego, coto rozpacza, a odezwać się nie może od płaczu.... Czy widzicie... Enoch wymyka się naprzód i obiegłszy ukradkiem trzon skały, staje przed nieznajomym i w oczy mu zaziera.

Zachwiał się cień, uląkł się, odwrócił; Kaim zoczył go i zrozumiał, że to są członki i oblicze brata Abla, którego on zabił.

I stanął nieruchomo, jak mąż ów, co się szarpie i pasuje we śnie, dla niesłychanéj straszliwości sennego widzenia.

Gdy więc stał w milczeniu i pomroce duszy, cień rzuca mu się do nóg, obejmuje kolana jego i woła gorzkim wykrzykiem:

— O! pierworodku Adama, którego porodziła Ewa, matka moja, zaniechaj już udręczenia. Jam pasł trzody moje na zielonych pastwiskach spokojnego porzecza, a ty mię zabiłeś i oto jestem w nędzy.

Kaim zamknął oczy i rękoma je zakrył; i znów otworzył oczy, rozejrzał się dokoła i mówi synowi:

— Co widzisz, Enochu? czy słyszysz głos jaki, mój synu?

— Tak, ojcze, widzę męża w niechludnéj szacie, który wydaje głos pełny wyrzekania.

Tedy Kaim, pochylając się, podniósł cień ów, podobny Ablowi i wyrzekł:

— Stworzyciel ojca naszego, który uczuł był ciebie i twoje ofiary, dlaczegóż przepomniał o tobie!

A cień wykrzyknął ponownie, szarpnął odzież swoję, a obnażona jego skóra była, jako biały piasek pod ich stopami i wykrzyknął poraz trzeci, upadł twarzą na piasek, poczerniały od cieniów skały; Kaim i Enoch usiedli przy nim: dziecię po prawéj stronie, Kaim po lewicy. I wszyscy trzej byli u trzonu skały, wpośrodku cieniów.

Tedy cień podobny Ablowi powstał i przemówił do dziecka:

— Ja wiem, gdzie są wody ochłodne, ale napić się nie mogę; dlaczego zabrałeś mój dzbanek?

Kaim znowu go zapyta:

— Czyż ty nie znalazłeś łaski przed obliczem Boga, Pana twojego?

A cień odpowiada:

— Pan jest Bogiem tylko żyjących: umarli mają innego Boga.

Wówczas dziecię-Enoch podniosło oczy i modliło się, a Kaim potajemnie uradował się w sercu.

— Nędznymi—zawołał cień— po wszystkie dni życia będą ci, którzy ofiarują godne i miłe ofiary Bogu umarłych, ale po śmierci ukojonym będzie ich mozół. Biada mnie, ponieważ umiłowany byłem od Boga żyjących, a ty, bracie, okrutnikiem byłeś, że wydarłeś mię z Jego dziedziny i władztwa.

Wyrzekłszy to, powstał nagle i umknął na piaski, a Kaim mówi do serca swojego:

— Przekleństwo Pana zawisło nademną; ale któżto jest Bóg umarłych?

Biegnął więc za cieniem, ale cień krzyczał, uciekał po piaskach, a piaski, jak białe mgły, zrywały się za stopami Kaima, lecz stopy tego co był podobnym Ablowi nie poruszały piasków za sobą. I daleko ubiegłszy Kaim, zatrzymał się, skręcił i przybył pod skałę, kędy pierwéj siedzieli.

Enoch stał tam jeszcze; dziecko uchwyciło za szatę przebiegającego Abla i upadł na ziemię.

Kaim przystanął, a nie widząc go mówi:

— Poszedł w gąszcz lasu.

Nawrócił więc zwolna ku skałom, a gdy doszedł tam, opowiedział mu Enoch o przejściu cienia, o pochwyceniu go za szatę i upadku na ziemię.

Stanął więc Kaim powtórnie przy nim i mówił:

— Ablu, bracie mój, o! jakżebym pragnął płakać po tobie, ale w głębi mojéj duch uwiądł i spalił się w mękach. Dziś błagam ciebie, na trzody twoje, na pastwiska twoje, na spokojne porzecza, które umiłowałeś, powiedz mi wszystko to, cokolwiek wiedzieć możesz: gdzie jest Bóg umarłych? gdzie ma przybytek swój? jakie ofiary są Mu przyjemne? bo ja ofiarowałem, ale ofiary mojéj nie przyjęto; modliłem się, ale modlitwy mojéj nie wysłuchano; więc mogęż być jeszcze nieszczęśliwszy niż jestem?

Powstał cień i odrzekł:

— Obyś miał był tyle litości nademną, ile ja mieć będę nad tobą. Pójdź za mną, synu Adama i prowadź za sobą dziecię.

I poszli trzej po białych piaskach pomiędzy skałami, milczący jak cienie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z DZIEDZINY PRZYRODOZNAWSTWA.

Nowe doświadczenia J. Lubbocka nad zwyczajami mrówek.—Czy budowanie gniazd jest instynktem u ptaków?—Obecność tlenu w słońcu.—Czy pierwiastki chemiczne są rzeczywiście pierwiastkami.—Źródła i użytki pirytów.—Metalurgia u starożytnych Rzymian.

Na posiedzeniu Towarzystwa imienia Linneusza, sir John Lubbock odczytał dwie rozprawy o mrówkach. Pierwszą z nich, w któréj zdawał sprawę z anatomii tych interesujących istot, pomijamy na tém miejscu, gdyż przedmiotu tego traktować bez rysunków nie można. Druga rozprawa obejmowała dalszy ciąg obserwacyi znakomitego naturalisty angielskiego o zwyczajach mrówek, i o téj właśnie chcemy słów kilka powiedzieć, korzystając z artykułu, zamieszczonego w jedném z pism angielskich.

J. Lubbock odosobniał mrowiska za pomocą wody. Było to dosyć skuteczne, zwłaszcza w lecie, ale woda musiała być ciągle odnawianą.

Wogóle panuje przekonanie, że u mrówek tylko matki niosą jaja; naturalista angielski znalazł, że w większéj liczbie obserwowanych przez niego mrowisk, zdolność tę posiadały mrówki robocze. Zdaje się jednak, że z tych jaj powstają samce. Co się tyczy pszczół, jak wiadomo, matka żywiona jest specyalnym rodzajem pokarmu. Nad mrówkami niemożna robić obserwacyi, podobnych do tych, jakie, będąc dokonane na pszczołach, ustaliły fakt w mowie będący. Sprawdzoném jednak zostało, że całe setki samców i roboczych mrówek wylęgły się w obserwowanych przez niego mrowiskach, ale nie było ani jednéj matki.

Że mrówki utrzymują inne gatunki tychże owadów w swoich mrowiskach, których używają za niewolników, albo téż doją je tak, jak my doimy krowy, i t. d., fakta to zadobrze znane.

Lespes robił doświadczenia nad stosunkami, jakie zachodzą pomiędzy mrówkami oraz ich domownikami, z których możnaby wnosić, że nawet w granicach jednego gatunku pewne pokolenia są więcéj rozwinięte, niż inne. Znalazł on, że niektóre okazy gatunku *Claviger Duvalii*, napotykane zawsze u mrówek, przeniesione od gatunku *Lasius niger* do innego, który nie utrzymuje wcale tych domowników, były zawsze atakowane i pożerane. Z tego wnosi, że zdolność utrzymywania ich nie rozciąga się na cały gatunek, ale na pewne pokolenia i odmiany, które, że tak powiemy, są więcéj cywilizowane, niż reszta reprezentantów tego gatunku. Wszakże sir John Lubbock przenosił okazy *Platyarthrus* z jednego mrowiska do drugiego, i były one

wszędzie przyjmowane przyjaźnie. Nawet udało mu się przenieść pewne okazy z mrowiska *Lasius flavus* do mrowiska *Formica fusca* z tém samém powodzeniem.

Co się tyczy długości żywota mrówek, sir John Lubbock ma obecnie dwie matki, należące do *Formica fusca*, które cieszą się dobrém zdrowiem i pozostają u niego od r. 1874; mają zatém przynajmniéj po 5 lat. Posiada również robocze mrówki: *Lasius niger*, *Formica sanguinea*, *Formica fusca* i *Formica cinerea*, które obserwuje od roku 1875.

W poprzedzających pracach swoich, naturalista ten podał różne przykłady, które zdają się wykazywać, że mrówki nie okazują téj delikatności względem swoich przyjaciół, jak zazwyczaj dotąd przyjmowano. Nie chciał jednak, aby przypuszczano, że on kwestyonuje ogólne zalety swoich faworytek. W saméj rzeczy, mrówki tego samego mrowiska nigdy nie wszczynają z sobą kłótni. Nie dostrzegł tego w żadném z obserwowanych mrowisk. W poprzednich pracach na tém polu, sir J. Lubbock podał różne przykłady nadzwyczajnéj ich czułości. W jedném z mrowisk *Formica fusca* znajdowała się biédna mróweczka, która przyszła na świat bez rożków (*antennae*). Nie spostrzegłszy poprzednio podobnego osobnika, obserwował z wielką ciekawością tę mrówkę, która nigdy nie opuszczała mrowiska. Pewnego dnia ujrzał ją spacerującą w dziwném usposobieniu, widocznie niewiedzącą, gdzie się znajdowała i nieznającą drogi. Po chwili mrówka ta spotkała kilka okazów, należących do *Lasius flavus*, które natychmiast na nią napadły. Sir J. Lubbock bezzwłocznie rozdzielił je, ale była widocznie mocno pokaleczoną i leżała na ziemi osłabiona i prawie bez życia. Po pewnym przeciągu czasu nadeszła inna *Formica fusca* z tego samego mrowiska, obejrzała starannie biédną pacyentkę, podjęła ją delikatnie z ziemi i zaniosła do mrowiska. Trudno byłoby, powiada Lubbock, temu, kto był świadkiem podobnéj sceny, odmówić téj mrówce posiadania uczuć prawdziwie ludzkich.

Z doświadczeń Lubbocka wynika, że mrówki poznają wszystkie swoje towarzyszki z tego samego mrowiska, ale trudno pojąć, w jaki sposób to ma miejsce. Mrowiska różne bywają pod względem wielkości: w niektórych liczba mrówek dochodzi do 100,000 osobników, a czasami bywa ich i więcéj. Otóż zdaje się rzeczą prawie niepodobną do uwierzenia, aby w podobnych przypadkach każda mrówka miała poznawać swoją towarzyszkę z wejrzenia; również nie zdaje się być rzeczą możliwą, aby wszystkie mrówki w każdém mrowisku miały się wyróżniać od mrówek tego samego gatunku z innych mrowisk jakąś szczególną właściwością. Co się tyczy pszczół, utrzymywano, że każdy rój ma swój znak, pewien sygnał, dla odróżniania się od innego roju. Rzecz to jednak niewyjaśniona. Podług zdania naturalisty angielskiego, doświadczenia dokonywane nad poczwarkami mogłyby rzucić pewne światło na ten przedmiot. Jakkolwiek mrówki każdego oddzielnego mrowiska, np. *Formica fusca*, są względem siebie śmiertelnemi

nieprzyjaciołkami, jeżeli jednak przeniesiemy liszki albo poczwarki do innego mrowiska, przyjmują je życzliwie i pielęgnują z taką starannością, jak gdyby rzeczywiście należały do tego samego mrowiska. Jakkolwiek płeć nie stanowi żadnéj obrony w wojnach pomiędzy mrówkami, młode jednak mrówki bywają oszczędzane, zwłaszcza jeżeli należą do tego samego gatunku. Co większa, chociaż zwyczaje i usposobienia mrówek zmieniają się bardzo, jeżeli będą wyjęte ze swego mrowiska i trzymane oddzielnie, albo tylko po kilka razem, wszakże wśród takich okoliczności bardzo pielęgnują one każdą młodą mrówkę, powierzoną ich staraniu. Gdyby odróżnianie czyli rozpoznawanie było przez nie dokonywane za pomocą pewnego sygnału czyli znaku, to w takim razie, ponieważ trudno przypuszczać, aby liszki lub poczwarki były dosyć inteligentne i miały odróżniać te sygnały, a tembardziéj pamiętać, poczwarki, któreby były oddane mrówkom z innego mrowiska, musiałyby miéć sygnał tego ostatniego mrowiska, a nie tego, z którego zostały wzięte. Otóż, gdyby poznawanie dokonywane było przez sygnał albo znak dawany rożkami, wtedy byłyby one życzliwie przyjmowane w mrowisku, z którego wzięte zostały ich żywicielki, ale nie w ich własném.

Dlategoto J. Lubbock wziął pewną liczbę poczwarek z obserwowanych przez niego mrowisk *Formica fusca* i *Lasius niger*, włożył je w szklaneczki, jedne z mrówkami z ich własnego mrowiska, inne z mrówkami tego samego gatunku wprawdzie, ale pochodzącemi z innego mrowiska. Rezultatem tego było, że trzydzieści dwie mrówki, należące do *Formica fusca* i *Lasius niger*, usunięte ze swego mrowiska w stanie poczwarek, będąc następnie w towarzystwie przyjaciół, przywrócone do swego własnego mrowiska, zostały tam życzliwie przyjęte. Jeszcze bardziéj godném uwagi jest to, że z dwudziestu dwu mrówek, należących do *Formica fusca* i usuniętych w stanie poczwarek, a które w towarzystwie mrówek powrócono do własnego mrowiska, dwadzieścia zostało przyjętych przyjaźnie. Pod względem jednéj, J. Lubbock ma pewną wątpliwość; co się zaś tyczy drugiéj, uległa ona skaleczeniu, wychodząc ze stanu poczwarki, i temuto prawdopodobnie przypisać należy jéj nieprzyjazne przyjęcie przez te mrówki. Z dwudziestu dwu mrówek, należących do *Lasius niger* i traktowanych w ten sam sposób, siedmnaście tylko było życzliwie przyjętych, 2 przypadki były wątpliwe, 3 zaś mrówki zostały zaatakowane. Z drugiéj strony 15 mrówek, należących do tego samego gatunku, usuniętych w stanie poczwarek i pielęgnowanych przez mrówki różnego mrowiska, ale należące do tego samego gatunku, będąc następnie włożone do obcego mrowiska, zostały wszystkie zaatakowane przez mieszkańców tego mrowiska.

Rezultaty te można streścić w następujący sposób:

	Poczwarek wychowanych przez przyjaciół i powróconych do swego mrowiska było:	Poczwarek wychow. przez mrówki obce	
		Włożonych do własnego mrowiska.	Włożonych do obcego mrowiska.
Napadniętych . . .	0	7	15
Przyjętych przyjaźnie.	33	37	0

Sir John Lubbock zamierza prowadzić daléj doświadczenia w tym kierunku, ale i rezultaty przywiedzione wyżéj są bardzo ciekawe: zdają się one wykazywać, że mrówki tego samego mrowiska nie rozpoznają się między sobą za pomocą pewnego sygnału. Z drugiéj strony, jeżeli mrówki będą usunięte z mrowiska w stanie poczwarek, wychowywane przez mrówki obce, a następnie powrócone do mrowiska, niektóre przynajmniéj z ich krewnych są zaniepokojone i w wielu razach wątpią o ich prawie do pokrewieństwa. Obce mrówki, wśród tych samych okoliczności, zostały natychmiast zaatakowane; mrówki te, przeciwnie, były w każdym przypadku, niekiedy jednak po zbadaniu, przyjaźnie przyjmowane przez większość całéj kolonii.

Alfred Wallace, w przyczynku do historyi wyboru naturalnego, zamieścił rozprawę o filozofii gniazd ptasich, w któréj, rozbierając powszechnie przyjmowaną opinią, że ptaki budują sobie gniazda przez instynkt, utrzymuje, iż stworzenia te, podobnie jak i ludzie w stanie pierwotnym, zajmują się budownictwem w skutek naśladowania. Zarzuci kto może, powiada Wallace, że ptaki nie uczą się budować gniazd podobnie jak człowiek, gdyż wszystkie ptaki tego samego gatunku budują zawsze ściśle takie samo gniazdo, nawet gdyby go nigdy nie widziały; i właśnie tylko instynkt skłania je do tego. Nie ulega wątpliwości, że byłby to instynkt, gdyby to było prawdą; żądam dowodów tego faktu. Punkt ten, tak ważny dla téj kwestyi, jest zawsze przyjmowany bez dowodu, a nawet pomimo dowodu, gdyż prawie wszystkie fakta temu przeczą. Ptaki, wylęgłe z jaja w klatkach, nie ścielą charakterystycznego gniazda, cechującego ich gatunek, nawet chociażby im były dostarczone właściwe materyały, a często wcale nie ścielą gniazda, gromadząc tylko bezładnie pewną ilość materyałów.

Beniamin Lowne wykonał niedawno z powodzeniem doświadczenie, które, podług Wallace'a, dotąd nigdy się nie udawało, i był niemało zdziwiony otrzymanemi rezultatami, pozostającemi w pewnéj mierze w sprzeczności z wygłoszoną opinią.

Na wiosnę 1878 r., Lowne otrzymał parę gołębi (*columba risoria*) zaledwie w pióra porosłych, które wylęgły się w zwykłym gołębniku, na gnieździe ze słomy, zbudowaném na podłodze. W czasie, kiedy je otrzymał, były tak młode, iż z niezgody, w jakiéj z sobą pozostawały, przyszedł do wniosku, że były jednéj płci. W skutek téj opinii, która w następstwie okazała się mylną, prosił osoby, od któréj otrzy-

mał tę parę gołębi, o darowanie mu jeszcze jednego młodego gołąbka, wylęgłego w ten sam sposób; i trzymał te trzy ptaki w drucianéj klatce do wiosny 1879 r. Klatka była 3 stopy długą, 2 szeroką i miała wysokości 2 stopy. Okazało się w następstwie, że między gołębiami było 2 samice i jeden samiec. W końcu miesiąca lutego 1879 r. każda samica zniosła 2 jaja na wiązce siana, pomieszczonéj w rogu klatki; nie było jednak w nich żadnego pociągu do budowania gniazda, jakkolwiek igrały z sianem, nosząc je w dziobach całemi godzinami. Samice naprzemian z samcem siedziały na jajach i we właściwym czasie wylęgło się troje piskląt. Jakkolwiek wiele ciekawych faktów zostało ujawnionych przy hodowaniu tych młodych ptaków, wszakże zaznaczyć należy, że jeden tylko z nich porósł w pióra, dwa inne zaś zdechły, w skutek zaniedbania ze strony rodziców, jak również i dlatego, że były słabsze i młodsze o kilka dni.

W połowie kwietnia, Lowne wypuścił te ptaki na otwarte powietrze do gołębnika, gdzie była wielka, licznemi odnogami opatrzona gałąź, mogąca służyć za grzędę. Lowne zaopatrzył je w klatkę, podobną do téj, w któréj się wylęgły; w jednym jéj końcu pomieścił garść siana i wylęgłego gołąbka, w drugim zaś końcu pozostawił puste miejsce, w nadziei, że ptaki te będą budować gniazdo z siana lub słomy i dostarczył im potrzebnych do tego materyałów. Młody gołąbek w kilka dni nauczył się latać, powracając na noc do klatki, rodzice i przybrana matka, czyli raczéj mamka (*fostermother*), jak powiada Lowne, żywili go nie budując wcale drugiego gniazda w klatce.

Po upływie tygodnia eksperymentator pomieścił ptaki w zagrodzie, opatrzonéj kilkoma wielkiemi gałęziami, na których gołębie usiadły, trzymając każdy po kawałku patyka w dziobie. Sądząc, że chcą budować gniazdo, Lowne zaopatrzył je w dostateczny zapas patyczków prostych, rozmaitéj długości i grubości, bez bocznych gałązek. Pomiędzy temi patyczkami było kilka posiadających boczne gałązki, które natychmiast gołębie pochwyciły i zaniosły do miejsca wybranego przez nie na gniazdo, ale widocznie, jak powiada Lowne, niémiały żadnego pojęcia o użyciu patyczków. Naprożno starały się przyczépić je do ściany klatki, albo do jéj dachu, a zwłaszcza do tego ostatniego; po pewnym czasie daremnych usiłowań, w ciągu którego trzymały patyczki, odrzucały je napowrót. Sądząc, że chcą zrobić fundamenta gniazda z gałązek, Lowne przyczepił kilka prętów, kładąc je w szpary gałęzi, którą, według jego zdania, gołębie wybrały do budowania przy niéj gniazda, i wplótł kilka gałązek w taki sposób, aby dostarczyć im podstawę na oparcie patyczków. Ponieważ ptaki były bardzo łaskawe, przeto interwencya eksperymentatora nie przestraszyła ich, i jak tylko skończył zamierzoną robotę, samiec nadleciał z wielką radością, a za nim obie samice, niosąc w dziobie po kawałku patyczka. Naprożno usiłując przyczépić patyczki w ciągu przeszło dwu godzin ponad swemi główkami, raz w jedném to znowu w drugiém miejscu, gołębie w końcu zarzuciły całą robotę.

Lowne spostrzegł, że wszystkie patyczki zakrzywione i gałęziste były zebrane z dna klatki i zaniesione na miejsce budowy i że gołębie brały niekiedy pozostałe proste patyczki, trzymały je jakiś czas w dziobach i następnie znowu rzucały. Wtedy przyszła mu myśl, że może *proste* patyczki są nieprzydatne i zebrał pewną liczbę zakrzywionych, z bocznemi gałązkami. Jak tylko to uczynił, ptaki niezwłocznie rozpoczęły znowu robotę i przerwały ją kiedy zabrakło *krzywych* patyczków, które gdy im zostały dostarczone, znowu brały się do pracy i tym sposobem po upływie trzech dni, powstało gniazdo ozdobione bukietami suchych kwiatów i trzciny cukrowéj (*saccharum officinale*), które Lowne rzucił im umyślnie, sądząc, że wyścielą niemi wnętrze gniazda. Nie uczyniły tego jednak, ale użyły ich, jak również pewnéj ilości słomy, do otoczenia boków gniazda, aby je lepiéj ukryć. Każda samica, niedługo potém, zniosła po dwa jaja w nowém gnieździe i zaczęła je wysiadywać naprzemian z samcem.

Z powyższych obserwacyi Lowne wyprowadza następujące wnioski. 1) Gołębie te nie widziały nigdy drzewa, a przynajmniéj nie siedziały na niém, a jednak wybrały do zbudowania gniazda miejsce, dziewięć stóp wzniesione nad powierzchnią ziemi. Nie widziały nigdy gałęzi i nie mogły miéć doświadczenia pod względem używania takich, które były zakrzywione, albo posiadały boczne odnogi, a jednak starannie wybierały takie, a nie inne. 2) Nie miały widocznie pojęcia o tém, jak układać patyczki, kiedy je wybrały, gdyż w stanie natury mają zwyczaj budować gniazdo na gałęziach ponad głowami; ale kiedy położono parę gałązek pod niemi, ukończyły gniazdo, które przypadek rozpoczął. 3) Poszły za zwyczajami gatunku, do którego należały, chociaż te zwyczaje nie były stosowane w praktyce w ciągu wielu pokoleń, a przynajmniéj w ciągu więcéj niż jednego pokolenia. 4) Warunki otaczające były takie, które dałyby im możność wychowania potomstwa w takiego samego rodzaju gnieździe, jak to, w którém same się wylęgły i w którém już wychowały jedno młode pisklę. W końcu ptaki te były bardzo łaskawe, tak, że gdyby nowe warunki mogły zmienić ich naturalne zwyczaje, to byłby to przypadek, w którym moglibyśmy się spodziewać modyfikacyi, gdyż wszystkie okoliczności były na korzyść zmiany zwyczajów naturalnych.

„Nie wiem, powiada Lowne, jak objaśnić fakt, że te ptaki zbudowały gniazdo naturalne. Może się zbyt pośpieszyłem z wnioskiem, ale co do mnie, jestem przekonany, że mamy tu przykład tego co pospolicie nazywa się instynktem. A przekonanie to jest tém ważniejsze, iż przed niespełna rokiem miałem odczyt dla robotników (w Working Men's College), w którym podtrzymywałem pogląd, że zwierzęta działają w podobnych przypadkach w zupełności na podstawie rozumu i doświadczenia...

Zjawisko to ma uderzające podobieństwo do powolnego powrotu pamięci. Nie ulega kwestyi, że dopóki ptaki pozostawały w przestrzeni stosunkowo ograniczonéj, gdzie nie mogły używać swoich skrzydeł, ani

naturalnych gałęzi drzewnych do budowania gniazda, nie zbudowałyby nigdy charakterystycznego gniazda. Zdaniem mojém drzewo działało jako bodziec na ich instynkt, a otoczenie naturalne poruszyło je niejako i rozbudziło drzemiące w nich wrodzone władze... Brak gotowości w pewnych rzeczach, jaki te ptaki okazały z początku, nie może nas wcale dziwić, jeżeli zwrócimy uwagę na liczbę pokoleń, w ciągu któréj prawdopodobnie nie budowały naturalnego gniazda. W saméj rzeczy prawdopodobném jest, że w ciągu 50 lat lub więcéj, jaja były znoszone przez ich praojców na podłodze klatki.

Ważność tych faktów, powiada pod koniec Lowne, nie może być nigdy zbyt wiele cenioną, gdyż mają one związek z teoryą o pojęciach i zdolnościach narodowych. Z poprzedzającego doświadczenia wynika, że ptaki obdarzone są specyalnemi władzami, podobnie jak ludzie rodzą się ze specyalną zdolnością do pewnych czynów umysłowych i fizycznych i że umysł jest obdarzony własnościami specyalnéj natury i przynajmniéj są one wielkiego znaczenia, gdyż są faktami, które nie powinny się zdarzać, według teoryi, z każdym dniem coraz powszechniejszą cieszącéj się wziętością."

* * *

Najważniejszym faktem astronomicznym w ciągu ostatnich kilku miesięcy, było ogłoszenie przez profesora Henryka Drapera szeregu spostrzeżeń, któremi stwierdził otrzymane w r. 1877 rezultaty co do obecności tlenu w słońcu. W téj materyi uczony profesor czytał interesującą rozprawę na posiedzeniu Towarzystwa astronomicznego w Londynie (w połowie czerwca r. b.), ale szczegółów téj kwestyi dotyczących nie możemy tu przytaczać, gdyż te wychodzą poza zakres popularnego artykułu, ile że musimy obszerniéj zastanowić się nad inną kwestyą, która, jakkolwiek z natury swojéj nie nadaje się do popularnego wykładu, z tém wszystkiém jednak, ze względu na swoję nadzwyczajną doniosłość w zasadzie, nie może być zbywaną ogólnikami, a tém bardziéj zupełnie pominiętą.

Obiecaliśmy czytelnikom podać treść badań N. Lockyera, który, wykonawszy cały szereg doświadczeń nad naturą pierwiastków chemicznych, roztrząsał w następstwie dowody, upoważniające w pewnym stopniu do wniosku, że tak zwane pierwiastki chemiczne są rzeczywiście ciałami złożonemi. Jeszcześmy nie dopełnili tego, a oto niektórzy badacze przyrody, a między innymi profesor W. Meyer, [1]) miał się podo-

[1]) W doświadczeniach tych, które prof. Wiktor Meyer w Zürichu prowadził ze swoim assystentem Karolem Meyerem, poddawane były działaniu wysokiéj temperatury, następujące pierwiastki: tlen, azot, siarka, rtęć; ale ciała te nie doznały żadnéj zmiany. Chlor, przeciwnie, przy téj temperaturze miał uledz zmianie, i z dwóch cząsteczek (molekuł) chloru powstało trzy. Nadmienić należy, że Scheele i Bertollet uważali chlor za ciało złożone; gdy jednak wszystkie środki rozłożenia go na części składowe, okazały się bezskuteczne, zgodnie z opinią chemików Gay Lussac'a i Davy'ego zaczęto go uważać za pierwiastek.

bno przekonać doświadczalnie, że chlor i jod nie są rzeczywiście pierwiastkami i pod działaniem wysokiéj temperatury, przechodzącéj +1500°C, rozkładają się na inne elementa.

Fakt rozkładu przez prof. Meyera chloru i jodu może zostać odwołany; taki sam los może spotkać suponowany rozkład innych, dotąd za pierwiastki uważanych ciał. Z tém wszystkiém jednak podniesiona kwestya, z natury saméj zbyt zawiła, zasługuje ze wszech miar na to, abyśmy jéj poświęcili pewną część szczupłych ram, na nasze sprawozdania w *Bibliotece* przeznaczonych, i rozebrali teoretycznie, o ile rozwiązanie postawionéj kwestyi jest możliwe i w jakim mianowicie kierunku.

Traktat, jaki w początku roku bieżącego odczytał Lockyer na posiedzeniu Towarzystwa Królewskiego w Londynie, stawia wiele interesujących zagadnień dla chemika, ale jednocześnie budzi w nim uczucie, graniczące z rozpaczą.—Mamyż—pyta Pattison Muir, w rozprawie swojéj o téj ważnéj kwestyi [1]), a z któréj podajemy niektóre szczegóły,—utrzymać naszę wiarę, że ciała proste, czyli tak zwane pierwiastki chemiczne, są w rzeczywistości tém, czém być powinny zgodnie ze swoją nazwą? Jeżeli w tym razie pozwolimy fizykowi odebrać nam te pierwiastki, to czy będziemy w stanie zabezpieczyć się od jego ataków i w innych razach?

Jakikolwiek będzie tego rezultat, rozważmy dobrze fakta, i postarajmy się, idąc za autorem, dojść do prawdziwego wniosku pod względem natury tak zwanych ciał prostych.

Wiadomo, że pierwiastki mogą być uszykowane w pewne familie, czyli grupy, pomiędzy członkami których można zauważyć liczne pokrewieństwa. Częstokroć zdarza się, że liczby, wyrażające względne ilości różnych pierwiastków, będących członkami téj saméj grupy, a które łączą się z sobą w związki chemiczne, wykazują niekiedy pewne pokrewieństwo pomiędzy sobą. Tak np. w familii haloidów czyli tak zwanych halogenów, waga związkowa bromu wyraża się liczbą, która jest prawie ściśle średnią między wagami związkowemi chloru i jodu. Rozumując o tego rodzaju faktach, Prout postawił przed wielą laty hypotezę, że wszystkie pierwiastki są związkami jednego rodzaju materyi, czyli innemi słowy, że bardzo małe cząstki każdego pierwiastku składają się ze zmiennych ilości jednéj i téj saméj pierwotnéj formy materyi, którą, według przypuszczenia Prout'a, ma być wodór. Hypoteza ta, rzecz jasna, wymagała, aby wagi bardzo małych indywidualnych cząstek każdego pierwiastku, czyli elementu były wielokrotnością wagi bardzo małych indywidualnych cząstek wodoru, t. j. aby były proporcyonalne do wagi wodoru przyjętéj za jedność. Ale ścisłe badania między innemi, i to głównie te,

[1]) *The Evolution of the Elements.* By M. M. Pattison Muir, M. A. London, 1879.

które prowadził Stas, wykazały, iż rzecz ta ma się inaczéj. Ten ostatni otrzymał liczby ułamkowe, wyrażające wagi tych pierwiastków, które badał. Godném jest jednak zaznaczenia, ciągnie daléj Muir, że najświeższe poszukiwania Dumas'a wykazały, iż Stas nie zwrócił uwagi na źródło błędu w swoich pod innym względem nadzwyczaj pracowitych i starannych doświadczeniach, i że liczba, która jest całkowitą i wielokrotną względem wagi wchodzącego w związek wodoru, otrzymaną została przez Dumasa jako waga jednego z tych wchodzących do związku pierwiastków, dla których Stas wyznaczył liczby ułomkowe. Można skreślić analogie pomiędzy własnościami grup pierwiastków, a własnościami substancyi, które są z pewnością związkami dwóch oddzielnych pierwiastków w zmiennych proporcyach. Daléj wiadomo, że jeden i ten sam pierwiastek może istnieć pod formą zmian, które odróżniamy techniczną nazwą allotropowych, t. j. że pewna substancya, któréj nie jesteśmy w stanie rozłożyć na prostsze formy materyi, może pomimo to wykazywać, przy pewnych zmiennych warunkach, rozmaite własności fizyczne, a do pewnego stopnia i chemiczne, jak np. fosfor i siarka, i stan taki nazywamy allotropizmem.

Tego rodzaju analogie, zdaniem autora rozprawy, którą posiłkujemy się w niniejszém sprawozdaniu, popierają do pewnego stopnia teoryą, że tak zwane ciała proste czyli elementa są w rzeczywistości ciałami złożonemi [1]). Ale tego rodzaju analogie, powiada autor, są niepewne i nieokreślone, jak utrzymują niektórzy. Cokolwiekbądź, *faktem* jest, że *możemy* rozłożyć te ciała, które nazywamy związkami, i że *nie możemy* rozłożyć tych ciał, które nazywamy pierwiastkami—Nikomu, powiadają z tryumfem prawowierni chemicy; nikomu dotąd nie udało się rozłożyć pierwiastek.—Czy jesteście tego pewni?—pyta autor rozprawy. Gdybyśmy kiedy mieli rozłożyć metal sod, nie jest wcale rzeczą pewną, czy moglibyśmy sprawdzić produkta tego rozkładu. Zwykłe warunki temperatury i ciśnienia byłyby zupełnie zmienione, gdyby nam się udało rozłożyć sod, a przy tych zmienionych warunkach napotkalibyśmy nie małą trudność, usiłując zaznaczyć fakt rozkładu. Moglibyśmy rozłożyć pierwiastki, a mimo to nie odkryć własnego naszego powodzenia, gdyż, jak słusznie powiada Muir, nowe zagadnienia wymagają nowych metod do swego rozwiązania, i każdy, przystępujący do tego zadania przy pomocy sposobów, jakiemi posiłkujemy się zazwyczaj w laboratoryach, doznałby z pewnością zawodu na tém polu.

[1]) „Such analogies — powiada—give a certain degree of plausibility to the theory that the so-called elements are really non-elementary bodies. But such analogies, it may be urged, are shadowy and vague at the best. Twist it how you may, the *fact* remains that we *can* decompose those bodies which we call compounds and that we cannot decompose those bodies which we call elements."

Znakomity badacz, N. Lockyer, przystąpił do rozwiązania tego zagadnienia, łącząc nowe szeregi doświadczeń z nową metodą obserwacyi: obserwował zjawiska, jakie mają miejsce, kiedy pewne pierwiastki wystawione są na działanie natężonego ciepła przy pomocy jedynego, może znanego obecnie narzędzia, które jest w stanie dostarczyć nam zadawalających rezultatów z tego rodzaju zjawisk, t. j. spektroskopu. Rozprawa, w któréj astronom angielski wypowiada swoje poglądy o naturze pierwiastków chemicznych, nosi tytuł: *Discussion of the working Hypothesis that the so-called Elements are Compound Bodies.*" Autor zatem powstrzymuje się od wypowiedzenia opinii, że udało mu się rozłożyć pierwiastki.

Każde ciało złożone przedstawia charakterystyczne widmo. Widma ciał złożonych cechują się paskami i przestrzeniami prążkowanemi; z drugiéj strony widma tak zwanych pierwiastków są stosunkowo od nich wolne i cechują się liniami.

Przy przepuszczaniu pary chlorku wapnia (calcium) przez płomień, którego temperatura jest niedostateczną do wywołania rozkładu chlorku, nie dostrzegamy wcale w widmie linii, cechujących metal wapień. W miarę wzrostu temperatury, ujawniają się linie wapnia, podczas gdy odpowiadające chlorkowi paski bledną (słabną) i w końcu znikają zupełnie. Zachowanie się chlorku wapnia przedstawia nam w ogóle typ zachowania się ciała złożonego, wystawionego na stopniowy wzrost temperatury.

Jeżeli pierwiastek A, o którym wiemy, że jest zmięszany ze stosunkowo małemi ilościami innego pierwiastku B, będzie ulatniany, widmo płomienia przedstawia charakterystyczne linie tego pierwiastku (A), który się znajduje w większéj ilości, a nadto, linie domieszki czyli zanieczyszczenia (B); im większa będzie ilość pierwiastku B, tém więcéj będą występować jego linie w widmie. Takim sposobem, przy pomocy spektroskopu, mogą być w części wyróżnione dwa przypadki, a mianowicie: ciało złożone, podlegające rozkładowi przy wzroście temperatury, oraz mieszanina dwóch pierwiastków.

Przypuśćmy, że substancya złożona ulatnia się w temperaturze, w któréj właśnie poczyna się rozkład, i że cztéry linie (α, β, γ, δ,) pojawiają się widmie; niech teraz temperatura wzrasta, to rozdział czyli dyssocyacya postępuje, linia δ znika, γ staje się cieńszą, podczas gdy β występuje wyraźniéj. Przypuśćmy, że wzrost temperatury ma znowu miejsce, to proces podobny opisanemu wyżéj odbywa się daléj, aż nakoniec tylko linia α pozostaje sama. Przy odwrotnym procesie, t. j. kiedy temperatura przechodzi od wyższéj do niższéj, widmo stopniowo staje się więcéj złożone, dopóki nie dojdziemy do pierwotnego stanu. Wszakże zauważyć należy, że linia α, która jest jedyną wydatną linią w wysokiéj temperaturze, nie znika, ale staje się cieńszą i mniéj wyraźną przy nizkich temperaturach. Otóż jeżeli przypuścimy, że substancya wyobrażająca pierwotne widmo (α, β, γ, δ) jest tak zwanym pierwiastkiem, a daléj, jeżeli przypuścimy, że ten pierwiastek

podlega rozkładowi w miarę wzrostu temperatury, będziemy mieli właśnie szereg widm, jaki tylko co opisaliśmy.

W przytoczonéj wyżéj rozprawie, Lockyer podaje dyagram pewnych linii w widmie wapnia, przy temperaturach zmieniających się od temperatury lampy Bunsena, do temperatury Syryusza, i to widmo uważa właśnie za takie, jakie spodziewalibyśmy się znaleźć, w przypuszczeniu, że pierwiastek uległ rozkładowi w wysokich temperaturach Słońca i Syryusza. Przez porównanie linii wapnia, jakie widzimy w widmach Syryusza, α Orła, oraz Słońca, Lockyer znajduje, że ta linia, która jest najważniejszą ze wszystkich w widmie pierwszéj z wymienionych gwiazd, stała się daleko mniéj wyraźną w widmie drugiéj, w któréj jednak nowa, szeroka, bardzo wyraźna linia, jakby nagle została powołaną do bytu. Charakterystyczną linię Syrusza, oraz linię α Orła uważa Lockyer jako prawdopodobnie wykazującą obecność w pierwszéj jednéj, a w ostatniéj innéj z tych prostszych form materyi, na którą, według jego teoryi, rozkłada się wapień (*calcium*) przy tych wysokich temperaturach. Podług tego metal wapień, taki jak go znamy, jest produktem stosunkowo nizkiéj temperatury. Jeżeli widmo wapnia, otrzymane w temperaturach łuku elektrycznego, wywoływane bywa rzeczywiście przez drgania prawdziwych atomów (a nie cząsteczek) tego metalu, to bardzo prawdopodobnie metal wapień dzieli się w atmosferze Syryusza i powstaje forma materyi, zupełnie różna od wszystkiego, cokolwiek znaném nam jest na ziemi.

Ale powie kto może, że nawet w tych nadzwyczaj wysokich *dla nas* temperaturach cząsteczki wapnia nie ulegają rozkładowi, i że linia wapnia, tak wybitna w Syryuszu i innych gwiazdach, pochodzi prawdopodobnie z drgania atomów tego metalu, na które cząsteczki jego dzielą się przy wysokich temperaturach tych gwiazd. W saméj rzeczy Lockyer zaznaczył fakta [1]), które nie są sprzeczne z tym poglądem. Otóż, jeżeli przyjmiemy tę teoryą, to rzecz jasna, powiada Muir, że odpowiedź na pytanie „czy tak zwane pierwiastki są ciałami pojedyńczemi?" zależeć będzie od znaczenia, jakie przyznaje się wyrazowi *pierwiastek*. Jeżeli słowo to, ciągnie daléj [2]), ma oznaczać substancyą, z któréj nie można otrzymać żadnéj formy materyi, przedstawiającéj własności różne od własności form pierwotnych, to pierwiastki, według naszéj teoryi, nie są ciałami pojedynczemi. Ale jeżeli pierwiastkowi dajemy ściślejsze znaczenie, określając go jako substancyą, któréj cząsteczki składają się z dwu lub więcéj podobnych atomów, wtedy pierwiastki, podług téj teoryi, są rzeczywiście ciałami pojedyńczemi.

---

[1]) *Nature*, t. X, pag. 90.

[2]) „If this word be used to designate a substance from which no forms of matter exhibiting properties different from those of the original forms can be obtained, then the elements are, by our theory, not elementary. But if to *element* we give a more exact meaning, and define it as substance, the molecules of which are composed of two or more similar atoms, then the elements are, by this theory, true elementary."

Takim sposobem spór dotyczący natury pierwiastków chemicznych obraca się głównie około znaczenia, jakie dajemy wyrazowi *pierwiastek.*

Jeżeli mamy uważać skutek bardzo wysokich temperatur na cząsteczki (molekuły) pierwiastków, jako polegający na rozkładzie tych cząsteczek na ich atomy, musimy podług Muira, być przygotowani do dostarczenia dowodu na poparcie następujących twierdzeń:

1. że własności, jakie mają atomy ciał prostych, są wybitnie różne od własności, jakie posiadają cząsteczki (molekuły) tychże ciał;

2. że cząsteczki pierwiastków mogą pozostawać nierozdzielone na swe składowe atomy nawet przy bardzo wysokich temperaturach, czyli innemi słowy, że cząsteczki są to bardzo stałe systemy; ale

3. że te cząsteczki dają się rozłożyć, czyli są rozkładalne (*decomposable*); i

4. że zmiany w wagach cząsteczkowych mogą mieć miejsce pomiędzy pierwiastkami albo ciałami złożonemi, które to zmiany są w związku ze znacznemi zmianami własności tych pierwiastków lub ciał złożonych.

Zdaniem Muira, chemicy przez wiele lat posiadali dowód na poparcie twierdzenia, że, *w pewném znaczeniu*, pierwiastki są rzeczywiście ciałami złożonemi. Według definicyi, cząsteczka jestto najmniejsza część substancyi, przedstawiająca własności, cechujące tę substancyą; jeżeli cząsteczka zostanie rozdzieloną, powstaje substancya (albo substancye) posiadająca nowe własności. Mamy wyraźny dowód na poparcie twierdzenia, że kiedy dwa pierwiastki gazowe, np. chlor i wodor, łączą się między sobą, połączenie następuje między atomami tych pierwiastków, które to atomy najprzód przed innemi uwolnione zostają ze stanu wzajemnego połączenia, w jakiém istniały w cząsteczkach pierwiastków. Akt łączenia się poprzedzany bywa przez akt rozkładu. Produkt połączenia nazywamy związkiem, gdyż jego cząsteczka składa się z różnych atomów: nazywamy ciała, które uległy rozkładowi, pierwiastkami, gdyż ich cząsteczki składają się z atomów podobnych. Ale nie jesteśmy w stanie odosobnić i zbadać te atomy, z których składają się cząsteczki ciał prostych czyli pierwiastków (*elementary molecules*). Utrzymujemy, że w chwili uwolnienia ze związku pewnego pierwiastku, pierwiastek ten istnieje w stanie atomowym; wiemy, że w chwili swego wywiązania, wiele pierwiastków gazowych jest w stanie wykonywać działania, których nie mogą wykonać przy warunkach zwyczajnych.

W utworzeniu wodoru z wody działaniem prądu elektrycznego, możnaby powiedzieć, trzy oddzielne zmiany chemiczne mają miejsce: rozkład cząsteczek wody z utworzeniem atomów wodoru i tlenu; łączenie się atomów wodoru z utworzeniem tego, co jest znane nam jako wodór; i łączenie się atomów tlenu. W drugiéj i trzeciéj zmianie produkta każdéj zmiany usunięte zostają ze sfery działania; zmiana postępuje z wielką szybkością. Nie możemy powstrzymać tego szeregu zmian ale wiemy, że wprowadzenie pewnych substancyj niekiedy wystarcza do przeszkodzenia drugiéj albo trzeciéj zmianie; i w miejsce

tego następuje nowa zmiana chemiczna, pochodząca z działania rozdzielonych atomów wodoru albo tlenu na nowo wprowadzoną substancyę. Otóż nazywamy atomy dwu pierwiastków, które łącząc się z sobą, tworzą wodę, atomami wodoru i tlenu; i w pewném znaczeniu jestto logiczném. Atomy te, łącząc się z sobą razem, tworzą odpowiednio wodór i tlen; są zatem atomami wodoru i tlenu. Ale powiada Muir, bardzo niewiele wiemy o dokładnéj naturze tych atomów *samych przez się* (*per se*); wszystko co wiemy, prowadzi nieomylnie do wniosku, że własności tych atomów są bardzo różne od własności, cechujących ciała znane nam jako wodór i tlen. I sądzę, ciągnie daléj, iż nie powiemy zawiele, utrzymując, że cała budowa nowoczesnéj teoryi chemicznéj spoczywa na hypotezie, nie możemyż powiedzieć na fakcie? że własności atomów pierwiastków (*elementary atoms*) są wybitnie różne od własności cząsteczek pierwiastków (*elementary molecules*). Ale jednocześnie fakta nie pozwalają nam uważać cząsteczek pierwiastków za złożone z atomów dwu lub więcéj rodzajów materyi; innemi słowy, wszystkie atomy wodoru posiadają niezawodnie te same własności. Cząsteczka wodoru może być uważana jako A+A, a nie jako A+B; znamy własności ciała A+A, znamy również własności wielu innych ciał, w skład których wchodzi A (np. A+B, A+D, A+E i t. d.); ale bardzo niewiele wiemy o własnościach A, albo B, albo C i t. d., jako odrębnych od własności związków tych ciał. Wprawdzie możemy nakreślić zmiany we własnościach związku, w skutek wejścia A, albo B, albo C do tego związku; ale nie jesteśmy w stanie odosobnić A, albo B, albo C, i badać ich własności w stanie wolnym.

Rozkład cząsteczki pierwiastków na jéj składowe atomy byłby zatém zjawiskiem niezupełnie podobném do rozkładu cząsteczki złożonéj na jéj składniki.

Aż do ostatnich lat poprzestawaliśmy na rozstrzyganiu kwestyi rozkładu danéj substancyi w pewnéj reakcyi przez badanie przypuszczalnych produktów rozkładu z pomocą zwykłych prób fizycznych lub chemicznych. Chemicy nie znajdują trudności w odróżnieniu sodu od sody, żelaza od rdzy żelaznéj, rtęci od jéj związku z tlenem i t. d. Obecnie dowiadujemy się, że skrupulatniejsze badanie musi być przeprowadzone, nim odpowie się na pytanie: „Czy pierwiastki same zdolne są rozkładać się?"

Jeżeli nasze pierwiastki nie są pierwiastkami, w każdym razie są więcéj stałemi, i w pewném znaczeniu ściśléj określonemi jednostkami chemicznemi, niż nasze związki.

Nauki przyrodnicze dostarczają dowodu na poparcie wypowiedzianego wyżéj twierdzenia, że cząsteczki są to bardzo stałe systemy, ale że pomimo to są rozkładalne. Fizyka i chemia popierają ten pogląd. Nie chcemy zatrzymywać się nad tą kwestyą i nie przytaczamy przykładów.

Co się tyczy wypowiedzianego z kolei twierdzenia, że zmiany w wagach cząsteczkowych mogą zachodzić pomiędzy pierwiastkami albo

ciałami złożonemi, które to zmiany pozostają w związku ze zmianami własności tych pierwiastków lub ciał złożonych, kwestya ta wymaga bliższego objaśnienia. Znane są fakta, które trudno byłoby nam objaśnić, gdyby powyższe twierdzenie nie było prawdziwém. Najnowsze dzieło dr. Schuster o widmach tlenu skłania do uważania istnienia zmiennych grupowań się cząsteczek tego pierwiastku za bardzo prawdopodobne, i dąży do zdyskredytowania téj myśli, że wzajemne spotykanie się drgań tych samych cząsteczek może być prawdziwą przyczyną zupełnie odmiennych widm tlenu, jakie obserwował Schuster. Niektóre z tych zmian, zauważonych w widmie tlenu przez d-ra Schuster, zdają się jedynie znajdować wyjaśnienie w hypotezie, że oddzielne grupowanie się cząsteczek tego pierwiastku ma miejsce nawet w wysokich temperaturach.

Przejdźmy w dziedzinę chemii dla poparcia powyższego twierdzenia. Jak wiadomo, tlen i ozon są to formy jednego i tego samego pierwiastku. Wybitne różnice w zachowaniu się tych ciał przypisać należy temu, że cząsteczka tego ostatniego zawiera o połowę więcéj atomów, niż cząsteczka pierwszego. Wagi cząsteczek tlenu i ozonu mają się do siebie w stosunku jak 2 do 3; cząsteczki ich składają się z podobnych atomów, a pomimo to własności tych cząsteczek nie są wcale jednakowe. Również waga cząsteczek pary siarki w temperaturach, cokolwiek wyższych nad punkt wrzenia téj substancyi, jest trzy razy tak wielką, jak waga cząsteczek tego samego pierwiastku w znacznie wyższych temperaturach. Nie wiele wiemy o własnościach cząsteczek siarki, w obu tych temperaturach; ale z bardzo wybitnych różnic we własnościach téj substancyi w stanie stałym, zdaje się być prawdopodobném, że siarka w stanie stałym, podobnie jak i siarka w stanie gazowym, zdolna jest przechodzić od jednego ugrupowania się cząsteczek do drugiego. Zauważyć należy, że siarka daje widmo liniowe tylko przy bardzo wysokich temperaturach. Fosfor i arszenik przedstawiają nam przykłady prawdopodobnych zmian w wagach cząsteczek, mających związek ze stanowczemi zmianami w ogólnych własnościach fizycznych i chemicznych. Cały szereg faktów, znanych pod nazwą *allotropii*, znajduje jedynie racyonalne wyjaśnienie w przyjęciu, że cząsteczki pierwiastków mogą istnieć w różnych więcéj lub mniéj złożonych ugrupowaniach.

Liczne przykłady tego rodzaju znajdujemy w ciałach złożonych. Tak zwane związki polimerne chemii organicznéj nie sąż przykładami wielkiéj zmiany we własnościach związku przez podwojenie albo potrojenie wagi jego cząsteczki? Związek tlenu z azotem, przedstawiony przez wzór chemiczny $N_2 O_4$, będąc ogrzewanym, zmienia swoje własności fizyczne: z gazu ciemno czerwonego przechodzi w gaz bezbarwny. A przecież skład obu tych gazów jest ten sam, i tylko waga cząsteczek związku ostatniego, t. j. gazu bezkolorowego, wyraża się formułą NO_2. Pod pewnym względem dwa te ciała, co do składu swego, są jednakowe; pod innym względem są one zupełnie od siebie od-

mienne. Spektroskopowo uważając, widzimy wybitną różnicę pomiędzy temi związkami.

Fakta, jakie zebrał Lockyer co do zmian w widmach pierwiastków, uważane ze stanowiska chemii, podług Muira, pozostają w związku z innemi zjawiskami więcéj chemicznéj natury, i oba szeregi zjawisk wskazują złożoną naturę pierwiastków, w tém znaczeniu, że cząsteczki tych ciał składają się z atomów, wykazujących własności odmienne od własności samych pierwiastków; ale jednocześnie, że atomy każdego elementu wszystkie przedstawiają te same własności.

Czy te atomy pierwiastków są, czy téż nie są same zdolne ulegać rozkładowi, kwestya to zupełnie odrębna.

Muir nie rozbiera kwestyi znaczenia tych krótkich linii, które, podług Lockyera, mają się napotykać w widmach różnych pierwiastków po usunięciu wszelkich domieszek. Słusznie téż powiada, że dopóki używane do usunięcia tych domieszek metody nie będą szczegółowo ogłoszone, i dopóki nie będziemy posiadać dokładnéj informacyi co do wpływu bardzo małych ilości tych domieszek na zmianę widm pierwiastków, lepiéj jest powstrzymać się od stawiania hypotez, które ewentualnie mogą nie opierać się na podstawie faktów pewnych.

Jakkolwiek praca Lockyera dostarcza nam nowych dowodów istnienia zmieniających się grup cząsteczek jednego i tego samego pierwiastku, oraz że te grupy stają się prostsze w miarę wzrostu temperatury, nie wynika ztąd jeszcze, zdaniem Muira, abyśmy mogli utrzymywać, że istotnie nowe rodzaje materyi, t. j. materyi, któréj cząsteczki składają się z atomów, różnych od wchodzących w skład cząsteczek materyi pierwotnéj, mają powstawać nawet przy tych wysokich temperaturach. Możemy uważać, że cząsteczki naszych pierwiastków w stanie gazowym w temperaturach umiarkowanych składają się z odrębnych atomów; w miarę wzrostu temperatury, niektóre z tych cząsteczek ulegają częściowemu rozkładowi, bez powstawania nowych atomów, aż dopiero, w nadzwyczaj wysokich temperaturach, większa część massy materyi obecnéj istnieje w prawdziwym stanie atomowym. Bardzo być może, że w jeszcze wyższych temperaturach i pod zupełnie różnemi warunkami, atomy te rozłożyłyby się same, i że ten proces postępowałby daléj, aż nakoniec otrzymalibyśmy atom pierwotny, którego wszystkie *nasze* atomy pierwiastków są tylko związkami.

Według tego poglądu, powstawanie tak zwanych atomów i cząsteczek pierwiastkowych znaczyłoby tylko etapy w procesie ewolucyi, punkta stałéj równowagi w cyklu rozwoju.

* * *

Członek Towarzystwa geologicznego, Artur Phillips, ogłosił niedawno drukiem ciekawą rozprawę o źródłach i użytkach pirytów żelaznych. Nie tyle nam chodzi o sposoby ich przerabiania oraz opis jednéj z największych i najbogatszych dzisiejszych kopalni Rio Tinto, dających wyobrażenie o jéj eksploatacyi, chociaż i to mogłoby również

być pouczającém i godném zanotowania w sprawozdaniu niniejszém, ile raczéj o ciekawe szczegóły, podawane przez autora co do stanu metalurgii za czasów starożytnych Rzymian, a które uczony angielski opiera na zabytkach, niedawno odkrytych w pomienionéj kopalni i rzucających pewne światło na stan ówczesnéj nauki.

I w tymto celu wyjmujemy niektóre szczegóły z rozprawy w mowie będącéj, mające ogólniejsze znaczenie.

Proces dotąd jeszcze używany do fabrykacyi węglanu sodu ze zwyczajnéj soli, odkryty został przez chemika francuzkiego Leblanc i stosowany był we Francyi na wielką skalę najprzód przez niego, a potém przez jego następców. Przed pierwszą rewolucyą francuzką soda handlowa otrzymywaną była z różnych roślin morskich, i większą część surowego materyału przywożono w tym celu z Hiszpanii i Portugalii. Wojny, jakie podówczas pustoszyły nieszczęśliwą Europę, powstrzymały naturalnie rozwój téj gałęzi przemysłu, a chociaż w razie potrzeby potaż i soda mogą się wzajemnie zastępować przy fabrykacyi szkła i mydła, czas jednak wymagał, aby cała rozporządzalna ilość potażu była zamienioną na saletrę do wyrobu prochu strzelniczego. Dla zaradzenia złemu, komitet bezpieczeństwa publicznego (Comité de salut public) wydał proklamacyą do narodu, nakazującą wszystkim obywatelom kraju złożenie na ręce wyznaczonéj *ad hoc* komisyi projektów i sposobów wyrabiania sody, jakieby im były znane. W skutek tego liczne projekta złożone zostały pomienionéj komisyi, która przedstawiony przez Leblanc'a uznała za najlepszy do wyrabiania sody na wielką skalę. Proces ten, jak wiadomo, polega na zamianie chlorku sodu (soli kuchennéj) na siarczan sodu, działaniem kwasu siarczanego i następnym rozkładzie siarczanu sodu (soli Glaubera), w wysokiéj temperaturze, przez zmieszanie go z kamieniem wapiennym i proszkiem węgla.

Przy rozwoju tego rodzaju przemysłu, zwiększyły się żądania na kwas siarczany i materyały potrzebne do jego fabrykacyi. W przygotowywaniu tego kwasu na wielką skalę, kwas siarkowy (*acidum sulphurosum*), otrzymany przez palenie siarki albo pirytów, zamienia się na kwas siarczany za pomocą silnie utleniającego czynnika. Powszechnie używaną substancyą na ten cel jest kwas saletrzany. Przed rokiem 1838 siarka była powszechnie używanym materyałem do fabrykacyi kwasu siarczanego, ale w tym roku król neapolitański oddał monopol eksploatowania siarki sycylijskiéj jednéj francuzkiéj firmie z Marsylii, w skutek czego piryty żelazne zaczęły stopniowo być używane do wyrobu pomienionego produktu. Od tego czasu, aż do chwili obecnéj, konsumcya tego minerału ciągle wzrastała; kopalnie w Cornwall i w Wicklow, w Irlandyi, były głównemi jego źródłami, pewną część dostarczała Norwegia. W r. 1859, James Mason otworzył eksploatacyą znakomitych kopalni w San Domingos, w Portugalii, a połączywszy je drogą żelazną z rzeką Guadiana, w pobliżu miasta Pomaron, rozpoczął konkurencyę z pirytami, pochodzącemi z trzech poprzednich miejscowości. W tym okresie towarzystwo angielskie, eksploatujące siarkę i miedź w Tharsis (The Tharsis Sulphur and Copper Company), nietylko rozpo-

częło wywóz pirytów z Hiszpanii, ale założyło liczne wielkie fabryki w tym kraju dla dobywania miedzi. Towarzystwo Buitron, którego kopalnie położone są w téj saméj prowincyi Huelva, zajmowało się również eksploatacyą pirytów; ale największém przedsiębiorstwem na tém polu jest niezaprzeczenie towarzystwo „Rio Tinto Company," założone w r. 1873, a o którém właśnie podamy niektóre szczegóły, gdyż w jego kopalniach odkryte zostały niedawno główne zabytki metalurgii starożytnych Rzymian.

Kopalnie należące do tego towarzystwa, położone są w pobliżu miasta tego samego nazwiska, w odległości 84 kilometrów na północ od portu Huelva, przy ujściu rzeki Odiel, z którą połączone są drogą żelazną. W téj części Hiszpanii pokłady pirytów miedzianych składają się z szeregu więcéj lub mniéj ciągłych mas rudy, posiadających ogólny kierunek od północy na wschód i od południa na zachód, ciągnących się od Aznalcolar w blizkości Sewilli, na odległość około 100 kilometrów w kierunku zachodnim, do dobrze znanych kopalni San Domingos przy granicy portugalskiéj. Pokłady te składają się z pirytów żelaznych z wielką domieszką pirytów miedzianych; żyłki siarku miedzi przenikają często masę. Galena (siarek ołowiu) napotyka się również, a niemniéj piryty arszenikowe w małéj ilości, a w dawnych kopalniach wielkie ilości koperwasu niebieskiego i zielonego, produktów utlenienia rudy działaniem powietrza i wody.

Jak powiedziano wyżéj, pokłady te składają się z niezmierzonych mas pirytów, w których tu i owdzie napotykają się rudy miedzi, zawierające od 5 do 40% tego metalu, a zwłaszcza w blizkości żył kwarcowych. Fakt ten był widocznie znany Rzymianom, którzy w zupełności ograniczali swoję pracę do tych bogatych rud, z zaniedbaniem ogólnéj masy pokładów, nie zawierających więcéj nad 2% miedzi.

Panującemi skałami w całym tym okręgu są łupki gliniane, które, o ile wnosić można z niedokładnych szczątków kopalnych, niedawno odkrytych, zdają się należéć do formacyi sylurskiéj. Pokłady te prawie bez wyjątku były eksploatowane w odległéj starożytności, kopalnie bowiem, w niektórych wyjątkowych przypadkach, sięgają na głębokość 50 sążni od powierzchni ziemi. Większa część tych starożytnych wykopalisk jest widocznie pochodzenia rzymskiego, jakkolwiek przypadkowe odkrycie naczyń kamiennych zdaje się wskazywać mieszkańców tego kraju w jeszcze odleglejszym okresie.

Prace Rzymian reprezentują liczne szachty kołowe, czasami, gdzie tego potrzeba, wyłożone kamieniem i rzadko kiedy mające więcéj nad trzydzieści cali w średnicy; pozostają one w związku z rozmaitemi krętemi galeryami, które niezmiennie idą w kierunku bogatych gałęzi rudy. Będąc nasycone wodą, zawierającą w rozpuszczeniu sole miedzi, wszystkie przyrządy drewniane tych kopalni zostały znakomicie zachowane, a tkanka drzewa przeniknięta jest tu i owdzie miedzią metaliczną, powstałą w skutek redukcyi jéj siarczanów przez włókna drzewne. Tym sposobem pnie drzewne, używane do podtrzymania

gruntu, znajdują się niekiedy tak dobrze zachowane, iż utrzymują znaki wykonane na sobie przed szesnastoma wiekami, i litery, wyrznięte przez górników rzymskich, są prawie tak świeże i nienaruszone, jak wykonywane przez dzieci za dni naszych.

Rzymska metoda drenowania polegała na urządzaniu przejść podziemnych, których kilka znacznéj długości dotąd się zachowały. Wszakże Rzymianie używali również mechanicznych sposobów do usuwania wody z tych podziemnych kanałów. Ciekawe odkrycie tego rodzaju maszyneryi dokonane zostało przed kilku laty w kopalni San Domingos, gdzie pewną liczbę kół, zbudowanych całkowicie z drzewa i mających każde 16 stóp średnicy, znaleziono pomieszczone nad sobą w wielkich cysternach. Te zabytki inżynieryi starożytnych Rzymian, udzielone mu przez pp. Mason i Barry, objaśnia A. Phillips licznemi rysunkami. Pomienione koło, całkowicie zbudowane z drzewa, bardzo podobne jest do zwykłego koła wodnego; ale ponieważ pierścienie wewnętrzne i zewnętrzne są pełne, to woda, raz nabrana, może jedynie wylewać się przez otwory boczne. Za pomocą pewnéj liczby takich kół, pomieszczonych jedno nad drugiém i obracanych jednocześnie, woda mogła być podnoszoną ze znacznych głębokości. Dziesięć takich kół odkryto w San Domingos; ośm z nich miały średnicy 16 stóp, dwa pozostałe 12 stóp 6 cali.

Zabytki innych przyrządów rzymskich do drenowania, odkryte zostały niedawno w jednéj kopalni hiszpańskiéj w blizkości Sewilli. Urządzenie to polegało na użyciu pewnéj liczby śrub Archimedesa, które, ustawione jedna nad drugą, podnosiły wodę z szeregu drewnianych cystern, wyłożonych blachą ołowianą. Cały ten przyrząd, z wyjątkiem ołowianego pokrycia cystern, był drewniany, wzmocniony dębowemi obręczami, a niekiedy linami; konstruktorowie wykazali tu widocznie, iż wiedzieli o tém, że żelazo byłoby niewłaściwe do tego celu w obec wód nasyconych solami miedzianemi, których działaniu ulega ten metal.

Gliniane lampy wyrobu Rzymian napotykają się ciągle w tych dawnych kopalniach, naczynia zaś i narzędzia miedziane i bronzowe tylko niekiedy. Jeszcze rzadziéj znaleźć można kości ludzkie, które, działaniem soli miedzi na ich główny składnik, fosforan wapnia, zmieniły swój wygląd, zbliżając się do turkusu. Nadmienić należy również, że przed kilku laty znaleziona została bronzowa płyta u wejścia do jednéj galeryi rzymskiéj w Rio Tinto, sięgającéj końca I-go wieku po Chrystusie. Płyta ta znajduje się obecnie w zbiorze Szkoły górniczéj w Madrycie.

Przemysłowcy rzymscy przerabiali rudy w blizkości kopalni, z których pochodziły. Znali również, jak się zdaje, konstrukcyą różnych pieców do przerabiania tych rud, co stwierdza wielka ilość żużli, nagromadzonych w pobliżu wszystkich głównych kopalni pirytów w Hiszpanii.

Rozmiar robót górniczych i prac metalurgicznych, wykonywanych w czasach dawnych w południowéj Hiszpanii, można ocenić bliżéj z nagromadzonego w blizkości Rio Tinto żużla, który waży przeszło półto-

ra miliona tonn [1]), a nierównie większe pokłady tego materyału nagromadzone są również pod Tharsis, Buitron i w innych miejscowościach. Że przynajmniéj pewna część pracy około tych urządzeń była wykonywana przez niewolników rzymskich, dowodzą tego liczne odkrycia szkieletów, na których dotąd znajdują się kajdany [2]). W odległości 150 yardów od wspomnionego pokładu żużli pod Rio Tinto, widać ślady fundamentów obszernych gmachów, a cokolwiek daléj znajduje się cmentarz rzymski. Na części tego gruntu, na którym porozrzucane są kolumny zawalonéj świątyni, widać również liczne odłamki nagrobków; ale napisy na metalowych tablicach, których ślady znać jeszcze obecnie, zostały usunięte. W téj części cmentarza wszystkie groby dawno już bardzo zostały otworzone, a to, co się w nich zawierało, usunięto; ale wszędzie, gdziekolwiek grunt jest poruszony w otaczającym lesie dębowym, pokrywającym znaczną przestrzeń, znajdowane bywają naczynia kamienne, zawierające kości palone, wyroby gliniane, szklane, wyroby ołowiane, ogniwa łańcuchów żelaznych, oraz kawałki niedokwasu ołowiu. Obecność tego ostatniego w tych grobach, które niezaprzeczenie sięgają czasów rzymskich, oraz przypadkowe odkrywanie ołowiu rzymskiego, czyni więcéj niż prawdopodobném, że wysoka podówczas cena złota i srebra zmuszała metalurga rzymskiego do korzystnego dobywania z nadzwyczaj małéj ilości tych metali znajdujących się w pirytach z Rio Tinto. Zdaniem Phillips'a dokonywało się to przez topienie i następną kupelacyą.

Zapominając o różnicy w wartości metali w czasach dawnych i obecnych, nie zwracając uwagi na taniość robocizny czasów rzymskich, z powodu panującéj niewoli, oraz uważając za pewne, że praca, przedsięwzięta przed laty, musiała być z konieczności źle wykonaną, niektórzy amatorowie metalurgii sądzili, że te odpadki mogłyby być z korzyścią przetopione powtórnie. Wszakże dokonana analiza tych pozostałości z czasów rzymskich przez Clement'a, chemika Towarzystwa eksploatującego te kopalnie (Rio Tinto Company), nietylko wykazała dostatecznie *wielką zręczność i praktyczność tych starożytnych chemików*, ale nadto na tém polu dowiodła, że próżną byłoby rzeczą starać się o powtórne przerabianie tych pozostałości, celem wydobywania z niéj metali pożytecznych. Szczegóły pomijamy na tém miejscu.

Obecnie główne pokłady pirytów obrabiane są na wielką skalę a otrzymane produkta transportowane są drogami żelaznemi, łączącemi kopalnie z głównemi portami. Następujące cyfry dadzą chociaż przybliżone wyobrażenie o ruchu przemysłowym tych okolic.

W kopalniach Rio Tinto w r. 1877 dobyto 771751 tonn pirytów: z tego wywieziono 251360 tonn, reszta pozostała na miejscu. W ciągu tego czasu wydobyto i wywieziono 2735 tonn (czyli 164100 pudów) miedzi metalicznej, a w końcu zeszłego roku roczna produkcya

---

[1]) Jedna tonna angielska zawiera 62 pudy.

[2]) *It is abundantly evident, from the repeated discovery of skeletons still retaining their chains.* Philips, op. cit.

miedzi metalicznéj dochodziła prawdopodobnie (cyfra przybliżona, bo w czasie kiedy Phillips pisał swoję rozprawę, rachunki nie były jeszcze zamknięte) do 6500 tonn.

O wiele mniejsze, ale zawsze poważne cyfry dobytego produktu przedstawiają kopalnie Tharsis, San Domingos, Calañas i inne; szczegóły, dla braku miejsca, pomijamy.

Największe i najbogatsze pokłady znajdują się w Rio Tinto, i te to głównie były eksploatowane przez Rzymian, czego obecnie, jak wyżéj wspomnieliśmy, znajdują się liczne ślady. Kopalnie San Domingos i Tharsis znalezione były przez obecnych ich właścicicieli w takim stanie, w jakim pozostawione zostały przez Rzymian, podczas gdy kopalnie Rio Tinto były w części eksploatowane przez rząd hiszpański, nim oddane zostały towarzystwu angielskiemu. Jedna ich część, a mianowicie dolina Rio Agrio, jest tak bogatą, iż według przybliżonéj oceny zawierać ma około 11000000 tonn rudy.

Nie mieliśmy zamiaru przedstawiać dorywczego nawet szkicu metalurgicznego, chcieliśmy tylko zlekka dotknąć przedmiotu w mowie będącego, a to ze względu, że o kwestye tego rodzaju w sprawozdaniach naszych prawie nie potrącamy, dla bardzo wielu przyczyn. Dlatego czytelnicy *Biblioteki* raczą nam wybaczyć niepełność obecnéj notatki, którą uzupełniamy następującemi cyframi.

Dobywane ilości produktów przedstawiają wartość ogólną 6500000 funtów szterlingów. Oprócz siarki, kopalnie te wysyłają do Wielkiéj Brytanii 28000 tonn miedzi, wartości 1680000 funt. szterl. Cyfra ta jest dziewięć razy większa, niż wartość, jaką dały kopalnie w Cornwall w r. 1877.

T. Skomorowski.

Kronika lwowska.

Zamiłowanie sztuk pięknych i porównanie pod tym względem Lwowa dawniejszego z dzisiejszym.—Młodzi artyści.—Doroczna wystawa sztuk pięknych.—Maurycy Gotlieb.—Zjazd pedagogiczny w Brodach.—Tablica pamiątkowa na cześć Józefa Korzeniowskiego. — Wydawnictwa księgarni polskiéj.—*Żydzi*, studym społeczne przez Teofila Morunowicza.—Środki zapobieżenia lichwie. —*Dzieje Polski*, Ryszarda Reppla, przekład K. Przyborowskiego.—*Śpiewnik polski*.—*Piosnki i satyry*, Rodocia.—Trzeci tom *Pomników dziejowych Polski*. —† Aleksander Dzieduszycki.

Malarz Rodakowski w swéj prelekcyi o sztukach pięknych, mianéj w ciągu ubiegłéj zimy w ratuszu lwowskim, zestawiwszy pod wzglę-

dem sztuki obraz Lwowa z przed laty czterdziestu z dzisiejszym, wykazał, jak wielki lwowianie uczynili postęp w zamiłowaniu sztuki, w uszlachetnieniu smaku od lat kilkudziesięciu: Rodakowski odnosił to głównie do architektury. I w saméj rzeczy, skoro porównamy najwspanialsze onego czasu budowy lwowskie, z ogromnym wystawione kosztem, na które wysilił się ówczesny smak najpierwszych tutejszych budowniczych, mianowicie: ratusz i teatr hr. Skarbka, owe dwie czworogranne, bezkształtne masy kamienne, bez myśli i wdzięku, imponujące tylko wielkością i niezgrabnością swoją, z budowlami dzisiejszemi, z nowym gmachem politechniki, lub nowym gmachem sejmowym, którego piękne, wspaniałe kształty coraz wydatniéj rysują się oku, a którego artystyczne ornamenta otworzą pole zaszczytnego popisu naszym artystom; jeżeli pominąwszy już nawet owe dwa przepyszne gmachy publiczne, porównamy w ogóle dawniejszą architekturę Lwowa z dzisiejszą, styl i smak budujących się dzisiaj domów prywatnych z dawniejszych kamienic ponurą i jednostajną powierzchownością: przyznać musimy prawdę prelegentowi, przyznać musimy, że nietylko postęp, ale przeskok wielki uczyniliśmy w tym względzie ostatniemi laty i to nietylko w budownictwie, ale w każdéj dziedzinie sztuk pięknych. Można zarzucać ospałość naszéj lwowskiéj literaturze, zbyteczną szorstkość dziennikarstwu, obojętność dla nauk ścisłych, uprawianych w zbyt szczupłém gronie ludzi poświęcających się umiejętnościom: słowem wiele takich i tym podobnych rzeczy można zarzucić Galicyi; możnaby zarzucić młodzieży akademickiéj, że zamało pracuje, a za wiele radzi i demonstruje, publiczności, że zamało czyta i nie popiera należycie literatury: we wszystkiém tém będzie zapewne wiele słuszności, może trochę przesady, ale braku zamiłowania i popierania sztuki niepodobna nam zarzucić, widząc ciągle nowe pojawiające się na tém polu talenta i ciągle nowe żywotności objawy. Aby się o tém przekonać, dosyć obaczyć, jak licznie publiczność lwowska zwiedza wystawę sztuk pięknych, umieszczoną w tym roku w gmachu politechniki na Nowym Świecie; a więc prawie już za miastem, bardzo z tego względu niedogodnie; równocześnie zaś, jak śpiesznie dąży zobaczyć Matejki: *Bitwę pod Grunwaldem*, obecnie znajdującą się we Lwowie. Wszakże nie na samém malarstwie ogranicza się to zamiłowanie. Pominąwszy muzykę, którą Lwów z dawien dawna pielęgnuje z zamiłowaniem, pojawiło się ostatniemi czasy kilka znakomitych talentów na polu rzeźbiarstwa, świadczących, że i ta gałąź sztuki zaczyna być u nas coraz staranniéj pielęgnowaną.

Młody Barącz, którego niedawno pamiętamy pierwsze stawiającego kroki w dziedzinie sztuki, jest dziś skończonym artystą. Znajdujące się na wystawie obecnéj jego typy włościańskie krajowe, piękny model statuy św. Kazimierza, jego popiersie starca modelowane z natury, przedstawiające włoskiego żebraka, są to wszystko niepospolite już dzieła, znamionujące wiele talentu i wiele pracy i studyów. Na téjże saméj drodze znajduje się młody Błotnicki, niemogący się jeszcze

porównać z Barączem, ale posiadający wielki zasób talentu, który stosownie pielęgnowany, może się świetnie rozwinąć i stanąć wysoko. Błotnicki otrzymał obecnie dla dalszego kształcenia się stypendyum krajowe i wykonał statuę *Switezianki*, która stanie na nowéj studni na Placu halickim. Lwów zatém, pozbawiony od niedawna wszystkiego co się zwać mogło artystyczną ozdobą, zaczyna już sam sobie wychowywać młode talenta, co kiedyś zczasem artystycznego dodadzą mu blasku. Wychowany w szkołach zagranicznych kosztem gminy tutejszéj, malarz Sidorowicz, stanął już dziś w rzędzie artystów, którymi się będzie chlubić sztuka polska. Jego krajobrazy i portrety, jego studya wzorów klasycznych, bywają od lat kilku ozdobą naszych wystaw i uczyniły imie jego znaném już i za granicą. Obecnie występuje inny znów, młody talent, którym także kiedyś Lwów będzie się mógł poszczycić. Kształcący się w Mnichowie Żmurko, syn tutejszego profesora uniwersytetu, wymalował obraz oryginalny: *Kleopatrę konającą*, przyjęty na tegoroczną wystawę powszechną mnichowską. Już ta sama okoliczność, że dzieło to bardzo młodego artysty wytrzymało ocenę surowego sądu znawców i zostało przypuszczone na wystawę, jest rękojmią jego wartości. Jakkolwiek nie zgadzalibyśmy się może z układem całéj kompozycyi, niepodobna odmówić obrazowi wielkich zalet artystycznych. Głowa konającéj Kleopatry jest prześliczna swym wyrazem, zresztą chodziło głównie malarzowi o efekt kolorytu i to mu się bardzo powiodło. Obraz ten po zamknięciu wystawy mnichowskiéj ma być wysłany do Warszawy, więc go sami ocenicie.

Na tegoroczněj tutejszéj wystawie sztuk pięknych jest bardzo mało dzieł nowych. Zazwyczaj ostatniemi laty przybywało na naszę wystawę najwięcéj prac młodego zastępu naszych artystów z Mnichowa; obecnie otwarta tamże powszechna wystawa, tudzież wystawa paryzka zabrały wszystkie co najznakomitsze i najnowsze prace spółczesnych polskich artystów. Nie można się dziwić, że dla Lwowa nic prawie nie zostało. Któżby się oglądał na skromną lwowską wystawę, mając otwarte przed sobą pole popisu na szerokiéj arenie wystawy powszechnéj? Z czasem, na rok przyszły przybędą i do nas tu do Lwowa, dziś tam umieszczone obrazy. Wszelako nateraz musimy poprzestać na téj nadziei. Dyrekcya tutejszego Towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych, chcąc się koniecznie wywiązać ze statutem nałożonego jéj obowiązku urządzania dorocznéj wystawy, zmuszona była udać się do jedynego w obecnéj chwili sposobu i złożyć wystawę z dzieł dawniejszych, znajdujących się po tutejszych zbiorach prywatnych, pomiędzy któremi odznacza się zbiór p. Ludwika Skrzyńskiego i zbiory Sapieżyńskie posiadające wysokiéj ceny stare oryginały Rembrandta, Salwatora Rozy i znakomite rzeczy nowsze, jak szkice wojenne Orłowskiego i inne. Tymto sposobem złożyła się tegoroczna nasza wystawa, nieodpowiadająca wprawdzie swemu przeznaczeniu, przedstawienia postępu malarstwa polskiego chwili obecnéj, ale świadcząca, jak znakomite skarby sztuki, prywatne zbiory lwowskie posiadają. Jest się czém

naprawdę rozkoszować w téj naprędce złożonéj miniaturowéj galeryi, w któréj niespodziewanie spotkasz się z prawdziwemi arcydziełami, klejnotami sztuki, a jeżeli niéma wielu obrazów nowszych, to powetował to sowicie Matejki portret byłego marszałka kraju, dzisiejszego namiestnika hr. Alfreda Potockiego, przeznaczony do sali portretów marszałkowskich w nowym gmachu sejmowym. Przepyszne to dzieło, w całém tego słowa znaczeniu, jest może najlepszym z portretów Matejki, a to dosyć powiedzieć, aby dać wyobrażenie jego wartości. Obraz przedstawia hr. Potockiego w stroju narodowym, z laską marszałkowską w ręku, orderem Złotego runa na szyi. W postawie i wejrzeniu maluje się powaga i godność senatorska, będąca główną cechą portretu. Podobieństwo oblicza przytém zadziwiająco wiernie trafione. Z małéj liczby godnych wspomnienia obrazów współczesnych na tegorocznéj wystawie, nie można jeszcze pominąć małego olejnego obrazu ś. p. Grottgera, przedstawiającego popiersie młodzieńca, w czapce krakowskiéj. Portret to niezmiernie sympatyczny, doskonale wyrysowany; jest w nim ogień, życie, energia młodzieńcza, a w wejrzeniu pełném wyrazu myśl głębsza, przyćmiona nawpół melancholijnym obłokiem marzenia. Słowem jest w tym portrecie pewien urok, właściwy Grottgerowi, jaki on tylko postaciom swoim nadawać umiał. Z wyrazem tym harmonizuje doskonale koloryt i tło bardzo dobrze dobrane.

Znakomitym portrecistą jest Andrzej Grabowski. Obok pięciu czy sześciu nowych jego portretów, znajdują się jeszcze na wystawie trzy jego olejne, naturalnéj wielkości typy z natury wzięte: włościanin i włościanka z wschodnich okolic Galicyi i głowa starca, przepysznie malowana. Z portretów najdoskonalszym jest portret kanonika S. Znawcy przyznają temu obrazowi wysoką wartość typową. Wykończenie jest znakomite. Najnowszych wszakże a może i najlepszych portretów Grabowskiego niéma na lwowskiéj wystawie, albowiem znajdują się w téj chwili także na wystawie powszechnéj w Mnichowie, mianowicie, portret posła Smolki i księcia Adama S. Zwłaszcza ten ostatni, zdaniem znawców do arcydzieł liczyć się może. Tak tedy Grabowski, pracujący nieprzerwanie bardzo gorliwie, świetnie reprezentuje malarstwo lwowskie, podczas gdy dawniejsi malarze nasi więcéj używają wczasu, jak widać z tego, że żaden z nich nie wystąpił z niczém nowém w tym roku.

Mówiąc o malarzach lwowskich, niepodobna pominąć wspomnienia świeżo poniesionéj bolesnéj straty przez śmierć Maurycego Gottlieba, który pomimo młodzieńczego wieku, tak już wysoko był stanął w dziedzinie sztuki. Gottlieb umarł w Krakowie, ale urodzony w pobliżu Lwowa, tu posiadający rodzinę, tu przepędziwszy wiek dziecięcy, i znaczną część życia, liczył on się zawsze do grona malarzy tutejszych i słusznie Lwów chlubić się nim może i w pierwszym rzędzie nad stratą jego boleje. Prace Gottlieba najpierw na wystawie lwowskiéj zwróciły uwagę na siebie. Uczeń Matejki i Makarta, zapalony wielbiciel obu, umiejący poznać i odczuć w obu zalety, szedł za ich wzorem, przyswa-

jał sobie główne cechy ich pędzla, wyrabiając własne, torując sobie z wolna drogę samodzielną, im bardziéj samowładnym stawał się panem techniki. Miał on, jak każdy wybitny talent, swe odrębne cele artystyczne, które jasno widział, do których dążył całą potęgą wrodzonéj, coraz świetniéj rozwijającéj się siły twórczéj. Treść do swych kompozycyi brał ze społeczeństwa żydowskiego, którego typowe właściwości wiernie oddawał. Celują pod tym względem jego *Żydzi w bóżnicy w Dzień sądny*—kompozycya większych rozmiarów, pomyślana i ugrupowana bardzo dobrze. Śmierć zaskoczyła go nad pracą, która, sądząc z tego jak go zajęła całego, będąc od niejakiego czasu jedynym myśli jego celem, byłaby była najznakomitszém z dzieł jego wszystkich dotąd dokonanych. Obraz ten miał przedstawiać *Chrystusa w bóżnicy*. Jeżeli tak jest, jak doniosły niektóre dzienniki, że Matejko oświadczył gotowość wykończenia tego obrazu, będzie to najwyższa cześć pamięci młodego artysty oddana. W zeszłym roku na wystawie lwowskiéj powszechną zwracał uwagę malowany przez Gottlieba, acz niezupełnie wykończony portret ś. p. Władysława Tarnowskiego, muzyka, poety, podróżnika, zmarłego w powrocie z Indyi na Wielkim Oceanie. Z dawna bliska znajomość łączyła obu, rozumiały się ich dusze artystyczne, a portret, o którym mowa, przed ostatnią podróżą Tarnowskiego wykonany, zachował rysy idealnego młodzieńca, marzyciela ze zdumiewającém oddane podobieństwem. Gottlieb zamierzał wykończyć rzeczony portret, zaledwie podmalowany. Któż mógł przewidzieć, że po upływie dni nie wielu i po nim już tylko wspomnienie, uwiecznione kilku pięknemi dziełami sztuki pozostanie!

* * *

Doroczny walny zjazd Towarzystwa pedagogicznego odbył się w tym roku w Brodach w pierwszéj połowie feryi szkolnych, jak zwykle. Z wszystkich okolic Galicyi zjechali się nauczyciele szkół początkowych ludowych, realnych i gimnazyalnych, bo Towarzystwo pedagogiczne, bardzo rozgałęzione, i posiadające swe oddziały po wszystkich powiatach, objęło cały stan nauczycielski w Galicyi, tak iż niéma pomiędzy nauczycielstwem tutejszém nikogo prawie, coby nie należał do Towarzystwa, którego czynności na polu pedagogicznem w ciągu dziesięciolecia, od czasu zawiązania się Towarzystwa, skutecznie się przyczyniły do podniesienia szkół, oświaty stanu nauczycielskiego i wyjaśnienia wielu najważniejszych kwestyi pedagogicznych. Z powodu, że zjazd odbywał się w Brodach, miejscu urodzenia Józefa Korzeniowskiego, postanowiono uczcić przy téj sposobności pamięć jego położeniem tablicy pamiątkowéj w miejscu, w którém stał niegdyś dom jego rodzinny. Towarzystwo pedagogiczne zamierzyło tym sposobem, obok zasług literackich uczcić zarazem zasługi Korzeniowskiego na polu pedagogicznem, jako nauczyciela i kierownika oświaty w tym zawodzie do kresu życia pracującego. Tablica z napisem, umieszczona na skromnym kamiennym piedestale, sprawiona została kosztem składkowym. Trudność zachodziła w wyszukaniu miejsca, gdzie się znajdował ów dom w którym Korzeniowski ujrzał światło

dzienne, gdzie następnie chłopięce przepędził lata. Zajął się tém prezes, Brodzkiego oddziału pedagogicznego p. Małaczyński, a musiał on niemało zadać sobie pracy, nim doszedł do celu owych poszukiwań.

Dom ów dawno nie istnieje. Zatarł się nawet wszelki ślad wspomnienia, gdzie niegdyś istniał. Umilkła, niewdzięczna w tym razie tradycya. Miasto, głośne ze samego handlu szeroko rozgałęzionego, a spoczywającego głównie w ręku ludności żydowskiéj, przeważnie tu zamieszkałéj, nie troszczyło się o kolebkę znakomitego pisarza, co promień myśli, pochodnie światła, niósł spółziomkom i nieprzebrane skarby pióra pozostawił po sobie. Jedyną wskazówką ku odszukaniu miejsca owéj rodzinnéj zagrody Korzeniowskich była wzmianka o niéj zawarta w liście samego Korzeniowskiego, pisanym przed laty do księdza Sadoka Barącza, znanego monografa kilku znaczniejszych miast galicyjskich, który zbierając materyały do monografii Brodów, pierwszy przypomniał publiczności naszéj, że to miasto pamiętném jest urodzeniem jednego z najznakomitszych naszych pisarzy a chcąc biografią tegoż włączyć w opis pamiątek miasta, udał się był po bliższe w tym względzie szczegóły do samegoż Korzeniowskiego. Z rzeczonego tedy listu, będącego odpowiedzią na wezwanie ks. Barącza, powzięto niejakie wskazówki co do położenia domu rodzinnego Józefa Korzeniowskiego; wszelako dokładnie oznaczyć to miejsce dało się dopiero po wielu, na rzeczonéj skazówce opartych poszukiwaniach, w archiwum magistratualném Brodzkiém w tamtejszych starych aktach miejskich i urzędowych mapach topograficznych. Poszukiwania te wykazały ostatecznie z wszelką dokładnością, że dom Korzeniowskich znajdował się opodal od dzisiejszego miasta, na *Starych Brodach*, przy ulicy dawniéj *Lwowską* zwanéj, w pobliżu wjazdu do dzisiejszego dworca kolei żelaznéj. Tam tedy, w ogródku przed oknami dworku stojącego w miejscu dawnéj zagrody Korzeniowskich, stanął kosztem składkowym a staraniem Towarzystwa pedagogicznego skromny słup kamienny z marmurową tablicą, na któréj umieszczono napis pamiątkowy. Odsłonięcie napisu odbyło się bardzo uroczyście, albowiem nietylko członkowie zjazdu pedagogicznego, ale nieprzejrzane tłumy publiczności, połowa niemal ludności miasteczka, udała się w dniu oznaczonym w to miejsce, aby być świadkiem obchodu. Tablicę z napisem zasłoniono portretem Korzeniowskiego, otoczywszy go wawrzynowym wieńcem, Obok pomnika wzniesiono mównicę, i całe otoczenie przystrojono dywanami i kwiatami, a podczas obchodu przygrywała sprowadzona ze Lwowa muzyka tutejszego Towarzystwa *Harmonii*. Na mównicę wstąpił profesor Lwowskiego seminaryum pedagogicznego p. Lucyan Tatomir, i w bardzo obszernéj, pięknie ułożonéj mowie, wiele trafnych poglądów literackich zawierającéj, skreślił biografię Korzeniowskiego, wyliczył główniejsze jego prace z treściwém ich ocenieniem, wskazał stanowisko jego w literaturze, zasługi w zawodzie nauczycielskim. Mowa ta pięknym stylem i bogactwem myśli wywarła wielkie na przytomnych wrażenie, zwłaszcza ustęp, w którym p. Tatomir

podniósł trwałe skutki pism Korzeniowskiego i wpływ ich wielostronny. „My, zwykli ludzie, rzekł on mniéj więcéj temi słowy, żyjemy po śmierci jeszcze chwil kilka, pamięcią przechowaną o nas w kółku naszych rodzin, naszych przyjaciół—ale po latach, grób niepielęgnowany czułą ręką, gdy i tę rękę drugi zamknie grób, zarośnie trawą, zapadnie się w ziemię, i najświetniejszy nawet pomnik rozsypie się w gruzy, a imie nasze zginie w niepamięci piasku i umrzemy cali dla ziemi. Ale ci wybrańcy Boży z piętnem geniuszu na czole rozłączają się z nami tylko ciałem, a lepszą cząstką swoją, dziełami swego twórczego ducha, żyją wiecznie między nami, prowadzą stare pokolenia do grobu, wychowują młode, sami wiecznie młodzi, nieśmiertelni.

Korzeniowski jest więc, jest między nami. Jest w wypisach na szkolnych ławkach, z których uczą się dzieci wasze myśleć i czuć; jest na scenie teatrów naszych, jest w świetnych salonach pańskich, w dworkach szlacheckich i w domach mieszczańskich; a kiedyś, za staraniem tych, których tu tak licznie z różnych stron naszego kraju widzę zgromadzonych, za staraniem zacnego nauczycielstwa ludowego, da Bóg, będzie i pod strzechą chat wieśniaczych, *jest* więc wszędzie, jak daleko sięga język polski; owszem jest i daléj; żyje w tłómaczeniach swoich arcydzieł i na scenach i w literaturach niemieckiéj, czeskiéj i rossyjskiéj."

Po Tatomirze przemówił jeszcze kilku rzewnemi słowy spółtowarzysz młodości Korzeniowskiego, spółuczeń liceum Krzemienieckiego, najstarszy z członków Towarzystwa pedagogicznego, p. Franciszek Nowakowski, i przy odgłosie muzyki i grzmocie oklasków odsłonił tablicę, na któréj znajduje się napis następujący:

Miejsce urodzenia
Józefa Korzeniowskiego
polskiego pisarza powieści, i dramaturga
urodzonego dnia 8 września 1797
uroczyście zaznacza
Galicyjskie Towarzystwo Pedagogiczne
dnia 21 Lipca 1879.

Po zamknięciu trzydniowych obrad zjazd zakończył się wycieczką do Podhorzec i Oleska, gdzie na oglądaniu historycznych pamiątek spędziwszy razem dzień ostatni, pedagogowie nasi, żegnając się do widzenia na rok przyszły, rozjechali się z pamiątką miłych wrażeń i niejedną zdrową myślą w ciągu narad pedagogicznych podniesioną.

* * *

Z najnowszych objawów tutejszéj literatury naszéj, zasługuje przedewszystkiém na uwagę dzieło, wydane nakładem księgarni polskiéj: *Żydzi*, studyum społeczne przez Teofila Merunowicza. Autor zamierzył sobie wykazać stanowisko żydów w naszém społeczeństwie

we wszystkich kierunkach życia publicznego i prywatnego, stanowisko pod wielu względami odrębne i zapewniające im pewne przywileje i korzyści przed resztą ludności, mianowicie w Galicyi, wobec istniejących ustaw cywilnych, jak np. w sprawach funduszów religijnych, małżeństw i t. p., a rozpatrzywszy te wszystkie stosunki, podać ostatecznie środki najrychlejszego rozwiązania tak zwanéj *kwestyi żydowskiéj*. Najpierw stawia tedy pytanie, czy istnieje rzeczywiście kwestya żydowska w Galicyi? bo dzieło całe, jakkolwiek posiłkuje się ubocznie także poglądem na stosunki pozagalicyjskie i zdaniami pisarzy zagranicznych, odnosi się wszakże głównie w swéj treści i dążności reformatorskiéj do Galicyi. Pominąwszy więc kilka rysów historycznych, wyświecających genezę ukształtowania stosunków żydowskich pomiędzy chrześciańskiémi społeczeństwami i starannie ku poparciu swéj tezy wybrane zdania znakomitszych cudzoziemskich pisarzy i mężów stanu, rozpatruje autor bardzo szczegółowo położenie i stosunki żydów w Galicyi i Austryi i ów wpływ potężny, jaki sobie swą łącznością, zapobiegliwością, konsekwentną wytrwałością, posuniętą do granic ostateczności, na resztę ludności kraju pozyskali. W tym celu, opierając się na ścisłych szczegółach statystycznych, dowodzących nieustannego wzrostu ludności i przewagi żydowskiéj we wszystkich kierunkach, rozbiera najprzód sprawę obrotu pieniężnego, pozostającego przeważnie pod wpływem giełdzistów żydowskich, sprawę pokątnego i publicznego lichwiarstwa, na mniejsze i większe uprawianego rozmiary, czyto na wielkich pieniężnych targach europejskich, czy w stolicy, czy na prowincyi, w Paryżu, Londynie, Wiedniu, czy we Lwowie, czy w drobnéj mieścinie lub wiosce galicyjskiéj. Daléj rozbiera autor wpływ żydów na dziennikarstwo niemieckie i dosadnemi, a dodać potrzeba: prawdziwemi barwy maluje jego niemoralne tendencye, brak zasad, wyzyskiwanie różnych interesów, z pominięciem wyższych zadań i szlachetniejszych celów ludzkości, które służą tam po większéj części jedynie za pozór i pokrywkę widoków samolubnych. Od tego wszystkiego wolne jest dzięki Bogu, uczciwe dziennikarstwo polskie, niebędące przedmiotem spekulacyi, lecz wyrazem zasad, i miejmy nadzieję, że takiém na zawsze pozostanie.

W dalszym ciągu dzieła rozbiera autor, odnoszące się do żydów ustępy konstytucyi austryackiéj i prawa cywilnego, rozpatruje stosunki handlowe, ekonomiczne, propinacyjne, śledzi wszędzie za potrzebą reformy, bada przewagę tak zwanego *złotego internacyonału*, czyli giełdy na obrót wszelkich spraw publicznych i stosunków społecznych i dochodzi skutkiem tego rozbioru krytycznego do tego wyniku, że *kwestya żydowska istnieje w Galicyi*, że istnieje anormalny stan rzeczy, wymagający dla dobra społeczeństwa, jaknajrychlejszéj gruntownéj reformy i zastanawia się zatém w czém ta reforma zależy; gdzie są owe słabe strony społeczeństwa i ustawodawstwa, które poprawić należy, aby przywrócić zachwianą równowagę stosunków społecznych, znieść przewagę jednego żywiołu nad drugim i utorować drogę prawdziwemu

równouprawnieniu wszech żywiołów społecznych. Pod tym względem przyjmuje autor bardzo zdrową zasadę, któréj trafności i słuszności nikt zapewne odmówić się nie pokusi, że jakiekolwiek są złego przyczyny, wynika ono głównie i przedewszystkiém z błędów zakorzenionych w nas samych, w całém społeczeństwie, w zaniedbaniu korzystania z tych sił i zasobów, których zdobycie od nas samych zależy, a które zdobywa się pracą, zapobiegliwością, ścisłém przestrzeganiem ustaw, baczném śledzeniem wszystkich dróg oświaty i postępu. Słusznie zatém powiada autor, że gdy w nas samych, w ogóle społeczeństwa, w tegoż apatyi i braku wykształcenia leżą istotnego złego zarody, które tylko wyzyskują żydzi swą zapobiegliwością; przeto reformę od nas samych, od zniweczenia owych złego zarodów, w samémże społeczeństwie leżących, od poprawy społeczeństwa tam, gdzie tego potrzeba i wprowadzenia go na właściwą drogę prac organicznych, od reformy wreszcie w wielu punktach ustawodawstwa rozpocząć należy.

Niepodobna zaprzeczyć słuszności téj zasady, na któréj autor oparł swój program rozwiązania *kwestyi żydowskiéj*. Istotnie w tém leży cała tajemnica skutecznego jéj rozwiązania. Weźmy np. jednę z najdotkliwszych spraw, która jest najzjadliwszą raną naszego społeczeństwa, sprawę *lichwy*, o któréj mówiąc zawsze potrącamy o żydów, przypisując zawsze i wszędzie głównie, a niemal wyłącznie żydom, szerzenie się tego raka, wysysającego najżywotniejsze soki żywotne. Wprawdzie lichwa niéma nic spólnego z wyznaniem, niemożna jednak zaprzeczyć, że lichwą trudnią się przeważnie żydzi; niedziw zatém, że całą ohydę i okropne skutki téj gangreny społecznéj im przypisywać przywykliśmy. Iluż to reformatorów i ustawodawców różnemi czasy rozbijało sobie głowę nad skutecznemi środkami powstrzymania téj plagi ekonomicznéj, ile uchwalono rozmaitych ustaw, wydano rozmaitych przepisów, a wszystko bezskutecznie, bo lichwa na mniejszą czy większą skalę, zawsze znalazła sobie uboczne drogi obejścia prawa i pomimo wszelkich usiłowań reformatorów, tém bujniejszym pleniła się w społeczeństwie chwastem, z tém większą jeszcze szkodą tych, co się do niéj uciekać byli zmuszeni, albowiem oprócz lichwy jak przedtém, musieli jeszcze opłacać koszta owego obchodzenia ustaw, ceną zachodu i niebezpieczeństwa owych kruczków, rzecz i nazwę maskujących. A dlaczego tak? Zkąd owa dotychczas bezskuteczność najstaranniéj obmyślanych środków przeciw lichwie? Nie zkądinąd, zdaniem naszém, jak tylko ztąd, że wszystkie one, usiłując położyć tamę szerzeniu się lichwy, nie umiały ugodzić rdzennie, w jéj właściwą przyczynę i tę usunąć, czém dopiéro stłumi się lichwę w zarodzie i zniweczy, odebrawszy jéj racyą bytu. Przyczyną straszliwego szerzenia się lichwy nie są same zabiegi żydów; jestto już tylko następstwo istotnéj przyczyny, zręczne wyzyskanie jéj skutków. Istotną przyczyną jest upadek materyalny i moralny społeczeństwa, ubóstwo zmuszające uciekać się o lichwiarski ratunek do ludzi, korzystających niesumiennie i niemiłosiernie z téj potrzeby. Wszakże dopóki niedostatek i nędza będzie toczyła rakiem społeczeństwo,

dopóty żadne ustawy, żadne środki nie zdołają skutecznie zapobiedz lichwie. Będą one tylko *paliatywami* mniéjwięcéj powstrzymującémi chorobę, zapobiegającémi jéj skutkom, ale nie lekarstwem radykalném; albowiem zawsze znajdą się umiejący korzystać z położenia spekulanci jakiegokolwiek wyznania, znajdą się lichwiarze, chociażby żydów nie było. Tam, gdzie nędza przyciska, gdzie straszne jutro śmiercią głodową zagrozi, gdzie braknie chleba powszedniego i pierwszych środków dla zaopatrzenia rodziny, gdzie kąta i dachu na jéj schronienie braknie, tam nie pomogą ustawy ograniczające stopę lichwiarską, zakazy podpisywania weksłów i różnych w najrozmaitszéj formie wydanych obligów lichwiarskich; nie pomogą przy zielonym stoliku pisane filipiki przeciw lichwie na żydów, anatema rzucane i apel do rozumu z najpiękniejszemi wywodami o potrzebie równowagi w budżecie domowym.

Usuńcie niedostatek, zapewnijcie dobrobyt społeczeństwu, a zabijecie tém samém lichwę, usuniecie lichwiarzy, bo nikt nie będzie ich potrzebował, nikt się do nich o pożyczkę nie uda. Oto jest jedyna zdrowa zasada ekonomiczna, podająca skuteczny środek ograniczenia lichwy, pozbycia się lichwiarzy. Wszelkie inne sposoby i środki zaradcze, w tym względzie podawane pod nazwą *walki ekonomicznéj*, są czczym frazesem, nieprzynoszącym praktycznego skutku. Otwórzcie niespożytkowane dotąd źródła krajowego bogactwa, podnieście rolnictwo, ożywcie przemysł, oświecajcie lud, aby się chętnie imał pracy, unikając próżniactwa i innych złych nałogów, których brzemieniem przytłoczony popada w przepaść materyalnéj i moralnéj nędzy; otwórzcie pracy i przemysłowi źródła taniego publicznego kredytu, aby nie potrzebowały uciekać się tam, gdzie pewna czeka zguba; uszlachetniajcie społeczeństwo, uczyńcie je uczciwém, rozumném i bogatém, a wówczas lichwa zniknie sama przez się i będzie pomyślnie rozwiązany jeden z najgłówniejszych punktów tego, co zwykliśmy nazywać *kwestyą żydowską*. Nie żydzi i nie ktokolwiek inny, jak tylko sam niedostatek, z wszystkiémi swémi ciężkiémi następstwami, jak tylko powszechne ubóstwo kraju, jest właściwém źródłem i propagatorem lichwy. Usuńcie przyczynę—choroba zniknie.

Co do saméj książki p. Merunowicza, przyznać należy, iż autor, założywszy sobie zadanie żydów w społeczeństwie, we wszystkich kierunkach, spełnił to zadanie z całém przejęciem się i sumienném przestudyowaniem przedmiotu. Zebrał on jaknajstaranniéj odnoszące się tutaj szczczegóły, aby przedmiot ile możności wyczerpać, ugrupował je i wyświecił umiejętnie. Przejęty przedmiotem, dał się może zbytecznie unieść założeniu, jak to bywa, gdy do wykonania czegoś przystępujemy z całym zapałem przekonania; być może, iż uniesiony treścią, staje się nieco stronniczym w konkluzyach, zanadto wielkim pesymistą, że obraz swój nieco zanadto ciemnym, rembrandowskim nałożył kolorytem; ale już to samo, że porusza kwestye bardzo ważne, że je omawia sumiennie i z całą siłą przekonania, że dostarcza wielu umiejętnie zebranych szczegółów, wiele arcyważnego materyału, że wprowa-

dza rzecz na tory dyskusyi publicznéj, podając wiele zdrowych uwag ze swéj strony, już to samo nadaje wielką wartość téj pracy, podjętéj na czasie i zawierającéj wiele prawd, dotyczących najżywotniejszych kwestyi społecznych.

* * *

W dalszym ciągu wydawanéj przez księgarnię polską *Biblioteki historycznéj*, wyszły *Dzieje Polski do XIV wieku*, Ryszarda Reppla, w przekładzie K. Przyborowskiego. Reppel jestto jedyny z cudzoziemców, co zajął się napisaniem dziejów naszych z bezstronnością, rzadką nawet u uczonych, a ze znajomością rzeczy opartą na umiejętném materyałów źródłowych zbadaniu. Jakoż *Historya Polska* Reppla pod obu temi względami, mianowicie bezstronności narodowościowéj i krytyki historycznéj, jest rzadkim w literaturze objawem, i szkoda, że Reppel przerwawszy pracę na wieku XIV, nie znalazł sumienniejszego kontynuatora, jak takiego zaciekle tendencyjnego polakożercę jak Caro. Treścią swą dzieło Reppla, chociaż przez cudzoziemca napisane, należy poniekąd do naszéj literatury i przekład jego na język polski był oddawna rzeczą bardzo pożądaną. Wynaleźć dobrego tłómacza, któryby literaturze polskiéj dzieło Reppla przyswoił, było ulubioną myślą Szajnochy, któréj do ostatnich dni życia nie porzucił, chociaż czynione w tym celu starania wówczas się nie powiodły. Przekład historyi Reppla jest ważnym nabytkiem w dziedzinie naszego piśmiennictwa naukowego, a wydaniem jego zasłużyła się zarówno księgarnia polska, jak p. Przyborowski dobrym przekładem.

* * *

Do bardzo też pożytecznych w swoim rodzaju liczymy wydawany przez tęż księgarnią *Spiewnik polski*, będący małym dla publiczności czytającéj upominkiem. Celem jego jest zgromadzenie w jednym zbiorze i zachowanie najulubieńszych i najpopularniejszych piosnek polskich, objętych tutaj czterema działami, zawierającemi mianowicie piosnki bojowe, religijne, obyczajowe i miłosne. Mamy przed sobą dwa najnowsze tomiki, każdy z trzech zeszytów złożony, w formacie kieszonkowym, najdogodniejszym i najodpowiedniejszym dla takich wydawnictw, zawierające piosnki obyczajowe i miłosne. Oprócz wielu piosnek już drukowanych, wyjętych ze znanych naszych poetów, zawsze mile powtarzanych, znajdujemy w tym zbiorze wiele nie drukowanych dotąd nigdzie, niegdyś powszechnie znanych i ulubionych, a z biegiem czasu zatracających się, nawpół już dzisiaj zapomnianych pieśni. I właśnie w wyszukaniu, zebraniu i przechowaniu od zatraty tychto rzeczy będących cenną tradycyą natchnień minionych, zawierających niejeden kwiat prawdziwego uczucia, prawdziwego zapału i podniosłéj szlachetnéj myśli, niejednę iskrę prawdziwéj poezyi, tonącą w zapomnienia fali, widzimy właściwy cel wydawnictwa, prawdziwą zasługę téj nowéj antologii. Ileżto my sami pamiętamy z dzieciństwa naszego prześlicznych piosnek, krążących z ust do ust, śpiewanych w każdym szlacheckim dworku, pod każdą strzechą, w każdém kółku przyjacielskiém,

dzisiaj po większéj części zapomnianych, z których zaledwie kilka strofek lub wierszy znajdzie się ktoś, co powtórzyć jest w stanie. Z najbardziéj upowszechnionych niegdyś, najpiękniejszych pieśni pozostały zaledwie ułamki w naszéj pamięci, a i te zacierają się coraz bardziéj. Nie było podobno nic bardziéj rozpowszechnionego w swoim czasie, jak Karpińskiego sielanki. Echo ich z dźwiękami gitary i klawikordu rozbrzmiewało po całéj przestrzeni pól i sioł naszych, a dzisiaj pomimo że były drukowane, czy wielu się znajdzie co pamięta z nich więcéj jak może kilka wierszy o *czekającym Filonie?* Ale sielanki Karpińskiego chociaż ze zmianą smaku przeminęły i zapomniały się, pozostaną w literaturze, jako objaw pewnego jéj okresu i kierunku; lecz ileżto innych pieśni samorodnych, utworzonych przez nieznanych poetów w chwili gorętszego zapału, przelotném błyskającéj natchnieniem, posiadających nieraz gromu potęgę, co jak błyskawica obiegły widnokrąg i zniknęły: ileżto pieśni takich, pamiątkowo-historycznych zapomina się i ginie bez wieści. Otóż bylibyśmy tego zdania, że wydawca *Spiewnika polskiego*, który obecnie dalszą jego zapowiada seryę, szczególniéj starać się winien zgromadzić w swym zbiorze owe dotąd nigdzie nie drukowane, lub tylko po ulotnych porozrzucane pismach, a mało już dziś znane pieśni, przez co nada wydawnictwu swemu pewien wybitny charakter i uczyni go o wiele pożyteczniejszém, aniżeli drukując antologią, ułożoną chociażby z najpiękniejszych kwiatów poezyi drukowanéj.

Znany pod pseudonymem Rodocia satyryk poeta, Mikołaj Biernacki, którego *Piosnki* i *Satyry*, wyszły obecnie w Warszawie, nakładem Gebethnera i Wolffa, zamierza wydać dalszy ciąg tego zbioru. Rodoć w poezyach swych jest ciętym satyrykiem. Posiadają one wiele atyckiéj soli, wiele humoru i pewien oryginalny zakrój, dodający im szczypiącéj werwy. Jestto satyryk z tendencyą szlachetną i nieraz głęboko w stosunki nasze społeczne sięgającą, obejmującą całą sferę naszego życia narodowego, towarzyskiego i publicznego. Wiele z tych utworów nie mogło dotąd ujrzeć światła dziennego. Teka poety jest pełna, jak wiemy. Bardzo zatém byłoby pożądaném uzupełnienie zbioru dalszém wydaniem.

* * *

Wzmiankę o najważniejszém naukowém dziele, którém się chlubi prasa lwowska, pozostawiłem na sam ostatek, jako przerastające znaczeniem i wartością wszystkie pomniejsze wydawnictwa. Chcę mówić o tomie trzecim: *Pomników dziejowych Polski*, rozpoczętych przez nieodżałowanéj pamięci a wielkich zasług naukowych na polu historycznem ś. p. Augusta Bielowskiego, a obecnie pod kierunkiem akedemii umiejętności, i jéj nakładem, przez wyznaczoną z jéj ramienia komisyą daléj wydawanych. Tom niniejszy obejmuje pięćdziesiąt kilka arkuszy druku, a ozdobnością i poprawnością wydania, zwłaszcza zaś bogactwem zawartych tu materyałów i krytyczném tychże opracowaniem nie ustępuje tomom poprzedzającym. Wiadomo, że przed laty dwu-

dziestu, ś. p. Bielowski powziąwszy zamiar krytycznego wydania zbioru źródeł odnoszących się do początkowych i średniowiecznych dziejów Polski, podjął olbrzymią pracę, której tylko przy jego niezmiernéj wytrwałości i rozległych w tym przedmiocie studyach dokonać można było, zwłaszcza że wydawnictwo ze wszech miar tak kosztowne rozpocząć musiał własnym nakładem z nader szczupłych swych funduszów, bez żadnéj obcéj pomocy, lubo znachodzili się mecenasi co głosili początkowo pompatycznie gotowość udzielenia zasiłków na wydawnictwo, lecz nie ziścili zapowiedzi. Dopiero akademia umiejętności, wnet po wejściu swém w życie zwróciła uwagę na wartość i doniosłość wydawnictwa i pośpieszyła poprzeć go, przyjmując na siebie nakład dalszych tomów. Im daléj postępowała praca, coraz bliższe obejmując czasy, w miarę tego rosły zasoby materyałów, których opracowanie krytyczne, jako to: porównanie kodeksów, zestawienie waryantów, zaopatrzenie potrzebnemi objaśnieniami, coraz bardziéj przerastało siły jednego człowieka, wymagając ogromu pracy i czasu. Już w pierwszych tomach na wezwanie Bielowskiego opracowali kronikę Galla, Jan Szlachtowski, Nestora Wagilewicz. Do niniejszego trzeciego tomu wezwał téż był podobnie do spółpracownictwa Bielowski, profesorów tutejszego uniwersytetu: Węclewskiego i Liskiego, tudzież ówczesnego kustosza, a dzisiejszego dyrektora Zakładu im. Ossolińskich Kętrzyńskiego, poruczając prof. Węclewskiemu opracowanie ponowne, umieszczonéj przez Stenzla w *Scriptores rerum Silesiacarum*, będącéj bardzo ważném źródłem historyczném *Kroniki książąt polskich*, zaś wydanie katalogu biskupów krakowskich Kętrzyńskiemu, a arcybiskupów gnieźnieńskich prof. Liskiemu: pozostawiwszy sobie samemu opracowanie całego szeregu licznych *Roczników i Spominek* sięgających aż X wieku, z których najważniejszy pod względem źródłowym obejmujący okres od XII do XIV wieku, jest *Rocznik wielkopolski*. Druk tych roczników obejmuje pierwszą połowę dzieła. Śmierć nagła przed dwoma laty oderwała Bielowskiego od dalszéj pracy, podczas druku dziesiątego arkusza.

Dalsze prowadzenie wydawnictwa podjął tedy, na wezwanie akademii umiejętności z téjże ramienia komitet redakcyjny, pod przewodnictwem prof. Antoniego Małeckiego, złożony z członków tutejszéj komisyi historycznéj: Węclewskiego, Kętrzyńskiego, Liskiego, Cwiklińskiego, Hirschberga i Semkowicza. Tym sposobem po dwu leciech starannéj, mozolnéj a umiejętnéj pracy, jakiéj wymagały obfite zasoby pozostawionych przez ś. p. Bielowskiego materyałów, wyszedł niniejszy trzeci tom *Monumentów*, zawierający w pierwszéj swéj połowie rocznik, i akta przeważnie wielko i małopolskie, opracowane jeszcze przez Bielowskiego; w drugiéj zaś połowie źródła, odnoszące się do dziejów Szlązka. Przeznaczone pierwotnie do pomieszczenia w niniejszym tomie akta pruskie: *Kronika Jana z Komorowa*, biografie i wiele innych, nie mogły już być tutaj zamieszczone dla braku miejsca, musiały zatém za zgodą Akademii być odłożone do tomu czwartego.

Poprzestaję na powyższém doniesieniu o téj najważniejszéj publikacyi naukowéj ostatnich czasów, albowiem szczegółowe krytyczne sprawozdanie o tém ważném dziele nie może wchodzić w ramy pobieżnéj kroniki.

* * *

Ponieśliśmy temi czasy bolesną stratę przez śmierć jednego z najbardziéj w Galicyi wpływowych i zasłużonych obywateli, ś. p. Aleksandra hr. Dzieduszyckiego. Nie piórem i książką, nie pracami naukowemi, ale wielkiemi zasługami w życiu obywatelskiém, na polu prac publicznych, zapisał zmarły pamięć we czci ziomków i w dziejach kraju. Wiadomo, jak wielkim przeobrażeniom uległa Galicya w ostatnich pięćdziesięciu leciech, jak rozmaite przebywała koleje, jakie ponad nią przechodziły burze, jak wielkiéj doniosłości dokonały się reformy. Dosyć przypomnieć lata 1846 i 1848, zniesienie poddaństwa, usamowolnienie włościan, reformy ekonomiczne, erę konstytucyjną, rozwój spraw autonomicznych, przeobrażających rdzennie wszystkie stosunki dawniejsze. W całym przebiegu tych spraw ważnych, tych reform tak znaczących, odgrywał ś. p. Aleksander Dzieduszycki czynną rolę, on w znacznéj części był ich regulatorem przez wpływ wielki, jaki posiadał w obywatelstwie, przez wielką powagę i wytrawność zdania. Przed rokiem 1846 na sejmach galicyjskich ówczesnych, torował drogę usamowolnieniu włościan, w r. 1848 jako poseł na sejm rakuzki w Wiedniu i Kromieryżu, stawał zawsze w obronie prawdziwie liberalnych, umiarkowanych zasad, podobnież jak późniéj, po nadaniu krajowi konstytucyi w sejmach lwowskich. Od lat dziesiątka usunąwszy się z widowni parlamentarnéj, nie poprzestał jednak pracy publicznéj i w radzie powiatowéj, w Towarzystwie gospodarskiém i na każdém zawsze polu. na którém dobro kraju wymagało, gdzie tylko okazała się potrzeba energicznéj a wytrwałéj pracy, zdrowéj rady, poświęcenia i gotowości do czynu, tam zawsze był pierwszym do spełnienia obowiązku, a wokoło niego grupowały się siły, skupiało obywatelstwo, ufne w jego słowo, gotowe iść za jego przykładem i kierownictwem. Dom jego był wzorem staropolskich tradycyi, przechowującym nieskażenie wzory dawnych cnót i obyczaju. Była to postać siłą przekonań, hartem duszy, czystością charakteru przypominająca dawne niezwykłéj miary posągowe postaci, a ubytek jego w sferach obywatelskich niełatwo da się zastąpić.

Władysław Zawadzki.

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Biblioteka Ordynacyi Krasińskich. Muzeum Konstantego Świdzińskiego t. IV. Perska księga na polski język przełożona od Imci Pana Samuela Otwinowskiego, Sekretarza J. Kr. Mci. nazwana Giulistan, to jest ogród różany, z dawnego rękopismu wydał Dr. I. Janicki. Warszawa 1879, str. XVIII i 285.

Nietylko w polskiéj, ale podobno w każdéj literaturze europejskiéj, to co właściwie nazywamy *oryginalnością* w stosunku do *naśladownictwa* stanowi arcy skromną ilość. W ten czy w inny sposób, w pomyśle czy w wykonaniu, w formie czy w treści, naśladownictwo wszelkiego rodzaju tak się rozplenia w każdém piśmiennictwie, że potrzeba bardzo wprawnego oka, wysoce krytycznego umysłu, żeby wyszukać i wyróżnić istotną oryginalność, któraby pod każdym względem była samoistną. Stosuje się ta myśl nietylko do jakichś elementarnych nauk, w których milionkroć się powtarzają też same myśli, w tych samych niekiedy słowach wypowiedziane, ale w ogóle do wszelkich pomysłów rozumowych, a nawet do literatury pięknéj, do zakresu twórczości fantazyi ludzkiéj, gdzie, jakby się zdawało, swobodny polot téj wyobraźni rozpryskaćby się powinien na tysiączne barwy, całkiem odmienne i nic z sobą wspólnego nie mające. Ale w istocie tak nie jest: i ten nawet, niby swobodny polot naszego ducha ma pewne, stałe granice, nietylko ze względów psychicznych, ale i z owych nałogowych, przez wieki nagromadzonych jednostajnych wyobrażeń, wiadomości, pomysłów i form obcych, które częstokroć bezwiednie, dla samego autora stoją na zawołanie w akcie twórczości jego.

Rozpatrując się tedy uważniéj w tych naszych pomysłach i szukając owéj bezwzględnéj oryginalności, dziwnie wielkie czujemy upokorzenie ducha... tak mało, powiadam, tych wydatnych jednostek, i tych samoistnych myśli, że w oceanie naśladownictwa giną one jak drobne kropelki niepostrzeżone. Właściwie nawet możeby powiedzieć należało, że bez tego zapożyczania się z zewnątrz, umysł nasz obejść się nie może, równie jak organizm fizyczny obejść nie może bez pokarmów i powietrza, tak, że mimowolnie nasuwa się myśli naszéj owo głębokie a prawdziwe wyrzeczenie naszego Zygmunta, który mówi, że

„Dziesięć wieków czeka
Na myśl lub człowieka."

Raz wszakże pogodziwszy się z tą niezmienną koniecznością zapożyczania się zewnątrz, chodzi przynajmniéj o to, żeby zakres tego naśladownictwa, albo raczéj źródła naszych pomysłów rozbiegały w jak najszerszych promieniach, żeby one tworzyły jak największe koło. Ale właśnie, że i tu nawet spotykamy się z tak wązką ścieżynką, grecko-rzymskiéj kultury, że i to koło naśladownicze nieskończenie maleje i umysłowi ludzkiemu bardzo ciasne zostawia drogi do odpowiedniéj twórczości.

Po wojnach krzyżowych, do skarbnicy wiedzy europejskiéj wnosi Wschód znaczną część zasobów twórczości swojéj. Wszyscy wiemy o rozkwicie poezyi średniowiecznéj, która z wielu względów oryentalizmowi swe piękno i świeżość zawdzięcza; toż samo powiedziećby trzeba i o nauce, o matematyce, astronomii, optyce i t. d.. Filozofia jednak, pomimo że Europa poznała Arystotelesa pierwotnie za pośrednictwem arabskiéj literatury, najpóźniéj dochodzi do świadomości Europy, bo zaledwo w epoce odrodzenia nauk.

Polacy, sąsiadując i krwawe walki staczając z potężném państwem wschodniém, osiedloném na ruinach cesarstwa bizantyńskiego, byli zawsze w najbliższém przez Turcyą zetknięciu się z Wschodem, musieli zatem mieć klucz, wejście do téj znajomości otwierający. Oprócz dostępnych źródeł praktycznego obznajamiania się z językami oryentalnemi, o których w przedmowie wspomina dr. Janicki (str. V i XV), nasi ludzie u steru rządów krajowych zostający, dawno musieli zwrócić uwagę na potrzebę głębszéj, teoretycznéj nauki języków wschodnich; wiemy bowiem z dziejów, żeśmy mieli *Szkołę oryentalną* w Carogrodzie, która, sądząc z wysokiego stosunkowo wynagrodzenia osób do składu jej należących, na rozległą prowadzona być musiała skalę [1]).

Dziwnym wszakże zbiegiem okoliczności, w literaturze nie pozostało żadnych prawie wydatniejszych śladów téj naszéj świadomości oryentalizmu. Taż sama jakaś niechęć do rzeczy oryentalnych trwa i do dni naszych; tak np., na kilkuset „ludzi pióra" (*sic!*), tu u nas w Warszawie, począwszy od reporterów wszystkich kuryerów, a przechodząc z kolei do innych specyalistów, mamy: polityków, archeologów,

---

[1]) Wzmianki o niéj spotykamy w *Voluminach legum*, ale bliższą o téj instytucyi powzięliśmy wiadomość od p. T. Korzona, mianowicie z przygotowanego do druku, niezmiernie ważnego dzieła p. t. *Stan ekonomiczny Polski* i t. d. P. T. K. wskazał nam na swoje notaty robione z *Rachunków jeneralnych sejmowych skarbu koronnego*, z których widzimy, że utrzymanie *Szkoły oryentalnéj* przetrwało do ostatnich czasów Rzpltéj i systematycznie oznaczono było w *Rachunkach*; tak n. p. w ciągu dwulecia 1778 i 1780 wydano na nią 36,460 złp., w ciągu dwulecia 1780—1782=40,000 złp.; w latach 1784—1786 wydano 40,000 złp.; w latach 1786—1788=38,333 złp. i gr. 10; w latach 1788—1790=40,000 złp., w półroczu 1791 roku wydano 10,000 złp.

etnografów, geografów, statystów, historyków, filozofów, filologów, prawników, pedagogów, lekarzy, inżynierów, nawet średniowiecznych podobno mamy heraldyków... jednych tylko *oryentalistów* czujemy brak dotkliwy. Literatura nasza, wzięta w całym swym obszarze, zapewne, że nie świeci tu zupełnemi pustkami; dość wspomnieć imiona Kowalewskiego, Muchlińskiego, Kazimirskiego, Pietraszewskiego i t. d.; ale cóż ztąd, kiedy wskutek okoliczności mocniejszych od naszéj woli, niekiedy nawet głośne imiona naukowe oryentalistów marnieją całkiem dla piśmiennictwa polskiego, a pomijając dawniejsze w tym względzie dowody, dość wspomnieć choćby jednego Augusta Żabę, specyalistę języka kurdzkiego, którego szacowną pracę leksykograficzną, *uczenie* przyswoił sobie i wydał w swojém „opracowaniu" Ferdynand Justi [1]). Te i inne nieprzyjazne okoliczności sprawiły, że tu u nas w Warszawie, po śmierci Antoniego Muchlińskiego i Józefa Kowalewskiego, prawie niémamy właściwych specyalistów na tém polu; znamy zaledwo dwu młodych zwolenników téj wiedzy, którzy dopiéro rozpoczynają na poważniejszą skalę swoje studya, jak np. I. A. Święcicki, który studyuje ogólnie literatury Wschodu i Ignacy Radliński, który piśmiennictwo hebrajskie i assyryjskie ma za cel swoich badań. Wielce tedy byłoby pożądaném rozszerzenie koła tych zwolenników oryentalizmu, by zapełnić dotkliwe w téj gałęzi braki literatury naszéj.

Szczęśliwy wyjątek od téj ogólnéj próżni oryentalnéj stanowi myśliciel perski, Sády z Szyrazu i jego *Gulistan*. W r. 1876 z oryginału perskiego dał nam znakomity przekład W. z Bibersteina Kazimirski, a obecnie staraniem dra I. Janickiego, a nakładem Muzeum K. Świdzińskiego mamy inny przekład tegoż dzieła, dokonany prawdopodobnie w pierwszéj ćwierci XVII wieku, przez nieznaną dotąd postać w bibliografii naszéj, przez Samuela Otwinowskiego. To ostatnie wydawnictwo stanowi dla nas podwójną zdobycz naukową i wysoce oryginalnego, pełnego wdzięku stylu tłómacza, Zygmuntowskie czasy przypominającego, a więc szacowny pomnik językowy i obok tego wyraźną wskazówkę literacką, że dawni Polacy nie byli tak jak my dzisiaj, obojętni na sprawy i literatury Wschodu. Zbytkiem więc tego dwukrotnego jednego utworu przekładu nazwać wcale nie można, bo Kazimirski pozostanie zawsze uczoną pracą, może europejskiéj doniosłości, a Samuel Otwinowski będzie pięknym pomnikiem piśmiennictwa XVII wieku.

Po wydaniu *Dyaryusza sejmu piotrkowskiego z r. 1565*, *Aktów podkanclerskich Fr. Krasińskiego*, *Aktów poselskich i korespondencyi jegoż*, *Korespondencyi J. K. Chodkiewicza*, *Materyałów do dziejów rolnictwa w Polsce w XVI i XVII wieku*, *wespół z życiorysem Jana Ostroroga* i wreszcie po *Pamiętniku Jana Władysława Poczobuta-Odlanickiego*, obecnym, z kolei dziesiątym tomem przysłużyła się literaturze polskiéj Biblioteka Ordynacyi Krasińskich i Muzeum Świdzińskiego,

[1]) Patrz wstępny artykuł *Gaz. Warsz.* nr. 141 r. b.

stając w szlachetne szranki współubiegania się z dwu innemi, dawniéj zasłużonemi ogniskami wydawniczemi, z wydawnictwami kórnickiemi i Imienia Ossolińskich.

Mając zamiar ocenić wartość ostatniego wydawnictwa d-ra Janickiego, rozpatrzmy przedewszystkiem, jaka jest istotna zawartość Gulistanu Sádego, oraz względną zasługę tłómacza, a najprzód zwróćmy uwagę: dlaczego autor nazwał swą pracę *Ogrodem różanym?* Pytanie to i naszę wyłącznie obchodzić może literaturę, bo napisy dzieł tego rodzaju spotykamy u nas od XVII wieku (jak np. Wespazyana z Kochowa Kochowskiego *Ogród...* pod sznur Pisma św. i doktorów wysadzony...), to jest od tego właśnie czasu, kiedy i w Europie znany Andrzéj du Ruyer i słynny podróżopisarz Olearius podali pierwsi Europie wiadomość o tym utworze Sádego, a nawet może i nieco wcześniéj. Czy w tym czasie nasze *Ogrody* były prostém naśladowaniem *Ogrodów* Sádego, dowodów na to oczywiście nie mamy, ale sądząc z dat, wszelkie prawdopodobieństwo potemu widzieć mamy prawo. Co do wyrazu *różany*, to zbadanie i téj kwestyi, jeżliby ona w zupełności była możebna, miałoby jeszcze rozleglejsze znaczenie, bo dotyka nie już polskiego tylko, ale ogólnego naśladownictwa, jakie z jednéj literatury przechodzą do drugiéj. Symbolika róży jest tak wydatną kwestyą w estetyce i tak powszechne ma zastosowanie w literaturach europejskich, że nie od rzeczy tu będzie słówko o tém nadmienić. Powszechnie Egipt uważają za najdawniejsze ognisko prahistoryczne, od którego się rozpoczynają nasze wiadomości o symbolizowaniu tego ulubionego kwiatu, w zwojach bowiem najstarszych papyrusów miała się przechować wzmianka o róży. Ale i stare pisma Hindusów i Parsów nie milczą o niéj, a co się tyczy klasycznéj Hellady, to w niéj róża stała się niezbędnym dodatkiem wszelkich nietylko biesiad, ale i obrzędowości greckiéj; wkroczyła ona nawet w dziedzinę mytologii i stała się koniecznym warunkiem zdobienia bogów i bogiń Olimpu, poeta zaś grecki, Anakreon, najwyższy jéj wielbiciel, w dziwnie poetyczny sposób opowiedział zjawienie się róży na świecie, pisząc, że gdy Anadyomene wyszła z morskiéj topieli pianą okryta, a Minerwa wyskoczyła z głowy Jowisza, naówczas zdziwiona ziemia porodziła krzew róży, niecierpliwi zaś bogowie, chcąc, by pączek czémprędzéj się rozwinął, skropili go wonnym nektarem. Rzym, równie jak Grecya, polubił różę, a nawet używanie i nadużywanie tego kwiatu doszło do potwornéj przesady, literalnie bowiem „spoczywano na różach" i marnowano ten kwiat w najrozmaitszy sposób, gdyż nietylko zdobiono sobie głowy, ale posypywano nią podłogę, wyścielano siedzenia biesiadników, wyrabiano pomady i olejki różane, a wyuzdany Heliogabal kazał spuścić wodę z sadzawki marmurowéj i napełnić ją wodą różaną. To rozmiłowanie się w róży i do średniowiecznych i późniejszych przeszło czasów i niekiedy uprawiano ją na wielką skalę, ale nigdy na taką, jak w Rzymie lub na Wschodzie. Do ostatnich nawet czasów trwa to lubownictwo, i oto czytelnicy europejscy z powodu ostatniéj wojny, przypomnieli sobie, że

na półwyspie Bałkańskim istnieje dotychczas *dolina róż*, która przed rokiem jeszcze była *doliną krwi*. I tam tedy pielęgnowanie róży i wyrabianie olejku różanego trwa dotąd i przypomina właściwą na Wschodzie ojczyznę róży, Persyą, a właściwie Szyraz, który unieśmiertelnili w swoich utworach Hafiz, a przed nim nasz Sądy.

Nazwa przeto *Ogród różany*, jaką dał pisarz perski utworowi swemu, nie jest ani czémś przypadkowém, bo jak widzimy, róże jako symbol piękna i miłości, tak głęboko się wyryły w wyobraźni ludów, że się stać musiały koniecznemi akcesoryami poetyckiemi i niezbędną symboliką w estetyce ludów Europy i Azyi; nie jest ta nazwa wreszcie i czémś ogólném, jeżeli tak powiedzieć wolno, kosmopolitycznem, ale ma raczéj ściśle lokalną cechę, bo jak powiedziałem, Szyraz w owe czasy (XIII w.) mógł być uważany za istotną ojczyznę róży, gdy uprawiana ona tam była na największą niż gdziekolwiekbądź skalę.

Treść *Ogrodu różanego*, w przekładzie Samuela Otwinowskiego, oprócz wstępu, następująca: Część I, „o obyczajach cesarzów, królów i panów wielkich," Część II, „o obyczajach i przymiotach duchownych i regularystów;" Część III, „o cierpliwości i przestawaniu na tém, kto co ma; Część IV, „jako spokojnym być, spokojnie żyć i mało mówić jest rzecz pożyteczna;" Część V, „o miłości z młodości pochodzącéj;" Część VI, „o starości i słabości starych;" Część VII, „o obyczajach i nauczaniu się rozumu i Część VIII, któréj w autografie brak końca: „o rozmowach obyczajnych i przypowieściach różnych." Jestto zatém, jak już z samych napisów widzimy, etyka społeczna, praktyczna filozofia życia, służyć mająca za wskazówkę do powszechnego użytku. Metoda wykładu Sádego jest taka, że zwykle opowiada jakieś zdarzenie znane mu z opowiadania lub z własnego doświadczenia, i z téj paraboli czy anegdoty wyprowadza wniosek, morał, zawarty w formie wierszowanéj [1]).

Owóż w rozmaitych tych kształtach gnomów, parabol, maksym i sentencyi, bez żadnéj pretensyi do zewnętrznego systematyzowania swoich myśli, wypowiedział Sády bardzo wiele prawd etycznych, którychby się nie powstydzili moraliści świata chrześciańskiego. I nie mamy w tym razie czemu się dziwić, bo podobno przyjąć to można za prawdę, że istota wyższéj etyki spoczywa u wszystkich ludów na tych samych podwalinach prawd odwiecznych a niewzruszonych; obłocze tylko, kształt zewnętrzny bywa nieskończenie rozmaity, i zależy

[1]) Mniéj nas, jako nie specyalistów, zaprzątać może kwestya dokładności lub niedokładności przekładu; nawiasowo więc tylko powołujemy się na list p. Kazimirskiego do d-ra Janickiego pisany, w którym przypuszcza, że Otwinowski miał pod ręką albo przekład turecki, albo tłómacza turczyna słuchał, czyli, że nie z oryginału perskiego rzecz swą wysnuł; mówi, że S. O. trochę poopuszczał, niekiedy z prawdziwém znaczeniem się rozminął, przyznaje jednak, że w ogóle główny wątek myśli „dobrze i gładko oddał." Pomijając przeto tę stronę lingwistyczną, spojrzyjmy na istotę myśli Gulistanu.

tyleż od wieku, co od narodu, jako też od jednostki te prawdy wygłaszającéj. Sády przeto z wielu względów zbliża się do naszych pojęć, kształtuje tylko te prawdy po swojemu: obrazowo, oryentalnie, w nieustannych allegoryach, hyperbolach, metaforach myśl swą zamykając. Mimo to jednak, a może właśnie dlatego, ma ten sposób *associatio idearum* szczególny powab dla europejskiego czytelnika: ma barwę świeżości i jakiéjś samodzielnéj, jakbym powiedział, ekscentryczności, rzadko gdzie rozmijającéj się z ustalonemi wyobrażeniami etyki naszych czasów.

Wyżéj nazwaliśmy go myślicielem, ale w istocie nie takto łatwo podobno wskazać odpowiednie jego stanowisko naukowe, oraz określić bieg i kierunek jego rozumowań; w żadnym razie nazwać go naszym filozofem nie można, jestto raczéj *mędrzec* Wschodu, zbliżony do tego rodzaju myślicieli klasycznéj Hellady, jeżeli nie ze względu sposobów wypowiadania myśli, to przynajmniéj z wyraźnego celu praktyczności, doraźnego zastosowania w życiu prawd przez się głoszonych. Otóż ten mędrzec praktyczny świata mahometańskiego wszystko stosuje do Boga, uważa go za alfę i omegę mądrości, a świat cały i całe życie ludzkie za doczesną pielgrzymkę, w któréj to tylko ma istotną wartość, co z Boga, w Bogu i dla Boga się dokonało.

To podniesienie ducha prawie na wyżyny, do których się wznosił geniusz religijny Hebreów, nie wiele ma jednak wspólnego z istotną kulturą i z formami teistycznemi mędrców i proroków Starego Zakonu: Sády jest dzieckiem cywilizacyi muzułmańskiéj, jest odroślą filozoficzną Koranu i cechą jego myślenia, równie jak i owéj księgi świętéj Mahometan cechą jest zbieganie się rażących nas ostateczności. To też jak w Koranie widzimy niekiedy dziwaczną mieszaninę czystego deizmu, z Biblii zapożyczonego a obok lubieżne a nęcące dodatki jagiegoś raju Mahometa; toż samo i Sády: obok wzniosłéj etyki ma obrazy wcale niedwuznacznéj niemoralności, obok rzewnego, czystego tchnienia religijnego, obrazy zmysłowości tak nagie, że nawet zepsute serce europejskiego czytelnika wzdryga się na to spaczenie natury ludzkiéj i godności człowieka. Oprócz wielu ustępów téj treści po całém dziele tu i owdzie rozrzuconych, cała księga piąta: *O miłości z młodości pochodzącéj*, jest téj uwagi przekonywającym dowodem.

Ale spojrzyjmy bliżéj na dodatnie strony etyki jego. Już na początku swego utworu Sády mówi, że należy „Panu Bogu dzięki czynić i modlić się, i w Jego przykazaniu żyć; bo im Mu lepiéj kto służy, tém On więcéj dobrego mu daje. Za każde dobre, Bogu chwałę dawać i dziękować potrzeba. Miłosierdzie Boże i łaska Jego, jako deszcz każdemu dawana bywa, tak, że nikogo nie wyjmując, stół dobroczynności Pan Bóg wszystkim daje" (str. 2).

Bóg jest okiem opatrznem ludzkości:

„Trudno to sąsiadowi wiedzieć, jak kto żyje,
Ale Bóg wié, co z wierzchu i wewnątrz się kryje" (str. 97).

Bóg jest sprawcą wszechrzeczy i czynów ludzkich:

„Za sprawą Bożą z sadzonéj trzciny, cukier dobry się stawa, a zaś za przejrzeniem Bożém daktylowa kostka w wysokie palmowe drzewo się obraca" (str. 2); albo:

„Sam Bóg i nieprzyjaźnią i przyjaźnią włada,
I każda z nich tylko tam, gdzie każe pada" (str. 55).

Dlatego też, kto chce być dobrym mazułmaninem, cały oddać się ma Panu Bogu:

„Kto tedy między wierne chce być policzony,
Niech ma umysł do Boga wszystek obrócony" (str. 56).

Ta miłość Bóstwa doprowadzić może człowieka do ofiarnictwa, do bezwzględnego poświęcenia się, co w wysoce poetyczny sposób Sády wyraził w tych słowach:

„Ćma, maluczki robaczek, tak ogień miłuje,
Że zajrzanego nigdziéj już nie odstępuje;
Owszem się z zapaloną świecą tak pobraci,
Iże ono swe braterstwo duszą swą zapłaci.
Niech się każdy uczy takowéj miłości:
W prostocie postępować z Bogiem i w szczerości" (str. 4).

Z tego źródła, t. j. z miłości Bóstwa płynie wszystka moralna wartość człowieka, wszystkie dobre postępki i przymioty moralne, jak np. zapomnienie uraz:

„Odpuść szczerze, a w wieczném utop zapomnieniu,
Jeśli chcesz swemu dobrze usłużyć sumieniu" (str. 116);

poskramianie namiętności:

„Próżno się ten siłą i męztwem przechwala,
Kto złym żądzom nad sobą zwycięztwa pozwala" (str. 117);

wstrzemięźliwość i uczynność:

„Używaj ty, człowiecze, skromnie, coć Bóg dawa,
I udzielaj drugim chleba, pókić stawa;
Bo nietylko ztąd żadnéj nie będziesz miał szkody,
Ale i owszem wiecznéj pewien bądź nagrody" (str. 144);

albo:

„Kto post i wstrzemięźliwość swą inszym przedaje,
Pali, do gumna zwiozłszy swoje urodzaje;
Niepotrzebnie przez wiek swój myśl swoję bogacił,
Ponieważ nic nie kupił, a złoto utracił" (str. 231);

poprzestawanie na małém:

„Ci co umieją na małe przestawać,
Obmów się ludzkich mogą nie obawiać" (str. 36);

cierpliwość, którą w osobie żebraka arabskiego tak wypowiada Sády: „Uczyń mię bogatym, o cierpliwości, bo kto ciebie niéma, ten rozumu niéma" (str. 122).

Żeby się zbliżyć do tego ideału prawego muzułmanina, potrzebne są nietylko wspomniane wyżéj przymioty, ale oraz post, pokuta, „która od bożego gniewu człeka chroni" (str. 96), a przedewszystkiém modlitwa, którą w ten szczytny sposób, godny pióra Kochanowskiego sformułował S. Otwinowski:

„W każdy dzień co ichkolwiek w rok się liczyć może,
Na twardéj ziemi kładę twarz ku czci Twéj, Boże;
A myśli wszystkie moje są o samym Tobie:
Proszę, chciej téż mię kiedy Ty przypomnieć sobie" (str. 78).

Drogą tych i innych cnót, a przedewszystkiém drogą modlitwy, dochodzi człowiek do czystości duszy, która prowadzi go do uwielbienia Najwyższego i do wielkiéj miłości ludzi, co Sády wielce poetycznie i rzewnie témi wypowiada słowy:

„O! jakoż mię uszczęścił Bóg wielkiéj miłości,
Że nie umiem, nie mogę ludziom czynić złości" (str. 125).

Właściwie mówiąc i wszystkie inne strony życia i stosunków ludzkich, jakich w swém dziele dotyka myśliciel z Szyrazu, z powyższego wypływają źródła, t. j. wszystkie warunki uobyczajenia i cnót społecznych, np. miłość ziemi rodzinnéj, poszanowanie przeszłości, (str. 74, 75), miłość rodzicielska, t. j. miłość dzieci i rodziny (str. 107), miłość synowska (str. 206), staranne wychowanie tych dzieci (str. 22, 23), o ile ono jest w granicach możebności rodziców, bo z przyciskiem mówi Sády, że tylko wtedy coś z dzieckiem zrobić można, kiedy kto do nauki ma chęć z przyrodzenia," w przeciwnym bowiem razie nic z nieuka, z osła, jak nazywa, nie będzie, co w tak plastyczny sposób omawia:

„Na ośle, Jezus prorok miał swój wjazd do Mechy,
A przecież osieł osłem: zdechł bez wszéj pociechy" (str. 197).

Toż samo powiedzieć trzeba o oszczędności, gościnności, o milczeniu, o pokorze, o litości nad nieszczęśliwym i t. d. Jeżeli dodamy do tego, że w całém dziele rozrzucone są bardzo trafne uwagi o rozmaitych wadach i ułomnościach ludzkich, o zazdrości, chciwości i obżarstwie i t. d., to będziemy mieli całą skalę etyki Sádego, niezależnie od obrazowania miejscowych stosunków krajowych, które jako wyłącznie lokalny mające charakter, mniéj nas obchodzą.

W wielu miejscach *Gulistanu* powołuje się Sády na Al-Koran, na znanych sobie mędrców Wschodu, niekiedy na biblią; ale uważniéj badając istotę jego myśli, dochodzimy do przekonania, że inne jeszcze żywioły weszły w skład jego filozofii, a mianowicie: mędrcy i myśliciele greccy. W kilku miejscach *Gulistanu* jest mowa o stosunkach z Gre-

cyą, ale choćby tego wcale nie było, to liczne spotykamy dowody, świadczące o powinowactwie duchowém jego morałów i apologów ze zdaniami Platona, Arystotelesa, a nawet może Epikura, Antystenesa i Dyogenesa. Tak np. już z powyższych cytat nie trudno widzieć, że w zakresie moralistyki Sádego znajdują się wszystkie znane cnoty kardynalne Platona, t. j. *męztwo*, *mądrość*, *wstrzemięźliwość* i *sprawiedliwość*, a z nich zwłaszcza dwie ostatnie bardzo wyraźnie są uwydatnione w *Gulistanie*. Toż samo powiedziéćby można o zapożyczaniu pierwowzorów z etyki Arystotelesa: jak ów myśliciel grecki i Sády szuka *szczęścia*, *cnoty* i *dobra*, a śród nich wyróżniamy u Sádego pojęcie cnoty, która właśnie na sposób Arystotelesa jest czémś środkującém pomiędzy wymaganiami rozumu z jednéj, a popędami egoistycznemi z drugiéj strony. Nie chodzi jednak wcale autorowi *Gulistanu*, jak owym myślicielom greckim o zupełne wyczerpanie zakresu etyki, nie chodzi mu o wiedzę teoretyczną, ale tylko o praktyczne téj wiedzy zastosowanie. To téż twierdzi:

„Chcesz wiedzieć, co jest człowieka dobrego powinność,
Wiedzże: iż miłosierdzie, ludzkość i uczynność" (str. 208).

Samo nawet nabywanie wiedzy z życia, z doświadczenia, a nie z ksiąg czerpać chce. „Lokmana, mówi Sády (str. 12), najpierwszego doktora, pytano:

— Rozumu od kogoś się nauczył?

Odpowiedział:

— Od ślepych, bo pierwéj nogą macają, niż stąpią.

Idea swobody wewnętrznéj i owa znana *apateja* Dyogenesa, także dość wyraziście się zarysowuje na tle tych parabol i sentencyi myśliciela-poety perskiego. Pod tym względem dość wskazać na str. 60, 90, 114 i dalsze. W celu wyjaśnienia stopnia i charakteru tego powinowactwa, wypisujemy tu taki ustęp:

„Jeden derwisz *obnażony*, na jedném miejscu dalekiém, regułę osobności trzymając, siedział. Cesarz mimo oń jadąc, pilno mu się przypatrował. Derwisz jakby nie widział, oczu swych ku górze nie podniósł, ani się ruszył. Cesarzowi to niemiło było i rzekł do wezyra, który z nim był:

— Ci ludzie podobni są bydlętom: obyczajów, ani ludzkości niemają.

Zrozumiawszy wezyr cesarskie słowo, rzekł derwiszowi:

— Pan ziemski mimo cię jechał, czemuś mu uczciwości nie uczynił?

— Niech się od tego uczciwości i ukłonu spodziewa, który się téż urzędu i dostojeństwa od niego nadziewa. Więc i to powiédz, że ubodzy poddani nie dla zachowania królów, ale królowie dla strzeżenia i obmyślania pokoju ich są (....).

Te słowa przeraziły cesarza i rzekł derwiszowi:

— Proś mię o co, derwisz?

— O to cię, cesarzu, proszę, abyś *drugi raz tędy nie jeździł, a wczasu mi mego nie przeszkadzał.*"

Któż w téj opowieści nie przypomni sobie pospolicie znanego spotkania się Aleksandra z Dyogenesem?

Z tego wszystkiego, co się powiedziało wyżéj, można stworzyć sobie pojęcie, jakie były podwaliny filozofii Sádego: Koran, biblia, ewangelia, mędrcy Wschodu, oraz myśliciele Grecyi: oto pierwiastki składowe etyki w *Gulistanie* zawartéj.

Tak zbudowana ta księga mądrości wschodniej, od XVII wieku zaczęła obiegać Europę i wsiąkła w myśli i utwory naszych uczonych i poetów. Ale, jeżeli łatwo było wykazać zapożyczanie się Sádego od Europejczyków, to nierównie trudniéj wyjaśnić, kto i kiedy się zapożyczał od Sádego. Nateraz dość nam wspomnieć, że dr. Janicki rzucił bardzo trafną uwagę, wskazując na *Bajki* Krasickiego, których źródłem niewątpliwie były wymienione ustępy *Gulistanu*. Takich ustępów, oprócz wspomnianych przez wydawcę, znalazłoby się nieco więcéj; tak np. na str. 222, 224 i 225 czytamy myśli również przypominające naszego bajkopisarza.

Ale nietylko w XVIII, ale może nawet w XVII już w., w literaturze naszéj znaleźć można to powinowactwo z myślami Sádego, a może wprost zapożyczanie się od niego. Tak np. w *Przysłowiach mów potocznych* Jędrzeja Maks. Fredry (Kraków 1658 r.), pomiędzy innemi czytamy takie sentencye: „Łakomy, gdy umiera, wtenczas najprzydatniejszy ludziom." „Wielkie rzeczy najlepiéj zamilknieniem się mówią." „Najlepiéj o Bogu mówi, kto nie mówi; lecz podziwieniem dokłada," i inne podobne, które wielokrotnie się powtarzają u Sádego.

Zresztą kwestya wpływu *Gulistanu* na piśmiennictwo nasze, nie da się ściśle określić już z tego względu, że trudno jest wskazać z całą dokładnością: kiedyobecny przekład dokonany został? P. Janicki w przedmowie bardzo pracowicie zgromadził wiadomości, jakie się zebrać dało, z Niesieckiego, Okolskiego i innych źródeł, z których wyprowadza wniosek, że przekład wykonany być musiał pomiędzy rokiem 1610 i 1625; zawsze jednak jestto tylko prawdopodobieństwo, ale jeszcze nie fakt, który radzibyśmy widzieć. Że jednak to przypuszczenie ma za sobą wszystkie pozory słuszności, to z naszéj strony potwierdzić je możemy ustępem z samegoż *Gulistanu* wziętym. Na str. 240, Otwinowski témi słowy wykłada tekst Sádego:

„Co się prędko wznieci,
Niedługo świeci," dodając:

mądrzy powiedzieli.

Jestto, jak wiadomo, *dosłowne* powtórzenie przysłowia Salomona Rysińskiego; a ponieważ z bibliografii naszéj wiemy, że *Proverbium Polonicorum centuriae duodecim* i t. d. wyszły poraz pierwszy w r. 1618 w Lubczu, ztąd niebezzasadny mamy prawo zrobić wniosek, że Samuel Otwinowski, dla łatwiejszego wyrażenia myśli pierwowzoru Sádego, mógł

wziąć znane już sobie przysłowie Rysińskiego, czyli że pisał przekład po r. 1618.

Cóżkolwiekbądź, zwracając uwagę na styl, na formy językowe, potrzebaby raczéj wcześniejsze niż późniejsze przyjmować daty przekładu; tak bardzo bowiem język ten przypomina piękne czasy Zygmuntowskie i to pierwszéj połowy XVI wieku, co zresztą wyraźnie nadmienia D. Janicki, wskazując główniejsze zwroty staropolskie.

Jeżeli jednak mamy patrzéć na obecny utwór, jako na wyłączny *pomnik językowy*, to starannemu wydawnictwu temu, za które rzetelna wydawcom należy się zasługa, pozwolimy jednak sobie jedyną zrobić uwagę: podług naszego zdania, z wyjątkiem chyba wyraźnych błędów przepisywacza, nic a nic nie należało modernizować, nietylko form językowych (które tu dokładnie wszędzie zachowano), ale i pisowni nawet. Wszak to jest dokument, z którego przyszli badacze językowi czerpać będą podstawy do wniosków swoich. Nie trafia więc do naszego przekonania, co mówi D. Janicki na str. 17, o niestałości pisowni rodzajowania przymiotników w rękopiśmie Otwinowskiego, bo porównawszy z autografem, ile mi czas pozwolił, obecne wydawnictwo, doszedłem do wniosku przeciwnego, t. j. że stale *jednę pisownią widzimy* wszędzie zachowywaną. Tak np. na str. 2 oryginału czytamy; *za każdym tchnieniem, przedtym*; na str. 3: *umysłem dobrym*; na str. 5: *jednym tchnieniem, łagodnymi słowy*; na str. 7: *na jednym wysokim i barzo wesołym miejscu*; na str. 8: *pod twym imieniem*; na str. 22: *o jednym królu*; na str. 30: *z drugim towarzystwem*; na str. 44: *w żywocie swym*; na str. 121: *rozmaitymi gadkami*; na str. 125: *w naszym towarzystwie*.

Kończąc sprawozdanie nasze, nadmieniamy jeszcze, że książka, o któréj była mowa, dedykowana jest przez wydawcę J. I. Kraszewskiemu, któremu wydobycie swoje z ukrycia zawdzięcza; należy przeto do licznego szeregu dzieł *roku jubileuszowego*, zacnego Nestora piśmiennictwa naszego. Obyśmy takie jubileusze i takie wydawnictwa jaknajczęściéj święcili.

d. 8 lipca 1879 r.

Antoni Bądzkiewicz.

Czesław. Poezye. Zeszyt I. Warszawa, 1879 r. Druk K. Kowalewskiego.

Pod takim napisem występuje na świat niewielka książeczka (o 96 stron,), ale w podjętym przez siebie promieniu wcale ponętna i dobrze wróżąca o siłach autora. Kierunek jasno tu wytknięty, wypowiada go wiersz początkowy p. n.: *Oświeć mię Panie!* Autor umiłował tradycyą, z czego najserdeczniéj wynurza się w téj gorącej apostrofie do *Wieku* (dzisiejszego):

„U stóp twoich, szata staroświecka pobryzgana krwią i złotem. Płaszcz twój, płaszcz bez nazwy, szyty lnem i złotem; gdy wicher nim wstrząśnie i rozsłoni obie jego strony, to świat nie wié, czy ty świecisz królewską purpurą, czy łachmanem nędzy."

Wprawdzie niedość stanowczo odgadujemy, co nasz śpiewak uważa w tym tytanie za łachmany, a co za purpurę królewską; lepiéj jednak i zaszczytniéj domniemywać się tu skargi na pewne *zobojętnienie etyczne*, na powolne stygnięcie atmosfery społecznéj (podług nas pozorne tylko), aniżeli jakiegoś tam dąsania się na postęp materyalny i rozrost ducha ludzkiego we wszystkich kierunkach.

W wierszu: *Z dziejów wieku* (str. 3 i daléj) mamy widoczną przymówkę do elegicznego nastroju, w niedawno zamkniętym okresie naszéj poezyi. Że to rzeczywiście była chwila muzyki *coi sordini*, nie przeczymy; nie przeczymy téż całkowicie zdania, wyrzeczonego w drugiéj zwrotce (str. 4); ale wręcz protestujemy przeciw temu, co nasz śpiewak (i bardzo wielu za nim i przed nim) mówi daléj:

„Przeto marny był to śpiew, bo jak garść bezpłodnych plew, na szeroką padał błoń, a na pola ukochane ziarna, z obcych niw zebrane rozsiewała obca dłoń."

Na str. 5, w pierwszych trzech ustępach mamy znowu przestrogę, ładnie przykrojoną, ale niewłaściwą, bo w niéj pokrzyżowały się sprawy konkretne z ideałami, rzeczy ziemskie z boskiemi. Śpiewakowi, choć zapewne młodszemu laty, odpowiadamy, że w górze „nad zagonem" jest coś więcéj, jak *kraina snów*. Luneta astronomów i intuicya wieszczów, powytykały już tam drogi i stacye, przytém i sam autor, często się tam zapuszczał w swych pieśniach; nie należało mu więc zamykać furtki za sobą.

Wiersz: *Nie mów*, jest prześliczny. W *Grunwaldzie* (str. 15—19), pomimo niewolniczéj zwykle roli libretta *po* muzyce, autor nieraz odzywa się energicznie:

„Tuman kurzawy nad wzgórzem się kłębi,
Białe kohorty stają na wyżynie,
Jak wielkie stado ofiarnych gołębi" i t. d.

Arcy-niespodziewanym, arcy-nieprzewidzianym jest tam wykrzyknikowy ustęp (str. 19):

„O! spójrzcie wnuki olbrzymów plemienia,
W twarz ojcom waszym, a może *rumieńcem*
Spłoną wam lica, że do grobów cienia
Poszli *ostatni* oni z sławy wieńcem."

Widoczne autor odebrał tu wet za wet, bo w zakończeniu jak i myśl, tak i rytm mu się nie powiódł „i ten wiersz wraz mu stwardniał."

Z całą szczerością bratnią odradzamy autorowi wprowadzanie na szerszą skalę humoryzmu, który zaledwie w poematach wielkiego

rozmiaru, jak *Don Żuan* lub *Beniowski*, usprawiedliwić się dają. Cała oktawa ostatnia (na str. 33):

„Poetycznieję, w sen wpadam niebieski" i. t. d.

jest niepotrzebném skopiowaniem Słowackiego, nad ktore przekładamy naśladowane z niego: *Smutno mi, Boże!* Również zagadkowe wrażenie sprawiają wiersze tego rodzaju: jak:

„Zachwycano się uderzeń gradacyą,
Dziś ta choroba zwie się palpitacyą;"

albo na str. 41:

„O, ty młodości! ty nad poziomy
Ulatująca..."

Nie! szanowny śpiewaku! nie są to czasy Arystofanesa, iżby nam godziło się z zimną krwią przestrajać małe tercye na wielkie w cudzéj pieśni — nie po to owa myśl wzlatywała nad poziomy, aby „sądzić, że zemdleje, albo co najmniéj, że na miejscu skona;" nie po to: nie po to. Niepotrzebnie téż do zalet młodziana: „oczów ślicznych, modnego ubrania, pijania wody i różnych cnót niemałych a licznych" weszła i znajomość „wszystkich przepisów ewangelicznych," gdyż wiele poświęceń robią śmiertelnicy dla rymu; jednakże są granice, które, nie wątpimy, instynkt zachowawczy i autorowi uznać nakazuje.

Jeszcze słówko ogólne. Autor *Poezyi* ma niezaprzeczoną łatwość wysnuwania się, uczucie rytmu na różnych stopniach wcielania myśli. Nie podejmując się zadań szerszych, na wzruszenia domowe, rodzinne, ogólnie ludzkie, ma w zasobie dźwięki wydatne, klarowne, nieraz i serdeczne, gorące. Co do języka, podkreślamy pewne usterki, od których niewątpliwie i sam gotów będzie odstąpić: „człek, niebiesny, doszedło (do celu), żebrzeć, nie wracać mi w otchłań, serce zabiło, dziecko zostało jedno (=samo), nadziej (od *nadzieja*), zaśmiał się."

Mniéj, a raczéj jaknajmniéj subjektywizmu, nie nadużywanie krepy (przeciw czemu i sam śpiewak nasz występuje, str. 4), wyraźne ograniczanie faktów od abstrakcyi, surowa baczność na subtelności ducha mowy: oto są ostatecznie sformułowane wymagania nasze. Cześć dla idei, a dobrze wróżące zadatki, w niniejszym zeszycie złożone, nakazywały nam wyświetlenie obu stron medalu.

Bodajbyśmy w następnych utworach spotkali więcéj takich wierszy, jak następujący (str. 13):

Nie mów!

O! nie mów nigdy, że wśród walki życia,
Twój duch złamany sam sobą nie włada!
Wśród snów i marzeń szalonych rozbicia
Zostaje człowiek, choć Tytan upada.

O! nie mów nigdy, że na łez dolinie,
Promień ci szczęścia nie zaświeci więcéj;
Łza twoja z serca wystygłego płynie:
Rzuć dumną skargę, ukochaj goręcéj.
O! nie mów nigdy, że dla ciebie trzeba
Innego świata, innych na nim ludzi;
My wszyscy równi, my „zjadacze chleba:"
Równa nam praca ducha i dłoń trudzi.
Z braćmi w szeregu stań na wspólnéj roli
Do pracy wspólnéj, nie do skarg i waśni;
Pomóż im dźwigać brzemię ciężkiéj doli,
A bratni uśmiech czoło ci rozjaśni.
A w sercach bratnich ujżysz, jak w odbiciu
Własnego serca stare jak świat dzieje;
Ujżysz łzy krwawe przelane w ukryciu,
Przebyte burze, stargane nadzieje.
Wśród walk życiowych, ty wytrwasz do końca,
Tylko nie rzucaj przed czasem oręża;
Tylko nie sięgaj po gwiazdy i słońca!
Tytan upada, lecz człowiek zwycięża!

Biesiada u milionera rzymskiego, za czasów Nerona, według satyrykonu Petroniusza Arbitra, przez Wład. Mich. Dębickiego. Warszawa. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa. 1879. Nakładem Nestora Złowodzkiego, kandydata nauk historyczno-filologicznych. Drukiem J. Noskowskiego.

Dziejopis Platina mówi o Tyberyuszu, że nie można umieścić go ani w rzędzie dobrych, ani w rzędzie złych książąt. O! jakże pod tym względem szczęśliwszym jest Nero! Ten bohatér Hamerlinga i Siemiradzkiego, pozabijawszy „tylu znakomitych mężów i cnotę" [1]), a wreszcie i samego siebie; ten Cezar-flecista obok ulubionego przysłowia swego „wszelka ziemia żywi sztukę" [2]) mógł sobie powiedzieć w chwili, gdy się przebijał pożyczanym mieczem, że potomność co do niego, wątpliwością wyboru mozolić się nie będzie. Autor książki, któréj słów kilka poświęcić zamierzamy, znany lingwista i myśliciel, p. Wład. Mich. Dębicki, zamierzył sobie do ilustracyi nerońskich dodać mało u nas znany, arcycharakterystyczny przyczynek—*Biesiady u milionera rzymskiego*; przedstawia nam już nie profil, lecz rzeźbową dotykalność ohydy, w jaką ubrnęła społeczność rzymska w pierwszych już latach po

[1]) Trucidatis tot insiquibus viris, ad postremum Nero virtutem ipsam exscindere concupivit (Tacit ann. XVI).

[2]) Artem quaevis terra alit.

Auguście. Powieść o *uczcie u milionera* wychodzi tu z ust Petroniusza, satyryka współczesnego Neronowi, ba nawet zaszczyconego szczególniejszą łaską Nerona, przy którym miał szczęście być „arbitrem elegancyi" aż do owéj chwili, kiedy zwykłemi wówczas okolicznościami znaglonym został do podcięcia sobie żył, jak Seneka i tylu innych wybrańców Cezara-fiecisty. Z krótkiego ale energicznego zagajenia, jakie nam daje p. Dębicki na wstępie (str. 2—4), poczuwamy, że zabierał głos pod wrażeniem majestatu zgrozy, tak naturalném, tak właściwém naszemu, dzięki Bogu czerstwemu jeszcze instynktowi: „Za dni Cezarów, mówi p. Dębicki, w zaraniu nowéj ery wszechdziejów, zgotowanéj światu przez opowiadaczy *Dobréj Nowiny*, kiedy społeczność rzymska dogorywała gnuśnie na barłogu nadludzkiéj, zda się, nędzy moralnéj, dźwigając trupiejącemi ramiony złocisty tron gwałtu, wyuzdania zwierzęcego i żądzy bezdennéj, a występek stanął na skraju przepaści, rozwinęła się szczególniéj jedna gałąź literatury, gałąź czysto rzymska: *córa nie muz, lecz furyi:* satyra."

Przyklaskujemy szczególniéj ostatnim wyrazom. Satyra owoczesna nie była rzeczywiście córką muz i być mogła jedynie córką furyi. W pierwszych dobach kultury towarzyskiéj i politycznéj, niedość ściśle odgraniczona od komizmu, t. j. od nadmiaru błogości spokojnéj, neutralnéj, satyra bywa następnie zwiastunką rozkładu społeczeństwa. Jeżeli ten rozkład tamują i odwlekają jeszcze do czasu zasoby sił na innych organach psującego się ciała, wówczas satyra z przyrodzonéj konieczności stać się musi gwałtowną, juwenalowską, co to bije pięściami, jak mówi myśliciel niemiecki, satyrą jędz mścicielek, bo mści się za przeciągłe męki dogorywania. Poeta takiéj epoki, jeżeli znajdzie się tu wypadkiem, wciela nemezę w wykrzyki pasującéj się boleści; dziejopis tworzy epopeę, skrystalizowaną w charakterystykę osób, powieściarz w dramatowe obrazy niecnoty i poniżenia: ale wszyscy razem są satyrykami. Dobrze więc, że p. Dębicki przyznaje słuszność temu zdaniu ówczesnego krytyka Kwintyliana: „Satyra jest cała naszą" (rzymską), nikt téż Rzymianom ówczesnym nie myśli jéj zaprzeczać. „Jestto, mówi nasz autor, jedyny rodzaj poezyi, który mógł puścić bujniejsze korzenie, w przegniłéj glebie ówczesnych stosunków rzymskich." Nic słuszniejszego nad te wyrazy, dopóki autor rozumié tu rozgłos poety, popularność jego utworów, ponieważ hołdy podobnéj, upadłéj współczesności, byłyby raczéj znieważeniem poezyi. Ale to dziwna, że nie doszło nas z owéj epoki nic takiego, coby świadczyło o prawdziwie poetycznym proteście.

To chyba już nie gatunkowy jakiś fakt, bo nie Nero wytworzył Romę Burrów i Tygellinów, lecz Roma wytworzyła jego i jemu podobnych: *divum inclementia, divum* (bogów to było niełaska, bogów), że pozwoliły losom postawić na pozycyi masę nie zdolną do zbratania i zespołecznienia ludów, mechanicznie tylko ściekających do Rzymu, jakby ciążeniem fizycznem, do sztucznie wyżłobionéj kotliny, a to, pod trafnie sformułowanemi przez autora siłami „złota i pięści."

Zaprawdę też „na takiéj niwie rozpasania ogólnego, w cuchnącéj atmosferze sromoty i występku, wyrosła i rozwinęła się słynnie satyra rzymska" (str. 3).

W ustępie drugim, p. Dębicki obznajmia czytelnika z Gajusem (czy też Tytusem) Petroniuszem (utwórcą Satyrykonu), i przytacza jego charakterystykę z *Roczników* Tacyta, od którego, pomiędzy innemi rzeczami, dowiadujemy się że Petroniuszowi pozazdrościł łask Neronowych, straszliwy zausznik jego, Tygellin. Ten, korzystając „z krwiożerczości Nerona, przewyższającéj inne namiętności tego władcy," oskarżył Petroniusza i wskutek tego oskarżenia, podążający w podróży za władcą Petroniusz, został uwięziony (str. 7). P. Dębicki podaje treść zachowanych dotąd części Satyrykonu, z niektórych przytacza obszerniejsze ustępy, wreszcie fragment V podaje w całości (*Biesiadę*). Fragment XIII (Matrona u Efezu) jest dowcipną humoreską, prawie że w angielskim nastroju (str. 21—26).

Zgadzamy się też z autorem na to, że w literaturze nowożytnéj znajduje się osobistość nader podobna do mistrza zabaw na dworze Nerona. Jest nią, według mniemania p. Dębickiego, satyryk angielski, dworak Karola II, John Rochester (str 9). Na szczęście, Rochester, przed zgonem pojednał się z cnotą, ulegając budującéj wymowie biskupa Burneta, który nawet zostawił nam piśmienniczą pamiątkę téj konferencyi [1]).

Znaczenie Satyrykonu Petroniusza, jak sprawiedliwie wyraża się nasz autor, dla historyi cywilizacyi, dla dziejów prywatnego życia Rzymian w okresie cesarskim, jest pierwszorzędowe. Niemniéj ważnym jest on i dla znajomości języka ludowego (*lingua romana rustica*), to jest owéj gwary, któréj Rzym patrycyuszów wyrzekł się i przytłoczył ją warstwą obcą napływową (przez co i ciało i duch poezyi rzymskiéj nigdy się nie wzbiły do prawdziwéj swojszczyzny).

Żałujemy tylko, że p. Dębicki nie uznał za stosowne, choćby tylko wycieczkowo, rozszerzyć się nad zapytaniem o autentyczności rękopismu. Nie przymawiamy się o nie dlatego, abyśmy żywili jakieś skrupuły sceptyczne; lecz autor nasz, jako filolog, pojmuje, że i dla wymagań krytyki starożytniczéj zrobić niecoś należy, i na ten więc przyczynek czekamy.

Po wstępném zagajeniu, wiadomościach dotyczących Satyryka i jego ocalonych dotąd utworów, autor nasz podaje (od str. 31 do końca str. 108) powieść tytułową (*Biesiada Trymalchiona*) w wybornem tłómaczeniu, jędrnym, typowo polskim językiem, (przymiot, napozór prosty, ale w przekładach szczególniéj utworów humorystyki, łatwiejszy

[1]) Eart J. Rochester (ur. 1647 † 1680) napisał mnóstwo utworów lirycznych, arcy dowcipnych, ale zbyt spokrewnionych w tonie z niektóremi utworami Węgierskiego.

do wygłoszenia, niż do wykonania). Oto np. ustęp, malujący złoty humor szczęśliwego dorobkowicza, któremu Epikureizm przesadził duszę do żołądka.

„To niebo, w którém mieszka dwunastu bogów, przeobraża się w tyleż odmiennych figur i teraz np. ma postać barana. Kto się pod tym znakiem urodził, posiadać będzie liczne trzody i dużo wełny, prócz tego łeb twardy, bezwstydne czoło i ostry róg. Pod tym znakiem rodzi się najwięcéj bakałarzy i skopów.

„Pochwaliliśmy ten koncept matematyczny gospodarza, a on zachęcony uznaniem, jął daléj prawić: „Przypatrzmy się niebu np. w postaci byczka. Pod tym znakiem rodzą się uparciuchy, pasterze wołów i ci, co na własnym zagonie wyżywić się potrafią. Pod bliźniętami rodzą się konie zaprzęgowe, woły ornite, jądra i ludzie, co zwykle na dwu stołkach siadają. Co do mnie, przyszedłem na świat pod rakiem, dlatego też stoję na wielu nogach i posiadam wiele na morzu i na lądzie, bo rak należy i do jednego i do drugiego. Zdawna już zakazałem kłaść nań potrawy, aby nie uciskać swojéj genezy. Pod lwem rodzą się żarłocy i chciwi panowania; pod panną: kobiéty, zbiegowie i kajdaniarze; pod wagą: rzeźnicy, handlujący wonnościami i w ogóle kramarze; pod niedźwiadkiem: truciciele i sztyletnicy; pod strzelcem: zezowaci, co patrzą na kapustę, a kradną słoninę; pod koziorożcem: nieboracy, którym z biedy i kłopotów rogi na głowie rosną; pod wodnikiem: szynkarze i postrzelone pałki; wreszcie pod znakiem ryb: kucharze i retorowie. Tak się to niebo kręci, niby koło młyńskie, a zawsze musi wyrządzić coś niedobrego, gdyż ludzie albo się rodzą, albo umierają. Widzieliście tam w środku kawał darni, a na nim plaster miodu; nie myślcie, żeby w tém nie było jakiéjś racyi, bo, moi kochani, Trimalchion nic bez przyczyny nie robi. Matka ziemia wisi w środku przestworza, zaokrąglona jest przytém jak jaje, a mieści w sobie wszystko dobre, niby susz pszczelny."

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE,

NAUKOWE, LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

WARSZAWA.

Sierpień 1879 r.— Nowego pisma czasowego *Ogrodnik Polski* (którego ukazanie się tak bratersko powitał niedawno nieodżałowany nasz Kazimierz Wł. Woycicki!) wyszedł nr. 3 i 4. Mamy tu pomiędzy innemi, utwory pióra redaktora p. Edmunda Jankowskiego, dra J. Aleksandrowicza, pp. Władysława Kaczyńskiego, Piotra Hosera.

— P. Holewiński Wacław, magister nauk przyrodzonych, wydał (czytane w Warszawie na dochód Muzeum Kopernika) studyum swoje p. n. *Zasługi Kopernika dla cywilizacyi.* (Warszawa, w drukarni *Przeglądu Tygodniowego*). Pracę swoję autor poświęca doktorowi Arturowi Wołyńskiemu i Cezarowi Polewce.

— „Wydawnictwo Spółki nakładowéj" w dalszym ciąguswoich publikacyi wydało następujące dramata W. Okońskiego (w jednym tomie), a mianowicie: *Antea na targu* w 1 akcie, przedmiot z dziejów niewolnictwa greckiego. *Helvia* w 1 akcie, z pierwszych chwil wszechwładztwa Cezara, napisany jak sam autor powiada, pod urokiem „słynnéj powieści znakomitego pisarza włoskiego Rovaniego." *Poddanka*, dramat w 1 akcie; przedmiot tego dramatu dotyka dziejów naszego społeczeństwa w pierwszych latach XIX wieku. *Błazen*, dramat w 1 akcie, również treści społecznéj, z wieku zeszłego; ideą przewodniczą jest ta walka pracy z potęgą, tocząca się na polu autorstwa.

— Dzięki ofiarności mężów dobréj woli, niezadługo ujrzymy wprowadzoną w czyn myśl arcy-żywotną, myśl otworzenia zakładu prywatnego dla młodzi, poświęcającéj się kunsztom i rzemiosłom. I dotąd wprawdzie społeczność nasza nie odmawiała nigdy pewnego uznania pracom mechanicznym, ale uznanie to nie opierało się na podstawie wznioślejszéj nad pobudki czystéj utylitarności. Podniesienie wszakże społecznego stanowiska pracy mechanicznéj nie może dokonać się jakąś zewnętrzną odezwą, rozkazem do opinii publicznéj. Nie znaczenie i powaga towarzyska wyrość tu może jedynie w drodze samodzielności, przez wykształcenie się pracowników ogólnie ludzkie, przez oparcie się saméj pracy na ożywczych podstawach *inteligencyi.* Odsunięcie ucznia rzemieślniczego od tego co jest ludzkiém, w podnioślejszém znaczeniu wyrazu, wprowadzanie go na wyżynę przez jakieś feudalne schody i schodki „posługacza, nosiwody, popychadła" i t. d., zgoła tysiączne wady, towarzyszące wstępnemu wychowaniu generacyi rzemieślniczéj, nie mogły wpłynąć na uzacnienie jéj postawy w składzie towarzyskim; mogły one tylko odstraszać warstwę, *wykształceńszą domowo*, od rzemiosła i rękodzieł.

Nic przeto pożądańszego być nie mogło nad projekt utworzenia takiéj szkoły, w któréjby lata najważniejsze w życiu przyszłego rzemieślnika i rękodzielnika poświęconémi być mogły nie na jakąś kwarantannę upośledzenia, bezwiednéj bierności lub służalstwa, a to wśród dwu skrajności: wśród źle skierowanego mozołu w dniu powszednim, a wstrętnego *farniente* w dni świąteczne; ale przeciwnie: któraby wprowadzała go na drogę rzetelną *studyów* w kierunku przyszłego zawodu, opartych na ogólnie ludzkiém wykształceniu.

W mającéj się otworzyć „Szkole prywatnéj, trzyklasowéj, z nauką rzemiosł i rękodzieł," wykładanemi będą w myśl decyzyi Władzy, któréj zatwierdzenie już nastąpiło: *a*) od godziny 8—12: Religia; języki: ruski, polski i niemiecki; arytmetyka i geometrya z rysunkiem geometrycznym; wiadomości z nauk przyrodzonych: fizyki i chemii; geografia i historya Rossyi i Polski; rysunek linearny i kaligrafia.

b) w godzinach popołudniowych (od 3—7) odbywać się będzie praktyczny wykład rzemiosł i rękodzieł: szewctwa, krawiectwa, rymarstwa i kuśnierstwa; stolarstwa, ślusarstwa, tokarstwa na drzewie i metalu, kowalstwa. Kurs każdéj klasy będzie dwuletni. Kierownictwo Szkoły przyjął na siebie zasłużony na polu pedagogicznem, chlubnie przez swoich uczniów wspominany dotąd, b. nauczyciel gimnazyum, oraz nadzorca czteroklasowéj szkoły rzemieślniczéj, obecnie emeryt, p. Józef Łapiński. Szanowny kierownik, mającéj się otworzyć szkoły, położył i zasługi literackie. Jego dzieło matematematyczne, z należném uznaniem przyjętém zostało w swoim czasie przez krytykę naukową [1]).

Szkoła ma być otwartą roku bieżącego w październiku.

— W Moskwie, w drukarni Uniwersytetu wyszedł przekład: *Wybranych poezyi Ludwika Kondratowicza* (Władysława Syrokomli), *Izbrannyja Stichotworenija*. Wydanie W. M. Ławrowa i W. A. Fedotowa (tom I).

Wydawcy oświadczają we wstępnéj przedmowie, że obecna publikacya składać się będzie z dwu tomów. Tłómaczami utworów, w tym tomie zawartych, są pp.: D. Minajew, L. Palmin, M. Petrowski, L. Mej i Weinberg. Z obszerniejszych poematów spotykamy tu: *Jana Dęboroga*, *Janka Cmentarnika*, *Nocleg hetmański*, *Starostę Kopanickiego*, *Filipa z Konopi*. Na początek szczęśliwie wybrano *Pocztyliona*. Obszerniejsze wiadomości o tych przekładach podamy późniéj.

— W drukarni Wł. Łozińskiego wyszedł tom II: Prawa kościelnego katolickiego, przez Dr. Edwarda Rittnera profesora uniwersytetu Lwowskiego (Ocenę tomu I, w swoim czasie pismo nasze już podało). Tom II traktuje o sprawowaniu rządów kościelnych i stosunkach prawnych poza hierarchią.

— Sprawozdań Komisyi „do badania historyi sztuki w Polsce" wyszedł zeszyt III, i zawiera: a) Łuczkiewicza Władysława: Granitowe kościoły w Kruszwicy, Kościelcu i Mogilnie z epoki romańskiéj i Ś. Jana w Poznaniu; b) Czynności artystyczne na dworze Zygmunta I. wedle zapisów Seweryna Bonera skreślił Paweł Popiel, członek Akademii Umiejętności (z tablicami przedstawiającemi widoki dzisiejsze i prawdopodobne plany konstrukcyi pierwotnéj); c) Wiadomość, udzieloną przez Szujskiego Józefa: „O miniaturowym kodeksie XI wieku, kapituły katedralnéj krakowskiéj" (Ewangieliarzu) z podobizną początku ewangielii: Księga rodzaju Jezusa Chrystusa, oraz czterema litografiami osobowemi.

Nakładem księgarni Gubrynowicza i Schmidta wyszła „I. J. Kraszewskiego: Dajmon Fantazya" (z wymownem godłem Dantego: *a gloria non si va per via fioritta* (do chwały nie idzie się drogą kwiecistą) [2]).

---

[1]) *Geometrya zastosowana do rękodzieł i rzemiosł*, ułożona przez Józefa Łapińskiego, nauczyciela szkół rządowych, ze 160 figurami z drzeworytów, wykonanych w zakładzie J. Styffiego, 1868 r.

[2]) Drukowany poprzednio w Gazecie Warszawskiéj.

— Kraków. Rozprawy i Sprawozdania z posiedzeń wydziału historyczno-filozoficznego Akademii Umiejętności, tom X (którego obszerniejsze streszczenie podamy w przyszłym zeszycie); Zbiór wiadomości do antropologii krajowéj, wydawany staraniem komisyi Antropologicznéj Akadem. Umiej. w Krakowie, tom III; Rozprawy i Sprawozdania z posiedzeń wydziału matematyczno-przyrodniczego Akad. Um. tom V (z tablicami litografowanemi).

— Rocznik Zarządu Akademii Umiejętności w Krakowie za rok 1878.

— Dr. Władysław Wisłocki, Katalog Rękopismów Biblioteki Uniwersytetu Jagiellońskiego. Nakładem Akademii Umiejętości, w drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego (od Nr. 1467—2008 włącznie).

— Hołd imieniu Szopena. W *Słowniku angielskim muzyki i muzyków* (*Dictionary of Music and Musicians*), przez celujących pisarzy angielskich i cudzoziemskich, wydawanym przez G. Grove, a obecnie doprowadzonym do głoski J, spotykamy artykuł o Szopenie (*Chopin*), opracowany przez E. Darnreuther'a.

Saturday Review, z 12 lipca r. b. zawiera recenzyą dzieła M. Karasowskiego o Fryd. Szopenie, przełożonego na język angielski przez Emilię Hill (*Frederic Chopin*; his Life, Letters and Works. by Moritz Karasowski. Translated by Emily Hill; London. William Heeves. Recenzent po gorącém przemówieniu o wielkim mocarzu tonów, żarliwie zachęca publiczność angielską do zapoznania się z losami życia i uczuć, jakie Szopen w mowie dźwięków przesyła potomności.

— W inném miejscu czytamy obszerny artykuł p. t.: *Piśmiennictwo polskie* (*Polish Literature*), z którego ciekawsze ustępy podamy w ciągu naszego pisma.

— Historya Macaulaya doczekała się nakoniec współzawodnicy, tak pod względem rozmiarów, jak i pod względem posągowego wykończenia. Jestto *Historya ludu angielskiego* p. Johna Richarda (*History of the English People*. Oxford, 1879); w téj chwili wyszedł tom III, zawierający Anglią Purytańską. J. Green, którego nazwiemy (nie w trywialném znaczeniu wyrazu) dziejopisem-artystą, w tym tomie zamierzył przeprowadzić okres od śmierci królowéj Elżbiety (w r. 1603) aż do ucieczki Diuka of Monmouth i do czasowego upadku stronnictwa wigów, na krótko przed kresem rządów Karola II. Jednakże nieprzewidziana zapewne skala rozszerzenia się widnokręgu zniewoliła J. Greena do zatrzymania się na połowie drogi prawie. Mamy tu więc część *Cyklu* od śmierci Elżbiety (1603) do r. 1660, czyli, jak to autor nazywa: Anglią purytańską, restauracyą i spisek papistowski (*Popish Plot*). Z samego tytułu dzieła (*Historya ludu angielskiego*) czytelnik z góry rokować sobie może historyozoficzne stanowisko autora. Rzeczywiście w tych obrazach porusza się w przestrzeni nie wielkość matematyczna, zwana państwem, lecz zbiorowa samowiedza polityczna. Nic równie treściwego, filozoficznie harmonijnego, jak skreślenie chwil purytanizmu, dane w tym tomie; w ciekawy np. sposób autor rozwiązuje tę trudną zagadkę:

jakim sposobem klasyczny, elegancki typ Elizabetyński (odrodzenia), dostarczający rysów Szekspirowi, mógł naraz zestąpić w surowe doktryny kalwinizmu, i naraz zamarzyć o królestwie Bożem na ziemi? Otóż J. Green odkrył wspólny czynnik pomiędzy temi dwiema fazami. Przytaczamy ten ustęp, aby dać czytelnikowi przedsmak tonu i stanowiska autora. „Jakkolwiek duch kalwinizmu zdawać się może różnym od ducha renascencyi (wieku Elżbiety), znalazły one jednak punkt zjednoczenia, w egzaltacyi człowieka, indywiduum. Imponująca walka dobrego i złego wrąca w wewnętrzu duszy, która objęła grozą wyobraźnię dramaturga i poety, ta walka, mówię, stała się oraz jedyném duchowém pojęciem serca purytanizmu... Każdy mąż chrześciański trzymał we władzy swojéj ostateczne wyjścia życia i śmierci. Również w przeświadczeniu każdego męża chrześciańskiego postawione były i szale walk nieba z piekłem. Nie, jako istota z ciała, lecz, jako jednostka, dusza, każdy chrześcianin mógł dopominać się o prawo uczestnictwa w Tajemnicy Odkupienia. W zewnętrznym świecie kultu i karności, kalwinista mocen jest uważać siebie za jednego z rzeszy braci, ale w każdéj dobie swojéj wewnętrznéj bytności, w dobie walki i pokuszenia, wśród pomrocznego pasowania się z grzechem, w gloryi nawrócenia się, on czuł się zupełnie samotnym. Czeladnik, siedzący w przerażeniu na parterze teatru w chwli, kiedy nawalna burza w sercu Lira przewyższała wszelkie burze żywiołów, łatwo przechodził na kalwinistę, który dzień w dzień widział i poczuwał samego siebie teatrem jeszcze potężniejszych walk pomiędzy potęgami światła i potęgami ciemności, a duszą swoją—łupem wiekuistego posuwania się nieba z piekłem.“ Tak więc, podług autora, węzłem duchowym pomiędzy dwoma tak sprzecznemi zwrotami w polityczne społeczeństwa XVII wieku w Anglii była idea indywidualności człowieka; ona też to sprawiła, że dzieje Anglii były rzeczywiście dziejami ludu angielskiego. W ogóle J. Green, ujmuje czytelnika dwoma znamionami swojego pióra: podsunięciem zrębów filozoficznych pod swój wykład, bez czego dziś prawdziwe dziejopisarstwo ani pomyśleć się nieda, a następnie, żywém współczuciem ku faktom, bez których znowu wszelka historyografia wyraża się na zimny nekrolog umarłych, albo statystykę żyjących narodów. Już nie poznania, ale przekładu historyi J. Greena życzylibyśmy szczerze naszemu piśmiennictwu.

— *Śmierć króla Buda!* Dla czytelników interesujących się literaturą Madziarów, a przedewszystkiém ich literaturą nadobną, nie obojętną będzie wiadomość o wychodzącym w téj chwili przekładzie na język niemiecki *Epopei* Jana Arany, współczesnego przodownika na polu poezyi. *Epopea* ta (napisana oryginalnie przed szesnastu laty), któréj tytuł w pierwotworze brzmi: *Buda szalola* (Budy śmierć) ma za bohatera swego brata Attyli: Buda, (zapewne starszego) którego Attyla zabił ręką własną (jak to czytamy w *Chronica Hungarica*) za to, iż ten wytkniętą pomiędzy państwami braci granicę przekraczał. O ile ze znanych nam dotąd ustępów wnioskować wolno, to epos

tak szczelnie zachodzące w sferę Nibelungów, zasługuje na upowszechnienie i w naszym świecie umysłowym, zanim się nie znajdzie odpowiedni zadaniu tłómacz z pierwotworu.

W Revue politique et littéraire (Nr. 10) czytamy: Muzeum brytańskie zyskało cenny nabytek: papirus z okresu ostatnich Ptolemeuszów, wybornie zachowany, który zawiera, wyjąwszy 127 wierszy początkowych, XXIV pieśń Iljady. Toż Muzeum posiada już i inny papirus jeszcze starożytniejszy a odkryty niedawno w grobowcu egipskim, zawierający również całą prawie XVIII pieśń Iliady.

— Dziejopisarstwo pierwiastków kultury wzbogaconém zostało o ważny nabytek. Jest to dzieło I. A. Farrer: „Pierwotne zwyczaje i obyczaje (*Primitis manners and Customs*" London Chatto 1879). Autor dzieła pomienionego zespolił w niém obfity zapas faktów, malujących zwyczaje, obrzędy, przesądy i wiary z rzutnością filozoficznego poglądu. Zająwszy neutralne stanowisko co do dylematu: czy dzikość ludu ma być stanem poprzedzającym cywilizacyą, czy téż dzikość ma być skutkiem odpadnięcia ludu od cywilizacyi" autor dowodzi: a) tożsamości rasowo-ludzkiéj tak w dzikich jak i ucywilizowanych plemionach, b) przetrwania dzikich praktyk w społeczności ucywilizowanéj, w lekko zmienionéj formie. „Prawo powszechnie obowiązujące w naturze *ciągłości*, obowiązuje również i w procesie uobyczajenia rodu ludzkiego. Uważane dziś za najpiękniejsze i najdojrzalsze, kształty naszéj społeczności, są to „nic więcéj, jak ulepszone kształty pierwotnego społeczeństwa, tylko o pewien stopień ociosane z pierwotnéj instynktowości swojéj. Nasze piękne nowele i powieści, są to owe pierwotne baśnie i mity, tylko *ulepszone*. Kryształ skalny i muszle atlantyckie, odnajdywane pomiędzy szczątkami ludzi, tygrysów i niedźwiedzi w jaskiniach Perygoru, mogły dostać się tam drogą zamiany, a tym sposobem okazuje się, że najpierwotniejsze ludy, przy całéj elementarności swojéj, musiały mieć tyle przynajmiéj umoralnienia, ile potrzeba do stosunków handlowych." Autor odnajduje u ludów pierwotnych szczątki instytucyi wszelkiego rodzaju. Tak np. spowiedź, mówi autor, była rozpowszechnioną nietylko w Meksyku i Peru, lecz i u wyspiarzy Samoun, którzy wszelkie złe uważali za skutek grzechu a za środek leczący: udanie się do kapłana i wyjawienie swoich przewinień. Podobnież było i w Jakutanie, gdzie spowiedź zaprowadzić miał mityczny utwórca kultury: Kukulkan. Mieszkańcy pierwotni Serkwinu (w Honduras), jeżeli w podróży spotkali się z jaguarem, tedy polecając się bogom i wyznawszy grzechy swoje, prosili o przebaczenie; jeżeli jaguar pomimo to zbliżał się, wtedy wołali: jużeśmy grzechy wyznali, nie zabijaj nas. Najciekawszemi działami u p. Farrer'a są: „Mity i wiary, Powieści czarodziejskie i Małżeństwo."

† W dniu 12 sierpnia r. b. o godzinie 10 z rana, zmarł w Lublinie ksiądz ***Walenty Baranowski,*** biskup dyecezyi lubelskiéj, najżarliwszy sługa ołtarza, ukochany przez wiernych, mąż wysokiéj umysłowości. Dostojnéj pamięci pasterz, z prawdziwém namaszczeniem spełniając służbę Bożą, był oraz wielkim miłośnikiem światła, miłował literaturę i wspierał jéj pracowników. Serdeczny przyjaciel Wincentego Pola, w katedrze lubelskiéj wystawił mu pomnik, również jak i Seb. Klonowiczowi.

Od Redakcyi.

Główny Zarząd prasy upoważnił redaktora „Przyrody i Przemysłu" dr. Karola Jurkiewicza, do czasowego zastępstwa redaktora „Biblioteki Warszawskiéj."

Sprostowanie

w Bibliotece Warszawskiéj za miesiąc sierpień r. b.

Str. 186, w wierszu 14 od dołu, zamiast okres *długi*, należy czytać okres *drugi;* str. 190, w wierszu 7 od dołu, zamiast *pracowali*, ma być *panowali;* str. 191, w wierszu 15 od góry, zamiast *na końcu*, ma być *na koniu;* str. 193, wiersz 5 od góry, zamiast *właściwie*, ma być *włościanie*.



Redakcya Biblioteki Warszawskiéj.

Za redaktora odpowiedzialnego dr. Karol Jurkiewicz.

Wydawca *Józef Berger.*

Druk J. Bergera,
w Warszawie, Elektoralna Nr. 14.

Дозволено Цензурою
Варшава, 17 Августа 1879 года.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE TRZECIM,

Z R. 1879.

—

stron.

Historya.

Stosunek Władysława Jagiełły do Husytów czeskich. Napisał Julian Sutowicz. 41
Warszawa, jéj życie umysłowe i ruch literacki w ciągu lat trzydziestu (od 1800—1830 r.). Przez K. Wł. Woycickiego. . . 57, 233
Przyczynek do zdania o dziele Michała Bobrzyńskiego: „Dzieje Polski w zarysie," 1879 r. Przez Aleksandra Tyszyńskiego. . . . 184

Literatura.

Pamiętnik z lat młodych Juliusza Słowackiego. Przez Sewerynę z Żoch. Duchińską. 88
Ruch literacki na Łużycach. Przez A. J. Parczewskiego 111
Kazimierz Władysław Woycicki. Przez Ernesta Swieżawskiego. . . 305
Romantyzm angielski wieku XIX. II; Dana, Coleridge, Poe. Przez Feliksa Jezierskiego. 403

Filozofia.

Cnota i występek. Rzecz o rozwoju dziejowym wyobrażeń o cnocie. Przez Wojciecha hr. Dzieduszyckiego. (Ciąg dalszy). . . . 16, 318

stron.

Nirwana wobec metafizyki, czyli ocena podstaw metafizycznych filozofii wyzwolenia w związku z systematami filozoficznemi Schopenhauera i Hartmanna. Przez Seweryna Smolikowskiego. . . . 92
Logika Aleksandra Bain'a w przekładzie polskim. Przez Feliksa Jezierskiego. 145

Bijografia.

Antoni Oleszczyński. Przez Sewerynę z Żochowskich Duchińską. . 350, 364

Podróże i odkrycia.

Z podróży i przechadzek po południowo-zachodniéj Norwegii. Z luźnych notatek spisał Stanisław Bełza. 163, 387

Przemysł.

Przemysł cukrowniczy w Królestwie Polskiém. Przez Antoniego Wrotnowskiego. 1, 206, 368

Nauki przyrodzone.

Z dziedziny przyrodoznawstwa. Przez T. Skomorowskiego. . . . 416

KRONIKA PARYZKA, LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Wystawa rzeźb i obrazów na Polach Elizejskich.—Walka w dziedzinie sztuki.—Nowa szkoła impresyonistów.— Obrazy religijne, historyczne, mitologiczne i rodzajowe, portrety, krajobrazy, rzeźby.—Salon oświetlony elektrycznością.—Walka w akademii: Henri Martin i Emil Olivier.—*Sztandar*, powieść Juliusza Claretie.—*Czterej sierżanci z Roszelli*, dramat.— Pomnik księdza de l'Epée w Instytucie głuchoniemych w Paryżu.—Wystąpienia koncertowe panny Kamili Morzkowskiéj w Nicei. 260

Korrespondencya.

Kronika poznańska. 224
Kronika lwowska. 435
Sprawozdanie z konkursu Biblioteki Warszawskiéj i nowy jéj konkurs. I—IV
Akademia Mickiewicza w Bolonii. 89

stron.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj z powodu proponowanego przez nią tematu konkursowego „Historya języka polskiego." Od A. Wałeckiego. 283

Przegląd piśmiennictwa krajowego i zagranicznego.

Babylonian Literature: Lectures delivered at the Royal Institution by A. H. Sayce. London, Bagsters 1877. Przez J. A. Święcickiego 116

O znaczeniu i ważności zabytków pierwotnych, oraz umiejętném ich poszukiwaniu, (dwa odczyty publiczne w muzeum techniczno-przemysłowém w Krakowie). Przez A. Kirkora, przewodniczącego sekcyi wykopalisk kom. archeolog. Akad. Umiejęt. Kraków, 1878 r. (W 8-ce, str. 30). Przez R. 123

Rocznik Kółek rolniczo-włościańskich w Wielkiém Księztwie Poznańskiém. (Poznań. Drukiem i nakładem J. I. Kraszewskiego i dr. W. Łebińskiego, 1879. W 8-ce, str. 149). Przez W. . 126

Sprawozdanie z czynności Zakładu Narodowego Imienia Ossolińskich za rok 1878. We Lwowie w Drukarni Zakładu narodowego Imienia Ossolińskich, 1878 r. (W 8-ce, str. 70). Przez R. 129

Złota księga szlachty polskiéj. Przez Teodora Żychlińskiego. Rocznik pierwszy. Poznań 1879 r. Przez Adama Bonieckiego. 286

Jan Łaski arcybiskup gnieznieński sprzymierzeńcem sułtana tureckiego. Przez d-ra Aleksandra Hirschberga. We Lwowie. Nakładem Tygodnia, 1879 r. (W 8-ce, str. 76). Przez K. Wł. Woycickiego. 296

Biblioteka Ordynacyi Krasińskich. Muzeum Konstantego Świdzińskiego. Tom IV. Perska księga na polski język przełożona od Imci pana Samuela Otwinowskiego. Z dawnego rękopismu wydał dr. J. Janicki. Warszawa, 1879 r. Przez Antoniego Bądzkiewicza. 449

Czesław. Poezye. Zeszyt I. Warszawa, 1879 r. Druk K. Kowalewskiego. Przez F. J. 459

Biesiada u milionera rzymskiego, za czasów Nerona, podług satyrykonu Petroniusza Arbitra. Przez Wład. Mich. Dębickiego. Warszawa. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa, 1879 r. Nakładem Nestora Złowodzkiego, kandydata nauk historyczno-filologicznych. Druk J. Noskowskiego. Przez F. J. . . . 462

stron.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE, NAUKOWE, LITERACK. I ART. 130, 298, 465

NEKROLOGIA. 144, 304, 471

SPROSTOWANIE. 472

OD REDAKCYI. 472

